

Tadeusz Andrzej Olszański

UKRAIŃSKIE STULECIE

1914–2014 Szkice historyczne

Jeśli ktoś chce zrozumieć, co i dlaczego myślą oraz czują dziś Ukraińcy – ci ze Lwowa, Kijowa albo Doniecka – powinien przeczytać tę książkę: barwną opowieść o punktach zwrotnych w ukraińskiej drodze do niepodległości, a także do własnej tożsamości w wieku XX i XXI. Wojciech Pięciak, „Tygodnik Powszechny”



Tadeusz Andrzej Olszański

**Ukraińskie stulecie 1914–2014
Szkice historyczne**



Słowo wstępne

Teksty, które złożyły się na tę książkę, w większości były już publikowane na łamach „Tygodnika Powszechnego” (dane o publikacji podaję po każdym tekście). Żaden z nich jednak nie pozostał w wersji pierwotnej: zostały przejrane, uzupełnione o fragmenty pominięte ze względów objętościowych, czasem zaktualizowane lub poszerzone. Staralem się usuwać powtórzenia, związane z tym, że każdy z nich stanowił pierwotnie osobną całość, część z nich okazała się jednak niezbędna; z drugiej strony takie „symfoniczne” powracanie tematów w nieco różnych ujęciach także może być interesujące. Do tekstów dodałem niestosowne i niestosowane w czasopiśmiennictwie przypisy objaśniające.

Tam, gdzie wprowadzane zmiany jedynie poszerzały pole widzenia, nie zaznaczałem ich. Tam jednak, gdzie po kilku latach korekty wymagał nie opis wydarzeń, a ich interpretacja, pozostawiałem bez zmian to, co napisałem wówczas, dodając „autopoprawki”. Podobnie wyodrębniałem aktualizacje, opisujące wydarzenia, które zaszły po pierwszej publikacji tekstów. Myślę, że tego rodzaju spojrzenie wstecz może być pożyteczne również dla czytelników.

Książkę tę zdecydowałem się podzielić na cztery bloki. W pierwszym znalazły się teksty przybliżające czytelnikom współczesną Ukrainę, omawiające zagadnienia historyczne, bez których nie sposób jej zrozumieć: od fenomenu Szewczenki, przez Hołodomor i Czarnobyl, po uzyskanie niepodległości w 1991 r., a także omówienie ukraińskiej symboliki narodowej. Drugi tworzy szereg szkiców poświęconych stuleciu ukraińskiej walki o niepodległość w latach 1917–1923. Trzeci blok mówi o przemianach z lat ostatnich: dziedzictwie rewolucji godności 2014 r., przemianach ukraińskiej tożsamości (w tym polityki historycznej) oraz początku (bo jednak wciąż początku) jednoczenia ukraińskiego prawosławia. Ostatni blok tworzą dwa teksty bardziej osobiste: konspekt opracowany przed wywiadem dla red. Warzechy w 2014 r. oraz artykuł poświęcony trzydziestej rocznicy seminarium *Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polscy – przesłanki pojednania*, w którym

brałem udział. Problematyka II wojny światowej, działalności OUN–UPA etc. pojawia się tu tylko w kontekstach związanych ze współczesną polityką historyczną.

*

Od schyłku 1993 r. do połowy 2017 r. pracowałem w Ośrodku Studiów Wschodnich (od 2006 r. noszącym imię swego założyciela, śp. Marka Karpia) jako analityk problematyki ukraińskiej; dziś współpracuję z Ośrodkiem jako emeryt. Jako analityk, pracujący dla Rzeczypospolitej, musiałem być możliwie przezroczysty (co nie zawsze mi się udawało); w publikacjach prasowych starałem się respektować przyjmowane tam konwencje. Tu mogę pisać nie tylko o Ukrainie takiej, jaką ją postrzegam (to czyniłem zawsze), ale też – w taki sposób, w jaki ją postrzegam. Stąd w niektórych tekstach przywracałem bądź dodawałem elementy osobiste, dosadne sformułowania, ale też dygresje językowe etc. Fragmenty poetyckie zamieszczam we własnym tłumaczeniu.

Przyjąłem tu zasadę transkrypcji nazw i imion ukraińskich zgodnie z zasadami fonetyki polskiej (chyba, że dana nazwa ma tradycyjną polską formę) zamiast szerzącej się dziś pod wpływem zasad przyjętych w Kijowie transkrypcji anglosaskiej, której Polacy na ogół nie umieją czytać prawidłowo. Zatem obecny prezydent Ukrainy to Wołodymyr Zełenskyj (dopuszczalna byłaby też forma –śkyj, ale w żadnym wypadku „polonizująca” –ński), nie zaś Volodymyr Zelenskyi (czy też –kii, –ky, –kiy). Nazwy ukraińskich instytucji politycznych podaję w tłumaczeniu polskim, ale ich skrótowce zachowuję w oryginale, zatem np. Ukraińska Republika Ludowa, ale UNR (bo Ukrajńska Narodna Respubłyka).

Trzymam się też tradycyjnej dla języka polskiego formy „na Ukrainie”, wbrew politycznej poprawności, nakazującej stosowanie formy „w Ukrainie”. Nie tylko ze względu na tradycję, na niechęć do arbitralnie wprowadzanych zmian językowych. Także dlatego, że ta druga forma sprzyja wymowie „wukrainie”, gdy pierwsza dzięki zbiegowi samogłosek zachowuje odrębność nazwy od przyimka. Ale i dlatego, że w języku ukraińskim też istnieje oboczność „W Ukrajini / Na ukrajini” (mała litera ma tu zaznaczyć, że „u” w zbiegu z „a” staje się niezgłoskotwórcze, bliskie polskiemu „ł”, choć z nim nie tożsame). Jest ona podyktowana względami fonetycznymi, zdarza się, że obie formy występują w tym

samym tekście, zwłaszcza poetyckim.

Przypisy objaśniające dodaję według tego, co wydało mi się potrzebne; w biograficznych pomijam osoby „z pierwszych stron gazet”. Wiem, że większość tych informacji można bez trudu znaleźć w Wikipedii (choć niekoniecznie polskiej), sam zresztą nie unikam tego źródła. Ale wiem też, że mało komu będzie się chciało poszukać. „Taki mamy klimat...”

Za ilustracje posłużyły tu zdjęcia, które wykonałem podczas licznych pobytów na Ukrainie (w jednym wypadku – przez mojego kolegę z osw), ze względów technicznych sprowadzone do formy monochromatycznej. Część ilustracji zaczerpnąłem z domeny publicznej, w kilku przypadkach posłużyłem się rysunkami mojej małżonki, Karoliny Stopy-Olszańskiej (przy tych ilustracjach podaję ich źródło).

*

Na koniec, dla jasności: nie jestem w żaden sposób spokrewniony z Tadeuszem Olszańskim, autorem licznych książek o Stanisławowie. Żaden z nas w żaden sposób nie odpowiada za sposób myślenia i pisania drugiego.

Warszawa, czerwiec 2019 r.

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE

KRÓTKI KURS HISTORII MAJDANU

Z SZEWCZENKĄ PRZEZ WIEKI I NA WIEKI

HOŁODOMOR – UKRAIŃSKA APOKALIPSA

OD CZARNOBYLSKIEGO OGNIĄ SPŁONEŁO WIELKIE IMPERIUM

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZASTOJU

UKRAINA OPUSZCZA (I BURZY) ZWIĄZEK SOWIECKI

OD SCHYŁKOWEGO SOWIETYZMU DO NARODOWEGO

POSTKOMUNIZMU

UKRAINA DWÓCH, A RACZEJ TRZECH JĘZYKÓW

UKRAIŃSKA DROGA DO HYMNU

SYMBOLE PAŃSTWA I NARODU

CZERWONO–CZARNE BARWY UKRAINY

IDZIE SICZOWE WOJSKO/ PODŚPIEUJĄC Z CICHA...

STULECIE UKRAIŃSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

CZYN LISTOPADOWY

HETMAŃSKIE PAŃSTWO UKRAIŃSKIE

UKRAINA ROKU 1919. CZAS ANARCHII, CZAS POGROMÓW

WYBORY SYMONA PETLURY

NIE CAŁKIEM SOJUSZNICZA KAMPANIA KIJOWSKA

I POWIEJE OGIEŃ NOWY OD CHŁODNEGO JARU

ROK (PIĘĆ LAT) REWOLUCJI GODNOŚCI

UKRAIŃSKI NACJONALIZM ROK PO MAJDANIE

UKRAINY KŁOPOTY Z TOŻSAMOŚCIĄ (I PROBLEM POLITYKI

HISTORYCZNEJ)

II WOJNA ŚWIATOWA ZASTĘPUJE WIELKĄ WOJNĘ OJCZYŹNIANĄ

CIERNISTA DROGA DO JEDNOŚCI UKRAIŃSKIEGO PRAWOSŁAWIA

„JAK SOBIE RADZIĆ Z UKRAINĄ?”

ŁÓDZKA ROZMOWA O POJEDNANIU NARODÓW

Przypisy

Krótki kurs historii Majdanu. Wprowadzenie w duchu cokolwiek sylwicznym, cokolwiek postmodernistycznym

Kijowski *Majdan Nezależnosti* to dobre miejsce do rozmyślenia nad losami Ukrainy w ostatnich dziesięcioleciach. A może i stuleciach. Chreszczatyk, przecinająca go ulica, dziś będąca jedną z komunikacyjnych osi miasta i jego symbolicznym centrum, dwa wieki temu był poza miastem. W górnej części obecnego placu biegły jego wały z bramą Peczerską, poniżej był zabagniony stawek zwany Kozim Błotem, gdzie jeszcze ok. 1843 r. mieszkający opodal Taras Szewczenko (i nie on jeden) polował na kaczki. Miasto było dalej, było wyżej. Z tego stawku wypływał strumień – nie w stronę Dniepru, lecz w dokładnie przeciwną stronę. Prawda i jego wody łączyły się z nurtem Sławutycza, króla ukraińskich rzek – ale daleko na południu, poniżej kijowskiej Ławry, gdzie nurt Łybydi zdołał przebić się przez naddnieprzańskie wzgórza. Ot, paradoks miasta położonego na wzgórzach, wśród wzgórz.

Wczesnośredniowieczny Kijów był nawet nie na górujących nad Chreszczatykiem wzgórzach, a na północ od nich, na Podole. Tam było właściwe miasto: port, magazyny, warsztaty. Rzemiosło i handel. Na Górach Kijowskich był gród: siedziba kniazia i drużyny, monumentalne pałace i cerkwie. Władza. Ale Kijów, metropolia wschodniej Europy, partner Nowogrodu Wielkiego, na najważniejszym szlaku handlowym regionu rósł jak na drożdżach. Już w XII w. wały miejskie sięgnęły skraju obecnego Majdanu, obejmując osiedle polskich kupców, zwane Lacką Słobodą. Od niej wzięła nazwę brama prowadząca na południe: ku klasztorowi w Peczersku (dzisiejszej Ławrze) i dalej, w step. Brama pechowa – to przez nią zimą 1240 r. wdarli się do miasta Mongołowie. Był to drugi cios zadany miastu: po najeździe Andrieja Bogolubskiego, kniazia włodzimierskiego w 1169 r., a przed najazdem chana krymskiego Mengli-gireja w roku 1482.

Ten ostatni zdruzgotał stary Kijów: górny gród opustoszał na przeszło stulecie, dopiero w XVII w. zaczął się odradzać. Okolica zwana Piaskami,

a może już Chreszczatą doliną (choć nazwa plac Chreszczatycki pojawi się dopiero w 1868 r.), po dawnemu pozostawała na uboczu. Dopiero pod koniec XVIII w. wkroczyła tu zabudowa, pojawił się trakt. W górną część ulicy – jeszcze później. Kiedy wysechł strumień, kiedy osuszono Kozie błoto – nie doszukałem się. Na pewno najpóźniej w latach sześćdziesiątych XIX w. Dzisiejszy Majdan stał się placem targowym. Nazwa ta nie miała jeszcze zaszczytnego znaczenia. Pozostała jedynie nazwa jednej z ulic, schodzących tu ze wzgórza – ulica Koziobłocka (później zaułek Chreszczatycki, dziś – zaułek Szewczenki), przy której ocalał dom, gdzie wieszcz Ukrainy mieszkał przez rok, dziś – jedno z jego kijowskich muzeów.

Chreszczatyk... Dziwna nazwa, niejasna. Według jednych dolina porośła barwinkiem (barwinek w ukraińskiej poezji zawsze jest *chreszczatyj*, czyli krzyżopodobny, rozłożysty), zdaniem innych – (droga) krzyżująca się, poprzeczna do innych traktów. Najciekawsze jednak, że prawdopodobnie przeniesiona tu sztucznie i późno. Bo brama Chreszczatycka starego Kijowa była zupełnie gdzie indziej: nad Dnieprem, w okolicach obecnego placu Pocztowego. Na północ odeń brzegiem rzeki wiedzie ulica Nabrzeżno–Chreszczatycka, niegdyś – Wielka Chreszczatycka. Te zaś nazwy tradycja jednoznacznie wiąże z chrztem Kijowa w 988 r. Byłaby to więc ulica Chrzielna.

Koło miejsca dawnej bramy w XVIII w. stał ponoć pomnik poświęcony temu wydarzeniu. Tyle że doprawdy trudno sobie wyobrazić masowe chrzty przez zanurzenie w nurtach potężnej, bystrej rzeki, w dodatku wezbranej, wzburzonej (chrztów, także zbiorowych, zazwyczaj dokonywano w okolicach Wielkanocy). Zbyt wielu nowochrzcieńców zabrałby Dniepr... Chyba bliższa prawdy jest inna tradycja, utrwalona w wierszu Liny Kostenko¹:

*Smutna się prawda przede mną otwarła:
Życie wysycha, jak rzeka Poczajna. (...)
I tylko wierzby stare wiedzieć będą:
to w niej Kijowian chrzczono, a nie w Dnieprze.*

Dolnej Poczajnej, rzeki, nad którą w owych czasach był główny port Kijowa, także już nie ma; może coś płynie kanałem pod szerokim deptakiem, rozdzielającym jezdnie marginalnej, bocznej uliczki.

Tak czy inaczej – ktokolwiek przeniósł tę nazwę z Podolu na nowe miejsce, bardzo późno zresztą, nie kojarzył jej ani z chrztem, ani z krzyżem. Dlaczego tak zrobił, raczej już się nie dowiemy.

Koniec XIX w. był dla Kijowa czasem boomu. Miasto tuczyło się na handlu cukrem i pszenicą z ukraińskich guberni Imperium, na sile złotego rubla i dywidendzie długiego pokoju. Wróciło też do utraconej w XV w. rangi i roli centrum południa Rusi/Rosji, było jednym z najważniejszych (trzecim, a może i drugim?) miastem Imperium. Miasto nie rosło – puchło. Stare obwałowania usunięto, bramę Peczerską rozebrano już w 1833 r. Chreszczatyk (w północnej, rosyjskiej wymowie – Krieszczatik) w ciągu kilkunastu lat z podmiejskiego traktu stał się centralną, reprezentacyjną arterią. Tak ważną, że w 1876 r. tu właśnie wzniesiono siedzibę władz samorządowych (dumy miejskiej). Gmach ten oddzielił targowisko od ulicy; kupców rychło usunięto, a urządzony elegancki plac nazwano Dumskim. W tym samym czasie południową (Peczerska) stronę zabudowano szczelnie; myśl o wytyczeniu tam placu nikomu nie przychodziła na myśl – te grunty były już bardzo drogie.

Niewielki, zamknięty plac Dumski był miejscem spacerów i spotkań; historia działa się na Chreszczatyku. To on był areną demonstracji, świadkiem rewolucji i wojen, to tam defilowały kolejne armie, zajmujące miasto w latach 1918–1920 (w tym polska). Bolszewicy w 1923 r. przemianowali go na ulicę Worowskiego² (na krótko, ledwie do 1937 r.), zaś plac Dumski – najpierw na Sowiecki, potem – Kalinina³. Przez kilka lat stał tu pokraczny pomnik Marksa, poza tym nic istotnego się nie zmieniło. Plac wciąż nie miał własnej indywidualności, opowieści.

Wszystko zmieniło się we wrześniu 1941 r. Wkrótce po zajęciu Kijowa przez Niemców ukryci w mieście dywersanci z NKWD odpalili założone zawczasu miny, przede wszystkim w piwnicach najlepszych chreszczatyckich kamienic i hoteli, zajętych przez Niemców. Pożarów nie było jak gasić – wodociągi zniszczono jeszcze przed oddaniem miasta. Zburzonych i spalonych zostało ponad trzysta budynków, przede wszystkim po peczerskiej (południowej) stronie Chreszczatyku i na przyległych do niej ulicach. Strona kijowska ucierpiała mniej, ale też dotkliwie – spłonął m.in. gmach Dumy. Zginęło trzystu Niemców i nieznaną, z pewnością znacznie większą liczbą kijowian (w pożarach i odwetowych egzekucjach).

Po wojnie nie odbudowano dawnej ulicy. Początkowo miało tu powstać

coś w rodzaju *forum Sovieticum*, plac z monumentalną, nieomal świątynną (w antycznym rozumieniu) zabudową i pomnikami o nadludzkiej skali. Z tej koncepcji rychło zrezygnowano, przekształcając jednak Chreszczatyk z typowej miejskiej ulicy w defiladową aleję. Budynki po stronie Peczerskiej doburzono do fundamentów, poszerzając ulicę ponaddwukrotnie. Po stronie Kijowskiej zniszczenia były mniejsze i część budynków (choć nie wszystkie) odbudowano; pozostał m.in. pochodzący z lat trzydziestych dom towarowy, niezły przykład sowieckiego modernizmu. Starą zabudowę placu Dumskiego rozebrano w całości.

Chreszczatyk zbudowano na nowo ze stalinowskim rozmachem, w stylu architektonicznym dla nas nieznośnym, zwanym przez jednych socrealistycznym (tak na marginesie – odnośnie kategorii realizmu socjalistycznego, dekretującego styl literatury i sztuk plastycznych – malarstwa i rzeźby – czy to do architektury, czy do muzyki jest nonsensem: w żadnej z nich kategoria realizmu nie ma zastosowania), przez innych także błędnie – sowieckim barokiem, przez innych trafniej – stalinowskim klasycyzmem czy *empirem*⁴; tę ostatnią nazwę uważam za najtrafniejszą. Ale zbudowano go w stylu. To była architektura, a nie, jak później, już tylko budownictwo typu „wczesny barak”⁵. I nie ma co ironizować: stalinowski *empire* był ostatnim stylem w europejskiej architekturze. Nowych już nie będzie: nie ma miejsca na styl między wszechwładzą normatywów budowlanych a przekonaniem o tym, że główną powinnością artysty jest niepowtarzalność.

To wtedy kijowscy urbaniści wytyczyli Majdan: rozległy plac po obu stronach Chreszczatyku, krzyżujący się z nim (więc *chreszczatyj* w znaczeniu „krzyżowy”, „poprzeczny”). Nowy plac zyskał imię Rewolucji Październikowej, a w 1977 r. został „ukoronowany” pomnikiem ku jej czci z kolosalną postacią Lenina (właściwy pomnik Lenina był nieco dalej, też przy Chreszczatyku). Nad nim z kolei dominował wzniesiony w latach 1954–1961 hotel budowany jako „Kijów”, ale oddany do użytku jako „Moskwa” (od 2001 r. „Ukraina”). Hotel niedokończony, kulawy architektonicznie. Miał być zwieńczony wieżą i innymi elementami wieżowców stalinowsko–empirowych (znamy takie z Moskwy), ale czas kultu jednostki minął, a Chruszczow nakazywał cięcia i oszczędności. Jeszcze na początku XXI w. rozważano potrzebę realizacji pierwotnego projektu; nie jest to najgorszy pomysł.

U podnóża pomnika urządzono kaskady płaskich fontann–nawilżaczy powietrza, w których, podobnie jak w innych kijowskich fontannach, brodziły i dzieci, i dorośli. Po drugiej stronie powstała wielka pętla trolejbusowa, związana z przesiadkową stacją metra: nowy wymiar centralności placu. Architektura kijowskiej strony placu była skromniejsza i wysokiej próby; popsuł ją w 1975 r. ostatni wzniesiony tu budynek – siedziba związków zawodowych. Ten bezstylowy, nieładny biurowiec spłonął w lutym 2014 r. podczas walk na Majdanie; został odbudowany dopiero w 2019 r.; wbrew zapowiedziom nie stał się siedzibą muzeum Niebiańskiej Sotni.

Pod koniec lat osiemdziesiątych plac, ulubione miejsce spacerów i spotkań kijowian, stał się widownią pierwszych protestów. W drugą rocznicę katastrofy czarnobylskiej manifestowało tu kilkuset członków i sympatyków Ukraińskiego Klubu Kulturologicznego. Milicja aresztowała aktywistów. Ale gdy kilka miesięcy później młodzi „kulturołodzi” manifestowali tu w obronie Andrijiwskiego Uzwozu (Spusku), nikt ich już nie niepokoił. I wygrali. A chodziło o projekt rozbudowy fabryki tekstylnej na Podole, która zakłóciłaby panoramę tej „magicznej” (dziś powiedzielibyśmy – kultowej) uliczki. Ostatecznie budynek obniżono. Wydarzenie to umknęło kronikarzom – przypadkowo byłem jego świadkiem.



Kijów 5 lub 6 lipca 1988 r., pikietą w obronie panoramy Andrijiwskiego Uzwozu. Na zdjęciu po lewej na jednym z plakatów kot Behemot z *Mistrzem i Małgorzatą* pod pachą.



Kijów 5 lub 6 lipca 1988 r., pikietą w obronie panoramy Andrijiwskiego Uzwozu. Zbieranie podpisów pod petycją: uczestnicy protestu i ciekawscy.

Jesienią 1988 r. pod hasłami ekologicznymi manifestowało w Kijowie (w innym miejscu) już 40 tys. osób, a plac Rewolucji Październikowej był uznanym i tolerowanym miejscem publicznych dyskusji, pikiet protestacyjnych, kolportażu półlegalnej literatury i gadżetów.

Historia przyspieszała. W sierpniu 1989 r. zawalił się gigantyczny portyk – fasada Poczty Głównej na rogu Majdanu i Chreszczatyku. Pod gruzami zginęło 11 osób. Dla wielu był to znak: w Polsce rządził już Mazowiecki, wiosenne wybory do Rady Najwyższej ZSRS po raz pierwszy były wyborami (dopuszczały konkurencję osób i ugrupowań), rodził się Ludowy Ruch Ukrainy, jeszcze z dodatkiem „na rzecz pieriestrojki” (jego konstytucyjny zjazd odbył się niecały miesiąc później, na początku września). Odsłonięta „wewnętrzna” fasada budynku okazała dyskretny urok. To także miało wymiar symbolu. Po kilkunastu latach portyk odbudowano.



Kijów, pierwsze dni lipca 1991 r. Gmach Poczty Głównej po usunięciu ruin portyku, teren jeszcze odgradzony płotem.

W październiku 1990 r. u stóp pomnika Rewolucji rozłożyła się rewolucja na granicę, studencki protest (część jego uczestników prowadziła strajk głodowy), pierwsze kijowskie namiotowe miasteczko. Nazwa protestu, dziś oficjalna, pochodzi stąd, że namioty rozbito, a łóżka polowe rozstawiono na granitowych płytach u podnóża pomnika rewolucji październikowej. Głównym żądaniem protestujących była niepodległość Ukrainy, oficjalnie ujętym jeszcze jako odstąpienie od rokowań nad nowym traktatem związkowym. Studentów było kilkuset, ale wspierające ich manifestacje na Chreszczatyku sięgały 100 tys. ludzi, niemal wyłącznie kijowian. Wymusili dymisję premiera, przyspieszyli dojrzewanie myśli o niepodległości wśród kijowskich elit, tak nomenklaturowych, jak i dysydenckich. I sami dojrzeli – spora grupa późniejszych polityków i intelektualistów tu zaczęła swoją drogę.

Gdy rok później niepodległość Ukrainy stała się faktem, pomnik zasłonięto gigantycznym billboardem, a po paru latach całkowicie rozebrano. Przez dłuższy czas reklamowała się tu, działająca do dziś, ukraińsko–izraelska kancelaria adwokacka BIM, pionier nowoczesnych usług prawnych na Ukrainie. Nikt wówczas nie domyślał się, kim stanie się dla kraju jej szef, Wiktor Medwedczuk⁶. Sam plac już w sierpniu 1991 r. przemianowano na Majdan Niepodległości, idąc za głosem „granitowych” studentów, którzy pierwsi rzucili tę nazwę. Wreszcie był to Majdan, a nie zwykły plac (*plaszcz*, ros. *plaszczad'*)⁷. Obok spacerowiczów i dyskutantów pojawili się niespotykani przedtem żebracy i stare wieśniaczki, handlujące czym się da.

W 2001 r. stanęła tu kolumna ku czci niepodległości Ukrainy, utrzymana w stylu, który można określić mianem neoempirycznym, niezłe harmonizująca z otaczającą architekturą. Wieńczący ją pomnik niewiasty z wieńcem niebezzasadnie porównywano do podobnej figury wieńczącej pawilon rolnictwa na kijowskiej Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej Ukrainy, pochodzący z 1958 r. Podstawę kolumny ukształtowano w coś w rodzaju kapliczki (posłużyła potem jako miejsce „ludowej” inauguracji prezydentury Juszczenki), za jej plecami stanęła jednak „nowoczesna” amfiteatralna szklana ściana–lustro, zamykająca Majdan i odcinająca go od hotelu (wówczas jeszcze) „Moskwa”.

W tym samym czasie pod całym placem, po obu stronach Chreszczatyku wydrążono centra handlowe ze szklanymi kopułami, wychodzącymi nad powierzchnię ziemi, kubek w kubek skopiowanymi ze

współczesnej Moskwy. Tylko wspomniany szklany amfiteatr, będący ich częścią, wydaje się kijowską innowacją. Pod ich budowę bezpowrotnie zniszczono relikty umocnień wczesnośredniowiecznego Kijowa, w tym bramy Lackiej. Wykopy prowadzono bez badań archeologicznych, średniowieczne cegły i ludzkie czaszki robotnicy sprzedawali na ulicy. „W zamian” postawiono (w niewłaściwym miejscu) makietę osiemnastowiecznej furty fortecznej, którą teraz nazwano Bramą Lacką⁸. Przy okazji okrojono węzeł przesiadkowy, pogarszając (nie)wydolność komunikacji miejskiej. Ale te centra przydały się nieoczekiwanie nie tylko jako „świątynie konsumpcji”: tak w 2004, jak i 2014 r. stanowiły bezcenne zaplecze protestujących na Majdanie. Bramę „pseudo-Lacką” zwieńczono pompatyczną, zbyt ciężką figurą archanioła Michała (poprzednią, z lat dziewięćdziesiątych, skromną i pełną wyrazu, władze miasta ofiarowały Donieckowi). Pogłębiła ona chaos architektoniczny kijowskiej strony Majdanu. Po peczerskiej stronie powstał pomnik mitycznych założycieli Kijowa, ekspresyjny, chaotyczny, doskonale znany z licznych zdjęć z okresu rewolucji godności 2014 r. Potem dołączył doń pomnik Kozaka Mamaja, jednego z bohaterów ukraińskiego imaginarium narodowego⁹, już nowoczesny w dotykalności: można pogłodzić kozaka po ręce czy nosku, próbować wdrapać się na konia... Można, nikt nie oponuje.



Majdan z okna hotelu „Ukraina”, maj 2017, wczesny ranek (dlatego tak mały ruch na Chreszczatyku). W centrum Kolumna Niepodległości, przed nią – kopuła podziemnego centrum (szklany „amfiteatr” jest bliżej, poza kadrem), biały prostokąt po lewej to „stela poległych”, wyżej Poczta Główna z odbudowanym portykiem, jeszcze wyżej – kopuły Soboru Sofijskiego. Na prawo od kolumny na najdalszym planie dzwonnica soboru Michaiłowskiego, niżej brama pseudo-Lacka, na prawo od niej wylot Zaułka Szewczenkowskiego i okryty banerem wypalony gmach Domu Związków (hasło głosi: „Wolność to nasza religia”). Niżej fontanna-pomnik założycieli Kijowa (słabo wyróżnialna, bo jeszcze nie włączono wody) oraz wylot ulicy Instytuckiej (obecnie Niebiańskiej Sotni) i fragment przerzuconej nad nią kładki.

Majdan pozostał *hyde parkiem* i kiermaszem „książki nieoficjalnej i zakazanej”, powoli jednak tracił na znaczeniu, zwłaszcza że zakres „nieoficjalnego i zakazanego” się kurczył, a popyt na patriotyczne pamiątki i gadżety rósł. Wraz z Chreszczatykiem, zamykanym w weekendy dla ruchu, ogniskował kampanie wyborcze, był miejscem koncertów i corocznych Świąt Miasta, istnych festiwali piwa. Uliczne puby na początku XXI w. dzieliło od siebie zazwyczaj kilkadziesiąt metrów; podczas Dni Miasta tworzyły one nieprzerwane alejki wzdłuż ulicy. To także było nowością okresu postkomunistycznego, elementem przejmowania wzorców świata zachodniego. Po rewolucji godności liczba

ogródków piwnych radykalnie spadła, dziś muszą być one powiązane ze „stacjonarnymi” restauracjami.

Jesienią 2000 r. znów pojawili się tu manifestanci, a w lutym 2001 r. namiotowe miasteczko, nawiązujące do wzorów „rewolucji na granicie”. Był to element akcji „Ukraina bez Kuczmy”, sprowokowanej zamordowaniem Heorhija Gongadze¹⁰ i oskarżeniem prezydenta Kuczmy o inspirowanie tej zbrodni. Nieliczne, rozbijane przez milicję pikiety i masowe, tolerowane demonstracje hartowały kadry przyszłej rewolucji, a odwołując się do wzorca z 1990 r. – utrwały go.

Ciekawe, że manifestacje i protesty na Majdanie nigdy nie kończyły się aktami przemocy ze strony ich uczestników. W innych miejscach Kijowa dwukrotnie doszło do zamieszek wywołanych przez manifestantów. Po raz pierwszy w lipcu 1995 r., gdy podczas pogrzebu patriarchy Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego Wołodymyra¹¹ bojówka UNA–UNSO (radykalnych nacjonalistów) zaatakowała milicję, ta zaś odpowiedziała nie tylko biciem, ale też darcie i deptaniem ukraińskich flag narodowych. Władze nie zezwoliły bowiem na pogrzebanie patriarchy w obejściu soboru Sofijskiego, najważniejszej świątyni Ukrainy, która wciąż należy do państwa jako obiekt muzealny. Mimo zakazu kondukt ruszył na Majdan Sofijski, gdzie UNSO–wcy przełamali kordon milicji, a następnie pogrzebali patriarchę w wykutym łomami grobie na chodniku przed dzwonnicy soboru. Nikt nie ośmielił się go naruszyć; kilka lat później na grobie powstał sarkofag, a przebudowa placu odsunęła odeń ruch uliczny.

Drugie takie zdarzenie miało miejsce w marcu 2001 r., gdy rocznicy urodzin Tarasa Szewczenki towarzyszyła wielka antykuczowska demonstracja, UNSO–wcy zaatakowali milicję, ta zaś odpowiedziała tak brutalnie, że organizatorzy protestów wygasili je. To doświadczenie, umacniające lęk zarówno ówczesnych elit, jak i społeczeństwa przed rozlewem krwi, walenie przyczyniło się do pokojowego przebiegu pomarańczowej rewolucji trzy lata później.

W grudniu 2003 r. nieopodal Majdanu stanęła figurka filmowego Golluma, zapewne element kampanii marketingowej filmowego *Władcy pierścieni*. Ten niezamierzony pomnik kultury masowej, jej wpływu na przemiany społeczne i polityczne na Ukrainie i w innych krajach postsowieckich przetrwał rok i w dniach pomarańczowej rewolucji został uhonorowany pomarańczowym szalikiem. Po symbolikę, zaczerpniętą

z powieści Tolkiena i filmu Jacksona, niejednokrotnie sięgano w ukraińskich kampaniach politycznych¹². Zaraz potem Chreszczatyk stał się sceną kampanii prezydenckiej, najzaciętszej z dotychczasowych.

W listopadzie 2004 r. Majdan miał się stać miejscem ograniczonego, kilkunastotysięcznego protestu przeciw sfałszowaniu wyników prezydenckich, jeśli tylko ogłoszone zostanie zwycięstwo Janukowycza. Tak zakładano w sztabie Juszczenki. Ale już pierwszego dnia na Majdan i Chreszczatyk wyszli ci, na których nie liczono: zwykli kijowianie, urzędnicy państwowi i gospodynie domowe. Zaraz potem obóz protestujących zajął Chreszczatyk i kilka gmachów publicznych, skupił setki tysięcy ludzi z całego kraju, instynktownie, nieświadomie stał się nową Siczą: zbrojnym (choć nieuzbrojonym i nieskłonny do przemocy) obozem obrońców Ojczyzny. I choć nie wprost, ta Sicz Kijowska wyniosła do władzy swego hetmana, który – zgodnie z prawem ustanowionym przez poprzedniego prezydenta – otrzymał kozackie insygnia: buławę i pieczęć.

Majdan, pisany wielką literą, stał się synonimem tej pomarańczowej rewolucji: zaczęto mówić i pisać o „duchu”, „ideach”, a nawet „woli” Majdanu, jedno z haseł kampanii wyborczej 2006 r. brzmiało: „nie zdradź Majdanu” i tak dalej, i temu podobne.

Pomarańczowa rewolucja była nie tyle przełomem, ile ukoronowaniem długiego, skomplikowanego procesu przemian społecznych. A raczej – pewnego ich etapu. Zarazem otwarciem nowego. Ukraińcy (przynajmniej w znacznej większości) nie są już dziś „ludźmi sowieckimi”, wciąż jednak nie stali się w pełni społeczeństwem obywatelskim (przez które rozumiem wspólnotę wspólnot obywateli poczuwających się do dobra wspólnego, a nie ogół tzw. organizacji pozarządowych). Z trudem uczą się, cóż to jest takiego owo „dobro wspólne”, którego nie może zagwarantować władza polityczna. Jednak społeczeństwo stało się już odrębne od państwa, a „szara strefa” życia społecznego, która rozwinęło się równoległe z „szarą” gospodarką, zaczyna się ujawniać i nie wydaje się, by ten proces dało się zahamować.

Majdan był jednym ze świadectw tej przemiany. Nie tylko dlatego, że protest o tych rozmiarach nie byłby możliwy bez czynnego wsparcia prywatnych przedsiębiorców, a jego przygotowanie – bez rozwoju internetu. Także dlatego, że twórcy Majdanu – nie sztab Juszczenki, planujący protesty, ale lud, który wyszedł na ulicę – sięgając nie po

formę pikiety czy pochodu, z natury doraźnych, ale wielodniowego, „obozowego” protestu, odwołał się nieświadomie do narodowego archetypu siczy, zbrojnego obozu wolnych Ukraińców. Jednocześnie ten obóz żył nieustannym koncertem rockowym (wcześniej takie koncerty uczyły organizacji wieców i zachowania na nich), a znakomitej organizacji sprzyjała telefonia komórkowa i „technologia” *flesh-mobu*, wymyślona jako zabawa młodzieży. Zaś wcześniejsza kampania Juszczenki, operująca współczesnymi technologiami marketingowymi, nie byłaby tak skuteczna, gdyby nie oswojenie społeczności miast z nowoczesną reklamą.

Majdan był też przemianą sam w sobie. Ściągano tu z całej Ukrainy; przybywali tu zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy Juszczenki. Nie dochodziło między nimi do konfliktów, uczyli się demokracji jako sztuki upierania się przy własnych racjach bez nienawiści. Nie wiemy, ilu z nich po raz pierwszy zobaczyło wówczas stolicę własnego kraju – ale z pewnością bardzo wielu. I był to już dla nich „bardziej własny” kraj. Na Majdanie oprócz kijowian i Haliczan¹³, liczni byli mieszkańcy centralnej Ukrainy, dotychczas „wielkiego niemowy”, najbardziej zaniedbanej, najbardziej pokrzywdzonej podczas transformacji części kraju. Dwa lata później to ich głosy zapewniły sukces wyborczy Julii Tymoszenko.

A sam Majdan Niepodległości jest nadal miejscem spotkań, koncertów i protestów, zwyczajnym centralnym placem wielkiego miasta. Coraz podobniejszym (jeśli nie brać pod uwagę architektury) do placów innych europejskich miast.

*

W tym miejscu postawiłem kropkę latem 2006 r. Trzydzieści lat temu. Przez te lata zmieniło się bardzo wiele (najmniej – w fizycznym krajobrazie Majdanu), mnie samemu też nieraz zdarzało się na Majdanie siadywać i snuć rozważania, przy piwie lub bez niego.

Majdan 2004 r. nie chciał się rozejść. By go zadowolić, Juszczenko złożył pierwszą, nieoficjalną przysięgę prezydencką spod Kolumny Niepodległości, by dopiero stamtąd udać się do parlamentu i złożyć legalną już przysięgę. Mimo to część najradykałniejszych pomarańczowych rewolucjonistów pozostała pod namiotami do powierzenia formowania rządu Julii Tymoszenko (Juszczenko widział na

tym stanowisku Petra Poroszenkę). Potem rozeszli się do domów... Ale gdy latem 2006 r. powstawała koalicja parlamentarna wokół Partii Regionów (głównego oponenta „pomarańczowej” Naszej Ukrainy), doszło do ponownych, choć efemerycznych protestów. Ich organizatorzy już świadomie nawiązali do wzorców zaporoskich, określając się jako Sicz Obywatelska (*Hromadianska Sicz*).

Gdy w 2011 r. Julia Tymoszenko została aresztowana, a potem skazana, na Chreszczatyk wróciło namiotowe miasteczko. Ale nie na Majdan – nieco niżej, pod gmach sądu. Początkowo milicja usiłowała przeszkadzać, potem dała spokój. Zajmujące chodnik namioty przetrwały do grudnia 2014 r. i zostały „zagarnięte” przez rewolucję godności.

Wcześniej jeszcze, jesienią 2010 r., protestowali tu drobni przedsiębiorcy, zagrożeni zmianami w prawie podatkowym. Tym razem jednak Majdan Podatkowy był nazwą akcji podjętej w wielu miejscowościach. Przedsiębiorcy wymogli weto prezydenta wobec najgroźniejszych dla nich przepisów, ale gdy przywódcy opozycji politycznej spróbowali przejąć kontrolę nad protestem – zwinęli go. Nie ufali politykom. Z podobnych powodów protest przeciw ustawie językowej (w 2012 r.) był anemiczny (bo bardzo upolityczniony). Była to jakby drzemka, nabieranie sił przed nowym stanowczym protestem. Bo Janukowycza cała Ukraina miała serdecznie dosyć, choć z innych powodów Kijów, z innych obwody zachodnie, z jeszcze innych – Donbas.

Na stoku górującym nad Instytucką stoi drewniany krzyż; dziś nieco gubiący się wśród znaków pamięci o Niebiańskiej Sotni, wcześniej – dominujący znak pamięci o ofiarach NKWD, pomordowanych w pobliskim Pałacu Październikowym (niegdyś Instytucie Szlachetnych Panien). W 2012 r. ścięła go piłą łańcuchową jedna z femenin (tak pozwoliłem sobie nazwać członkinie performerskiej grupy Femen, głośnej wówczas z akcji protestacyjnych topless, tyleż feministycznych, co patriotycznych), zresztą w samych szorcikach, w bezmyślnym „geście solidarności” z rosyjskimi happenerkami z grupy Pussy Riot¹⁴. Krzyż szybko odtworzono. Widziałem ludzi modlących się pod nim – prywatnie, indywidualnie, a zarazem na oczach całego miasta. Ale to właśnie młodzi liberałowie w szerokim rozumieniu, także ci kibicujący femeninom, byli pierwszymi, gdy jesienią 2013 r. wybiła wielka godzina Majdanu. Janukowycz, odmawiając podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE, sprowokował przede wszystkim ich: młodą

inteligencję, pracowników firm IT, studentów. Sprowokował także tym, że nakazał ogłosić tę decyzję premierowi Azarowowi¹⁵, powszechnie uważanemu za głupca i żalostnego dziadygę (Janukowycz budził wrogość, gniew, ale nie politowanie). Dopiero po bezmyślnej pacyfikacji wygasającego już protestu powstało całe miasto, niemal cały kraj. A na nowym Majdanie stanęli ludzie najróżniejszych postaw i poglądów, także ci, którym z Unią nie było po drodze, także ci, którzy przede wszystkim chcieli „j**ać milicję”, że strawestują polskie hasło. Już nie chodziło o Unię, a o głowę Janukowycza.

Tym razem na Majdanie powstało nie namiotowe miasteczko, ale prawdziwa sicz: twierdza, chroniona barykadami, mająca liczną i sprawną załogę. Zagarnęła Chreszczatyk i przyległe ulice, kilka gmachów publicznych (w tym wspomniany Pałac Październikowy oraz merostwo). Miała znakomite kwatermistrzostwo, służbę medyczną i psychologiczną, kapelanów różnych wyznań. Była dziełem nowego już pokolenia, „dzieci niepodległości”. Ludzi, którzy nie pamiętali Związku Sowieckiego, których ojczyzną była od zawsze Ukraina i tylko Ukraina.

Ale także: ludzi, którzy przestali bać się przemocy. Majdan był gotów odpowiadać przemocą na przemoc. Nie był protestem. Był powstaniem. Nieoczekiwanie ujawnił się potencjał samorzutnych, apañstwowych form szkolenia obronnego: bractw rycerskich, grup rekonstruktorskich, *ultras* z ich ustawkami (*ultras* to radykalni kibice piłki nożnej, w Polsce zazwyczaj zwani kibolami. Ukraiński termin nie ma odcienia pejoratywnego). Przydali się też liczni niedawno zdemobilizowani żołnierze i milicjanci oraz wiedza organizacyjno-wojskowa niemłodych już weteranów z Afganistanu.

Jednak i tym razem Majdan Niepodległości był niemal do końca wolny od przemocy. Po nieudanej próbie z początku grudnia siły rządowe zostawiły Majdan w spokoju: do starć i incydentów dochodziło gdzie indziej. To na Hruszewskiego, kilkaset metrów dalej, po raz pierwszy połała się krew i tam rozpalono pierwszą barykadę z opon, jeden z symboli rewolucji godności. Sicz Majdańska była zapleczem: tu odpoczywano, krzepiono się i opatrywano rany, stąd wyruszano do walki. Jak z „pierwotnej” Siczy, która też była obozem, bazą, a nie polem bitwy.

Dopiero ostatni akt powstania spowił Majdan ogniem i dymem. Gdy po niepowodzeniu marszu na parlament Samoobrona Majdanu rozproszyła się w mieście, Berkut (ukraiński odpowiednik ZOMO) uderzył i o mały włos

nie opanował całego placu. Następnego dnia była masakra na Instytuckiej, pieczętująca koniec Janukowycza. Kilka tygodni później zaczęła się wojna, której końca nie widać.

Także tym razem część ludzi Majdanu nie chciała rozejść się do domów. Ale nie byli to ci najbardziej radykalni, zdeterminowani – ci poszli na front. Raczej ci wytrąceni z kolein normalnej egzystencji, którzy po trzech miesiącach innego życia już sobie nie wyobrażali. Także bezdomni, dla których Sicz Majdańska stała się przytuliskiem i miejscem odrodzenia życiowego. Ale też hochsztaplerzy, którzy chcieli odcinać kupony od chwały rewolucji godności, m.in. handlując „rewolucyjnymi” gadżetami i opowiadając turystom cuda–niewidy o ówczesnych wydarzeniach.

Ale Chreszczatyk nie przestał być kluczową arterią miasta, kijowska strona Majdanu – ważnym węzłem przesiadkowym. Wybrany w maju nowy mer Kijowa (Witalij Kliczko¹⁶, jedna z twarzy rewolucji godności) musiał uciec się do groźby użycia siły, ale problem rozwiązał: namioty znikły, na nowo położono bruk, przywrócono ruch uliczny. A w sierpniu 2015 r. mogła przejść Chreszczatykiem defilada wojskowa.

Majdan znów jest miejscem spotkań, festynów i koncertów, publiczno–prywatnego świętowania. Ale u ujścia Instytuckiej śmiech cichnie: dolną część ulicy wypełnia unikalny zespół pomnikowy, upamiętniający członków Niebiańskiej Sotni. Powstał bez planu, chaotycznie, część upamiętnień ma charakter prywatny, część – półoficjalny. Nie ma jednego pomnika: cała ulica jest pomnikiem.

W pobliżu jednego z wyjść z metra stanęła prosta, biała stela, zatytułowana *Every God-given Day/ Każdy Boży dzień*: aktualizowane codziennie kalendarium, podające liczbę zabitych i rannych w Donbasie. Na jej podeście często leżą świeże kwiaty. Nie sposób go nie zauważyć, choć wokół dominują przysłowiowe „baloniki na druciku”. Przypomina o wojnie, ale też o tym, że nie wszystko w życiu jest codzienną krzątaniną lub zabawą.

Pierwsza część tego tekstu oparta jest na początkowym rozdziale eseju *Droga do Majdanu. Uwagi o pewnych aspektach przemian społecznych na Ukrainie*, zamieszczonego w książce *Warszawski Ośrodek Studiów Wschodnich: Okręt Koszykowa*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2007. Część drugą napisałem do tego zbioru.

Z Szewczenką przez wieki i na wieki

W hallu kaniowskiego muzeum Tarasa Szewczenki leży potężny głaz; na nim zmięte czerwone płótno – kitajka, jaką niegdyś przykrywano ciała poległych Kozaków¹⁷. Chyba dla każdego chrześcijanina skojarzenie jest oczywiste – Zmartwychwstał. Tym bardziej, że na stropie mamy ekran: ukraińskie niebo, po którym przesuwiają się rękopisy Kobzarza, Wieszcza Ukrainy. Człowieka, o którym także dziś mówi się na Ukrainie bez najmniejszego przymrużenia oka: „nasze Wszystko”.

Pod koniec życia Szewczenko chciał osiąść pod Kaniowem, zbudować chatę, ożenić się. Nie zdążył. Więc pochowano go na Mniszej (a odtąd Tarasowej) Górze na południe od miasteczka. Tak jak chciał:

*Na wysokiej górze,
Pośród stepu szerokiego,
W Ukrainie lubej,
Skąd by łany rozłożyte
I Dniepr, i obrywy
Było widać, słychać było
Jak potężny ryczy¹⁸*

W 1861 r. rzeczywiście rozpościerał się stąd wspaniały widok – dziś przesłaniają go nasadzone później drzewa; najlepiej widać tamę, która przegrodziła Dniepr powyżej Kaniowa. Tak jak wiele słów, powiedzianych i napisanych później, przesłania nam Poetę w jego bogactwie i niejednoznaczności.

Życie w niewoli (i trochę na wolności)

Taras Hryhorowycz Szewczenko urodził się 9 marca 1814 r. nieopodal Kaniowa, w Moryńcach. Od urodzenia był niewolnikiem. Własnością Wasilija Engelhardta¹⁹, senatora Imperium Rosyjskiego, właściciela 50 tys. „dusz chłopskich”. Gdy ten zmarł w 1929 r., piętnastoletniego Szewczenkę odziedziczył wraz z rozległymi dobrami na Ukrainie jeden z jego synów, Paweł. Ten zaś zaliczył młodzieńca do „kozaczków” czy też

paziów, niewolnej służby domowej.

Celowo używam tu mocnych słów. *Kripectwo* (ros. *kriepostnicziestwo*) na Ukrainie XIX w. to nie była poddańcza pańszczyzna, jak na ówczesnych ziemiach polskich czy nawet w centralnej Rosji. To było niewolnictwo, dość podobne do tego z południowych stanów USA (oprócz, rzecz jasna, różnicy rasowej). Nie było, jak „klasyczne” poddaństwo, przeżytkiem feudalizmu, ale formą gospodarki kapitalistycznej. I było tym dotkliwsze, że wprowadzone niedawno, w ostatnich latach XVIII w., że znaczna część ukraińskich chłopów przez półtora stulecia (od powstania Chmielnickiego) cieszyła się osobistą wolnością, a jej pamięć wciąż była żywa, a także – że na Lewobrzeżu liczni byli osobiście wolni chłopci państwowi, często dawni Kozacy. Dziad Tarasa Szewczenki był świadkiem, a może i uczestnikiem Koliwaczyzny; *zakripaczony* (zniewolony) został jakieś dwadzieścia lat przed narodzinami wnuka.



Lato 2016 r. Chata diaka w Kyriliwce, w której Szewczenko pobierał pierwsze nauki czytania, pisania i rysunku. Jedyny autentyczny budynek, związany z dzieciństwem Szewczenki (wszystkie pozostałe są bądź powojennymi rekonstrukcjami, bądź pochodzą z innych miejscowości). Chatę dla lepszej

ochrony przykryto pawilonem.

Paweł Engelhardt był oficerem stacjonującego w Warszawie pułku ułanów lejbgwardii. Gdy po załatwieniu spraw spadkowych zmierzał tam, wobec wybuchu powstania w Warszawie pozostawił swój dwór w Wilnie. Wrażliwy i drażliwy Szewczenko na pazia się nie nadawał, ale dostrzeżono jego zdolności malarskie i zaczęto je wykorzystywać. Gdy zaś w 1832 r. Engelhardt osiadł w Petersburgu, jego niewolnik stał się znany tamtejszej socjecie, liberalnej, chętnie litującej się nad „Jankami Muzykantami”, a także romantycznej, zafascynowanej ludowością, chłopskością.

Wreszcie trafił do Karła Briullowa²⁰, najwybitniejszego malarza rosyjskiego tych czasów. Ten dojrzał w Szewczence talent ogromnej miary, zechciał go uczyć, a także wyzwolić. Engelhardt zażądał 2500 rubli, sumy bajońskiej. By ją zdobyć, Briullow stworzył jedno z najlepszych swych dzieł, portret Wasilija Żukowskiego²¹. W maju 1838 r. Szewczenko oficjalnie stał się wolnym poddanym Imperatora Wszechrosji. Miał dwadzieścia cztery lata.

Następuje okres gorączkowej aktywności: Szewczenko tworzy obrazy i wiersze, podróżuje po Ukrainie... Spieszy się, jakby czuł, że dni wolności szybko miną. I rzeczywiście – już po dziewięciu latach zostaje aresztowany za udział w demokratycznym (więc wywrotowym) Bractwie Cyryło–Metodiańskim. Ale w tym momencie jest już autorem wierszy i poematów, które raz na zawsze umeblują wyobraźnię Ukraińców, zbudują ich jako naród.

Aresztowanie, uwięzienie nie zawsze jest niewolą. Ale Szewczenko nie został skazany przez sąd, ale ukarany osobistym rozkazem panującego. Prawda, jak na owe czasy kara była niezbyt dotkliwa – długoletnia służba wojskowa z prawem wysługi (tj. awansu na oficera). Ale bolesna także przez charakter osobistej zemsty: Szewczenko w jednym z wierszy obraźliwie wyraził się o małżonce Mikołaja I, ten więc ukarał go znacznie surowiej niż pozostałych członków Bractwa. I przez to, że znów była właśnie niewolą, choćby pozostawiała wiele codziennej swobody (a pozostawiała). Dopiero w 1857 r. Aleksander II zwalnia Szewczenkę z wojska. Poeta ma przed sobą tylko cztery lata życia.

Szewczenko nigdy nie przebaczył „panom”, że był własnością, rzeczą. Nie zmieniła tego serdeczność i podziw, jakich doznał od niektórych

ziemian z Ukrainy. Jako ludzi mógł ich nawet lubić – jako grupy nienawidził. Choć gdy po powrocie z zesłania spotkał w Petersburgu Wasyla Engelhardta, skwitował to w dzienniku słowami: „Tak wiele poruszyło w mej duszy spotkanie z synem mojego dawnego właściciela. Przeszłości – zapomnienie. Współczesnemu – pokój i miłość”. Nie polubił go, zapewne; nic nie wiadomo, by kontynuowali znajomość. Ale go nie odrzucił. Jednak wołanie o karę dla właścicieli „dusz chłopskich” przewija się przez całą jego twórczość. Nigdy nie pogodził się z tym, że był czyjąś własnością, że jeden człowiek może być własnością drugiego.

Ciężko chory, pisał jeszcze ukraiński elementarz, ale w wierszach żegnał się już z doczesnością. Zmarł 10 marca 1861 r., tuż po czterdziestych siódmych urodzinach, pięć dni po ogłoszeniu dekretu Aleksandra II znoszącego niewolnictwo chłopów, ale jednocześnie przypisujących ich do wspólnot wiejskich, wprowadzając je także (po raz pierwszy) na Ukrainie. Nie była to ta wolność, jakiej oczekiwał...

Zmarłego pochowano zrazu w Petersburgu. Po kilku miesiącach udało się uzyskać zgodę władz (była to decyzja polityczna, nie administracyjna) i trumnę wyprawiono na Ukrainę. Pociągami do Kijowa, dalej, do Kaniowa – parostatkiem. 22 maja spoczął tam, gdzie chciał spędzić resztę życia.

Malarz niespełniony

Briullow się nie mylił. Szewczenko miał zadatki na malarza wielkiego, większego niż on sam. Może większego malarza niż poetę. Jedyne jego duże obrazy olejne *Kateryna* uderza powagą symboliki i wspaniałością kolorystyki (rzadko należycie oddanej w reprodukcjach). I choć widać tu wpływ estetyki Briullowa, to ten portret brzemiennej wieśniaczki, odtrąconej przez uwodziciela (rosyjskiego ułana) i wracającej w niesławie do rodzinnej wsi, to wprost antypody Briullowowskiego arystokratycznego akademizmu. Jest pełen gniewu, stawia widzowi pytania... Stanowi zresztą ilustrację do poematu Szewczenki o tym samym tytule, napisanego trzy lata wcześniej. Ilustracją? Nie. Raczej „okładkową” syntezą. Trudny, niepokojący obraz.

Później Szewczenko malował głównie niewielkie akwarele: pejzaże, architekturę... Karty z notatnika, szkice przyszłych obrazów. Wykonywał też miedzioryty. Czasem – niewielkie oleje. I portrety, akwarelowe

i olejne, ciekawe, choć nie wybitne. Wszystkie wierne, czyste kolorystycznie... Wciąż zapowiedzi, szkice, ćwiczenia ręki i oka.

Na wygnaniu nie wolno mu było rysować. Dopiero gdy wszedł (wciąż jako żołnierz–niewolnik) w skład ekspedycji kartograficznych, opisujących wybrzeża Morza Aralskiego, mógł wrócić do rzemiosła. Ówczesne akwarele (nadal tylko szkice na kartkach z bloku) uderzają rozmytym, intensywnym kolorytem. Jest w nich zapowiedź czy raczej przecucie impresjonizmu, jest to widzenie świata, które – już świadome i dojrzałe – widzimy na płótnach jego francuskich mistrzów, a wcześniej na późnych pracach Turnera, także przeczuwających impresjonizm²², Szewczenko nieznanym. Gdyby na podstawie tych szkiców powstały pełnowymiarowe obrazy, świat padłby na kolana.

Wracając z wygnania, nie miał nadziei na powrót do malarstwa. Już wcześniej zapisał w dzienniku: „nie mam teraz nawet co myśleć o malarstwie. (...) Dziesięć lat bez ćwiczeń może zrobić z wielkiego wirtuoza zwykłego szynkowego grajka”. Zapewne myślał o „wielkim” malarstwie olejnym, bo nie zamierzał rezygnować z rysunków, a zwłaszcza miedziorytnictwa, sztuki bardziej demokratycznej, gdyż „być dobrym grawerem to (...) być siewcą światła prawdy”. Co do umiejętności – mylił się. Dowodzą tego późne rysunki, szkice, niezbyt liczne obrazy. Malowane teraz portrety, surowsze od młodzieńczych, częściej rysunkowe, są głębsze psychologicznie. Powrót do sztalgu z pewnością nie był dlań zamknięty.

Sądzę, że szło o coś innego: Szewczenko, który w chwili aresztowania uważał się głównie za malarza, poczuł się już przede wszystkim Poetą. Wieszczem, głosicielem. Miedziorytnictwo miało być przedłużeniem tej roli. Zapewne też zabrakło wiary w siebie: w wierszach z ostatnich lat wiele jest depresji...

Jakkolwiek było, nie miało to większego znaczenia. Ścieżka ziemskiego życia Szewczenki dobiegała kresu.

Wieszcz

Nie wiem, ile jest w Polsce pomników Trzech Wieszczów, Sienkiewicza i Prusa, ale na pewno mniej niż pomników Szewczenki na Ukrainie. Te zdarza się napotkać i w zabitych deskami wsiach. I nie ma księgarni (może oprócz Krymu), w której nie znaleźlibyśmy kilku wydań *Kobzarza*,

kanonicznego zbioru poezji Szewczenki, którego tytuł, oznaczający wiejskiego lirnika, jest też honorowym mianem autora, którego pierwsze strofy, *Rewe ta stohne Dnibr szyrokyj* („Ryczy i jęczy Dniepr szeroki”), skądinąd liryczna impresja o nocy nad rzeką, były przez dziesięciolecia nieoficjalnym hymnem Ukraińców.

W kaniowskim muzeum leżą obok siebie dziewiętnastowieczny Psalterz i podobne rozmiarami wydanie *Kobzarza*. Nieprzypadkowe to skojarzenie: poezji Szewczenki praktycznie nie wydaje się w różnych układach czy wyborach: obowiązuje ustalony, niezmienny kanon. *Kobzarz* nie jest zbiorem, jest jednością. Tak jak Psalterz. I jak on zwany jest często księgą *nastolną* (podręczną).

Może jest w tym coś z bałwochwalstwa. Ale w określeniu „nasze wszystko” jest nieodparta prawda: Szewczenko jest dla Ukraińców tym, czym dla nas byli Trzej Wieszczowie, Sienkiewicz i Prus razem wzięci. Nie było potem ukraińskiego poety równego mu talentem (może dopiero Wasyl Stus²³) ani siłą oddziaływania, późniejsza ukraińska literatura to raczej gosi do Szewczenki niż spory z nim. Dopiero w niepodległym kraju niektórzy „zrzucają płaszcz Konrada”²⁴ i zaczynają spory o Szewczenkę (zwłaszcza dekonstruowanie obrazu poety–rewolucjonisty), choć wciąż nie z nim samym.

Nad odbiorem Szewczenki ciąży chłopomańsko–sowiecki stereotyp poety ludowego, kontynuatora lirników–kobzarzy, ludowych śpiewaków, ale i poetów, piewców kozacko–hajdamackiej przeszłości i krytyków „ucisku społecznego”, jak to ujmowali marksiści. Prawda, Szewczenko wyrósł w chłopskiej chacie – ale też wyrósł z niej, jak z dziecięcego ubranka. W jego sercu pozostały dumy kobzarzy, opłakany los

*Wsi, która jakby pogorzała,
Ludzi, co jakby poszaleli,
Co na pańszczyznę idą niemi
I swoje dzieci wiodą na nią,
ale też idylliczne piękno
Sadów wiśniowych koło chaty
Trzmieli, co huczą pośród nich*²⁵.

Ale ludowa poetyka, ta liryczna i ta epicka, była dlań jedynie punktem wyjścia, w wierszach o tematyce historycznej wzbogacał przekaz lirników

wiedzą książkową, inna rzecz, że nie zawsze rzetelną.

Znał mitologię klasyczną, znał Byrona i Schillera (w rosyjskich i polskich przekładach), Mickiewicza (tym się zachwycił) i Słowackiego. Jak oni, był poetą romantycznym, wadzącym się ze światem i Bogiem, stawiającym siebie w centrum Universum. Swój naród kochał także na romantyczną modłę. Słynne, kontrowersyjne „I znać nie chcę Boga” z *Testamentu* przywodzi na myśl Mickiewiczowskie „z Bogiem i choćby mimo Boga” z *Dziadów*. Prawda, mniej u Szewczenki emocjonalnych wzlotów, więcej – zimnej determinacji. Chłopskiej determinacji i przywiązania do konkretnego. Tym różnił się od większości romantyków – i tym jest wśród nich cenniejszy.

Pozostał jednak poetą prostych środków, mocno zakorzenionym w ludowej poetyce. Więc tym silniej oddziałującym. Zanim wrócił z zesłania, liczne jego wiersze wróciły do ludu jako pieśni wędrownych kobzarzy, a on sam za życia stał się przedmiotem legendy.

Jeden ze swych wierszy zadedykował Gogolowi, starszemu odeń o ledwie pięć lat, którego twórczość znał i cenił. Dziwny wiersz, właściwie lamentacja po świecie Tarasa Bulby, żal za tym, że

*Już nie zagrzmia w Ukrainie
Swobodne armaty,
Już nie zarżnie ojciec syna,
Swej własnej dzieciny
Za cześć, sławę, za braterstwo
Wolność Ukrainy.
Sam nie zarżnie – wykolebie
I sprzeda do rzeźni
Moskalowi²⁶.*

Straszne słowa... Zwłaszcza jeśli są słowami Wieszcza.

Gdyby wówczas doszło do dialogu intelektualnego tych dwóch wielkich artystów i myślicieli, dzieje kultury ukraińskiej (ale i rosyjskiej) wyglądałyby by inaczej. Jak? Bogu jedynie wiadomo. Ale byłaby ona bogatsza o wymiar dialogu właśnie, który w naszej kulturze gruntuje dwugłos Mickiewicza i Słowackiego, a potem Sienkiewicza i Prusa.

Ale do takiego dialogu tych dwóch dojść nie mogło. Szewczenko nigdy nie wybaczył swoim niewolicielom, nie poszczególnym osobom,

a „panom” jako takim. A Gogol był „panem” właśnie (nieważne, że szlacheckość jego przodków była mocno wątpliwa). To była bariera, mur, choćby Szewczenko mianował Gogola w wierszu „swym wielkim druhem” i „bratem”.

A ponieważ Szewczenko, największy ukraiński poeta, stał się prawodawcą tożsamości narodowej, dla Gogola, największego ukraińskiego prozaika, zabrakło w niej miejsca. Prawda, Gogol tworzył po rosyjsku – ale kto odmówi Joyce’owi²⁷ laurów pisarza irlandzkiego z tej racji, że pisał po angielsku?

Interludium: Szewczenko i Polacy

Szewczenko nie lubił Polaków. Niewątpliwie. Po prawdzie – nie znał ich. Znał cokolwiek mitycznych „panów” z kobzarskich pieśni–opowieści o czasach hajdamackich, polską literaturę o tych wydarzeniach (z pewnością czytał powieści Czajkowskiego²⁸, zapewne znał też też *Zamek kaniowski* Goszczyńskiego; ukraińskie dramaty Słowackiego powstały później i nie mogły wyrzucić nań istotnego wpływu). Jego właścicielami byli Rosjanie, w pierwszych latach wolności gościły go głównie dwory Małorosów, potomków kozackiej starszyny, kulturą niewiele różnych od włościan – potomków kozackiego gminu.

Dopiero na wygnaniu spotkał Polaków: powstańców z 1830 r. i spiskowców, zesłanych do azjatyckich pułków, ludzi o poglądach demokratycznych, według dzisiejszych kryteriów – nawet lewicowych. Zbliżył się do nich, zaprzyjaźnił. Najbardziej z Bronisławem Zaleskim i Zygmuntem Sierakowskim²⁹. Razem pracowali, dyskutowali, pili. To z tej przyjaźni zrodzi się wiersz *Do Polaków* zakończony głośnymi słowami:

*Podaj więc rękę Kozakowi
I serce czyste jemu daj,
A znów z imieniem Chrystusowym
Odbudujemy cichy raj.*

Inna rzecz, że Szewczenko przypisał całe zło w stosunkach między Polakami a Ukraińcami nie panom–szlachcie, ale „księżdom–jezuitom”. To raczej nie jego pomysł – to musiało płynąć od Zaleskiego i innych.

Nowoczesnych (na ówczesną miarę, rzecz jasna) demokratów, więc też – antyklerykałów. I ludzi szczerze obrażonych na Kościół za potępienie powstania listopadowego przez Grzegorza XVI. Tę nutę obrazy świetnie wyraził Słowacki w watykańskiej scenie II aktu *Kordiana*, dziele znanym Zaleskiemu i jego towarzyszom niedoli.

Polacy, stosunki z nimi nie były dla Szewczenki ważnym tematem. Był skupiony na swoich, na Ukraińcach, więc też – na ich aktualnych wrogach: Moskalach (określenia „Rosjanie” próżno szukać w jego poezji) i panach. W poematach historycznych trzyma, rzecz jasna, stronę swoich, Zaporozców – jak każdy, kto opiewa dzieje swego narodu.

Szewczenko napisał też jednak *Hajdamaków*: poemat wczesny, romantycznie rozwichrzony, niepokojący. Wybitny. I zdecydowanie wrogi Polakom (ściślej – szlachcie) i Żydom. Epatujący okrucieństwem. Wysnuty z opowieści dziadka poety i jego rówieśników o czasach konfederacji barskiej i „odwetowym” powstaniu hajdamaków (koliszczyźnie), wydarzeniach odległych od dzieciństwa Szewczenki ledwie o pół wieku. Poemat o ogromnej sile wyrazu, łatwo trafiający do ludowej wyobraźni, poemat, który głęboko wpłynął na późniejsze pokolenia Ukraińców.

Ale nie opisy gwałtów konfederackich i hajdamackiej zemsty (w tym rzezi Humania) są w tym poemacie najstraszniejsze, najtrudniejsze do przyjęcia. Oto pod koniec opowieści Gonta oplakuje swoje dzieci, które sam zabił za to, że matka posłała je do katolickiej szkoły, że je *opolaczyła*. Oplakuje dzieci, ale nie czuje cienia skruchy, tylko żal do losu:

*Dolo moja, dolo
Dolo nieszczęśliwa,
Cóżeś, dolo, narobiła,
Na coś dzieci dała...*

Nie żałuje tego, co zrobił. Żałuje tego, że musiał to zrobić – i ma o to pretensje do ofiar.

I nieważne, że historyczny Gonta swych dzieci nie zabił (Szewczenko zaczerpnął ten motyw z *Wernyhory* Czajkowskiego), a wcześniej jako dowódca kozackiej załogi Humania doskonale wiedział, do jakiej szkoły je posyła. Gonta Szewczenki, Gonta mitu narodowego synów zabił. Trudno nie dostrzec w tym prefiguracji zabijania „obcoplemiennych”

członków najbliższej rodziny w latach czterdziestych XX w.

Nasze wszystko

Wybitny ukraiński intelektualista Iwan Dziuba³⁰ zaczyna swą monografię *Taras Szewczenko. Życie i twórczość* (Kijów 2008) słowami: „Szewczenkę rozumiemy na tyle, na ile rozumiemy siebie – swój czas i Ukrainę w tym czasie. Nasze czasy, tak jak każde poprzednie, pragną zbliżyć się do rozumienia Szewczenki (...) jako naszego współczesnego”. Trudno nam to pojąć – oduczyliśmy się czytania w ten sposób Mickiewicza i Słowackiego. Może nigdy tak ich nie czytaliśmy?

Nie ma chyba ukraińskiej dyskusji kulturalnej czy metapolitycznej wolnej od nawiązań do Szewczenki, często – manipulacji jego słowami. Jakiś czas temu ukraiński polityk zatytułował swój artykuł *My prosto jszły... (Po prostu szliśmy)*, wiedząc doskonale, że każdy czytelnik przywoła cały cytat:

*Nie kłamaliśmy sobie wzajem,
po prostu szliśmy; dziś już w nas
ziarna nieprawdy nie zostało.*

ale może zapomni, że te słowa poeta kierował nie do żadnego z przyjaciół, ale do własnego losu – ciąg dalszy brzmi:

*Więc pójdźmy już, doleńko moja!
Mój nieobłudny przyjacielu!*³¹

Podobnych nawiązań w prasie ukraińskiej spotykałem setki. Wciąż je spotykam.

Piszę te słowa półtora tygodnia przed dwusetną rocznicą urodzin Szewczenki, w dniach gdy wciąż trwają pogrzeby poległych powstańców z Samoobrony Majdanu, zwanych już Niebiańską Sotnią.

Dwa miesiące wcześniej, krótko przed pierwszą fazą walk na ulicach Kijowa, na Majdanie odczytano jeden z programowych poematów Szewczenki, poświęcony walce ówczesnych Czeceńców z Rosjanami, *Kaukaz*:

Za górami góry, spowite chmurami

Nieszczęściem obsiane, krwią szcrodrze oblane (...)

*Walczcie więc, a zwyciężycie,
Bóg sam was wspomaga.
Z wami prawda, z wami chwała,
Wolność święta z wami.*

Słowa te odczytał Serhij Nigojan, pochodzący spod Dniepropietrowska (dopiero dziś – Dnipra) syn uchodźców z Armenii, człowiek o podręcznikowo wręcz „kaukaskiej powierzchowności”. Kilka dni później, 22 stycznia padnie na ul. Hruszewskiego jako pierwszy poległy.

Dziś Szewczenko znów jest przede wszystkim Prorokiem biblijnych złorzeczeń (które tłumaczył z pasją i chyba upodobaniem), obwieszczającego gnębiicielom Ukraińców, że

*W radosnym dniu nad wami
Roztoczy się kara
I powieje ogień nowy
Od Chłodnego Jaru³²*

Ten ognisty wiew z rodzinnych stron Szewczenki, z ostoji hajdamaków, a potem antysowieckich powstańców początku lat dwudziestych zeszłego wieku, można dziś poczuć na ulicach Kijowa.

Powrót do Kaniowa (szlak pomników)

Tak zakończyłem tekst pisany w lutym 2014 r. Dziś w westybulu kaniowskiego muzeum nie ma już kamienia pokrytego kitajką ani „poetyckiego nieba” rękopisów Szewczenki. Ekspozycję przeorganizowano, czyniąc ją znacznie mniej nowoczesną, bardziej – jak sądzę – odpowiadającą gustom i poglądom prowincjonalnych nauczycieli oraz wizji Szewczenki z ukraińskiej podstawy programowej. Bo też jest to muzeum przede wszystkim dla grup oprowadzanych przez przewodników, zwłaszcza grup szkolnych. Kto nie zna dobrze życia Szewczenki, bez przewodnika niewiele zrozumie. Usunięto też kapitalną ekspozycję późniejszych obrazów przedstawiających różne odczytania twórczości i osoby Szewczenki.

Większość odwiedzających Tarasową Górę do muzeum nie zagląda. To jest miejsce pielgrzymowania, nie zwiedzania: przybywający gromadzą się przed grobem, u stóp sowieckiego pomnika, wynoszącego Szewczenkę wysoko, odrywającego go od ludu, od ludzi. Często śpiewają, recytują. Młode pary przyjeżdżają, by złożyć u stóp Kobzarza wiązanekę ślubną... Niegdyś na schodach wiodących na wzgórze znad Dniepru stary kobzarz–bandurzysta³³ grał pieśni do słów Szewczenki i ukraińskie pieśni ludowe. Nie u stóp pomnika czy u wejścia do muzeum – w lesie, na podeście schodów. Jego następca gra już w westybulu muzeum i wykonuje głównie dwudziestowieczny repertuar patriotyczny.

Ukraina jest pełna pomników Szewczenki: pełnofiguralnych, popiersi, tablic pamiątkowych. Jest ich ponad tysiąc dwieście (bez tablic). Czasem dzieł wybitnych, czasem produkcji kamieniarskiej raczej niż rzeźbiarskiej. Ma je każde miasto i niejedna wieś, praktycznie każde miejsce jakoś z nim związane. Starsze wyobrażają na ogół Poetę z ostatnich lat życia: poważnego, surowego, raczej zagniewanego niż zamyślonego. Nowsze częściej przedstawiają urodziwego, wyluzowanego młodzieńca z okresu przed zesłaniem (do tej grupy należy też warszawski pomnik Kobzarza³⁴). Za czasów sowieckich takich wizerunków nie dopuszczano.

Są też pomniki poszczególnych obrazów Szewczenki. Gdzieniedzie, jak na kijowskiej Askoldowej Mohyle, zidentyfikowano miejsce, z którego Szewczenko malował, i postawiono tam kopię malarskiej kasety z paletą i odwzorowaniem danej akwareli. Wszystko w brązie. Albo – jak w Motoryńskim Monasterze – w kamieniu. Jest też pomnik... pomnika Szewczenki: w Kołomyi na miejscu pomnika, zniszczonego przez Rosjan w 1914 r., postawiono pomniczek, zaś nowy pomnik Kobzarza powstał w innym, nieodległym miejscu.



„Zastępczy” pomnik Szewczenki we Lwowie (rok 1987). W tym mieście władze sowieckie nie zezwalały na pomnik figuralny Kobzarza, miasto wystawiło więc kobierzec kwiatów układających się w jego portret. W głębi skweru (poza kadrem) stał kiedyś pomnik Aleksandra Fredry, dziś zastąpił go pomnik Mykoły Hruszewskiego.



Pomnik akwareli Szewczenki w Motoryńskim Monastyrze: na kamieniu odwzorowanie akwareli oraz młodzieńczego autoportretu; w tle – sama cerkiew (zdjęcie z 2016 r.).

A od rosyjskiej granicy po Kaniów ciągnie się korowód kaplic i katafalków: na każdym miejscu, w którym pociąg specjalny z trumną Szewczenki zatrzymywano, by odśpiewać nabożeństwo żałobne nad jego trumną. Każde z tych miejsc upamiętniono, na ogół skromnie. Ale np. w Baturynie w odpowiednim miejscu stanęła wcale solidna drewniana kapliczka, w której pomieszczono ikonę opłakiwania Szewczenki przez lud Ukrainy i przez Matkę Najświętszą, rozciągającą swój welon nad podobizną Kobzarza. Zaś kijowską cerkiew Narodzenia Pańskiego, architektonicznie banalną, zburzoną przez komunistów w latach trzydziestych XX w. odtworzono, komplikując układ komunikacyjny naddnieprzańskiej arterii, tylko dlatego, że to w niej odprawiono nabożeństwo przez odprawieniem do Kaniowa parostatku z trumną Szewczenki i to tam niezidentyfikowana do dziś niewiasta w czerni złożyła na trumnie koronę cierniową. Wystawiona w tej cerkwi maska pośmiertna Poety jest przedmiotem adoracji.

Najnowszy pomnik Szewczenki w Kijowie (bodaj dziewiąty) powstał w dniach rewolucji godności. Przed gmachem merostwa zespawano rusztowanie z kątowników, przypominające jeża przeciwczołgowego, podobnego do tych, które broniły Majdanu (niektóre z nich zachowano na Instytuckiej), na którym stanęło niezłe rzeźbiarsko popiersie. Rusztowanie jest asymetryczne, niezakotwiczone w żaden sposób, pozornie niestabilne. Bardzo współczesne, postmodernistyczne w łączeniu niespójnych z pozoru form, zaciekawiające, skłaniające do refleksji, niekoniecznie tej „podręcznikowo–poprawnej”.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 10 z 2014 r. pod tytułem *I powieje ogień nowy*. Tu dodałem zaniechany wówczas rozdział o malarstwie Szewczenki, a także dopisane teraz *Interludium* i *Powrót do Kaniowa*.



Ikona opłakiwania Szevczenki z kapliczki w Baturynie, wykonana ok. 2010 r. (zdjęcie z 2017 r.). Nad pokrytą czerwoną kitajką trumną i portretem Szevczenki krzyż z Matką Bożą z welonem (tzw. Pokrowa), Janem Chrzcicielem i Mojżeszem oraz Duchem Świątym, obok chorągwie cerkiewne. Na „zewnątrznym” welonie autograf *Testamentu* Szevczenki. Po lewej stronie trumnę adorują włościanie pod przewodem biskupa prawosławnego, po prawej – Kozacy pod przewodem hetmana. Niewiasta w białej bluzce po prawej to Kateryna z najśtytniejszego obrazu Szevczenki. W centrum

diak (?- w każdym razie nie wieśniak) z egzemplarzem *Kobzarza* w ręku oraz kobzarz z bandurą i dzieckiem-przewodnikiem (kobzarzami byli zazwyczaj ociemniali).

Hołodomor – ukraińska apokalipsa

Ukraina centralna i wschodnia usiana jest pomnikami ofiar Hołodomoru z lat 1932–1933. Od prostych krzyży na zbiorowych mogiłach i rozstajach dróg po potężne monumenty, od tandety po wybitne dzieła sztuki memorialnej. Zaczęły powstawać pod koniec lat osiemdziesiątych, najczęściej wzniesiono za prezydentury Wiktora Juszczenki (2005–2010). Chyba nikt nie wie, ile ich jest. A wciąż powstają nowe.



Pomnik ofiar Hołodomoru przed soborem Michaiłowskim. Ujęcie od strony muru soboru; w prześwicie widoczna dzwonnica soboru Sofijskiego. Podczas uroczystości żałobnych znicze sięgają miejsca, w którym widoczni są przechodnie, a nawet dalej. Zdjęcie z 2008 r.

W centrum Kijowa, na placu Michaiłowskim, na skraju pustego pola

(blizny po zburzonej świątyni) w 1993 r. stanął skromny pomnik ofiar Hołodomoru. Głaz z wybitym na wylot krzyżem, w nim – sylwetka Matki Bożej, z której „wycięto” sylwetkę Dziecka. Można je uznać tylko za matkę i dziecko, ale pokrewieństwo z ikoną Matki Najświętszej jest oczywiste. Jego rysunkowe odwzorowanie stało się „ikoną” pamięci o Hołodomorze. Dziś tłem pomnika jest odbudowany Złotowierzchni Sobór św. Michała Archanioła³⁵ – i przytłoczony nim pomnik ma tym większą siłę wyrazu. Podczas każdego obchodu otaczają go morze zniczy i milczący tłum.

Za rządów Juszczenki powstał też monumentalny kompleks pamięci (po ukraińsku *memoriał*), zwany Niegasnącą Świecą. Tu oficjalni goście Ukrainy sadzą drzewka pamięci, tu po minięciu upiornego pomniczka dziewczynki z wydziobanymi oczami, ściskającej w dłoni garstkę kłosów i „aresztowanego ścierniska” schodzimy do podziemnej świątyni, w której pielgrzymi (bo nie zwiedzający) mogą poszukać imion krewnych w wyłożonych martyrologiach, uwieczniających ofiary Hołodomoru z poszczególnych wsi, potem – zapalić cerkiewne świeczki na centralnym ołtarzu, u podstawy wieży-Świecy. A wychodząc – uderzyć w dzwon pamięci. Pamięci o wielkiej tragedii narodu.

Używam tu nazwy „Hołodomor”, obcej, lecz czytelnej w naszym języku, zamiast przyjętego „Wielkiego głodu”, gdyż uważam, że wydarzenie to zasługuje na własne imię. Katastrof głodowych było w dziejach wiele, zaznała ich także Ukraina, Hołodomor jednak wyróżnia się wśród nich tak przebiegiem, jak i współczesnym znaczeniem.

Trochę historii

Wydawałoby się, że o Hołodomorze wiemy wszystko. O katastrofalnym głodzie z lat 1932–1933 na większości czarnoziemnych obszarów Związku Sowieckiego, którego przyczyną była kolektywizacja, fatalna polityka rolna oraz represyjne egzekwowanie niewykonalnych dostaw obowiązkowych. O tym, że działania, związane z tym ostatnim niewątpliwie miały cechy zbrodni przeciw ludzkości. O tym, że był to głód „sztuczny”, a nawet – zaplanowany przez władze sowieckie w celu wyniszczenia narodu ukraińskiego...

Stop. Tego ostatniego właśnie nie wiemy. To jedynie przypuszczamy, wnioskujemy. Fakt, że klęska głodu, gdy wystąpiła, została z całym

cynizmem wykorzystana przeciw Ukraińcom, co przekształciło ją w klęskę o rozmiarach apokaliptycznych, jest niepodważalny. To, że została ona zawczasu zaplanowana, pozostaje jedynie domysłem.

Zrekapitulujmy główne fakty. Jednym z haseł rewolucji bolszewickiej był podział ziemi wielkiej własności między włościan, ale jednocześnie zniesienie prywatnej własności środków produkcji, także gruntów rolnych. Ziemię więc nie tyle dzielono, co przydzielano w użytkowanie na niejasnych zasadach. Jeszcze w czasie wojny z siłami kontrrewolucji i Polską przystąpiono do kolektywizacji. Cokolwiek spontanicznej, nieprzemyślanej, połączonej z masowymi, brutalnymi rekwizycjami zboża. Doprowadziła ona do masowych powstań chłopskich (to wówczas przeciw chłopom guberni tambowskiej Armia Czerwona użyła gazów bojowych) i do głodu, liczbę ofiar którego szacuje się między jednym a pięcioma milionami, głównie na rosyjskim Powołżu.

Kierownictwo bolszewickie zrozumiało, że trzeba się cofnąć. Już w 1921 r. ogłoszono Nową Politykę Ekonomiczną (NEP), której głównym elementem było zezwolenie włościanom na swobodny handel nadwyżkami, pozostałymi po wykonaniu znacznie obniżonych dostaw obowiązkowych. Wieś odetchnęła, a potem zaczęła się szybko bogacić. Ale ziemia pozostała własnością państwa, a państwo bolszewickie krzepło, a jego polityczna biurokracja przygotowywała się do nowej fazy walki z przedrewolucyjnym społeczeństwem.

W 1928 r. proklamowano kurs na industrializację, na budowę nowoczesnych sił zbrojnych, zdolnych do podboju Europy. Wymagało to bezwzględnej eksploatacji wsi, odebrania jej nadwyżek siły roboczej i wszelkich innych zasobów. Innych rezerw Związek Sowiecki nie miał. Wiele wskazuje też na to, że bolszewicy planiści rzeczywiście wierzyli w to, iż uprzemysłowienie produkcji rolnej, zastąpienie metody „rzemieślniczej” „fabryczną” przyniesie natychmiastowy wzrost wydajności rolnictwa. Ale przyszła wojna wymagała także złamania stanu włościańskiego jako takiego, uczynienia z wolnych gospodarzy pokornych parobków i mięsa armatniego. Temu znakomicie służyła kolektywizacja.

Ostatnim potencjalnym przeciwnikiem („wrogiem klasowym”) komunizmu byli włościanie. Ściślej – włościanie stepowi: zamożni, piśmienni, względnie nowocześni. Przedsiębiorcy, nie tylko oracze i żniwiarze. Pamiętający, że swój status zawdzięczają reformom rządu

Stołypina³⁶ sprzed kilkunastu lat. A także Kozacy, swoisty stan społeczny Imperium Rosyjskiego, wolni rolnicy zobowiązani do służby wojskowej. Umiejący się bić – i kochający się bić. Jedni i drudzy uprawiali czarnoziemy Ukrainy i południowej Rosji, najlepsze gleby na świecie. Byli niezależni, pewni siebie, po I wojnie światowej znający żołnierskie rzemiosło (Kozacy byli zawodowymi żołnierzami). Często uzbrojeni, mimo parokrotnych akcji rozbijania wsi.

Pod koniec 1929 r., po dwóch latach nieurodzaju, w obliczu głodu w miastach i ośrodkach przemysłowych Moskwa zarządziła przymusową kolektywizację. Wywołała ona gwałtowny opór, przez Ukrainę i stepowe ziemie Rosji przetoczyła się kolejna fala buntów i powstań, ale siła państwa przeważała. Tylko nieliczni włościanie (niekoniecznie ci najzamożniejsi) oparli się (na krótko) kolektywizacji, przytłaczająca większość z gospodarzy stała się parobkami. A kadr przygotowanych do kierowania gospodarstwami wielkoobszarowymi nie było – dawne (ziemian i ich pomocników) wytępiono, nowych nie zdążono wykształcić. Obiecanych maszyn też nie było, mnóstwo młodych przenosiło się do ośrodków przemysłowych, chłonących ludzi jak gąbki... Katastrofa była nieunikniona. Była zawarta w samej idei, a jeszcze bardziej – praktyce kolektywizacji. Rok 1932 przyniósł wprawdzie niezłe zbiory, ale dwa następane lata były znów nieurodzajne. W dodatku Moskwa narzucała kołchozom niewykonalne dostawy zboża i mięsa, traktując wieś jako „kolonię wewnętrzną”, działając w sposób, na który nie ważyła się większość europejskich reżimów kolonialnych. Bez wyobraźni, bez pojęcia o rolnictwie, z zapewne szczerym przekonaniem, że chłopcy mają zapasy żywności, których skąpią robotnikom.

Ale zapasów nie było. Zimą 1932 r. na Ukrainie, Powołżu, Kaukazie Północnym i innych stepowych ziemiach Związku Sowieckiego zaczął się głód, którego rozmiary pogarszała ślepa, represyjna polityka władz. Nowa fala buntów (głównie na Ukrainie i Kaukazie Północnym) została brutalnie stłumiona. Wiosną odnotowano pierwsze przypadki śmierci głodowej. W sierpniu wprowadzono przepis pozwalający karać śmiercią za zebranie w polu już pięciu kłosów zboża... W grudniu wprowadzono zniesione po rewolucji dowody osobiste (paszporty wewnętrzne), których kołchoźnikom i innym mieszkańcom wsi nie wydawano w ogóle, co pozbawiało ich możliwości legalnego podróżowania³⁷, a milicja i wojsko zaczęły blokować granice republiki, a także dostęp do miast. Głodujący

mieli pozostać u siebie, umierać u siebie.

To nie był zwykły głód, który ówczesna wieś rozumiała, który traktowała jako dopust Boży, nieunikniony co jakiś czas. To było coś nowego, przerażającego, niepojętego. Apokaliptycznego właśnie. Tym bardziej, że kolektywizacji towarzyszyło masowe niszczenie cerkwi i brutalna walka z religią (z religią, a nie z Kościołem).

Apogeum głodu przypadło na zimę i wiosnę 1933 r. Wieśniacy masowo marli z głodu, przypadki kanibalizmu przestały kogokolwiek dziwić, na wsi nie było już nie to że psów i kotów, ale myszy i słowików. Nie było komu grzebać pomarłych. Ale ekipy rekwizycyjne wciąż krążyły po domach, działając z demonstracyjną, bezmyślną brutalnością.

Tego roku pola obsiano tylko dzięki działaniom władz, zwłaszcza dostawom ziarna siewnego. Zbiory okazały się niezłe, normy dostaw zmniejszono, rewizje po domach wstrzymano. Gdy zaś zbiory w 1934 r. znów były katastrofalnie niskie – Moskwa nie dopuściła do nawrotu głodu, wieś (także ukraińska) otrzymała znaczące wsparcie. Nie z powodów humanitarnych: ktoś musiał dostrzec, że dalsze wymieranie kołchoźników zagraża możliwościom mobilizacyjnym państwa przygotowującego się do wojny.

*

Głód, jak już wspomniałem, panował wówczas właściwie w całym Związku Sowieckim, choć umierano z głodu tylko na ziemiach stepowych. Ale Hołodomor zdarzył się tylko na Ukrainie i Kubaniu (Kraju Krasnodarskim), wówczas o przeważnie ukraińskiej ludności. Tylko tu zarządzono zakaz wszelkiego handlu we wsiach, które nie wykonały planu dostaw, tylko tu konfiskowano po domach wszelką żywność, także taką, której w żaden sposób nie dałoby się zmagazynować czy przekazać. Tylko tu działano tak, jakby celem było coś znacznie więcej niż ogołocenie wsi z zasobów żywności. Tu więc śmierć zebrała znacznie obfitsze żniwo niż gdziekolwiek indziej (może oprócz Kazachstanu), tylko tu wymierały nie tylko całe rodziny, ale i całe wsie.

O Hołodomorze wiemy dziś bardzo wiele. O równoległych wydarzeniach na Dońszczyźnie, Powołżu i stepach Syberii Zachodniej – już bardzo niewiele. A tam też włościanie umierali z głodu. Szacunki ofiar w całym Związku Sowieckim (łącznie z Ukrainą) wahają się między

dwoma a ośmioma milionami; ta rozbieżność najlepiej świadczy o poziomie niewiedzy. Zaś o głodzie w Kazachstanie nie wiemy prawie nic, choć wiele wskazuje na to, że w tym czasie wymarła połowa Kazachów. Ukraina chce wiedzieć i rozumieć, co się wówczas stało, Rosja i Kazachstan – najwidoczniej nie.

Znamy z imienia osiemset tysięcy ofiar Hołodomoru. Jest oczywiste, że ich liczba była znacznie większa. Ale – o ile większa? W ukraińskiej literaturze historycznej i publicystyce można przeczytać o trzech, ośmiu, a nawet dziesięciu milionach. Te wyższe szacunki ignorują fakt, że Ukraińska SRS w przededniu Hołodomoru miała trzydzieści dwa miliony mieszkańców. Nawet jeśli do zmarłych z głodu doliczymy ofiary represji związanych z wcześniejszą kolektywizacją oraz deportowanych i uciekinierów, to poza dyskusją jest to, że nie znikła wówczas piąta część ludności kraju, o części trzeciej nie wspominając.

Niemal wszystkie znane mi opisy Hołodomoru zakładają, że blokada wsi ukraińskiej, mająca zapobiec chronieniu się kołchoźników w miastach, była bezwzględnie skuteczna. Przeczą temu jednak choćby relacje mówiące o zbieraniu z ulic Charkowa (ówczesnej stolicy sowieckiej Ukrainy) zwłok zmarłych z głodu. Takie działania nigdy nie bywają w pełni skuteczne. Tym bardziej, że ówczesne blokady były sprzeczne z interesami zarządców przemysłu, którzy nie byli w stanie wykonać narzuconych planów m.in. ze względu na brak rąk do pracy. Przyjmowali kogo się dało, przymykali oko na nieprawidłowości, nieraz może sami fałszowali dokumenty... Wielu ocalało w ten sposób, zarazem znikając ze statystyk wsi ukraińskiej.

Ukraińscy publicyści często piszą o „ukraińskich hołodomorach” w liczbie mnogiej, sumując ukraińskie ofiary głodu z lat 1921–1923 (prawdopodobnie półtora miliona), 1932–1933 i 1946–1947 (jakoby ok. miliona; te wydarzenia są najslabiej zbadane). Jest to jednak manipulacja: równie dobrze można by tu doliczyć zmarłych z głodu podczas II wojny światowej, liczbę nieznaną, ale z pewnością okazałą.

Inną manipulacją jest wliczanie do ofiar Hołodomoru deficytu narodzeń (*de facto* – poczęć) z tych lat, szacowanego na ok. milion. Niektórzy posuwają się dalej – doliczają do ofiar hipotetyczne potomstwo tych niepoczętych. Zgoda, można uznać ten deficyt za składową stratę narodu – ale przecież nie za ofiary! Kto się nie narodził, ba – nie począł, nie mógł zostać zamordowany; nawet stosowanie

zaimka „kto” jest tu wątpliwe.

Żmudna (i niepopularna we własnym kraju) praca ukraińskich uczonych pozwoliła określić liczbę zmarłych z głodu i w związku z nim na trzy miliony dziewięćset tysięcy, w tym osiemset tysięcy dzieci. Około 10% mieszkańców kraju, ponad 15% mieszkańców wsi. Straszna liczba. Nie trzeba jej rozdymać.

Zagadnienie ludobójstwa

W 2003 r. Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła ustawę uznającą Hołodomor za zbrodnię ludobójstwa przeciw narodowi ukraińskiemu. Następnie ukraińska dyplomacja zaczęła promować podobne akty parlamentów świata. Jak dotąd ludobójczy charakter Hołodomoru uznało szesnaście państw³⁸ (w tym Rzeczpospolita Polska) oraz 21 stanów USA.

Podstawą wszystkich tych deklaracji i aktów prawnych jest założenie, że Hołodomor miał na celu wyniszczenie narodu ukraińskiego jako takiego. Założenie niezbędne: zgodnie z Konwencją w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 r. zbrodnią ludobójstwa są działania wymierzone przeciw „grupom narodowym, etnicznym, rasowym lub religijnym”, a więc nie przeciw grupom społecznym (klasom), grupom definiowanym ze względu na poglądy polityczne lub inne, a także – przeciw mniejszościom seksualnym czy chorym psychicznie (eksterminacja tych grup przez nazistowskie Niemcy była zbrodnią przeciw ludzkości³⁹, ale nie zbrodnią ludobójstwa). Rozszerzanie znamion zbrodni ludobójstwa przez prawodawstwo poszczególnych krajów (jak np. w art. 118 Kodeksu karnego RP z 1997 r., gdzie mowa o „grupie narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub grupie o określonym światopoglądzie”, ale nadal nie o grupie społecznej) nie ma znaczenia prawnomiędzynarodowego, a rozstrzyganie sporów, dotyczących wykładni Konwencji zastrzeżone jest do kompetencji Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Dodajmy dla porządku, że kodeks karny Ukrainy z 2001 r. w art. 442 definiuje ludobójstwo w ścisłej zgodności z Konwencją.

Pierwotny projekt konwencji zakładał, zgodnie z intencją twórcy pojęcia ludobójstwa, Rafaela Lemkina⁴⁰, objęcie nią także zbrodni dokonanych z motywacji politycznych (a więc m.in. wyniszczenie klas lub grup społecznych), jednak Związek Sowiecki sprzeciwił się takiej

definicji, a jego zdanie przeważało. Tak czy inaczej – innej definicji nie mamy. By móc mówić o Hołodomorze jako zbrodni ludobójstwa, trzeba przypisać mu cel wyniszczenia Ukraińców jako grupy narodowej. I to usilnie propaguje od wielu dziesięcioleci najpierw ukraińska diaspora patriotyczna, a od 1991 r. – Ukraina.

Ale to się nie zgadza. Głodowano wszędzie, ale katastrofy głodowej nie było np. w czernihowskim czy północnej Kijowszczyźnie, w regionach biednych, produkujących niewiele zboża. Nie było wybiórczych represji wobec ukraińskich wieśniaków poza Ukrainą i Kubaniem – a wielu ich żyło też w innych głodujących regionach. Znaczna część rozkułaczonych znalazła schronienie w miastach, wywiezieni do łagrów także w większości przeżyli (łagierników karmiono, podle, ale regularnie). Z drugiej strony na Ukrainie głodowali i umierali włościanie wszystkich narodowości: obok Ukraińców, z oczywistych względów najliczniejszych, także Rosjanie, Niemcy (jedni i drudzy liczni wówczas na południu kraju), Polacy, Rumuni, Tatarzy Krymscy... A także Żydzi, na Ukrainie jeszcze przed rewolucją byli bowiem także Żydzi uprawiający rolę. Mieszkańcy wsi, bez względu na narodowość.

Głód, gdy już się wydarzył – powtórzę – został wykorzystany do złamania kręgosłupa wsi ukraińskiej, zwłaszcza tej stepowej (wsi, nie narodu). Niewątpliwie świadomie, celowo. Jest na to dość dokumentów, choć z niższych szczebli decyzyjnych. Czy to jednak znaczy, że był zawczasu zaplanowany? Spytam inaczej – czy sowieccy planiści lat trzydziestych zeszłego wieku byli w stanie zaplanować taką operację? Czy w ogóle byli oni w stanie dostrzec, że kolektywizacja w nieuchronny sposób prowadzi do złamania produkcji rolnej, a w konsekwencji – do klęski głodu? Zważywszy jakość sowieckiego planowania gospodarczego i społecznego do końca istnienia ZSRS – wątpię.

Na pytanie o to, czy Hołodomor był wynikiem podjętej zawczasu zbrodniczej decyzji, istnieje jednoznaczna odpowiedź. Pozostaje ona jednak nieznana. Skoro w najtajniejszym archiwum Kremla zachowano oryginał decyzji o zgładzeniu polskich oficerów w 1940 r., oryginał decyzji w sprawie wywołania „antyukraińskiego głodu” jest tam także. Oczywiście – jeśli taką decyzję podjęto.

Spór o ludobójczy charakter ówczesnych działań ma dziś wyłącznie charakter symboliczny: nie ma już sprawców, których można by postawić przed sądem. Nadawanie pamięci o Hołodomorze rangi podstawowego doświadczenia konstytuującego ukraińską tożsamość narodową nie wymaga przedstawiania Ukrainy jako ofiary największego ludobójstwa w dziejach, co często można spotkać w ukraińskiej publicystyce, rządziej w historiografii. Nie trzeba powtarzać za prezydentem Juszczenką (wypowiedź z 2008 r.), że „głód był wyreżyserowanym zabójstwem dziesięciu milionów osób”, a jego celem „było pozbycie się tego narodu”. Nie trzeba pisać o „ukraińskim Holocaustie”, usuwając w cień pamięć o tym, że znaczna część Holocaustu była realizowana na okupowanej Ukrainie. Nie trzeba rywalizować z Holocaustem, próbować przelicytować liczbę jego ofiar (a taką intencję dawało się odczytać w nader licznych tekstach, zwłaszcza z czasów Juszczenki).

Ale jest jeszcze coś, co z polskiej perspektywy niełatwo dostrzec. Koncepcja ludobójstwa pozwala przedstawić Hołodomor jako element najazdu na Ukrainę, jako zbrodnię przeprowadzoną przez obcych: Rosjan i Żydów, zaś Ukraińców (znów na wzór Żydów z lat II wojny światowej) potraktować jako ofiary *par excellence*, wolne od wszelkiej odpowiedzialności. To jednak nieprawda: w partii komunistycznej, NKWD, w administracji terenowej były dziesiątki tysięcy Ukraińców. I nie wszyscy z pobudek koniunkturalnych – idee bolszewickie były wówczas popularne także wśród Ukraińców. Wybielaczy Stalina można nad Dnieprem znaleźć i dziś.



Ekspozycja–instalacja w muzeum pamięci ofiar Hołodomoru na zamku w Międzybożu. Zdjęcie z 2018 r.

To prawda, że decydowała Moskwa. Ale realizował Kijów. W kolektywizacji rzeczywiście wielką rolę przypadła agitatorom z miast, którzy o życiu wsi, o rolnictwie nie mieli pojęcia, zapewne na ogół nie–Ukraińcom. Ale gdy przyszły rekwizycje, gdy zaczęło się poszukiwanie schowków, byli oni bezsilni i beзуżyteczni. Ekipy rekwizycyjne wiedziały, gdzie szukać. Znały wiejskie zwyczaje, znały topografię wsi, przyległych lasków etc. To byli członkowie zbolszewizowanej biedoty wiejskiej, która wcześniej gorliwie popierała kolektywizację. A i wielu lokalnych urzędników, milicjantów etc. pochodziło ze wsi, z „awansu społecznego”. Komuniści rządili już ponad dziesięć lat, konformizm zaczynał przeważać.

To, niestety, w dużej mierze uczynili wieśniacy wieśniakom, Ukraińcy Ukraińcom. Na razie niewielu Ukraińców jest skłonnych to przyznać. Zmierzenie się z tym faktem jeszcze ich czeka.

Świeca pamięci

Jednym z elementów łączących Ukraińców jest to, że ogromna ich większość pochodzi ze wsi najwyżej w trzecim pokoleniu i w mniejszym lub większym stopniu ma rodzinną pamięć o Hołodomorze. To doświadczenie rzeczywiście integruje; także mieszkańcy pozostających poza ZSRS regionów zachodnich, których klęska ta nie mogła dotknąć, w naturalny sposób solidaryzują się z ofiarami. Poza tą solidarnością pamięci (realną lub potencjalną) pozostają tylko imigranci z okresu powojennego, skądinąd bardzo liczni.

Pytanie jednak, jaka ma być ta pamięć. Podczas „juszczenkowskich” obchodów w 2008 r. wyraźnie zaznaczył się nurt nie to, że martyrologiczny, ale masochistyczny (np. dzieci w szkołach podstawowych musiały rysować sceny ludożerstwa i słuchać o rodzicach zjadających własne dzieci). Później natężenie tej narracji opadło (być może wynikała ona z osobistych przekonań Juszczenki), jednak dominanta żałobna, martyrologiczna pozostała. Gdy w 2018 r. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej usiłował przekierować pamięć o Hołodomorze z opłakiwania ofiar na cześć dla ówczesnych buntowników i powstańców, poniósł spektakularne fiasko.

Pomniki stoją na całej Ukrainie. W ostatnią sobotę listopada, oficjalnym dniu pamięci ofiar Hołodomoru w milionach okien zapalają się świece pamięci. Każde muzeum historyczne i krajoznawcze ma odpowiedni dział, a przynajmniej salkę. Bywają też osobne muzea, także na głuchej prowincji, jak to na zamku w Międzybożu, gdzie ekspozycja muzealna ustępuje inscenizacji artystycznej, z rytmem kolekcji sierpów i cepów, złożonych w krzyże łyżek i buchalterskich liczydeł. Między nimi, ponad nimi – białe, martwe ciała i także ręce, wyciągające się z ziemi (gipsowe odlewy z natury). Wielkie wołanie, skierowane do serc, nie do umysłów.

Młodzi kijowianie licznie przychodzą pod Świecę Pamięci, uderzają w dzwon. A potem z mroku podziemia wychodzą w słońce, na skarpe dniewprawą. Po lewej ręce widzą obelisk ku czci poległych w boju o Kijów w 1943 r., po prawej – dzwonnice Ławry Kijowsko-Pieczerskiej (ta lokalizacja Świecy nie jest przypadkowa). Przed sobą mają alejki z czarnymi kamiennymi tablicami, na których wypisano nazwy kilkuset miejscowości. To te, które w 1933 r. umieszczono na „czarnych tablicach” zakazu handlu, które *de facto* skazano na śmierć.

Być może opis ten nabierze wkrótce charakteru historycznego;

w Kijowie rozważa się przebudowę tego „parku pamięci”.



„Aresztowane ściernisko”, część kompleksu Świeca Pamięci.



Młodzi Ukraińcy uderzają w dzwon pamięci; za nimi rozstępniona dolina Dniepru. Zdjęcia z 2011 r.

Wśród tych tablic, tonących w zieleni, siedzą młodzi. Niektórzy czują się, inni popijają piwo. Także ci, którzy przed chwilą uderzyli w dzwon. „Śmierć umiera, a życie żyje”. Wielu z tych, których tam widziałem, znalazło się pewnie na Majdanie.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 4 z 2014 r. pod tytułem *Hołodomor i jego pomniki*. Teraz poszerzyłem część historyczną, dodałem pominięte wówczas rozważania historyczno-prawne, a także wzmiankę o muzeum–pomniku w Międzybożu, którego wówczas nie znałem.

Od czarnobylskiego ognia splotęto wielkie imperium

15 grudnia 2000 r. oficjalnie zamknięto Czarnobylską Elektrownię Atomową. Polecenie wydał – przed kamerami telewizji – prezydent Leonid Kuczma. Tak naprawdę III (ostatni czynny) blok elektrowni wyłączono dziesięć dni wcześniej: tego dnia uruchomiono go ponownie na 5% mocy, by prezydent miał okazję nakazać jego wyłączenie na oczach świata. Typowa (post)sowiecka *pokazucha*.

To wydarzenie można uznać za symbol tego, co działo się wokół Czarnobyla⁴¹ przez długie lata: ciągu błędów i nadużyć, nieporozumień, półprawd, mitów i kłamstw, niekiedy wołających o pomstę do Nieba. Dlaczego? Ano dlatego, że Czarnobylska Elektrownia Atomowa bynajmniej nie została zamknięta. Została jedynie wyłączona, przestała produkować energię elektryczną. Nadal pracuje tam ok. tysiąc osób, paliwo jądrowe z III bloku usunięto dopiero w 2010 r. (z dwóch wcześniej wyłączonych – sześć lat później). Ale ten gest wystarczył, by świat poczuł się usatysfakcjonowany i bezpieczny – i by nie wywiązał się ze zobowiązań finansowych, mających wspomóc budowę nowej osłony reaktora, zniszczonego w kwietniu 1986 r. Trzeba było dopiero załamania się w 2013 r. fragmentu dachu tzw. sarkofagu, by środki na budowę tej osłony zostały odblokowane.

Katastrofa: co się właściwie stało?

25 kwietnia 1986 r. IV, najnowszy blok Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej imienia W.I. Lenina przygotowywano do zatrzymania. Miał zostać poddany rutynowemu przeglądowi, zapewne zamierzano usunąć pewne usterki. Przy okazji kierownictwo elektrowni postanowiło przeprowadzić eksperyment sprawdzający możliwości przeciwdziałania skutkom nagłej przerwy w dostawach prądu, także do pomp, chłodzących reaktor. Eksperyment źle zaplanowano i przeprowadzono, a seria błędów operatorów i ich przełożonych doprowadziła ok. północy 26 kwietnia do powstania w rdzeniu reaktora temperatury, w której rozpadają się

cząsteczki wody. Powstała mieszanina piorunująca, a o pierwszej w nocy seria wybuchów rozerwała korpus reaktora i wyrzuciła w powietrze ogromną ilość materiałów promieniotwórczych.

Obsługa długo nie rozumiała, co się stało. Przez kilka godzin chłodzono wodą nieistniejący już reaktor, a ogromne ilości pary wodnej powiększały emisję skażeń. Szczęściem obsługa III bloku (stanowiącego jedną budowlę z IV) wbrew wyraźnemu poleceniu zdecydowała się przestawić reaktor w tryb jałowy. Gdyby nie to, on także zostałby zniszczony, gdyż wodę z jego systemu chłodzenia użyto do chłodzenia bloku IV.

Wybuch miał charakter chemiczny – wybuch jądrowy w jakimkolwiek reaktorze atomowym jest niemożliwy ze względu na prawa fizyki. Jego bezpośrednią konsekwencją był pożar: przy wolnym dostępie powietrza zapaliło się dwa i pół tysiąca ton grafitu używanego do kontroli reakcji łańcuchowej. Powstał komin ciepły, który przez dziewięć dni „pompował” substancje promieniotwórcze na wysokość przeszło dziesięciu kilometrów. To dlatego mogły one zostać rozniesione nad cały świat.

Zduszenie pożaru groziło jeszcze większą katastrofą. Ciąg powietrza, wzbudzany przez płonący grafit, choć trochę chłodził rozpalone paliwo jądrowe, które inaczej mogłoby przepalić kolejne stropy, dotrzeć do zbiornika wodnego w podziemiu. Wtedy wybuch pary rozniósłby pół elektrowni. Zrzucenie z helikopterów między 27 kwietnia a 2 maja pięciu tysięcy ton piasku, gliny i węgliku boru miało jedynie stłumić płomienie, powstrzymać emisję skażeń. I to się udało, podobnie jak wypompowanie wody ze zbiornika. Później, 9 maja, po wypaleniu się większości grafitu, ten gigantyczny tampon załamał się – i w powietrze znów uniosły się masy radioaktywnych popiołów. Te opadły już w bezpośrednim sąsiedztwie elektrowni.

Akcja ratunkowa obfitowała w akty niekłamanego, żołnierskiego bohaterstwa. Prowadzono ją, zwłaszcza na początku, chaotycznie, ale też nikt na świecie nie stanął wcześniej wobec podobnego wyzwania. Z dwustu tysięcy uczestników akcji ratunkowej i wstępnej dezaktywacji sto trzydzieści cztery osoby zapadły na chorobę popromienną. Dwadzieścia osiem z nich zmarło w ciągu kilku tygodni. Jeszcze dwie osoby zmarły od oparzeń, a jeden z pracowników IV bloku, Wałerij Chodemczuk, zginął pod jego gruzami (jego ciała nie wydobyto). Taki

jest bilans bezpośrednich ofiar katastrofy.

Przyczynami katastrofy były seria błędów obsługi, niekompetencja i zadufanie. Jeśli nawet przyczyniły się do niej usterki w budowie reaktora, miały trzeciorzędne znaczenie. Jednak taka katastrofa była wpisana w samą konstrukcję reaktorów RBMK z moderatorem grafitowym. W moderowanych wodą reaktorach WWER taka katastrofa była niemożliwa (choć i w tę konstrukcję, jak w każdą inną, wpisane są określone potencjalne awarie). Te reaktory były niebezpieczne – nadal są, bo sporo ich pracuje w Rosji⁴². Nie był to pierwszy poważny wypadek w Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej. W 1982 r., podczas włączania reaktora po przerwie konserwacyjnej, przez pomyłkę wyłączono jego chłodzenie. Doszło do przegrzania reaktora, stopienia części paliwa i uwolnienia substancji promieniotwórczych przez system wentylacyjny. Obsługa zorientowała się „już” po kilkudziesięciu minutach, więc awaria nie przekształciła się w katastrofę. Ale do dziś nie wiemy, jaki był rozmiar ówczesnego skażenia, choć niewątpliwie znacznie mniejszy niż w 1986 r.



Czarnobylska Madonna, pomnik ofiar katastrofy przed muzeum czarnobylskim w Kijowie, wzniesiony w 1996 r. (zdjęcie z 2006 r.). Zależność od wcześniejszego o trzy lata kijowskiego pomnika ofiar Hołodomoru jest oczywista i nieprzypadkowa.

Ugaszenie pożaru umożliwiło budowę tzw. sarkofagu (po ukraińsku *Ukryttia*, Schron), otaczającego zniszczony IV blok ze wszystkich stron,

także od spodu, pod fundamentami (ta część, zabezpieczająca wody gruntowe na wypadek przepalenia fundamentów, wydawała się wówczas najważniejsza). Ukończono go w listopadzie 1986 r. Ze względu na bardzo wysoki poziom promieniowania konstrukcję montowano przy użyciu zdalnie sterowanych dźwigów (przy ówczesnym poziomie automatyki przemysłowej, który dziś wydaje się jaskiniowy), więc z niewielką dokładnością. Była to konstrukcja pionierska – nikt wcześniej nie musiał projektować ani wznosić takiej budowli. Budowli, a nie „sarkofagu”, gdyż nie chodziło o to, by odciąć dostęp do zniszczonego bloku. Musiał on pozostawać pod stałym nadzorem, nikt bowiem nie wiedział, jak będzie zachowywać się magma roztopionego uranu, plutonu i betonu. Konieczny był więc dostęp dla ludzi i sprzętu.

Z terenów skażonych wysiedlono ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi (niektóre miejscowości objęto wysiedleniem dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych); 6 maja rozważano nawet wysiedlenie Kijowa. Mimo kompletnego zaskoczenia akcją ewakuacyjną i inne działania ratunkowe przeprowadzono sprawnie, unikając m.in. paniki wśród ewakuowanych czy mieszkańców innych miejscowości: sowiecki system obrony cywilnej, przygotowywany na wypadek wojny jądrowej, okazał się skuteczny. Jednak, jak dziś wiemy, nieraz działano pochopnie – już wysiedlenie Czarnobyla (miasta) nie było konieczne: miasto zabito bez żadnego sensu. Podobnie nie było potrzeby wysiedlania wielu wsi.

Na najbardziej skażonych terenach, tam, gdzie opadały większe fragmenty paliwa jądrowego, podjęto szeroko zakrojoną akcję dezaktywacyjną. Tzw. Rudy Las, prawie pięć kilometrów kwadratowych sośniny porażonej śmiertelnie (igliwie tych drzew zrudziało w ciągu kilkunastu godzin, dając początek nazwie), wycięto i częściowo zasypano ziemią. Dziś na „mogilnikach”, gdzie próchnieje stary las, porosła nowa sośnina, gdzie indziej las odnawia się w naturalny lub wspierany przez leśników sposób.

Część silnie skażonej ziemi także zasypywano piaskiem, ale co najmniej kilka wysiedlonych wsi, zamiast zburzyć budynki i przykryć je ziemią, spalono bez myśli o tym, że powoduje to dalszą migrację skażeń. A dziesiątki skażonych podczas akcji ratunkowej śmigłowców, setki czołgów, samochodów, motocykli etc. pozostawiono na polanach. Szabrownicy nie czekali długo.

Wyrzut substancji promieniotwórczych trwał dziesięć dni; większość

ciężkich pierwiastków opadła w promieniu stu kilometrów od elektrowni. Opad promieniotwórczy skoncentrował się głównie na Polesiu (po obu stronach granicy ukraińsko-białoruskiej), a także we wschodniej części Białorusi oraz między Briańskiem a Tułą. Lżejsze, w większości krótko żyjące izotopy obiegały cały świat.

Migracja izotopów wciąż trwa. Na przeważających na skażonych terenach lasach ogranicza ją naturalny, zamknięty obieg: listowie/igliwie – gleba – korzenie – listowie/igliwie. A to lasy w pierwszych dniach „wychwyciły” prawie 80% substancji promieniotwórczych, tych krótko- i tych długo żyjących. Ale z tysięcy kilometrów kwadratowych pól i łąk porywa je wiatr, każdej wiosny rozsiewa pylenie traw i dziczyńskich zbóż, każdego lata porywa je dym samorzutnych (i nie tylko samorzutnych) pożarów łąk i lasów, porywają wylewy rzek i strumieni, zabierają ze sobą przelotne ptaki (a zatrzymują się ich tu corocznie miliony, jeśli nie dziesiątki milionów). Pożary i pylenie udało się powściągnąć w zaskakujący i ekologiczny sposób: do strefy skażonej wypuszczono kilka par koni Przewalskiego. Zaaklimatyzowały się świetnie, rozmnożyły i rok po roku wyjadają trawy i zboża, zanim zaczną pylić.

Najcięższe izotopy siła grawitacji pociąga coraz głębiej – za jakieś sto lat dotrą do warstw wodonośnych. Ale wtedy będą już znacznie mniej groźne – izotopów strontu już praktycznie nie będzie. Jeszcze inne opuszczają strefę na butach pielgrzymów odwiedzających groby bliskich i w workach szabrowników.

Dzięki temu izotopy „poczarnobylskie”, choć coraz szerzej rozprzestrzenione, są coraz bardziej rozproszone, coraz bardziej zmieszane z innymi źródłami promieniowania przenikliwego w naszym otoczeniu, choćby radonem, emitowanym przez granit, ale i z zawartymi we wszelkich produktach spalania⁴³. Coraz mniej wyróżnialne, coraz słabsze. Wynika to z praw fizyki, z samej natury świata.

Była to jedna z największych katastrof technogennych, choć – wbrew medialnym kliszom – daleko nie największa: dwa lata wcześniej wybuch w fabryce chemicznej w indyjskim Bhopalu kosztował piętnaście tysięcy istnień ludzkich (nie licząc uszkodzeń wrodzonych u dzieci, rodzących się po katastrofie). Zaś w 1975 r. zawalenie się chińskiej zapory wodnej Banqiao przyniosło śmierć stu siedemdziesięciu tysiącom ludzi, a pozbawiło dachu nad głową jedenaście milionów.

Do dalszego rozwoju wypadków wokół elektrowni czarnobylskiej jeszcze tu wróć. Teraz przejdę jednak do kluczowych skutków tej katastrofy, znacznie poważniejszych niż jej bezpośrednie, fizyczne i techniczne, a nawet medyczne konsekwencje. Bo od czarnobylskiego ognia spłonęło wielkie imperium.

Duchowy Czarnobyl

Upadek państwa sowieckiego był wynikiem wielu różnych czynników. Gdyby chcieć wskazać jeden, mogłoby nim być jedynie jego powstanie. W połowie lat osiemdziesiątych ZSRS usiłował dźwignąć się z kryzysu, utrzymać status supermocarstwa, zagrożony wobec beznadziejnie już przegranej wojny w Afganistanie oraz niemożności sprostanania rozwojowi technologicznemu USA. Taki był istotny cel przebudowy (*pieriestrojki*) podjętej przez Gorbaczowa. Projektu, który mógł się powieść, skoro powiodło się podobne przedsięwzięcie w Chinach. Nie powiódł się z wielu powodów – a katastrofa czarnobylska nie była wśród nich ostatnim.

Pierwszą reakcją władz sowieckich na katastrofę było kłamstwo. Oficjalne przesłanie brzmiało: nic się nie stało, niech się święci Pierwszy Maja, wszyscy do walki z alkoholizmem. Nie żartuję – od 1985 r. sowiecka nomenklatura była do tego stopnia zaabsorbowana „osuszaniem” kraju (czyli odbieraniu człowiekowi sowieckiemu artykułu pierwszej potrzeby, porównywalnemu z chlebem), że 28 kwietnia 1986 r. I sekretarz kijowskiego komitetu KPZS, indagowany o katastrofę przez członków organizacji partyjnej Uniwersytetu Kijowskiego, odpowiedział dosłownie: „Aleście wymyślili problem. My się zastanawiamy, czy sprzedawać pierwszego maja wódkę, czy nie. To jest problem!”. A tego dnia Kijów już wiedział o katastrofie, choć nieoficjalnie – i kto tylko mógł, wywoził dzieci z miasta.

Opisany tu epizod mówi coś więcej: ludzie nie tylko wiedzieli, ale odważali się pytać, głośno i wyraźnie. Kilka dni później wiedzieli już wszyscy – ewakuacji setek tysięcy ludzi, większości przez Kijów, zaangażowania tysięcy instytucji w akcję ratunkową nie dało się utajnić. A kilkudniowe ukrywanie tego, co było nie do ukrycia, wstrząsnęło społeczeństwem. Tym bardziej, że nie chodziło o kolejne mniej lub bardziej abstrakcyjne kłamstwa polityczne czy bajki o tym, że

„lokomotywy staniały”, ale o zdrowie ich dzieci. Już po kilku miesiącach zaczął powstawać, przede wszystkim na Ukrainie, spontaniczny ruch ekologiczny⁴⁴, skupiający głównie młodzież i intelektualistów. Władze nie wiedziały, jak mają reagować – tworzenie organizacji nieformalnych (tj. niezależnych od kompartii) od niedawna było oficjalnie tolerowane, jeszcze nie opracowano narzędzi ich kontrolowania. A co inteligentniejsi członkowie elit komsomolskich zajmowali się już bogaceniem się, „front ideologiczny” niewiele ich obchodził.

Kilka miesięcy po katastrofie w Czarnobylu doszło do pożaru biblioteki Akademii Nauk w Leningradzie (dziś ponownie Petersburgu), który akademik Lichaczow⁴⁵ nazwał „duchowym Czarnobylem”. Hasło padło na podatny grunt. Z dnia na dzień powstało pojęcie „ekologii ducha”, a „nieformalnie” zaczęli nie tylko pytać o Czarnobyl, ale upominać się o historię i kulturę narodową, o prawa języka ukraińskiego i – z mniejszą determinacją – białoruskiego (podobne były reakcje w Rosji, choć tam z oczywistych względów nie stawała kwestia języka). Do ruchu, który z ekologicznego stawał się narodowym, przyłączało się coraz więcej intelektualistów bez dysydenckich sympatii, jak wielki pisarz Ołes Honczar⁴⁶ czy popularny poeta Borys Olijnyk⁴⁷.

W 1987 r. Gorbaczow ogłosił politykę jawności życia publicznego (*glasnosti*). Nie miał innego wyjścia – ludzie sami brali jawność, a władze, za słabe, by to przebudzenie stłumić, musiały stanąć na jego czele, by choć trochę je kontrolować. Bezskutecznie: prawda coraz szerzej torowała sobie drogę (a obok niej torowały sobie drogę nowe nieprawdy). Po paru latach system komunistyczny zwietrzał do tego stopnia, że nie dało się go utrzymać. Czy jednak Gorbaczow proklamowałby jawność, gdyby nie było takiej właśnie społecznej reakcji na katastrofę czarnobylską? Można wątpić. Cele *pieriestrojki* bynajmniej jej nie wymagały.

Katastrofa czarnobylska zachwiała i tak załamującą się gospodarką sowiecką. Koszty akcji ratunkowej, przesiedlenia kilkuset tysięcy ludzi, budowy nowych osiedli etc. szły w miliardy dolarów. Sfinansowano je kosztem innych celów – żaden budżet nie może mieć aż takich rezerw na wydarzenia nadzwyczajne. A tym bardziej budżet, którym już zachwiała polityka antyalkoholowa, pozbawiająca państwo ogromnych dochodów. Potem dołączyły się dalsze koszty, dalsze szkody, jak choćby trwała rezygnacja z wykorzystania Prypeci i Dniepru jako szlaków żeglugowych.

Już po kilku latach wątki ekologiczne zeszły na dalszy plan, a katastrofa czarnobylska i los jej ofiar (podobnie jak weteranów wojny afgańskiej, bardzo licznych na Ukrainie) zeszły do roli demagogicznych haseł najróżniejszych ugrupowań. Ukraińska elita podjęła walkę o prawo do tożsamości narodowej, a potem – o niepodległość. Ale nie można zapomnieć, że droga prowadząca do ogłoszenia niepodległości Ukrainy i rozwiązania Związku Sowieckiego zaczęła się od niewygodnych pytań o pożar elektrowni w Czarnobylu.

Gorzka gwiazda Piołun

Kilka lat przed katastrofą Lina Kostenko napisała w jednym z wierszy:

*I wschodzi ponad Dnieprem gorzka gwiazda Piołun.
Tam wybuch. Ówdzie wulkan. Ruina. Zagłada.*

W 1986 r. te słowa popularnej poetki skojarzono z katastrofą, co nadało Czarnobylowi wymiar apokaliptyczny. Bo *czornobyl* to jedna z potocznych ukraińskich nazw piołunu (w botanicznym znaczeniu jest to bylica pospolita). Jej nazwa to dosłownie „czarne ziele”, ale też – czarny ból (*byl* – ziele, roślina; *bil* – ból). Czarnobylska elektrownia położona jest nieco powyżej Kijowskiego Zbiornika Wodnego, w powszechnym (aczkolwiek błędnym) przekonaniu głównego źródła wody dla ukraińskiej metropolii. Biblijna gwiazda Piołun spadła właśnie na źródła wód (Ap. 8,10–11). Wielu ludzi w Kijowie było wówczas przekonanych, że woda zmieniła smak. W dziesiątą rocznicę katastrofy prezydent Kuczma powiedział na centralnej akademii, że „dziesięć lat temu na ukraińską ziemię spadła czarna gwiazda Czarnobyla – «gorzka gwiazda piołun»”.

Niemal natychmiast po katastrofie pojawiły się apokaliptyczne pogłoski o jej następstwach. Można było usłyszeć o dziesiątkach tysięcy zmarłych, grzebanych w masowych grobach, o świecących chmurach (także w Polsce⁴⁸), o samolotach, które celowo wytrącały z powietrza substancje radioaktywne nad Białorusią, by chronić Moskwę, a wkrótce – o „popromiennych mutacjach”, zmianach, jakie pod wpływem promieniowania zachodziły u całych populacji różnych gatunków, czy to roślin, czy zwierząt. Wiele lat później białoruskie dzieci wierzyły w istnienie „potwora radiacji”, którego można było bać się „racjonalnie”,

inaczej niż niewyczuwalnego dla człowieka promieniowania.

Opowieści te, rzadko oparte na jakichkolwiek faktach, brały się nie tylko z zakorzenionego lęku przed wojną jądrową, ale też z popularnej fantastyki amerykańskiej, która właśnie wtedy dzięki *pieriestrojkowym* klubom wideo docierała masowo do mieszkańców sowieckich miast (obok soft porno właśnie fantastyka klasy B i C cieszyła się tam największym wzięciem). To z tych filmów brały się przywołane wyżej pojęcia o mutacjach, sprzeczne z elementarną wiedzą biologiczną. A i przekonanie o promieniowaniu jako źródle nieuniknionej, „milczącej” śmierci wydaje się mieć związek z filmem *Ostatni brzeg*⁴⁹.

Koniec lat osiemdziesiątych przyniósł załamanie zaufania do nauki i rozwój najróżniejszych irracjonalizmów. Łatwo wierzono we wszystko, czy to w „uzdrowiciela” Kaszpirowskiego⁵⁰, czy to w to, że wódka zabezpiecza przed promieniowaniem, a czerwone wino „wypłukuje radionuklidy”, czy wreszcie w to, że katastrofę czarnobylską wywołano celowo, by wyniszczyć naród ukraiński.

W to ostatnie przed dwudziestu laty wierzyła znaczna część Ukraińców; wielu zapewne wierzy do dziś. W mediach można było spotkać określenia takie, jak „atomowa mina, podstępnie podłożona pod samo serce Ukrainy przez moskiewskie imperium”, w 1989 r. ukraińscy patrioci żądali „czarnobylskiego procesu norymberskiego”, a 1996 r. pojawiło się w Kijowie otwarte zestawianie Hołodomoru 1933 r. i katastrofy czarnobylskiej jako dwóch zbrodni ludobójstwa.

To ostatnie skojarzenie przypomina, że Ukraina wciąż żyje w cieniu przemilczanej przez dziesięciolecia katastrofy z lat trzydziestych. Dopiero po 1990 r. Ukraina zaczęła odzyskiwać pamięć i celebrować żałobę po ofiarach Hołodomoru. O Czarnobylu można było głośno mówić, gdy to pierwsze wydarzenie wciąż było najściślejszym tabu. Czy i to nie przyczyniło się do wyolbrzymienia konsekwencji katastrofy czarnobylskiej?

Warto tu przywołać jeszcze jedno skojarzenie kulturowe. Tereny objęte wysiedleniem w oficjalnej terminologii nosiły nazwę stref (*zon*). To słowo wywołało niemal natychmiastowe skojarzenie z filmem *Stalker*, do tego stopnia, że ludzi nielegalnie przedostających się do *zony* (w większości szabrowników) zaczęto zwać *stalkerami*. I to skojarzenie kształtowało w świadomości społecznej wyolbrzymiony obraz zagrożeń, związanych z katastrofą czarnobylską, tym bardziej, że przejmujący film

Tarkowskiego⁵¹ łatwo było uznać za jej przecucie.

Po trzydziestu latach

Mimo katastrofy elektrownia pracowała dalej. W 1991 r. wyłączono z eksploatacji jej II blok (powodem był niegroźny pożar dachu), w 1996 r. I, wreszcie w 2000, pod silną presją międzynarodową – III, bezpośrednio sąsiadujący z Sarkofagiem. Nie oznaczało to zakończenia ich funkcjonowania, a tylko przerwanie produkcji energii elektrycznej.

Elektrownię zamknięto nie dlatego, że była niebezpieczna, ale dlatego, że stanowiła symbol katastrofy czarnobylskiej. Za tę cenę Ukraina ocaliła swój program jądrowy, istotny z punktu widzenia jej niezależności energetycznej.

Po katastrofie władze sowieckie wycofały się zarówno z dalszej rozbudowy elektrowni czarnobylskiej, która miała być największą sowiecką elektrownią jądrową (w 1986 r. budowano dwa kolejne jej bloki, planowano dalszych pięć), wstrzymały budowę Krymskiej Elektrowni Atomowej (trwającą od 1975 r.), a także będące w fazie początkowej – Charkowskiej, Odeskiej i Czehryńskiej. W 1991 r. Rada Najwyższa Ukrainy wstrzymała rozbudowę elektrowni Zaporoskiej, Chmielnickiej i Równieńskiej, choć zaawansowanie robót wynosiło 80%. Po dwóch latach prace wznowiono. Dziś Ukraina generuje w elektrowniach jądrowych ok. 60% krajowej produkcji energii elektrycznej. Przed wybuchem wojny było to poniżej 50%, jednak część elektrowni ciepłych znalazła się na terenach okupowanych, inne zaś musiały ograniczyć działalność w związku z zakłóceniami w dostawach węgla. Ukraińska energetyka jądrowa jest uzależniona od współpracy z Rosją: to Rosja dostarcza elementy paliwowe (wytwarzane z rudy, wydobywanej na Ukrainie), a także odbiera wypracowane i wychłodzone paliwo celem dalszego przerobu. Tylko w Południowoukraińskiej Elektrowni Atomowej wprowadza się sukcesywnie rdzenie paliwowe produkcji amerykańskiej. Rzecz nie jest jednak prosta – reaktory projektuje się pod określony kształt i wymiar elementów paliwowych. Kijów rozważa budowę własnego zakładu produkcji i przerobu elementów paliwowych, nie jest jednak w stanie sfinansować go samodzielnie. Nie może też, przynajmniej w obecnej sytuacji politycznej, myśleć o zyskaniu finansowania zewnętrznego: USA są zdecydowanie przeciwne rozwojowi

zaawansowanych technologii jądrowych w nowych krajach.

Szczęśliwie żadna z ukraińskich elektrowni atomowych nie znalazła się w strefie działań wojennych; w Donbasie ich nie było. Jednak ewentualny atak rosyjski mający na celu otwarcie lądowego połączenia obwodu rostowskiego z Krymem musiałby zbliżyć strefę walk do Zaporoskiej Elektrowni Atomowej⁵², której siedzibą jest Energodar na południowym brzegu Zalewu Kachowskiego. I kto wie, czy to ryzyko nie przyczyniło się do tego, że Rosja zaniechała takiej operacji?

Czarnobylska Elektrownia Atomowa wciąż działa. Pracuje tu ponad siedemset osób (według innych danych – aż dwa i pół tysiąca). Nie produkuje jedynie energii, więc też w żaden sposób nie przyczynia się do finansowania swej działalności. Paliwo, usunięte z bloków reaktorowych spoczywa w basenach chłodzenia i będzie musiało tam spoczywać jeszcze przez dziesięciolecia (nie da się tego procesu przyspieszyć, stale też trzeba go nadzorować). Paliwo to jest silniej promieniotwórcze niż przed załadowaniem do reaktora. Ot, jeden z paradoksów fizyki jądrowej. W ruinach IV bloku wciąż spoczywa gigantyczna „stopa słońca”, naciek zastygłej już magmy przetopionej stali, betonu, cyrkonu, uranu, plutonu i czego tam jeszcze nie użyto do budowy reaktora. Twór unikalny, bezprecedensowy. Nadaliśmy mu nazwę korium⁵³. Nie bardzo wiemy, co się w nim dzieje, dlaczego co jakiś czas samorzutnie rośnie, a potem spada emisja neutronów. Trzeba to obserwować, badać.

„Sarkofag” wzniesiony latem 2016 r. okazał się niewystarczający. Projektowano go i budowano w pośpiechu, z dużymi niedokładnościami. Dość szybko okazało się też, że dotychczasowe pojęcia o korozji betonu były błędne. Wiadomo było, że musi powstać nowa osłona IV bloku; stale łątanie dziur w betonowych ścianach „sarkofagu” nie wystarczało. Jednak dopiero w 2007 r. zapadła decyzja o budowie, a – po z konieczności długich pracach projektowych (to także jest przecież konstrukcja eksperymentalna) – francuska firma Novarka zbudowała ją w latach 2012–2016. Nowy obiekt, zwany Łukiem lub Arkadą (w polskich opracowaniach spotyka się często określenie „Arka”, jest to jednak błąd tłumaczenia: ukraińskie słowo *arka* to właśnie łuk [architektoniczny]), gigantyczny półkolisty namiot zmontowano obok ruin IV bloku, po czym nasunięto nań i hermetycznie zamknięto. Teraz będzie możliwa nie tylko obserwacja, ale też stopniowy demontaż ruin, usuwanie i należyte zabezpieczenie materiałów silnie skażonych.

Znaczna część strefy izolacji⁵⁴, skażona izotopami uranu i plutonu, nie będzie mogła być nigdy ponownie zamieszkała. Działają tam m.in. przedsiębiorstwa, przerabiające nisko- i średnioaktywne odpady promieniotwórcze (przede wszystkim pozostałe po akcji ratowniczej z 1986 r.). Planowano też budowę zakładu przerobu odpadów wysokoaktywnych oraz trzech wielkich składowisk tak dla odpadów wytwarzanych na Ukrainie, jak i zwracanego z Rosji wypalonego paliwa jądrowego. Jak się wydaje, ten ostatni projekt został „spalony” przez pogłoskę, że mają one mieścić odpady z importu, a także – fake news głoszący, że na takim składowisku może samorzutnie powstać masa krytyczna (i dojść do wybuchu jądrowego). Jednak po wybuchu wojny plany te stały się nieaktualne – póki ona trwa, nikt nie zainwestuje w zabezpieczanie odpadów radioaktywnych. Większe szanse ma rozwój energetyki słonecznej i wiatrowej (pierwszą elektrownię słoneczną uruchomiono tu w 2018 r.), które będą mogły wykorzystać bezużyteczne dziś sieci energetyczne elektrowni atomowej.

Do „zony” powraca życie. Stopień skażenia większości obszarów dotkniętych katastrofą znacząco spadł w wyniku naturalnego rozpadu izotopów promieniotwórczych. Poza strefą izolacji (która także nie w każdym miejscu jest śmiertelnie niebezpieczna) groźne są tylko „gorące punkty” (miejsca skupienia wysokoaktywnych izotopów). Na ulicach Czarnobyla, gdzie dziś znów mieszka ok. tysiąc osób, działają restauracje i hotele, poziom promieniowania był w 2008 r. wyraźnie niższy niż w centrum Warszawy.

Przyroda uwolniona od antropopresji (niezbyt silnej – poza samą elektrownią była to kraina biedna i zacofana) ma się świetnie. Dziki liczy się w tysiącach, podobnie jelenie, pojawiły się niespotykane tu od lat żubry, łosie i wilki, a nawet rysie. Nie ma żadnych mutantów: owszem, na początku rodziło się trochę zwierząt z uszkodzeniami genetycznymi, ale niemal natychmiast wyeliminował je dobór naturalny. Długotrwałe badania populacji myszy wykazały pewne anomalie genetyczne jedynie bezpośrednio po katastrofie, w latach 1987–1988. A myszy zagnieździły się nawet w zakamarkach „sarkofagu”, w warunkach zabójczych dla człowieka. I pozostały myszami.

Na terenach wysiedlonych Ukrainy mieszka dziś ponad 10 tys. ludzi. Niektórzy nigdy nie opuścili rodzinnych domostw. I nie są to tylko starcy – ok. 2005 r. w jednej z wtórnie zasiedlonych miejscowości trzeba

było otworzyć szkołę. Inna rzecz, że w kraju, którego ludność kurczy się, a wsie pustoszeją także w najżyźniejszych, dobrze zagospodarowanych regionach, ponowne zasiedlanie poleskich błot nie ma większego sensu.

Nowym biznesem stała się tu turystyka. Z początku nielegalna (więc „ekstremalna”), od 2002 r. już oficjalna. Grupy turystów podjeżdżają pod sam sarkofag, robiąc selfie z dozymetrami. Ale rozwija się też *bird-watching* i inne formy turystyki ekologicznej. A także myślistwo. Poza tym tereny skażone wciąż penetrują kłusownicy, grzybiarze, jagodziarze (szabrownicy już nie – wyszabrowano wszystko, co się dało), gdzieś w zagajnikach hoduje się mak i chyba marihuanę...

To na Ukrainie. O tym, co dzieje się na skażonych terenach Białorusi, wiemy znacznie mniej, tam jednak już ok. 2000 r. zaczęto przywracać rolnictwo i osadnictwo na terenach skażonych, a wiosną 2019 r. uruchomiono dwie trasy turystyczne. Wydaje się jednak, że katastrofa czarnobylska nie zajęła tam istotnego miejsca w narodowych dyskursach. O tym, co dzieje się na skażonych ziemiach Federacji Rosyjskiej, nie wiemy właściwie nic.

Ofiary Czarnobyla – inne spojrzenie

Długofalowe konsekwencje katastrofy czarnobylskiej przez dziesięciolecia były i pewnie jeszcze będą przedmiotem zaciekłych sporów. Jedni twierdzą, że wyzwolone wówczas promieniowanie przenikliwe zabiło już dziesiątki tysięcy ludzi i zabije jeszcze setki tysięcy, inni – że główną konsekwencją katastrofy jest irracjonalna „radiofobia”, a skutki promieniowania dla zdrowia są znikome, a w każdym razie – niemierzalne. A te dwa stanowiska zazwyczaj łączą się z negatywnym lub pozytywnym stosunkiem do rozwoju energetyki jądrowej.

O bezpośrednich ofiarach katastrofy już pisałem. Ze strefy skażonej po kilku dniach wysiedlono sto dwadzieścia tysięcy osób (w tym na Ukrainie dziewięćdziesiąt jeden tysięcy), a do 2000 r. dalsze ćwierć miliona (głównie na Białorusi, na Ukrainie siedemdziesiąt tysięcy); liczba wysiedlonych była stosunkowo niewielka, gdyż skażenie dotknęło terenów słabo zurbanizowanych.

W pięć lat po katastrofie rozpadło się państwo sowieckie, a dwie najciężej dotknięte jej skutkami republiki, Ukraina i Białoruś, musiały

same organizować i finansować likwidację jej konsekwencji (wcześniej było to zadanie wszechzwiązkowe; w latach 1986–1991 z budżetu związkowego wydano na nie ok. siedemnaście miliardów USD, a z budżetu Ukraińskiej SRS – dalszych sześć miliardów). Miało to m.in. ten skutek, że nie można dziś ustalić ani dalszych losów uczestników akcji ratowniczej w Czarnobylu, ani nawet pełnej ich liczby. To zaś wyklucza wiarygodną ocenę długofalowych konsekwencji zdrowotnych ówczesnego napromieniowania.

Zgodnie z oficjalnymi danymi ukraińskimi w tym kraju skażone zostały 2293 miejscowości w dwunastu obwodach. Liczba poszkodowanych deklarowana w 2006 r. to 2 930 184, w tym 901 050 dzieci. Dokładność tych liczb wskazuje na to, że chodzi o osoby oficjalnie uznane za poszkodowane. Inne dane mówią o pięciu milionach napromieniowanych na Ukrainie, dziewięciu milionach (w tym trzech milionach dzieci) na Ukrainie, Białorusi i Rosji, pół miliona zmarłych spośród dwóch milionów oficjalnie uznanych za ofiary Czarnobyla na Ukrainie, drugie tyle na Białorusi i stu tysiącach w Rosji. Jeszcze inne, że w latach 1986–1990 w całym Związku Sowieckim w następstwie katastrofy czarnobylskiej zmarło sto sześćdziesiąt siedem tysięcy osób, że do 2005 r. zmarło ponad trzydzieści tysięcy uczestników likwidacji następstw katastrofy itd. itp. Nadwyżka raka tarczycy, wywołana przez emisję jodu-131 (jedyne, który można jednoznacznie powiązać z katastrofą), szacowana jest na cztery tysiące przypadków do 2002 r., ale te same dane mówią o tym, że w 99% został on wyleczony.

Z drugiej strony szacunki IAEA z 2006 r. głosiły, że spośród sześciuset pięćdziesięciu tysięcy uczestników likwidacji następstw katastrofy (do 1990 r.) zaledwie 10% może umrzeć przedwcześnie z tego powodu, a raporty Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Jądrowego (UNSCEAR) z 2001 i Forum Czarnobylskiego z 2005 r. wręcz zaprzeczają wzrostowi zachorowań w konsekwencji katastrofy czarnobylskiej, sugerując, że widoczne pogorszenie stanu zdrowia mieszkańców Białorusi i Ukrainy jest skutkiem przesadnej reakcji psychicznej oraz ujawnienia licznych chorób, których przyczyną nie jest promieniowanie przenikliwe.

To ostatnie niewątpliwie jest prawdą: nie sposób przypisać wpływowi promieniowania chorób reumatycznych, gruźlicy czy cukrzycy, masowo wykrywanych po Czarnobylu. Nie dysponujemy poważnymi danymi

epidemiologicznymi sprzed katastrofy, nie wiemy więc, czy można tu mówić o wzroście zachorowań. Nie ulega wątpliwości, że w schyłkowym okresie ZSRS, a zwłaszcza po jego rozpadzie, jakość życia i stan zdrowia jego mieszkańców pogorszyły się gwałtownie, że załamanie demograficzne objęło wszystkie kraje postkomunistyczne, że nadużywanie alkoholu i tytoniu i życie w przewlekłym stresie obniżają ogólną odporność organizmu. Tak że np. znaczącego wzrostu śmiertelności niemowląt po katastrofie nie da się jednoznacznie przypisać radioaktywności, a zaburzeń psychicznych wśród dzieci, urodzonych kilka lat po niej w ogóle nie da się jej przypisać.

Poszukujące sensacji media każdą wadę wrodzoną, czy to człowieka, czy zwierzęcia, chętnie składają na karb Czarnobyla, kierując się kliszami rodem z tandetnej fantastyki. Wolontariusze, opiekujący się dziećmi z wadami rozwojowymi, przypisują je promieniowaniu, bo tylko tak mogą zdobyć sponsorów, choć takie same wady dwadzieścia lat wcześniej przypisywano alkoholizmowi rodziców. Wreszcie ci, którzy z katastrofalnych skutków jakichkolwiek doz promieniowania uczynili artykuł wiary, nie dają się niczym przekonać.

Tymczasem skażenie radioaktywne pochodzące z katastrofy czarnobylskiej nie jest jedynym źródłem promieniowania przenikliwego. Nie jest nawet głównym: na części obszarów, skażonych po katastrofie czarnobylskiej naturalne tło promieniotwórcze jest wyższe od skażenia. A większość wysiedlonych Ukraińców przeniesiono na tereny, na których to tło było jeszcze wyższe, bo granitowa płyta jest tam znacznie bliżej powierzchni ziemi (pochodzący z tej skały radon dostarcza ok. połowy średniej dawki, otrzymywanej przez człowieka w warunkach, uznawanych za normalne; w Kijowie, na Podolu, ale także np. w centralnej Finlandii – wyraźnie więcej).

Wielu nie przyjmuje powyższych danych do wiadomości, domagając się uwzględnienia przyszłego skumulowanego wpływu niewielkich dawek promieniowania. To prawda, nie możemy wykluczyć takiego skumulowanego wpływu, dziś jednak uwzględnić się ich nie da – należą do przyszłości. Wymiana pokoleń naszego gatunku jest zbyt powolna, byśmy w dającym się prognozować czasie uzyskali tu wiedzę. Tymczasem to, czego dowiadujemy się o gatunkach żyjących krócej (choćby wspomnianych myszach), przemawia przeciw katastrofalnym prognozom co do człowieka. Na razie to tylko obawa, nie fakt.

Tymczasem skutki powszechnego strachu przed promieniowaniem są faktem. Okazały się poważne, m.in. dlatego, że problem ten został zlekceważony (i jest lekceważony do dziś). Nikt nie usiłuje leczyć, ba – nawet opisać rzeczywistego schorzenia, będącego konsekwencją katastrofy, które określiłbym mianem „syndromu depresji poczarnobylskiej”, która na Ukrainie przybrała rozmiary choroby społecznej. Depresji – śmiem twierdzić – indukowanej przez władze publiczne. Ale to schorzenie (i wszystkie odeń pochodne, bo depresja pociąga za sobą ogólne obniżenie odporności) nie jest skutkiem promieniowania przenikliwego.

Na potwierdzenie dwa przykłady: większość czarnobylskich energetyków, którzy po katastrofie przenieśli się do Kijowa, choruje i już w 1996 r. była niezdolna do pracy, podczas gdy ci, którzy pozostali w elektrowni, są na ogół zdrowi i żywotni, mimo że codziennie narażeni na znacznie podwyższone promieniowanie. Zaś z badania przeprowadzonego na Ukrainie w 2008 r. wynikało, że 30% osób, zaangażowanych w likwidację skutków katastrofy stwierdziło, że w konsekwencji katastrofy straciło chęć do życia, a 40% nie zamierzało nic robić, by poprawić swą sytuację.

To, że przyczyną depresji poczarnobylskiej nie jest promieniowanie, ale wysiedlenie z rodzinnych stron, utrata majątku, strach, stres, wreszcie oficjalne zaliczenie do kategorii „ofiar” nie umniejsza cierpienia jej ofiar. Ci ludzie rzeczywiście są chorzy. Straty zdrowotne spowodowane czarnobylską depresją (w tym nadwyżka samobójstw) są daleko większe niż hipotetyczna liczba przyszłych przypadków raka. Już dziś. Ci ludzie niewątpliwie są ofiarami katastrofy czarnobylskiej. Ale nie radioaktywności, lecz działań i zaniechań władzy publicznej, a także nieodpowiedzialności mediów, podchwytyjących każdą bzdurę o Czarnobylu. W tym krzewionego przez media i „szeptankę” przekonania o katastrofalnych skutkach jakiegokolwiek kontaktu z promieniowaniem przenikliwym, rodzącego przekonanie, że wszyscy mający jakikolwiek z nim kontakt muszą być ciężko chorzy, jeśli nie w tej chwili, to w przyszłości.

Tej depresji sprzyja też system ulg socjalnych, przyznawanych wszystkim, którzy brali udział w likwidacji skutków katastrofy. Ten system niewiele pomaga rzeczywiście poszkodowanym, w jakiejś mierze łagodzi skutki późniejszej pauperyzacji, obfituje w rozliczne absurdy, jak

wydawanie dzieciom „likwidatorów”⁵⁵, choćby urodzonym dwadzieścia lat po katastrofie, bezpłatnych posiłków w szkołach, system, który trzydzieści lat po katastrofie pochłaniał 17% budżetu Ukrainy. System, który umacniał sowiecką kulturę liczenia przede wszystkim na państwo, przekształcał ją w syndrom wyuczonej bezradności, znany wszystkim krajom postkomunistycznym.

W dodatku między tych, którzy rzeczywiście pracowali nad ograniczeniem skutków katastrofy, wkręciło się mnóstwo partyjniaków, którzy już wiedząc o ulgach, przyjeżdżali do strefy skażonej na kilka godzin, by zapewnić sobie status „czarnobylców”. Nigdy nie przeprowadzono weryfikacji list uprawnionych do ulg spisanych w latach 1986–1988. Potem zaś uprawnieni do ulg wraz z rodzinami stali się ważną część elektoratu, więc wszystkie liczące się partie wpisały do programów postulat szczególnej opieki nad „czarnobylcami”. Nawet dziś żaden z polityków nie odważy się powiedzieć, że część ulg i świadczeń, zwłaszcza tych przysługujących wnukom poszkodowanych sprzed trzydziestu lat, należałoby znieść. Jak napisał ukraiński dziennikarz: „trudno będzie zlikwidować następstwa likwidacji następstw likwidacji katastrofy czarnobylskiej”.

Jest wszakże jedna grupa bezpośrednich, śmiertelnych ofiar katastrofy czarnobylskiej, o którą, o ile wiem, nikt się dotychczas nie upomniał. To kilkaset tysięcy, może ponad pół miliona nienarodzonych, zamordowanych w ciągu kilku miesięcy po katastrofie w całej Europie. Zamordowanych w dużej mierze z inicjatywy lekarzy, obawiających się uszkodzeń wrodzonych, związanych z napromieniowaniem. To, że dzieci, którym pozwolono wówczas żyć, nie miały tych wad więcej niż ich starsi rówieśnicy, przekonuje, że lekarze się mylili.

W realnym bilansie ofiar Czarnobyla nienarodzeni są grupą najliczniejszą. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale znów: to nie są ofiary promieniowania przenikliwego, ale panicznego strachu, cynizmu i podłości.

Słabnąca pamięć

W pierwszych latach i dziesięcioleciach dość powszechne było interpretowanie katastrofy czarnobylskiej jako świadomego działania władz sowieckich, aż do określania jej mianem ludobójstwa. Wznowił to

podejście w 2016 r. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, występując z hasłem „Katastrofa im. Lenina”, jednak z niewielkim powodzeniem. Podobnie nieczęsto zdarza się dziś słyszeć powszechne niegdyś opinie, że katastrofa czarnobylska podzieliła dzieje całego świata na epoki: „przed” i „po”. W 2006 r. prezydent Kuczma twierdził, że „Od tragicznego świtu 26 kwietnia 1986 r. zaczęła się nowa rachuba czasu w historii ludzkości, w historii cywilizacji. (...) historia świata jest odtąd historią czarnobylskiej katastrofy”. Dziś nikt tak nie mówi.



Obraz z połtawskiej galerii obrazów, lato 2016 r., autora nie zapamiętałem. Kateryna z obrazu Szewczenki na tle czarnobylskiego Sarkofagu. Cytat z poematu Szewczenki „Tryzna”: *O święta/ Święta ma ojczyzno/ czym dopomogę ci, szlochając*. Zdjęcie Wojciecha Konończuka.

Ukraina usiana jest pomnikami „likwidatorów”: każde miasto i wiele wsi, z których pochodzili, chciało ich upamiętnić. W samym Kijowie jest ich sześć. Działa kilka muzeów katastrofy (w tym w samej Prypiati, nieopodal od elektrowni, nazwane Muzeum Gwiazdy Piołun); główna sala kijowskiego muzeum ma charakter sanktuarium, łączącego elementy prawosławne i pogańskie. Powstało kilka ikon Zbawiciela Czarnobylskiego i Matki Bożej Czarnobylskiej, liczne utwory literackie, plastyczne i muzyczne.

Katastrofa czarnobylska wpisała się w ukraiński mit narodowy jako wydarzenie niewiele mniejszej rangi niż Hołodomor. Czarnobylskich ratowników często zwie się „weteranami” i traktuje na równi z kombatantami wojny w Afganistanie (którym także na Ukrainie masowo wznoszono pomniki), a nawet II wojny światowej. Umocniła autostereotyp narodu-ofiary, narodu „postludobójczego”, noszącego nieusuwalną traumę przeżytego poczwórnego ludobójstwa (Hołodomoru, represji sowieckich, okupacji niemieckiej i Czarnobyla). Umocniła martyrologiczny charakter ukraińskiego mitu narodowego.

W 2016 r. obchody rocznicy katastrofy czarnobylskiej zeszły na dalszy plan. Kraj żył pierwszą rocznicą utraty Krymu i początku wojny w Donbasie, wojny, która wciąż trwała. Na pierwszy plan życia społecznego wysuwało się dojrzałe już „pokolenie niepodległości”, ludzie ukształtowani w ukraińskim państwie, ukraińskiej szkole. Czarnobyl to dla nich już tylko historia, nie – jak dla ich rodziców – pokoleniowe doświadczenie formujące. Jak dalece zmieni to percepcję tej katastrofy w nadchodzących latach, nie sposób na razie ocenić.

W co chcemy wierzyć?

Nie tylko na Ukrainie trzydziesta rocznica katastrofy czarnobylskiej pozostała na marginesie dyskursu społecznego. W świecie zachodnim też. Zaważyło tu przede wszystkim wyciszenie europejskiego dyskursu wokół energetyki jądrowej, gdy po katastrofie w Fukushima (2011 r.) Niemcy zrezygnowały z jej rozwoju. Ustało więc stałe, zakulisowe podsycanie tego dyskursu przez wielkich dostawców gazu ziemnego dla Europy, w których interesie było zablokowanie energetyki jądrowej. Istotne było też skupienie aktywności organizacji ekologistycznych na problemie globalnego ocieplenia, położenie nacisku przede wszystkim na

rezygnację z wykorzystania paliw kopalnych, a także na fatalnych skutkach wykorzystywania (a właściwie – wyrzucania) nadmiernej ilości tworzyw sztucznych, dostarczających mediom efektownych, poruszających obrazów.

Katastrofa czarnobylska została „oswojona”. Otwarcie „zony” dla turystyki pokazało ją światu jako ostoję przyrody, powracającej do stanu naturalnego, krainę wręcz urzekającą. Ponury obraz porzuconej Prypiati i (już tylko częściowo) Czarnobyla po dziesięcioleciach nie robi dawnego wrażenia, zwłaszcza na tle apokaliptycznego krajobrazu Aleppo i innych miast syryjskich. Media żyją sensacją, a zdrowie i równowaga sensacją nie są (nawet, jeśli są rzadkie).

Czarnobyl stał się też elementem popkultury, tematem kiepskich filmów „postapokaliptycznych” oraz gier, w których gracz staje się *stalkerem* nie tyle w realnej strefie czarnobylskiej, co w fikcyjnym świecie, utkanym z elementów gier i filmów „postapo” łącznie z wszelkiego rodzaju mutantami oraz żywymi trupami (zombie). To także odsuwa na dalszy plan rzeczywistą katastrofę i jej konsekwencje. A coraz powszechniejsze nastroje „preapokaliptyczne”, oczekiwanie załamania naszej cywilizacji i różnorodne formy przygotowania doń odsuwają myśl o katastrofie, która już się dokonała – i nie urosła do rangi globalnej, nie rozłamała dziejów na dwie epoki. Bo to ostatnie jest empirycznym faktem.

Pojawiło się jednak nowe niebezpieczeństwo. Reakcje mediów o katastrofie czarnobylskiej zawsze obfitowały w przykłady nieuctwa, często rażącego (przez dziesięciolecia powracał np. absurdalny news, że „naprawdę” w Czarnobylu miał miejsce wybuch jądrowy). Tymczasem poziom wiedzy przyrodniczej (zresztą jakiegokolwiek) kolejnych roczników Europejczyków spada w związku z uwstecznianiem się edukacji szkolnej. Dołącza się do tego rosnąca rola mediów społecznościowych w społecznym obiegu informacji, w których praktycznie nie ma możliwości eliminowania świadomej dezinformacji. Szerzą się też nie tyle tzw. teorie spiskowe, co przekonanie, że skoro władze informują o czymś, to nie może być to prawda. Jeśli ktoś znów dostrzeże korzyść, polityczną, gospodarczą lub czysto medialną w promocji „kłamstw czarnobylskich”, będziemy wobec nich bardziej bezbronni niż dwadzieścia lat temu.

I na koniec. Stosunek do następstw katastrofy czarnobylskiej (i nie

tylko jej) to nie jest tylko kwestia wiedzy o faktach. To także wybór moralny. W co chcemy wierzyć: w świecką apokalipsę, immanentne zło technologii, prymat bezpieczeństwa osiąganego przez skupienie się na biernej ochronie stanu posiadania, czy raczej w to, że dobre informacje mogą być prawdziwe, wspólny wysiłek społeczeństw może prowadzić do realnych zmian na lepsze, zaś przyroda ma immanentny potencjał przetrwania i odrodzenia. W ostatecznym rachunku – czy śmierć może zatriumfować nad życiem.

Pierwotna wersja tego tekstu ukazała się w dodatku do „Tygodnika Powszechnego” *Historia w Tygodniku* nr 2 z 30.04.2006 r. pod tym samym tytułem. Teraz został on gruntownie przeredagowany, przede wszystkim uwspółcześniony, zaś ostatni rozdział został napisany na nowo.

Błogosławieństwo zastoju. Ukraińska pamięć po komunizmie

W centrum Kijowa wciąż stoi pomnik Lenina, są też liczne pomniki innych działaczy komunistycznych, wśród nich Stanisława Kosiora⁵⁶, współodpowiedzialnego za Hołodomor, zresztą Polaka rodem z Węgrowa. Ten ostatni jest znacznie bardziej okazały (choć położony poza centrum miasta) niż pomnik ofiar Hołodomoru. Nie brak też pomnika Bohaterskich Czekistów⁵⁷. Ostatni komunistyczny wielkorządca Ukrainy, Wołodymyr Szczerbyckij, nie ma pomnika, ale przed czterema laty uroczyste obchodzono dziewięćdziesiątą piątą rocznicę jego urodzin. Na jego nagrobku na kijowskim cmentarzu Bajkowa⁵⁸, przypominającym ekran telewizora, nieznane ręce składają obok kwiatów święte obrazki.



Nagrobek Wołodymyra Szczerbyckiego w 2008 r.

Szczerbyckij był typowym aparatczykiem czasów postalinowskich. Urodził się w 1918 r. w Werchnodniprowsku (okolice obecnego Dnipra). Pochodził z ukraińskiej rodziny włościańskiej. Tuż po Hołodomorze, w wieku 16 lat, podjął pracę w aparacie Komsomołu. Zdobył wykształcenie inżynierskie z wojskową specjalizacją w zakresie obrony chemicznej. Dzięki temu uniknął wojny: przyszło mu służyć w dowództwie pasywnego Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego. W 1946 r. został pracownikiem aparatu partyjnego, dochodząc do najwyższych szczebli. Od 1972 do 1989 r. był I sekretarzem KC KPU, czyli wielkorządcą Ukraińskiej SRS. Kilka lat wcześniej był poważnym pretendentem do stanowiska sekretarza generalnego KC KPZC, najwyższego stanowiska w państwie sowieckim, musiał jednak ustąpić Gorbaczowowi. Usunięty ze stanowiska jako ostatni z republikańskich I sekretarzy czasów Breżniewa, zresztą na jednoznaczne żądanie Gorbaczowa, przeszedł na emeryturę. Rok później zmarł, oficjalnie na zapalenie płuc, według powszechnego przekonania – śmiercią samobójczą.

Był typowym przedstawicielem „dzieci Stalina”, pokolenia uformowanego w latach trzydziestych i czterdziestych XX w. Promotor rusyfikacji życia publicznego, tępicieł ukraińskich dysydentów, zdecydowany przeciwnik *pieriestrojki*, odpowiedzialny m.in. za przeprowadzenie „czarnobylskiej” manifestacji pierwszomajowej. Ale pamiętany jest głównie jako budowniczy bloków mieszkalnych, dróg i zakładów pracy, jako architekt ukraińskiej „małej stabilizacji” (czy też „czasów zastoju”). A wersja o jego samobójstwie uzupełniana jest legendą, że odczuwał wyrzuty sumienia z powodu swych decyzji po katastrofie czarnobylskiej. Nieważne, czy tak było naprawdę – znamienne, że wielu Ukraińców chce w to wierzyć.

Czy pamięć o Szczerbyckim jest rzeczywiście, jak chcą Ukraińcy intelektualisci o nastawieniu liberalnym, skutkiem manipulacji dawnej nomenklatury, wciąż w przeważającym stopniu kontrolującej życie publiczne? Nie sądzę. Jest to raczej symboliczny wyraz dobrej pamięci o sowieckiej przeszłości. Pamięci, której trudno się dziwić w społeczeństwie, które jako wartość, najcelniej charakteryzującą państwo demokratyczne na drugim miejscu wymienia zapewnienie wszystkim pracy, a dopiero na szóstym prawo udziału w wyborach (badanie z 2006 r.) i które wciąż w przytłaczającej większości uważa Dzień Zwycięstwa za jedno z najważniejszych świąt. W którym

nowożeńcy wciąż zwyczajowo składają kwiaty „przy wiecznym ogniu”, w podzięce tym, którzy polegli w wojnie „toczonej w obronie życia na ziemi” (nadal spotykane sformułowanie z czasów stalinizmu).

Skąd ta dobra pamięć w społeczeństwie tak ciężko doświadczonym przez komunizm? Nie zrozumiemy tego, dopóki nie zastanowimy się, co właściwie jest przedmiotem tej pamięci. Jeśli uznamy, chyba dość optymistycznie, że wydarzenia społeczne i polityczne zapamiętujemy mniej więcej od dwunastego roku życia, nikt już na Ukrainie nie pamięta rewolucji bolszewickiej, prawie nikt – ukrainizacji lat dwudziestych ubiegłego wieku. Garstka najstarszych pamięta Hołodomor, wielu, ale coraz mniej II wojnę światową. Panowanie Breżniewa i Czarnobyl pamiętają wszyscy, oprócz najmłodszych. Zatem realna pamięć o komunizmie (a nie zapośredniczona wiedza o nim) to pamięć o latach „małej stabilizacji”. Zwłaszcza poza stołecznym Kijowem, w tysiącach wsi, miasteczek i miast.

Błogosławieństwo zastoju

W ciągu siedemdziesięciu lat istnienia komunizm zmieniał się, ewoluował. Czym innym była gorączka „komunizmu wojennego” z lat wojny domowej, czym innym „imperium strachu” lat trzydziestych, jeszcze czym innym schyłkowa „epoka zastoju”, czas powolnej degradacji systemu na wszystkich płaszczyznach, od gospodarczej po ideologiczną.

Ten ostatni był czasem wytchnienia po dziesięcioleciach wielkich wysiłków, częstych zmian politycznych reguł gry i kolosalnych strat, zagrażających samemu trwaniu narodu ukraińskiego. Gdy ok. 1930 r. Stalin przerwał politykę ukrainizacji, pierwszy okres komunistycznej stabilizacji, rozpoczęło się „ćwierćwiecze katastrofy”, porównywalnej może tylko z Ruiną drugiej połowy XVII w.⁵⁹ Kolektywizacja i rozkułaczenie, Hołodomor, Wielka Czystka, która pochłonęła znaczną część nowej inteligencji, wojna i okupacja, powojenny głód i nowa fala masowych represji, wreszcie, już za rządów Chruszczowa, „drugie rozkułaczenie” (zakaz samodzielnej działalności gospodarczej kołchoźników), które ostatecznie złamało sowiecką wieś. Rzeź kilku pokoleń: miliony poległych, zamordowanych i przedwcześnie zmarłych, miliony wygnanych, dziesiątki milionów złamanych losów.

Po tym wszystkim breżniewowska stabilizacja, dwadzieścia lat spokojnego, choć niezbyt dynamicznego rozwoju była błogosławieństwem. Mogło się urodzić i dorosnąć nowe pokolenie, były mieszkania i ubrania, chleb, kiełbasa i wódka, była praca i płaca, a potem emerytura. I poczucie, że wreszcie „daje się żyć”. Była – zakazana za Stalina – duma ze zwycięstwa nad III Rzeszą. Tylko część elit wiedziała, jak biedny był ten dostatek na tle świata i ile było kłamstwa w oficjalnej narracji, organizującej życie społeczne.

Po opróżnieniu GULagu skończył się czas masowych represji. Dalsze prześladowania dysydentów dotyczyły niewielu. Ale destalinizacja nie oznaczała demokratyzacji, a tylko „powrót do norm leninowskich”, czyli przede wszystkim gwarancją bezpieczeństwa aparatu partyjnego, ale też – odejście od pragmatyzmu Stalina. A więc nowa fala ateizacji, burzenia cerkwi i prześladowania kleru, która szczęśliwie ominęła Ukrainę, bo tam priorytetem było zwalczanie Kościoła greckokatolickiego – prawosławie mogło poczekać. Poza tym, inaczej niż w Rosji, Kościół prawosławny był tu narzędziem rusyfikacji. Stąd też nowa „dekułakizacja”, atak na działki przyzagrodowe, odradzającej się po 1953 r. prywatnej przedsiębiorczości kołchoźników, masowe odbieranie bydła i przyzagrodowych łąk. Prywatną hodowlę udało się zniszczyć niemal w całości. Głównie w Rosji, na Ukrainie w mniejszym stopniu.

Dopiero wtedy bolszewikom udało się ostatecznie złamać wieś rosyjską i ukraińską. Za rządów Chruszczowa. Efektem byłby kolejny głód: w 1962 r. przywrócono kartki na chleb, a rok później tylko zakupy ziarna z USA ocaliły kraj od nowej katastrofy. Później Breżniew zniósł przywiązanie kołchoźników do ziemi (stary system był nieefektywny, utrudniał też kolejną falę intensywnej industrializacji) – i wieś się rozsypała. Dosłownie: młodzi i aktywni runęli do miast, a jednocześnie wymierało ostatnie pokolenie wieśniaków, umiejących gospodarować na małych i średnich gospodarstwach. Także dlatego tak trudno przebiega dziś na Ukrainie odtwarzanie średnioobszarowych gospodarstw rolnych.

Ale tego wówczas nie widziano. Natomiast masowe budownictwo mieszkaniowe dotyczyło bezpośrednio milionów, a zniesienie przywiązania kołchoźników do ziemi (dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ludność wsi dostała paszporty wewnętrzne, umożliwiające podróżowanie bez zgody władz administracyjnych;

gdzieniegdzie proces ich wydawania przeciągnął się do 1981 r.) dotyczyło prawie wszystkich, bo niewiele było w Związku Sowieckim rodzin, które nie miały krewnych na wsi. Często wyśmiewane dziś „zorianie celiny”⁶⁰ przyczyniło się do poprawy sytuacji aprowizacyjnej po klęsce polityki rolnej Chruszczowa: kazachskie zboże było wprawdzie podłe, ale umożliwiło wzrost produkcji zwierzęcej, kraj więc miał więcej mięsa. Kiepskiego, zgoda. Ale lepszego niż same kartofle.

Breżniew wrócił do polityki zbrojeń i eksportu rewolucji, a na użytek wewnętrzny – do wielkomocarstwowej propagandy, dającej poczucie dumy i bezpieczeństwa. Mało kto wiedział, że Związek Sowiecki nie goni „zgniłego Zachodu”, lecz zostaje coraz bardziej w tyle, że machina państwowa buksuje i zwalnia, że nomenklaturowa elita nie ma żadnego pomysłu na przyszłość (tego ostatniego dowiodła później *pieriestrojka*, będąca poszukiwaniem rozwiązań w ramach skompromitowanego już paradygmatu).

To pozorne bezpieczeństwo usypiało. Nawet wojna w Afganistanie niewiele tu zmieniła – i bez wojny każdego roku w Armii Czerwonej ginęły setki, jeśli nie tysiące poborowych. Ale sen też jest potrzebny, jednostkom i społeczeństwom. Gdy wybuch w Czarnobylu przebudził Ukrainę, była ona już inna. Silniejsza. Gotowa do podjęcia nowych wyzwań.

Pamięć po komunizmie

To, jak pamiętamy, zależy nie tylko od tego, co mamy (możemy) pamiętać. Także od tego, gdzie i kiedy pamiętamy. Pamięć o komunizmie zależy w ogromnym stopniu od sytuacji społeczeństw postkomunistycznych. A większości ludzi sowieckich postkomunizm przyniósł pauperyzację i poniżenie. Dotąd żyli w społeczeństwie bez rażących kontrastów materialnych, w którym ekstrema zamożności i biedy były ukryte przed okiem zwykłego mieszkańca, w którym umowa społeczna, choć nierównoprawna, była przestrzegana, a uczciwe życie i praca stanowiły godny naśladowania wzorzec.

Teraz usłyszeli, że są wolni – i dowiedzieli się, że pracodawca, też wolny, nie musi wypłacać im pensji, a państwo – emerytur (w połowie lat dziewięćdziesiątych wielomiesięczne zwlekanie w tym zakresie było właściwie normą, podobnie jak widok nauczycieli i urzędników,

sprzedających na bazarach cukier i wódkę, w których „wypłacono” im pobyty). Rozpętana w 1993 r. hiperinflacja pozbawiła ich oszczędności, w których upatrywali zabezpieczenie na starość. System opieki socjalnej załamał się zupełnie, opiekuńcza rola państwa została skompromitowana. W miastach pojawili się żebracy, a na tych samych ulicach – luksusowe sklepy, oferujące towary niedostępne nawet dla dobrze zarabiających. Rozpad Kraju Sowieków i drastyczny wzrost kosztów transportu podzielił miliony rodzin. „Odkryta” nagle kultura masowa przedstawiła nowe wzorce: kłamcy i oszusta, jeśli nie wręcz bandyty, a reklama ogłosiła, że wartość człowieka zależy od tego, ile i jak konsumuje (jednocześnie kultura ta, głosząc nieprawdę o społeczeństwach demokratycznych, utrudniała zrozumienie i akceptację ładu społecznego, opartego na wolności).

Wokół nich pojawili się nowobogacy, którzy (inaczej niż elita sowiecka) ostentacyjnie demonstrowali swój status i których bogactwo pochodziło ze źródeł, których człowiek sowiecki nie akceptował (tak, jak akceptował majątkowe przywileje władzy). A obok nich pojawiła się podklasa: ludzie, zepchnięci w skrajną nędzę. Nikt z tzw. szarych ludzi nie był w stanie sprostać nowemu wzorcowi konsumpcji (czyli życia).

Mieszkańcy Ukrainy (zresztą i Rosji, i Białorusi, choć w różnym stopniu) uporali się jakoś z tym doświadczeniem, na najróżniejsze sposoby potrafili odnaleźć się jako *homines postsovietici*, ludzie sprywatyzowani (bo *homo sovieticus* był przede wszystkim człowiekiem upaństwowionym, pod każdym względem zależnym od państwa i tę zależność akceptujący). Ale pamiętają schyłkowy komunizm przez pryzmat tego właśnie doświadczenia.

Niewielu żałuje komunizmu, tęskni za sowiecką Ukrainą (choć są i tacy, coraz starsi i mniej liczni). Ale bardzo wielu tęskni do uporządkowanego życia: terminowych wypłat, stabilnych cen, mieszkań, dostępnych dla rodzin pracowniczych... A jedyny taki ład, jaki znają, to porządek komunistyczny. On jest dla nich punktem odniesienia – i to się nie zmienia, póki „pokolenia stabilizacji” nie zastąpi dojrzałe już „pokolenie niepodległości”.

Można też na to spojrzeć inaczej: tęsknią do własnej młodości: czasu, gdy byli zdrowi, silni, pełni nadziei, gdy świat wydawał się otwarty (na komunistyczną modłę, innej przecież nie znali). To naturalna tęsknota – nikt nie lubi być stary i schorowany. Zwłaszcza gdy musi być w dodatku

biedny.

Im więcej mam lat, tym częściej łapię się na tęsknocie: nie za (np. PRL), ale do tego czegoś, co często nazywamy normalnością (i niemal każdy ma na myśli co innego). Świata, w którym policja ściga przestępców, media nie kreują trzeciorzędnych wydarzeń na klucze do świata, reklama nie dyktuje dyskursu społecznego... To nie jest, oczywiście, świat komunizmu. Ale też ja nie jestem „szarym człowiekiem”, dla którego ład społeczny to przede wszystkim terminowe otrzymywanie pensji/emerytury, możliwość kupienia chleba, kiełbasy i wódki. Właściwie – czemu nie? Co w tym złego? Owszem, komunizm pozbawiał nas wielu rzeczy – ale dopóki o tym się nie dowiedzieliśmy, nie odczuwaliśmy braku.

Dezorientację pamięci pogłębia to, że komunizm na Ukrainie (i nie tylko tam) nie został obalony. Nawet nie upadł. On się przekształcił, zreformował do niepoznania, przestał być komunizmem – bez naruszenia ciągłości instytucjonalnej i personalnej. To jeden z ważniejszych kluczy do zrozumienia sowieckiego wariantu postkomunizmu.

Komunistyczna okupacja?

Dziś na Ukrainie toczy się dyskusja, czy w tym kraju miała miejsce „komunistyczna okupacja”. I przeważa pogląd, że tak. Ale skoro tak, to kto był okupantem? Komuniści? Nie ma takiej grupy etnicznej ani społecznej. Rosjanie? W takim razie należałoby mówić o okupacji rosyjskiej (i tak stawia sprawę część radykalnych nacjonalistów). Ale rządy komunistów w Rosji były niewiele mniej dotkliwe niż na Ukrainie. Zatem albo pogląd o „okupacji” jest błędny, albo pozostaje jedna grupa potencjalnych okupantów: Żydzi. W obecnej dyskusji nikt tego nie głosi, ale taki pogląd był już formułowany i z pewnością będzie powracał. Bo jest łatwy, bo pozwala uniknąć problemu odpowiedzialności samych Ukraińców (i Rosjan) za komunizm.

Bolszewizm był zjawiskiem wszechrosyjskim (państwowym), a nie rosyjskim (etnicznym). Był na równi obcy i na równi swojski w Piotrogradzie i Kijowie, Moskwie i Doniecku, Mińsku i Jekaterynburgu. W przewrocie bolszewickim aktywnie uczestniczył proletariats małorosyjski (ukraiński), na Ukrainie działały dwie rodzime partie

komunistyczne, dążące do budowy niepodległej, bolszewickiej Ukrainy. Prawda, że wielka część Ukraińców sprzeciwiała się bolszewizmowi – ale wielka część Rosjan (i innych narodów Imperium) przecież też.

Ukraina rosyjska nie była uważana przez Rosjan (czy to białych, czy czerwonych) za inny kraj i sama w znacznej mierze za taki się nie uważała. Małorosyjski patriotyzm terytorialny, który nie był spreczny z nadrzędnym patriotyzmem imperialnym, był rzeczywisty. Także wśród czerwonych Ukraińców, takich jak Mykoła Skrypnyk, Kliment Woroszyłow (pierwotnie Woroszyło)⁶¹, a później Wołodymyr Szczerbyckij. Za rządów Chruszczowa, wieloletniego wielkorządcy Ukrainy, a potem pochodzącego z Naddnieprza Breżniewa, wychodźcy z Ukrainy odgrywali w Moskwie wielką rolę, mawiano wręcz o „ukraińskim desancie”. We wszystkich strukturach państwa sowieckiego (łącznie z NKWD–KGB), przez cały czas jego trwania Ukraińcy stanowili znaczący odsetek. Także wśród funkcjonariuszy, współodpowiedzialnych za Hołodomor, czystki i represje.

I przecież Ukraina w takim kształcie, w jakim jest dziś niepodległym państwem, niemal zupełna jedność ukraińskiego obszaru etnicznego nie jest dziełem nacjonalistów. Jest dziełem Stalina. To on (*pars pro toto*) zdecydował o tym, że w skład republiki wszedł Donbas (bez okręgu szachtyńskiego), ale jego naturalny port, Taganrog – już nie; że Polesie, etnograficznie bardziej ukraińskie niż białoruskie, przypadło Białorusi, a pogranicze kursko–orłowskie, bardziej ukraińskie niż rosyjskie – Federacji Rosyjskiej. To on wykreślił dzisiejszą granicę polsko–ukraińską i rumuńsko–ukraińską.

To są fakty niewygodne dla współczesnej świadomości ukraińskiej. Ale to są fakty. I wielu Ukraińców, także ukraińskich patriotów jest tego półświadoma. Nie chcą tego zaakceptować, poszukują protez. Kolejna zadra w pamięci, niepewność świadomości.

Dla współczesnego kształtu kultury ukraińskiej kluczowe znaczenie ma okres tzw. ukrainizacji⁶² (lata dwudzieste), gdy bolszewicy rozwijali kultury „socjalistyczne w treści, narodowe w formie”. Wydawali kolosalne pieniądze nie tylko na rozwój literatury i filmu, ale też tworzenie słowników etc. Rosła w ten sposób kultura skomunizowana, defektywna. Ale była to kultura ukraińska, a nie rosyjska. Nie tylko w formie językowej: odwoływała się do narodowych tradycji, choć podawała ją w klasowym sosie. Rუსyfikacja przyszła później. Gdyby

wróciła od razu po zwycięstwie bolszewików, byłaby dużo skuteczniejsza.

Była też Wielka Wojna Ojczyźniana. Nie lekceważmy tego określenia, wciąż żywego na Ukrainie. Ta wojna była wspólnym doświadczeniem wszystkich mieszkańców Kraju Sowieców: początkowa klęska i ostateczne zwycięstwo, opłacone straszliwą daniną krwi. A dla Ukraińców była walką o własny kraj. Rzadko też pamiętamy o tym, że wojna przyniosła osłabienie sowieckiego terroru, a zwycięstwo dało tym, którzy przeżyli, poczucie siły, wdowom i sierotom – poczucie dumy. Stalin nie mógł wymordować ani zesać całego pokolenia wojennego. Strachu lat trzydziestych nie dało się przywrócić.

Czasy Breżniewa przyniosły Ukrainie nową falę nie tyle rusyfikacji, co sowietyzacji. Ukraińcy mieli przechodzić na język rosyjski, ale nie mieli stawać się Rosjanami. Mieli być Sowiecami, podobnie jak członkowie innych narodów Związku, Rosjan nie wyłączając. Okazało się to skuteczniejsze i groźniejsze niż rusyfikacja w carskim stylu. Jeszcze w 1999 r. 15 procent mieszkańców Doniecka deklarowało w sondażu narodowość sowiecką (a nie rosyjską lub ukraińską). Ilu Sowieców wykazałby spis powszechny z 1989 r., gdyby dopuszczono taką kategorię? Bez ryzyka błędu można założyć, że miliony. Na samej Ukrainie.

Nie piszę tu o zachodniej Ukrainie, która została podbita przez Sowiety w latach czterdziestych i stawiała temu podbojowi zdecydowany opór. Jej mieszkańcy mogą rzeczywiście mówić o rządach komunistycznych jako o okupacji. Ale zachodnia Ukraina to region prowincjonalny, niezdolny do narzucenia swej tożsamości, swej wizji historii całemu krajowi. Na dobre, czy na złe, nie mnie sądzić.

*

Minęło dwanaście lat. W Kijowie nie ma już komunistycznych pomników ani nazw ulic (oprócz związanych z II wojną światową), nie widzi się tak licznych żebraków, ale i sklepów, które byłyby drogie także w stolicach zachodniej Europy, jest mniej. Stolica Ukrainy (i nie tylko ona) znów jest znacznie bardziej „uśredniona” (choć nie tak jak w sowieckich czasach), może bardziej średniozamożna niż była kiedykolwiek wcześniej.

Po krótkiej „małej stabilizacji” za rządów Janukowycza, która była w istocie mimowolną próbą neosowietyzacji (nikt jej nie planował – po prostu ówczesni rządzący Ukrainy nic innego nie byli sobie w stanie

wyobrazić), nadeszła rewolucja godności. Przyspieszyła przemianę pokoleniową, osłabiła wpływ „pokolenia zastoju” na sprawy publiczne. Zaraz potem przyszła wojna i zahamowała tę zmianę: młodzi poszli na front. Ale odwrócić się jej już nie da.

Dziś mniej obywateli Ukrainy uważa Dzień Zwycięstwa za jedno z najważniejszych świąt, porównywalne ze Świętem Niepodległości. Ale wciąż jest ich dostatecznie wielu, że nowe władze nie odważyły się go naruszyć przy wprowadzeniu „europejskiej” daty obchodów końca II wojny światowej: nowo ustanowiony w 2015 r. Dzień Pamięci i Pojednania (8 maja) poprzedza Dzień Zwycięstwa nad Nazizmem (9 maja) – i to ten drugi jest dniem wolnym od pracy. Z oficjalnego języka znikło określenie Wielka Wojna Ojczyzniana, ale nikt nie zabrania kultywowania pamięci o niej. Młode pary wciąż składają pod pomnikami poległych przodków wiązanki ślubne.

Coraz częściej niosą je jednak pod pomniki Niebiańskiej Sotni i Niebiańskiej Warty (Niebiańska Sotnia to polegli i zamordowani podczas rewolucji godności; Niebiańska Warta to używane w niektórych miejscowościach określenie poległych w toczącej się wojnie na wschodzie Ukrainy). Bohaterom swojego pokolenia. Bo inaczej niż pokolenie małej stabilizacji mają własnych bohaterów. Czasem – po prostu kolegów. Tak jak pokolenie coraz odleglejszej w czasie wojny.

Telewizorokształny nagrobek Szczerbyckiego wciąż zdobią kwiaty i ikonki. Dziedzictwo zastoju trwa: przeminie dopiero z odejściem pokolenia, ukształtowanego przed 1990 r.

Pierwotna wersja tego tekstu ukazała się w dodatku do „Tygodnika Powszechnego” nr 41 z 2006 r., dodatek *Historia w Tygodniku* pod tytułem *Błogosławieństwo zastoju*. Teraz przywróciłem kilka skreślonych wówczas ze względów objętościowych fragmentów, dokonałem niezbędnych aktualizacji i dopisałem fragment końcowy.

Ukraina opuszcza (i burzy) Związek Sowiecki

2 grudnia 1991 r. Ukraińcy ujrzeli, że nie są tylko wspólnotą etniczną, lecz także polityczną. Że są narodem zgodnym w woli niepodległości. Przejrzeli się w wynikach referendum jak w lustrze – a to spojrzenie odmieniło ich samych. Nikt nie zastanawiał się, skąd wzięła się ta imponująca jednomyślność: 90% głosujących, czyli 76% wszystkich wyborców, było za niepodległością. Był to czas radości i dumy z jednomyślności, z własnego państwa, ze zdobytej – tak naprawdę pierwszy raz w dziejach – podmiotowości politycznej.

Ale właśnie – czy „zdobytej”? Przecież nie. Niepodległość Ukrainy nie została wywalczona. Nie została nawet wynegocjowana. Pojawiła się jako możliwość, a potem rzeczywistość – jako efekt uboczny procesów rozgrywających się z dala od Kijowa i przy niewielkim jego udziale (prawda, także dzięki umiejętnej grze Kijowa). Została przyjęta, zaakceptowana – to wszystko. Ale to wystarczyło. Była zaskoczeniem dla wszystkich, także dla tych nielicznych, którzy gorąco jej pragnęli (bo narodowcy i nacjonaści oczekiwali rewolucji narodowej i ledwie rozumieli, co naprawdę się dzieje). A jeszcze bardziej dla nomenklatury, która nie tyle pragnęła niepodległości, co nie widziała dla siebie innego wyjścia, dla której była ucieczką przed zagrożeniami płynącymi z Moskwy. Wreszcie dla społeczności międzynarodowej, która życzyła sobie osłabienia Związku Sowieckiego, ale bała się nieobliczalnych konsekwencji jego rozpadu.

Stało się tak, jak się stało. Ukraińcy, jedni bardziej *nolens*, inni bardziej *volens*, przystąpili do budowy własnego państwa. Szło im – powiedzmy – różnie, historię już blisko trzydziestu lat ukraińskiej państwowości można opowiadać jako historię sukcesu, ale też jako historię porażki. Ale nawet w najtrudniejszych latach Ukraińcy nie zechcieli wyrzec się niepodległości: odsetek deklaracji głosowania za nią w ewentualnym referendum nigdy nie spadł poniżej 50%.

Więzenie narodów

W ten sposób dość powszechnie określano dawne wielonarodowe imperia (zwłaszcza rosyjskie i austro-węgierskie), potem zaś Związek Sowiecki. To państwo było przez znaczą część politologów i historyków traktowane jako komunistyczne państwo narodu rosyjskiego, gnębiące, a zwłaszcza wynaradawiające inne narody, drogę do jego rozbitcia (czyli pokonania komunizmu) upatrywano w rewolucyjnym zrywie uciemiężonych narodów. Przede wszystkim Ukraińców, bo źródłem tego poglądu można zasadnie dopatrywać się w środowiskach ukraińskiej diaspory niepodległościowej.

Takie podejście było trafne i błędne zarazem. Trafne, bo ZSRS rzeczywiście ciemiężył narody i dążył do ich wynarodowienia. Błędne, ponieważ najbardziej uciemiężony i zagrożony w swym bycie był naród rosyjski, etniczni Rosjanie. To oni w pierwszej kolejności mieli utracić tożsamość narodową wykraczającą poza posługiwanie się językiem rosyjskim (okrojonym, zwulgaryzowanym i skomunizowanym), by stać się podstawą „nowej historycznej wspólnoty ludzi – narodu sowieckiego” (z preambuły do konstytucji ZSRS z 1977 r., gdzie naród sowiecki uznano za realnie istniejący, a nie – jak wcześniej – postulowany). I to Rosjanie zapłacili największą cenę za bolszewizm. Zaraz po nich byli Ukraińcy i Białorusini. Innym narodom, które musiały uczyć się rosyjskiego jako języka obcego, wolnym od ciężaru idei „trójjedności” Słowiańszczyzny Wschodniej, było jednak źle.

Państwo sowieckie nie było imperium rosyjskim. Było imperium moskiewskim, tworem podobniejszym do starożytnego Rzymu niż nowoczesnych imperiów. Jego obszarem rdzeniowym (metropolitalnym) nie była Rosja, ale Moskwa (do pewnego stopnia także Leningrad), a „narodem” panującym była nomenklatura, skądinąd wieloetniczna, której tożsamością był udział we władzy. Także Rosja była uciśniona, także Rosja poszukiwała drogi wyjścia z coraz beznadziejniejszego kryzysu państwa. Gdyby nie to, Związek Sowiecki czy też jakaś jego ewolucyjna forma istniałyby pewnie i dziś tak, jak istnieją komunistyczne Chiny.

Pieriestrojka, jak mówi sama jej nazwa, miała być procesem przebudowy. Czymś więcej niż remont, ale na pewno nie demontażem. Nowym NEP-em⁶³, taktycznym odwrotem, skróceniem frontu przed nową ofensywą. Gorbaczow i jego otoczenie nie rezygnowali z żadnego ze strategicznych celów moskiewskiego komunizmu, z forsowaniem

sowietyzacji jako tworzenia nowego narodu politycznego włącznie. To, że świat dał się przekonać, iż *Gorbi* chce zdemontować komunizm, zaprowadzić pokój na świecie etc. świadczy jedynie o sprawności komunistycznej propagandy, a naiwności Zachodu.

Nie udało się. Nie dlatego, że nie mogło się udać (jak twierdzą zwolennicy determinizmu historycznego), ale dlatego, że kierownictwo sowieckie błędnie rozpoznało sytuację własnego kraju, fałszywie określiło główne wyzwania, a przede wszystkim – wypracowało fałszywe odpowiedzi na te wyzwania. A także dlatego, że Gorbaczow nie dorósł do roli przywódcy globalnego mocarstwa, a w jego otoczeniu dominowali ludzie uformowani za rządów Stalina, nienawykli do otwartych dyskusji i sporów, które nie byłyby brzemienne karą.

Jest wiele opisów kryzysu i upadku Związku Sowieckiego, tak jak wiele było aspektów tego procesu. Nie będę się w nie wdawał – nie to jest tematem tego szkicu. Trzeba jednak wspomnieć o kluczowym w moim przekonaniu kroku, jakim było zniesienie kierowniczej roli partii komunistycznej. Był to krok w przepaść. Bo to aparat partyjny, sieć komitetów zakładowych i regionalnych, a nie organy administracyjno-polityczne (*sowiety*, łączące funkcje ustawodawczo-samorządowe i wykonawcze) czy zarządy resortów i przedsiębiorstw, rzeczywiście rządził krajem. Określał cele (globalne i lokalne), przydzielał środki, kierował i kontrolował. Gdy utracił ten monopol, państwo przestało działać, na wszystkich szczeblach jednocześnie. Jako tako działały jeszcze tylko siły zbrojne i aparat bezpieczeństwa.

Wkrótce potem, podczas rokowań nad nowym traktatem związkowym, ujawnił się nowy problem o zasadniczym znaczeniu. Wszystkie republiki związkowe (formalnie – państwa!) miały swe centralne organy władzy, mniej lub bardziej formalne, ale zdolne do artykulacji interesów republikańskich elit. Wszystkie oprócz jednej – pozbawiona ich była Federacja Rosyjska. A jej elity, odrębne od związkowego Centrum (Kremla), także dojrzewały, coraz śmieiej artykułowały własne interesy. Zaś po raz kolejny marginalizowane w procesie reformy państwa zdecydowały się poprzeć jego pełne rozwiązanie, bo tylko w ten sposób mogły przejąć władzę we własnym kraju. Gdyby mogły to zrobić bez zgody na niepodległość Ukrainy i Białorusi, z pewnością by to uczyniły. Ale na to było już za późno.

Przebudzenie Ukrainy

O znaczeniu katastrofy czarnobylskiej dla narodowego odrodzenia Ukrainy pisałem w jednym z poprzednich szkiców. Tu skupię się na latach 1989–1991, walce dwóch idei: reformy federacji sowieckiej i niepodległości Ukrainy.

W marcu 1989 r. odbyły się wybory do Rady Najwyższej ZSRS, w których po raz pierwszy możliwe było zgłaszanie kandydatów przez podmioty inne niż komitety partii komunistycznej. I w wielu obwodach ci drudzy przegrywali; bywało, że nawet wtedy, gdy nie mieli kontrkandydatów⁶⁴. Sowieckie prawo wyborcze przewidywało bowiem jedną turę wyborów i warunek 50-proc. frekwencji. W nowej sytuacji politycznej spowodowało to nieobsadzenie wielu mandatów. Kilka miesięcy później zaczął się lawinowy rozpad „imperium zewnętrzne”: od czerwcowych wyborów w Polsce po grudniowe powstanie w Rumunii. W lipcu w Kijowie powstał Ludowy Ruch Ukrainy na rzecz Przebudowy (potocznie RUCH), potężna liga obywatelska, wzorowana trochę na litewskim *Sajudisie*⁶⁵, trochę na polskiej Solidarności. Kilka miesięcy później Gorbaczow pozbył się z Kijowa Szczerbyckiego, wroga tak *pieriestrojki*, jak i jego samego. Zaś wiosną 1990 r. wybory do Rady Najwyższej Ukrainiejskiej SRS dały siłom antykomunistycznym aż 1/4 mandatów. W czerwcu ukraińscy partyjniacy uchwalili, że ich partia staje się „samodzielną organizacją z własnym programem”, aczkolwiek wciąż w składzie KPZS. Gdzieś w tym czasie dostrzegł swą wielką szansę Leonid Krawczuk⁶⁶, polityk, który miał poprowadzić Ukrainę do niepodległości.

Zaraz potem zaczęła się tzw. parada *suwerenitetów*. Kolejne republiki związkowe (Ukraina jedna z pierwszych, 16 lipca 1990 r., ale miesiąc po Rosji), a po nich republiki autonomiczne, a nawet kraje i obwody republiki rosyjskiej, pozbawione formalnej autonomii, uchwały deklaracje, proklamujące je... no właśnie, czym?

W polskich i światowych opracowaniach rosyjskie i ukraińskie *suwerenitet* tłumaczy się zazwyczaj jako „suwerenność”. Jednak termin ten oznacza pełną podmiotowość prawno-międzynarodową, którą ograniczają jedynie przyjęte dobrowolnie ograniczenia traktatowe i reguły prawa narodów. Jednak w deklaracjach *suwerenitetu* bynajmniej nie o to szło. Intencją ich twórców było pozostanie w składzie Związku Sowieckiego, a zarazem przekształcenie tej pseudofederacji⁶⁷ jeśli nie w konfederację (związek państw), to w realną federację (państwo

związkowe). Deklaracje te odróżniały np. stosunki z „republikami sowieckimi” od stosunków z „innymi państwami”. Stąd też zachowuję tu (podobnie jak w innych publikacjach) termin *suwerenitet* jako użyteczny neologizm.

Parada *suwerenitetów* uczyniła niezbędnym nowy traktat związkowy. Jednak o ile dla Kremla miał być on instrumentem konsolidacji państwa, dającym republikom dużo symbolicznych uprawnień i realnej odpowiedzialności, dla republik i innych podmiotów miał stanowić narzędzie maksymalnego ograniczenia, jeśli nie zniesienia Centrum związkowego. A republiki bałtyckie i zakaukaskie w ogóle nie myślały już o reformie Związku: dążyły do pełnej niepodległości.

W październiku 1990 r. w Kijowie miała miejsce tzw. rewolucja na granicy, już wzmiankowana w jednym ze szkiców. Towarzysząca mu manifestacja ponad 100 tys. kijowian wstrząsnęła opinią kraju, zachwiała pewnością siebie komunistów. Rada Najwyższa uznała, że podpisanie traktatu związkowego może nastąpić po uchwaleniu nowej konstytucji Ukrainy (Ukraińska SRS miała własną konstytucję, była ona jednak naśladownictwem aktualnie obowiązującej konstytucji Związku Sowieckiego). Zaraz potem zaczęła sypać się kompartia: do końca 1990 r. legitymacje rzuciło ćwierć miliona jej członków (z ponad dwóch milionów). Zaś w trakcie „granitowego” protestu, choć bez żadnego z nim związku, do Kijowa zawitał minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, zachęcając komunistyczną nomenklaturę Ukrainy (podobnie jak Białorusi i Rosji) do powiększania samodzielności ich republik.

Gorbaczow reagował chaotycznie, dając kolejne dowody słabości, niezdecydowania. W styczniu 1991 r. wojsko zaatakowało demonstrantów w Wilnie i Rydze. Padli zabici. Akcję zwinięto bez żadnego efektu politycznego. Kijów potępił te działania jako „naruszenie *suwerenitetu*” tych republik. Na deklarację o wzajemnym uznaniu *suwerenitetu* przez Rosję i Ukrainę (a więc sojusz Krawczuk–Jelcyn) nie było żadnej reakcji Kremla. Jednocześnie rozpisano referendum w sprawie zachowania „odnowionej federacji”, która miała dać Kremlowi mandat do negocjowania nowego traktatu związkowego/sojuszniczego⁶⁸.

Tuż przed jego przeprowadzeniem Armia Sowiecka doznała miażdżącej klęski. Prawda, *per procura*, nie tracąc ani jednego czołgu i samolotu. A jednocześnie – tracąc je wszystkie. Bo „Pustynna burza”,

lutowa operacja sił zbrojnych ONZ przeciw Irakowi, której celem było wyzwolenie zagarniętego przez ten kraj Kuwejtu, w ciągu kilku dni zmiotła nie tylko armię Iraku, ale też sowiecką doktrynę wojenną i regulaminy walki, którymi kierował się Bagdad. Pokazała, że Związek Sowiecki jest w starciu lądowym bezbronny. Społeczeństwo nie było świadome znaczenia tego wydarzenia, kierownictwo państwa musiało rozumieć, co się stało.

Pierwsze referendum

O sowieckim referendum z 17 marca 1991 r. pisze się niewiele i niechętnie, głównie dlatego, że przyniosło ono przeważające poparcie dla zachowania państwa związkowego. Poparcie dla utrzymania ZSRS w całym Związku Sowieckim wyniosło prawie 78%, na Ukrainie nieco ponad 70%, ale na Białorusi już 83%, w republikach Azji Środkowej i Azerbejdżanie – ponad 90% (republiki bałtyckie, Mołdawia, Gruzja i Armenia nie przeprowadziły referendum).

Wszechzwiązkowe pytanie brzmiało: „Czy jesteś za utrzymaniem ZSRS jako zreformowanej federacji suwerennych republik?”, przy czym nie określono, czy odpowiedź „nie” oznacza poparcie dla rozwiązania ZSRS, czy też przeciwnie – dla zachowania go w niezreformowanym kształcie. Rada Najwyższa Ukraina dodała drugie pytanie: „Czy jesteś za tym, by Ukraina była w składzie ZSRS na podstawie Deklaracji *Suwerenitetu*?”. Tu także odpowiedź przecząca mogła oznaczać dwie opcje: za wyjściem ze Związku lub za odrzuceniu *suwerenitetu*. Nigdy się nie dowiemy, jaka część głosujących przeciw nie chciała suwerenizacji ani innych zmian, pragnąc nadal żyć w „niewzruszonym związku swobodnych republik [który] na wieki złączyła wielka Ruś”⁶⁹. Trochę szkoda – to by nam wiele powiedziało o rzeczywistej sytuacji wyjściowej Ukrainy i innych republik. Pucyści z sierpnia 1991 r. na coś przecież liczyli...

Na Ukrainie na pierwsze pytanie pozytywnie odpowiedziało 70,2% głosujących, na drugie o 10% więcej (przy frekwencji 83%). Zatem poparcie dla zachowania *status quo* zdecydowanie przeważało, mieszkańcy Ukrainy nie widzieli alternatywy dla Związku Sowieckiego. Krawczuk uznał te wyniki za swój sukces i upoważnienie do negocjowania traktatu konfederacyjnego (bez centralnych władz Związku). Gorbaczow także uznał wynik (ten wszechzwiązkowy) za

sukces i mandat do negocjowania traktatu federacyjnego z silnym centrum.

Inaczej było w Galicji Wschodniej, od roku kontrolowanej przez działaczy RUCHU (narodowców i nacjonalistów). Tu *Hałycka Asambleja*⁷⁰ dodała pytanie trzecie: „Czy jesteś za tym, by Ukraina stała się państwem niepodległym”, pytanie wreszcie jednoznaczne co do treści sprzeciwu. Głosów „za” padło aż 88%, a znaczna, jeśli nie przeważająca część głosujących zbojkotowała dwa pierwsze pytania. Galicja Wschodnia była już jednomyślna w pragnieniu niepodległości.

Rokowania nad nowym traktatem zostały podjęte, ale szły opornie. Jelcyn i Krawczuk już otwarcie walczyli z Gorbaczowem. Sytuacja gospodarcza kraju, pozbawionego efektywnego kierownictwa, pogarszała się lawinowo. Kijów grał na zwłokę, starając się, by radykalne kroki (jak np. ustanowienie republikańskiej prezydentury) Rosja czyniła jako pierwsza, by to Jelcyn był „lwem”, a Krawczuk zachowywał bezpieczniejszą pozycję „lisa”. Zaś w tle dojrzywał sprzeciw polityków poprzedniego pokolenia, „sierot po Breżniewie” i elit wojskowych przerażonych konsekwencjami *pieriestrojki*, postępującą ruiną państwa.

Elity ukraińskie dojrzywały do myśli o niepodległości, zaczynały jej pragnąć. Ważniejsze jednak było to, że potrzebowała jej Rosja. Dopóki ta republika, jak wówczas mawiano, „druga wśród równych” pozostawała w składzie państwa sowieckiego, związkowe Centrum musiało istnieć: nie można było cofnąć jej quasi-państwowego statusu. Nawet gdyby wszystkie inne republiki odpadły – dopóki pozostawała Ukraina, musiało też istnieć Centrum, a zatem aspiracje Rosji nie mogłyby zostać zadowolone. Jelcyn i Krawczuk potrzebowali siebie nawzajem, ale to Jelcyn grał o wyższą stawkę.

Chicken speech, chicken deeds⁷¹

1 sierpnia 1991 r. przybył do Kijowa (z Moskwy, bezpośrednio po rozmowach z Gorbaczowem) prezydent USA George W. Bush. Wygłosił tam mowę nazwaną potem *Kiev chicken speech*⁷², w której wyraźnie stwierdził, że USA nie poprą „samobójczego nacjonalizmu opartego na nienawiści etnicznej”, czyli walki o niepodległość. W gruncie rzeczy była to zachęta dla Gorbaczowa i moskiewskich twardogłowych do zahamowania reformy państwa, a w każdym razie – zachowania

federacji. Może wręcz była to zachęta dla puczystów, bo trudno sobie wyobrazić, by CIA w tych dniach nie wiedziała o przygotowaniach do obalenia Gorbaczowa.



Kijów, pierwsze dni lipca 1991 r., ostatnie dni Związku Sowieckiego, Majdan wciąż jeszcze nie Niezależności. Flaga poparcia Tatarów Krymskich dla niepodległości Ukrainy w tryzubem i tamgą Girejów (herbem Tatarów Krymskich).

Upadku komunizmu życzyło sobie wielu, wielu też go przewidywało (w 1991 r. trudno zresztą tu mówić o przewidywaniu). Ale rozpadu Związku Sowieckiego nie życzył sobie prawie nikt, nikt też – może na zasadzie *wishful thinking* – go nie przewidywał. USA chciały spokojnie konsumować dywidendę pokoju po zakończeniu zimnej wojny, obawiały się zakłócenia kontroli nad bronią jądrową i nowych wojen na tle etnicznym (nie było to bezzasadne: „postjugosłowiańskie” wojny na Bałkanach właśnie się rozpały). Związek Sowiecki, zreformowany lub nie, pozostałby stroną umów rozbrojeniowych, był to też przeciwnik znany i przewidywalny. Jego rozpad niósł niewiadome w zakresie bezpieczeństwa jądrowego, zmuszał też do ponownego przemyślenia i przepracowania sytuacji politycznej. Janajew⁷³ i spółka mogli liczyć na to, że w razie sukcesu Zachód uzna neobreżniewowski reżim w Moskwie.

19 sierpnia w Moskwie powstał Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego (GKCZP), ogłoszono stan wyjątkowy, odsunięcie od władzy Gorbaczowa (został on internowany w swej letniej rezydencji na Krymie) etc. Puczyści działali opieszale, nieumiejętnie, tchórzliwie. Nic nie zrozumieli z opisów bolszewickiego puczu w Piotrogradzie (rewolucji październikowej), choć znali je niemal na pamięć. Nie zawiesili łączności lokalnej i międzymiastowej, nie spędzili z ulic zagranicznych dziennikarzy, nie ściągnęli do Moskwy odpowiednich sił. Ale przede wszystkim – nie zneutralizowali (uwięzili lub zabili) Jelcyna. Ten stanął na czele powszechnego protestu, wojsko nie odważyło się strzelać do demonstrantów, część jednostek przeszła na stronę przywódcy Rosji – i po kilku dniach pucz upadł, a Gorbaczow wrócił do Moskwy – złamany psychicznie, chyba też chory. Realnej władzy już nie odzyskał.

Krawczuk wyczekiwał. Miał przeciw sobie sowieckie siły zbrojne na Ukrainie, republikańskie KGB, za sobą – większość parlamentu i narodu, wyrażające się w masowych demonstracjach, coraz wyraźniej niepodległościowych. Ukraińscy partyjniacy struchleli: skład GKCZP był złamaniem niepisanej sowieckiej „umowy społecznej” z 1956 r. głoszącej, że aparat bezpieczeństwa nigdy już nie może zdobyć przewagi nad aparatem partyjnym i sowieckim (administracyjnym). Wielu pamiętało jeszcze łagry i masowe rozstrzeliwania: teraz wszyscy przelękli się recydywy stalinizmu. Byli gotowi zgodzić się na wszystko, by oddalić to zagrożenie.

Krawczuk jako przewodniczący Rady Najwyższej był głową republiki. Chyba dość wcześnie zrozumiał, że moskiewski pucz nie ma szans, ale też nie chciał prowokować jego naddnieprzańskich zwolenników. Nie wprowadził stanu wyjątkowego, nie przeciwdziałał manifestacjom, ale puczu też nie potępił. A gdy ten upadł – ogłosił niepodległość, znacjonalizował majątek kompartii, a potem (zresztą w ślad za Moskwą) zakazał jej działalności.

Samostijnist', nareszcie

Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła Akt Ogłoszenia Niepodległości Ukrainy 24 sierpnia 1991 r. po południu, po krótkiej, choć chwilami burzliwej debacie (kłócono się głównie o sformułowania, w efekcie z tekstu wypadło nawiązanie do tradycji Ukraińskiej Republiki Ludowej).

Za głosowało trzystu czterdziestu sześciu deputowanych, przeciw – tylko jeden, ok. sześćdziesięciu deputowanych nie wzięło udziału w głosowaniu⁷⁴. Zaraz potem na salę obrad wniesiono kilkudziesięciometrową flagę narodową. Chwilę tę uwieczniono później na potężnym *panneau* w kularach parlamentu, uwieczniającym wszystkich wówczas głosujących w asyście licznych postaci historycznych oraz – a jakże – Matki Bożej i archanioła Michała. Obraz ten, zatytułowany *Derżawotworennia (Tworzenie państwa)*, jest dziełem Ołeksija Kułakowa, artysty raczej przeciętnego.

Ale sierpniowy Akt niepodległości nie był aktem ostatecznym. Wraz z jego uchwaleniem rozpisano referendum „ratyfikacyjne”. Nie tylko dlatego, by unieważnić (symbolicznie, ale i realnie) wolę narodu, wyrażoną w marcu. Także dlatego, by zyskać na czasie. Na Ukrainie stacjonowało półtora miliona żołnierzy sowieckich, współpracownicy Jelcyna kwestionowali przynależność Krymu i Donbasu do niepodległej Ukrainy, grozili rewizją granic, reakcje światowe były niepewne. Kijów nie wycofał się z rokowań nad traktatem związkowym. Jednocześnie wciąż jako tako sprawna sowiecka nomenklatura (w ścisłym znaczeniu, związana z radami delegatów ludowych, tj. administracją regionalną), dostała *prikaz*: referendum ma dać przekonujący wynik. Bardzo przekonujący. Więc pracowali na ten wynik, wspierali działaczy niepodległościowych, nawet jeśli sami byli niechętni lub wrodozy niepodległości. Taka była „mądrość etapu”, do realizacji której byli wdrożeni od lat. Tak samo jak w marcu agitowali za głosowaniem „na tak”, zgodnie z życzeniem władzy. Choć było to już zupełnie inne „tak”. Zakłamanie? Może. Ale pożyteczne. A przy okazji niejeden szczerze przekonał się do niepodległości...

Wynik referendum, przeprowadzonego 1 grudnia, razem z rozpisanymi wcześniej wyborami prezydenckimi, był rzeczywiście imponujący. Bez pracy aparatu sowieckiego poparcie dla niepodległości nie byłoby aż tak wielkie, choć niewątpliwie przekroczyłoby 50% głosujących. Ale też – teraz, inaczej niż wiosną, głosowano nie w sprawie projektów czy pragnień. Przedmiotem był fakt dokonany: państwo, które rzeczywiście istniało, choć jeszcze bardzo krótko (a zarazem bardzo długo, bo przecież niepodległa Ukraina była nowym wcieleniem Ukrainy sowieckiej, wszystkim dobrze znanej).

Taki wynik referendum uczynił bezprzedmiotowym nowy traktat

związkowy, już gotów do podpisu. Gdy Gorbaczow chciał doprowadzić do jego podpisania, Jelcyn i Krawczuk doprowadzili do spotkania w Wiskułach (doproszony tam Szuszkiewicz⁷⁵ nie za bardzo wiedział, co się dzieje i został umiejętnie rozegrany – kierownictwo Białorusi opowiadało się za podpisaniem nowego traktatu) i doprowadzili do formalnego rozwiązania ZSRS. Szuszkiewicz był im niezbędnym: traktat ustanawiający Związek Sowiecki podpisały w 1922 r. sowiecka Rosja, Ukraina i Białoruś, więc tylko ich zgodna wola mogła go anulować. Gorbaczow nie zareagował i z końcem 1991 r. Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, mający w herbie roszczenie do panowania nad całym światem, przestał istnieć.

Tym samym zakończył się też taktyczny sojusz Jelcyna i Krawczuka, Moskwy i Kijowa. Znikł wspólny wróg, na plan pierwszy wysuwały się odmienne, nieraz sprzeczne interesy państwowe i niezmiernie trudności, związane z rozwiązywaniem i przeformatowywaniem tysięcy powiązań, pozostałych po wspólnym państwie. Proces, który stopniowo oddalał Ukrainę od Rosji mimo nieodmiennego przeciwdziałania tej drugiej.

Lud (mężnie) trwa w milczeniu⁷⁶

Czy Ukraińcy rzeczywiście chcieli wówczas niepodległości? Haliczanie, także ci mocno osadzeni już w kijowskich elitach – na pewno tak (choć niekoniecznie chcieli Ukrainy w tych granicach – głosy, że łatwiej byłoby zbudować państwo bez kompletnie zrusyfikowanych obwodów południowego wschodu pojawiały się już u schyłku lat osiemdziesiątych zeszłego wieku, daje się je słyszeć nawet dziś). A inni? Trudno powiedzieć. Na pewno nie tak licznie, jakby to wynikało z wyników referendum.

Na pewno powszechnie chciano zmian. Zmęczenie gnijącym reżimem późnego Breżniewa i jego następców, a także beznadziejną wojną w Afganistanie było ogromne. Ale chciano zmian „na lepsze”, a nie dogłębnej, rewolucyjnej zmiany paradygmatu życia zbiorowego. I nie za bardzo sobie wyobrażano pozytywny kształt tych zmian: ludzie dobrze wiedzieli, czego nie chcą – do formułowania, czego chcą, nie byli przygotowani. Gdy podsunęto im jako odpowiedź na to pragnienie niepodległość – poparli ją. Uwierzyli. I nie od razu zrozumieli, co właściwie się stało, jak głębokie, rewolucyjne właśnie zmiany wybrali.

Ale potem wytrwali w tym wyborze mimo katastrofy gospodarczej i społecznej, jaką przyniosły pierwsze lata niepodległego bytu, mimo kolejnych nieudolnych rządów, zygzaków politycznych, delegitymizacji niemal wszystkiego, w co przywykli wierzyć... Czynne poparcie dla niepodległości nigdy nie spadło poniżej 50%, czynna gotowość do jej odrzucenia nigdy nie sięgnęła, jak można sądzić, 15–20% (bo niezdecydowani i obojętni także nie sprzeciwiali się niepodległości).

Ludzie, lud, zazwyczaj chcą zmiany, ale w ramach dotychczasowego paradygmatu, chcą poprawy, udoskonalenia stanu rzeczy, a nie przewrotu. Momenty, w których rzeczywiście pojawia się pragnienie zmiany paradygmatu, sytuacje prawdziwie rewolucyjne zdarzają się rzadko. Tak było w Rosji w 1917 r., na pewno. Czy było tak w Polsce w 1989 r.? Można się spierać. Na pewno nie było tak ani w Rosji, ani na Ukrainie w 1990 r.

Tymczasem to, co nastąpiło, było właśnie zmianą paradygmatu. Gruntowniejszą, niż oczekiwali najśmielsi analitycy w 1990 czy 1991 r. Niepodległa, zrazu sowiecka Ukraina zaczęła przestawać być komunistyczną. Społeczeństwo niemal całkowicie upaństwowione, zależne od państwa od kołyski po grób stawało się – nie do końca z własnej woli – społeczeństwem wolnych indywidualuów, za które nikt nie ponosił już odpowiedzialności (więc też nikt nie wspierał). Zmienił się też podstawowy wzorzec – w miejsce dziewiętnastowiecznego modelu kultury mieszczańskiej (kultu pracy i oszczędności, szacunku dla hierarchii i powściągliwości w folgowaniu instynktom) utrwalonego w kulturze późnego komunizmu weszła agresywna i atrakcyjna amerykańska popkultura (kult konsumpcji, indywidualizmu i co najmniej swobody obyczajowej), która przeorała społeczny system wartości.

A jednak mimo to naród ukraiński, czy raczej naród Ukrainy⁷⁷ dał sobie radę. Mimo ogromnych ofiar budował nową gospodarkę, nowe społeczeństwo, nowe państwo, ostatnio także – nową armię. Niewiele rzeczywistych (a nie wymyślonych przy kawiarnianym stoliku) szans zaprzepaścił. Zachował zdolność odpowiadania na nowe wyzwania, czego dowodem był rok 2014. Ale o tym opowiem w innym miejscu.

Tekst powstał do tego zbioru; wykorzystałem w nim fragmenty mojej książki *Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysiącleci* (Kraków 2003).

Od schyłkowego sowietyzmu do narodowego postkomunizmu. Doświadczenie Ukrainy

Jak Ukraina radziła sobie z dziedzictwem komunizmu? Nie wiem, czy to dobrze postawione pytanie. Czy problemem Ukrainy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza było rzeczywiście (jak u nas) dziedzictwo przewycięzonego, odrzuconego ustroju i ideologii, czy też raczej (podobnie jak w Rosji) żywa, powoli słabnąca ich obecność?

Nomenklaturowa niepodległość

Ukraina była poddana sowietyzacji dłużej i bardziej intensywnie niż Polska czy inne kraje „imperium zewnętrznego”. Sowietyzm (rozumiany jako ład społeczny, nie jako ideologia) zakorzenił się tu znacznie głębiej. Także dlatego, że przed rewolucją nie było tu w pełni ukształtowanego społeczeństwa burżuazyjnego, a Kościół prawosławny nie miał ani rozbudowanych struktur laikatu, ani nauczania społecznego, ani tradycji przeciwstawiania się władzy świeckiej. Także obwody zachodnie, do których komunizm dotarł dopiero w latach czterdziestych, zostały dotknięte nim ciężiej niż Polska, przede wszystkim dlatego, że straciwszy podczas wojny ogromną większość ludności miejskiej, musiały przyjąć bardzo licznych mieszkańców „starych Sowietów”.

W latach 1990–1991 Ukraina walczyła o niepodległość, a nie z komunizmem. I zdobyła ją (zdobyła, ale nie wywalczyła) dzięki temu, że za samodzielnym bytem państwowym opowiedziała się komunistyczna nomenklatura. Bez tego poparcia, bez przywódczej roli Łeonida Krawczuka (w tym czasie przewodniczącego Rady Najwyższej USRS, najwyższego zwierzchnika ukraińskiej nomenklatury), niepodległości mogłoby nie być. Ale w efekcie Ukraina narodziła się jako państwo sowieckie, komunistyczne.

Rozwiązanie w sierpniu 1991 r. Komunistycznej Partii Ukrainy nie było i być nie miało symbolicznym przełomem, lecz manewrem mającym ułatwić nomenklaturze zachowanie władzy. Do dekomunizacji

rozumianej jako odsunięcie nomenklatury od władzy wzywali niezbyt liczni liberałowie, często o orientacji prorosyjskiej; dla niepodległościowców, skądinąd w większości antykomunistów, ważniejsza była niepodległość. Własne państwo. Jakiegokolwiek, byle niepodległe. Dlatego poparli Krawczuka, chyba nie do końca świadomi ceny.

Niepodległość proklamowali komuniści i ekskomuniści (dysydenci podsunęli Krawczukowi i innym myśl o niepodległości, ale na realny udział we władzy byli za słabi), wybrana wiosną 1991 r. Rada Najwyższa działała jeszcze trzy lata, sowiecki system władz terenowych przetrwał do 1997 r. Krawczuka na stanowisku prezydenta zastąpił Kuczma, który w sowieckiej nomenklaturze zajmował znacznie wyższą odeń pozycję⁷⁸. Ciągłość elit władzy została zachowana aż do roku 2014 (pomarańczowa rewolucja 2004 r. pod tym względem spełzła na niczym).

Tak chyba być musiało, choć zapewne nie tak długo. Ukraina musiała przede wszystkim stać się państwem, zbudować struktury i mechanizmy, których nie miała jako republika sowiecka (a które miały państwa tzw. demokracji ludowej). Władze centralne, bank emisyjny, sztab generalny, dyplomację... Dopiero potem mogła stawać się „jakimś” państwem, określać swe miejsce na współczesnej mapie ustrojowo-ideologicznej.

W efekcie nomenklatura mogła nie tylko bez przeszkód uwłaszczać się na majątku narodowym, ale zachowała dotychczasowe pozycje w strukturach państwa. Zachowała władzę, także nad obiegiem informacji, nad ruchem idei. Przechwyciła hasło niepodległości, demokracji i gospodarki rynkowej i potraktowała je tak, jak wcześniej traktowała idee schyłkowego sowietyzmu: jako licznym bez znaczenia, służące wyłącznie utrzymaniu władzy i związanych z nią korzyści.

Trudno więc się dziwić, że niewiele uwagi poświęcano niedawnej przeszłości, że o rozliczeniach z „czasami słusznie minionymi” nie było mowy. Kto miałby rozliczać nomenklaturę – sama nomenklatura? A przecież nikogo innego nie było. Ukraina nie miała alternatywnych elit, zdolnych przejąć ster życia społecznego z jej rąk. Zanim wyrosły, rząd ciał i dusz pozostawał w rękach nomenklatury, przechodząc z czasem do jej najmłodszego pokolenia, wychowanego w breżniewowskich czasach „zastoju” i nieznanego wcześniej sowieckiemu światu cynizmu.

Powolna dekomunizacja

Sowietyzm (komunizm) ustępował na Ukrainie powoli. Przeobrażał się w postkomunizm, czasem neoliberalny czy raczej pseudoliberalny, czasem populistyczny, ale zawsze „narodowy w formie”. Rozwijający się postkomunistyczny nacjonalizm w niejednym przejmował klisze starego myślenia (np. opisując rywalizację narodów kategoriami walki klas). Przejmował też elementy ukraińskich doktryn nacjonalistycznych, w tym OUN–owskiej. I psuł je, wykoślawiał, „postkomunizował”, jeśli można tak powiedzieć.

Ukraina musiała samodzielnie wytyczać drogę. Obce doświadczenia, zwłaszcza polskie, nie przystawały do jej sytuacji: komunistyczna Polska była państwem, mogła więc od razu zacząć reformowanie gospodarki i życia społecznego. Miała też alternatywną, „postsolidarnościową” elitę. Ale doświadczenie Rosji, która niemal od razu zaczęła budować postkomunizm imperialny, także nie było zachęcające. W efekcie jedno i drugie stało się głównie narzędziem do piętnowania niewłaściwych działań władz (jednych dla jednych, drugich – dla drugich), czasem też źródłem aktów prawnych do kopiowania, mniej lub bardziej umiejętnego.

Ukraińskie rozliczenia z komunizmem skupiły się wokół narodowej martyrologii: masowych mordów z lat trzydziestych (ich symbolem jest podkijowska Bykownia⁷⁹), potem – Hołodomoru, prawdę o którym odkrywano z przerażeniem. O dekomunizacji w polskim rozumieniu nikt nawet nie myślał. Podobnie nie było mowy o lustracji (w ustawie lustracyjnej z 2014 r. chodzi o odsunięcie ze stanowisk ludzi skompromitowanych za rządów Janukowycza).



Las Bykowniański, jesień 2016 r. Indywidualne upamiętnienia na drzewach; tabliczki przygotowane przez rodziny, o niebiesko-żółte wstążki dba dziś dyrekcja Bykowniańskiego Centrum Pamięci.



Po prawej jeden z elementów pomnika ofiar ukraińskich.

Najważniejszym elementem dekomunizacji Ukrainy było przywrócenie własności prywatnej. Nawet jeśli negatywnie oceniamy jego metody i konsekwencje, w procesie tym rozbito fundament starego ustroju i zasadniczo rozluźniono przywiązanie obywatela do państwa. Ten i inne procesy stopniowo zmieniały społeczeństwo, a jeśli budziły sprzeciw, to głównie dlatego, że niosły ze sobą pauperyzację jednych, a niebotyczne wzbogacenie innych. Ale błędy i nieprawości w toku tych procesów także były odchodzeniem od systemu i ideologii sowieckiej.

Komunizm ustępuje też w inny, naturalny sposób. Wraz z ekspansją „urodzonych obywateli Ukrainy”, ludzi, których już nie dotknęła sowiecka edukacja i ideologia. I w dużej części otwartych na świat, jak żadne od kilku wieków pokolenie Ukraińców, znających inne niż sowieckie (i rosyjskie) drogi myślenia o człowieku, społeczeństwie i państwie. Różne drogi i podejścia, niekoniecznie liberalne. Każdego roku pełnoletniość osiąga kilkaset tysięcy „urodzonych obywateli”, każdego roku kolejna grupa „absolwentów Związku Sowieckiego” odchodzi z życia publicznego.

Unarodowienie postkomunizmu

Na Ukrainie dominuje dziś pogląd, że komunizm był obcy jej społeczeństwu, że został narzucony z zewnątrz, przyniesiony na rosyjskich bagnietach. Ale to nieprawda. Bolszewizm był zakorzeniony w Kijowie i Odessie w podobnym stopniu, co w Piotrogradzie czy Moskwie, a to, czy bardziej zdecydowany opór stawili mu ukraińscy chłopci spod Czerkas czy rosyjscy spod Tambowa, wcale nie jest oczywiste.

W Gwardii i Armii Czerwonej służyli liczni Ukraińcy, nie brak było ich też w kierownictwie partii bolszewickiej, choć na niższych stanowiskach. Aparat sowieckiej Ukrainy składał się w ogromnej części z miejscowych, zwłaszcza na niższych szczeblach. To oni prowadzili kolektywizację, a potem realizowali działania, prowadzące do Hołodomoru (katastrofalnego głodu z lat 1932–1933). Nie oni je nakazali, to prawda. Ale realizowali je skutecznie i gorliwie. To jeden ze „szkieletów z ukraińskiej szafy”: coś, z czym Ukraina boi się zmierzyć, z czym nie chce się zmierzyć.

Wygodniej przyjąć, że komunizm na Ukrainie był kolejną fazą

rosyjskiej polityki imperialnej, rusyfikacyjnej, że Hołodomor i rzeź nowej, komunistycznej już inteligencji pod koniec lat trzydziestych miały na celu zniszczenie narodu ukraińskiego. Tak jakby Wielka Czystka nie uderzyła przede wszystkim w nowe elity rosyjskie, a Wielki Głód (prawda, nie w takiej skali) nie dotknął też rosyjskiej Dońszczyzny i niektórych innych regionów państwa sowieckiego. Jakby komunizm nie był zbrodniczy *per se*, lecz dlatego, że godził w Ukraińców.

Takie postawienie sprawy było w interesie nomenklatury, zwłaszcza tej z „sektora ideologicznego” (nauczycielstwa, działaczy kultury, dziennikarzy, artystów). Odsuwało pytanie o ich udział w realizacji polityki sowieckiej, dawało alibi w postaci przynależności do dyskryminowanego, a nawet eksterminowanego narodu. Refleksja nad stanem państwa i narodu skupiła się na zagadnieniach historycznych, co znakomicie odwracało uwagę od metod, jakimi postnomenklatura i świat przestępczy⁸⁰ budowali nową gospodarkę i ustrój polityczny. Także w ustawie o zakazie ideologii komunistycznej z kwietnia 2015 r. sowietyzm i jego dziedzictwo są traktowane jako coś obcego, zewnętrznego.

Upadek pomników

Galicja Wschodnia szybko uporała się z usunięciem symboliki sowieckiej: pomników, nazw ulic i instytucji etc. Ale już na Wołyniu szło to dużo gorzej, a im dalej na wschód, tym większy i skuteczniejszy był opór. Czego zresztą żądać od społeczności lokalnych, skoro z fasady ukraińskiego parlamentu herb Związku Sowieckiego skuto dopiero w 2000 r., kijowski pomnik Kosiora, jednego z architektów Hołodomoru, usunięto w 2008 r., a pomnik Lenina w centrum stolicy dotrwał do 2014 r.

Ten sprzeciw wobec desowietyzacji przestrzeni publicznej motywowany był częściej inercją niż ideologią. Trzeba było dopiero rewolucji i wojny, by proces ten nabrał dynamiki, by było możliwe uchwalenie ustawy nakazującej usunięcie sowieckich pomników i innych symboli. I nieważne, czy zostanie ona zrealizowana w zamierzonym terminie (została zrealizowana w jakichś 95%). Kierunek został wytyczony, a formalny zakaz ideologii (i partii!) komunistycznej będzie zmieniał świadomość narodu.

Ukraina długo nie widziała potrzeby instytucjonalizacji procesów dekomunizacyjnych. Powołany w 2006 r. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej stanowił raczej odpowiednik Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa niż IPN. Jego działalność była zresztą dość anemiczna, a w latach 2010–2014 był zredukowany do rangi placówki doradczej rządu. Dopiero gdy po rewolucji godności przywrócono mu rangę urzędu centralnego, zajął się też dekomunizacją. Głównie sfery symbolicznej, bo usuwanie z urzędów wyższych funkcjonariuszy partii komunistycznej jest już bezprzedmiotowe: ogromna większość z nich to dziś emeryci. Tocząca się wojna głęboko zmieni obywateli Ukrainy. Jak – za wcześnie dziś wyrokować. Ale z pewnością jednym z jej skutków będzie przyspieszenie wzrostu znaczenia nowego pokolenia, dla którego komunizm jest już tylko historią. Pozostanie on przedmiotem sporów, zapewne na pokolenia, ale nie będzie już bezpośrednim ciężarem.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 24 z 2015 r. (dodatek *Sprawiedliwość w państwach prawa*) pod tym samym tytułem. Podaję go z niewielkimi retuszami.

Ukraina dwóch, a raczej trzech języków

Na początku lipca 2012 r. Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła ustawę o polityce językowej. Miała być ona przede wszystkim elementem kampanii wyborczej: rządząca Partia Regionów wykorzystała ją dla konsolidacji swego elektoratu, a także przymuszenia partii opozycyjnych do skupienia się na krytyce tej ustawy, co uniemożliwiłoby im zdobycie nowych wyborców na wschodzie kraju.

Wdrożenie ustawy przyznającej językowi rosyjskiemu (a co za tym idzie – także językom mniejszości narodowych) znacznie więcej praw w życiu publicznym niż poprzednia ustawa, uchwalona w 1989 r., jeszcze w Ukraińskiej SRS, nie było proste. Pytanie, czy rzeczywiście było planowane. Wdrożenie zasad umożliwiających jednostkom administracyjnym wszystkich szczebli jednocześnie na wprowadzanie dodatkowych języków urzędowych zagrażało jedności kraju, było też gruntowną dezorganizacją życia publicznego przynajmniej w niektórych regionach. Zaś postawienie na jednej płaszczyźnie rosyjskiego z językami, którymi posługuje się kilkaset osób lub zgoła nikt, zakrawało na kpinę.

W dodatku ustawa była źle napisana. W kwestiach proceduralnych odwołuje się do ustawy o referendum, której wciąż nie uchwalono⁸¹, ale także – i w tej samej sprawie! – do wyników spisu powszechnego, który ma ustalić liczbę obywateli, uważających poszczególne języki za własne. Tak właśnie – ze sformułowań ustawy jasno wynika, że chodzi o wyniki przyszłego spisu powszechnego⁸².

Do dalszych perypetii związanych z ukraińskim prawem językowym wróć pod koniec tego tekstu. Najpierw trzeba zarysować (w wielkim skrócie) sytuację językową Ukrainy.

Trójjęzyczne społeczeństwo, dwujęzyczne państwo

Zgodnie z danymi ostatniego spisu powszechnego, więc prawie dwadzieścia lat temu, 77,8% obywateli Ukrainy uznawało się za Ukraińców, a 17,3% za Rosjan, przy czym aż 14,8% Ukraińców

zadeklarowało, że ich językiem ojczystym jest rosyjski. Badania socjologiczne z lat ok. 2010–2014 przedstawiały inny obraz: ukraiński za język ojczysty uznaje ok. 50% respondentów, rosyjski ok. 30%, ukraiński i rosyjski na równi – 16–18%⁸³. To ostatnie wydaje się nam dziwne – jak można mieć dwa języki ojczyste? Rzecz w tym, że w ten sposób tłumaczymy rosyjski *radnoj jazyk*, a więc język rodzimy/rodzinny (w ujęciu anglosaskim – *native*), określany bez żadnych odniesień do ojczystości/ojczyzny. A za taki w Związku Sowieckim powszechnie uważano język używany w życiu codziennym, zwłaszcza w domu. I bardzo często deklarowano go jako ojczysty także w rodzinach, w których żadne z małżonków nie poczuwało się do narodowości rosyjskiej.

Jeśli chodzi o język używany w domu, badania od lat wykazują dość stabilny podział mieszkańców Ukrainy na trzy w przybliżeniu równe grupy: posługujących się tylko ukraińskim, tylko rosyjskim oraz obydwojoma językami wymiennie. Język miejsca pracy jest bardziej zróżnicowany – zależy głównie od znaczenia, w jakim w określonym zakładzie/zawodzie ma dokumentacja pisemna i w jakim stopniu jest ona wykonywana w języku oficjalnym. Ale wszystko to dotyczy mowy, języka kontaktów międzyludzkich – mimo długich poszukiwań nie znalazłem badań czynnej znajomości ukraińskiego i rosyjskiego w piśmie. Wszystkie dotyczą żywej mowy – i odzwierciedlają deklaracje respondentów, niekoniecznie prawdziwe.

Dlaczego zatem piszę o trzech językach Ukrainy? Bo znaczna część osób we wszystkich wspomnianych kategoriach nie posługuje się w życiu codziennym ani ukraińskim, ani rosyjskim, ale *surżykiem*⁸⁴, chaotyczną mieszaniną elementów obu języków, która nie ma ani dających się opisać reguł, ani standardu piśmiennego (choć często używaną w korespondencji prywatnej, obecną w kabaretach, a także w prozie jako element charakterystyki postaci, na ogół negatywnej). Nie jest to dialekt ani nawet gwara, to forma mówienia. Gdyby w spisie powszechnym zadano pytanie o *surżyk* (jednocześnie go nobilitując), zadeklarowałyby go pewnie z 10–15% obywateli Ukrainy. Podobnie byłoby w przypadku wprowadzenia *surżyka* do kwestionariuszy socjologicznych: dostępne badania wskazują na to, że ok. 2010 r. *surżykiem* posługiwało się w domu, a często także w pracy ok. 18% mieszkańców Ukrainy (głównie z obwodów centralnych).

Ukraiński dominuje w obwodach zachodnich, anektowanych przez ZSRS podczas II wojny światowej, a także na (pustoszejącej w dramatyczny sposób) wsi i w miasteczkach obwodów centralnych i częściowo wschodnich, rosyjski – w wielkich miastach, w obwodach południowych i wschodnich. *Surżyk* to przede wszystkim mowa wielkich i średnich miast, ale też – wykształconych mieszkańców wsi obwodów centralnych i wschodnich. Jednak dwudziestolecie niepodległości i przewagi ukraińskiego w szkole przyniosło znaczące zmiany. Z jednej strony w Kijowie i licznych miastach (oprócz Donbasu i Krymu) znacznie wzrósł zakres posługiwania się ukraińskim, z drugiej jednak na zachodzie kraju (zwłaszcza we Lwowie) coraz częściej słychać język rosyjski. W tym ostatnim mieście ok. 2000 r. pojawił się też wśród młodzieży nieznany tu wcześniej *surżyk*.



Nawet Janukowycz musiał przemówić *na mowi* (a raczej w surżyku: *doblest'* jest zapożyczeniem z rosyjskiego). Centrum Kijowa, maj 2011 r. Tekst głosi: *Pozdrawiam Ukrainę z okazji Dnia Dzielności/Bohaterstwa i Zwycięstwa.*

Ukraiński i rosyjski są wzajemnie przejrzyste, z porozumieniem w życiu codziennym nie ma problemów. Jednak takie porozumienie czy zdolność czytania prasy popularnej to nie wszystko – współczesne państwo funkcjonuje przede wszystkim w dokumentach, na piśmie. Państwo musi mieć swój język, taki lub inny, ale o zagwarantowanej pozycji głównego medium tego państwa. Obywatel powinien znać ten język, choćby na podstawowym poziomie, umieć w nim pisać i czytać z należyтым zrozumieniem. Zaś urzędnik musi ponadto dokładnie

wiedzieć, co mu wolno, czego zaś – nie, także w zakresie językowym. Dlatego potrzebne są formalne regulacje, zwłaszcza w państwie faktycznie dwu- lub wielojęzycznym.

Okupanci czy imigranci?

Wiktor Juszczenko już po złożeniu urzędu powiedział, że „tylko okupanci, niewolnicy i głupcy nie mówią językiem narodowym”⁸⁵. Zaś podczas dyskusji nad ustawą językową z 2012 r. jedna z działaczek nacjonalistycznych powiedziała, że jej wprowadzenie „zrówna w prawach język okupanta z językiem rdzennej ludności”. Tak myśli wielu ukraińskich narodowców (nie tylko nacjonalistów).

Jednak rosyjski nie jest na Ukrainie językiem najeźdźców, kolonizatorów, czy jak to jeszcze nazwiemy, ale językiem części rdzennych mieszkańców kraju. Całe południe i wschód Ukrainy to ziemie odebrane Tatarom w XVII–XVIII w., zasiedlane w tym samym czasie na równi przez Ukraińców i Rosjan (a także mniej licznych Niemców i Mołdawian). Przez wieki przynależności ziem ukraińskich do Imperium Rosyjskiego osiedlało się tu w naturalny sposób wielu Rosjan i członków innych narodowości, także włościan. Tylko nielicznych z nich można uznać za „okupantów”. Wielu Ukraińców rusyfikowało się, czasem dobrowolnie, czasem pod presją, co przecież nie czyniło z nich najeźdźców.

Imperium sowieckie stymulowało nie tylko rusyfikację, ale i wewnętrzne migracje, starało się stworzyć sowiecki naród polityczny (wyrażający swą tożsamość w rosyjskiej nowomowie). Szybki rozwój przemysłu na Ukrainie sprzyjał imigracji z różnych regionów Rosji. W efekcie bardzo duża część mieszkańców Ukrainy to dziś imigranci i ich potomkowie w pierwszym i drugim pokoleniu. Tacy sami jak ci z krajów bałtyckich, ale „niewidzialni” ze względu na podobieństwo języka i kultury. Wielu z nich uważa się za Ukraińców, inni za Rosjan, jeszcze inni – za Sowietów (ta grupa jest coraz mniej liczna, ale w Donbasie to wciąż kilkanaście procent). Ale ich językiem ojczystym jest rosyjski.

Takich ludzi mamy także na szczytach państwa. Gwoli przykładu: prezydent Janukowycz jest synem Białorusina i Rosjanki, ukraińskiego zaczął uczyć się kilkanaście lat temu (dziś mówi nim całkiem dobrze – ale jak językiem obcym). Premier Azarow jest rdzennym Rosjaninem,

który na Ukrainę przybył w wieku prawie czterdziestu lat i któremu z trudem przychodzi nawet czytanie po ukraińsku z promptera (choć się stara, bo tego oczekuje odeń Janukowycz). Takich jak oni, są tysiące wśród elit, miliony wśród ludu.

A skoro językiem ojczystym milionów obywateli Ukrainy jest rosyjski – trzeba to uszanować. Bez żadnej ironii: dążenie do ustanowienia regulacji językowych przybliży Ukrainę do standardów europejskich. Konkretne rozwiązania – już niekoniecznie.

Sołowjina mowa versus wielikij i moguczij jazyk

Ukraińska tożsamość narodowa jest skupiona wokół języka w stopniu rzadko spotykanym w Europie. To język – nie kraj, nie historia, nie „krew” czyni Ukraińców Ukraińcami. „Słowicza mowa”, jak ukraińscy narodowcy zwą swój język. Dlaczego tak się stało – nie zdołałbym tu opisać, zresztą dla tych rozważań to nieistotne. Ważny jest fakt. I związane z nim oczekiwanie, by wszyscy mieszkańcy Ukrainy posługiwali się ukraińskim, a państwo nie tylko propagowało ten język, ale i przymuszało do jego używania.

Ale i dla Rosjan (zwłaszcza ukraińskich) język jest ważnym narzędziem panowania symbolicznego. Nie sam w sobie, ale jako język wielkiej tradycji, wielkiego państwa, Wielkiego Zwycięstwa (tego z 1945 r.). „Wielki i potężny język” nie tyle wielkich pisarzy, na których wielu się powołuje, ale mało kto czyta, co wielkiej armii. Język, który ma wiązać Ukrainę i jej mieszkańców z rosyjskim prawosławiem, rosyjską tradycją państwową etc. Z *ruskim mirom*, rosyjskim światem/pokojem⁸⁶, pojmowanym jako alternatywa dla „zgniłego Zachodu”. Oczekują oni, że państwo będzie wspierać obecność, jeśli nie dominację rosyjskiego.

Nawet gdyby nie zakulisowy wpływ Rosji, ten spór utrudniałby wypracowanie rozsądnego językowego *modus vivendi*. Ale ten wpływ jest, Rosja obficie wspiera nie tylko ośrodki takie, jak Fundacja „Rosyjskojęzyczna Ukraina”, ale i niezbyt liczne szkoły, w których wciąż uczą się po rosyjsku, zapewniając im wysoki ranking na tle niedofinansowanych szkół ukraińskich. I nie kryje, że oczekuje od Kijowa polityki przychylniej wobec postulatów tych „rosyjskojęzycznych” organizacji.

Spór elit, także o pieniądze

Dla większości obywateli Ukrainy spór ten nie jest istotny: tam, gdzie przeważają rosyjskojęzyczni, urzędy i sądy posługują się, choć nieformalnie, językiem rosyjskim. Większość obywateli w wieku średnim i młodszym rozumie też, że choćby kiepska znajomość języka państwowego jest w życiu potrzebna. Z drugiej strony zdecydowana przewaga rosyjskiego w tzw. popkulturze sprzyja posługiwaniu się nim także przez młodzież z ukraińskich domów i szkół.

Ale dla elit kulturotwórczych rzecz jest niezwykle istotna. Dla nich język to nie tylko kwestia praktyczna i symboliczna. To także narzędzie pracy i źródło dochodów. Pisarze ukraińskojęzyczni (bo są też ukraińscy pisarze rosyjskojęzyczni⁸⁷) są zainteresowani promocją czytelnictwa w tym języku, bo to się przekłada na poziom sprzedaży. Decyzje o wprowadzeniu lub zniesieniu obowiązkowego dubbingu filmów przekładają się na ogromne straty/zyski dystrybutorów (taki dubbing kosztował na Ukrainie ok. 2010 r. średnio siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów). W walce o nadawanie rosyjskich bądź ukraińskich piosenek przez komercyjne stacje radiowe nie chodzi o język, a o kraj produkcji. I tak dalej, i temu podobne.

*

Zapewnienie językowi ukraińskiemu w życiu społecznym roli, która odpowiadałaby jego randze jedyne go języka państwowego i medium kultury narodowej, a jednocześnie zapewnienie znacznej części obywateli prawa posługiwania się rosyjskim w życiu społecznym jest kwadraturą koła. Nie ma rozwiązania pozwalającego jednocześnie zrealizować te dwa cele. Ukraina skazana jest na rozwiązania połowiczne, „zgniłe” kompromisy, tolerowanie „szarej strefy” dwujęzyczności. Co najmniej jeszcze przez kilka pokoleń. Czy nowa ustawa będzie prowadzić ku rozwiązaniom lepszym – trudno dziś przewidzieć. Obawiam się, że nie.

Po kilku latach

Jak się okazało, ustawa językowa z 2012 r. nie doprowadziła do niczego. Pozostała na papierze. Być może tylko po to została uchwalona... Jednak

niecałe dwa lata później przyszło jej odegrać fatalną rolę w dziejach Ukrainy. 23 lutego 2014 r., niezwłocznie po odsunięciu Janukowycza od władzy, na fali rewolucyjnego entuzjazmu, Rada Najwyższa Ukrainy znaczną większością głosów uchyliła tę ustawę. Był to fatalny błąd.

Na pozór uchylenie martwego aktu prawnego nie miało większego znaczenia: zgodnie z logiką systemu prawnego akt ten przywracał moc ustawie z 1989 r.⁸⁸, która zapewniała rosyjskiemu mocniejszą pozycję niż ta z 2012 r. Tym bardziej akt ten nie zmieniał językowego *status quo*, nie znosił przyjętych praktyk i mechanizmów, opierających się na starej, nie na nowej ustawie oraz na licznych aktach prawnych niższej rangi. Nikogo to jednak nie obchodziło, podobnie jak fakt, że to uchylenie nie weszło w życie – przewodniczący parlamentu, będący zarazem p.o. prezydentem, Ołeksandr Turczynow⁸⁹ nie podpisał ustawy jako przewodniczący Rady, zatem nie mógł jej przekazać (sobie samemu jako) p.o. prezydentowi do podpisu. Był to zręczny wybieg, pozwalający uniknąć procedury weta. Nie musiał jej nawet wetować. Przeciwnicy rewolucji godności podnieśli wielki krzyk, że oto parlament zakazał używania języka rosyjskiego. Przyczyniło się to do zaognienia nastrojów na wschodzie kraju, w dalszym kroku – do wybuchu rebelii w Zagłębiu Donieckim. Zręcznie wykorzystane przez stronników Janukowycza i Moskwę pogorszyło też postrzeganie Ukrainy w świecie zewnętrznym, zwłaszcza w środowiskach liberalno–demokratycznych.

Dopiero po czterech latach Sąd Konstytucyjny Ukrainy uchylił ustawę z 2012 r. i podjęto prace nad nową. Tym razem nie miała być to ustawa o polityce językowej państwa, a o języku państwowym (podobnie jak np. ustawa o języku polskim); regulacje dotyczące mniejszości narodowych odsunięto do odrębnego aktu prawnego. Politycznym błędem jest to, że obu projektów nie zgłoszono łącznie (nie powstał nawet projekt tej drugiej). Samą ustawę o języku państwowym uchwalono w maju 2019 r., tuż przed końcem kadencji prezydenta Poroszenki.

Ta ustawa ma dwa zasadnicze cele: zapewnienie należytego rozwoju i standaryzacji języka ukraińskiego oraz forsowne eliminowanie ze wszystkich sfer życia społecznego języka rosyjskiego. Alarmy, że uniemożliwi ona edukację w językach mniejszości, biorą się z nieuważnej lektury, ustawa zawiera bowiem dogodną furtkę: dopuszczenie nauczania „w języku angielskim, a także innym języku urzędowym Unii

Europejskiej”. A więc też po polsku, węgiersku i rumuńsku. Choć istotnie ustawa zmierza do ograniczenia obecności innych języków w nauczaniu.

Od 2014 r. na Ukrainie wiele się zmieniło także w kwestiach językowych. „Rosyjskojęzyczna Ukraina” jako konkretna instytucja i jako koncept polityczny przestała istnieć, a masowy udział obywateli rosyjskojęzycznych (również etnicznych Rosjan) w ochotniczych formacjach z pierwszej fazy wojny pomniejszył skalę kojarzenia rosyjskojęzyczności z zaprzaństwem. Z drugiej strony bardzo wielu obywateli podjęło wysiłek, by zacząć mówić i pisać po ukraińsku, by „język ich obywatelstwa” (pojęcie wykreślone z ostatecznego tekstu ustawy z 2019 r.) i wyobrażony język ojczysty (w polskim znaczeniu) stał się ich językiem domowym, językiem ich życia. Czas pokaże, na ile okaże się to trwałe, skuteczne. Ale skala podjętego wysiłku, słyszalnego w Kijowie i Zaporozżu, Charkowie i Krzemieńczuku, imponuje. Odpadły dwa regiony, w których dominowała niechęć, jeśli nie wrogość wobec języka ukraińskiego i osób posługujących się tym językiem, regiony, gdzie nawet w roku 2000 dawało się słyszeć określenie „banderowska mowa” (powszechne w okresie powojennym określenie dialektu zachodnioukraińskiego w ustach komunistycznych aparatczyków, Rosjan i Ukraińców ze Wschodu, rozszerzony później przez rosyjskich nacjonalistów na język ukraiński w ogóle) i żądanie, by mówić (np. w sklepie) „po ludzku”. Odpadły na długie lata, Krym – chyba na zawsze. Tym samym w pozostałej części kraju zmieniły się proporcje między ukraińskojęzycznymi, rosyjskojęzycznymi i surżykomownymi⁹⁰ na korzyść grupy pierwszej i trzeciej. Rok po roku odchodzi też pokolenie najstarsze, najbardziej zrusyfikowane (także mentalnie, zapatrzone we własną młodość, a więc w mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej), rośnie zaś w liczbę i siłę pokolenie niepodległości, dla którego – nawet jeśli kwestie społeczne i polityczne niewiele ich obchodzą – państwo ukraińskie i jego język są już „wartościami domyślnymi”, oczywistością życia codziennego.

Nie wiemy, jakie są dziś proporcje między trzema głównymi językami Ukrainy. Skazani jesteśmy na szacunki, właściwie – domysły. Przy obecnym napięciu politycznym, toczącej się wojnie, a jednocześnie narastającej nieufności do elit, do świata polityki (ale i do nauki jako takiej) nie ma mowy o tym, by sondaże przyniosły wiarygodne wyniki. Ludzie nauczyli się unikać odpowiedzi, przestali wstydzić się kłamać

ankieterom, zwłaszcza jeśli są pytani o kwestie drażliwe. Nie tylko na Ukrainie.

W 2015 r., po zakończeniu aktywnej fazy wojny Kijów podjął – po raz pierwszy – zdecydowaną akcję ukrainizacji mediów, ograniczania dostępności kultury „kraju–agresora”, jak powszechnie zwie się w mediach Federację Rosyjską, a także – wymuszania posługiwania się ukraińskim w mediach i życiu społecznym. Także w popkulturze. Podjęta została próba ograniczenia obecności Ukraińców na rosyjskich odpowiednikach Google’a, Facebooka etc. (nie wiem, z jakim skutkiem). I tym razem działania te okazały się skuteczne, bo w atmosferze wojny nikt nie śmiał się im sprzeciwić. Więcej – mnóstwo ludzi, także rosyjskojęzycznych, szczerze je popierało (pamiętajmy – mówimy o językach wzajemnie przejrzystych).

Ukraiński dubbing rosyjskich filmów jest właściwie niedostrzegalny. Ukraińskie napisy w rosyjskich filmach mogą brzmieć śmiesznie – ale są dowodem szacunku Ukrainy dla samej siebie. A jednocześnie z kin i telewizji znikły amerykańskie i inne filmy z rosyjskim dubbingiem czy napisami. Jest ważny krok budujący jednolity obszar kultury narodowej. Kto ją zdecydowanie odrzuca – ma pod dostatkiem rosyjskiego w telewizji satelitarnej i w internecie.

Owszem, wciąż są ci, którzy niczego się nie nauczyli. Postsowieccy nacjonaści (wiem, że to karykaturalne określenie), dla których język rosyjski jest wciąż *wielikij i moguczij*, a Ukraina nie powinna oddalać się od moskiewskiej „starszej siostry”. I radykalni zachodnioukraińscy nacjonaści, dla których posługiwanie się językiem ukraińskim to *sine qua non* bycia Ukraińcem, więcej – dla których tylko ukraińskojęzyczny Ukrainiec ma prawo być obywatelem Ukrainy. Jedni i drudzy należą do przeszłości, choć drudzy potrafią robić wokół siebie szum medialny, sprawiać wrażenie, że od nich zależy (i do nich należy) przyszłość kraju.

A jednocześnie pojawił się nowy pomysł, zgodnie z którym na Ukrainie języka rosyjskiego nie ma. Po prostu – nie ma. Na południu i wschodzie mówi się „południowo–wschodnim narzeczem języka ukraińskiego. Tak, słownictwo jest przeważnie rosyjskie, ale fonetyka i składnia są ukraińskie z pewnymi wpływami greckimi”⁹¹. Pomysł na pierwszy rzut oka księżycowy – ale czy bardziej od budowania języka czarnogórskiego, co rozgrywa się na naszych oczach? Tym bardziej, że większość ukraińskich Rosjan (oprócz Krymu i imigrantów z ostatnich

dziesięcioleci istnienia ZSRS) rzeczywiście nie mówi „porządnym” literackim rosyjskim, na co wielokrotnie narzekali rosyjscy lingwiści. A także dlatego, że koncepcja ta została sformowana w kręgach Ruchu Azowskiego, nowej (i rzeczywiście nowoczesnej) formacji ukraińskiego nacjonalizmu. Choć może być i tak, że ten pomysł Szklara (lub jego rozmówcy) pozostanie między okładkami książki.

Kwadratura koła, o której pisałem przed siedmiu laty, pozostała. Nie ma dla niej rozwiązania. Ale – by pójść tropem tej metafory – koło zrobiło się wyraźnie mniejsze. Będzie się nadal kurczyć. „Szara strefa” dwujęzyczności pozostanie, ale będzie się kurczyć szybciej, niż można to było przewidywać. Coraz łatwiej będzie ją omijać, brać w nawias.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 34 z 2012 r. pod tytułem *Słowicza mowa kontra potężny język*. Tu dodałem nieliczne aktualizacje i poszerzenia, zwłaszcza szerzej objaśniając, czym jest *surżyk*, a także dopisałem ostatni rozdział.

Ukraińska droga do hymnu

4 marca 1815 r. w podsanoockim Jaworniku Ruskim urodził się Mychajło Łew Werbyckij. Syn greckokatolickiego proboszcza, wcześniej osierocony, stał się wychowankiem biskupa przemyskiego Iwana Snihurskiego⁹², dzięki któremu mógł kształcić się najpierw w diecezjalnej szkole muzycznej, później zaś w seminarium duchownym. Jednak jego powołaniem była bardziej muzyka niż kapłaństwo. Był dość przeciętnym kompozytorem. Takich jak on ówczesna Europa miała setki, Ukraina znalazłaby pewnie kilkunastu (choć on był pierwszy). Pisywał utwory religijne i świeckie, w tym muzykę dla ukraińskich teatrów lwowskich i objazdowych. Gdy po represjach 1849 r. ukraiński ruch teatralny w Galicji załamał się, Werbyckij przyjął w końcu święcenia kapłańskie, by kilka lat później osiąść na probostwie w podjarosławskich Młynach, gdzie zmarł dwadzieścia dwa lata później, 7 grudnia 1870 r.

Po 1860 r. Werbyckij znów zaczął pisać muzykę teatralną, głównie operetki i wodewile. A w 1863 r. przeczytał wiersz Pawła Czubyńskiego⁹³ *Szcze ne wmerła Ukrajina* i postanowił napisać doń melodię. Pierwsze wykonanie sceniczne nowej pieśni miało miejsce w grudniu 1864 r., oficjalne – podczas uroczystości ku czci Szewczenki 10 marca 1865 r. (jedno i drugie w Przemyślu).

Tak Mykoła Werbyckij wszedł do historii: stworzona przezeń pieśń stała się szybko jednym z narodowych hymnów Ukraińców, później hymnem państwa ukraińskiego.

Czas hymnów

Był to czas, gdy narody europejskie odnajdywały się w nowej, postefudalnej rzeczywistości, szukały swego nowego kształtu (według części badaczy dopiero wówczas powstawały). Romantyzm odwrócił paradygmat kultury: wzorcem nie był już dwór monarszy czy biskupi z ich kosztownym wyrafinowaniem, ale włościańska chata i drobnomieszczańska kamienica: prostota, często biorąca się z ubóstwa. Naród był (miał być) ludem, sfera polityczna miała być – po raz pierwszy

w dziejach – podporządkowana ludowości/etniczności.

Narody potrzebowały nowych znaków tożsamości, symboli. Prosty, łatwo trafiający do ludzi niewykształconych, nieoczytanych, wręcz niepiśmiennych. Przede wszystkim pieśni, która – jak w nieco innym sensie pisał Mickiewicz – „ujdzie cało”. Pieśni, którą łatwo zapamiętać i powtórzyć, pieśni, którą bez trudu zaśpiewa każdy.

Sprzyjał temu rozwój ruchu śpiewaczego, amatorskich chórów świeckich. Ten niemiecki wynalazek szerzył się w Europie Środkowej głównie pod wpływem czeskim – a chóry stawały się ośrodkami ruchu narodowego, w których rozwijała się i krzepła tożsamość narodowa. Takie chóry potrzebowały odpowiedniego repertuaru: prostego, bliskiego lokalnym nutom pieśni ludowej i kościelnej. Pieśni, które częściej tworzyli nie wybitni kompozytorzy i poeci, ale lokalni chórmistrzowie i nauczyciele. Ludzie, którzy starali się wyrażać (i kształtować) „ducha zbiorowości”, a nie własne przeżycie artystyczne.

Ruch śpiewaczy miał też inne znaczenie: sprzyjał tworzeniu języka ludowego/narodowego z lokalnych gwar. Niepiśmienni włościanie (ale i miejscy plebejusze) mówili „po swojemu”, ich gwary były wzajemnie zrozumiałe, ale jednak różne. Różnice gwarowe były jednym ze znaków lokalnych tożsamości i narzędziem identyfikacji. Szkoła wprowadzała wspólny standard piśmienny (zresztą w tym czasie często narzucała obcy język). Wspólny śpiew tworzył wspólną wymowę, śpiewniki ujednolicały słownictwo. Kształtował się wspólny, potoczny język, jeden z fundamentów narodowości, jak ją wówczas pojmowano.

U źródeł

Jesienią 1862 r. na towarzyskiej imprezie młodych „ukrainofili” czy też „chłopomanów” jak wówczas nazywano młodych kijowskich demokratów, romantyków i narodowców, dopiero poszukujących kształtu swej tożsamości, kilku Serbów, studiujących na Uniwersytecie Kijowskim, zaśpiewało patriotyczną pieśń, chyba nawiązującą do *Mazurka Dąbrowskiego*. Ta ostatnia, hymn Polaków, choć jeszcze nie Polski, cieszyła się wówczas wielką popularnością wśród środkowoeuropejskich ruchów patriotycznych jako swoisty wzorzec pieśni narodowej. Oparto na niej hymniczne pieśni Słowaków, Łużyczan i Chorwatów, a także *Hymn Wszechsłowiański*, później adaptowany na

hymn państwowy Jugosławii.

Obecny tam młody poeta i etnograf Pawło Czubyński dosłownie na kolanie napisał tekst *Szcze ne wmerła Ukrajina*, sądząc ze struktury – dostosowany do serbskiej melodii. Według jednej z wersji był to wręcz owoc „biesiadnej” twórczości zbiorowej, a wśród autorów był... Mykoła Werbycki–Antioch (1843–1909), który oprócz nazwiska nie miał nic wspólnego z nadszańskim kompozytorem. Wkrótce Mykoła Łysenko⁹⁴ napisał melodię – i nowa pieśń, hymn *Hromad* (ukraińskich kółek samokształceniowych) poszła w świat. Niedaleko zawędrowała. To był falstart.

Rok później wiersz trafił do Lwowa (w Imperium Rosyjskim o jego publikacji nie mogło być mowy – i bez tego Czubyński został w 1863 r. zesłany pod Archangielsk) i na łamy almanachu *Meta* (Cel). Wraz z nim ukazały się trzy nieznane wcześniej wiersze Szewczenki (w tym słynny *Testament*), więc i tekst Czubyńskiego jemu przypisano. Tak przyszedł tekst hymnu dotarł do rąk Werbyckiego (napisał on też melodię do *Testamentu*, ta jednak się nie przyjęła).

Werbycki, tworząc pieśń, nie poprzestał na napisaniu melodii, lecz głęboko przerobił tekst, zupełnie nie licząc się z tym, że to dzieło Wieszcza (zapewne dostrzegł zbyt wielki dystans poetycki, co bynajmniej trudne nie było). Usunął strofy, nawiązujące do bohaterów Kozaczyzny i wspólnej walki braci–Słowian, dopisał zaś m.in. słowa o „boju krwawym od Sanu do Donu” (Czubyński, carski poddany, nie miał odwagi wezwać do walki zbrojnej) oraz „upartej szczerzej pracy”. Tekst uprościł, „wygasił” jego żywy, cokolwiek nerwowy rytm. Zamiast kolejnej pieśni patriotycznej stworzył hymn, marszową pobudkę przybliżył do cerkiewnego śpiewu. Gdy jego dzieło dotarło nad Dniepr, pieśń Łysenki została szybko i gruntownie zapomniana.

*Ukraina nie umarła
Ni wolność, ni chwała
Jeszcze dla nas, bracia młodzi
Los będzie łaskawy.
Bo wrogowie nasi w słońcu
Niby rosa zginą
I będziemy panowali
We własnej krainie.*

Tak to mniej więcej brzmiało (dla zachowania rytmu pominąłem początkowe „Jeszcze”). Nawiązanie do *Mazurka Dąbrowskiego* – oczywiste. Ale inaczej niż *Mazurek*, który ma tylko jeden kanon tekstu (niezależnie od tego, ile strof stanowi oficjalny hymn państwa), tekst *Szcze ne wmerła* ma co najmniej pięć wersji: w części wracają strofy, skreślone przez Werbyckiego, a nawet druga część refrenu, której na jego melodię zaśpiewać się nie da.

Twórca jednej z wersji, już na pewno dwudziestowieczny, ośmielił się naruszyć to, co w pieśni najważniejsze i napisał:

*Nie zginęli Ukrainy
Odwieczni wrogowie
Trzeba, bracia–Ukraińcy
znów się brać do broni.*

a dalej, by dla wolności kraju rzucać na stos „wraże dusze i ciała” (oryginał wzywa do „poświęcenia duszy i ciała” – własnego!). Ten i inne warianty odeszły jednak w niepamięć.

Inne hymny narodu

Pieśń Czubynskiego i Werbyckiego długo pozostawała na marginesie ukraińskiej świadomości patriotycznej. Wykonywano ją półoficjalnie tylko w nielicznych środowiskach. Prawdziwym hymnem narodu stały się pierwsze strofy *Kobzarza*, arcyksięgi Ukraińców:

*Ryczy i stęka Dniepr szeroki
Potężnie wieje groźny wiatr
Do ziemi zgina wierzb korony
Potężne fale nurtem gna.*

Te trzy czterowiersze (cytuję tylko pierwszy), liryczna, krajobrazowa impresja, otwierają młodzieńczy poemat *Pryczynna*⁹⁵. Dostojna muzyka Iwana Kryżaniwskiego⁹⁶ nadaje fragmentowi romantycznej ballady charakter hymniczny i cokolwiek żałobny. Ale to nie ten tekst, nawet nie ten poemat jest ważny. Ważny jest *Kobzarz*, ważny jest Szewczenko – jako symbole narodu najwyższej rangi. Także Szewczenkowski *Testament* był wykonywany jako hymn narodowy (z muzyką Łysenki).

W środowiskach religijnych śpiewano też hymn *Boże wetykyj, jedynyj* z tekstem Ołeksandra Konyskiego⁹⁷ i muzyką Łysenki, funkcjonalnie będący odpowiednikiem *Boże coś Polskę*, lecz bez odniesień historycznych. Dostojna, powolna nuta, czysta modlitwa, często wykonywana oficjalnie także dziś, choć nie śpiewana powszechnie – na to jest za trudna.

Hymn państwa

Niepodległa Ukraina z lat 1917–1920 nie ustanowiła hymnu państwowego: oficjalnie wykonywano zarówno *Szcze ne wmerła Ukrajina...*, jak i inne hymniczne pieśni narodowe i rewolucyjne. W Związku Sowieckim pieśń była zakazana, a poza środowiskami galicyjskich narodowców – właściwie zapomniana. Ukraińska SRS od 1949 r. miała własny hymn (tekst napisał jeden z wybitniejszych poetów Ukrainy XX w., Pawło Tyczyna⁹⁸), którego zresztą praktycznie nie wykonywano. Trudno się dziwić, skoro refren głosił: „Chwała Związkowi Radzieckiemu, chwała!/ Chwała ojczyźnie narodów–braci!/ Żyj, Ukraino, państwo radzieckie/ Kraju zjednoczony [z Rosją] na wieki wieków”⁹⁹.

Ciekawe natomiast, że w latach sześćdziesiątych Kubański Chór Kozacki¹⁰⁰ wykonywał *Szcze ne wmerła...* jako „starą pieśń kozacką”. Był to chyba pomysł kubańskiego poety i folklorysty Iwana Warawwy, który w ten sposób chciał ocalić pamięć o pieśni. Inna rzecz, że tekst ten tworzy pierwsza strofa wiersza Czubynskiego oraz... początek wiersza Szewczenki *Iwan Pidkowa*:

*Była niegdyś Ukraina,
tam armaty grzmiąły;
Byli kiedyś Zaporozcy,
Chwacko panowali.*

Wraz z odrodzeniem narodowym końca lat osiemdziesiątych wróciła pieśń Werbyckiego. 24 sierpnia 1991 r., tuż po ogłoszeniu niepodległości, tarnopolski chór odśpiewał ją uroczyście przed siedzibą Rady Najwyższej Ukrainy. W styczniu 1992 r. sowiecki hymn oficjalnie anulowano, ale droga do zatwierdzenia nowego okazała się nieprosta. Nie dlatego, by była poważna konkurencja, lecz dlatego, że tekst budził kontrowersje.

W 1992 r. zatwierdzono samą melodię (oficjalny hymn państwa nie miał więc tekstu), a tekst (tylko pierwszą strofę, więc bez „Sanu i Donu”, oraz refren) dopiero po jedenastu latach, wiosną 2003 r. Przy okazji skorygowano pierwszą linijkę, głoszącą dziś „Nie umarła Ukrainy/ Ni wolność, ni chwała”. Myśl o tym, by to ojczyzna mogła umrzeć, była dla ukraińskich intelektualistów i polityków nie do przyjęcia.

Gdy 10 marca 2014 r., w sto pięćdziesiątą rocznicę oficjalnego prawykonania, grupa lwowskich studentów śpiewała *Szcze ne wmerła...* na ulicach Lwowa, słyhać było, jak próbują przywrócić jej dynamizm, odgrzebać spod współczesnej aranżacji hymnu sytych i spełnionych – nutę wojennej pobudki. Improwizowali, nie bardzo im szło. Tak jak nauka sztuki wojowania w obronie Ojczyzny, która znów okazała się niezbędna.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 12 z 2015 r. pod tytułem *Od śpiewu w cerkwi do wojennej pobudki*. Tu dodałem tylko nieco szczegółów i fragmentów poetyckich.

Symbole państwa i narodu

Wspólnoty polityczne wyrażają swą tożsamość m.in. w jej symbolach, zwłaszcza wizualnych. Czasem sięgają one w głąbię wieków, czasem są wymyślane przez polityków i artystów, jak większość godła państw postkolonialnych. Najstarszym godłem jest herb, wyrazisty znak graficzny czy wręcz przedmiot (jak *aquila*, orzeł rzymskich legionów), zazwyczaj umieszczany na pieczęciach i bity na monetach wraz z podobizną aktualnie panującego, bodaj w przeczuciu tego, że państwo jest czymś więcej niż jego obecny władca. Później ta różnica jest podkreślana już w pełni świadomie. Dużo później pojawia się flaga państwa jako coś innego niż proste wyobrażenie herbu: flagi i sztandary wojskowe długo musiały być różnorodne, bo miały identyfikować na polu bitwy nie tylko walczące strony, a i poszczególne pododdziały. Bodaj najpóźniej pojawia się świecki hymn państwowy/narodowy, zastępujący hymny religijne.

Herbem współczesnej Ukrainy jest tryzub (trójząb), którego geneza ginie w otchłani wieków, na długo przed wyodrębnieniem się nie to że Ukrainy, ale Rusi, a może i Słowiańszczyzny. Jej niebiesko-żółta flaga, ostatecznie zdefiniowana na początku XX w. ma swe korzenie w średniowiecznej heraldyce. Hymn powstał pod koniec XIX w. (o nim napisałem osobno)

Tryzub, ale czy Włodzimierzowy?

Herb Ukrainy nie ma oczywistej interpretacji, jak np. herby Polski, Czech, Niemiec czy Anglii. Nie wyobraża typowego zwierzęcia herbowego, ale znak, symbol. O jego pochodzenie i znaczenie trwają spory: niektórzy widzą w nim stylizację pikującego orła, względnie sokoła (do tej interpretacji odwołał się w 2014 r. twórca godła ochotniczego batalionu Donbas), inni spleciony monogram świętych Wołodymyra i Olgi, chrzcicieli Rusi¹⁰¹, jeszcze inni zapożyczony ze starożytnych czarnomorskich kolonii greckich atrybut Posejdona¹⁰², kotwicę lub nawet symbol wspólnoty indoeuropejskiej, która zrodziła się właśnie tu, na

dzisiejszej Ukrainie¹⁰³. Można też spotkać inne, wyraźnie już ahistoryczne, często ezoteryczne interpretacje.

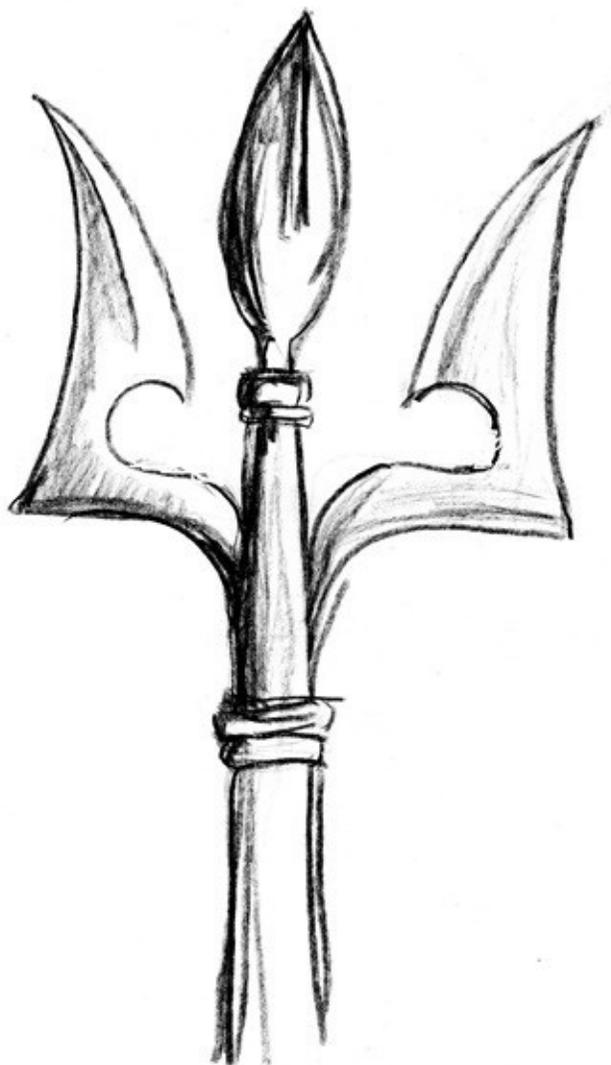


Herb Ukrainy (mały), wersja urzędowa.

Interpretację chrześcijańską (cerkiewną) można od razu odrzucić: tryzub jako symbol rodowo-państwowy jest starszy niż chrześcijaństwo na Rusi. Choć to dzięki niej symbol, zachowany w ornamentyce cerkiewnej, dotrwał w świadomości Ukraińców do naszych czasów. Podobnie nie warto zajmować się zmyśleniami o pikującym ptaku etc.: to nie jest sposób myślenia wczesnego średniowiecza. Gdy w owych czasach chciano narysować (wyryć, wykuć) ptaka, rysowano ptaka, gdy chciano przedstawić znak – przedstawiano znak.



Kijowska zawieszka z X w. – widać wyraźnie, że chodzi o odwzorowanie przedmiotu (domena publiczna).



Współczesne wyobrażenie trójwłóczni Sziwy (rys. Karolina Stopa-Olszańska)



Trójzáb bojowy używany w grach fabularnych (domena publiczna).



Dwuząb Światosławowy, tu w wersji z herbu parku tematycznego Ruś Kijowska w Obuchowie (domena publiczna).



Rekonstrukcja Wołodymyra Wielkiego z krzyżem i tryzubem na podstawie wizerunków z jego monet (rys. Karolina Stopa-Olszańska).

Na monetach i pieczęciach pierwszych władców Rusi (na pewno od Światosława Chrobrego¹⁰⁴, ostatniego pogańskiego władcy Kijowa) powtarzają się trójzęby i dwuzęby. Symboliczne, ale – powiedziałbym – fizycznie dotykalne. Zaś na monetach Władcy–Wielkiego¹⁰⁵, chrzciciela Rusi widzimy go na tronie z berłem zwieńczonym krzyżem, a obok niego – tryzub jako jakiś przedmiot, tak jakby odstawiony na bok, ale wciąż ważny (tryzub na tych monetach występuje także na rewersie). To nasuwa domysł, że nad Dnieprem tryzub był na początku jednym z insygniów władzy, trójzębną włócznią. Włócznia zaś była powszechną bronią północnych Europejczyków¹⁰⁶, zanim rozwój technologiczny i gospodarczy pozwolił na upowszechnienie mieczy. Z potrojonym ostrzem, mało praktycznym w boju, ale znakomitym jako symbol zwierzchności, władzy. Ciekawe, że w Księstwie Moskiewskim włócznia–laska jako insygnium władzy przetrwała do Iwana Groźnego – ale pozbawiona ostrzy, już tylko jako *posoch*, kij pasterski (też symbol władzy!).

Jednak tryzuby są starsze niż władza skandynawskiego rodu Rurykowiczów w dorzeczu Dniepru. Dwu- i trójzębne ostrza, amulety o charakterze ceremonialnym znajdujemy na Ukrainie już od I wieku AD. Trzeba więc szukać głębiej. I nieoczekiwanie okazuje się, że dopatrujący się genezy herbu Ukrainy w mrokach prehistorii mogą mieć rację. Na drugim krańcu wspólnoty indoeuropejskiej znajdujemy bowiem symbol niemal identyczny: *Tryszulę*. Trójwłócznię, atrybut Sziwy. I znów – nie jest to symbol, a konkretny przedmiot, ceremonialny oręż.



Odwieczny herb Zaporozża, Kozak z muszkietem (tu bez fajki). Wyobrażenie z pieczęci z końca XVII w., najwyrazistsze, jakie znalazłem (domena publiczna).

Tryzub był symbolem rodowym, dynastycznym, ale nie państwowym. Stara Ruś nie dojrzała do oddzielenia państwa od osoby panującego, upadła zbyt wcześnie. Od XII w. znika on z symboliki księstw, przejmowanych przez Litwinów, jako znak rozrodzonych gałęzi Rurykowiczów trwa do końca XIII w. Potem zanika, pozostając tylko na ścianach cerkwi, już z nową legendą pochodzenia i znaczenia. Coraz mniej znaną, coraz słabiej rozumianą. Czasy kozackie przyniosła mu całkowite zapomnienie: herbem, jeśli to słowo jest stosowne¹⁰⁷, państw kozackich był realistycznie przedstawiony kozak z muszkietem i fajką; taki herb przyjął dla swego państwa w 1918 r. hetman Skoropadski, dodając jednak dyskretny tryzub nad głową Zaporozca. Nie wszedł do narodowego *imaginarium* symbolicznego, podobnie jak trzynastowieczny herb księstwa kijowskiego, Michał Archanioł, w ugodzie hadziackiej (1658 r.) uznany za herb Księstwa Ruskiego, które miało być trzecim członem Rzeczypospolitej, ale pozostało jedynie na kartach ugody. Potem pojawił się on na pieczęci Rządu Narodowego z 1863 r. – ale to już historia Polski, a nie Ukrainy¹⁰⁸.

Odrodzenie przyszło pod koniec XVIII w., gdy archeolodzy odnaleźli kijowskie monety z tym znakiem, wówczas bezimiennym (jak zwano go X–XI w., nie dowiemy się nigdy) i okazało się, że dawna Ruś miała wyrazisty znak herbowy jeszcze przed przyjęciem dwugłowego orła upadającego Bizancjum. Nazwę „tryzub” ukuł Karamzin¹⁰⁹ w 1815 r. Dla Rosjan była to ciekawostka historyczna – nie zamierzali rezygnować z orła, herbu „Trzeciego Rzymu”. Dla ukraińskich narodowców było to odkrycie wręcz bezcenne.

Ukraińska Centralna Rada właściwie bez wahań przyjęła w 1917 r. tryzub za herb Ukrainy, przydając mu kolory, zaczerpnięte z herbu Rusi Halickiej: złoty dla godła, niebieski dla pola. Kanonicznego wizerunku władze Ukraińskiej Republiki Ludowej nie zdążyły opracować. Później posługiwali się nim – w różnych wariantach graficznych – nacjoniści i narodowcy w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej. W jednej z wersji środkowe ostrze zwieńczono krzyżem – ten nieoficjalny kształt pojawia się i dziś nad Dnieprem. Niepodległa Ukraina zaakceptowała tryzub jako herb mały bez żadnych wahań. Prace nad herbem średnim i wielkim utknęły wiele lat temu, ale Kijów wciąż nie rezygnuje z posiadania herbu państwowego w trzech wersjach¹¹⁰.



Wersje tryzuba. Herb Ukraińskiej Republiki Ludowej z 1917 r.



Wersje tryzuba. Symbol melnykowskiej OUN z okresu międzywojennego (dziś używany przez różne organizacje nacjonalistyczne).



Wersje tryzuba „Łapka” partii Swoboda.



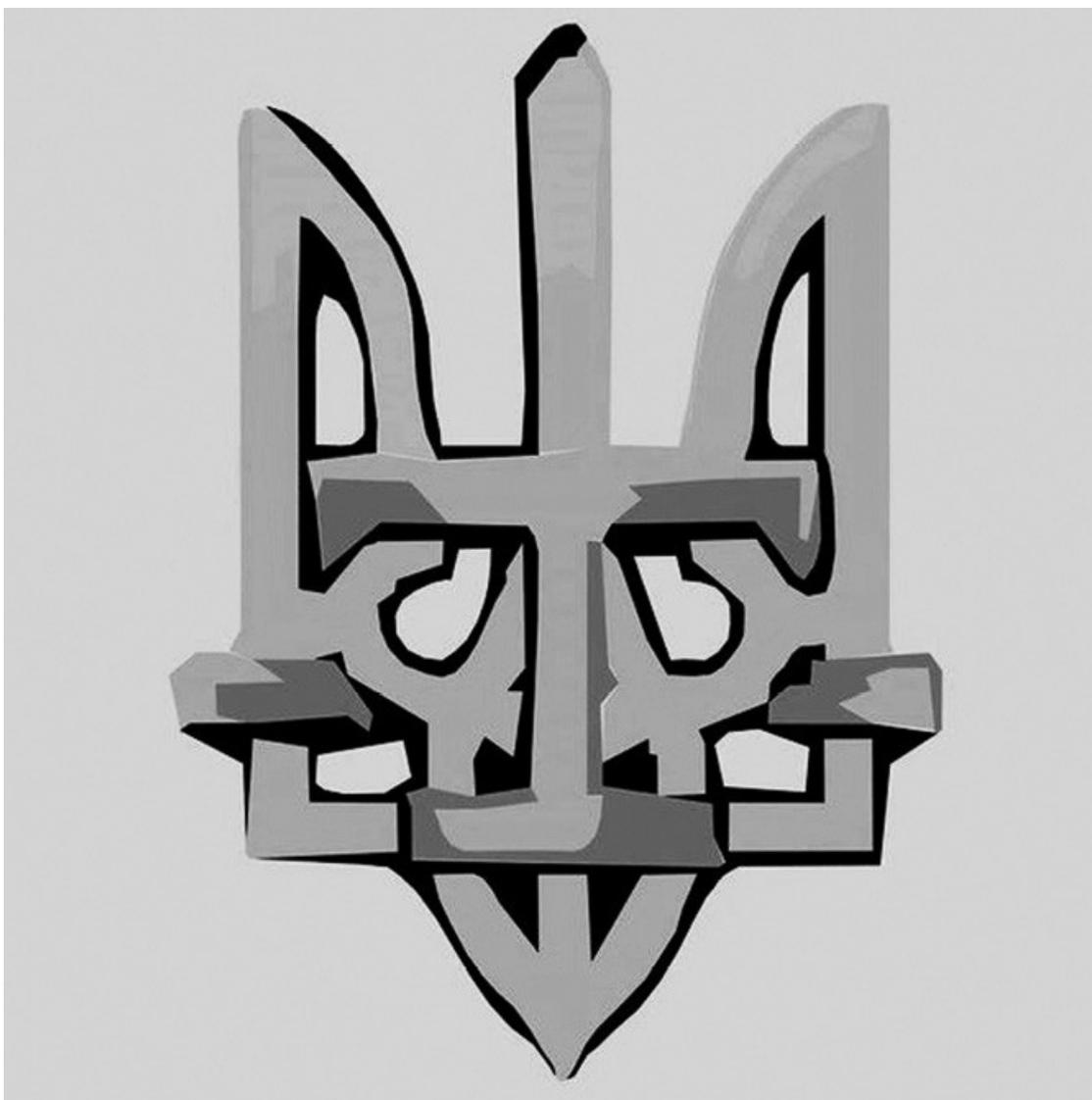
Wersje tryzuba. Symbol Ruchu Azowskiego (domena publiczna).



Herb wielki Ukrainy, wersja nieoficjalna, według wyobrażenia z siedziby prezydenta Ukrainy. Tarczę z tryzubem (herbem małym) podtrzymują lew i kozak; nad tarczą herbową korona z krzyżem, pod tarczą wstęgi w barwach narodowych, pod nimi - czerwone grono kaliny, „totemicznej” rośliny Ukraińców. Rys. Karolina Stopa-Olszańska.



Współczesny herb Tatarów Krymskich, oparty na tamdże Girejów.



Niebieska tamga spleciona ze złotym tryzubem, wyobrażenie z 2015 r. (domena publiczna).

Wcześniej jeszcze ukraiński ruch niepodległościowy zapożyczył polskie, solidarnościowe V, z tym, że tam rozczapierzano nie dwa, a trzy palce: nie zwycięstwo w ogóle, ale zwycięstwo Ukrainy. Pamiątką po tym geście, dziś zarzuconym, jest taki właśnie układ dłoni na fladze partii Swoboda, oczywiście żółty na błękitnym tle.

Ciekawe, że tamga, herb czy raczej pieczęć¹¹¹ Tatarów Krymskich, pierwotnie znak rodowy dynastii Girejów¹¹² jest wcale podobna do tryzuba, choć silniej zgeometryzowana i odwrócona barkiem (podstawą) do góry. I także jest złota na błękitnym tle. Ta raczej przypadkowa

zbieżność symboliki została niedawno odczytana jako „tajny” symbol związku Krymu z Ukrainą; dziś, po utracie półwyspu, symbole krymskotatarskie są eksponowane na Ukrainie jak nigdy wcześniej.

W polskiej retoryce antybanderowskiej (w istocie antyukraińskiej) od niedawna pojawia się kojarzenie tryzuba z widłami jako narzędziem gospodarskim i narzędziem mordu. Najwyraźniejsze jest to w pomniku ofiar rzezi wołyńskiej dłuta Andrzeja Pityńskiego, którego centralnym elementem (umieszczonym w sercu Orła Białego i na tle krzyża) jest podobizna dziecka nadzianego na widły. Ale podobne skojarzenie można znaleźć i na Ukrainie: populistyczny radykał Laszko¹¹³ przekształcił na ulotkach i plakatach literę *ш* (sz) ze swego nazwiska w widły – jako symbol konieczności wyrzucenia gnoju ze struktur państwa (do tego przecież służą widły), ale i „słusznego gniewu” ludu, gniewu zbuntowanego włościaństwa z kosami, siekierami i widłami właśnie w rękach. Na ukraińskich protestach przeciw korupcji także zdarzało się widzieć widły...



Logo partii Laszki, w nazwisku przywódcy litera „sz” zastąpiona czerwonymi widłami.



Naszywka naramienna ochotniczego batalionu Donbas z 2014 r.: tryzub jako czarny sokół, w tle żółto-niebieskie promienie wschodzącego znad Morza Azowskiego słońca (domena publiczna).

Herbowy zwierzyniec Hałyczyny

Nie jest oczywiste, czy w czasach Włodzimierza Wielkiego i jego następcy Jarosława Mądrego Ruś Czerwona pozostawała pod

zwierzchnictwem Kijowa. Mogła stanowić niezależny ośrodek przedpaństwowy (plemienny). Późniejsze Księstwo Halickie od początku zwraca się ku heraldyce europejskiej z jej ścisłymi kanonami. Już w XIII w. herbem Księstwa Lwowskiego staje się lew, Przemyskiego – dwugłowy (bizantyński, cesarski!) orzeł, a Halickiego – jednogłowy i czarny orzeł (albo i nie orzeł – wróć do tego za chwilę). Ostatecznie złoty (zrazu czarny) lew na błękitnym polu staje się herbem całej Rusi Czerwonej, trafia też pod bramę herbową¹¹⁴ miasta Lwowa. W 1848 r. herb ten został wznowiony przez ruskich (ukraińskich) autonomistów Galicji, potem – stał się herbem Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, by po dwóch miesiącach ustąpić naddnieprzańskiemu tryzubowi¹¹⁵.



Najstarsze znane wyobrażenie herbu Rusi Halickiej z pieczęci Władysława Opolskiego. Rys. Karolina Stopa-Olszańska.

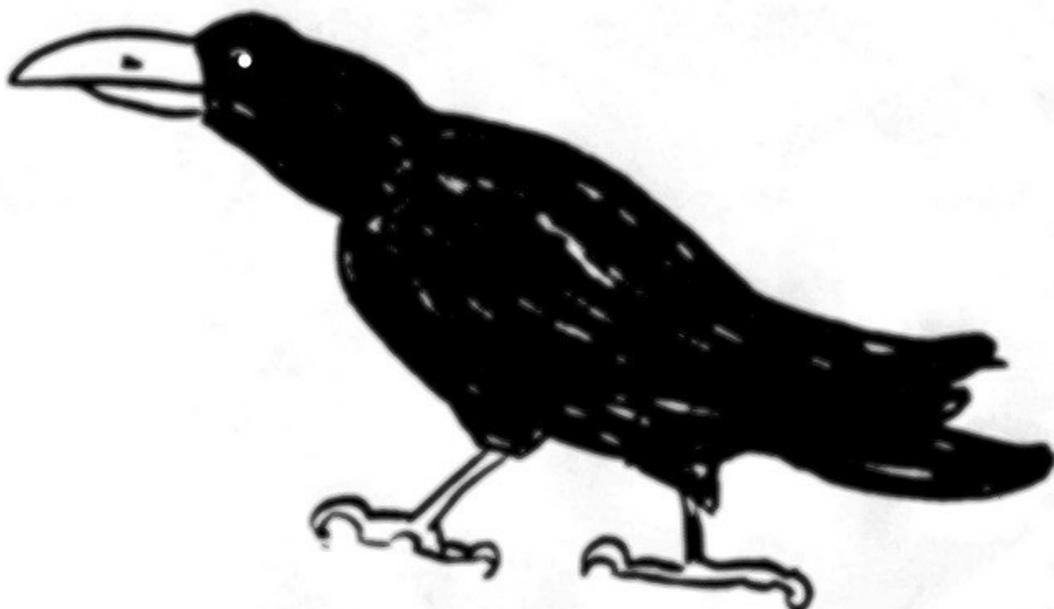
Skąd takie barwy? Być może za ogólnym kanonem heraldycznym, nakazującym kłaść złoto na błękit, a biel (srebro) i czerń – na czerwień? A może – jak spekulują niektórzy historycy – z barw herbowych księcia Władysława Opolskiego¹¹⁶, namiestnika króla Węgier na Rusi Czerwonej, który miał w herbie złotego orła na błękitnym polu, herb górnośląskiej gałęzi Piastów? Dowodu raczej nie znajdziemy.

Ale to nie lwowski herb stał się herbem Królestwa Galicji i Lodomerii¹¹⁷. Stała się nim kawka (według niektórych – gawron), ptak mało szlachetny i zupełnie nieheraldyczny (do tego stadny!). Po raz pierwszy o kawce jako herbie ziemi halickiej pisał Jan Długosz w opisie chorągwi spod Grunwaldu; według niego na chorągwi widniała *monedula nigra in capite coronata in campo albo*, czyli „kawka czarna z głową ukoronowaną na polu białym”. Ale tylko pisał, rysunków polskich chorągwi (inaczej niż krzyżackich) nie pozostawił. Trudno powiedzieć, czy widział halickie chorągwie; tarcze herbowe tej ziemi, tak jak pozostałych, na dworze królewskim widzieć musiał. A taki wizerunek znamy, i to późniejszy od *Kronik* Długosza ledwie o pół wieku. Widnieje on na ogólnie znanym przedstawieniu senatu Aleksandra Jagiellończyka z 1509 r.; tyle że ptak tam wyobrażony tylko z trudem może być uznany za kawkę¹¹⁸. Raczej jest to orzeł, choć w nietypowej pozycji: stojący z rozwiniętymi skrzydłami, a nie – jak zazwyczaj – z rozłożonymi skrzydłami, uderzający na ofiarę. Skąd się więc wzięła Długoszowa *monedula*? Pewnie się już nie dowiemy.

Później, zwłaszcza, gdy Austriacy wpisywali w herb nowej prowincji kawkę w pozie tak nieheraldycznej, jak to tylko możliwe, zapewne działało też skojarzenie halickiego ptaka herbowego z fałszywym, „ludowym” wywodem nazwy miasta Halicz od ukraińskiego *hałyć* (gawron) lub *hałka* (kawka). W tym ujęciu Halicz miałyby być Kawczą Górą, zamiast – Gołą Górą¹¹⁹. Choć międzywojenny herb Halicza (już tylko miasta) przedstawiał raczej ukoronowanego orła, siedzącego na gałęzi niż kawkę.



Herb ziemi halickiej z początku XVI w.



Turul z tarczy herbowej Arpada.



Ptaki z różnych wersji herbu Królestwa Galicji i Lodomerii; lewy jest bardziej gawronem, prawy – wyraźnie kawką. Rys. Karolina Stopa-Olszańska.

Długo myślałem, że tym najstarszym (obok lwa) herbem był właśnie orzeł. Potem jednak trafiłem na miniaturę z czternastowiecznej kroniki

węgierskiej przedstawiającej Arpada, założyciela Węgier z tarczą herbową, przedstawiającą czarnego ptaka: stojącego, ze zwiniętymi skrzydłami. A potem na inne heraldyczne wyobrażenia turula. Trop był wyraźny, choć dowieść go chyba się nie da. I nie było to tylko moje skojarzenie – jeden z wikipedystów, rekonstruując herb Księstwa Halickiego „wedle Długosza”, miał najwyraźniej w pamięci turula.

A więc kolejny trop węgierski, kolejne potwierdzenie silnego wpływu Węgier na Ruś Halicką, a może i wcześniejszego wpływu Węgrów (jeszcze ludu, nie państwa) na formowanie się państwowości ruskiej nad Dniestrem (w końcu to przez te ziemie podążali ku naddunajskim stepom). Jeśli tak – mógłby to być herb starszy od lwa, który pojawia się w heraldyce europejskiej dopiero po krucjatach; wcześniej symbolem siły i męstwa był niedźwiedź. Bo turul, mityczny orłokruk, to „totemiczny” ptak Węgrów, który chyba tylko ze względu na pogańskie korzenie nie stał się ptakiem herbowym. Dziś utożsamia się go z sokołem lub rarogiem – ale na licznych wyobrażeniach, zwłaszcza najdawniejszych widać ptaka ogromnego, raczej sępa niż orła. Zatem wypada uznać, że herbowym ptakiem Halicza¹²⁰ jest przybysz z dalekich stepów i węgierskich tarcz herbowych.

Przewracana flaga

Po raz pierwszy flagę narodową Ukraińców zadekretowano w 1848 r. we Lwowie. Uczyniła to Naczelna Rada Ruska, efemeryczny, rewolucyjny organ ukraińskich autonomistów. Oparto ją na herbie Rusi Czerwonej: górny pas miał być niebieski, dolny zaś – żółty, zgodnie z austriackim kanonem heraldycznym, nakazującym barwę pola umieszczać nad barwą godła. W 1917 r. Naddnieprzańska Ukraińska Centralna Rada wróciła do tej flagi, odwracając ją zgodnie z kanonem francuskim (barwa godła nad barwą pola, jak np. na fladze Rzeczypospolitej), gdy galicyjska ZUNR pozostała przy wariacie pierwotnym. Także później, na emigracji, używano obu flag, że jednak przewagę mieli tam Haliczanie (zwłaszcza po II wojnie światowej), ich wariant zyskał przewagę.

Odrodzenie narodowe końca lat osiemdziesiątych XX w. także zaczęło się od Halycyny, zatem przyjęto halicki wariant flagi, dodając mu poetycką, choć ahistoryczną interpretację: błękitne niebo nad łąkami zbóż (symbol-autostereotyp Ukrainy). Centralna Ukraina nie pamiętała

dawnych barw, zaakceptowała więc ten wariant (zresztą – pamiętajmy – pierwotny). Niepodległe państwo zaakceptowało je właściwie bez wahania (choć było kilka pomysłów konkurencyjnych, raczej kuriozalnych, jak zgłoszony przez komunistów projekt przywrócenia kozackiej, malinowej chorągwi z archaniołem, „pod którą doszliśmy do Perejaśławia”, czyli do zjednoczenia z Rosją). Nie było zresztą wyboru, skoro flagę tę wniesiono na salę obrad Rady Najwyższej zaraz po uchwaleniu deklaracji niepodległości (zajęła całe główne przejście między rzędami), skoro tego dnia (24 sierpnia 1991 r.) wisiała już na masztach w całym kraju.

Dziś na Ukrainie kwestionuje się często istnienie w przeszłości flag żółto–niebieskich. Analiza czarno–białych zdjęć ma przekonać, że na starych kliszach niebieski wypadł jako jaśniejszy i bardziej przejrzysty... Zapewne to prawda. Niebieski łatwo płowieje, a żółty musi być intensywniejszy, by nie postrzegano go jako bieli. Ale w tych latach istniał już druk kolorowy – i na co najmniej kilkunastu pocztówkach i plakatach ukraińskich (i antyukraińskich, sowieckich) bez żadnych wątpliwości widać flagi „żółtym do góry”. I to rozstrzyga: używano obu układów barw.

Dziś na Ukrainie wprowadza się niebiesko–żółte barwy gdzie się da (i nie da), są one obecne znacznie szerzej niż biało–czerwone w Polsce (jeśli nie liczyć utylitarnych zastosowań czerwieni i bieli w oznaczeniach drogowych). Dominują w lokalnych flagach i herbach (a mają je na Ukrainie nawet wsie bez żadnych tradycji miejskich), „przemalowano” w ten sposób wiele historycznych herbów. Nawet w herbie Zakarpacia (dziś obwodu zakarpackiego) potraktowano w ten sposób średniowieczne czerwone pręgi na srebrnym polu, „belki Arpadów”. I dodano niewielki tryzub jako swoistą „pieczętkę”: to nie jest tylko herb części Ukrainy – to jest herb ukraiński. Nic innego się już nie przebije. Wszystkie inne barwy pozostaną partyjnymi czy środowiskowymi. Także te czerwono–czarne, o których opowiem w osobnym (i napisanym wcześniej) szkicu.

A, i jeszcze o flagach austriackiej Galicji i Lodomerii, bo rzecz jest ciekawa (choć nie jest ważna). Pierwszą, niebiesko–czerwoną wprowadzono w 1809, kilka lat po herbie, dwa godła którego oddzielał czerwony pas – i pewnie dlatego. Drugą wprowadzono czterdzieści lat później: była trójkolorowa, niebiesko–amarantowo–żółta (żółty pas zaczerpnięto z czarno–żółtej flagi Habsburgów). Wreszcie po ogłoszeniu

autonomii Galicji (nie od razu, w 1890 r.) wprowadzono flagę czerwono-białą (więc polskie barwy narodowe w „austriackiej” kolejności). Zapewne dlatego część galicyjskich pocztówek patriotycznych z początku XX w. przedstawia flagi czerwono-białe, a nie biało-czerwone... Ale to już, jak mówi Kipling, zupełnie inna historia.

Tekst powstał do tego zbioru.

Czerwono–czarne barwy Ukrainy. Skąd się wzięły, co dziś znaczą?

Nazajutrz po meczu półfinałowym Niemcy–Brazylia [w lipcu 2014 r.] na Ukrainie pojawiły się memy mówiące np. „A wszystko dlatego, że Niemcy grają w strojach o barwach wizytówki Jarosza” (tj. organizacji Prawy Sektor, na czele której stoi Dmytro Jarosz¹²¹). Bo rzeczywiście, drużyna niemiecka grała na Mundialu w koszulkach w szerokie, czerwono–czarne pasy. Skojarzenie, choć błędne, dla Ukraińców było oczywiste.

Wcześniej wiele kontrowersji wzbudziło w naszym kraju posługiwanie się przez protestujących na Majdanie Niepodległości czerwono–czarnymi flagami ruchu banderowskiego oraz pozdrowieniem organizacyjnym OUN. Wielu Polaków odebrało to jako dowód odrodzenia „banderyzmu”, czy wręcz dominacji radykalnego, post–OUN–owskiego nacjonalizmu w ukraińskiej rewolucji. Sprzyjała temu dbałość radykalnych nacjonalistów o *publicity*, ich barwność, występowanie w wojskowych kamuflażach i z licznymi flagami (często co drugi, trzeci uczestnik marszu nacjonalistów niósł flagę)... Elementarz socjotechniki w czasach telewizjocentryzmu w przekazie społecznym.

W rzeczywistości radykalni nacjonaści, nawiązujący do tradycji OUN–UPA lub nie, stanowili zdecydowaną mniejszość protestujących, także w Samoobronie Majdanu. Czerwono–czarną flagę przejmowało wielu ludzi, którzy o doktrynie radykalnych nacjonalistów nawet wcześniej nie słyszeli. Czy przejmowali tym samym idee, czy też nadawali fladze nowy sens?

Krew i ziemia, miłość i śmierć

Czerwień i czerń mają uniwersalne, intuicyjne znaczenie symboliczne, pierwotne wobec wszelkich interpretacji doktrynalnych. Czerwień to ogień, krew, miłość, walka, radość, piękno (staropolskie „krasa” właśnie od czerwieni pochodzi); czerń to ziemia, śmierć, smutek, żałoba. Na Ukrainie są to też podstawowe kolory haftu krzyżkowego, jednego z symbolicznych elementów kultury narodowej. W popularnej w czasach

sowieckich, ale i dziś ukraińskiej pieśni¹²² słyszymy:

*Dwa moje kolory, dwie barwy me
oba na mej koszuli i oba w duszy mej (...)
czerwony – miłość ma, a czarny – smutku cień.*

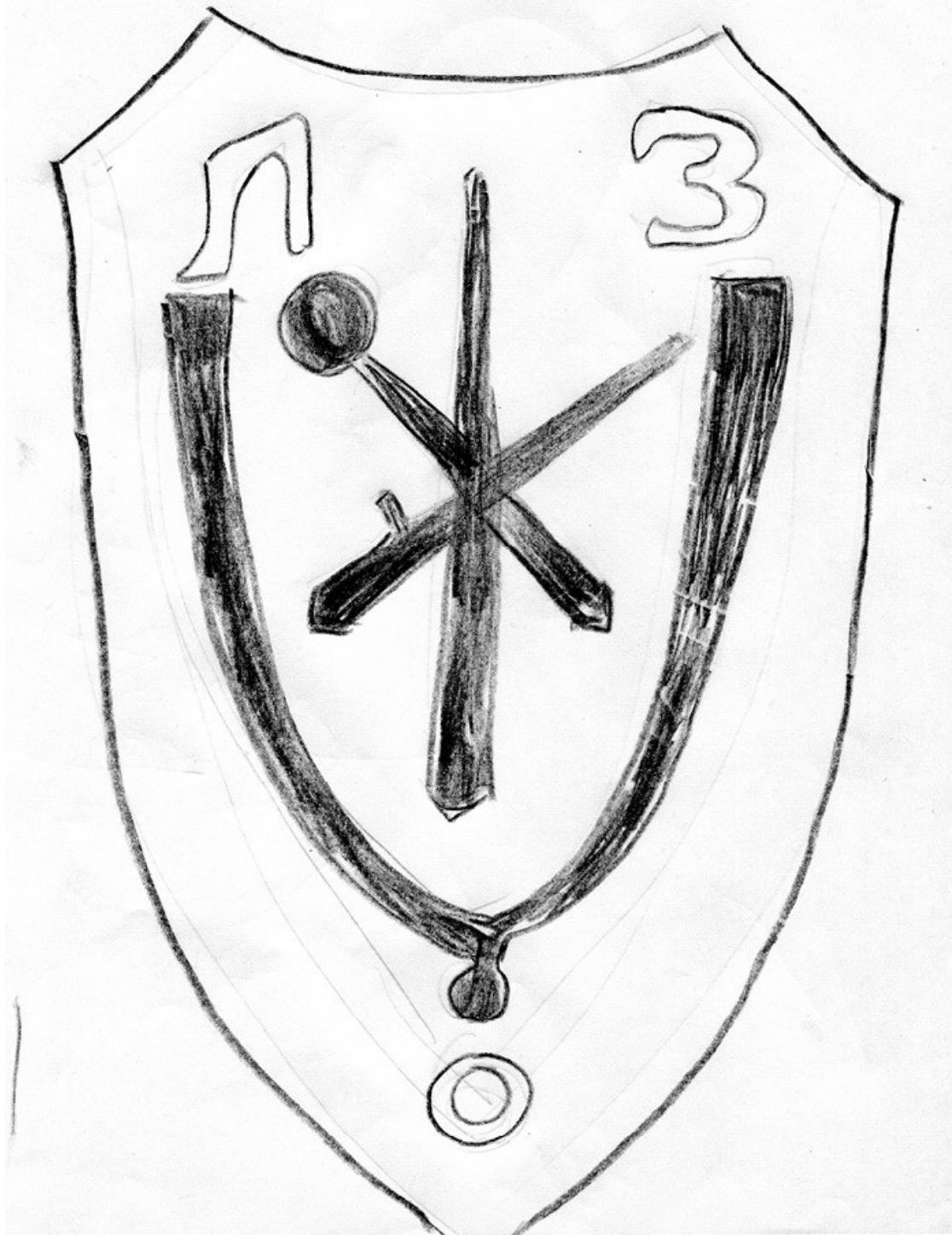
Czerwony i czarny, czerwony i biały, biały i czarny (a także niebieski i żółty) to podstawowe zestawienia heraldyczne. Znajdujemy je na setkach herbów europejskich, a także w heraldyce innych krajów (dziś czerwono–czarne flagi mają Papua–Nowa Gwinea i Angola). W XIX w. barwę czerwoną uznali za swoją socjaliści, czarną – anarchiści, później hiszpańscy i francuscy anarchosyndykaliści wymyślili flagę czerwono–czarną, o układzie przekątnym lub poziomym. Zaś podczas rewolucji rosyjskiej czerwono–czarne sztandary wznosili kontrrewolucjoniści, konkretnie Kornilowski¹²³ pułk szturmowy z lat 1917–1918; także w ich mundurach dominowała czerń, bramowana czerwienią.

Dziś tymi flagami posługują się dwie główne centrale hiszpańskich związków zawodowych, różnego rodzaju ruchy rewolucyjne (zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej), jak i europejska, lewacka Antifa. Również w Polsce ruch ten oraz inne ugrupowanie „lewicy antysystemowej” nieraz występują publicznie pod tymi barwami, ostatnio częściej w układzie czarno–czerwonym i przekątnym. Ale można spotkać też klasyczny układ, tożsamy z flagą ukraińskiego nacjonalizmu¹²⁴.

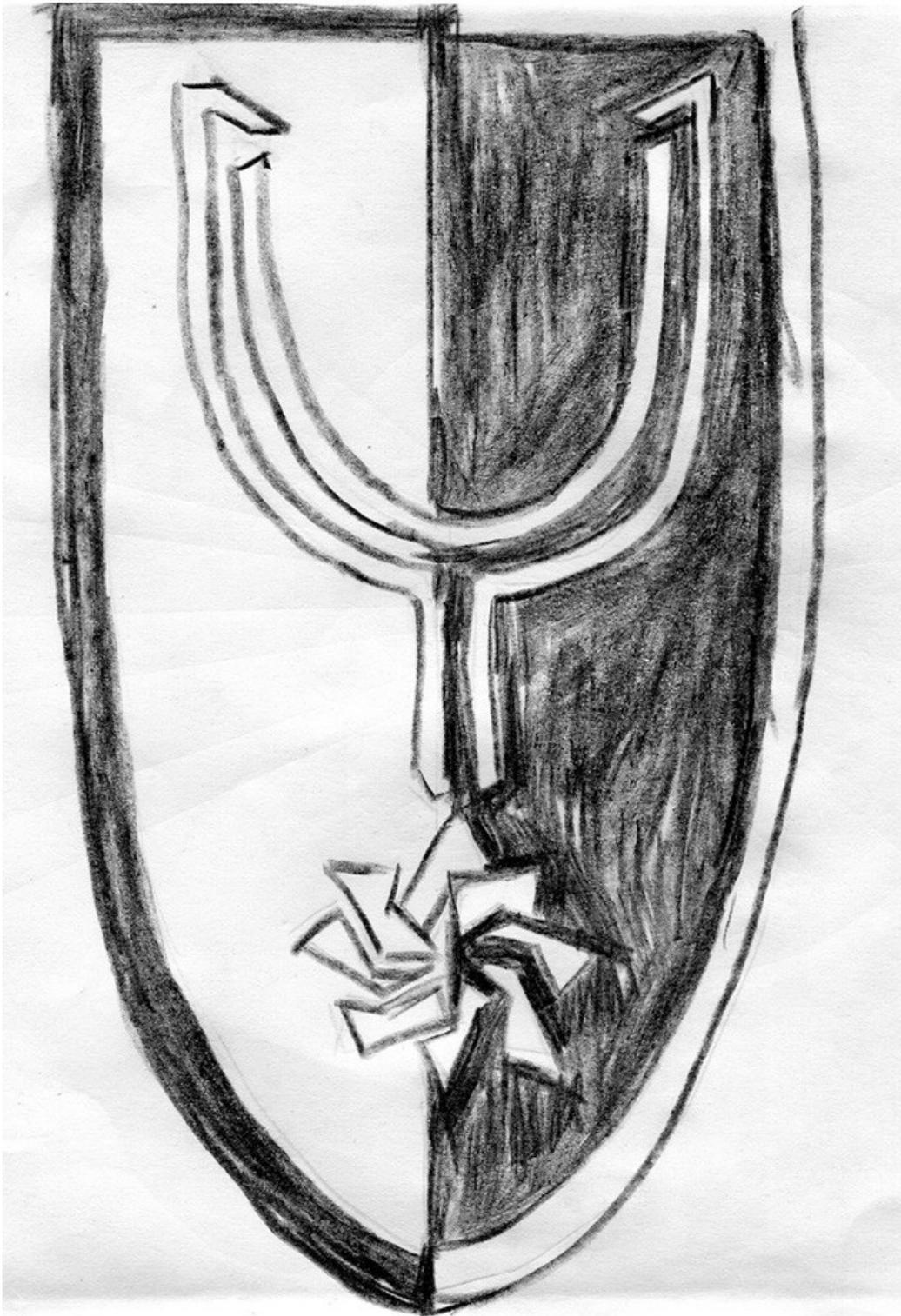
Czy to o czymś świadczy? Chyba tylko o tym, że podobieństwo nie oznacza pokrewieństwa. A przynajmniej – nie musi.

Rycerze Żelaznej Ostrogi i ich uczniowie

Ukraiński ruch narodowy długo posługiwał się wyłącznie flagą niebiesko–żółtą. Barwy czerwono–czarne (jeszcze nie flaga) pojawiły się jesienią 1916 r., gdy Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych długo pozostawał na tyłach. Jego oficerowie zawiązali wówczas Zakon Rycerzy Żelaznej Ostrogi, swoiste bractwo rycerskie, którego celem było przeciwstawienie się nudzie i demoralizacji.



Symbol Bractwa Żelaznej Ostrogi; po lewej pierwotny: w łuku ostrogi skrzyżowana szpada, karabin i buława, litery Ł Z O (Łycari żalizioji ostrohy) czarne na czerwonym polu;



Późniejszy, używany także dziś w Płąście: biała ostroga na czerwono-czarnym polu. Rys. Karolina Stopa-Olszańska.

Nie było to chyba przedsięwzięcie całkiem serio – ale takie też są potrzebne. Rycerze podczas uroczystości nosili czarne peleryny z czerwonym bramowaniem, symbolem bractwa była biała (stalowa) ostroga na czerwono–czarnej tarczy. Skąd zaczerpnięto akurat te kolory, skądinąd oczywiste dla żołnierza, chyba nikt nie wie.

Bractwo nie przetrwało rozwiązania Legionu, ale wielu jego członków było potem instruktorami Płastu (ukraińskiego skautingu). Jeden z hufców¹²⁵ Płastu przybrał nawet imię Rycerzy Żelaznej Ostrogi. I to płastuni wprowadzili czerwono–czarne barwy do ukraińskiej symboliki politycznej. Z początku wbrew starającej się kontrolować ruch OUN, której kierownictwo pod koniec lat dwudziestych nakazało zastąpienie w „Marszu Leśnych Czortów”¹²⁶ (bodaj najważniejszego hufca Płastu) wzmianki o sztandarze czerwono–czarnym (hufcowym proporcu) apoteozą barw niebiesko–żółtych. Polityczne kierownictwo organizacji nie życzyło sobie „alternatywnej” symboliki. Był to jeden z wyrazów totalitarnych tendencji OUN.

Od banderowców do Majdanu

Dopiero w 1941 r., po rozłamie w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym, kongres banderowskiej OUN ustanowił czerwono–czarną flagę organizacji. Niewykluczone, że była to „podpowieź” płastunów, licznych w nowym pokoleniu OUN–owców, już – banderowców. Melnykowcy¹²⁷ nigdy nie przyjęli tej flagi.

Na marginesie – kongres ten zmienił też odzew pozdrowienia organizacyjnego: na słowa „Chwała Ukrainie” miano teraz odpowiadać „Chwała bohaterom”. Był to element odwrotu od symboliki faszystowskiej: poprzednio odzew brzmiał „Chwała Wodzowi”. Tu też można dostrzegać wpływ pokolenia ukształtowanego w II Rzeczypospolitej, które nie akceptowało kultu wodza wedle włoskich czy niemieckich wzorców. Tym bardziej, że wodza z prawdziwego zdarzenia, o niekwestionowanym autorytecie, jakim był Jewhen Konowalec¹²⁸, zabrakło, a jednym z wymiarów rozłamu w UPA była walka diadochów.

Latem 1941 r. banderowcy wywieszali na zachodniej Ukrainie zarówno flagi niebiesko–żółte, jak i czerwono–czarne. Jednak po przejściu do konspiracji antyniemieckiej (wymuszonej represjami przez III Rzeszę) z publicznego posługiwania się flagami trzeba było zrezygnować.

UPA nie miała własnej flagi. Posługiwała się niemal wyłącznie symboliką państwową: tryzubem i flagą niebiesko-żółtą, zresztą na niewielką skalę (choć z niektórych zdjęć i rysunków wynika, że po 1944 r. był on jednak sporadycznie używany). Partyzanci rzadko miewają sztandary, mundury etc. Chętnie natomiast projektują je i noszą weterani, zwłaszcza w miarę zamożni emigranci. Barwy czerwono-czarne jako symbol ruchu banderowskiego zostały ostatecznie utrwalone dopiero po wojnie.

Niech nas nie mylą współczesne filmy, czy to polski *Wołyń*, czy ukraiński *Neskorenyj*¹²⁹. Partyzantów, a tym bardziej przedstawionych przez Smarzowskiego band w środku wojennej nędzy nie było stać na flagi (a cóż dopiero mówić o kilku flagach na jednej furze) i tym podobne fanaberie. Nie było też (to już o filmie Janczuka) czerwono-czarnych flag traktowanych podczas ceremonii wojskowych UPA na równi z niebiesko-żółtymi.

Pod koniec lat osiemdziesiątych te barwy wracają na Ukrainę. Liczne organizacje nacjonalistyczne posługują się nimi w różnych formach i konfiguracjach. Prosta dwukolorowa flaga, po raz pierwszy widoczna wśród namiotów rewolucji na granicy 1990 r., długo nie była kojarzona z żadną organizacją. Rok później, podczas lwowskich obchodów półwiecza proklamowania restytucji niepodległości Ukrainy, barwy można było dostrzec na niektórych transparentach, flagi były tylko narodowe, niebiesko-żółte. Później flaga czerwono-czarna pojawiała się, głównie w Galicji Wschodniej, w kontekstach związanych z pamięcią o Banderze i UPA. Z czasem coraz częściej.

Rangę ogólnokrajową nadał jej dopiero Prawy Sektor¹³⁰, początkowo platforma porozumiewawcza nacjonalistycznych radykałów obecnych na Majdanie. Stała się jedną z flag Euromajdanu, rewolucji godności, zobaczył ją cały świat. Dziś jako flaga tej organizacji jest ona wzbogacona złotym tryzubem – flaga bez tego znaku wciąż jest symbolem ruchu, tendencji, idei.

Przeciętny Ukrainiec wie o OUN i UPA niewiele: parę podręcznikowych klisz, w dużej mierze fałszywych. Ale i współcześni radykalni nacjonaści niewiele wiedzą o tradycji swego ruchu. Ktoś użył określenia „flaga UPA”, inni zaczęli powtarzać – a że jedyne, co wiedzieli o UPA, to że walczyła ona z Sowietami, nie mieli oporów.

Na Majdanie czerwono-czarną flagą posługiwali się nie tylko

nacjonaliści. Dla wielu, może większości, był to symbol radykalnego sprzeciwu wobec rządów Janukowycza i mentalno–cywilizacyjnej rusyfikacji Ukrainy. Nieraz wznosili ją ludzie całkowicie rosyjskojęzyczni. Ba, nawet Żydowska Sotnia Samoobrony Majdanu w swej oznace miała Gwiazdę Dawida na czerwono–czarnym polu.



Ukraiński mem internetowy z 2014 r.: Kozaczok w walce z Koloradem.

A potem padli zabici. Pierwszym z nich był mieszkający w Dniepropietrowsku Ormianin, drugim – imigrant z Białorusi, dopiero trzecim Ukrainiec (i nacjonalista). Nad ich trumnami dawna flaga OUN stała się ostatecznie flagą ukraińskiego powstania narodowego (bo tym właśnie był Majdan w styczniu i lutym 2014 r.). O jej przeszłości mało kto wie, a ci co wiedzą – nie chcą pamiętać. Nigdy też nie zdominowała ona barw państwowych.

Podobnie z odzewem „Chwała bohaterom”: cokolwiek znaczył pierwotnie, dziś odnosi się do poległych z Niebiańskiej Sotni oraz żołnierzy ginących w walce o wschodnie granice kraju. Tego już nic nie przekreśli: pierwotne znaczenia, stare konteksty odchodzą do historii.

Dziś czerwono–czarne flagi są barwami walczącej Ukrainy,

przeciwstawiane nie *trikolorowi* Federacji Rosyjskiej, ale pomarańczowo–czarnym kokardom rosyjskich nacjonalistów, przewanych *Koloradami*¹³¹. Jak na memie z maja 2014 r., na którym stonka pada ofiarą czerwono–czarnego żuka, zwanego na Ukrainie kozaczkiem¹³².

Czas wojny

Pojawienie się na Majdanie symboliki banderowskiej wzbudziło w Polsce niepokój, sprzeciw, czasem bardzo ostry. Było to zrozumiałe, naturalne. Mamy prawo być uwrażliwieni, nawet – przewrażliwieni na tym punkcie. Ukraiński radykalny nacjonalizm istnieje (choć pozostaje poza głównym nurtem życia politycznego), jest w nim też nurt antypolski, który nie musi na zawsze pozostać na marginesie. To, czy pozostanie, zależeć będzie w pewnej mierze od naszej postawy wobec Ukrainy.

Ukraina potrzebuje głębokiej refleksji nad swą historią, odkrycia i przemyślenia jej czarnych kart. Ten proces już się zaczynał, choć z trudem, z oporami. Ale dziś kraj toczy wojnę, od której wyniku zależeć będzie między innymi to, czy ukraińskie dyskusje o historii będą w ogóle możliwe, czy nie zastąpi ich moskiewski dyskurs, w którym nie będzie już miejsca dla jakiegokolwiek ukraińskiej tożsamości.

*

Po pięciu latach można stwierdzić, że barwy czerwono–czarne wycofały się, jeśli można tak powiedzieć, z centrum życia politycznego Ukrainy. Nie jest to już symbol poruszenia społecznego, rewolucji. Znów są to głównie barwy części radykalnych nacjonalistów (np. neobanderowska Swoboda ich nie używa) i pamięci o UPA. Ale część miast Galicji Wschodniej (w tym Lwów) nakazały oficjalne wywieszanie jej obok flagi państwowej. W odznakach batalionów ochotniczych barwy te pojawiały się rzadko, ale w 2019 r. zostały wprowadzone do nowych odznak kilku jednostek wojskowych. Jeden z najliczniejszych dziś hufców Płastu nosi nazwę Zakonu Żelaznej Ostrogi i posługuje się odznaką z 1916 r. W 2015 r. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej zaproponował kokardę na obchody rocznicy zakończenia II wojny światowej: kwiat maku, czerwono–czarny siłą rzeczy. Zaprojektowany tak, by przypominał dziurę po kuli.

Zestawienie czerwieni i czerni pojawia się w coraz to nowych

kontekstach, czasem związanych z tradycją radykalnego nacjonalizmu, czasem nie. Bo, przypomnę, jest to jedno z podstawowych zestawień kolorystycznych: dość przejść się dowolną ulicą, w dowolnym mieście, by to dostrzec. Pojawiało się w umundurowaniu formacji ukraińskich już sto lat temu. Czarni Zaporozcy, najwaleczniejsza jednostka ukraińskiej kawalerii lat 1917–1920 nosili czarne płaszcze i szerokie, czerwone pasy, a czerwone szłyki¹³³ czarnych kozackich papach były powszechne już w XIX w. Straż honorowa prezydenta Ukrainy za prezydenta Kuczmy otrzymała czerwono–czarny mundur (z szerokim białym pasem), oparty na dziewiętnastowiecznym umundurowaniu kozackich formacji armii rosyjskiej.

Czerwono–czarne barwy weszły do ukraińskiego „zestawu symbolicznego” na podobnej zasadzie jak w Polsce solidaryca. Są wykorzystywane w różnych celach, przez różne środowiska. Nie tylko przez nacjonalistów – choć głównie przez nich.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 39 z 2014 r. Teraz dodałem kilka szczegółów oraz dopisałem fragment końcowy.

Idzie siczowe wojsko/ podśpiewując z cicha...

Przed stu laty Europejczycy powszechnie oczekiwali wojny. Częściej z nadzieją niż z obawą. Gdy wybuchła, przyjęto ją z niekłamanym, masowym entuzjazmem. Wojny nie było w Europie (oprócz Bałkanów) ponad czterdzieści lat, „zgniły pokój” i towarzysząca mu dekadencja budziły coraz większe znużenie. Narastały też sprzeczności między mocarstwami, zwłaszcza między Niemcami a Francją i Wielką Brytanią. W wojnie widziano także nadzieję na zmiany, na rozerwanie gorsetu systemu wiedeńskiego, ustalonego po obaleniu Napoleona. A Polacy, Ukraińcy, Czesi i kilka jeszcze narodów widziało w niej nadzieję na niepodległość.

Czekanie na wojnę

Rozumni analitycy i politycy zdawali sobie sprawę, że wojna jest nieunikniona, gdyż ambicje głównych mocarstw europejskich są nie do pogodzenia i musi dojść do próby sił. Ale oczekiwali czegoś w rodzaju nowej wojny francusko-pruskiej czy także kilkumiesięcznych wojen bałkańskich z 1912 i 1913 r.¹³⁴ Takiej wojny oczekiwały też narody, na taką wojnę ruszyły z entuzjazmem latem 1914 r. Doświadczenie czteroletniej wojny secesyjnej¹³⁵, pierwszej nowoczesnej wojny na wyczerpanie, w której nie decyduje męstwo żołnierzy i talent dowódców, ale potencjał przemysłowy i demograficzny, nie przebiło się do świadomości Europejczyków. Dopiero pod koniec 1914 r. zrozumiano, że wojna będzie długa, wyczerpująca i straszna. Jak bardzo – nawet wtedy nikt nie przeczuwał.

W Europie Środkowej oczekiwano tej wojny inaczej. Młode narody widziały w niej szansę. Całkiem niedawno wojna rosyjsko-turecka przyniosła wolność Bułgarom¹³⁶, później narody bałkańskie krwią i żelazem wytyczały granice swej wolności. Starcie Niemiec i Austro-Węgier z Rosją oznaczało ostateczny upadek Świętego Przymierza, robiło miejsce dla nowo ukształtowanych narodów, formujących się wraz z emancypacją włościanstwa, rozwojem oświaty i wzrostem zamożności.

A także wraz z rozwojem nacjonalizmów, podważających dawne, monarchiczne patriotyzmy. Tak od dołu, przez rozwój nowych, „niepaństwowych” narodów, jak i od góry, przez „nacjonalizację” doktryny państwowej mocarstw. Narody Europy Środkowej wiele zawdzięczają pojawieniu się nacjonalizmu niemieckiego i rosyjskiego: stanowiły one wyzwanie, na które trzeba było odpowiedzieć, a dzięki temu łatwiej i szybciej samemu określić się w kategoriach nowoczesnego narodu.

W demokratycznej (na owe, a może i nie tylko na owe czasy) Galicji rywalizowały ze sobą dwa narody. Oba modliły się „o wojnę powszechną o wolność ludów”¹³⁷. Oba się do niej przygotowywały, na razie tylko do starcia z Rosją, a nie między sobą. Państwo zaś akceptowało, a przynajmniej tolerowało różnorodne towarzystwa paramilitarne (oficjalnie gimnastyczne i sportowe), których prawzorem był „Sokół”, czeski pomysł podchwycony przez większość Słowian. W Galicji istniały dwa związki sokolskie: polski i ukraiński. Podobnie powołanie we Lwowie polskiego skautingu (później nazwanego harcerstwem) zaowocowało rychłym powołaniem Płasta, skautingu ukraińskiego. Były też Sicze¹³⁸ (ochotnicze straże pożarne z ukraińskich wsi) i ich polskie odpowiedniki, były towarzystwa wstrzeźliwości. Wszystkie (oprócz ostatnich) łączyły oficjalne cele z formacją patriotyczną i przysposobieniem wojskowym.

Początkowym celem tych ruchów było, jak wówczas mówiono, „podniesienie stanu moralnego i fizycznego” młodzieży. Rozwijająca się inteligencja była przerażona nędzą i stanem zdrowotnym proletariatu miast i wsi (nadmiernie egzaltowane opisy z „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego wcale nie są przesadzone!) i dostrzegała potrzebę pracy na rzecz jego poprawy. Stan fizyczny młodych mężczyzn niepokoił też planistów wojskowych, rozumiejących, że w zbliżającym się konflikcie będą potrzebować więcej rekrutów niż kiedykolwiek. Silnie moralistyczny, elitarny ruch trzeźwościowy (tępiący także hazard) przełamywał dekadencję toczącą środowiska studenckie (w tym samym kierunku działały korporacje studenckie). Dalszym krokiem były organizacje już otwarcie paramilitarne.

Wszystkie przygotowywały do służby wojskowej, hartowały kandydatów na podoficerów i oficerów. I do służby Ojczyźnie. Niekoniecznie tej oficjalnej, „cesarsko-królewskiej”. Polacy i Ukraińcy

tworzyli je obok siebie, w podobnych formach. W tym samym celu – a zarazem w celu dokładnie przeciwnym.

Wojenne szlaki Ususów

Wspomniane już Sicze organizowano od 1900 r. Na rok przed wojną liczyły one osiemdziesiąt tysięcy członków, a ich działacze za przykładem polskich towarzystw strzeleckich zaczęli tworzyć towarzystwa Strzelców Siczowych. Do wybuchu wojny przeszkolenie przeszło w nich ok. tysiąc osób. Drużyny strzeleckie tworzyli też członkowie Sokoła i Płasta. 28 czerwca 1914 r. podczas obchodów szewczenkowskich we Lwowie defilowało kilkuset umundurowanych (w tym pięćdziesięciu uzbrojonych) strzelców. Garstka. Ale była to pierwsza od czasów hetmana Mazepy formacja wojskowa, która można określić mianem ukraińskiej. Od dwustu lat.

Pewną osobliwością ukraińskiego ruchu paramilitarnego epoki był stosunkowo liczny udział kobiet w szkoleniu wojskowym, a później powstanie kobiecego plutonu bojowego Strzelców Siczowych. Niewiele o nim wiadomo, wybitnej roli nie odegrał, prawdopodobnie dość szybko został rozwiązany. Jednak Ołena Stepaniw dosłużyła się stopnia oficerskiego, być może jako pierwsza kobieta w historii¹³⁹.

Skomplikowany system austriackiej wojskowości pozwolił powołać po wybuchu wojny formacje ochotnicze złożone z obywateli, podległych „regularnemu” poborowi (wśród strzelców siczowych, inaczej niż w polskich formacjach strzeleckich, praktycznie nie było poddanych rosyjskich). Pierwszy oddział Ukraińskich Strzelców Siczowych (potocznie *ususów*) sformowany wczesną jesienią 1914 r. liczył dwa i pół tysiąca ludzi, co prawdopodobnie odpowiadało potencjałowi wszystkich ukraińskich organizacji paramilitarnych. Ochotników było jednak wielokrotnie więcej.

Ususi byli kiepsko uzbrojeni i wyszkoleni, nie cieszyli się też zaufaniem austriackich władz wojskowych (zwłaszcza stosunek Węgrów do jakiegokolwiek „ruskiej” aktywności wojskowej czy politycznej był zdecydowanie negatywny). Kierowano ich na drugorzędne kierunki działań. Po raz pierwszy starli się z Rosjanami 21 października 1914 r. pod Stryjem, tracąc kilkunastu zabitych.



Kokarda (odznaka na czapkę) Legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych. Lew złoty, krąg wewnętrzny w odcieniach niebieskiego, zewnętrzny – złotego. Rys. Karolina Stopa-Olszańska.

Pod koniec kwietnia 1915 r. Strzelcy odegrali ważną rolę w obronie Makiwki, szczytu w okolicach Tuchli. Górę wprawdzie utraciono, ale *ususi* i austriaccy landszturmiści (też słabo uzbrojeni i wyszkoleni) nie dopuścili do rozwinięcia rosyjskiego natarcia ku prowadzącym na Węgry przełęczom. A w trakcie tych bojów ruszyła spod Gorlic generalna ofensywa austro–niemiecka, odwracająca koleje wojny w Galicji. Była to pierwsza prawdziwa bitwa Strzelców Siczowych. Stracili w niej

pięćdziesięciu zabitych. Przeszła do legendy; dziś na Makiwce jest cmentarz–mauzoleum, miejsce obchodów patriotycznych.

Jesienią 1916 r. w ciężkich, obronnych walkach na Łysoni pod Brzeżanami Legion (pułk) USS utrzymał pozycje, powstrzymując na tym odcinku ofensywę Brusilowa, ale poniósł dotkliwe straty. Rok później, podczas ostatniej już rosyjskiej ofensywy Strzelcy mieli nieszczęście znaleźć się na głównym kierunku natarcia Rosjan. Pod Koniuchami poległo ich niewiele, ale blisko tysiąc dostało się do niewoli. Legion USS przestał istnieć.

Ale ci jeńcy (a także wcześniejsi, spod Łysoni i z innych walk) kilka miesięcy później stali się rdzeniem wojsk „kijowskiej” Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR). Prawda, nie byli w niej najliczniejsi, ale byli najlepsi: dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani, odporni na rewolucyjną gorączkę trawiającą pozostałe jednostki Republiki. Potrafili nie tylko się bić, ale też organizować i szkolić, ich formacja urosła przejściowo do przeszło dwudziestu tysięcy ludzi (już głównie mieszkańców Naddnieprza). Bez nich niepodległa Ukraina upadałaby dużo szybciej. Odegrali wielką rolę w kolejnych kampaniach Republiki, aż do demobilizacji, zarządzanej przez jej dowództwo w grudniu 1919 r., gdy przyparte do polskich linii wojska ukraińskie ginęły na tyfus, a przywódca UNR, Symon Petlura zdecydował się na rokowania z Polską. Dla pochodzących z Galicji Wschodniej Strzelców było jasne, że ceną takiego porozumienia musi być przekazanie Polsce ich małej ojczyzny. Nie chcieli się na to zgodzić, rozeszli się do domów. Tylko niewielu z nich powróciło do szeregów wiosną 1920 r.

Z inicjatywy arcyksięcia Wilhelma Habsburga (żywieckiego), marzącego o koronie Ukrainy, Austriacy odtworzyli Legion Strzelców Siczowych, nie odegrał on jednak żadnej roli. Austro–Węgry przegrały już wojnę. Gdy zaś jesienią 1918 r. monarchia Habsburgów upadała, Strzelcy z czystej opieszałości dotarli z Czerniowiec do Lwowa dopiero 3 listopada... Dla nas był to dar losu, bo te półtora tysiąca ludzi dwa dni wcześniej uniemożliwiłyby polskie powstanie we Lwowie. Potem formacja roztopiła się w powstającej armii Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, stając się jej kośćcem.

Pokłosie

Przez szeregi Ukraińskich Strzelców Siczowych przewinęło się ok. siedmiu tysięcy ludzi, trzystu pięćdziesięciu poległo. To bardzo dużo jak na trzy miliony Ukraińców galicyjskich. Większość weteranów po wojnie żyła w Galicji Wschodniej, stanowiąc kadre wszystkich ukraińskich organizacji narodowych Dwudziestolecia, od radykalnych socjalistów do konserwatywnych klerykałów. Byli nauczycielami, instruktorami Płasta, kierownikami ukraińskich spółdzielni (ostoi życia narodowego), pisarzami, adwokatami, politykami. Wychowywali Ukraińców w duchu paramilitarnym, w kulcie czynów bojowych *ususów* i Ukraińskiej Armii Halickiej. I modlili się „o wojnę powszechną”, której znów oczekiwano, choć już w zupełnie innym duchu.

Część dawnych Strzelców współtworzyła radykalny ruch nacjonalistyczny, późniejszą OUN. Ciekawe, że byli to głównie ci oficerowie, którzy wcześniej trafili do Kijowa i walczyli na Wielkiej Ukrainie¹⁴⁰; ci, którzy nie mieli wówczas kontaktu z rewolucyjną gorączką i anarchią okazali się odporniejsi na hasła totalitarne, którymi poważnie i ze strasznymi skutkami przejęło się dopiero następne pokolenie – ich wychowankowie.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 25 z 2014 r. pod tytułem *Siczowe legiony*. Teraz dokonałem kilka retuszy, w tym dodałem wzmiankę o Ołenie Stepaniw.

Stulecie ukraińskiej niepodległości

Mija sto lat od czasu, gdy Ukraińcy pod koniec 1917 r. podjęli próbę budowy niepodległego państwa – Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR). Nie udało się: zrazu zbyt mała okazała się determinacja i gotowość do ofiar, potem zabrakło przede wszystkim „świętej zgody”, poczucia, że do czasu ugruntowania niepodległego bytu wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Zbyt wielka okazała się też przewaga bolszewickiej Rosji, tym bardziej że Ukraina nie miała żadnego sojusznika.

Ta tradycja, spotwarzona i zakłamana przez komunistów, została wyparta z pamięci narodu. Także po odzyskaniu niepodległości wracano do niej niechętnie, z trudnych do zrozumienia przyczyn. Dopiero dziś, po stu latach i na fali nowej wojny z Rosją, powraca.

Ukraińcy od pewnego czasu nazywają te wydarzenia „ukraińską rewolucją”, oddzielając je w ten sposób od wszechrosyjskiej wojny domowej, choć nie da się zaprzeczyć, że walka Ukraińców (i nie tylko ich) o niepodległość była częścią tej wielkiej przemiany, a nie zjawiskiem w pełni autonomicznym. Zrozumiałe jest jednak, że w ramach historii Ukrainy wydarzenia te potrzebują własnej nazwy, a „wojna o niepodległość” byłaby jednak pomniejszeniem ich skali i znaczenia. Uważam, że można zgodzić się na określenie „rewolucja” z dwóch powodów: po pierwsze, jak zobaczymy, wydarzenia te miały także charakter rewolucji społecznej, po drugie zaś: skoro Amerykanie nazywają swoją walkę o niepodległość mianem *American Revolution*, dlaczego Ukraińcy nie mieliby czynić podobnie?

Bój pod Krutami

Kruty to wioska w obwodzie czernihowskim, nieopodal Niżyna, starej stolicy hetmańskiej, w XVIII w. miasta większego i znaczniejszego od Kijowa, na otwartej równinie Zadnieprza, w pobliżu traktu, wiodącego z Kijowa do Moskwy. Wioska jakich wiele, dziś licząca tysiąc trzystu mieszkańców; bliższy stacji kolejowej przysiółek Pamjatne liczy ich czterystu. Rosyjskim zwyczajem stację zlokalizowano parę kilometrów

od wsi. Sto lat temu była to stacja węzłowa, dziś ledwie lokalny przystanek.

29 stycznia 1918 r. pod stacją Kruty ok. sześciuset żołnierzy UNR zastąpiło drogę kilkutyśicznemu zgrupowaniu bolszewickiej Gwardii Czerwonej, prężej na Kijów, gdzie od kilku dni trwało powstanie, zwrócone przeciw Republice. W pierwszym rzucie czerwoni mieli ok. tysiąc ludzi, dwa pociągi pancerne i baterię dział polowych; Ukraińcy za całe wsparcie mieli improwizowany pociąg bojowy z jednym lub dwoma działami; część z nich stanowili niedoświadczeni studenci, gimnazjaliści i junkrzy (podchorążowie). Można spotkać też wyższe szacunki tak ogólnej liczebności, jak i strat obu stron – żadna z nich nie miała wówczas porządnej ewidencji ani służb pogrzebowych.

Bój trwał prawie dziesięć godzin. Ukraińcy ponieśli dotkliwą porażkę i musieli się wycofać. Stracili prawdopodobnie ok. stu zabitych i kilkudziesięciu jeńców, rozstrzelanych przez zwycięzców. Te dane są prawdopodobniejsze od podawanych wcześniej ponad trzystu zabitych¹⁴¹: niedoświadczone oddziały, które straciły połowę stanu (nie licząc rannych) nie byłyby zdolne do dalszej walki. A Ukraińcy wycofywali się spod Krut w porządku, niszcząc za sobą mosty, przepusty, częściowo nawet tory kolejowe.

Straty bolszewików wyniosły, jak się ocenia, ok. trzystu zabitych (lub zabitych i rannych). Wygrali bitwę, utrzymali pole walki. Ale musieli się zatrzymać, a potem kontynuować natarcie nie pociągami, a na podwodach, w błocie nagłych roztopów. Nie dotarli na czas do Kijowa. I w wymiarze strategicznym przegrali.

Wojna o niepodległość Ukrainy trwała wówczas od miesiąca. Pod koniec grudnia 1917 r. bolszewicy zdobyli Charków, w połowie stycznia ruszyli na Kijów. Mieli wówczas na Ukrainie prawdopodobnie jakieś siedem tysięcy ludzi, a Ukraińcy może cztery tysiące, górowali nie tylko uzbrojeniem, ale i zdecydowaniem. Przy tak nieznacznych siłach ta faza wojny toczyła się wzdłuż linii kolejowych, zmuszając nacierających do ich nieustannych napraw.

Kilka dni przed Krutami, w dniach 24–27 stycznia, inne formacje ukraińskie bezskutecznie broniły Bachmacza, na początku lutego trwały walki o węzeł kolejowy w kijowskiej już Darnicy. Ale to Kruty przeszły do legendy jako chrzest bojowy pierwszej armii nowoczesnej Ukrainy.

Między Arsenalem a Brześciem

Zakłady zbrojeniowe Arsenał, największy ośrodek przemysłowy ówczesnego Kijowa były, jak wiele, może większość centrów wszechrosyjskiego przemysłu ciężkiego, pod wpływem bolszewików. Ci 25 stycznia wywołali drugie już powstanie w mieście, licząc na szybkie wsparcie ze wschodu i obalenie UNR, która trzy dni wcześniej proklamowała niepodległość. Siły powstańców szacowano na siedem tysięcy, rządowe – na osiem; jedni i drudzy byli źle wyszkoleni, słabo zorganizowani i niezdyscyplinowani. Sprawnością bojową i dyscypliną wyróżniał się batalion sformowany z jeńców wojennych – Strzelców Siczowych. Im też przypadła decydująca rola w stłumieniu powstania. Walki trwały do 4 lutego, padło kilka tysięcy zabitych, w tym trzystu rozstrzelanych po kapitulacji Arsenau (bolszewicy po zajęciu miasta w ciągu kilku dni rozstrzelają ok. dwa tysiące kijowian powszechnie podawana do niedawna liczba pięciu tysięcy ofiar została ostatnio zakwestionowana przez kijowskich badaczy). Gdy kilka dni później bolszewicy dotarli do mostów na Dnieprze, władze republiki zdecydowały się oddać stolicę bez walki, ratując ośrodek polityczny i pozostałe trzy tysiące żołnierzy. Ale tego dnia Republika nie była już sama. Pod Bachmaczem, Krutami i Darnicą nie chodziło o pokonanie przeciwnika, którego przewaga była zbyt wielka. Chodziło o czas dla delegacji, prowadzącej w Brześciu rokowania pokojowe z Niemcami i Austro-Węgrami. Ostatecznie traktat pokojowy (którego nie należy mylić z późniejszym o miesiąc traktatem pokojowym mocarstw centralnych z Rosją) zawarto 9 lutego, dzień po oddaniu przez UNR Kijowa. Gdyby bolszewicy zajęli miasto ok. 30 stycznia (a tak byłoby bez bitwy pod Krutami), rokowania najpewniej zostałyby zerwane, na co przez cały czas nalegali negocjatorzy sowieckiej Rosji. A wówczas UNR podzieliłaby losy wielu efemerycznych republik, powstających i upadających w toku wszechrosyjskiej rewolucji i wojny domowej.

Dziesięć dni później armia niemiecka wkroczyła na Ukrainę – jako zaproszony sojusznik, nie jako okupant. Armia ukraińska musiała wytrwać na północno-wschodnim Wołyniu w walce z na pół imperialnymi jeszcze, na pół już bolszewickimi oddziałami starej armii¹⁴², pod koniec lutego nawiązała kontakt z wkraczającymi na Ukrainę Niemcami, by powrócić do Kijowa 1 marca. Później jej oddziały, zreorganizowane i dozbrojone, pójdą na wschód i południe, wkroczą

nawet na Krym.

Ale Niemcy i Austriacy dość szybko okazali się okupantami. Interesowały ich tylko dostawy żywności dla głodujących Niemiec i możliwość odpoczynku dla umęczonych wojną okopową żołnierzy. Pokój na wschodzie pozwolił Niemcom znów myśleć o zwycięstwie na zachodzie: tam wciąż toczyła się wojna, a wykrwawieni Alianci czekali na rozwinięcie się armii amerykańskiej. Okupacja austriacka była łagodniejsza – ich wojna była już przegrana (po czerwcowej bitwie nad Piawą – już także z Włochami), a państwo rozkładało się w oczach.

Konserwatywnym monarchiom nie w smak był socjalistyczny charakter UNR i w kwietniu 1918 r. poparli zamach stanu gen. Skoropadskiego, który jako hetman (dyktator z ambicjami monarchicznymi) rządził już nie republiką, ale Państwem Ukraińskim, o czym bliżej w kolejnym szkicu.

Rewolucyjna droga do niepodległości

Ukraińska Republika Ludowa powstawała w 1917 r. na fali wszechrosyjskiej rewolucji, gdy po obaleniu monarchii powszechnie oczekiwano przebudowy młodej republiki w państwo federacyjne, a także wierzono w socjalizm, „powszechną federację pracy”, która sama z siebie zniesie przeciwieństwa narodowościowe, zaprowadzi powszechne braterstwo. Pułki i korpusy starej armii przebudowywano na zasadach narodowościowych (polonizowano, ukrainizowano, finlandyzowano), ale jednocześnie zniesiono dyscyplinę wojskową (w czasie wojny!).

Rewolucjoniści, nie tylko ukraińscy, byli przekonani, że armia stała nie jest potrzebna, wystarczy powszechne uzbrojenie ludu, że nie jest potrzebna policja, biurokracja, państwo w ogóle... Chyba tylko kierownictwo bolszewików rozumiało, że rewolucyjna retoryka to jedno, a realna polityka – zupełnie co innego. I póki sami nie sięgnęli po władzę, szerzyli przede wszystkim zamęt, pojęciowy i realny, dążyli do tego, by żadne inne ugrupowanie nie stało się rzeczywistą siłą polityczno-wojskową.

Na ukraińskiej scenie politycznej dominowała lewica: socjaliści-rewolucjoniści (eserowcy), widzący główną siłę rewolucyjną w biedocie i proletariacie wiejskim oraz socjaldemokrati (programowo zbliżeni do rosyjskich mieńszewików) odwołujący się do proletariatu

przemysłowego. Oprócz tego było jeszcze kilka ugrupowań centrowych, w tym tylko jedno – konsekwentnie niepodległościowe. Prawicy nie było wcale: na Ukrainie była wówczas jedynie prawica rosyjska, negująca jakąkolwiek odrębność „Małorosji”¹⁴³.

Nacjonalizm ukraiński (w europejskim rozumieniu, bo dla Rosjan nacjonalizmem była już sama myśl o odrębności „Małorusów” od narodu rosyjskiego¹⁴⁴) właściwie wówczas nie istniał. Michnowski¹⁴⁵, pierwszy konsekwentny niepodległościowiec i umiarkowany nacjonalista cieszył się niewielkim poparciem (głównie w kręgach wojskowych) i przegrał walkę o wpływ na kształt rodzącego się państwa. Doncow¹⁴⁶, późniejszy twórca założeń ukraińskiego nacjonalizmu integralnego, przebywał w tym czasie na emigracji; wróci do Kijowa już po upadku UNR, a i wtedy nie odegra żadnej roli; jego czas przyjdzie dopiero po klęsce.

Powołana w marcu 1917 r. Ukraińska Centralna Rada (UCR), zgromadzenie przedstawicieli partii politycznych i organizacji społecznych, a później też rad delegatów ludowych (robotniczych, chłopskich i żołnierskich), swoisty „przedparlament”, i utworzony przez nią w czerwcu Sekretariat Generalny, czyli rząd ukraiński (ale nie rząd Ukrainy), zmarnowały wielki wiosną 1917 r. potencjał poparcia dla niepodległości. Poprzestały na wynegocjowaniu z rządem tymczasowym Rosji dość szerokiej autonomii. Ukraińscy politycy nie dojrżeli do myśli o odrębnym bycie państwowym. Wielu z nich nie dojrzało do niej do końca, jeśli budowali ją, to pod presją wydarzeń.

Dopiero po przewrocie bolszewickim, 20 listopada 1917 r., UCR proklamowała powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej, jednak – dosłownie! – „nie oddzielając się od Republiki Rosyjskiej”, w federacyjnym związku z Rosją. Jednocześnie Rada ogłosiła wyłączenie wielkiej własności ziemskiej bez odszkodowania, zniesienie kary śmierci i inne posunięcia o charakterze rewolucyjnym, socjalistycznym. Nowa Ukraina miała być odrębna, ale nie – niepodległa.

Najważniejsze okazało się określenie przez UCR granic UNR, obejmujących gubernie: wołyńską, podolską, kijowską, czernihowską, połtawską, katerynosławską, charkowską oraz chersonską z wyłączeniem Krymu. Praktycznie całość ziem byłego Imperium Rosyjskiego o przewadze Ukraińców, łącznie z większą częścią Donbasu (gdzie wówczas wieś była niemal czysto ukraińska). Tymczasem republikańska, a potem bolszewicka Rosja odmawiała Ukrainie praw do przemysłowego

wschodu i ziem nadmorskich.

Przypomnienie tego ostatniego jest ważne: to nie bolszewicy „wymyślili” granice Ukrainy, jak dziś można usłyszeć w Moskwie. Oni jedynie poczuli się zmuszeni do realizacji programu ukraińskiej lewicy niepodległościowej, bo bez kontroli nad Ukrainą ich państwo nie mogło przetrwać. Powołując w grudniu 1917 r. Sowiecką Ukraińską Republikę Ludową, zaakceptowali ten program. Później kierownictwo sowieckie nie poparło (także bolszewickiego) projektu odłączenia od Ukrainy wschodnich okręgów przemysłowych jako Doniecko–Krzyworoskiej Republiki Sowieckiej.

Siła i determinacja oporu Ukraińców w następnych latach doprowadziły też do zorganizowania „ojczyzny światowego proletariatu” jako państwa federacyjnego. I nieważne, że republiki związkowe były państwami czysto formalnie – gdy wybiła godzina upadku Związku Sowieckiego ten właśnie formalny status pozwolił im sięgnąć po niepodległość, a wspólnocie międzynarodowej – uznać legalność ich emancypacji.

Godzina próby

Reakcją bolszewików na powołanie UNR była inwazja. Zapewne zdawali sobie sprawę ze słabości nowej republiki, lepiej niż ich przeciwnicy rozumieli też znaczenie czasu. Władze polityczne Republiki zbyt wiele razy lekcewały postulaty wojskowych żądających proklamowania pełnej niepodległości. Nawet proklamujący UNR III Uniwersał został uchwalony pod presją obradującego w tym czasie w Kijowie Zjazdu Wojskowego (trzy tysiące jego uzbrojonych uczestników było siłą, zdolną obalić Radę). Wcześniej, w lipcu 1917 r., rządzący socjaliści zdołali udaremnić proniepodległościowy pucz zorganizowanych w Kijowie ukraińskich jednostek wojskowych i wyprawić je na front (pamiętajmy – Republika Rosyjska wciąż toczyła wojnę z Niemcami i Austro–Węgrami). Nie zrobiono nic, by związać z Republiką zukrainizowane (tj. przeorganizowane na zasadach etnicznych; były wśród nich m.in. trzy Korpusy Polskie) jednostki armii rosyjskiej, choć jesienią to właśnie dowodzony przez gen. Skoropadskiego (przyszłego hetmana), zukrainizowany korpus zapewnił spokój na centralnej Ukrainie, tępiąc bandy zbolszewizowanych dezertów.

W efekcie zamiast trzystu tysięcy żołnierzy, nominalnie podporządkowanych Centralnej Radzie w lipcu–sierpniu 1917 r., w obronie UNR stanęło siedem – osiem tysięcy, w znacznej mierze członków improwizowanych, ochotniczych formacji, pozbawionych zaplecza kwatermistrzowskiego i nie tworzących jednolitej struktury. Byli bitni, w dużej mierze byli weteranami „wielkiej” wojny, ale stworzenie z nich armii wymagało czasu. A czasu nie było.

Dopiero po miesiącu wojny, 22 stycznia 1918 r., UCR zdecydowała się wydać IV Uniwersał, proklamujący pełną niepodległość UNR. Zdaniem części historyków, uczyniła to pod presją Niemiec, w pokoju, z którymi szukała ocalenia. Ci zaś – całkiem rozsądnie – nie widzieli możliwości zawarcia pokoju z autonomiczną prowincją państwa, z którym skądinąd także chcieli zawrzeć pokój.

Ale nawet wtedy kijowscy socjaliści nie wyobrażali sobie pełnej niepodległości, samodzielnego bytu państwowego: w ostatnich zdaniach Uniwersału czytamy, że przyszła ukraińska Konstytuanta¹⁴⁷ „będzie decydować o federacyjnym związku z republikami ludowymi byłego państwa rosyjskiego”. Widzieli więc przyszłość Ukrainy jako czegoś w rodzaju Ukraińskiej SRS, tyle, że nie bolszewickiej.

Jednocześnie zapowiedziano rozpuszczenie armii stałej z chwilą zawarcia pokoju i powołaniu w jej miejsce „milicji ludowej, aby wojsko nasze chroniło lud roboczy, a nie słuchało życzeń warstw panujących”. Był to krok samobójczy, pieczętujący upadek UNR. Późniejsze wydarzenia – nie tylko na Ukrainie – pokazały, że zanarchizowana, zdemoralizowana „stara” armia miała potencjał odrodzenia. Skorzystała zeń tak biała, jak i czerwona Rosja. Ukraina nie zdołała. Czy raczej – nie zechciała.

Potem były Kruty, utrata Kijowa, pokój brzeski i obalenie UNR, rządy hetmana i ich obalenie przez socjalistów po krótkiej wojnie domowej, nowy najazd rosyjski, tym razem podwójny – biały i czerwony, kolejna katastrofa i wymuszony sojusz z Polską, który odwleknął ostateczny upadek niepodległej Ukrainy ledwie o pół roku... Gdyby nie zlekceważenie w 1917 r. wojskowego aspektu niepodległości, bieg wydarzeń mógł być inny.

Ale też – dzięki tym wydarzeniom powstało autonomiczne, sowieckie państwo z własnym aparatem biurokratycznym, możliwe było dziesięciolecie sowieckiej ukrainizacji, umacniające język i kulturę

narodu przed kolejną falą rusyfikacji oraz katastrofą kolektywizacji i Hołodomoru. Pokraczna poczwarka, w której naród czekał odmiany losu. A zaczęło się pod Krutami.

Powrót do Krut

W Kijowie do dziś nie ma pomnika poległych pod Krutami oprócz nagrobka na bratniej mogile kilkudziesięciu studentów, ekshumowanych wiosną 1918 r. Tam, na Askoldowej Mogile, koło klasycystycznej cerkwi, w czasach sowieckich przebudowanej na rotundę, odbywają się coroczne oficjalne obchody pamięci poległych.



Kruty, lipiec 2017 r. Nowszy kurhan; za nim, na wschodzie, narasta potężna burza.



Spojrzenie w przeciwnym kierunku: pociąg z armatą polową. Napis głosi: *Wędrowcze! Zatrzymaj się, pochyl głowę przed bohaterami, którzy polegli za wolność Ukrainy.*

Pod Krutami, w szczerym polu (nawet budynek stacji jest dziś w innym miejscu) najpierw usypano kurhan zwieńczony krzyżem, potem, jakieś dziesięć lat temu, dodano drugi, na którym stanęła kolumna z tryzubem. Gdy się od nich odwrócimy, widzimy prawdziwy pomnik: lokomotywę i wagony kolejowe.

Ta forma ma przypomnieć, że ówczesną wojnę toczono na torach i o tory: pojedyncza lokomotywa, na jednej z lor – armatka, lufą zwrócona na wschód, w wagonach skromna ekspozycja, pokazująca, kto i o co wówczas walczył. A także – jak wyglądało ówczesne żołnierskie życie: w jednym z wagonów zachowano polową odwszalnię, wówczas podstawowy środek walki z dziesiątkującymi wszystkie armie epidemiami tyfusu.

Niedawno w jednym z wagonów urządzono ekspozycję, poświęconą współczesnej wojnie w Donbasie. Również skromną, głównie fotograficzną. Most, przerzucony nad stuleciem.

Bo dziś Kruty nabrały nowej wagi symbolicznej. Powstrzymanie wrogiej inwazji (choćby na chwilę) przez słabo przeszkolonych ochotników kojarzy się z początkowym okresem wojny donieckiej, gdy wobec rozkładu ukraińskich sił zbrojnych opór musieli stawić ochotnicy – i dotrwali do odbudowy zdolności bojowych regularnego wojska. Przeciwnik też jest ten sam. Zimą 2017 r. w strefie walk z Rosjanami pojawiły się ulotki „Pamiętaj o Krutach”. A w publicystyce ukraińskiej można niekiedy spotkać – nieważne, że mocno przesadzone – oceny, że pod Bachmaczem i Krutami zaczęła się stuletnia, wciąż trwająca wojna o niepodległość Ukrainy.

Z Krut pod Warszawę

W rozdawanej w pomniku–muzeum broszurze¹⁴⁸, zawierającej m.in. listę poległych i ocalałych junkrów, studentów i gimnazjalistów spod Krut, z pewnym zaskoczeniem przeczytałem, co następuje (w tłumaczeniu): „Zakwałynskij, elew Pierwszej Ukraińskiej Wojskowej Szkoły Elewów (Junkrów) im. Bohdana Chmielnickiego w Kijowie. Po pierwszej wojnie światowej – major Wojska Polskiego”. Major Zakwaliński, obrońca Kijowa w styczniu 1918 r.

Chyba jednak nie. Polskie źródła (przynajmniej te, do których dotarłem) nie wymieniają takiego oficera kontraktowego. A w ukraińskich jest błąd, wynikający z niewłaściwego odczytania rękopiśmiennej listy¹⁴⁹: chodzi o Serhija Zachwałynskiego, urodzonego w 1902 r. (więc pod Krutami ledwie szesnastolatka), podchorążego, potem oficera kawalerii. Skoro w 1931 r. skończył on politechnikę w Pradze, mało prawdopodobne, by służył w Wojsku Polskim. Jego losy

podczas II wojny światowej są niejasne; po wojnie wyjechał do USA, gdzie zmarł w 1977 r.

Ale poszukując danych na temat Zakwałynskiego/Zachwałynskiego, natrafiłem na ślad Iwana Mytrusia. Także weterana spod Krut, choć starszego (urodzonego w 1897 r.), już wtedy oficera, później służącego w tym samym pułku jazdy UNR, co Zachwałynskij. A od 1928 r. oficera kontraktowego w 7 pułku Ułanów Lubelskich. Onże porucznik Mytruś-Wyhowski (takie nazwisko nosił w Polsce) walczył w Kampanii Wrześniowej, dostał się do niewoli, a zwolniony przez Niemców – wrócił do służby, teraz już w AK. W 1944 r. wziął udział w wyzwoleniu Mińska Mazowieckiego i okolic. Dalszych jego losów nie znamy: może przedostał się do Warszawy i tam poległ, może wpadł w ręce NKWD.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 6 z 2018 r. pod tytułem *Zaczęło się pod Krutami*. Teraz dokonałem niewielkich retuszy, a także zmieniłem – stosownie do mojej obecnej wiedzy – treść ostatniego podrozdziału.

Czyn Listopadowy

Czyn Listopadowy. Tym mało znanym u nas określeniem Ukraińcy określają przejęcie władzy w Galicji Wschodniej 1 listopada 1918 r., akt powstania narodowego, który ustanowił Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZUNR) i doprowadził – jeszcze tego samego dnia – do starcia z polskim ruchem niepodległościowym, a w konsekwencji do wojny polsko-ukraińskiej. Krótkiej, lecz zaciętej. Pierwszej wojny odradzającej się Rzeczypospolitej. Wojny, która stała się wydarzeniem symbolicznym dla dalszych stosunków obu narodów.

My wygraliśmy, oni przegrali. Tyle mniej więcej wie o tych wydarzeniach przeciętny Polak, zwłaszcza młodego pokolenia. Prawda, słyszeliśmy jeszcze o lwowskich Orłętach, postrzeganych głównie przez pryzmat kiepskich obrazów Wojciecha Kossaka oraz lwowskiego Cmentarza Obrońców Lwowa. Przeciętny Ukrainiec wie niewiele więcej, a może i mniej – nie ma ukraińskiego odpowiednika Orłąt, mityczny wymiar ówczesnej walki o niepodległość w latach 1917–1920 stworzyły inne wydarzenia.

W godzinie rozpadu Austro-Węgier

W październiku 1918 r. Wielka Wojna, później nazwana I wojną światową, jeszcze trwała, lecz szala zwycięstwa przechyliła się już na stronę Ententy, ściślej – jej zachodnich członków (Rosja uznała swą przegraną i na początku 1918 r. zawarła odrębny, bardzo niekorzystny dla siebie pokój). Niemcy zachowywały jeszcze szanse na pokój honorowy, natomiast rozpad monarchii austro-węgierskiej był przesądzony i wszyscy o tym wiedzieli. Karol I¹⁵⁰, koronowany ledwie dwa lata wcześniej, nie miał autorytetu swego poprzednika. Nie miał też pomysłu na ocalenie monarchii, być może niezbyt mu na tym zależało, inaczej niż na zakończeniu wojny. Był człowiekiem pokoju, człowiekiem modlitwy, co uznał Kościół, beatyfikując go w 2004 r. Ale nie był przywódcą na czas kryzysu, na czas, w którym nieraz trzeba działać szybciej, niż myśleć.

Nie było jeszcze państwa ani wojska polskiego, ale też właściwie nie było już (przynajmniej w Galicji) państwa austriackiego ani jego armii, choć jej żołnierzy było aż nadto. Wiadomo było, że wojna się kończy, ale nie bardzo było wiadomo, czym. Wielomilionowe masy zmobilizowanych do Wielkiej Wojny były na dalekich frontach, a na tyłach kłębili się uzbrojeni dezertery, czekający na szansę powrotu w rodzinne strony. Był to czas tworzenia faktów dokonanych.

16 października Karol I wydał proklamację zapowiadającą przebudowę monarchii austriackiej (nie Austro–Węgier: Królestwo Węgier miało własny ustrój) w monarchiczną federację. Akt był spóźniony o dobre dwadzieścia lat: taka reforma mogłaby się powieść pod ręką powszechnie poważanego (nawet jeśli z uśmiechem) Franciszka Józefa I, ale nie za rządów jego następcy i po przegranej wojnie. A także nie po ogłoszeniu przez prezydenta USA, Woodrow Wilsona, preliminarzów pokojowych, proklamujących zasadę samostanowienia narodów, rozumianych jako zorganizowane politycznie wspólnoty etniczno–historyczne. I nie po rewolucji rosyjskiej, a w przeddzień niemieckiej, które odrzuciły monarchię jako podstawę ładu politycznego.

Ukraińcy galicyjscy (haliccy) zareagowali jako pierwsi. Już trzy dni po cesarskiej proklamacji ich politycy powołali Ukraińską Radę Narodową (ciało, które można określić jako komitet organizacyjny nowego państwa i jego tymczasową władzę), a podczas wielkiego wiecu we Lwowie proklamowali Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZUNR), deklarując, może z ostrożności, może z lojalności, zachowanie federacyjnego związku z cesarstwem. Republika w federacyjnym związku z monarchią... Ciekawy pomysł, świadczący także o pojęciowym zamęcie tamtych dni.

Zaraz potem ukraińskie kierownictwo polityczne zaczęło przygotowywać się do przejęcia władzy. Zaplanowano je na 3 listopada. ZUNR miała objąć wschodnią część Królestwa Galicji i Lodomerii, w której przeważała ludność ukraińska: po linię Sanu mniej więcej do Jarosławia. Republika zgłosiła też pretensje do Łemkowszczyzny (pas Karpatów sięgający Krynicy), węgierskiego Zakarpacia oraz północnej części także austriackiej Bukowiny, były to jednak dyplomatyczne ozdobniki: w ówczesnych warunkach komunikacyjnych kontrola nad Łemkowszczyzną bez opanowania etnicznie polskiego Podkarpacia z Krosnem i Jasłem, a chyba i Tarnowem była niewykonalna, a ziemie te nie miały żadnego znaczenia gospodarczego ani wojskowego. Nieco

większe było znaczenie Zakarpacia i Bukowiny, ale i ich los miał trzeciorzędne znaczenie. Liczyła się Galicja (*Hałyczyna*)¹⁵¹, obszar, który rzeczywiście mógł stać się podstawą państwa.

Powstające państwo miało całkiem solidne podstawy. Austria była, oczywiście biorąc pod uwagę standardy epoki, państwem demokratycznym i praworządnym (Węgry znacznie mniej), a choć autonomia Galicji służyła przede wszystkim Polakom, także Ukraińcy i Żydzi mogli tu rozwijać własne organizacje oświatowe, kulturalne, gospodarcze (spółdzielczość), trzeźwościowe (głównie pod patronatem Kościoła), sportowe, polityczne, a nawet paramilitarne. Wielu Ukraińców zasiadało w parlamentach (austriackim i krajowym, tj. galicyjskim), pracowało w urzędach państwowych, w adwokaturze, służyło w policji, zdobywało stopnie oficerskie w wojsku. W ten sposób powstało pełnowymiarowe ukraińskie społeczeństwo obywatelskie, choć z niewielkim udziałem mieszczaństwa. Jego politycznym reprezentantem były liczne partie polityczne o orientacji narodowo–demokratycznej i socjaldemokratycznej.

To społeczeństwo ok. 1914 r. było zasadniczo zgodne co do tego, że Ukraińcy galicyjscy chcą żyć we własnym państwie, czy to autonomicznym (w ramach Cesarstwa, ale nie – w ramach wspólnego z Polakami kraju koronnego), czy – jeśli okaże się to możliwe – niepodległego. Było też ono zgodne co do tego, że Ukraińcy „austriaccy” i „rosyjscy” stanowią jeden naród, który powinien się zjednoczyć. Wcześniejsze tendencje do tworzenia narodu austroruskiego¹⁵² czy uznawania Ukraińców galicyjskich za część narodu wielkoruskiego w tym czasie wegetowały już tylko na marginesie życia narodowego.

ZUNR miała być państwem narodowo–demokratycznym, trochę podobnym do tego, jakie postulowała polska endecja (wpływ polskich dyskusji politycznych z przełomu XIX i XX w. na rozwój ukraińskiej świadomości politycznej był ogromny). I takim państwem, sprawnym i rządym, stała się, choć na niewiele ponad pół roku.

Pierwsze godziny niepodległości – i wojny

Myśląc o tych wydarzeniach, mówimy zazwyczaj o „ukraińskim zamachu”¹⁵³ oraz polskiej obronie Lwowa. Owszem, działania ukraińskie miały charakter zamachu stanu, samowolnego przejęcia władzy w części

walącego się państwa. Dokładnie tak samo jak powołanie w Krakowie Polskiej Komisji Likwidacyjnej (PKL)¹⁵⁴. Nie ma w tym nic nagannego – są sytuacje, gdy działania wykraczające poza dotychczasowy ład prawny są zarówno konieczne, jak i uzasadnione.

Ale to, co nazywamy Obroną Lwowa, było powstaniem, o dziesięć dni wyprzedzającym powstanie podjęte przez POW w Królestwie – bo akcja rozbijania Niemców i przejmowania władzy miała charakter działań powstańczych. Zbyt łatwo zgodziliśmy się na kliszę, zgodnie z którą w 1918 r. było tylko Powstanie Wielkopolskie: w rzeczywistości było ono jedynie elementem zwycięskiego Powstania Polskiego (Wielkiego Powstania Listopadowego?), największego z naszych powstań narodowych. I nie wybuchłoby, gdyby nad Wisłą nie było już fundamentów Rzeczypospolitej.

Polacy działali wolniej. Polska Komisja Likwidacyjna powstała dopiero 28 października i nie w stołecznym Lwowie, ale w Krakowie. Trzy tygodnie od proklamowania niepodległości Królestwa Polskiego przez Radę Regencyjną, dziesięć dni po proklamowaniu ZUNR. Dwa dni później Polacy podjęli akcję powstańczą, przejmując władzę w Krakowie, Tarnowie i innych ośrodkach zachodniej Galicji. Jednak celem PKL była kontrola nad całą Galicją, po Zbrucz.

Ogłoszony przez Komisję zamiar przeniesienia 1 listopada swej siedziby do Lwowa spowodował przyspieszenie akcji ukraińskiej. Kierownictwo ZUNR nie mogło dopuścić, by cesarski namiestnik przekazał władzę nad całą prowincją Polakom, by we Lwowie zainstalowało się polskie centrum polityczne. Nocą z 31 października na 1 listopada przedstawiciele ZUNR, wspierani przez nieliczne pododdziały austriackie złożone z Ukraińców, przejęli władzę z rąk austriackich. Było to – zrazu bezkrwawe – powstanie, które w historii Ukrainy zyskało nazwę Czynu Listopadowego.

Polskie organizacje polityczne i wojskowe (jedne i drugie obecne głównie we Lwowie i Przemyślu, opanowanym przez Ukraińców dopiero 4 listopada) były kompletnie zaskoczone. Jedynie we Lwowie 1 listopada po południu Polacy wznieśli kontrpowstanie, a w podkarpackim Borysławiu i Samborze grupy Polaków stawiały opór, stłumiony po kilku dniach¹⁵⁵. Tak zaczęła się wojna.

W Galicji (tak Wschodniej, jak i Zachodniej) nie było w tych dniach pełnowartościowych jednostek bojowych, a tylko bataliony zapasowe

poszczególnych pułków, a także pododdziały wartownicze, kwatermistrzowskie etc. Ich wartość bojowa była znikoma: w Galicji Wschodniej większość Polaków z ich składu dała się 1 listopada rozbroić bez oporu, większość Ukraińców rozeszła się do domów. Po kilku tygodniach lub miesiącach lwia ich część stanęła w szeregach armii swych nowych państw, ale w momencie ich powstawania nie myśleli o walce.

Wojna o Lwów

Ukraińskie dowództwo zdawało sobie sprawę z niskiej wartości bojowej oddziałów, którymi realnie dysponowało we Lwowie, o prowincji nie mówiąc. Liczyło przede wszystkim na Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych, liczący ok. tysiąc ludzi. Ta jedyna w tych dniach zwarta ukraińska jednostka stacjonowała w Czerniowcach. Poza Galicją, choć u jej bram, niecałe trzysta kilometrów od Lwowa. Zgodnie z rozkazem Ukraińskiej Rady Narodowej miała ona przybyć do stolicy nocą na 1 listopada, najpóźniej w godzinach wieczornych. Nie przybyła. Z czystej indolencji, niezdecydowania, spowalniana przez przeważnie polskich kolejarzy, wiedzących już o walkach we Lwowie, dotarła na miejsce dopiero 3 listopada po południu.

Gdyby przybyła na czas, Ukraińcy obsadziliby całe miasto, uniemożliwiając spokojną koncentrację polskich ochotników w jego zachodnich dzielnicach. Teraz nie byli w stanie nawet utrzymać Dworca Głównego, którego ogromne zasoby pozostały pod polską kontrolą. Iluzoryczną zresztą – przez zespół dworcowy (nie chodziło o sam budynek, ale o rozległy zespół bocznic i magazynów) przewalały się w tych dniach dziesiątki, może setki eszelonów z wracającymi do domu żołnierzami byłej już cesarsko–królewskiej armii i zwolnionymi jeńcami wojennymi. Wielu „osiadało” tu na dłużej. Byli uzbrojeni, byli groźną siłą. Dopiero polskie władze zdołały się z nimi uporać.

O nastrojach, w jakich wracali żołnierze austriackich sił okupacyjnych z Ukrainy, najlepiej świadczy „epopeja” złożonego z Polaków 99 Pułku Piechoty powracającego z Krzywego Rogu do Jarosławia. 6 listopada przybył on na graniczną stację w Podwołoczyskach, po czym zamiast kierować się na Lwów wybrał w Tarnopolu trasę przez Chodorów, Stryj, Chyrów, Zagórz i Jasło, by 12 listopada w Jarosławiu rozejść się do

domów. Nie dał się rozbroić Ukraińcom w Chodorowie (doszło tam do krótkiej walki), ale nie interweniował w toczące się walki o Chyrów ani nie obsadził ważnego węzła w Zagórze (o te dwie miejscowości zmagaly się w tych dniach nieliczne, improwizowane oddziały polskie i ukraińskie). Gdyby ruszył na Lwów, opanowałyby go bez większego trudu.

Myśląc o tamtych dniach, pamiętamy głównie legendę Orląt utrwaloną w międzywojennej literaturze, umocnioną przez nauczanie szkolne: opowieść o dzieciach, nieraz mniejszych od swych karabinów, które uratowały dla Polski jedno z najważniejszych jej miast. Prawda, że tacy chłopcy, raczej ulicznicy niż ci z inteligenckich domów, odegrali wielką rolę w pierwszych godzinach zrywu, a i potem okazywali wielkie bohaterstwo. Ale po stworzeniu we Lwowie w miarę regularnego wojska tych najmłodszych przesunięto do zadań tyłowych. A że do legendy przeszli właśnie oni? Legendy nigdy nie tworzy to, co typowe.

Walczyli przede wszystkim dorośli i prawie dorośli, używając archaicznego określenia: „zdolni do noszenia broni”. Zdecydowanie więksi od swych karabinów. Wśród nich z jednej strony harcerze, bezcenni jako abstynenci (pijaństwo było plagą wśród obu stron walczących, a na bocznicach dworca stały m.in. cysterny ze spirytusem), z drugiej – przedmiejscy zbóje i uwolnieni z więzień bandyci – twardzi i brutalni, gotowi właściwie na wszystko. I szczerze oddani swemu miastu, polskiemu miastu. A obok nich tramwajarze, kolejarze, inni robotnicy zwolnieni od austriackiej służby wojskowej, urlopowani oficerowie, kadry półlegalnych organizacji wojskowych (endeckiej i socjalistycznej)... Inteligencko–urzędnicze centrum Lwowa pozostało bierne, Ukraińcy bez trudu utrzymali je do nadejścia grupy odsieczowej.

Kraków (jak to Kraków?) nadal się nie spieszył. Zdecydowane natarcie sformowanej przez PKL grupy odsieczowej wyparło Ukraińców z Przemyśla dopiero 11 listopada, ale natarcie na Lwów podjęto po dalszych dziesięciu dniach. Polacy odnieśli taktyczny sukces, który w strategiczne zwycięstwo przekształciło... ukraińskie dowództwo, które zarządziło generalny odwrót.

Mówiąc bez ogródek, Ukraińcy spaprali sprawę. Nie potrafili w pierwszych dniach walk zapewnić sobie decydującej przewagi. Potem z urzędniczej troski o „majątek narodowy” nie wysadzili mostów w Przemyśle, wpuszczając polskie wojska za San, nie spróbowali nawet

spowolnić posuwania się sił polskich koleją, a wieczorem 21 listopada opanowawszy sytuację we Lwowie, mając duże szanse na skuteczny kontratak następnego dnia – zdecydowali się oddać miasto. Swoją stolicę. Byli przekonani, że niezbyt liczna grupa odsieczowa to zaledwie przednia straż – a to było wszystko, czym w tych dniach Kraków mógł wesprzeć Lwów.

W tej fazie wojny Ukraińcy mieli zdecydowaną przewagę, ale nie potrafili działać zdecydowanie i nieszablonowo. A w tych dniach rozstrzygał nie tyle stosunek sił, ile szybkość decyzji, determinacja i fantazja. Ukraińcy nie rozumieli też, jakie znaczenie polityczne i psychologiczne ma panowanie nad Lwowem. Liczyli na korzystne dla nich decyzje konferencji pokojowej, czyli Francji i Wielkiej Brytanii. Natomiast Polacy, nie tylko w Galicji, tworzyli fakty dokonane, których alianci zachodni nie będą już mogli zlekceważyć. W efekcie Ukraińcy stracili czas, a z nim – przewagę militarną. I ostatecznie przegrali. Bo wojna była dla nich przegrana już w momencie, gdy wycofali się na pozycje wokół Lwowa, by trzymać miasto w półoblężeniu.

Nieunikniona klęska

Już pod koniec listopada stanęły przeciw sobie dwa państwa. Gdy stary ład upadł, tak Polacy, jak i Ukraińcy w ciągu kilku tygodni stworzyli ład nowy: sprawne, rządne państwa oraz regularne armie, sprawne i nowoczesne, czerpiące z tego samego wzoru: armii austriackiej, jej regulaminów, zwyczajów, struktur i oczywiście kadr, powracających już z frontów. Siły polskiej i ukraińskiej Galicji były na tyle wyrównane, że szalę przechyliły dopiero wojska, wystawione przez inne zabory. A potencjał Polski (już nie tylko Galicji) na tyle przeważał, że Ukraińcy nie mogli wygrać.

To, jak szybko i łatwo powstały te państwa, świadczy o sile i potencjale obywatelskiej demokracji, ukształtowanej w monarchii Habsburgów. Społeczeństwa opartego na powszechnej drobnej własności i wolnościach obywatelskich, z których korzystały oba narody.

Pod koniec listopada rozpoczął się okres mało intensywnych „walk okopowych”. Obie strony wykorzystywały ten czas dla budowy sił zbrojnych z prawdziwego zdarzenia. Lwów był pod ostrzałem artyleryjskim, ale Ukraińcy nie próbowali go szturmować. Parokrotne próby przerwania

łączości kolejowej Lwowa z Przemyślem zakończyły się niepowodzeniem. Kilka kolejnych misji pokojowych Ententy spełzło na niczym – dla obu stron panowanie nad Lwowem było nienegocjowalnym warunkiem. Warto może dodać, że w oczach Francji Polska była państwem bardziej przewidywalnym, więc też lepszym gwarantem inwestycji kapitału francuskiego w drohobyckim zagłębiu naftowym¹⁵⁶.

Gdy w maju 1919 r. Wojsko Polskie uderzyło na wschód, Ukraińska Armia Halicka musiała ulec przewadze liczebnej i technicznej. Wprawdzie w czerwcu, gdy dowództwo polskie odwołało z frontu najlepsze jednostki w związku z kryzysem w rozmowach pokojowych z Niemcami, Ukraińcy podjęli brawurowe przeciwnatarcie, zwane Ofensywą Czortkowską, jednak musieli je wstrzymać po wyczerpaniu zapasów amunicji, przede wszystkim artyleryjskiej. Po ponownym wzmocnieniu sił polskich ulegli ostatecznie i wycofali się za Zbrucz, na „rosyjskie” Podole. Pobici, ale nie rozbici, wciąż zdolni do walki.

Ofensywa Czortkowska przyniosła ostateczne zrujnowanie stosunków ZUNR z Ententą, opowiedzenie się jej przywódców po stronie Polski (przynajmniej w tej sprawie). Nastąpiła ona bowiem w chwili, gdy Niemcy odrzuciły warunki traktatu pokojowego¹⁵⁷ i realne stało się wznowienie działań wojennych, w których Polska wystąpiłaby po stronie Anglii i Francji. Było to więc obiektywnie działanie na korzyść Niemiec, choć wątpię, by w Stanisławowie (ówczesnej stolicy ZUNR) ktokolwiek to rozumiał.

Połowiczne zjednoczenie Ukrainy

W chwili powstania ZUNR w Kijowie władał jeszcze hetman Skoropadski, jednak orientujący się na Ententę Haliczanie nie chcieli się z nim wiązać. Po odtworzeniu Ukraińskiej Republiki Ludowej Kijów i Lwów wynegocjowały zjednoczenie obu państw ukraińskich, uroczyste ogłoszone w Kijowie i Stanisławowie 3 stycznia 1919 r.

Nie było to zjednoczenie „organiczne”: Galicja Wschodnia zachowała szeroką autonomię jako Zachodni Okręg Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZOUNR). Do rzeczywistego zjednoczenia nigdy nie doszło: zbyt wielkie były różnice między chaotyczną władzą i wojskowością Naddnieprzan a twardą dyscypliną i dobrą organizacją Haliczan, między socjalistycznymi rojeniami pierwszych a narodowo–demokratycznym

realizmem drugich, wreszcie między zasadniczymi celami politycznymi: odzyskaniem władzy w Kijowie i odzyskaniem galicyjskiej ojczyzny.

Zjednoczenie okazało się zresztą nietrwałe. Gdy w grudniu 1919 r. Petlura zgodził się na warunek sojuszu z Polską w postaci rezygnacji z Galicji Wschodniej, rząd ZUNR, rezydujący już w Wiedniu, oficjalnie wypowiedział Akt Zjednoczenia.

Latem 1919 r. siły UNR, przypierane przez bolszewików i białogwardzistów do Zbrucza, stały w obliczu zagłady. Pojawienie się na kontrolowanym przez nie terytorium wyczerpanej, ale wciąż silnej armii halickiej uratowało Republikę, a kierownictwo ZUNR i jej armia bez wahania podporządkowały się Dyrektoriatowi (centralnej władzy UNR). Haliczanie niemal z dnia na dzień z odwrotu przeszli do natarcia, by 30 lipca, dwa tygodnie po przejściu Zbrucza, zająć Kijów, przedłużając istnienie naddnieprzańskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej, tonącej w rewolucyjnym zamęciu. Ale nawet w tej sytuacji nie doszło ani do scalenia struktur wojskowych, ani politycznych: działały dwa rządy i dwa sztaby.

Gdyby w tym czasie za Zbruczem stali już bolszewicy (lub Rosjanie Denikina¹⁵⁸), Haliczanie broniliby się zapewne twardziej, a ich pokonanie kosztowałoby Polskę dużo więcej trudu i krwi. Ale też w takim wypadku wojna zakończyłaby się jakimś aktem formalnym, choćby kapitulacją, a nie przez fakt dokonany w postaci wyparcia przeciwnika z terytorium, o które toczyła się wojna.

Haliczanom przyszło potem walczyć z białymi i czerwonymi Rosjanami, przejść katastrofalną epidemię tyfusu, skapitulować przed Denikinem (*de facto* – przejść na jego stronę), a potem dołączyć do bolszewików (w sytuacji ostatecznej, gdy ich armii groziła całkowita zagłada), by wreszcie wiosną 1920 r. wrócić pod sztandary Petlury. Ale były to już tylko strzępy tej najlepszej armii, jaka miała Ukraina przed 2015 r. Jej żołnierze czuli się zdradzeni, opuszczeni: mocarstwa zachodnie nigdy nie uznały ich państwa, a UNR oddała ich ojczyznę Polsce.

Była to pierwsza wojna odrodzonej Rzeczypospolitej, po Wielkim Powstaniu 1918 r., a przed starciem z bolszewicką Rosją. Twarda, równorzędna i w jakiejś mierze rycerska wojna, toczona przez niedawnych towarzyszy broni z frontów Wielkiej Wojny. Zacięta, ale niezbyt krwawa: po stronie polskiej padło ok. 10 tys. zabitych, po

ukraińskiej – ok. 15 tys. Rzeczpospolita nie uznawała Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, jednak jej siły zbrojne traktowała jako pełnoprawną stronę wojującą, a z władzami Republiki zawarła kilka porozumień dotyczących sytuacji rannych i jeńców wojennych. Także represje wobec ludności cywilnej i sporadyczne ekscesy, których dopuszczali się żołnierze obu stron, mieściły się w ówczesnie akceptowanych normach¹⁵⁹.

Po wojnie

Była to wojna źle rozpoczęta, ale nieunikniona. Tragiczna we właściwym rozumieniu. Ani Polska, ani Ukraina nie wyobrażała sobie siebie bez Lwowa. Ale trzeba pamiętać, że w 1918 r. działania wojenne były w pełni uprawnionym środkiem rozstrzygnięcia sporów, że i Ukraińcy i Polacy mieli prawo uciec się do siły zbrojnej. Pierwsza próba delegalizacji wojny miała miejsce dziesięć lat później (pakt Brianda–Kelloga¹⁶⁰). Nie mierzmy naszych przodków naszymi miarami – oni żyli w świecie, który był im dany, odpowiadali na ówczesne, nie na dzisiejsze wyzwania.

I była to wojna źle zakończona. Bo niezakończona. Nie było ani traktatu pokojowego, ani aktu kapitulacji, ani nawet trwałego rozejmu. Decyzję o losie Galicji Wschodniej podjęli nie Polacy i Ukraińcy, ale mocarstwa zachodnie, przyznając dopiero w lutym 1923 r. Polsce prawa suwerenne do jej terytorium. Do tego czasu była ona formalnie pod polską okupacją, choć Warszawa traktowała ją już jako integralną część Rzeczypospolitej, m.in. znosząc w 1922 r. wprowadzony jeszcze w 1914 r. stan wyjątkowy. Jakaś namiastką aktu zakończenia wojny, a zarazem uznaniem podmiotowości przeciwnika mogło być stać się przyznanie Galicji Wschodniej autonomii. Ale Rzeczpospolita nie zgodziła się na to.

Emigracyjny rząd ZUNR uznał decyzję Rady Ambasadorów, rozwiązując się po jej ogłoszeniu. Jednak ukraińskie społeczeństwo obywatelskie Galicji nie chciało jej uznać. Podczas wielkiego (50 tys. uczestników) wiecu we Lwowie, 18 marca 1923 r., jego polityczni przywódcy ogłosili, że tej decyzji nie uznają, że w ich oczach *Hałyuczyna* pozostaje terytorium okupowanym. Przekreśliło to ostatecznie perspektywy wprowadzenia formalnej autonomii regionu. Później, gdy Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo–Demokratyczne¹⁶¹ stało się, by tak rzecz nazwać, „autonomią *de facto*”, gdy rosła w siłę coraz bardziej radykalna nacjonalistyczna

irredenta, kierowana przez oficerów wojsk ukraińskich z lat 1918–1919, na takie „strategiczne” porozumienie było już za późno.

To prawda, że Polska nie chciała przyznać praw autonomicznych Galicji Wschodniej, podobnie jak żadnej innej części kraju (autonomia Śląska została narzucona przez Ententę). Ale ukraińskie elity także nie chciały oficjalnej autonomii. Odrzucały związek z państwem polskim i podjęły budowę autonomii nieoficjalnej i antypaństwowej. Szły nowe czasy. Po Wielkiej Wojnie i rewolucji bolszewickiej dążenie do kompromisu i równowagi rugowała cyniczna zasada „im gorzej, tym lepiej”: im więcej ucisku, tym bliższa rewolucja, narodowa lub klasowa. Wraz z jej ekspansją rozwijały się nowe nacjonalizmy, już nie – jak przed Wielką Wojną – w zasadzie demokratyczne, ale radykalne, faszyzujące, nawet totalitarne. Nie tylko wśród galicyjskich Ukraińców – ale wśród nich z wielką intensywnością.

Pokłosie

Obrona Lwowa i Czyn Listopadowy (to samo wydarzenie widziane z dwóch stron) stały się dla obu narodów częścią mitu narodowego, ważnym elementem edukacji patriotycznej. Bez kultu Orłów Lwowskich nie byłoby pokolenia Kolumbów, to jasne. Jednak o tym, jak to wyglądało w polskiej narracji, napisano już wiele. Jak było jednak po drugiej stronie barykady (bo po 1919 r. nasze narody, przynajmniej w tym regionie, dzieliła już barykada)?

Chyba najważniejsze jest to, że przez szeregi Ukraińskiej Halickiej Armii przewinęło się w sumie prawie sto tysięcy osób. Mniej więcej jeden na czterdziestu ukraińskich mieszkańców prowincji. Praktycznie w co piątej rodzinie był weteran. Potem to oni zdominowali ukraińskie instytucje narodowe, zastępując aktywistów z poprzedniego pokolenia. I wychowując kolejne pokolenie.

Nie tylko w nieubłaganej wrogości do Polski i mocarstw zachodnich (oprócz Niemiec), które odebrały Ukrainie należne im państwo, w duchu nie tyle pamięci o bohaterskich czynach, co pragnieniu odwetu za doznaną klęskę. A także w przekonaniu, że to oni, Haliczanie, są „prawdziwymi” Ukraińcami, jedyną nadzieją całego narodu. Taki był owoc zderzenia halickich żołnierzy i polityków z naddnieprzańską anarchią, socjalizmem i rosyjskojęzycznością elit. To przekonanie

napędzało ukraiński ruch nacjonalistyczny następnych dziesięcioleci, jego pozostałości można spotkać również dziś.

Dziś przeciętny Ukrainiec, nawet lwowianin, mało wie o ówczesnych wydarzeniach. Owszem, wie, że Zachodnioukraińska Republika Ludowa padła pod ciosami Wojska Polskiego, ale o ówczesnym wysiłku niepodległościowym Ukrainy myśli kategoriami heroiczno-martyrologicznymi, dla którego więcej pożywki znajduje w „ukraińskich Termopilach” pod Krutami czy stepowej epopei Nestora Machny i Chłodnego Jaru. W tej pamięci nie ma miejsca na sukces, jakim była budowa państwa, na „świętą zgodę” wszystkich halickich stronnictw wokół niepodległości, siłę partii narodowo-demokratycznych etc.

Ta „pozytywistyczna”, demokratyczna tradycja ustępowała w okresie międzywojennym radykalizmowi nowego nacjonalizmu, który odrzucał możliwość demokratycznej „świętej zgody” stronnictw, żądając niepodzielnego rządu dusz. Do tego samego dążył komunizm, zwalczający przede wszystkim tradycje obywatelskie i właścicielskie. Ukraińcy, także ci zachodni, ulegli im głębiej niż Polacy.

*

Niepodległa Polska honorowała swych żołnierzy, poległych w walce o Galicję Wschodnią, m.in. wznosząc monumentalny Cmentarz Obrońców Lwowa. Uznawała też jednak prawo wspólnoty ukraińskiej do honorowania własnych poległych. W licznych miejscowościach Galicji Wschodniej Ukraińcy sypali kopce, poświęcone pamięci Strzelców Siczowych i armii ZUNR, czasem ku czci poległych w danym miejscu, częściej – symboliczne. Na nagrobkach poległych i zmarłych później żołnierzy powszechnie umieszczano tryzuby, herby państwa ukraińskiego. Większość tych kopców przetrwała panowanie sowieckie, choć pozbawiona krzyży i tablic pamiątkowych; te przywrócono w niepodległej Ukrainie. Dziś na niektórych z nich pojawiają się nowe tablice, poświęcone UPA (są też nowe kopce, poświęcone wyłącznie tej formacji).



Orzeł z nagrobka gen. Bolesława Popowicza na Cmentarzu Obrońców Lwowa, w czasach sowieckich użyty jako element postumentu pomnika Lenina, po jego zburzeniu odkryty i przekazany władzom RP (tu na korytarzu lwowskiego konsulatu w 1995 r.); przekazany do kaplicy Cmentarza po

zakończeniu jej remontu.



Część zrekonstruowanej kwatery żołnierzy ukraińskich na cmentarzu Janowskim; na dzwonopodobnym pomniku zawieszono fragmenty przedwojennych krzyży, odnalezionych na cmentarnym wysypisku (stan z 2004 r.). W tle widoczna bramka kwatery.

Na lwowskim Cmentarzu Janowskim w wyodrębnionej kwaterze pochowano sześćset czterdziestu ośmiu żołnierzy ukraińskich, głównie poległych w walkach o Lwów 1918 r. W latach trzydziestych nad ich grobami postawiono jednolite, okazałe krzyże. Władze sowieckie zniszczyły je buldożerami w 1971 r. (w tym samym czasie co Cmentarz Obrońców Lwowa), a teren przeznaczyły pod nowe pochówki. Te okazały się na tyle płytkie, że nie naruszyły żołnierskich. W połowie lat dziewięćdziesiątych nowe pochówki przeniesiono na inne miejsce, odtwarzając przedwojenny wygląd kwatery.

Tak więc polscy i ukraińscy obrońcy Lwowa (bo w tamtym starciu obie strony były tak powstańcami, jak i obrońcami) mają dziś godne miejsce spoczynku w mieście, które kochali: na różnych cmentarzach, nie wchodząc sobie w drogę. Jedni i drudzy zasługujący na wdzięczną pamięć potomnych.

Dodatek: Czy Polska była okupantem (i kiedy)?

Przynależność Galicji Wschodniej oraz Wołynia do II Rzeczypospolitej dość często określa się na Ukrainie jako „polską okupację”. W 2017 r. znalazło to wyraz m.in. w napisie na pomniku ku czci bojowników Siczy Karpackiej¹⁶², rzekomo zamordowanych wiosną 1939 r. przez „polskich i węgierskich okupantów”. Zdarza się także uznawanie za okupację wcześniejszego polskiego panowania na ziemiach uznawanych za etnicznie ukraińskie (od XIV w.!).

Poglądy te wywołują u nas sprzeciw i oburzenie. Czy jednak do końca słusznie? Z pewnością nie można mówić o tym, by w okresie dwudziestolecia władza Warszawy na Kresach miała charakter okupacyjny. Jednak przez krótki, wojenny okres Polska rzeczywiście okupowała te ziemie.

Okupacja nie musi być krwawa

Myśląc w Polsce o okupacji, siłą rzeczy przywołujemy wspomnienie niemieckiej okupacji z lat 1939–1945: brutalnej, zbrodniczej, będącej

jednym z najgorszych doświadczeń w dziejach narodu. Ale okupacja nie musi być brutalna ani zbrodnicza – niemiecko–austriacka okupacja centralnej Polski, części obecnej Białorusi i Ukrainy w latach 1915–1918 taka nie była. O tym, czy mamy do czynienia z okupacją, czy nie, decyduje formalne uzasadnienie zwierzchnictwa nad danym terytorium, a nie sposób jego wykonywania.

Po II wojnie światowej terytorium Rzeszy Niemieckiej (która podpisując bezwarunkową kapitulację, zrzekła się suwerenności) było okupowane do czasu ustanowienia przez okupantów państw suwerennych na tym terytorium: dwóch państw niemieckich w 1949 r. i Austrii w 1955 r.; okupacja zachodniej części Berlina trwała do 1989 r. Ta okupacja przynajmniej w strefach mocarstw zachodnich nie była zbrodnicza (choć bywała brutalna). Tak na marginesie – w wykonywaniu władzy okupacyjnej w Niemczech my także przez pewien czas braliśmy udział: żołnierze Ludowego Wojska Polskiego w strefie sowieckiej, a Polskich Sił Zbrojnych – w strefie brytyjskiej.

Okupacja nie jest aneksją

W ostatnim okresie w mediach coraz częściej spotyka się utożsamianie okupacji z aneksją czy też zaborem, tj. narzuceniem siłą obcego panowania. Stąd wskazane na wstępie mówienie o „wielowiekowej okupacji” Rusi Czerwonej przez Polskę, ziem Rzeczypospolitej, zagarniętych podczas rozbiorów przez Rosję etc. To mylne pojęcie szerzy się tak w Polsce, jak i na Ukrainie głównie pod wpływem angielskiego *occupation*, które ma znacznie szersze znaczenie (oznacza m.in. legalne posiadanie nieruchomości, a nawet „zajęcie” w znaczeniu „zawód”). Okupacja w rozpatrywanym tu znaczeniu to po angielsku *military occupation*.

Tego rodzaju generalizacje (bo jest ich multum), upraszczanie języka, zacieranie różnicowań to nie tylko psucie języka – to psucie myślenia. Utrudniają one, a nawet uniemożliwiają właściwy opis zjawisk.

Okupacja nie jest aneksją (zaborem), czyli włączeniem zagarniętego terytorium do własnego państwa, poddaniem go własnemu prawu. Jest to z założenia tymczasowa zwierzchność państwa nad terytorium państwa obcego, zajętego podczas działań wojennych, trwająca do ustanowienia formalnego pokoju (choć często dłuższy czas po ustaniu działań

wojennych). Jeśli na mocy porozumienia pokojowego terytorium okupowane przechodzi pod suwerenną władzę dotychczasowego okupanta, okupacja się kończy¹⁶³. Określa to konwencja haska z 1907 r., w której po raz pierwszy zdefiniowano pojęcie okupacji.

Okupacja w trakcie odradzania się państwa polskiego

Nikt nie kwestionuje tego, że w latach 1918–1920 Wojsko Polskie zajęło zbrojnie część terytorium b. Imperium Rosyjskiego (poza granicami Królestwa Polskiego), a także część monarchii austro-węgierskiej, na której w listopadzie 1918 r. ukonstytuowała się Zachodnioukraińska Republika Ludowa. Nie ma też wątpliwości, że władza wprowadzana na tych terytoriach bezpośrednio po ich zajęciu miała charakter tymczasowy, prowizoryczny, czyli właśnie okupacyjny, chociaż Warszawa traktowała te tereny jako przyszłą część Rzeczypospolitej.

Na terenach dawnego zaboru rosyjskiego powstał Tymczasowy Zarząd Ziem Wschodnich, będący w świetle prawa międzynarodowego władzą okupacyjną. Podobnie w Galicji Wschodniej bezpośrednio po jej zajęciu wiosną 1919 r. administracja polska miała charakter tymczasowy, a jej pełnomocnictwa wynikały z decyzji Ententy (mocarstw zwycięskich w I wojnie światowej) z czerwca 1919 r., gdyż to jej Cesarstwo Austrii (negocjacje pokojowe z Węgrami toczyły się odrębnie) przekazało władzę suwerenną nad większością swego terytorium.

Stan okupacji Wołynia i ziem białoruskich zakończył traktat ryski, w którym bolszewicka Rosja oraz bolszewicka Ukraina (Związek Sowiecki jeszcze nie istniał) scedowały je na rzecz państwa polskiego. Rzeczpospolita miała więc prawo – i powinność! – zaprowadzić na tych terytoriach swą władzę suwerenną i porządek prawny. Z punktu widzenia ówczesnego prawa międzynarodowego taka aneksja była w pełni legalna.

Z Galicją Wschodnią było inaczej. Ententa najpierw próbowała przekształcić ten region w polskie terytorium mandatowe (podobnie jak ponemieckie terytoria kolonialne), na którym po dwudziestu pięciu latach miał się odbyć plebiscyt rozstrzygający o jego przyszłości. Dała się jednak przekonać dyplomacji polskiej o niecelowości takiego rozwiązania i w marcu 1923 r. przekazała Polsce prawa suwerenne do Galicji Wschodniej, co formalnie zakończyło okres okupacji.

Ta decyzja Ententy była w pełni legalna. Uznał ją rząd ZUNR, rezydujący

w tym czasie w Wiedniu, rozwiązując się w dniu jej ogłoszenia. Nie uznały jej natomiast elity ukraińskie Galicji Wschodniej, które przez cały okres międzywojenny kwestionowały legalność polskiej władzy. Nie miało to jednak znaczenia prawnego.

Warto też przypomnieć, że ZUNR w styczniu 1919 r. zjednoczyła się z naddnieprzańską Ukraińską Republiką Ludową, ta zaś wiosną 1920 r. scedowała Galicję Wschodnią na rzecz Polski. I choć tamto porozumienie nie nabrało mocy prawnej (nie zostało ratyfikowane przez parlament żadnej ze stron), dla Ententy nie była to okoliczność bez znaczenia.

Państwo prawa (także międzynarodowego)

Ktoś może powiedzieć, że to prawnicze dywagacje, dzielenie włosa na czworo etc. Ale na tym właśnie (oczywiście – tylko między innymi) polega życie w państwie prawa. Na tym, że normy prawne i oparte na nich decyzje traktujemy nie tylko z powagą, ale przede wszystkim – z należnym rozumieniem. Że nie zastępujemy formalnego języka prawa potocznym językiem publicystyki i sporów internetowych. Tym bardziej, że ten drugi zmienia się coraz szybciej, a prawo potrzebuje języka stabilnego, w którym znaczenie terminów nie zmienia się z roku na rok.

Można zatem uznać, że z ukraińskiego punktu widzenia Galicja Wschodnia i Wołyń pozostawały w dwudziestolecu w polskiej niewoli czy pod polskim zaborem, podobnie jak my mamy prawo uważać, że w tym samym czasie w niemieckiej niewoli (pod niemieckim zaborem) pozostawał Śląsk Opolski i Mazury. Nie można natomiast mówić, że były to terytoria okupowane. Bo o tym decyduje nie nasze (polskie, ukraińskie, czyjekolwiek) widzimisię, ale prawo międzynarodowe.

Tekst ten jest połączeniem dwóch artykułów na ten sam temat, wydrukowanych pod tytułami: *Bój o Lwów* („Tygodnik Powszechny” nr 50 z 2013 r.) i *Wojna galicyjska* („Tygodnik Powszechny” nr 45 z 2018 r.). Dodatek ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” nr 13 z 2018 r. pod tytułem *Warto dzielić włos na czworo*. Scalenie tekstów pociągnęło za sobą liczne zmiany, poszerzyłem też faktografię dotyczącą pierwszej fazy wojny. Dodatek pozostał praktycznie bez zmian.

Hetmańskie Państwo Ukraińskie

Sto lat temu na kontrolowanej przez Niemców i Austriaków Ukrainie narastała fala powstań i buntów chłopskich, wywołanych polityką rekwizycyjną i przyzwalaniem okupantów na powrót właścicieli ziemskich, wypędzonych w 1917 r. Wraz z nimi chwiała się władza hetmana Skoropadskiego. Gdy na początku listopada 1918 r. w Niemczech wybuchnie rewolucja, a ukraińscy socjaliści wzniesą ogólnonarodowe powstanie przeciw hetmanowi, stworzone przezeń Państwo Ukraińskie (*Ukrajinska Derżawa*), potocznie zwane Hetmanatem, rozpadnie się jak domek z kart.

Paweł Skoropadski...

Gdy na mocy traktatów pokojowych z Ukrainą i Rosją wojska niemieckie i austriackie zajęły wiosną 1918 r. Ukrainę, socjaldemokratyczne władze Ukraińskiej Republiki Ludowej wróciły do Kijowa i próbowały kontynuować budowę zrębów państwa, przerwana przez najazd bolszewicki w styczniu–lutym 1918 r. Tak jak poprzednio – chaotycznie, bez niezbędnej konsekwencji i należytego namysłu.

Konserwatywne i monarchiczne dowództwo niemieckie patrzyło na to z niechęcią. Także dlatego, że potrzebowało ładu. Zachęciło to ukraińskie środowiska zachowawcze (głównie ziemian centralnej i wschodniej części kraju oraz bogatych włościan) do sięgnięcia po władzę.

28 kwietnia 1918 r. generał Paweł Skoropadskij dokonał zamachu stanu, ogłaszając się hetmanem Ukrainy. Ukraińska Centralna Rada została rozwiązana, rząd rozpadziony, nawet nazwa UNR zastąpiona przez nową: Państwo Ukraińskie. Niepodległościowi socjaliści przeszli do zdecydowanej opozycji wobec nowych struktur, choć współpracownicy hetmana szukali z nimi porozumienia.

Paweł (Pawło) Skoropadskij miał wtedy czterdzieści cztery lata. Był potomkiem kozackiej arystokracji, potomkiem (choć w bocznej linii) Iwana Skoropadskiego¹⁶⁴, ostatniego w miarę niezależnego hetmana

Ukrainy Lewobrzeżnej z początku XVIII w. Arystokrata, wielki właściciel ziemski, zawodowy wojskowy, zasłużony w I wojnie światowej, człowiek dworu i armii. Kochał swój kraj, kraj swoich przodków, jego wielką historię, ale niekoniecznie jego lud (swoich chłopów). I nie był Ukraińcem, ani w znaczeniu etnicznym, ani politycznym. Był Małorosem (Małorosjaninem), przyszłość swego kraju poza Imperium/Republiką rosyjską była dlań trudna do pomyślenia. Nie miał żadnego doświadczenia politycznego, był dość prostolinijny i chyba naiwny. I – jako wielki pan – był przeciwnikiem radykalnej reformy rolnej.

A właśnie kwestia rolna była kluczowa dla przyszłości Ukrainy. Ambicje biedniejszych włościan i wrogość wobec dworów, wobec ziemiaństwa były ogromne, choć zamożni włościanie, których siła wyrosła podczas reformy rolnej Stołypina na początku XX w. skłaniali się do obrony *status quo*. Z drugiej strony hasło wywłaszczenia wielkiej i średniej własności rolnej, obdzielenia ziemią małorolnych i parobków była taranem bolszewickiej propagandy na Ukrainie. Nikt wówczas nie wiedział, że to tylko wybieg, wstęp do wywłaszczenia wszystkich; pewnie nawet bolszewicy agitatorzy tego nie rozumieli. Niezdecydowane stanowisko hetmana, a wcześniej Centralnej Rady w tej sprawie obiektywnie działało na korzyść bolszewików.

Wcześniej, w 1917 r., Skoropadskyj zukrainizował (przeformował według zasad narodowościowych) podległy mu 34 Korpus Armijny i na kilka miesięcy zapewnił względny spokój na Kijowszczyźnie, budował też Wolne Kozactwo, pospolite ruszenie, które mogło stać się podstawą nowej armii. Jednak władze UNR nie chciały rozbudowy regularnej armii, został więc zdymisjonowany, a jego korpus zdemobilizowany (w przededniu najazdu bolszewickiej Rosji!). Przyszły hetman na kilka miesięcy usunął się w cień.

...i jego państwo

Nie jest jasne, czym miało być Państwo Ukraińskie. Jego krytycy zarzucają Skoropadskiemu, że tworzył dziedziczną monarchię, trwale związaną z Cesarstwem Niemieckim. Ten pogląd, jak też przekonanie o konsekwentnie niepodległościowym stanowisku hetmana opiera się jednak głównie na jego wspomnieniach spisanych już po klęsce, na emigracji w Niemczech. W 1918 r. raczej jeszcze nie myślał w ten sposób.

Proklamowane przez niego państwo nie miało w nazwie dookreślenia ustrojowego (jak „republika” czy „królestwo”), nie wydaje się też, by Skoropadskyj widział się w roli monarchy. Zdaniem części badaczy, postrzegał on swoją rolę jako „naczelnika państwa”, który ma je ustabilizować, zapewnić bezpieczeństwo, a potem przekazać elitom cywilnym. Jeśli tak, jego zamysł był podobny do nieco późniejszego zamysłu Piłsudskiego. Tyle że nie udało się. I chyba nie mogło się udać. Ale o tym za chwilę.

Nic nie wskazuje też na to, by Skoropadskyj był w 1918 r. konsekwentnym niepodległościowcem. Raczej widział przyszłość swego kraju w takim czy innym związku z „białą” Rosją, raczej monarchiczną niż republikańską. Opierał się na środowiskach, ugrupowaniach i kadrach „małorosyjskich”, choć nieliczni wówczas ukraińscy niepodległościowcy poparli go, bodaj głównie ze względu na wspólną niechęć do socjalizmu UNR. Może widział siebie w roli, jaką odgrywał w XVIII w. jego przodek – udzielny władca, podporządkowanego Imperatorowi Wszechrosyjskiemu? Po załamaniu Niemiec, 14 listopada, wydał proklamację o udziale Ukrainy we „Wszechrosyjskiej Federacji”. Ten akt przypieczętował kres jego władzy: następnego dnia socjaliści wezwali do zbrojnego powstania, miesiąc później Skoropadskyj musiał abdykować. Wyjechał do Berlina, korzystając ze wsparcia wciąż obecnej na Ukrainie armii niemieckiej.

Ale bądźmy uczciwi: na „rosyjskiej” Ukrainie jeszcze latem 1917 r. mało kto serio myślał o pełnej niepodległości. Ba, mało kto oprócz kilku wizjonerów politycznych wyobrażał sobie taką możliwość. Ukraińska Centralna Rada z Wołodymyrem Wynnyczenką¹⁶⁵ i Symonem Petlurą także stała na pozycjach autonomistycznych, dopóki najazd bolszewicki nie „przymusił” ich do niepodległości. To nie była Galicja Wschodnia, której ukraińska społeczność dojrzała już wówczas do myśli o własnym państwie, do walki o własne państwo.

Między starym a nowym ładem

Skoropadskyj był bardziej przeciw rewolucji, niż za niepodległością. Chciał budować państwo w miarę możliwości podobne do tego sprzed 1917 r. Stał na jego czele bez przekonania, z poczuciem obowiązku. Odwoływał się do struktur i elit dawnego państwa, do – symbolicznie

rzecz nazywając – Małorosji, kraju odrębnego w ramach Wszechrosji, ale nie – od niej. W innych okolicznościach to mogło się udać, tak jak udało się w 1991 r. Łeonidowi Krawczukowi, budującemu niepodległą Ukrainę z sowieckich struktur i elit (czyli nieco inaczej rozumianej Małorosji).

W 1918 r. ten projekt nie miał szans. Stary ład walił się w tempie, którego nikt nie przewidywał. Mocarstwa centralne przegrywały wojnę, a z nimi załamywał się europejski ład monarchiczny. Nie było już miejsca na nowe monarchie, na przywódczą rolę arystokracji, na budowę nowych państw na konserwatywnym fundamencie. Był to czas rewolucji społecznych, czas lewicy, mniej lub bardziej radykalnej. Hetman był przedstawicielem odchodzącej epoki.

Projektowi „białej” Ukrainy brakowało też zaplecza ideowego. Ukraińska tradycja prawicowa, czy to konserwatywna, czy liberalna, nie istniała¹⁶⁶. W Imperium Rosyjskim cała prawica skupiała się wokół idei jednej i niepodzielnej Rosji. Nawet liberałowie, których demokratyzm, zgodnie ze znanym, choć późniejszym powiedzeniem „kończył się tam, gdzie zaczynały się granice Ukrainy”. W związku z tym ruchy emancypacyjne, niepodległościowe zwracały się ku ideom socjalistycznym. Nie było narodowych konserwatyzmów. Na Ukrainie dodatkowym hamulcem rozwoju refleksji prawicowej był konsekwentnie rewolucyjny, równościowy i wrogi ziemiaństwu charakter twórczości Szewczenki, absolutnego prawodawcy ukraińskiej świadomości narodowej.

Hetman miał też mało czasu. Sprawował władzę przez pół roku, zdołał zaledwie – i to nie do końca – skonsolidować aparat państwowy, zdeorganizowany przez rewolucję. W dodatku długo musiał mieć poczucie, że nie musi się spieszyć: dopiero pod koniec rządów dokonał dzieł, które go przetrwały: powołał ukraińskie uniwersytety w Kijowie (na bazie starego, rosyjskiego) i Kamieńcu Podolskim, Ukraińską Akademię Nauk i parę jeszcze instytucji. Zaś próby odbudowy sił zbrojnych skutecznie hamowali Niemcy.

Hetman nie był też w stanie rozwiązać kwestii rolnej: ani zaakceptować przeprowadzonej faktycznie (drogą rewolucyjną) reformy, ani jej cofnąć. Sytuację na wsi przez cały czas destabilizowała propaganda tak niepodległościowców, jak i bolszewików, apelujących do biednych włościan i parobków. Jedni i drudzy pobudzali bunty i powstania prowadzące do anarchizacji życia prowincji. To z kolei

powodowało kontrakcje sił okupacyjnych – i nakręcało spiralę nienawiści i przemocy. Właśnie za rządów Skoropadskiego urosły formacje lokalnych atamanów (często oparte na strukturach Wolnego Kozactwa, którego przekształcenie w jednolitą organizację zbrojną zablokowali okupanci), czasem bandytów, czasem lokalnych przywódców wojskowych, a nawet – polityczno–wojskowych. Po wybuchu antyhetmańskiego powstania w listopadzie 1918 r. niektórzy z nich stworzyli wielotysięczne, choć na ogół niestabilne armie.

Gdy w grudniu 1918 r. hetmanat upadł, wraz z nim w istocie upadła niepodległa Ukraina. Ukraińskiej Republiki Ludowej jako struktury państwowej nie udało się odtworzyć, choć walka o jej niepodległość trwała jeszcze dwa lata. Pochłonęła ją rozpętana jesienią 1918 r. anarchia, którą udało się stłumić dopiero bolszewikom, a i to nie od razu.

Zapomnienie

Na emigracji Skoropadskyj próbował tworzyć własne stronnictwo polityczne, które pozostało na marginesie życia politycznego diaspory. Patronował ukraińskiemu konserwatyzmowi, rozwijanemu dopiero wówczas, dystansował się od radykalnego nacjonalizmu. Zmarł pod koniec II wojny światowej z ran, odniesionych podczas nalotu. Potem przyszło zapomnienie, a może coś gorszego.

Hetman został bezlitośnie wydrwiony przez Michaiła Bułhakowa (wroga nie to, że niepodległości, ale jakiegokolwiek odrębności Ukrainy) na kartach „Białej gwardii”. W Sowietach był bezlitośnie krytykowany jako reakcjonista (którym niewątpliwie był), a później także jako sługa Niemiec (którym równie niewątpliwie nie był) i stale przypominany w propagandzie jako negatywny symbol ukraińskości (socjalistyczny ruch niepodległościowy starano się przemilczać, był zbyt niewygodny propagandowo). Odrzucił go też ukraiński ruch nacjonalistyczny. Ostatecznie został wypchnięty na margines dziejów jako postać cokolwiek złowroga, cokolwiek komiczna.



Skromna tablica, upamiętniająca nieistniejący już dom przy Instytuckiej, w której mieściła się w 1918 r. rezydencja hetmana Skoropadskiego. Zdjęcie z 2017 r.

Niepodległa Ukraina także nie chciała o nim pamiętać, czy raczej – przypomnieć sobie o nim nawet tak jak o Petlurze. Pawło Skoropadskyj nie ma dziś na Ukrainie ani jednego pomnika (w Kijowie poświęcono mu dwie skromne tablice pamiątkowe i ulicę); dopiero jesienią 2018 r. ku jego czci powstał mural. Nie poświęcono mu znaczącej powieści, dramatu, nawet filmu (prawda, pierwszy film o Petlurze miał premierę raptem przed miesiącem, we wrześniu 2018 r.). Pierwsza porządna biografia ukazała się dopiero w 2019 r.

Dopiero w roku stulecia *Ukrajinskoji Derżawy* coś zaczęło się zmieniać. Wprawdzie oficjalne obchody stulecia niepodległości pominęły Hetmanat, koncentrując się na tradycji narodowo–rewolucyjnej oraz nacjonalistycznej, ale opiniotwórczy dziennik kijowski, „*Deń*”, ogłosił „rok Skoropadskiego” i zamieszczał liczne publikacje poświęcone nie tylko rządowi Hetmana, ale też ukraińskiej refleksji konserwatywnej. „*Deń*” przypomina też osobę i dorobek Wiaczesława Łypynskiego¹⁶⁷,

jedynego jak dotąd ukraińskiego myśliciela konserwatywnego, współpracownika hetmana, choć dopiero na emigracji. Można mieć nadzieję, że wraz z pamięcią o Pawle Skoropadskim odrodzi się też i rozwinięta ukraińska myśl konserwatywna, istotna dla równowagi życia politycznego i społecznego.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 44 z 2018 r. pod tytułem *Hetmańska Ukraina*. Teraz dokonałem tylko niewielkich retuszy.

Ukraina roku 1919. Czas anarchii, czas pogromów

Upadek państwa hetmana Skoropadskiego i wycofanie się wojsk niemieckich z Ukrainy rozpętało anarchię, której władze Ukraińskiej Republiki Ludowej nie umiały opanować. Krajem nie rządził nikt. Walczyli wszyscy ze wszystkimi. Jednym ze skutków tej anarchii były pogromy i masakry ludności żydowskiej, dokonywane głównie przez oddziały związane z UNR (choć niekoniecznie podporządkowane jej dowództwu) oraz rosyjskich białogwardzistów. Ofiarą tych wydarzeń padło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ich symbolem stała się masakra żydowskich mieszkańców Płoskirowa.

Rzeź w Płoskirowie

W nocy z 14 na 15 lutego 1919 r. na Podolu miało wybuchnąć bolszewickie powstanie, skierowane przeciwko UNR. Doszło do niego jedynie w Płoskirowie vel Proskurowie (obecnie Chmielnicki)¹⁶⁸, jednak akcja spaliła na panewce wobec pojawienia się w mieście pododdziałów ukraińskich sił zbrojnych, dowodzonych przez Iwana Semesenkę (vel Samusenkę vel Semosenkę). Pod wieczór tego dnia wydał on rozkaz wymordowania płoskirowskich Żydów. Właśnie wymordowania – rozkaz wyraźnie zabraniał rabunków.

Rzeź, rozpoczęta w sobotowy wieczór, a zamierzona na trzy dni, ustała nad ranem. Przeciwstawili się jej miejscowi politycy, w tym przewodniczący dumy miejskiej Trochym Werchała i komisarz (przedstawiciel rządu) Tarasewycz. Zaalarmowali oni telegraficznie dowódcę Podolskiej Grupy wojsk UNR, Mykołę Szapowała, który rozkazał Semesence natychmiastowe przerwanie mordów. Ten podporządkował się, rzeź ustała niemal natychmiast, na sygnał trąbki. Rano oddziały Semesenki opuściły miasto. 16 lub 17 lutego dokonały jednak kolejnego pogromu, w nieodległym Felsztynie (obecnie Hwardijske; nie mylić z Felsztynem w obwodzie lwowskim, obecną Skeliwką).

Nie znamy dokładnej liczby ofiar tych masakr. Szacunki dla Płoskirowa wahają się od tysiąca do nawet sześciu tysięcy zabitych (z dwudziestu

pięciu tysięcy żydowskich mieszkańców miasta); najbardziej prawdopodobne wydaje się wyliczenie mówiące o siedmiuset siedemdziesięciu pięciu zamordowanych (trzystu dziewięćdziesięciu mężczyznach, trzystu dziewięciu kobietach i siedemdziesięciu sześciu dzieciach) oraz ok. pięciuset rannych, z których znaczna część później zmarła: dokładność liczb wskazuje na to, że u jego podstaw leżały imienne listy ofiar. Z kolei w Felsztynie zginęło prawdopodobnie czterystu osiemdziesięciu pięciu Żydów (z tysiąca ośmiuset), a rannych zostało ok. stu osiemdziesięciu. Tu, inaczej niż w Płoskirowie, doszło do rabunków i kilku podpaleń.



Pomnik ofiar pogromu w Płoskirowie (Chmielnickim), wzniesiony w 1925 r., przetrwał okupację niemiecką, odrestaurowany w 2001 r. Na zdjęciu tylna strona z tablicami w języku ukraińskim i angielskim; tablica z napisem hebrajskim jest na stronie czołowej.

Pomordowanych w Płoskirowie pochowano w zbiorowych mogiłach w zachodniej części miasta, na skraju (dziś chyba pomniejszonego, ale niedawno uporządkowanego i odnowionego) cmentarza żydowskiego. W 1925 r. na mogiłach stanął skromny, lecz godny pomnik, który jakimś cudem przetrwał II wojnę światową, a w 2001 r. został odrestaurowany. Ofiary masakry w Felsztynie pochowano na miejscowym cmentarzu żydowskim; nie mają odrębnego upamiętnienia. Dodajmy, że w Płoskirowie znów mieszka kilkusetosobowa społeczność żydowska, od 2009 r. korzystająca z odrestaurowanej, dziewiętnastowiecznej synagogi.

Masakra w Płoskirowie, daleko nie największa z ówczesnych aktów przemocy wobec Żydów Ukrainy, stała się ich symbolem. Nie od razu; dopiero po paryskim procesie zabójcy Petlury, o czym szerzej w innym miejscu.

To nie był pogrom

Świadomie nie użyłem w powyższym opisie terminu „pogrom”. Intuicja językowa podpowiada, że pogrom to forma rozruchów, mniej lub bardziej masowe rabunki, pobicia i podpalenia, czasem też zabójstwa, niekiedy masowe. Niekoniecznie ulic czy osad żydowskich – także dworów ziemiańskich (takie pogromy masowe były na ziemiach Imperium Rosyjskiego podczas rewolucji 1905 i 1917 r.). Wiele wystąpień antyżydowskich z okresu ukraińskiej wojny o niepodległość spełnia tę definicję. Jednak w Płoskirowie mieliśmy do czynienia z czymś jakościowo innym: z masowym mordem bez rabunków i podpaleń, podjętym na rozkaz i na rozkaz przerwany (rozruchy są łatwe do rozpętania, ale bardzo trudne do wygaszenia). To był akt eksterminacji, może wręcz ludobójstwa.

Pogromy wojny rewolucyjnej na Ukrainie

Okres rewolucyjnej wojny domowej na Ukrainie był złym czasem dla Żydów (nie dla nich jednych – był to zły czas dla wszystkich). Liczbę pogromów na terytorium „rosyjskiej” Ukrainy w latach 1918–1920 szacuje się na tysiąc–tysiąc pięćset, a ich ofiar – na pięćdziesiąt–sto tysięcy¹⁶⁹ (spotykana niekiedy liczba ćwierć miliona ofiar obejmuje też ofiary ówczesnych epidemii, których nie należy dopisywać do zamordowanych – epidemie były niezależne od czyjegokolwiek

działania, dotykały też wszystkich, bez względu na wyznanie czy narodowość). Pogromów dokonywały zdemoralizowane oddziały „starej” armii rosyjskiej (głównie w 1917 r.), regularne wojska UNR, nieregularne oddziały „atamanów”, rosyjscy białogwardziści i bolszewicy. Najwięcej na sumieniu (jeśli to stosowne określenie) mieli „atamani” i denikinowcy (białogwardziści).

Armia Ochotnicza Denikina dokonała m.in. trzydniowego pogromu w Fastowie (wrzesień 1919 r., półtora tysiąca ofiar) i w Tetyjowie (marzec 1920 r., cztery tysiące zamordowanych z siedmiu tysięcy żydowskich mieszkańców miasteczka). Z kolei bolszewicy w marcu 1918 r. zamordowali w Głuchowie czterystu Żydów¹⁷⁰, a szlak odwrotu rozbitej Armii Konnej późnym latem 1920 r.znaczony był pogromami. To tylko przykłady, wybrane z dziesiątków.

Władze UNR przeciwstawiały się pogromom, wydawały proklamacje, groziły karami etc. Ale mogły tylko grozić. „Druga” republika, powstała po obaleniu Państwa Ukraińskiego hetmana Skoropadskiego, nie stała się strukturą państwową z prawdziwego zdarzenia, utonęła w chaosie wojny domowej. W złośliwym, bolszewickim wierszyku *U wahoni Dyrektorija/ pid wahonom – terytorija*, czyli: „W wagonie jest Dyrektoriat [kierownictwo UNR], pod wagonem – jego terytorium”, było sporo prawdy.

Co z tego, że Petlura wydawał proklamacje, skoro nie był ich w stanie nawet odpowiednio rozkolportować? Skoro jego armia składała się w dużej mierze z samorzutnych oddziałów, które słuchały tylko swoich bezpośrednich dowódców („atamanów” właśnie), ci zaś uznawali zwierzchnictwo Dyrektoriatu, kiedy im to odpowiadało, częstokroć przechodzili na stronę bolszewików lub próbowali wojować ze wszystkimi naraz.

Ot, taki Hryhorjew¹⁷¹. Pod koniec 1918 r. stworzył własną formację wojskową, liczącą na początku 1919 r. około sześciu tysięcy żołnierzy, najpierw podporządkowując się dowództwu UNR, później przechodząc na stronę bolszewików, by rychło zbuntować się przeciw nim, na krótko opanowując znaczne tereny południowej i środkowej Ukrainy. Właśnie wtedy podległe mu oddziały dokonały licznych pogromów, w tym w Jelizawietgradzie (ob. Kropiwnicki) i Czerkasach (odpowiednio ok. trzy tysiące i siedemset ofiar). Takich jak on było wielu, choć żaden nie stworzył aż takiej siły wojskowej. Wszyscy gromili żydowskie miasteczka,

mordowali Żydów.

O pogromy, zwłaszcza w Związku Sowieckim, oskarżano także Machnę, najwybitniejszego watażkę epoki, wodza i organizatora znacznie przerastającego Petlurę. Na pewno winien jest on szeregu pogromów wsi niemieckich (menonickich) z obecnego obwodu chersonskiego i zaporoskiego, które podczas okupacji niemieckiej stworzyły własne siły samoobrony. W najbardziej znanym z nich, w Zahradwice, zginęło około dwustu osób. Ale Żydów chronił, ba – tępił przejawy antysemityzmu: rozstrzeliwał za pogromy swych żołnierzy i oficerów, potrafił rozstrzelać za połączenie na plakacie haseł promachnowskich i antysemickich. Nie mógł zapobiec temu, że i jego podkomendni dopuszczali się pogromów. Ale reagował, karał.

W szeregach armii Machny służyli także, choć niezbyt licznie, Żydzi. Niektórzy z nich po zwycięstwie bolszewików uciekli z Ukrainy – i już w 1922 r. odnaleźli się w szeregach *szomrów*, żydowskiej milicji-samoobrony w Palestynie. Musieli być bezcenni – umieli się bić, i to w wojnie nieregularnej, szarpanej, obcej weteranom Wielkiej Wojny.

UNR a Żydzi

Na czele UNR nie stali nacjonaści, ale mniej lub bardziej lewicowi socjaldemokraci, częstokroć bliscy rosyjskim bolszewikom. Niektórzy z nich (w tym Symon Petlura) byli wolnomularzami. W większości rządów Republiki byli ministrowie ds. żydowskich, a tekę tę powierzano reprezentantom lewicowych partii żydowskich (kolejno Mojżesz Zylberfarb, Wulf Łackij i Abraham Rewucki¹⁷²). Nikt z tych ludzi nie był antysemitą. To nie mieściło się w kanonie przekonań rewolucyjnych socjalistów epoki, wierzących w „republikę pracy”, która rozwiąże wszystkie sprzeczności społeczne, w tym konflikty narodowościowe, a także w możliwość budowy państwa nieterytorialnych autonomii narodowych. Widzieli w Żydach po części sojuszników, po części – ofiary starego reżimu, zasługujące na wyzwolenie.

Nie ma podstaw, by obciążać kierownictwo UNR odpowiedzialnością za poszczególne pogromy, sugerować, że nie reagowały one na te zbrodnie, a tym bardziej by którekolwiek z tych zdarzeń było przez nich nakazane. Wbrew oskarżeniom Petlury nie było w Płoskirowie podczas pogromu (władze UNR przybyły tam dopiero później), a lokalne władze Republiki

z trudem, ale doprowadziły do przerwania rzezi (nie było potrzeby angażowania wodza naczelnego, skoro wystarczył rozkaz bezpośredniego przełożonego). Tym bardziej oszczercze są oskarżenia, że Petlura nakazał ten mord: przeczą temu słowa samego Semesenki, który twierdził, że mord w Płoskirowie miał m.in. wymusić na Petlurze porzucenie przychylnego stanowiska wobec Żydów¹⁷³. Ale jest też odpowiedzialność pośrednia. Wódz naczelny odpowiada za całość działań podległych mu sił, zwierzchnik państwa – za wszystko, co się w nim dzieje. Także za to, że do sił zbrojnych przyjmuje się każdego chętnego, że toleruje się w nich „nieoficjalne” lojalności i struktury dowodzenia. Tej odpowiedzialności nie da się zdjąć z Petlury.

Tyle że bez tych ludzi i struktur armia UNR pod koniec 1918 r. mogłaby liczyć najwyżej kilkanaście tysięcy ludzi – i republika runęłaby niemal natychmiast. Nie było sposobu, by zmusić do bezwarunkowego podporządkowania ludzi, którzy w każdej chwili mogli przejść na stronę wroga – robili to i bez tego. A nikogo innego nie było, przynajmniej do lipca, gdy zza Zbrucza nadciągnęła armia Zachodniej Ukrainy. Zdyscyplinowana, o wysokim morale, wolna od pogromowych nastrojów.

Zimą i wiosną 1919 r. kierownictwo UNR było bezsilne. Mogło się przyglądać, wydawać proklamacje, czasem kogoś ukarać. Nic więcej. Ich prawdziwa odpowiedzialność za pogromy żydowskie (i nie tylko za nie) leży gdzie indziej: w tym, że obalając hetmana Skoropadskiego zniszczyli też struktury państwa ukraińskiego i nie zrobili praktycznie nic, by je odtworzyć. Rozpętali anarchię i bezprawie, nad którym nie zdołali już zapanować.

Rosyjscy Żydzi i rewolucja

Na początku XX w. w Imperium Rosyjskim żyło ok. pięć milionów Żydów, tj. osób wyznania mojżeszowego (było to jedyne kryterium: konwersja na prawosławie w oczach państwa rosyjskiego „znosiła” żydowskość). Ogromna większość z nich żyła na terenie ustanowionej w 1835 r. tzw. strefy osiedlenia, obejmującej w przybliżeniu ziemie obecnej Ukrainy (ok. dwóch milionów Żydów), Białorusi, Litwy, Mołdawii oraz centralnej Polski. Oprócz tego Żydów tolerowano w Inflantach (obecna Łotwa i Estonia); z ziem rdzenie rosyjskich deportowano ich do Strefy jeszcze w 1891 r. (z Moskwy dwadzieścia tysięcy, z Petersburga dwa tysiące).

Pod koniec XIX i na początku XX w. na Ukrainie (i poza nią) doszło do dwóch fal pogromów. Były to przede wszystkim masowe rabunki i podpalenia, ofiar śmiertelnych było niewiele (do wybuchu rewolucji 1905 r. ok. sto; podczas tej rewolucji ok. tysiąc–tysiąc pięćset w kilkudziesięciu miejscowościach całego Imperium). Udział młodych Żydów w rosyjskim ruchu rewolucyjnym różnych odcieni przyczynił się do wysunięcia hasła „bij Żydów, ratuj Rosję”. Hasła radykalnych monarchistów, odrzucających wszelką zmianę, znanych dziś jako Czarna Sotnia (aczkolwiek było to wiele organizacji i środowisk). To były organizacje miejskie, skupiające ludzi wykształconych (m.in. bardzo licznych oficerów), a oddziałujące na lud (raczej na mieszczan niż chłopów) przede wszystkim przez struktury Kościoła prawosławnego.

Był to ruch rosyjski (wszechrosyjski, imperialny). I był to raczej tradycyjny antyjudajizm, oparty na wrogości wobec religii mojżeszowej i jej wyznawców, odpowiadający konserwatywnemu charakterowi rosyjskiej doktryny społecznej. Nowoczesny antysemityzm, oparty na kryterium „rasowym”, uznający żydowskość za cechę uwarunkowaną nieomal biologicznie i dziedziczną, jeszcze w te strony nie dotarł.

Tuż przed I wojną światową w Kijowie doszło do procesu Bejlisa, który przyciągnął uwagę świata zewnętrznego do rosyjskiego antysemityzmu. Menachem Bejlis¹⁷⁴ został w 1911 r. oskarżony o uprowadzenie i zamordowanie chrześcijańskiego trzynastolatka z sąsiedztwa, a także o wykorzystanie jego krwi w celach rytualnych. Andrij Juszczyński rzeczywiście został nie tylko zarżnięty, ale i wykrwawiony jak zwierzę rzeźne. Tego nie mogła zrobić prymitywna złodziejka z przedmieścia (jak przekonywali obrońcy Bejlisa): to był czyn albo zwyrodniałego pedofila–mordercy, albo... albo prowokatora, świadomie dążącego do rozpętania antysemitycznej burzy. Moim zdaniem, prawdopodobniejsze jest to drugie.

Oskarżenie okazało się bezpodstawne, a sam Bejlis – choć dopiero po dwóch latach – uniewinniony przez sąd przysięgłych i zwolniony. Oskarżenie o zabójstwo było pochopne, choć zrozumiałe w czasach, gdy naukowa kryminalistyka dopiero raczkowała. Dziś też zdarzają się błędy śledcze i pomyłki sądowe, także w sprawach o zabójstwo. Gdyby sprawa Bejlisa ograniczyła się do samego porwania i mordy, nie byłoby o czym mówić.

Ale podczas procesu szeroko roztrząsano kwestię rzekomych zabójstw rytualnych, dokonywanych przez Żydów. Zaś czarnosecinną propagandą

w licznych tekstach prasowych i pismach ulotnych popularyzowała te oskarżenia, przedstawiając Bejlisa jako niewątpliwego zbrodniarza. Znajdowała licznych przychylnych słuchaczy. *Fake news* nie jest wynalazkiem naszych czasów, podobnie jak propaganda nienawiści. Powszechność druku (dzięki licznym prywatnym zakładom w dziesiątkach miejscowości) już sto lat temu dawała ogromne możliwości takich działań. Tym bardziej, że społeczeństwa (bo to już dotyczy nie tylko Ukrainy początków zeszłego wieku) dopiero uczące się czytać miały ogromne zaufanie do słowa pisanego, a zwłaszcza drukowanego.

Podczas obu rewolucji (a także później) pojawiały się oskarżenia, że Żydzi są wrogami porządku społecznego (zwłaszcza monarchii), że to oni kierują ruchem rewolucyjnym etc. Nie było to zupełne zmyślenie: liczba wychodźców z rodzin żydowskich w kierownictwie partii bolszewickiej czy to w 1905, czy 1917 r. była rzeczywiście imponująca. Znaczna część młodego pokolenia rosyjskich Żydów, dążących do wyjścia z biedy konserwatywnego sztetlu, do wykształcenia i zamożności inaczej niż przez przyjęcie religii prawosławnej i tożsamości rosyjskiej, rzeczywiście skłaniała się do radykalnych idei rewolucyjnych. Odnajdujemy ich potem w strukturach partyjnych jako czekistów i komisarzy (oficerów politycznych w wojsku).

Ale w tych samych strukturach odnajdujemy też (oprócz, oczywiście, Rosjan i Ukraińców) bardzo licznych Łotyszy, Gruzinów, Polaków, członków innych mniejszości narodowych. Zwłaszcza młodych, buntujących się przeciw dotychczasowemu porządkowi świata. Podobnie jak robotnicy przemysłowi, podobnie jak bezrolni włościanie i służba folwarczna, byli oni wrażliwi na obietnice ówczesnych doktryn rewolucyjnych (nie tylko bolszewizmu), zapowiadających powszechną równość: nie tylko materialną, ale też narodową, świat wolny od wszelkiej dyskryminacji.

To było atrakcyjne, to przyciągało. Fałszywość tych obietnic, totalitarny i zbrodniczy charakter ideologii i praktyki komunistycznej jeszcze się nie ujawniły. Nie ma się więc co dziwić licznemu akcesowi Żydów do rewolucji, nie ma co mu zaprzeczać. I można zrozumieć reakcję na ten akces w postaci umocnienia się wrogości do Żydów wśród tych, którzy byli rewolucji niechętni lub wrodzy. Choć tam, gdzie reakcja ta wyraziła się mordami, nie da się jej usprawiedliwić. I nie należy

próbować.

Inne dzieje Galicji Wschodniej

W tym samym czasie w Galicji Wschodniej praktycznie nie było pogromów ani dzielnic żydowskich, ani dworów. Owszem, był pogrom lwowski, parę jeszcze incydentów – to wszystko. Ale też nie było tu powszechnej anarchii, nie było prywatnych armii, nie rozpadł się ład społeczny. Ani Ukraińcy, ani Polacy nie dążyli do zniszczenia struktur państwa austriackiego. Chcieli je przejąć, a więc też utrzymać. I to się udało.

Wojna polsko–ukraińska nie miała charakteru rewolucyjnego. Nawet jeśli w pierwszych tygodniach (przede wszystkim ze strony polskiej) toczyły ją formacje samorzutne, uważały się one za część regularnych armii narodowych i przy pierwszej okazji się do nich włączały.

Wydaje się prawdą, że społeczność żydowska Galicji Wschodniej popierała raczej aspiracje ukraińskie niż polskie. Zarówno we Lwowie, jak i Przemyślu żydowskie siły samoobrony (kiepsko uzbrojone milicje, zdolne do zwalczania rabusiów i gwałcicieli, nic więcej), sprzyjały siłom ukraińskim. W czerwcu 1919 r. po przejściowym odbiciu Tarnopola przez wojska Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej młodzież żydowska tego miasta sformowała kilkusetosobowy ochotniczy batalion, który przeszedł cały dalszy szlak bojowy tej armii.

Tuż po wyparciu wojsk ukraińskich ze Lwowa w dzielnicy o przewadze ludności żydowskiej, wcześniej wcinającej się klinem między pozycje polskie i ukraińskie, a także po rozbrojeniu żydowskiej straży obywatelskiej, doszło do pogromu. Dokonali go członkowie ochotniczych formacji polskich, uwolnieni z więzień kryminaliści oraz wciąż dość liczni na terenach kolejowych (bezpośrednio sąsiadujących z dzielnicą żydowską) uzbrojeni rozbitkowie armii austro–węgierskiej. Według sporządzonego bezpośrednio po zajściach raportu Żydowskiego Komitetu Ratunkowego zginęły siedemdziesiąt dwie, a ranne zostały czterysta trzydzieści trzy osoby; nieco późniejszy raport polskiej komisji rządowej mówi o stu pięćdziesięciu zamordowanych. Wyższe, późniejsze oceny należą do propagandy, nie do historii.

Był to jedyny odnotowany pogrom podczas wojny polsko–ukraińskiej. Wojska obu stron nieraz zachowywały się brutalnie (liczba słabo

uzasadnionych egzekucji podejrzanych o zdradę lub szpiegostwo jest spora), ale nie zbrodniczo.

Los Semesenki

Na koniec wróćmy do Płoskirowa. O jego kacie wiemy niewiele. Nawet nazwisko podawane jest w różnych wersjach. Urodził się w 1894 r., prawdopodobnie w guberni połtawskiej (na Zadnieprzu), służył w armii rosyjskiej jako *praporszczyk* (oficer czasu wojny, prawdopodobnie po krótkim kursie dla uzdolnionych szeregowców), potem wstąpił do wojsk UNR. Wydaje się, że od początku (od 1917 r.) był bardziej „atamanem” niż regularnym oficerem sił zbrojnych. Był też człowiekiem wielkiej pychy, potrafił powiedzieć: „jestem nerwem ukraińskiego organizmu (...) moja wola jest wolą narodu”.

W maju 1919 r. Semesenko został aresztowany, prawdopodobnie na rozkaz Petlury, i osadzony w więzieniu w Kamieńcu Podolskim. Miał odpowiedzieć za rzeź. Jednak w listopadzie tego roku udało mu się uciec w przededniu zajęcia Kamieńca przez denikinowców. Schronił się w Galicji Wschodniej, gdzie wiosną 1920 r. zgłosił się do odtwarzanych sił zbrojnych UNR, jednak zagrożony wznowieniem śledztwa w sprawie Płoskirowa zdezerterował i szukał schronienia w Czechosłowacji. Pojmany przez polską straż graniczną został wydany Ukraińcom i rozstrzelany pod Czortkowem, prawdopodobnie w kwietniu 1920 r. Nie wiadomo, czy za rzeź w Płoskirowie, czy po prostu za dezercję.

Tekst ten, najmłodszy z dotychczas publikowanych, ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” nr 6 z 2019 r. pod tytułem *Ukraina 1919: czas pogromów*. Oprócz niewielkich retuszy poszerzyłem tu wywód o sprawie Bejlisa oraz dodałem informację na temat Machny, o które upominali się niektórzy komentatorzy z Facebooka „Tygodnika”.

Wybory Symona Petlury

25 maja 1926 r. do idącego ulicą Paryża czterdziestolatek podszedł nieco młodszy mężczyzna. Zapytał go o nazwisko, a gdy ten w odpowiedzi uchylił kapelusza, wy dobył broń i strzelił siedem razy, z najbliższej odległości. Z trudem uniknął linczu ze strony przechodniów.

Zamordowanym był Symon Petlura, od dwóch lat emigrant polityczny we Francji, były przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej, wciąż najwyższy autorytet ukraińskich niepodległościowców. Umiarkowany socjalista, raczej republikanin niż narodowiec, wolnomularz. Jego śmierć zamknęła rozdział dziś zwany Ukraińską Rewolucją Narodową.



Pomnik Symona Petlury w Winnicy, pierwszy na Ukrainie. Szef Dyrektoriatu ma na kolanach mapę Ukrainy i wygląda na raczej strapionego... Zdjęcie z 2018 r.

Z Połtawy do Kijowa

Symon Petlura urodził się w 1879 r, jako trzeci syn Wasyla Petlury, połtawskiego mieszczanina¹⁷⁵, właściciela trzech dorożek, średnio zamożnego, ale skłonnego do inwestowania w wykształcenie dzieci. Tak w linii ojczystej, jak i macierzystej pochodził z rodów wolnych włościan – Kozaków z XVII–XVIII w.¹⁷⁶ Petlurowie byli rodziną bardzo pobożną: babka i dziadek (macierzysty) pod koniec życia wstąpili do klasztoru, mniszkami zostały też dwie siostry Symona. Wasyl Petlura zmarł w 1909 r., jego żona, Olga, dziesięć lat później (tuż po uwolnieniu z bolszewickiego aresztu i zapewne z tego powodu). Mieli trzynaścioro dzieci, z których większość zmarła w dzieciństwie lub młodości. Dwie z sióstr, mieszkające po rewolucji w Połtawie, zostały rozstrzelane w 1937 r., II wojny światowej dożył tylko najmłodszy, Ołeksandr. Ciekawe, że nic nie wiemy o losach Marianny Petlury, matki Stepana Skrypnyka (patriarchy Mstysława) odnowiciela Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Najprawdopodobniej zmarła w młodości, może jeszcze w XIX w.

Jak wielu rówieśników, młody Petlura rozpoczął naukę w połtawskim seminarium duchownym (była to szkoła średnia); jak wielu, opuścił je jako antyklerykał i socjalista. Ściślej – został zeń wyrzucony w 1902 r. za działalność niepodległościową. Dwa lata wcześniej porwała go mowa Mykoły Michnowskiego, pierwszego w Imperium Rosyjskim konsekwentnego niepodległościowca. Od tego dnia stał się – jak to się dziś mówi – aktywistą, poświęcił swe życie sprawie narodowej.

Nie poszedł jednak śladem Michnowskiego, konserwatysty i nacjonalisty zarazem, nie przyjął jego hasła „Ukraina dla Ukraińców”. Wstąpił do Rewolucyjnej Partii Ukrainy, później przemianowanej na Ukraińską Socjal–Demokratyczną Partię Robotniczą. I niemal od razu wszedł w konflikt z jej frakcją, optującą za zjednoczeniem z socjaldemokracją rosyjską (mieńszewikami). Gdzieś po drodze został też wolnomularzem (w 1919 r. zostanie mistrzem ujawnionej Wielkiej Łoży Ukrainy). Wkrótce musiał schronić się we Lwowie, gdzie poznał wielu czołowych ukraińskich działaczy narodowych. Nie przejął jednak dominującej tam orientacji filoniemieckiej: po wybuchu I wojny

światowej poparł wysiłek obronny Imperium, licząc na poprawę sytuacji Ukraińców po zakończeniu wojny, a może też na rewolucyjne zmiany w jej wyniku.

W wojsku nie służył: w 1914 r. miał trzydzieści pięć lat, za dużo na szeregowca. Wszedł do Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw¹⁷⁷, organizującego społeczne wsparcie dla bardzo źle wyposażonej armii. W tej roli musiał zyskać znaczną popularność wśród ukraińskich żołnierzy i oficerów, skoro po rewolucji lutowej wybrano go przewodniczącym Ukraińskiego Generalnego Komitetu Wojskowego. Ale sztuki dowodzenia w ten sposób poznać nie mógł.

Niezręczny polityk, nieszczęśliwy wódz

W czerwcu 1917 r. Petlura objął resort obrony w Sekretariacie Generalnym Ukraińskiej Centralnej Rady, ukraińskim rządzie autonomicznym. Próbował kontynuować ukrainizację jednostek rosyjskich sił zbrojnych w ciągłym sporze z większością UCR, dążącej do rozpuszczenia „starej” armii (a także do porozumienia z bolszewikami). Głównym jego przeciwnikiem był szef Sekretariatu, Wynnyczenko (spór, jeśli nie wojna między nimi, trwał już od 1905 r.). Ale też nie potrafił porozumieć się z Michnowskim ani Skoropadskim, nie poparł lipcowego buntu pułku im. Połubotka, żądającego natychmiastowego ogłoszenia niepodległości. Zapewne mógł wtedy stanąć na czele nowego państwa, które miałyby znacznie większe szanse niż pół roku później. Zabrakło mu determinacji, odwagi... Może też wyobraźni?



„Sala petlurowska” w Muzeum Krajoznawczym w Winnicy, lato 2018 r. Biurko z inkrustowanym blatem, za którym (ponoć) pracował Petlura podczas pobytu w tym mieście i przy jakim (zgodnie z opisem) Piłsudski i Petlura w maju 1920 r. podpisali jakieś dokumenty. Na biurku szabla, przybory pisarskie, gazety lub proklamacje z epoki i aparat telegraficzny. Nad biurkiem zdjęcie Petlury, być może wykonane przy tym biurku.

Pod koniec 1917 r. zaczyna formować nowe jednostki wojskowe, które odegrają istotną rolę w stłumieniu bolszewickiego powstania w Kijowie w styczniu 1918 r. W odpowiedzi zostaje... odsunięty od spraw wojskowych i przesunięty „na odcinek” współpracy z samorządami. Po przewrocie Skoropadskiego nie szuka z nim współpracy, a gdy w lipcu 1918 r. występuje z petycją w sprawie niezwłocznej likwidacji wielkiej własności ziemskiej, zostaje uwięziony. Hetman musiał uważać Petlurę za zagrożenie, skoro zwolniono go dopiero w listopadzie (aresztowanego wraz z nim Wynnyczkę – już następnego dnia). Kilka dni później Petlura ogłasza się wodzem naczelnym (tak należy tłumaczyć ukraiński termin *Hołownyj Otaman*) i staje na czele antyhetmańskiego powstania, burząc załążki państwa, na którego czele chciał stanąć. Potem było już za późno. Na wszystko. Ukrainę zalała fala buntów i pogromów, ledwie skleciona armia rozpadała się w oczach. Po kolejnej próbie puczu Petlura

kazał rozstrzelać najzdolniejszego dowódcę swych wojsk, Petra Bołboczana¹⁷⁸. Próba zjednoczenia z Zachodnioukraińską Republiką Ludową przyniosła chwilowe wytchnienie, ale Petlura i Petruszewycz¹⁷⁹ nie byli w stanie się porozumieć właściwie w żadnej istotnej sprawie. Trudno się dziwić: pierwszy był socjalistą, drugi – konserwatywnym narodowcem; pierwszy dziedziczył rosyjską, drugi – europejską kulturę polityczną. Jesienią 1919 r. resztki halickiej armii przeszły na stronę Denikina i nie pozostało nic innego, jak kapitulacja lub porozumienie z Polakami. Na pierwszy sygnał o takim porozumieniu Petruszewycz zerwał unię Lwowa z Kijowem.

Petlura nie sprostał ciężarowi, który podjął. Nie potrafił być ani przywódcą demokratycznym, ani dyktatorem, ani wodzem naczelnym. Zwłaszcza wodzem. Choć trudno byłoby wskazać we wczesnym obozie ukraińskich socjalistów–niepodległościowców kogoś lepszego. Petlura przynajmniej nie ufał bolszewikom, nie szukał z nimi porozumienia.

Kijów – Warszawa wspólna sprawa (?)

W polskiej literaturze historycznej i polemicznej często przedstawia się Petlurę jako polityka przychylnego Polsce, a porozumienie warszawskie z kwietnia 1920 r. jako akt o znaczeniu strategicznym, wytyczającym przyszłość obu państw i narodów. Do dziś lubimy się na nie powoływać jako na fundament przyjaźni polsko–ukraińskiej (na Ukrainie nikt rozsądny tego nie czyni). W rzeczywistości było to porozumienie taktyczne, chwilowe, dla Ukraińców – wymuszone.

UNR rościła sobie pretensje do całości ziem b. Imperium Rosyjskiego, na których przeważało ukraińskie włościanstwo. Nie tylko do całego Wołynia, ale i do guberni chełmskiej¹⁸⁰. Rzeczpospolita z kolei dążyła do przyłączenia możliwie dużej części ziem o znaczącym udziale polskiego włościanstwa i ludności miejskiej. W 1918 i 1919 r. wojska polskie parokrotnie ścierały się z Ukraińcami na Wołyniu, choć dla obu stron był to trzeciorzędny kierunek działań. Kijów udzielił też pewnej pomocy Zachodnioukraińskiej Republice Ludowej, choć miała ona marginalne znaczenie – znacznie ważniejsze okazało się latem 1919 r. wsparcie Haliczan dla rozbitej armii UNR.

Warszawie, a ściślej – Piłsudskiemu zależało na powstaniu na wschód od Polski niepodległego państwa ukraińskiego nie tyle jako sojusznika,

co jako bufora oddzielającego Rzeczpospolitą od Rosji, może bardziej białej niż czerwonej (bo niewątpliwie bardziej obawiał się tej pierwszej). Ale czy jesienią 1919 r. Marszałek wciąż był przekonany o szansach tego projektu? Wątpię. Był realistą, umiał oceniać nie tylko fakty, ale i trendy. Ale Polska była już na tyle silna, że mogła sobie pozwolić na ryzykowny eksperyment, zwiększający jej szanse w nieuchronnej (co do czego wątpliwości nie miał nikt) rozprawie z bolszewikami. Nawet słaby sojusznik zwiększał nasz potencjał.

Petlura nie chciał strategicznego porozumienia z Polską. Podobnie jego współpracownicy (niektórzy z nich wręcz sabotowali rokowania). Ale nie miał wyjścia. Armia ukraińska była rozbita, niezdolna do dalszego działania ani do odbudowy zdolności bojowej o własnych siłach, skrawki terytorium, na którym się utrzymywała były nie do utrzymania. Mogła przejść na tereny, kontrolowane przez Wojsko Polskie – lub zostać zmiażdżona, gdy tylko nadciągnie zwycięska armia bolszewicka.

Ukraina pod koniec 1919 r. przegrała już wojnę o niepodległość. Porozumienia z Rumunią, które UNR przyjęłaby niewątpliwie chętniej niż z Polską (bo też między tymi krajami praktycznie nie było sporu terytorialnego), nie udało się wynegocjować: Bukareszt nie chciał wojować z Rosją. Warszawa też nie chciała, ale nie miała wyjścia: ta wojna i tak trwała już prawie rok.

Nawet w tej beznadziejnej sytuacji Ukraińcy nie byli skłonni do kapitulacji. Prawie wszystkie zdolne jeszcze do walki jednostki Petlura wysłał w partyzancki rajd na tyły wroga: już pobitych, ale wciąż groźnych białogwardzistów, a potem – bolszewików. W Warszawie ukraińscy politycy wcale twardo negocjowali. Ale podstawowy warunek – rezygnacja z Galicji Wschodniej oraz większej części Wołynia był nienegocjowalny. Petlura musiał go przyjąć, a wraz z nim – piętno zdrajcy, z którego częściowo oczyściła go dopiero śmierć. W patriotycznych środowiskach zachodniej Ukrainy wypomina mu się ten akt nawet dziś.

Wszystko okazało się daremne. Porozumienie warszawskie weszło w życie tylko faktycznie (Sejm Rzeczypospolitej nie ratyfikował go, zaś UNR nie miała wówczas organu władnego ratyfikować umowy międzynarodowe). Polska zdołała wygrać kampanię 1920 r., ale czerwona Rosja pozostawała groźnym przeciwnikiem. Warszawa musiała zgodzić się na pokój, dopóki mogła negocjować go z pozycji siły, a więc szybko.

I przyjmując część warunków wroga, w tym uznanie podmiotowości czerwonej Ukrainy.

Petlura i jego armia zostali na lodzie. Nie mogła tego zmienić ostatnia ofensywa jesienią 1920 r., bój już tylko o honor. Żołnierze poszli do obozów internowania, a z czasem, zwolnieni z nich, wiedli życie emigrantów w najróżniejszych krajach (tylko niewielka część mogła wrócić w rodzinne strony w granicach Rzeczypospolitej). Polityczne kierownictwo UNR musiało opuścić Polskę w 1923 r.

Nie było „wspólnej sprawy”, choć było niekłamane braterstwo broni i drugorzędna, lecz istotna rola wojsk UNR w kampanii letniej 1920 r. Ale było coś jeszcze, czego nikt nie przewidywał. Decyzja Petlury okazała się opatrnościowa dla Ukrainy: granica, wytyczona w porozumieniu warszawskim, a powtórzona w ryskim traktacie pokojowym, stała się wkrótce zachodnią granicą Hołodomoru. Cztery–pięć milionów Ukraińców nie zostało dotkniętych tą katastrofą, a także kolektywizacją, masakrą elit i bolszewizacją świadomości. Mogło przez dwadzieścia lat rozwijać się w demokratycznym, praworządym społeczeństwie. Zgoda, demokratycznym i praworządym wedle ówczesnej miary, w czasach cofania się tych wartości w Europie. Ale nie trafili do Sowdepii¹⁸¹ w jej najgorszych latach.

Interludium: Petlura legionistą

Urodzony w 1888 r. Ołeksandr Petlura był beniaminkiem rodziny. Zmobilizowany w 1914 r. okazał się na tyle zdolny, że skierowano go na kursy oficerskie; w 1917 r. był podporucznikiem (według innej wersji, być może podanej przy zawieraniu kontraktu z Wojskiem Polskim, wstąpił do wojska już w 1910 r., a w działaniach wojennych I wojny światowej nie brał udziału). Włączył się w proces ukrainizacji armii, został jednak zdemobilizowany pod koniec 1917 r. ze względu na konflikt kierownictwa UNR z jego starszym bratem. W 1919 r. powrócił do czynnej służby; awansowany na pułkownika był oficerem sztabu generalnego, wykonującym głównie zadania łącznikowe. W ostatniej fazie walk armii UNR służył w 3 Żelaznej Dywizji Piechoty, dowodzonej przez Pawła Szandruka¹⁸².

Po zwolnieniu z internowania pozostał w Polsce. W 1928 r. podjął służbę w Wojsku Polskim jako oficer kontraktowy, dla bezpieczeństwa

pod nazwiskiem Ołeksandra Chorolskiego (od miasta Choroł, gdzie w 1918 r. był komisarzem rządowym). Służył w 1 Pułku Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego w Wilnie, awansując do stopnia majora. Dowodził batalionem. Nie jest jasne, czy wziął udział w kampanii wrześniowej (warunki kontraktu zobowiązywały do walki przeciw Związkowi Sowieckiemu, ale nie przeciw innym przeciwnikom Rzeczypospolitej), według jednej wersji brał udział w walkach, a po klęsce ukrywał się w Chełmie Lubelskim, według innej po zajęciu Wilna przez Litwinów został internowany, a następnie zwolniony. Później pracował w ukraińskiej prasie na okupowanym Wołyniu, nie włączając się w działalność wojskową. W 1943 r. przeniósł się do Warszawy, rok później udał na emigrację. Zmarł w Kanadzie w 1951 r.

Pośmiertny proces

Nie wiemy, dlaczego naprawdę zamordowano Petlurę. Wiązanie mordu z działalnością sowieckiej agentury we Francji wydaje się prawdopodobne, ale dopatrywanie się w nim reakcji na powrót Piłsudskiego do władzy w Warszawie – już nie (od zamachu majowego minęło raptem dziesięć dni). Pogląd, że zabójca przeczytawszy notkę prasową o pobycie Petlury w Paryżu, zabił go motywowany zemstą ledwie po kilku dniach, bez niczyjej pomocy także nie wygląda prawdopodobnie (nie był pewien, jak Petlura wygląda...). Z drugiej strony nie udało się dowieść jego związków z sowieckim wywiadem (mógł być nieświadomym narzędziem).

Szolem Samuel Schwarzbard (vel Szwarcbard, vel Szwarcburd) urodził się w 1886 r. w besarabskim Izmaile (dziś obwód odeski Ukrainy). Był działaczem anarchistycznym, po rewolucji 1905 r. emigrantem. Podczas I wojny światowej służył w Legii Cudzoziemskiej, a następnie w regularnej armii Republiki Francuskiej. Został ranny, zdobył wysokie odznaczenie za męstwo. Po demobilizacji ze względu na stan zdrowia... wyjeżdża w 1917 r. do Rosji, gdzie wstępuje do Gwardii (później – Armii) Czerwonej i do końca 1919 r. bierze udział w walkach na Ukrainie. W styczniu 1920 r. znów jest w Paryżu. W 1925 r. otrzymuje obywatelstwo Republiki. Rok później dopuszcza się zabójstwa.

Ale przed sądem staje tylko formalnie. Prawdziwym oskarżonym jest Petlura, a przedmiotem procesu – pogromy ludności żydowskiej na

Ukrainie, za które Schwarzbard miał dokonać zemsty. Po stronie zabójcy stanęli nie tylko francuscy komuniści (jak się wydaje, to oni sfinansowali obronę i związaną z nią kampanię propagandową; na pewno komunistą był obrońca), ale też autorytety takie jak Bergson¹⁸³ czy Gorki¹⁸⁴. Nie zabrakło i Kierenskiego¹⁸⁵, obalonego przez bolszewików premiera Republiki Rosyjskiej.

Podsądny jest bohaterem Francji (jego adwokat – podobnie), ofiara – złowrogim „obcym”. Oskarżenie wobec Schwarzbarda porównuje się do sprawy Dreyfusa¹⁸⁶, choć wina tego pierwszego jest oczywista: on sam nie zaprzeczał zarzutowi. Po tygodniu procesu rada przysięgłych uwolniła go od winy i kary¹⁸⁷, zaś ofiarę zabójstwa *de facto* skazała na śmierć cywilną. Machina propagandowa zadbała o to, by rozciągnąć ten wyrok na ukraińskie dążenie do niepodległości.

Efekty były dramatyczne. Narodowo–demokratyczny, socjalizujący ukraiński ruch narodowy załamał się w krótkim czasie. Nie dlatego, że zabrakło Petlury, lecz dlatego, że został zniesławiony, skompromitowany. I że paryski wyrok, jakby nie patrzeć akt drastycznej niesprawiedliwości, podważył w oczach emigracji ukraińskiej wiarę w wartości zachodniej, liberalnej demokracji. A alternatywa już była: w Europie narastały radykalne nacjonalizmy, już nie demokratyczne, jak przed Wielką Wojną. Wkrótce dla Ukraińców (i nie tylko dla nich) opcja niemiecka zacznie stawać się atrakcyjniejsza niż francuska... W przededniu II wojny światowej ukraiński ruch narodowy będzie zdominowany przez faszyzujących szowinistów.

*

Gdy piszę te słowa, mija właśnie sto czterdziesta rocznica urodzin Petlury. Mija właściwie bez echa – Ukrainę niemal bez reszty zaprzęta początek nowej prezydentury. Owszem, Kijów zdobył się na mural przedstawiający dyktatora UNR, gdzieś na odległym blokowisku. Pomnika w stolicy wciąż brak. I chyba jeszcze poczeka – awantura, jaka wybuchła po odsłonięciu w 2017 r. pomnika Petlury w Winnicy, raczej nie będzie zachętą dla władz Kijowa.

W Winnicy pogromu nie było. Ani wówczas, gdy rezydował tam Petlura, ani wcześniej czy później. Ale postawienie pomnika obok budynku, w którym ma powstać Muzeum Tymczasowej Stolicy UNR, na

skraju dawnej dzielnicy żydowskiej (zniszczonej dopiero przez niemieckiego okupanta), wywołało awanturę, w tym półoficjalny protest ambasadora Izraela. Awanturę, bo nie poważną dyskusję nad niejednoznaczną rolą Symona Petlury w dziejach Ukrainy, nad naukami, jakie płyną z jego błędów i zaniechań, a także – daleko mniej licznych – sukcesów.

Tekst powstał do tego zbioru.

Nie całkiem sojusznicza kampania kijowska

Wiosną 1920 r. Wojsko Polskie wraz z nielicznymi oddziałami Ukraińskiej Republiki Ludowej uderza na Kijów. Celem głównym jest osłabienie Armii Czerwonej, drugorzędnym – danie UNR szansę odbudowy sił zbrojnych i struktur państwa. To pierwsze udało się w niewielkim stopniu, drugie poniosło kompletne fiasko. I chyba nie mogło być inaczej: Republika przegrała pod koniec 1918 r., gdy próba jej odbudowy utonęła w anarchii, rozpętanej przez samych jej odnowicieli. Potem był rok wojny wszystkich ze wszystkimi, wygranej przez bolszewików. W konsekwencji Polacy musieli wycofać się z Ukrainy, by toczyć walkę o przetrwanie własnego państwa. Żołnierz ukraiński wspierał nas do końca na miarę swych niewielkich sił, m.in. broniąc Zamościa. Ale jego wysiłek niewiele znaczył w skali ówczesnych zmaganiań. Wojsk UNR nie wspierał też gospodarczy i społeczny potencjał państwa. Od początku byli na przegranej pozycji, nie mogli stać się równorzędnymi sojusznikami. Tym bardziej godne uznania jest to, że sojuszu dochowali do końca.

Zajmowanie pozycji wyjściowych

Polskie uderzenie na prawobrzeże Ukrainy wiosną 1920 r. było planowane niezależnie od porozumienia z UNR. Było niezbędne: wiadomo było, że po rozgromieniu głównych sił „białej” Rosji Polska stała się kolejnym celem bolszewików, wciąż dążących do „rozpalenia światowego pożaru”, czyli zbolszewizowania przynajmniej Niemiec. Było też jasne, że decydująca rozprawa dokona się na północy, na osi Mińsk–Warszawa. Ale tym ważniejsze było odepchnięcie bolszewików na froncie południowym, oddalenie zagrożenia Lwowa i Lublina. Warto też pamiętać, że w ówczesnych warunkach Polesie było barierą niemal nie do przebycia: fizyczna komunikacja wojsk frontu północnego i południowego była możliwa albo w okolicach Kijowa, albo dopiero na zachód od Bugu. I ten cel został zrealizowany, choć nie udało się rozbić na zachód od Dniepru znaczących sił bolszewickich (nieprzyjaciel uchylił

się od starcia, odchodząc na wschód). Bo Armia Czerwona zaczęła przeciwuderzenie z linii Dniepru, nie ze środkowego Wołynia. To było kilka tygodni marszów i walk.

Ale skoro Piłsudskiemu (bo nie władzom cywilnym Rzeczypospolitej) zależało na pozyskaniu ukraińskiego sojusznika, musiał się spieszyć z rokowaniami. To dawało ukraińskim negocjatorom nieco większą możliwość manewru i pozwoliło m.in. uzyskać obustronne gwarancje sojusznicze (w pierwotnej polskiej propozycji zobowiązanie to dotyczyło tylko Ukraińców, pozostawiając stronie polskiej możliwość zawarcia odrębnego pokoju). Ostatecznie 21 kwietnia podpisano porozumienie między państwowe, a 24 kwietnia (w przeddzień rozpoczęcia generalnej ofensywy na Ukrainie) porozumienie wojskowe. To ostatnie przewidywało m.in. sformowanie i uzbrojenie przez Polskę trzech dywizji ukraińskich oraz dozbrojenie pozostałych, gdy tylko dołączą do sił sojuszniczych¹⁸⁸. Dwie dywizje, dowodzone przez płk. Bezruczkę¹⁸⁹ i płk. Udowyczenkę¹⁹⁰, formowano zresztą już wcześniej, od stycznia 1920 r.; formowania trzeciej nie rozpoczęto – zabrakło czasu. Pierwsza z tych dywizji (6 Siczowa Dywizja Strzelecka) była formowana od zera, głównie z ochotników, także wcześniej internowanych wojskowych ukraińskich; druga (3 Żelazna Dywizja Piechoty) stanowiła kontynuację wcześniej istniejącej jednostki, uzupełnianej resztkami różnych naddnieprzańskich jednostek, które znalazły się w Polsce.

Przed początkiem ofensywy dywizja Bezruczki liczyła nieco ponad dwa tysiące ludzi (w przybliżeniu odpowiednik polskiego pułku piechoty), w tym aż czterystu sześćdziesięciu oficerów. Dywizja Udowyczenki była liczniejsza: liczyła prawie cztery tysiące ludzi, w tym ponad pięciuset oficerów, ale była słabsza organizacyjnie, chyba głównie dlatego, że nie była formowana od zera, więc nie każdy był odpowiednio sprawdzony¹⁹¹. Nie było to mało, biorąc pod uwagę, że Wojsko Polskie skierowało do kampanii ukraińskiej sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Tym bardziej, że w armii ukraińskiej nie było świeżego, ledwie przeszkolonego, nieostrzelanego rekruta: tu nawet szeregowcy byli weteranami, a także – ochotnikami o wysokiej motywacji i dużym doświadczeniu.

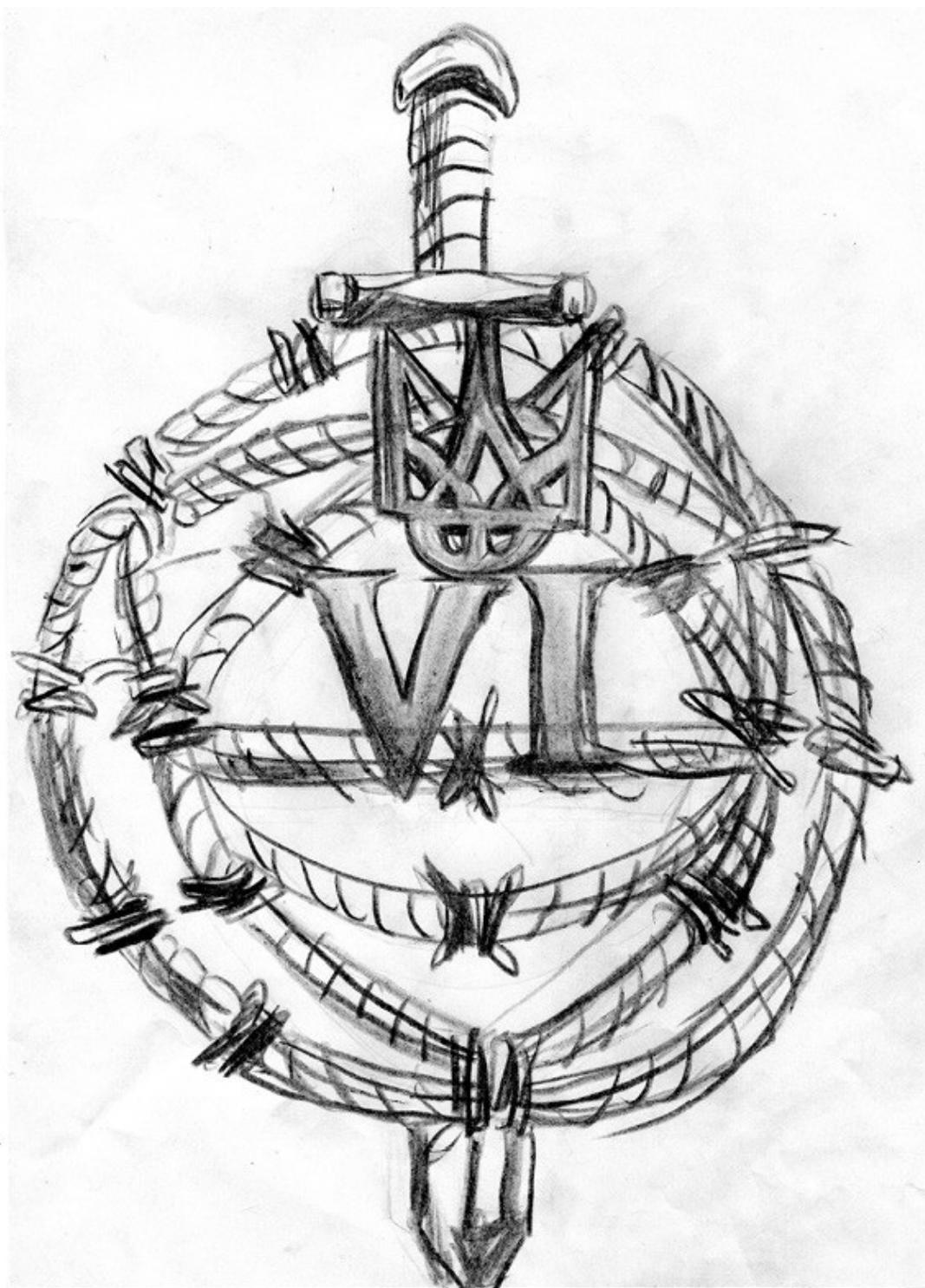
Kampania kijowska (tam i z powrotem)

6 dywizja włączona została w skład 3 armii, maszerującej wprost na

Kijów; dywizja Udowyczenki – w skład armii 6. Podczas natarcia siły ukraińskie świadomie oszczędzano, zachowując w drugim rzucie lub kierując na drugorzędne kierunki działań¹⁹². Uważano je za formacje kadrowe, których głównym zadaniem było szybkie zwiększenie stanów, uzyskanie potencjału pozwalającego im przejść obronę kraju, gdy – co było jasne od początku – znaczną część sił polskich trzeba będzie przerzucić na front północny. Dywizja Bezruczki miała wziąć udział w ataku na Kijów (choć nie w potencjalnie bardzo krwawym boju o centrum miasta), ale atak okazał się niepotrzebny: bolszewicy oddali miasto bez oporu, odeszli za Dniepr. Jej pododdziały wzięły udział w „defiladzie zwycięstwa” na Chreszczatyku (8 maja); co najmniej niezręcznością było to, że Ukraińcy zamykali defiladę zamiast ją otwierać (w końcu to była ich stolica). Defiladę odbierali gen. Rydz-Śmigły i płk Bezruczko; wbrew informacjom, spotykanym czasem zwłaszcza w opracowaniach ukraińskich, Piłsudski wiosną 1920 r. w Kijowie się nie pojawił.

Niestety, jeszcze przed zdobyciem Kijowa okazało się, że lokalni atamani, dowodzący nieraz kilkutysięcznymi zgrupowaniami, nie chcą współpracować ani z Polakami, ani z armią UNR. Formacje, które na początku kwietnia 1919 r. o mały włos nie odebrały bolszewikom Kijowa¹⁹³, teraz zachowały neutralność. Znaczna część zgłaszających się ochotników dezercerowała niemal natychmiast po pobraniu umundurowania i butów. Zostało w szeregach raptem stu trzydziestu. W efekcie w przededniu oddania Kijowa 6 Dywizja liczyła niespełna dwa tysiące ludzi zamiast oczekiwanych czterech.

Władze ukraińskie planowały mobilizację na Kijowszczyźnie i Podolu, ale nie działały z dostateczną stanowczością, a zwłaszcza szybkością. Tak jak w 1917 r. dominowało przekonanie, że czasu jest dużo... nie było go wcale. Moskwa natomiast spieszyła się: już 27 maja na południowe skrzydło polskiego ugrupowania runęło natarcie Armii Konnej, forsownym marszem ściągniętej z Kaukazu Północnego (decyzję o przerzuceniu jej na front ukraiński podjęto jeszcze przed początkiem polskiej ofensywy). Po raz kolejny okazało się, że bolszewicy górowali nad swymi przeciwnikami przede wszystkim rozumieniem znaczenia czasu oraz determinacją.



Odznaka 6 Siczowej dywizji strzeleckiej UNR.
Rys. Karolina Stopa-Olszańska.

Budionny miał w tym czasie jakieś trzydzieści tysięcy ludzi, w tym mniej niż połowę w linii bojowej. W większości była to słabo zdyscyplinowana i wyszkolona, ale doświadczona i bitna kawaleria, były też jednak samochody pancerne, czołgi i samoloty. Sposób działania *Konarmii*, jak ją nazywano, był zdumiewającą mieszaniną archaicznej, tatarskiej jeszcze taktyki rajdów rabunkowych i nowoczesnego rozbijania armii przez uderzenie na głębokie tyły. Był to cokolwiek jeszcze intuicyjny prototyp *blitzkriegu*. Nie wątpię, że w niemieckim sztabie generalnym uważnie studiowano przebieg tej kampanii.

5 czerwca front polski został przełamany, a generalny odwrót – nieunikniony. 20 czerwca trzeba było oddać bolszewikom Kijów. Bez choćby symbolicznej obrony, co można uznać za błąd, choć raczej polityczny niż wojskowy. Teraz nikt już nie oszczędzał Ukraińców: bili się na równi z innymi. 6 dywizji przypadło bardzo odpowiedzialne zadanie – osłona północnego skrzydła wycofujących się wojsk, a zarazem linii kolejowej Kijów–Korosteń–Sarny–Kowel. Toczyli boje odwrotowe, opóźniające, dwukrotnie stoczyli zwycięskie bitwy: pod Ihnatpołem i Perhą (4–5 lipca 1920 r.). Po tej drugiej komunikat polskiego Naczelnego Dowództwa głosił: „Oddziały 6 dyw. ukr., jak w dotychczasowych walkach, tak i tym razem z nadzwyczajnym poświęceniem i brawurą¹⁹⁴ odbijają znacznie przeważające siły nieprzyjaciela”. Ponieśli dotkliwie straty, ale nie dali się rozbić.

Mity i prawdy Zamościa

Obrona Zamościa w ostatnich dniach sierpnia, dwa tygodnie po bitwie warszawskiej, obrosła legendą, czy raczej dwoma legendami. Najpierw Grzymała–Siedlecki¹⁹⁵ w swym zbiorze reportaży frontowych „Cud Wisły” nadał jej epicki charakter, znacznie przekraczający rzeczywistą rolę, później zaś autorzy ukraińscy, od początku w złej wierze, zaczęli utożsamiać obronę Zamościa z „cudem nad Wisłą”, twierdzić, w podstawowej sprzeczności z kalendarzem, że bój ten umożliwił polskie kontruderzenie znanego z Wieprza i pogrom armii Tuchaczewskiego¹⁹⁶.

By nie być gołosłownym: w „Historii Ukrainy” Natalii Połonskiej–Wasyłenko¹⁹⁷ czytamy: „Tymczasem bolszewicka armia posuwała się na zachód, na Zamość–Warszawę, ale pod koniec sierpnia natarcie bolszewików na Zamość zostało odparte, a później zostali oni

rozgromieni pod Warszawą. To zwycięstwo, które Polacy nazwali „Cudem nad Wisłą”, uratowało Warszawę i było w znacznej mierze skutkiem udziału sił ukraińskich¹⁹⁸. To i tak wersja umiarkowana, publicystom zdarza się twierdzić, że Polacy „ukradli” to zwycięstwo Ukraińcom, widzieć pod Zamościem cztery ukraińskie korpusy czy sugerować, że Tuchaczewski cofał się spod Warszawy... na Lublin i Zamość. Przypomnijmy, jaka była sytuacja na froncie w tym czasie. Główne zgrupowanie wojsk sowieckich parło na Warszawę z północnego wschodu. W połowie sierpnia zostało ono powstrzymane u bram miasta, a następnie rozgromione uderzeniem na skrzydła; 25 sierpnia Wojsko Polskie stanęło na linii Grodno–Brześć. To tę bitwę – i tylko ją – nazywamy „cudem nad Wisłą”. W walkach tych nie brały udziału żadne oddziały ukraińskie.

W tym samym czasie na froncie południowym wojska sowieckie prowadziły jakby inną wojnę. Zamiast już pod koniec lipca ruszyć na północny zachód, na tyły wojsk, gotujących się do obrony Warszawy, maszerowały na zachód, parokrotnie ignorując rozkazy Moskwy. Najpewniej chodziło o szybkie przedarcie się za Karpaty i wzniecenie rewolucji na Węgrzech. Oczywiście – nie najkrótszą, ale najdogodniejszą drogą: przez przełęcz Beskidu Niskiego. W tym celu trzeba było zdobyć Lwów. Zwycięstwo nad Polską w tej fazie działań tego nie wymagało.

Armia Konna była już bardzo osłabiona; w linii bojowej mogła mieć nie więcej niż sześć tysięcy ludzi. Ale musiała wciąż górować zdolnością bojową nad innymi jednostkami Frontu Południowo–Zachodniego, skoro to jej wyznaczono główną rolę w natarciu na Lwów zamiast nakazać ominąć miasto i ruszyć na głębokie tyły. Ta armia, mądrze użyta, wciąż mogła wygrać dla Moskwy wojnę: przedrzeć się za Wisłę, zagrozić Warszawie z południowego zachodu.

Na Lubelszczyźnie panował względny spokój. Zmagały się tu niezbyt liczne, słabe formacje obu stron. W pierwszej połowie sierpnia sowieckie uderzenie z południa zmieniłoby losy wojny. Ale pod koniec sierpnia sytuacja była już zupełnie inna. Gdy Budionny wreszcie zdecydował się iść na Lublin, z północy ścigały już polskie pułki, zmęczone, ale upojone zwycięstwem pod Warszawą.

W tych dniach 6 Siczowa dywizja była już odkomenderowana do Galicji Wschodniej, by wszystkie jednostki ukraińskie połączyły się w jedną formację. Jedna z brygad (połowa sił bojowych) zdążyła już wyjechać

(pociągami), gdy powstała konieczność obrony Zamościa. Skierowano tam Ukraińców (czterystu–pięciuset ludzi) oraz 31 Pułk Strzelców Kaniowskich (ok. tysiąca ludzi). Oprócz nich miasta broniły bataliony wartownicze i podobne jednostki (ok. pięciuset ludzi), pozbawione samodzielnej wartości bojowej. Dowództwo nad wszystkimi przypadło płk. Bezruczce; kpt. Bołtuć¹⁹⁹ (dowódca strzelców kaniowskich) podporządkował się, choć jego rola jako dowódcy głównej siły obrony musiała być znaczna.

Obrona Zamościa, to nie tylko walki o samo miasto. Boje toczono m.in. pod Werbkowicami, Grabowcem i Mołodiatyczami (to tam głównie walczyli Ukraińcy). Po trzech dniach Budionny musiał się cofnąć, ale był już otoczony. 30 sierpnia pod Komarowem Armia Konna została rozgromiona. Obrona Zamościa kosztowała oba narody ok. dwustu pięćdziesięciu zabitych i rannych. Groby pochowanych w Zamościu przekopano po II wojnie światowej.

Ostatni etap

Pozostałe jednostki UNR (dywizja Udowyczenki, od maja grupa Omelianowycza–Pawłenki²⁰⁰) walczyła na południowym skrzydle, gdzie walki nie były zbyt intensywne. Maszerowały na wschód, głównie w II rzucie, następnie na zachód, tocząc liczne walki odwrotowe i ponosząc dotkliwe straty. W połowie sierpnia musiały cofnąć się za Zbrucz. W jesiennej ofensywie Ukraińcy znów opanowują znaczną część Podola, aż po Bar. Winnica zdawała się w zasięgu ręki.

Ale Polska musiała zawrzeć zawieszenie broni. Ponowne rozbitcie wojsk sowieckich pod koniec września w bitwie nad Niemnem dawało tylko wytchnienie: Moskwa wciąż miała rezerwy ludzkie, miała też przemysł zbrojeniowy. Wiosną mogła podjąć kolejną ofensywę. Polska była u kresu sił, brakowało własnej zbrojeniówki, węgierska amunicja, dzięki której wygraliśmy nad Wisłą i Niemnem, wyczerpywała się, nasz potencjał wojskowy zależał od życzliwości sojuszników. A ci nie sprzyjali umacnianiu się Polski na wschodzie.

Po zawieszeniu broni wojska ukraińskie mimo miażdżącej przewagi Armii Czerwonej raz jeszcze próbują ofensywy. Już nie o zwycięstwo, lecz o honor. 11 listopada 1920 r. ponoszą klęskę pod Popowcami (na północ od Kopajgrodu), dziesięć dni później przekraczają Zbrucz, składając broń

przed Polakami. W sumie kilkanaście tysięcy ludzi (z 6 dywizji ok. tysięcy). Zostają internowani (zgodnie z ówczesnym prawem), ale pozostają wojskiem: w obozach internowanych panuje ukraińska dyscyplina wojskowa. Internowanie nie było środkiem karnym czy izolacyjnym (tak jak wcześniejsze prewencyjne internowanie szeregu działaczy ukraińskich – i nie tylko ich), ale sposobem postępowania z obcą siłą zbrojną na własnym terytorium²⁰¹, a jednocześnie przygotowaniem jej żołnierzy do przejścia do cywilnego życia w obcym kraju. Obozy stopniowo opróżniano i likwidowano (wraz z nimi rozwiązując ukraińskie jednostki wojskowe, do czego zobowiązywały nas warunki pokoju z Rosją). Ostatni zamknięto późnym latem 1924 r.

*

Rozbrojenie i internowanie wojsk ukraińskich stanowiło warunek zawieszenia broni, było też standardową praktyką owych czasów. Pytanie jednak, czy konieczna była zgoda na sowieckie warunki rokowań pokojowych, przede wszystkim na uznanie, że Rzeczpospolita toczyła wojnę nie tylko z sowiecką Rosją, ale też z sowiecką Ukrainą i związane z tym wycofanie uznania dla UNR. Było to niewątpliwie złamanie umowy warszawskiej, która, choć nie nabrała mocy prawnej, została przypieczętowana krwią. Ukraińcy zostali zdradzeni. Doskonale rozumiał to Piłsudski, który po zawarciu pokoju ryzykując publicznie przeprosił oficerów ukraińskich. Nie za swoje winy (po zakończeniu wojny jego głos znaczył już niewiele, rokowania pokojowe toczyli jego wrogowie, zarazem przeciwnicy powstania państwa ukraińskiego), ale za Polskę. Chyba on jeden w tym czasie miał prawo przemówić w jej imieniu...

Czy jednak było inne wyjście? Państwowość ukraińska zawaliła się nie w 1920 r., ale pod koniec 1918 r., próby jej odbudowy nie dały oczekiwanych rezultatów. Nawet ponowne zajęcie przez Wojsko Polskie Kijowa (realne w październiku 1920 r.) nie zmieniłoby sytuacji: wieś ukraińska nie ufała Polakom, wciąż silni atamani nie chcieli z nimi (ale i z UNR) współpracować, Petlura był kompletnie skompromitowany. Z drugiej strony sowieccy negocjatorzy chętnie przyjęliby upieranie się Polski przy poparciu UNR: oni mieli więcej czasu, nie musieli spieszyć się z pokojem, którego zresztą – jak wcześniej traktatu pokojowego z Niemcami i Austrią z 1918 r. – nie traktowali poważnie. Ot, kolejne

chwilowe, wymuszone ustępstwo, nic więcej.

Tak zakończyła się ostatnia próba restytucji UNR, a zarazem pierwsza od XVII w. wspólna kampania wojsk polskich i ukraińskich. Pozostała po niej – tylko nad Wisłą – piękna, nie do końca prawdziwa legenda.

Tekst powstał do tego zbioru.

I powieje ogień nowy od Chłodnego Jaru

*Chołodnyj Jar*²⁰²... Poprawnie byłoby Zimny, ale Chłodny brzmi lepiej. A i ulga, jaką podczas letnich upałów środkowej Ukrainy przynosi zanurzenie się w głębi tych dąbrów, jest doświadczeniem chłodu, ale nie zimna.

Na południowy wschód od Kijowa wzgórza towarzyszące prawemu brzegowi Dniepru rozszerzają się, tężeją. Na wielu z nich zachowały się dąbrowy i inne, głównie liściaste lasy (spotykane dziś często sośniny są sztucznymi, gospodarczymi nasadzeniami). Na wschód od Czerkas wokół kilkunastokilometrowego wąwozu zachował się kompleks leśny, liczący dziś prawie siedem tysięcy ha. W jego centrum leżą Melnyki, wieś na początku XX w. ośmiotysięczna, w głębi – słynny w dziejach Ukrainy Klasztor Motroniński²⁰³. Idealne schronienie dla powstańców i partyzantów. Tu w XVIII w. gromadzili się hajdamacy, stąd wyszła koliwsczyzna, tu podczas II wojny światowej działał główny na centralnej Ukrainie ośrodek sowieckiej partyzantki. Ale „gwiezdny czas” Chłodnego Jaru były lata ukraińskiej walki o niepodległość, tu trwającej najdłużej.

Zieloni atamani

Określenie „zieloni” nie miało wówczas nic wspólnego z ochroną środowiska. Tym ogólnym określeniem zwano te formacje zbrojne wszechrosyjskiej wojny domowej, które nie zaliczały się ani do „czerwonych” (bolszewików), ani do „białych” (zwolenników przedrewolucyjnego porządku, częściej monarchistów niż republikanów), ani wreszcie zwolenników narodowej niepodległości nierosyjskich terytoriów byłego imperium. Ewentualna nazwa „czarni” zbyt kojarzyła się z anarchistami, a także z formowanymi w większości armii tej wojny „oddziałami śmierci”, występującymi zazwyczaj pod czarnymi sztandarami (oddziały zaliczane do „zielonych” również często posługiwały się czarnymi sztandarami, jak np. Machno czy Republika Chłodnojarska), czasem też – w czarnych mundurach. Dlatego „zieloni”,

czyli po prostu „leśni”, oddziały nieregularne, partyzanckie, wiejskie. Wieś ukraińska, inaczej niż rosyjska, miała silne tradycje wolnościowe i indywidualistyczne. Zakorzenione w tradycji kozacko-hajdamackiej, przefiltrowane przez bardziej anarchistyczną niż republikańską refleksję Szewczenki. W dziesiątkach, jeśli nie setkach tysięcy rodzin włościańskich, pamiętano o przodkach, walczących pod sztandarami kozackich atamanów-watażków (raczej niż hetmanów-przywódców politycznych), puszczających z dymem tureckie miasta, a potem – już pod imieniem hajdamaków – dwory i miasteczka. Nawet jeśli ci przodkowie byli zmyśleni (a często byli), tradycja była autentyczna.

Dwie ostatnie wojny Imperium Rosyjskiego, „japońska” i „niemiecka”, po raz pierwszy połączone były z powszechną mobilizacją. Przez szeregi armii przeszło kilkanaście milionów ludzi, w co najmniej 2/3 – włościan. Ci, co przeżyli – a większość jednak przeżyła – wracali w rodzinne strony ze znajomością żołnierskiego rzemiosła, z doświadczeniem kontaktu ze światem, często nauczeni czytać i zapoznani ze sporami ideowymi epoki (oczywiście w ulotkowej, więc zwulgaryzowanej formie). Wielu jako podoficerowie, a nawet *praporszczycy* (tu: oficerowie czasu wojny, po kilkumiesięcznych kursach dowódczych). A w 1917 r., gdy państwo rosyjskie załamało się, wracali uzbrojeni. Nie tylko w karabiny – także w broń maszynową, a nawet działa.

Był to ogromny potencjał. Ale większość zdemobilizowanych po trzyletniej wojnie nie chciała dalej walczyć. O cokolwiek. Chciała zabrać ziemię obszarników, spokojnie orać i żniwować, płodzić i wychowywać dzieci. I byli gotowi tego bronić. Ale tylko tego: swoich wsi, swoich okolic. Żadnej sile politycznej na Ukrainie nie udało się pobudzić ich do walki za kraj, do walki z dala od domów. Żadna też nie wzmocniła się dostatecznie, by poddać atamańszczyznę efektywnej kontroli, by ją zmobilizować lub wykorzenić. Dopiero bolszewicy.

Po rewolucji lutowej i rozpuszczeniu do domów starej armii władze ukraińskie ogłosiły powstanie Wolnego Kozactwa – ogólnokrajowej milicji włościańskiej o luźnej, federacyjnej strukturze. Niewiele jednak zrobiono, by zbudować choćby taką strukturę; powstawały tylko rozproszone, lokalne formacje. Próbował tego hetman Skoropadski, ale dla niego podstawą Kozactwa mieli być tylko najzamożniejsi włościanie. Niemieccy okupanci przeciwdziałali formowaniu nowej armii ukraińskiej: Niemcy aktywnie i zdecydowanie, Austriacy – bez większego

zaangażowania. Podjęta przez okupantów po żniwach 1918 r. akcja rekwizycyjna doprowadziła do setek lokalnych buntów i powstań w obronie zebranego plonu. I tylko jego. Fala powstań nie stała się ruchem ogólnonarodowym, ani nawet antyniemieckim. Stała się początkiem atamańszczyzny. Każda wieś miała teraz swoją straż, bojówkę, oddział – i atamana. Niektórzy zebrali po kilkudziesięciu, inni – po kilka tysięcy ludzi.

Szacunki liczebności tych oddziałów są jednak zawsze wątpliwe: niewielu atamanów prowadziło jakąkolwiek ewidencję. Ich oddziały nie były też skoszarowane, a brak dyscypliny wojskowej sprawiał, że poszczególni żołnierze wracali do domów, kiedy chcieli (zwłaszcza na czas siewów i żniw, a także po nawet niezbyt dotkliwych porażkach), a potem wracali do szeregów. Liczebność ustalona na jakiś konkretny dzień następnego mogła być już nieaktualna. Ale innych danych nie mamy i mieć nie będziemy. Późną jesienią większość atamanów poparła powstanie przeciw hetmanowi i odrodzenie UNR. Ale tylko niewielka ich część weszła w skład sił zbrojnych republiki, a i to warunkowo. Ich akces przesadził o tym, że odrodzona UNR nie zbudowała wielkiej regularnej armii, a tylko federację oddziałów o fatalnej dyscyplinie i wątpliwej lojalności. Oddziały rzeczywiście regularne (podporządkowane naczelnemu dowództwu, a nie swojemu *bat'ce*²⁰⁴ były nieliczne. Wielu atamanów rychło przeszło na stronę bolszewików, często potem zrywając z nimi i powracając czy to pod sztandary republiki, czy też wznosząc własne. Ci pomniejsi, mający pod komendą poniżej pięciuset ludzi, na ogół pozostali szefami lokalnych milicji samoobrony, wiejskich lub powiatowych.

Atamani, podobnie jak większość włościan byli – mniej lub bardziej świadomie – apolityczni. Ale też – mniej lub bardziej świadomie – byli nastawieni jednocześnie socjalistyczno–anarchistycznie i konserwatywnie. Chcieli podziału ziem wielkiej własności, ale zachowania indywidualnej gospodarki rolnej i wiejskiego sposobu życia (z jedną korektą – byli nastawieni zdecydowanie antyklerykalnie, czemu przy ówczesnym poziomie rosyjskiego prawosławia trudno się dziwić). Byli też nieufni wobec państwa (jakiegokolwiek) oraz wobec miasta i jego mieszkańców. Parafrazując Wyspiańskiego: „niech na całym świecie wojna (...) byle nasza wieś spokojna”. Ale wojna ma to do siebie, że przychodzi także do spokojnych wsi...

Bat'ką par excellence stał się Nestor Machno (1888–1934), który stworzył w powiecie hulajpolskim (obecny obwód zaporoski) armię z prawdziwego zdarzenia i parapaństwową strukturę stanowiącą jej zaplecze. Uczestnik rewolucji 1905 r., uwięziony za zabójstwo policjanta, w więzieniu stał się ideowym anarchista, łącząc odtąd idee Kropotkina z wolnościowymi tradycjami Zaporozża. Jego armia, która pod koniec 1919 r. urosła do niemal stu tysięcy żołnierzy, walczyła z wojskami okupacyjnymi, hetmańskimi, denikinowcami (z nimi przede wszystkim), petlurowcami i bolszewikami (oczywiście nie ze wszystkimi jednocześnie); z dwoma ostatnimi zawierał też sojusze przeciw „białym”. Jesienią 1920 r. jego armia (już znacznie mniej liczna po rozbiciu przez bolszewików zimą tego roku) odegrała znaczącą rolę w rozbiciu ostatniej armii białogwardyjskiej i zajęciu Krymu, po czym w 1921 r. została ostatecznie zniszczona. Sam Machno schronił się najpierw w Polsce, gdzie podejrzewano go o kontakty z bolszewikami, następnie we Francji, gdzie zmarł na gruźlicę.

W 1919 r. bolszewicy opanowują znaczną część Ukrainy, m.in. dzięki zdradzie licznych atamanów. Głoszą hasła mile brzmiące dla włościańskiego ucha – ale niemal od razu zaczynają brutalne rekwizycje żywności. Nie mają wyjścia – miasta centralnej Rosji głodują, burzą się przeciw bolszewikom, a pieniędzy, które by wieś chciała przyjąć, nie było. Co więcej – niemal od razu zaczynają kolektywizację. Wieś staje murem przeciw nim, atamani przejmują realną kontrolę nad większością terenów wiejskich. Ale znów – kontrolę lokalną, niepolityczną. Coraz więcej sił atamańskich to kilkutyśne armie z artylerią i kwatermistrzostwem. Większość atamanów Prawobrzeża poparła marsz Petlury i armii halickiej na Kijów wczesnym latem 1919 r., ale znów – tylko poparli. Pozostali sobą, nie częścią maszyny wojennej państwa.

Bolszewików uratował wówczas... Denikin. Najazd Sił Zbrojnych Południa Rosji, których celem była Moskwa, ale po drodze łamiących „ukraiński bunt”, pobił brutalnością bolszewickie represje. W dodatku był to najazd obrońców starego ładu, wieś zaczęła się bać o już faktycznie przejętą, podzieloną ziemię. I jeśli nie poparła bolszewików (a wielu atamanów stanęło wówczas po ich stronie), to zaszyła się po wsiach i miasteczkach, wyczekiwała. Rok później – dokładnie z tego samego powodu, choć w innych regionach – włościanie i powstańcy nie poparą wojsk UNR maszerujących przy boku Wojska Polskiego. A gdy

jesienią 1920 r. Rzeczpospolita zawarła rozejm z Sowietami, a kilka tygodni później bolszewicy zajęli Krym, dobijając ostatni europejski ośrodek kontrrewolucji, los atamanów był przesądzony. Choć według sowieckich szacunków wciąż było ich wtedy siedemdziesięciu dziewięciu, a pod ich komendą pozostawało ok. czterdzieści sześć tysięcy ludzi (znacznie więcej, niż liczyła latem 1920 r. armia UNR), to jednak tylko dziesięciu z nich dysponowała siłami przekraczającymi tysiąc ludzi, siedemnastu miało ledwie po setce...). Machno, pominięty w tym podliczeniu, miał po zdobyciu Krymu już tylko pięć tysięcy żołnierzy.

Chłodnojarska Republika

Republikami zwano wówczas często lokalne formy samoobrony, jeśli były ponadlokalne i wykazywały pewne ambicje polityczne. Nie znaczy to, by aspirowały one do statusu państwowego. Załączek tej Chłodnojarskiej, największego z ukraińskich „terytoriów powstańczych” (jeśli nie liczyć stanowiących parapaństwo terenów kontrolowanych przez Machnę), stanowiła straż powołana jesienią do ochrony klasztoru Motoryńskiego, raptem dwudziestu dwóch ludzi. Latem następnego roku *praporszczyk* Wasyl Czuczupak (spotyka się też pisownię Czuczupaka) rozbudował ten oddział do pułku, który szybko osiągnął stan dwóch tysięcy ludzi. Wkrótce wokół Melnyków powstanie Republika Chłodnojarska, licząca ponad dwadzieścia pięć wsi. Czuczupak współpracował z władzami UNR, zwłaszcza w walce z białogwardzistami, ale poparł też antybolszewickie powstanie Hryhorjewa. Zyskał znaczny autorytet, wielu pomniejszych atamanów przyłączało się do niego lub koordynowało z nim swe działania. Rodzina Czuczupaków pochodziła z Melnyków, Wasyl był środkowym z pięciu synów, jeszcze przed Wielką Wojną wyuczonym na nauczyciela. Jeden z jego braci poległ w 1915 r., pozostali walczyli w oddziałach Chłodnego Jaru. Przeżył tylko najmłodszy, Demjan (zmarł już na niepodległej Ukrainie, w 1992 r.).



Pomnik Bohaterów Chłodnego Jaru w centrum Melnyków, jesień 2016 r. Centrum płaskorzeźby stanowi dąb Zalizniaka, jeden z symboli Jaru, zwieńczenie to tryzub przechodzący w krzyż.

W marcu 1920 r. Armia Czerwona zaatakowała Chłodny Jar. Trochę przypadkowo udało się im otoczyć pod Melnykami Wasyla Czuczupaka z niewielką ochroną. W beznadziejnej sytuacji Naczelnny Ataman Chłodnego Jaru zastrzelił się. Republika współpracowała z siłami polsko-ukraińskimi podczas ich wiosennej ofensywy, ale znów – jak i inni atamani – z wielką nieufnością. Po kapitulacji armii UNR wielu powstańców wróciło do domów. W grudniu tegoż roku bolszewicy „pacyfikowali” wsie na obrzeżach Jaru, pozostali jeszcze powstańcy uchylili się od starcia. Trwali coraz bardziej osamotnieni.

Wiosną 1922 r. do Jaru dotarł wysłannik rezydujących w Polsce władz UNR i sugestią (bo nie rozkazem) demobilizacji. Większość rozeszła się do domów – dalsza walka rzeczywiście nie miała już sensu. Powstańcy utracili poparcie wsi, która przestała widzieć sens walki zbrojnej, więc i utrzymywać walczących, wojna domowa w byłym Imperium zakończyła się ostatecznym zwycięstwem bolszewików, zapasy amunicji kończyły się, butów też nie dawało się łątać w nieskończoność... Pozostali ci najbardziej nieprzejednani, którzy nie widzieli dla siebie miejsca pod władzą bolszewików. Nazwano ich *załyszencami*²⁰⁵ (tymi, co pozostali). Wybito ich lub wyłapano do końca roku.

Dogorywanie

Petlura i jego współpracownicy wielokrotnie próbowali skoordynować działania atamanów. Z niewielkim i zawsze tylko chwilowym skutkiem. Także próby samych atamanów nie dawały rezultatu: zbyt wielkie było przywiązanie oddziałów do własnego zaplecza: rodzinnych wsi i powiatów. Jednak ruch powstańczy przetrwał przez cały 1921 r., choć coraz słabszy. Moskwa wciąż miała większe zmartwienia: Ukrainą mogła się zająć dopiero po stłumieniu powstania tambowskiego.

Tambowszczyzna, jeden ze spichlerzy Rosji, ledwie 350 km od Moskwy, zbuntowała się latem 1920 r. przeciw bolszewickim rekwizycjom (wcześniej region popierał nową władzę). Bolszewicy nie mogli stłumić buntu w zarodku: trwała wojna z Polską, z Krymu na północ nacierali białogwardziści. Po początkowych niepowodzeniach na czele powstania stanął Aleksandr Antonow²⁰⁶, zdolny organizator, który do początku 1921 r. zbudował sprawną, zdyscyplinowaną armię, przekraczającą dwadzieścia tysięcy ludzi, nieźle uzbrojonych, ale

prowadzących głównie walkę partyzancką. Powstańcy walczyli pod czerwonymi sztandarami, głosząc hasło „władzy rad bez bolszewików”, dość wówczas powszechne.

W maju 1921 r. Moskwa rzuciła przeciw zbuntowanemu regionowi pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy z czołgami i ciężką artylerią. Już nie „zwykłych” czerwonoarmistów (przeważnie wieśniaków), ale elitarne oddziały czekistów. Dowodził Tuchaczewski, który chciał się zrehabilitować za klęskę pod Warszawą. Opór Tambowian był tak twardy, że czekiści użyli przeciw nim gazów bojowych. W czerwcu 1921 r. armię Antonowa rozbito, ostatnie ogniska oporu zlikwidowano rok później. Zginęło co najmniej piętnaście tysięcy ludzi (żołnierzy i cywilów; straty czekistów nie są znane), dziesiątki tysięcy zmarły w obozach koncentracyjnych (bo obozy koncentracyjne, ośrodki internowania potencjalnych przeciwników reżimu powstały w sowieckiej Rosji w 1919 r., pod tą właśnie nazwą, zapożyczoną później przez Niemców).

Dopiero teraz przyszła kolej na Ukrainę. Jesienią 1921 r. na jej terytorium stacjonuje trzynaście dywizji piechoty i trzy kawalerii Armii Czerwonej. Jednocześnie tworzenie po wsiach komitetów biedoty, zrzeszających głównie parobków, rozbija wcześniejszą solidarność wsi. A i włościanie przestają wierzyć w sens dalszej walki, nie chcą dłużej żywić „leśnych”. Bo przecież atamani żyli z zasobów wsi: żywności, odzieży, koni (a tych po latach wojny brakowało, w wielu wsiach trzeba było wrócić do orki wołami albo i krowami), potencjału wiejskiego rzemiosła. Jak każda partyzantka pozbawiona stałej pomocy zagranicznej nie mogła przetrwać utraty tego poparcia.

I właśnie wtedy emigracyjne kierownictwo UNR planuje nowe powstanie. Nie latem 1921 r., gdy miałyby ono jakieś szanse, ale po żniwach 1922 r. Wcześniej zaplanowano propagandowo–mobilizacyjny rajd po Wołyniu i Podolu. W listopadzie, gdy włościanie siedzą po chatach, błoto, a nieraz i śnieg utrudniają marsz, a ułatwiają pościg po widocznych śladach. Trudno było wymyślić gorszy termin... W dodatku do tej wyprawy, która przeszła do historii jako Drugi Pochód Zimowy lub Listopadowy Rajd, zdołano zebrać z obozów internowania armii UNR zaledwie ok. tysiąc dwustu ludzi. W dodatku Moskwa zbudowała już swoją agenturę w ukraińskich strukturach wojskowych w Polsce...

Skończyło się to tak, jak się skończyć musiało: kompletną klęską. Nieliczni na zachodzie Ukrainy atamani na ogół nie przyłączyli się do

Ukraińskiej Powstańczej Armii²⁰⁷ (na przebicie się tak szczupłymi siłami na Naddnieprze, gdzie można było liczyć na większe poparcie, nie było szans). Sformowana w Rumunii Grupa Besarabska wycofała się już pierwszego dnia walk. Grupa Podolska, zgodnie z wyznaczonym zadaniem, manewrowała po Podolu, a po rozbiciu głównych sił powróciła do Polski. Przyszło jej zresztą walczyć z ukraińską formacją bolszewicką – pułkiem kawalerii Czerwonego Kozactwa. Grupa Wołyńska, licząca ok. dziewięciuset ludzi, przejściowo zdobyła Korosteń, jednak 17 listopada została rozbita pod Małymi Minkami (północny wschód obwodu żytomierskiego). Cztery dni później pod Bazarem bolszewicy rozstrzelali trzystu pięćdziesięciu dziewięciu pojmanych Ukraińców. Do Polski zdołało się przebić ledwie stu pięćdziesięciu.

Potem bolszewicy dobijali atamanów, jednego po drugim. Machnę zniszczono ostatecznie w styczniu 1922 r. Jeszcze we wrześniu 1922 r. przeszedł do Polski z pięćdziesięcioma ludźmi ataman Oreł (Jakiw Halczeskij), by raz jeszcze próbować powstańczego szczęścia w 1925 r. Taki był koniec atamańskiej epopei, bohaterskiej, ale ostatecznie bezcelowej. Walcząc w ten sposób, nie można było wywalczyć ani niepodległej Ukrainy, ani sprawiedliwego, przychylnego włościąństwu ładu społecznego.

Ale skoro już wspomniałem o Halczeskim... Urodził się w 1894 r. na Podolu, chyba w rodzinie pochodzenia polskiego (jego ojciec kilka lat wcześniej porzucił katolicyzm dla prawosławia). Był oficerem armii rosyjskiej, odznaczonym wysokimi odznaczeniami za męstwo. Potem został atamanem, po klęsce współpracował z polskim wywiadem, a w 1930 r. podjął służbę kontraktową w Wojsku Polskim (pod nazwiskiem Jakuba Wojnarowskiego). Walczył w 1939 r. w 67 Pułku Piechoty (w randze majora), potem dowodził batalionem Obrony Narodowej, dostał się do niewoli. Po zwolnieniu z obozu jenieckiego współpracował z ukraińskim ruchem niepodległościowym (orientacji UNR-owskiej, nie z banderowcami), w 1942 r. stanął na czele ukraińskiej samoobrony w Hrubieszowskim. Poległ w marcu 1943 r. w starciu z oddziałem Armii Krajowej pod Peresołowicami.

*

Ostatnim akcentem ukraińskiego ruchu powstańczego (atamańskiego)

było powstanie w kijowskim Więzieniu Łukjanowskim. Byli to głównie weterani Chłodnego Jaru, pojmani podczas zjazdu atamanów we wrześniu 1922 r., będącego prowokacją bolszewickiej agentury. Skazani na śmierć 2 lutego 1923 r. nie zechcieli czekać na rozstrzelanie i 9 lutego wznieśli bunt. Rozbroili grupę strażników, zdobyli broń, ale nie zdołali wyrwać się na ulicę. Walczyli prawie cztery godziny, gdy wyczerpała się amunicja – ci, którzy jeszcze żyli, przyjęli śmierć z własnej ręki. W sumie w tym ostatnim powstaniu zginęło trzydziestu ośmiu buntowników (i nieznana liczba czekistów).

Po latach

Pamięć o Chłodnym Jarze powraca. Wprawdzie w wiejskim muzeum krajoznawczym w Medwediwce (ta wieś to swoiste wrota Jaru), wcale bogato wyposażonym i ciekawym, w poświęconej czasom atamańskim salce są tylko rekonstrukcje ówczesnych sztandarów, ale kierowniczka zna ich historię i umie o niej opowiedzieć.

Wojna, w której w pierwszej fazie wielką rolę odegrały formacje samorzutne, ochotnicze, atamańskie właśnie, zaktualizowała doświadczenie atamańszczyzny. Hasło z chłodnojarских flag „Wolność Ukrainy albo śmierć” znów stało się aktualne. Podchwyciło ją wielu, choć najbardziej – ruch azowski, twórcy odnowionego nacjonalizmu ukraińskiego. Ale nie tylko oni – 69 Brygadzie Zmechanizowanej, która brała udział w większości większych bojów lat 2014–2015, nadano imię Chłodnego Jaru i proporzec – a jakże – z czarnym krukiem (nawiązanie do atamańskiej republiki) i dębem Zalizniaka²⁰⁸ (nawiązanie do tradycji hajdamackiej). Ta tradycja pomaga walczyć z Rosją, niewątpliwie. Ale czy dobrze służy budowie sprawnego państwa – można mieć wątpliwości.

Tekst powstał do tego zbioru.

Rok (pięć lat) rewolucji godności

Mija rok²⁰⁹ odkąd ukraińska młodzież wyszła na ulice, by wyrazić zawód i złość z powodu odrzucenia przez rząd gotowej już do podpisu umowy stowarzyszeniowej z UE. Zapoczątkowała w ten sposób wydarzenie, które po kilku miesiącach zyskało nazwę rewolucji godności. Przez ten czas na Ukrainie zmieniło się więcej niż przez poprzednich dwadzieścia lat. Rewolucja osiągnęła część swych celów, ale wciąż daleka jest do zakończenia. Trwa rewolucyjne wrzenie, kraj jest w stanie wojny (hybrydowej: zarazem zewnętrznej i domowej), sytuacja gospodarcza jest dramatyczna. Ale cokolwiek przyniosą najbliższe miesiące (a idzie zima, może najtrudniejsza od schyłku lat czterdziestych, gdy kraj leżał w gruzach), do stanu sprzed rewolucji nie ma już powrotu.

*

Tak naprawdę to nie był drugi, ale trzeci Majdan. Pierwszym była rewolucja na granicę z października 1990 r., protest, który zachwiał legitymacją władzy komunistów – już z samej tej przyczyny, że był tolerowany. Brało w nim udział wielu późniejszych intelektualistów, działaczy politycznych i społecznych. To wówczas plac, później nazwany Majdanem Niepodległości, stał się „archetypicznym” miejscem sprzeciwu wobec władzy.

Potem był „pomarańczowy” Majdan z 2004 r. Długo przygotowywany przez kolejne akcje protestu przeciw rządowi Kuczmy, namiotowe pikety (na Majdanie, a jakże), ale i szkolenie aktywistów przez weteranów wcześniejszych „kolorowych rewolucji” przełomu wieków. A gdy protest wybuchł, miał od początku jasny cel polityczny i niekwestionowanych przywódców. Co ważne, ten cel był ograniczony, po jego osiągnięciu protesty wygasły, a nowi rządcy kraju mogli w spokoju podjąć dzieło naprawy kraju. Kompletnie zresztą chybili tego celu.

Euromajdan roku 2014 był nieufny wobec polityków. Protesty we Lwowie wszczęli studenci usuwający ze swych zgromadzeń symbolikę partii politycznych, pierwszą manifestację w Kijowie zwołał jeden

człowiek, znany dziennikarz i tzw. lider opinii, Mustafa Najem²¹⁰, pisząc na Facebooku: „Idę na Majdan. Kto idzie ze mną?”. Przyszło kilka tysięcy.

Rewolucja godności była bardziej podobna do tej z 1990 r. Nikt jej nie przygotowywał, choć zapowiadało ją narastające wrzenie na prowincji (w lipcu 2013 r. mieszkańcy Wradijówki omal nie zlinczowali milicjantów, którzy dopuścili się gwałtu). Nie było ani programu, ani celu, ani struktur, ani przywódców. To wszystko rodziło się w toku działania.

Przywódcy partii opozycyjnych, inaczej niż w 2004 r., byli zaskoczeni protestami, które krzyżowały ich plany, już obliczone na kampanię prezydencką 2015 r. A gdy już pojawili się na wiecach, cały czas usiłowali łagodzić radykalizm protestujących, dążyć do rozwiązania politycznego, nie rewolucyjnego. Chcieli oni takiego kompromisu, który zapewniłby im kontrolę nad państwem, w tym nad Majdanem. Chcieli ugody, byli gotowi zapewnić Janukowyczowi prawo udziału w przedterminowych wyborach. Pozwalali się fotografować, ściskając jego dłoń. A na ulicach Kijowa toczyły się regularne walki.

*

Po pogromie w nocy 30 listopada Euromajdan odrodził się po dwóch dniach, gdy w marszu ulicami Kijowa wzięło udział kilkaset tysięcy osób. Teraz powstał tu obóz otoczony barykadami, potem regularna twierdza. Już nie chodziło o integrację europejską – celem stało się obalenie Janukowycza i Azarowa, walka ze skorumpowanym i nieprawdopodobnie wręcz aroganckim aparatem władzy. Można powiedzieć, że – bezmyślna albo rozmyślna, mająca sprowokować wybuch – pacyfikacja zamierającego już studenckiego protestu w Kijowie zamknęła etap Euromajdanu, zapoczątkowała zaś rewolucję godności). Wśród protestujących nie brakowało też zdeklarowanych przeciwników idei europejskich. Za barykadami powstawała Samoobrona Majdanu. Weterani wojny afgańskiej, ale i armii ukraińskiej szkolili młodzież, w dużej mierze wstępnie już przygotowaną do walki. Nagle okazało się, że członkowie bractw rycerskich i grup rekonstrukcyjnych, szkół walki i grup piłkarskich „ultras” są równorzędnym przeciwnikiem zwartych formacji milicyjnych.

Inna nowością było pojawienie się wśród protestujących duchownych

różnych wyznań: przede wszystkim prawosławnych (główna katedra Patriarchatu Kijowskiego, sobór Michaiłowski stał się najpierw azylem, później – szpitalem polowym) i greckokatolickich, ale też rzymskokatolickich, ewangelickich (różnych odłamów, przede wszystkim baptystów), a także żydowskich i muzułmańskich. Jedni usiłowali powstrzymać przemoc, stając między wrogimi szyskami, inni nieśli pomoc duchową i prowadzili publiczne modły, co także było wsparciem: Bóg jest z wami, nie z waszymi wrogami. Nigdy nie dowiemy się, ilu ludzi przeżyło na Majdanie osobiste nawrócenie.

Na Majdanie dominowali Kijowianie (tak ukraińskojęzyczni, jak i rosyjskojęzyczni) oraz „lwowski desant”, przedstawiciele Hałyczyny. Ale byli też przedstawiciele wszystkich regionów, Donbasu i Krymu nie wyłączając. A potem zaczęły powstawać lokalne Majdany, także w całym kraju, choć na wschodzie gromadziły nielicznych. Byli tu zwolennicy najróżniejszych opcji światopoglądowych: od ruchów gejowskich po neonazistów. Nie zabrakło przedstawicieli mniejszości narodowych (w tym Polaków), a młodzi Żydzi utworzyli nawet własną sotnię (pododdział, niekoniecznie stuosobowy) Samoobrony Majdanu.



Resztki barykad, zachowane w górnej części ul. Instytuckiej, wrzesień 2016 r. Wyznaczają granicę „obywatelskiego” pomnika Niebiańskiej Sotni, a dziś także granicę ulicy Niebiańskiej Sotni (dawnej dolnej części Instytuckiej).

Władze reagowały niekonsekwentnie i niezdecydowanie. Nie rozbito Majdanu, póki było to łatwe. Pod koniec stycznia milicja stawiała opór Samoobronie Majdanu idącej na parlament. Doszło do regularnych walk wygranych przez powstańców. Bo to już było powstanie zbrojne, choć ograniczone do jednej ulicy. Gdy zaś na barykadach na Hruszewskiego padli pierwsi zabici i ranni, stawką była już – brutalnie mówiąc – głowa Janukowycza. No, może nie dosłownie... Ale tylko może.

Nic innego nie mogło zadowolić Euromajdanu, który już nie ograniczał się do ulic Kijowa i Lwowa, lecz ogarniał region za regionem. Dlatego porozumienie wynegocjowane pod patronatem UE i przeforsowane wbrew oporowi kierownictwa rewolucji przez Radosława Sikorskiego (minister spraw zagranicznych RP był głównym autorem tego porozumienia), już w trakcie drugiej fazy powstania, po zaciekłych walkach ulicznych, po masakrze na Instytuckiej, nie miało żadnych szans.

Gdy 21 lutego pod wieczór przywódcy opozycji wyszli na Majdan ogłosić ten kompromis, przedłużający władzę Janukowycza do jesieni, spotkało ich głuche, złe milczenie. Lud właśnie opłakiwał swych poległych, nad głowami zgromadzonych sunęła kolejna otwarta trumna. A potem przez tłum przepchnął się niespełna trzydziestoletni Wołodmyr Parasiuk²¹¹, jeden z dowódców Samoobrony Majdanu. Wyjął mikrofon z rąk zaskoczonego Witalija Kliczki²¹², wyższego odeń o półtorej głowy, i ogłosił, właściwie wykrzyczał ultimatum: „Janukowycz ma ustąpić do rana, inaczej pójdziemy po niego”. Ryk aprobaty z jakichś stu tysięcy gardeł „ratyfikował” to jakże polskie *liberum veto*, a zarazem – jakże ukraiński głos Koła Siczowego, ludu uzbrojonego i pewnego siebie.

Kliczko (były zawodowy bokser) wyglądał jak znokautowany. Nie odważył się zareagować. Jego reputacja legła w gruzach, o wrózonej mu prezydenturze mógł zapomnieć. Ołeh Tiahnybok²¹³, lider radykalnych nacjonalistów, zaciskał zęby, chyba rozumiejąc, że właśnie popełnił największy błąd w swej karierze politycznej.

A Janukowycz? Janukowycz po prostu uciekł. A kilka dni później nie znalazł odwagi, by wystąpić na zjeździe deputowanych (posłów

i radnych) Partii Regionów w Charkowie i wezwać do walki bądź oficjalnie uznać swą przegraną. A był wówczas w Charkowie. Dlaczego tak postąpił – nie wiemy²¹⁴. Mógł wówczas rozpętać wojnę domową. Potem pozostała mu już tylko ucieczka do Rosji.

*

Po przewrocie władza przeszła w ręce polityków: rewolucjoniści nie byli do tego przygotowani ani kadrowo, ani intelektualnie. Ale właśnie dlatego nowa władza miała dużo mniejszy kredyt zaufania niż przywódcy pomarańczowej rewolucji, czuła i czuje presję aktywnego i uzbrojonego społeczeństwa obywatelskiego. I choć można zastanawiać się nad gotowością ekipy Jaceniuka²¹⁵ i Poroszenki do zdecydowanej walki z korupcją i arogancją władzy, musieli ją podjąć. Po prostu nie mieli innego wyjścia – inaczej późną wiosną mielibyśmy nową fazę rewolucji. Ale nadeszła wojna, a z nią zmiana priorytetów po obu stronach. To prawda, że Janukowycza złożono z urzędu bez zachowania obowiązujących procedur. Ale to Janukowycz pierwszy wykroczył poza legalne ramy funkcjonowania państwa. Nie dlatego, że podjął decyzję o użyciu siły²¹⁶. Dlatego, że uciekł, pozbawiając państwo legalnej władzy. Pod rządem ówczesnej konstytucji w razie opróżnienia urzędu prezydenta jego obowiązki przejmował premier, ale Azarow też uciekł z Kijowa. Pierwszy wicepremier również znikł. W tej sytuacji jedynym wyjściem było przywrócenie konstytucji z 2004 r., oddającej pełnienie obowiązków prezydenta szefowi parlamentu. Szczęściem pełniący tę funkcję Rybak²¹⁷, także człowiek Janukowycza, nie uciekł, lecz zachowując przepisaną formę, podał się do dymisji (po jakimś czasie wrócił zresztą do pracy parlamentarnej). Rada Najwyższa mogła więc wybrać nowego przewodniczącego i powierzyć mu ster spraw państwowych wobec dezercji prezydenta.

Nie było to rozwiązanie w pełni legalne. Ale też nie był to zamach stanu. Doszło do sytuacji nadzwyczajnej, nie tylko w skali Ukrainy. A sytuacje bezprecedensowe wymagają właśnie precedensowych rozwiązań.

*

Nowe władze zaczęły źle. Trudno się dziwić, skoro jako opozycja jeszcze w styczniu nie wyobrażały sobie możliwości przejęcia władzy. Ale to nie tłumaczy katastrofalnego błędu, jakim była próba uchylecia ustawy językowej, podjęta z inicjatywy Rusłana Koszulinskiego²¹⁸. Wprawdzie przewodniczący Rady (i p.o. prezydenta) Ołeksandr Turczynow zignorował tę decyzję, ale wiadomość poszła w świat, zwiększając wzburzenie mieszkańców wschodu i południa kraju. Nie pomogły żadne późniejsze tłumaczenia – media „wiedziały swoje”, a ludzie łatwo uwierzyli w to, że grozi im zakaz mówienia po rosyjsku.

To ostatnie było czystą demagogią, u jednych wynikającą ze złej woli, u innych – z niezajomości funkcjonowania systemu prawnego. Niezmienne pozostawały przecież konstytucyjne gwarancje „swobodnego rozwoju, wykorzystywania i ochrony” języka rosyjskiego oraz języków innych mniejszości²¹⁹.

Ale większość mieszkańców wschodu i południa Ukrainy o tym nie wiedziała. Nikt im o tym nie mówił. A jednocześnie do ich miast przybywały trumny poległych w Kijowie milicjantów, nieliczne wprawdzie, ale nie mniej dotkliwe. Ranni milicjanci i członkowie rozwiązanych formacji specjalnych wracali z poczuciem, że zostali wykorzystani i zdradzeni. Wracali robotnicy i urzędnicy, zwiezieni przez władze do Kijowa, by stworzyć Antymajdan (kryminaliści i przebrani milicjanci stanowili jedynie jego część) – z bolesnym poczuciem pogardy, jaką okazała im stolica. Tak rodził się bunt przeciw nowej władzy, która długo nie rozumiała, co się dzieje.

Na wschodzie i południu Ukrainy także nie kochano Janukowycza, także tam powszechny był sprzeciw wobec korupcji i arogancji władzy. Ale obawiano się też „zachodnich porządków”, oczekiwano nie tyle reform, co przywrócenia zmitologizowanego ładu z czasów Breżniewa. Początek rewolty w Donbasie miał liczne elementy rewolucji antyoligarchicznej.

Rosja szybko dostrzegła szansę i zaczęła podburzać protesty, nadając im kształt Rosyjskiej Wiosny, dążąc do wymuszenia autonomii Małorosji, rozciągającej się od Charkowa po Odessę. Jednocześnie dokonała aneksji Krymu. Przebiegła ona w sposób kompromitujący dla władz, a zwłaszcza sił zbrojnych Ukrainy, ale pogrzebała Rosyjską Wiosnę. Tylko w Zagłębiu Donieckim (bo nie w całych obwodach donieckim i ługańskim) nastroje antykijowskie okazały się tak silne, że miejscowi rosyjscy nacjonałiści

chwycili za broń. Tak zaczęła się wojna.

Gdyby Moskwa poczekała z Krymem, Rosyjska Wiosna mogłaby zagrozić nowemu porządkowi. Ale utrata Krymu wzbudziła powszechny impuls patriotyczny: prawie nikt nie chciał pogodzić się z utratą części Ojczyzny. Rosja nie wzięła też pod uwagę tego, że Małorosja to czczy koncept geopolityczny – nie istnieje i nigdy nie istniała tożsamość „południowo-wschodnio-ukraińska”, a silne tożsamości lokalne Charkowa i Dniepropietrowska, Odessy i Donbasu spajało tylko jedno – zależność od tej samej stolicy.



Makieta bunkra (*check-pointu*) z początkowej fazy wojny donieckiej w „ogrodzie pamięci” przed muzeum krajoznawczym w Dniprze, wrzesień 2016 r. Napis głosi „Jeśli nie my, to kto”, co jest zresztą reminiscencją jednego z *pieriestrojkowych* hasel Gorbaczowa.

Kijów nie potrafił odpowiedzieć na rebelię. Zdemoralizowane i zdeorganizowane po walkach w Kijowie siły porządkowe nie były w stanie zapewnić elementarnego porządku. W dodatku były one rekrutowane na zasadzie terytorialnej, więc na wschodzie kraju często solidaryzowały się z przeciwnikami rewolucji godności. Gdy zaś rebelia

urosla w siłę, stając się problemem już nie policyjnym, a wojskowym, gdy coraz wyraźniejsza interwencja Rosji zmusiła Kijów do użycia sił zbrojnych, okazało się, że te nie są zdolne do działania. Gdyby nie ochotnicze bataliony, rewolucyjny „uzbrojony lud”, wojsko raczej nie zdobyłoby się na stanowczy opór, tak jak wcześniej na Krymie²²⁰. Jednak podziałało hasło „panowie, tam się biją bez nas”, poczucie wstydu zawodowych żołnierzy...

Ta wojna jest w ogromnej mierze wojną ludową. Nie tylko bataliony ochotnicze, po kilku miesiącach formalnie włączone w skład struktur sił zbrojnych lub MSW, ale i regularne oddziały wojskowe zostały „wzięte na garnuszek” przez naród. Najdosłowniej – bo nie tylko władze miast i wsi wspierają żołnierzy, pochodzących z ich miejscowości, ale liczne rodziny wysyłają na front paczki z kawą i herbatą, konserwami, ciepłą bielizną, a nawet butami²²¹. Zdarzało się też fundowanie kamizelek kuloodpornych i hełmów lepszej klasy niż te z oficjalnego wyposażenia – nie wojsku, a konkretnym żołnierzom! Tak tworzy się nowa więź armii z narodem, a także sieć samoorganizacji społecznej, kapitał na dalsze lata²²².

*

Separatystyczna rebelia w Donbasie ujawniła też nowe zjawisko – rosyjski nacjonalizm na Ukrainie. Ludzie, którzy chwycili tam za broń, nie byli obrońcami starego porządku (Janukowycz i Achmetow²²³ są wśród nich znienawidzeni bardziej może niż w Kijowie). Oni uważali, że ich mała ojczyzna jest i powinna być częścią Rosji. Rosja sprzyjała rozwojowi tych organizacji, a gdy rebelia wybuchła, pozwoliła własnym nacjonalistom pospieszyć jej z pomocą, a potem zaczęli wspierać ją dostawami broni, instruktorami, wreszcie – regularnym wojskiem. Ale Rosja ani nie stworzyła tego ruchu, ani nie jest zachwycona jego rozwojem – zbyt pstre, zbyt niekarne to towarzystwo, a ich radykalizm bliski jest wrogiemu rządowi Putina skrzydłu rosyjskiego ruchu nacjonalistycznego. Posługuje się nim, to wszystko.

Mechanizm eskalacji doprowadził do otwartej wojny, z której nie widać dobrego wyjścia. Kijów próbował rozwiązania wojskowego, ale Rosja zwiększyła swe zaangażowanie wojskowe i pobiła Ukraińców. Rosja ma w tym konflikcie zasadniczą przewagę, Ukraina musi szukać rozwiązania drogą rokowań i upierać się przy zasadach prawa narodów. Być może

„zamrożenie” konfliktu, tolerowanie samozwańczych republik i czekanie na zmianę koniunktury międzynarodowej jest najmniej złym z dostępnych rozwiązań²²⁴.

*

Ukraina pięć lat po rewolucji godności

Przed pięciu laty prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz opuścił Kijów. Jego reżim rozsypał się jak domek z kart. Rewolucja godności zwyciężyła. Oczekiwania jej zwolenników (tak na Ukrainie, jak i poza nią) były ogromne. Niektórzy liczyli nawet na przyjęcie Ukrainy do UE w ciągu kilku lat. Tym większe było rozczarowanie, gdy okazało się, że rewolucja zmieniła znacznie mniej, niż oczekiwano, a także niż było możliwe.

To prawda, że rewolucje nigdy nie spełniają wszystkich swych zapowiedzi (często nie spełniają żadnych). Prawda też, że zanim Ukraina mogła przejść do w miarę systematycznego reformowania państwa, narzucono jej wojnę. Ale rozczarowanie jest zrozumiałe – tak na Ukrainie, jak i w sprzyjających jej krajach. Bo mimo wojny można było dokonać więcej.

Największym sukcesem Ukrainy ostatniego pięciolecia jest to, że przetrwała. Jako państwo niepodległe, zdolne do definiowania i obrony swych interesów. Jako system gospodarczy i społeczny zdolny do odpowiadania na kolejne wyzwania.

Z Majdanu na wojnę

18 lutego 2014 r., po prawie trzech miesiącach okupacji centralnego placu Kijowa, grupy Samoobrony Majdanu ruszyły na gmach parlamentu. Wywiązały się starcia, po obu stronach użyto, choć na niewielką skalę, broni palnej, po obu też padli zabici. Przewagę zdobyły lepiej dowodzone formacje rządowe. Pod wieczór były o krok od zdobycia Majdanu; rewolucję ocaliły nowe siły, przybyłe właśnie ze Lwowa.

Dwa dni później próba ponownego opanowania przez siły Majdanu ulicy Instytuckiej zakończyła się masakrą: snajperzy sił bezpieczeństwa strzelali ostrą amunicją, musieli mieć rozkaz zabijania. W ciągu może godziny padło prawie pięćdziesięciu zabitych (liczba ofiar śmiertelnych podczas rewolucji godności to siedemdziesięciu siedmiu po stronie

rewolucji i ok. dwudziestu po stronie rządowej).

Ta godzina zdecydowała o zwycięstwie rewolucji godności: o pozostaniu Janukowycza u władzy nie mogło być już mowy. Wypracowany 21 lutego kompromis już w chwili podpisania był świstkiem papieru. Janukowycz zrozumiał to pierwszy i zbiegł z Kijowa.

Rewolucja zwyciężyła, ale tylko na chwilę. Nie dowiemy się, czy program liberalnej (tj. głównie antyoligarchicznej i antykorupcyjnej) przebudowy państwa i skokowego zbliżenia do Unii Europejskiej miał szanse realizacji. Bo reakcją Moskwy na obalenie Janukowycza była aneksja Krymu i próba rozbicia państwa ukraińskiego na dwie części, z których ta wschodnia miałaby prawo weta w kluczowych sprawach polityki zagranicznej i wewnętrznej, a ta zachodnia – nie (na tym w brutalnym skrócie polegał postulat „federalizacji”).



Dolna część ul. Instytuckiej, wrzesień 2016 r. Upamiętnienie poległego w tym miejscu osiemnastoletniego Nazara Wojtowycza. Widniejąca na tabliczce nazwa „ulica Niebiańskiej Сотні” była w tym czasie nieoficjalną i postulowaną.

To pierwsze udało się, drugie – już nie. Konsekwencją próby wzniesienia kontrrewolucji na wschodzie i południu kraju, od Charkowa po Odessę, była jednak zbrojna rebelia w Donbasie i trwająca do dziś wojna. Wojna, która odsunęła reformowanie kraju na odległy plan, choć go nie przekreśliła.

Ostra faza wojny wygasła wiosną 2015 r., wkrótce po zawarciu rozejmu w Mińsku (bo bitwa pod Debalcewem rozegrała się już po zawarciu rozejmu, gdy Rosjanie zaatakowali, by opanować ważny węzeł kolejowy). Ukraina tę wojnę przegrała, choć nie można powiedzieć, czy to separatyści, czy Rosja ją wygrała.

Od czterech lat na wschodzie Ukrainy trwa „dziwna wojna”, codzienna okopowa mordęga, rozbudowywanie umocnień, minowanie, ostrzały artyleryjskie i stała działalność snajperów. Wojna, w której codziennie pada kilku–kilkunastu rannych, co kilka dni ktoś ginie (w 2018 r. Ukraina straciła stu trzydziestu pięciu poległych; o stratach jej przeciwników brak informacji)²²⁵. Bez efektownych starć, dobrze sprzedających się w mediach i pobudzających wyobraźnię społeczeństwa. Bez wyraźnych zwycięstw ani porażek. Bez widoków na jakiegokolwiek rozstrzygnięcie.



Rzeźba z „ogrodu pamięci” przed muzeum w Dniprze, wrzesień 2016 r., stanowiąca „odpowiedź” na rosyjską rzeźbę z „zielonym ludzikiem” ratującym kota podczas aneksji Krymu. Dziewczynka podaje jabłko żołnierzowi. W tle tabliczka z nazwą Iłowajska, pola jednego z głównych starć tej wojny oraz sprzęt bojowy.

Taka wojna głównie męczy, jak kiedyś (oczywiście z uwzględnieniem kolosalnej różnicy skali) I wojna światowa. Większość Ukraińców ma jej serdecznie dość, choć nadal godzi się ponosić jej ciężar. Żołnierze wciąż cieszą się szacunkiem, ale dowódcy, zwłaszcza ci najwyżsi – już niekoniecznie. Z analizy różnych sondaży można odnieść wrażenie, że rośnie zapotrzebowanie na polityka, który zaproponuje realne rozwiązanie pokojowe. Który zaproponuje, jak pogodzić się z porażką, zachowując niepodległość i godność. Na razie nikogo takiego nie widać.

Wojna zahamowała reformowanie Ukrainy. Nie tylko dlatego, że państwo musiało początkowo skupić się przede wszystkim na odbudowie sił zbrojnych, gruntownie zdeorganizowanych za rządów Janukowycza (na początku 2014 r. Ukraina mogła wystawić ledwie trzy–pięć tysięcy żołnierzy zdolnych do walki i to ze składu kilkudziesięciu jednostek). Także dlatego, że wojna nie jest czasem liberałów, nie jest też dobrym czasem dla dysputowania i podejmowania ryzyka przebudowy instytucji i procedur (reformy zawsze wiążą się z ryzykiem).

Już latem 2014 r. uczestnicy i zwolennicy rewolucji godności podzielili się na dwa obozy. Jedni uważali, że mimo wojny należy nalegać na wprowadzanie liberalnych reform i ostro krytykować władze za ich opóźnianie. Inni uznali, że naród powinien skonsolidować się wokół kierownictwa państwa i zawiesić krytykę jego działalności, o ile tylko dobrze służy ono obronie państwa.

W pierwszej fazie wojny ci drudzy mieli rację, a pierwsi milczeli (jedni i drudzy w dużej mierze walczyli lub pracowali na rzecz frontu). Ale po ustaniu aktywnych działań racja była po stronie krytyków kulejącego procesu realizacji zapowiadanych zmian. Tyle że w międzyczasie powstał nieformalny sojusz między „rewolucyjnymi” zwolennikami nowych władz a niechętną reformom biurokracją państwową. Sojusz, który okazał się trwały.

Wojna/współpraca. Nowe oblicze konfliktu

Ukraina od pięciu prawie lat prowadzi wojnę z Federacją Rosyjską. Takie są fakty: bez stałego rosyjskiego wsparcia separatystyczne republiki dawno by upadły; nawet jeśli jednostek rosyjskich nie ma dziś w Donbasie, czekają tuż za granicą, gotowe do wkroczenia w każdej chwili. Ale oba kraje wciąż utrzymują stosunki dyplomatyczne, granica

jest otwarta, ruch bezwizowy obowiązuje bez zmian. Wypowiedzenie pod koniec 2018 r. traktatu o przyjaźni i współpracy było do pomyślenia tylko dlatego, że wiosną 2019 r. ubiegał jego termin i trzeba by go oficjalnie przedłużyć. Ostatnio Kijów zrywa niektóre umowy zawarte w ramach Wspólnoty Niepodległych Państw, ale głównie te bez większego znaczenia.

Ukraina zrezygnowała z importu rosyjskiego gazu ziemnego, pozbawiając Moskwę jednego z najważniejszych narzędzi presji na Kijów. Było to możliwe głównie dlatego, że duża część gazochłonnego przemysłu Donbasu wypadła z bilansu energetycznego Ukrainy – ale też dlatego, że po raz pierwszy od upadku Związku Sowieckiego nad Dnieprem poważnie zajęto się racjonalizacją zużycia energii. To niewątpliwy, strategiczny sukces Kijowa.

Ale dostawcą paliwa jądrowego dla ukraińskich elektrowni pozostaje Rosja, a import oleju napędowego z tego kraju rośnie. Ukraińskie czołgi i pojazdy opancerzone jeżdżą na rosyjskim paliwie. Antracyt z Donbasu nie trafia już wprawdzie na Ukrainę (i dalej na zachód) bezpośrednio, ale przez terytorium rosyjskie, ze sfałszowaną dokumentacją (zostało to wymuszone dopiero na początku 2016 r., gdy weterani batalionów ochotniczych zablokowali linie kolejowe, łączące Donbas z pozostałym terytorium Ukrainy. Wcześniej obowiązywała zasada *business as usual*). Zachowana lub wznawiana jest współpraca wielu zakładów zbrojeniowych obu krajów. Wszyscy o tym wiedzą, mało komu to przeszkadza. To nie jest niekonsekwencja. To nowy sposób toczenia konfliktu zbrojnego: bez wypowiedzenia wojny, bez rozciągnięcia konfrontacji na wszystkie sfery życia państwowego i gospodarczego. Zbyt silne są powiązania gospodarcze i interesy z nimi związane. Tak prawdopodobnie będą wyglądać wojny nadchodzących czasów. Nie jest to dobra nowina, bo takie konflikty mogą ciągnąć się dziesięciolecia.

Państwo oligarchiczne ma się dobrze

Na przełomie stuleci na Ukrainie ukształtowała się demokracja oligarchiczna, obsługująca przede wszystkim interesy ludzi uwłaszczonych na majątku państwa komunistycznego, nastawionych na czerpanie korzyści bez inwestowania w rozwój i działanie na pograniczu prawa. Jednym z jej fundamentów była systemowa korupcja (znacznie

więcej niż łapownictwo), innym – bezpośrednia kontrola właścicieli wielkich przedsiębiorstw nad mediami i partiami politycznymi. To ich właśnie zwiemy postsowieckimi oligarchami.

Po pomarańczowej rewolucji 2004 r., za rządów prezydenta Juszczenki stało się jasne, że system ten okrzepł, jest zdolny do samoobrony. Za rządów „pomarańczowego” prezydenta nastąpiła jedynie pewna zmiana układu sił. Osłabło znaczenie związanych z Donieckiem magnatów węgla i stali, wzrosło znaczenie pomniejszych oligarchów kontrolujących przemysł maszynowy. Podstawa systemu pozostała nienaruszona. Walką z korupcją toczyła się głównie na poziomie retoryki.

Po zwycięstwie Janukowycza w 2010 r. przewagę ponownie zdobyli „donieccy”. Ten prezydent jednak spróbował podważyć oligarchiczny charakter państwa, podporządkować oligarchów jednemu ośrodkowi, zwanemu potocznie Rodziną (dominowali w nim ludzie związani ze starszym synem Janukowycza²²⁶) i ustanowić reżim autorytarny wzorowany na rosyjskim. Zagrożeni oligarchowie nie wsparli prezydenta w starciu z rewolucją godności; niektórzy nawet zakulisowo ją wsparli.

W 2014 r. szybko okazało się, że naruszenie podstawowych interesów oligarchów nie jest możliwe. Na czele państwa stanął, praktycznie nie mając konkurentów, oligarcha (Poroszenko jest właścicielem koncernu cukierniczego i kilku stoczni, doświadczonym politykiem i właścicielem opiniotwórczej stacji telewizyjnej). W stabilizacji położenia na wschodzie kraju wielki był udział Ihora Kołomojskiego²²⁷, właściciela największego banku kraju, który m.in. sfinansował organizację pierwszych batalionów ochotniczych. Tak jak za Juszczenki, nastąpiło jedynie przetasowanie w ramach systemu. Głębsze, poważniejsze od poprzedniego.

Związane z wojną załamanie gospodarki Zagłębia Donieckiego podważyło pozycję Achmetowa i innych „donieckich”. Ostatecznie skończyło się zerowanie na dystrybucji rosyjskiego gazu ziemnego. Wzrosła natomiast rola pozostających dotychczas w cieniu oligarchów sektora rolnego (ukraińskie rolnictwo od początku wieku przeżywa odrodzenie), którym skrycie patronował prezydent, także związany z sektorem rolno–spożywczym.

Mimo nacisków (przede wszystkim ze strony Międzynarodowego Funduszu Walutowego) walka z korupcją idzie opornie. Udało się sformować specjalny antykorupcyjny sąd i prokuraturę (co skądinąd było

przyznaniem, że oczyszczenie „zwykłego” sądownictwa i prokuratury z osób skorumpowanych jest nierealne), ale wyników ich działalności na razie brak. Wyraźne efekty przyniosło natomiast wprowadzenie elektronicznego systemu przetargów na zamówienia publiczne oraz uporządkowanie systemu zwrotu podatku VAT. Znacząco ograniczyło to rozmiary korupcji, poprawiło stan finansów państwa, umocniło odradzanie się gospodarki po katastrofalnym załamaniu w 2014 r. Międzynarodowy wskaźnik percepcji korupcji dla Ukrainy poprawił się, ale wciąż zajmuje ona 120. miejsce wśród 180 ocenianych państw. Korupcja pozostaje elementem systemowym, nie da się jej wykorzenić jedynie narzędziami wymiaru sprawiedliwości.

Autorytarne tendencje czasów Janukowycza odeszły w przeszłość, stan ukraińskiej demokracji poprawił się. Jednak reguły gry politycznej istotnie się nie zmieniły. Reforma konstytucyjna utknęła w podzielonym parlamencie. Nie zmieniono prawa wyborczego, co było jednym z postulatów rewolucji²²⁸. „Deoligarchizacja” okazała się nierealna: to oligarchowie od ponad dwudziestu lat rządzą Ukrainą. „Strawili” już dwie rewolucje demokratyczne i jedną próbę autorytarne zamachu. Nie ma nikogo, kto mógłby ich zastąpić.

Niedomyślana reforma samorządowa

Najważniejszą zmianą, którą umożliwiła rewolucja godności, jest zapoczątkowanie reformy systemu administracji terytorialnej, wzmacniającej władze samorządowe. Pomysł był dobry, realizacja niekonsekwentna, skutki – jak dotąd – niejednoznaczne.

Najlepiej wypadło wzmocnienie samodzielności finansowej miast i miasteczek: efekty już widać, także na głębokiej prowincji. Gorzej przebiega tworzenie gmin zbiorowych (takich, jakie mamy w Polsce) przez dobrowolną konsolidację dotychczasowych gromad (odpowiednik naszych sołectw): z dotychczasowych jedenastu tysięcy gromad miało powstać ok. tysiąca pięciuset gmin. Grzechem pierworodnym okazała się właśnie dobrowolność, pozostawiająca w „szarej strefie” gromady niescalone (a te wciąż stanowią większość). Nie uregulowano też przejściowej roli *rajonów* (powiatów), co tworzy różne problemy. To ostatnie zaniedbanie wiązało się z zamiarem konsolidacji tych jednostek: z około czterystu do stu, co musiałoby się wiązać z istotną zmianą ich

zadań. Proces przebiegał więc opornie: do stycznia 2019 r. powstało niespełna tysiąc gmin, które zamieszkuje czwarta część ludności Ukrainy (i trzecia część ludności wsi). Niestety, nie wiemy, ile gromad zostało dotychczas „zjednoczonych”.

Ustawy „decentralizacyjne” (tak nazywa się ten proces na Ukrainie) wprowadzono bez niezbędnej nowelizacji konstytucji. Rozkład sił w Radzie Najwyższej Ukrainy wyklucza uchwalenie takich zmian przed wyborami. Czy w Radzie nowej kadencji będzie to łatwiejsze? Nie ma pewności. Zatem zamiast umacniać państwo reforma ta przyczynia się do dalszej erozji praworządności, a także świadomości prawnej Ukraińców.

Spółeczeństwo: bardziej jednolite, mniej stabilne

Pięć lat po rewolucji godności i imponującym ruchu wolontariackim, wspierającym walczących w Donbasie (tak ochotników, jak i regularne wojsko), niezbyt wiele pozostało z tamtej atmosfery. Choć pewnie więcej, niż się wydaje: sektor pozarządowy znikł z pola widzenia mediów, a i tym organizacjom na ogół nie zależy na rozgłosie.

To, co można powiedzieć o współczesnym społeczeństwie ukraińskim, to że jest ono bardziej jednolite niż wcześniej: wojna przyniosła konsolidację postaw obywatelskich, ujednoliciła postrzeganie Ojczyzny. Także dlatego, że znaczna część obywateli, którzy nie identyfikowali się się z państwem ukraińskim pozostała na terenach niekontrolowanych przez Kijów lub wyjechała do Rosji. A także dlatego, że coraz liczniejsza część Ukraińców jest wychowana już w niepodległym państwie, nie zna innej rzeczywistości.

Jednocześnie społeczeństwo stało się dużo mniej stabilne, bardziej chaotyczne niż w 2012 r. Rewolucja godności ujawniła znaczący wzrost przyzwolenia na przemoc (co nie wydaje się osobliwością Ukrainy), wojna je umocniła. Pojawili się nieznani wcześniej uchodźcy wewnętrzni (prawdopodobnie ponad milion) oraz weterani wojenni, którym odnaleźć się w pokojowym życiu pomagają głównie organizacje obywatelskie. Pojawił się strach, poczucie bezpośredniego, wojennego zagrożenia, stale podsycane przez oficjalną propagandę.

W ręce cywilów dostała się wielka ilość broni wojskowej. Część wpadła w ręce zorganizowanej przestępczości, i wcześniej już silnej. Udało się wprawdzie podporządkować państwu ochotnicze formacje wojskowe, ale

część z nich zachowała autonomię organizacyjną. Zachwianie się ładu wewnętrznego doprowadziło do utraty przez państwo kontroli nad obszarami nielegalnego wydobycia bursztynu na Wołyniu (sytuacja ta trwa już kilka lat). Wciąż zdarzają się pobicia i zabójstwa działaczy społecznych, zwłaszcza demaskujących układy korupcyjne. I tak dalej, i temu podobne.

O rozczarowaniu obywateli nie tyle obecną władzą, co politykami w ogóle najlepiej świadczy to, że jednym z liderów prezydenckich sondaży stał się telewizyjny komik²²⁹, który prawdopodobnie jest skrycie popierany przez Ihora Kołomojskiego, jednego z najważniejszych dziś oligarchów Ukrainy. Ale tego przeciętny wyborca już nie wie.

To, co było zaczynem rewolucji godności, zostało zrealizowane: Ukraina jest stowarzyszona z UE, jej granice Ukraińcy przekraczają bez wiz. I bardzo wielu aktywistów rewolucji wyjechało – do Polski lub dalej. Głównie ci nastawieni liberalnie, otwarci, znający języki, młodzi. A także ci, którzy nie chcą nadstawiać karku w obecnej, beznadziejnej wojnie. Nie wiemy, ilu z nich wyjechało na kilka lat, do pracy, ilu zaś na stałe. Pomniejsza to elektorat prozachodni i proreformatorski, zmniejsza możliwości sukcesu reform. Zostają ci mniej operatywni, słabiej wykształceni, starsi. Co nie znaczy, że przeciwni zachodzącym zmianom. Ale popierający je biernie. Oraz ci o zdecydowanie nacjonalistycznych poglądach.

Nasiliła się emigracja, nie tylko ta czasowa, zarobkowa. Jej skali nikt nie umie oszacować. Dla kraju, który w ciągu dwudziestu lat pokojowego rozwoju stracił prawie siedem milionów mieszkańców (bez uwzględnienia salda migracji), jest to poważne, rosnące zagrożenie. Dziś według danych oficjalnych Ukraina (bez Krymu, ale z Donbasem) liczy nieco ponad czterdzieści dwa miliony mieszkańców (wobec czterdziestu trzech na początku 2014 r., już po odliczeniu ludności Krymu). Tę liczbę można śmiało uznać za zawyżoną: Kijów nie ma dobrego rozeznania sytuacji demograficznej na terenach kontrolowanych przez separatystów, a także nie jest w stanie ocenić rzeczywistej skali emigracji.

Inne spojrzenie: dryf pokoleniowy

Rewolucja godności ujawniła potencjał nowego pokolenia, dla którego

państwo ukraińskie jest rzeczywistością zastaną, oczywistą – poczynając od mapy w szkolnej klasie i flagi przed szkołą. Dla którego ojczyzna zawsze rozciągała się od Karpat do Dońca Siewierskiego, a *sziroka strana maja radnaja*²³⁰ rozciągająca się od Kaliningradu po Władywostok – jest już tylko egzotyką. Nawet jeśli mówią i czytają głównie w języku rosyjskim.

Nie wszyscy z nich są zwolennikami opcji proeuropejskiej, nie wszyscy są mili, otwarci i nowocześni. Jak w każdym kraju mają różne wykształcenie, różne poglądy, różną wrażliwość społeczną. Ale wszyscy są urodzonymi obywatelami Ukrainy, dla wszystkich stanowi ona naturalny punkt odniesienia.

Z każdym rokiem jest ich więcej, a starszych, dla których instynktownym, naturalnym punktem odniesienia jest Moskwa – mniej. Bez niczyjego wysiłku, niczyjej zasługi. Ten pokoleniowy podział stał się już najważniejszym podziałem wewnętrznym Ukrainy, spychając na dalszy plan „klasyczny” podział na Zachód, Centrum i Wschód.

Jest to ogromna zmiana, nieporównywalna z tą, którą przeżyliśmy po 1989 r. Granice, stolica, język urzędowy, hymn i flaga Polski nie uległy wówczas zmianie, tylko herb został nieznacznie skorygowany. Dzieci w szkole nadal uczyły się tej samej geografii, tej samej (choć inaczej interpretowanej) historii. Na Ukrainie wszystko to zmieniło się diametralnie.

*

Rewolucja godności nie zrodziła jednej, wyrazistej siły politycznej ani nawet społecznej. Zbyt była pstra, niejednorodna, zbyt improwizowana. Nawet w dniach kijowskiego powstania nie było jednolitego dowództwa. Było wiele organizacji, form działania, ugrupowań. Trochę w duchu ukraińskiego anarchodemokratyzmu, zakorzenionego jeszcze w micie Zaporozża, trochę w duchu współczesnych, „sieciowych” form samoorganizacji społecznej.

Ale rewolucja i jej przedłużenie – masowa akcja społecznego wsparcia sił zbrojnych – wyzwołyły ogromny potencjał. Powstały liczne nowe organizacje, w starych pojawili się nowi ludzie. Inaczej niż przed dziesięć laty nie będą skłonni zrezygnować z samodzielnego udziału w życiu państwa, „pozostawić politykę politykom”. Choć ci ostatni będą

starali się ich do tego skłonić.

To już inne pokolenie, inny naród. Wciąż w pamięci jest wielki zawód rządami ludzi, wyniesionymi przez pomarańczową rewolucję. Pamięć o poległych na Majdanie i w Donbasie traktowana jest jako zobowiązanie moralne. Nowe technologie, nowa wiedza o świecie (także o tym, że korupcja polityczna, arogancja władzy i manipulacja przekazem medialnym nie są problemem wyłącznie państw postsowieckich) podpowiadają nowe idee i nowe formy ich wyrazu. Ale przyzwolenie na przemoc jest dziś znacznie większe niż dziesięć lat temu. Unikanie starć, ofiar przestało być nadrzędną troską organizatorów protestów politycznych. Świadczy o tym choćby dramatyczne wydarzenie z 31 sierpnia 2015 r., gdy podczas protestów przed gmachem Rady Najwyższej Ukrainy z tłumu rzucono w kordon milicji petardami i świecami dymnymi. W końcu ktoś rzucił granat bojowy. Zginęło dwóch żołnierzy Gwardii Narodowej, ponad stu funkcjonariuszy służb porządkowych odniosło rany. Protestowano wówczas przeciw nowelizacji konstytucji dopuszczającej nadanie Donbasowi „szczególnego” statusu (nowelizacja została odrzucona przez parlament).

Lato 2019 roku

Wybory prezydenckie wygrał Zełenskyj. Wygrał je w wielkim stylu: w II turze poparło go 73% wyborców przy frekwencji przekraczającej 60%. Tylko w obwodzie lwowskim nie udało mu się wygrać z Poroszenką. Tak naprawdę wybory wygrał nie on, a Wasyl Hołoborodko, wiejski nauczyciel historii, człowiek prosty i uczciwy, który osobliwym zbiegiem okoliczności zostaje prezydentem. Postać fikcyjna, bohater programu telewizyjnego *Sługa narodu* (pierwszy sezon emitowany w 2015 r.), grany przez Zełenskiego właśnie. Na razie nie wiemy, czy powodzenie serialu było źródłem pomysłu, by jego twórca ubiegał się o prezydenturę, czy też już serial był elementem długofalowego planu mającego wprowadzić go na to stanowisko.

W maju 2019 r. niewielu miało wątpliwości, że głównym autorem tego projektu politycznego jest Kołomojskyj; podczas kampanii wyborczej także wyborcy zdążyli się tego dowiedzieć. Nie wpłynęło to negatywnie na poparcie wyborców. Kilka miesięcy później nie wydaje się to już takie pewne, a niektórzy analitycy uważają, że autorzy „projektu Ze”, jak

często pisze się na Ukrainie o nowym prezydencie i jego partii, chcieli tylko napsuć krwi Poroszenko i może zapewnić zwycięstwo Julii Tymoszenko, a poparcie dlań najbardziej zaskoczyło ich samych...

Pierwszym krokiem nowego prezydenta było rozwiązanie parlamentu i rozpisanie przedterminowych wyborów na koniec lipca. Krok ryzykowny, zważywszy, że jego partia, zwana – a jakże – Sługa Narodu istnieje głównie na papierze. Ale ryzyko opłaciło się sownie: partia Zełenskiego zdobyła poparcie 44% wyborców i 252 mandaty, po raz pierwszy w dziejach niepodległej Ukrainy tworząc samodzielną większość parlamentarną (w Radzie Najwyższej Ukrainy zasiada 423 deputowanych²³¹). Żaden z deputowanych Sługi Narodu nie zasiadał wcześniej w Radzie Najwyższej, bardzo niewielu ma doświadczenie samorządowe. Jak będą rządzić, na ile okażą się niepodatni na wpływy lobbystyczno–korupcyjne – pokaże czas.

Tym bardziej trudno przyjąć, by prezydent Zełenskiy miał być marionetką Kołomojskiego, nawet gdyby było prawdą, że to ten oligarcha zainicjował „projekt Ze”. Gdy całkiem niedawno, bo w 2014 r. Wołodmyr Hrojsman²³² został premierem Ukrainy, także powszechnie uważano, że będzie on marionetką prezydenta Poroszenki. Po roku był już samodzielnym politykiem. Stanowisko zmienia tego, kto je sprawuje. A skala poparcia społecznego daje Zelenskiemu silną pozycję także wobec wczorajszych mocodawców.

Pierwsza część tego tekstu to zarzucony artykuł dla „Tygodnika Powszechnego” z lutego 2015 r., druga ukazała się w „Tygodniku” nr 8/2019 r. pod tytułem *Oligarchia trzyma się mocno*. W tym drugim przywróciłem fragmenty pominięte ze względów objętościowych. Rozdział *Inne spojrzenie* oparty jest na fragmentach mojego artykułu *Co ujawniła rewolucja godności* („Kultura i Społeczeństwo” nr 2 z 2015 r.), gdzie można znaleźć szersze omówienie ukraińskiego „dryfu pokoleniowego”, końcowy rozdział dopisałem w połowie czerwca, a zaktualizowałem we wrześniu 2019 r.

Ukraiński nacjonalizm rok po Majdanie

W lipcu 2014 r. pisałem na tych łamach o toczonej przez Ukrainę wojnie, „od której wyniku zależeć będzie m.in. to, czy ukraińskie dyskusje o historii będą jeszcze w ogóle możliwe”, wojnie, która musi odsunąć na dalszy plan krytyczną refleksję nad przeszłością, odkrywanie jej czarnych plam, oczyszczanie narodowego sumienia. Nie dlatego, że ktoś tego chce. Dlatego, że taka jest logika wojny.

Ta wojna trwa już prawie rok i Bóg jeden wie, ile jeszcze potrwa (nie oczekuję, by rozejm zawarty 12 lutego okazał się wiele trwalszy od poprzedniego²³³). Już dziś widać, że przyniosła ona ogromne zmiany społeczne i świadomościowe na Ukrainie. Także ukraiński nacjonalizm (rozumiany tak jako kompleks idei, jak i ruch społeczny) podlegał tym przemianom. I paradoksalnie – choć więcej dziś mówi się o Banderze niż półtora czy dwa lata temu, głoszone przezeń idee są w debacie społecznej obecne słabiej niż wówczas. Bandera zmienia się z historycznego przywódcy w uroczysty symbol.

Nacjonalizm i *nacionalizm*

Polacy i Ukraińcy rozumieją przez nacjonalizm co innego. Dla nas jest nim na ogół uznawanie własnego narodu za wyższy, lepszy etc. od innych, a także wyraźne odróżnianie wspólnoty narodowej od państwowej (obywatelskiej). Dla Ukraińców (tak jak dla Anglosasów) nacjonalizm to uznawanie własnego narodu za dobro najwyższe dla jego członków, ojczyzny – za najważniejszą rzecz w życiu osobistym i społecznym. W tym rozumieniu zawiera się też nacjonalizm rozumiany „po polsku”. Ale tylko zawiera się. Są i inne formuły ukraińskiego nacjonalizmu, również takie, które w Polsce uznalibyśmy za rozsądny, umiarkowany patriotyzm.

Konieczna jest tu pewna dygresja. W swoich tekstach zazwyczaj różnicuję narodowców i nacjonalistów, co nie dla każdego może być jasne. Oba kierunki (jeśli można użyć tego określenia) łączy uznanie prymatu wspólnoty narodowej w życiu społecznym, zwłaszcza prymatu

wspólnoty narodowej (etniczno–historycznej) nad obywatelską, dzieli natomiast to, że o ile narodowcy są za własnym narodem, ale nie przeciw innym, dla nacjonalistów wrogość wobec innych (wybranych) narodów jest istotnym i niezbędnym elementem tożsamości narodowej.

W ukraińskim języku politycznym istnieją dwa terminy: *ukrajinskyj narod* i *narod Ukrainy*. To pierwsze to naród (lud) etniczny, drugie – wspólnota polityczna. Początkowo wyraźnie rozłączne, dziś splatają się ze sobą, przenikają. Mówi się już o „państwowym nacjonalizmie”, nacjonalizmie obywatelskim. Dla polskiego ucha brzmi to dziwnie, dla brytyjskiego czy francuskiego już nie.

Jest jednak jeszcze trzecia „definicja” ukraińskiego nacjonalizmu, także obecna w polskiej debacie. To definicja rosyjska, zgodnie z którą nacjonalistyczny jest pogląd, że Ukraina może być odrębna od Rosji, że może istnieć ukraińska kultura wysoka, a język ukraiński być w pełni rozwiniętym, odrębnym od rosyjskiego. Traktująca ukraińskość jako opcję polityczną, wrogą *russoj idiei*, opcję obcego (dawniej niemieckiego, dziś – amerykańskiego, ale bywa, że i polskiego) pochodzenia.

Warto też pamiętać, że dla Rosji faszystą jest każdy, kto bez należytego entuzjazmu odnosił się w latach czterdziestych do Armii Czerwonej, ba – każdy, kto dziś przypomina o jej zbrodniach i nieprawościach. Tak mówiono i pisano również o Armii Krajowej. Nie warto przenosić do naszych sporów tej siatki pojęciowej.

Dziś wcale często można usłyszeć i przeczytać, że w Kijowie panuje „ideologia banderowska”, to znaczy odrzucenie poglądu o naturalnej przynależności Ukrainy do rosyjskiej strefy wpływów cywilizacyjnych, gospodarczych i politycznych. I niejeden nad Dnieprem słysząc to, myśli sobie, że nie taka zła to „ideologia”, skoro z taką złością atakuje ją Moskwa.

Wbrew głośzonym także u nas poglądom wydarzenia ostatniego roku ukazały nie siłę, ale słabość radykalnego nacjonalizmu. To prawda, że organizacje post–OUN–owskie i neonazistowskie, niezbyt liczne, ale malownicze, więc atrakcyjne dla mediów, odegrały istotną rolę w pierwszej fazie rewolucji, ale już w walkach powstańczych nie za bardzo było ich widać. W szeregach Niebiańskiej Sotni prawie ich nie było, w ochotniczych batalionach przeważają rosyjskojęzyczni mieszkańcy miast centralnej i wschodniej części kraju.

To prawda, że często przemawiają oni bardzo twardym, nacjonalistycznym językiem. Ale wojna nie jest czasem liberałów, wazenia racji, tolerancji, krytycznego spojrzenia na przeszłość. Wojna to czas czystego przeciwstawienia: my albo oni (zwyciężymy), wręcz: ja albo on (będę żyć). Na refleksję będzie czas, gdy przestanie lać się krew, gdy do miast i wsi nie będą wracać trumny i okaleczeni. Może się to komuś nie podobać, ale tak po prostu jest. Nie tylko na Ukrainie.

Od Majdanu do wyborów (z wojną w tle)

Na Majdanie dominowali Ukraińcy. Wielu z nich było nacjonalistami (w polskim rozumieniu). Ale obok nich było tam mnóstwo Rosjan, byli Tatarzy i Grecy, Polacy i Żydzi (nie Ukraińcy pochodzenia polskiego czy żydowskiego, ale działacze organizacji tych mniejszości). Niektórzy polegli. Było wiele drażniących polską wrażliwość flag czerwono-czarnych i banderowskich pieśni, ale była też modlitwa i sakramenty święte, i wielka praca samokształceniowa. Nikt nie wyszedł z Majdanu taki, jaki nań wszedł.

Prawy Sektor Majdanu był na początku prawym sektorem stadionu kijowskiego Dynamo²³⁴, miejscem i synonimem najbardziej radykalnych kibiców, tzw. ultras, jak często na świecie nastrojonych nacjonalistycznie. To wokół nich skupili się na Majdanie znacznie mniej liczni członkowie organizacji polityczno-bojówkarskich, takich jak Patriota Ukrainy, UNA-UNSO czy Tryzub, a także szybko usunięte z tworzącej się organizacji otwarcie rasistowskie grupki w rodzaju Białego Młota. Z początku w Sektorze byli też anarchiści z Czarnego Sektora, jednak szybko odeszli, pozostawiając tworzącą się organizację radykalnym pravicowcom.



Pierwotny *prawy sektor*, kibicowska oprawa na jednym z meczów, zdjęcie wywieszzone w 2012 r. na pikiecie w obronie Julii Tymoszenko na Chreszczatyku. Oblicze Janukowycza z dziurą po kuli na czole, napis po rosyjsku: *Dziękujemy mieszkańcom Donbasu* (dalsza część tego powszechnie znanego hasła głosiła: *za prezydenta pidarasa*, tj. pedała; w wersji „ugrzecznionej” – *za prezydenta Hondurasu*).

Neobanderowska Swoboda była na Majdanie słaba, choć dzięki umiejętnej „polityce wizerunkowej” bardzo widoczna. Jako partia parlamentarna nie miała już najlepszej opinii wśród radykałów, a autorytet jej przywódcy Tiahnyboka podważył jego udział w rokowaniach z Janukowyczem.

Podwójne wybory 2014 r. partie nacjonalistyczne przegrały z kretesem. W prezydenckich Tiahnyboka (lidera Swobody) i Jarosza (lidera Prawego Sektora) poparło łącznie ok. trzystu tysięcy wyborców, w parlamentarnych ich partie zdobyły ok. miliona głosów, o połowę mniej niż padło na Swobodę w 2012 r. (Prawy Sektor wówczas nie istniał). Swoboda została zredukowana do fenomenu prowincjonalnego, Prawy Sektor nie zdołał stać się partią z prawdziwego zdarzenia. Chyba nawet nie za bardzo próbował.

Niektórzy zaliczają do partii „neobanderowskich” populistyczną Partię Radykalną Ołeha Laszki. Jednak jej lider odwoływał się do tradycji banderowskiej tylko po to, by zdobyć głosy na zachodzie Ukrainy (jego „środowiskiem naturalnym” jest centrum kraju). I po to wpisał na czołowe miejsce listy wyborczej Jurija Szuchewycza²³⁵, w obrzydliwy sposób zagrał synem dowódcy UPA, ociemniałym starcem, który większość życia spędził w sowieckich łagrach nie za działalność nacjonalistyczną (w 1945 r. miał dwanaście lat), a za upieranie się przy nazwisku ojca.

To, że i Jaceniuk, i Turczynow, i nawet Poroszenko często mówią pozytywnie o UPA, nie znaczy, że pochwalają jej zbrodnie czy że są „kryptobanderowcami”. Ale podobnie jak większość obywateli nie chcą z powodu tych zbrodni potępić całej formacji, ważnej części dziejów najnowszych Ukrainy. Zaś Ukraińcy na ogół niewiele wiedzą o zbrodniach UPA, jeśli wiedzą – trudno im w nie uwierzyć, także dlatego, że dowiadują się o nich głównie z rosyjskiej propagandy. Ale i dlatego, że nie jest łatwo uwierzyć w winy własnego narodu – wiemy o tym z własnego doświadczenia.

Państwotwórcze bataliony

Fenomenem tej wojny są formacje ochotnicze, sformowane głównie z członków Samoobrony Majdanu, uczestników walk powstańczych w Kijowie zimą 2014 r. To one po haniebnym (w ich i nie tylko ich oczach) poddaniu Krymu przez rząd i wojsko przeciwstawiły się rebelii w Donbasie i wymusiły na Ukrainie stawienie zbrojnego oporu separatystom i wspierającej ich Rosji.

Dziś, gdy działania wojenne przybrały regularny charakter z masowym użyciem ciężkiej artylerii i broni pancernej, rola słabo wyszkolonych i wyekwipowanych ochotników zmniejszyła się, choć wciąż są obecni na froncie. Te uzbrojone i zdeterminowane, a wciąż słabo kontrolowane przez MSW i MON formacje liczą dziś kilka tysięcy ludzi²³⁶. Przez ich szeregi przewinęło się kilkanaście, może i ponad dwadzieścia tysięcy młodych Ukraińców. A są też ich rodziny i wielotysięczna rzesza wolontariuszy zaopatrujących tak ochotników, jak i regularne oddziały praktycznie we wszystko oprócz broni. To ogromny potencjał społeczny, zdolny wstrząsnąć państwem. Na dobre lub na złe. Ochotnicze bataliony

często uważane są za ożywione duchem radykalnego nacjonalizmu, „banderyzmu”²³⁷, neonazizmu etc. I rzeczywiście takich ludzi jest w ich szeregach wielu: dobrowolnie na wojnę idą ludzie o zdecydowanych poglądach, skłonni do przemocy, gotowi narażać życie. Więc raczej szowiniści niż liberałowie, raczej kibole niż hipsterzy. Ale z wypowiedzi ich przedstawicieli wynika, że częściej podzielają poglądy państwowotwórcze (po ukraińsku *derżawnycke*) niż nacjonalistyczne w naszym rozumieniu. Wbrew stereotypowi w batalionach przeważają mieszkańcy centralnej i wschodniej Ukrainy. W dużej mierze, może w większości, rosyjskojęzyczni. Także ukraińscy Rosjanie, jak Semen Semenczenko²³⁸, do niedawna dowódca *Donbasu*, który jeszcze rok temu nazywał się Kostiantyn Griszin. Etniczny Rosjanin z Sewastopola, dziś deputowany z listy „Iwowskiej” liberalnej partii Samopomoc.

Batalion *Ajdar* (nazwa od rzeki w obwodzie ługańskim) niebezzasadnie kojarzony jest z radykalnym nacjonalizmem. Ale... kilka tygodni temu ich patrol wpadł na minę, zginęło trzech żołnierzy: chrześcijanin, muzułmanin i Żyd. Trzech radykalnych patriotów Ukrainy, trzech „obywatelskich nacjonalistów”. Dziś opiewa ich pieśń, na razie batalionowa, wkrótce może ogólnokrajowa.

W ukraińskich siłach zbrojnych (regularnych i ochotniczych) walczą ludzie młodzi, urodzeni pół wieku po likwidacji UPA. Wnuki, czasem już prawnuki uczestników ówczesnych wydarzeń. W sensie pokoleniowym, bo bardzo rzadko rzeczywiści potomkowie. UPA to dla nich odległa historia, większości znana słabo lub opacznie. Oraz bohaterska legenda, tak bardzo potrzebna żołnierzowi.

W okopach nie snuje się rozważań, nie waży racji, nie pogłębia wiedzy historycznej. W okopach się zabija i umiera. Hasło „Chwała narodowi – śmierć wrogom” (na które zresztą ukraińscy nacjonałiści nie mają monopolu) ma dziś bardzo prostą treść: przed nami jest wróg. Śmierć jemu – albo nam.

Wobec wyzwań nowego czasu

W ciągu poprzednich lat ukraińscy intelektualiści starali się odnaleźć prawdę o UPA, także tę dla nich niewygodną. Po swojemu, nie po rosyjsku czy po polsku. Osiągnęli wiele, tak w zakresie pogłębiania wiedzy historycznej, jak i nowej refleksji moralnej. Teraz ten proces uległ

zahamowaniu, również dlatego, że nasilił się rosyjski atak na ukraińską tradycję historyczną (nie tylko na UPA, ale na nią przede wszystkim). Także ze strony „użytecznych idiotów” piszących po angielsku, niemiecku i polsku.

Do dynamiki tych działań sprzed 2013 r. nie ma już powrotu. Gdy będzie można je podjąć na nowo, przybiorą inne formy, bo wojna wywrze głęboki wpływ na świadomość ich uczestników. W jakim kierunku – trudno przewidzieć, to zależy będzie od jej wyniku i czasu jej trwania. Jedno przypuszczenie można zaryzykować: wszyscy będą bardziej stanowczy w swych poglądach.

Ale też – wydarzenia z lat czterdziestych nie będą już ostatnią heroiczną kartą w dziejach narodu. Na naszych oczach wyrastają nowe symbole: miejsca i ludzie. Polegli pod Iłowajskiem i Debalcewem, a wcześniej Niebiańska Sotnia odsuwają na dalszy plan upowców na podobnej zasadzie, jak kiedyś w naszej świadomości żołnierze AK wyparli Legionistów (nie porównuję formacji, a tylko mechanizm). A o tym, co dalsze, łatwiej rozmawiać spokojnie, łatwiej uznać to, co było w nich niechwalebne, a nawet haniebne.

Tradycyjny ukraiński nacjonalizm, zwany u nas banderowskim, odchodzi do historii także z innego powodu. Myśl Doncowa i jego kontynuatorów odpowiadała na wyzwania ich czasów, świata, którego już nie ma. Jego szowinistyczne klisze słabo tłumaczyły już świat pierwszego dwudziestolecia postkomunizmu (gdyby było inaczej, ruchy post-OUN-owskie nie pozostałyby marginesem ukraińskiego życia społecznego), wobec dnia dzisiejszego są zupełnie bezradne, nie tylko na Ukrainie.

Mamy do czynienia z nowym rodzajem konfliktu (nie tylko wojny), który nie mieści się w wyobrażeniach z XX w. Część tych mechanizmów nawiązuje do dziewiętnastowiecznych lub starszych jeszcze, inne (jak rola tzw. mediów społecznościowych) są zupełną nowością. Niewiele jeszcze rozumiemy, niewiele umiemy zinterpretować. Ale uzasadniony jest pogląd, że także ideologie (których rola w „zarządzaniu” konfliktami rośnie) będą ewoluować. Że będą powstawać nowe, jak formujący się w całej Europie lewacki antysemityzm oraz neoanarchizm. I że ich potencjał rozwojowy będzie znacznie większy niż etnicznego nacjonalizmu, zakrzepłego w wyobrażeniach sprzed stulecia.

Dlatego bardziej niepokoją mnie neoprawicowcy z pułku Azow, dalecy

od ideologii OUN, za to przyjmujący pod swój sztandar „autonomicznych nacjonalistów” (niekiedy otwartych neonazistów) z połowy Europy, niż twarde trzymanie się przez Ajdarowców tradycji banderowskiej czy bardzo w sumie poczciwy dziś konserwatywny nacjonalizm melnykowców, patronujących Batalionowi OUN.

Azowcy

Batalion Azow sformowano w maju 2014 r. na południu Ukrainy (w Berdanku nad Morzem Azowskim, od którego przyjął nazwę), od początku jako specjalną jednostkę milicji. Do walki wszedł już po kilku dniach, a w połowie czerwca odegrał główną rolę w odbiciu z rąk separatystów Mariupola, który stał się główną bazą oddziału. Jesienią batalion skutecznie bronił Mariupola; jego wysiłek i sprawność bojową doceniło kierownictwo MSW, podnosząc we wrześniu 2014 r. go do rangi pułku Gwardii Narodowej; wkrótce jego stan wzrósł z ośmiuset do półtora tysiąca ludzi. Azow był najlepszą jednostką ochotniczą, nie tylko dlatego, że to za jego twórcą, a nie za Jaroszem poszli najlepsi z bojowego aktywu Majdanu. Bardziej dlatego, że jego twórca i pierwszy dowódca, Andrij Bileckyj²³⁹, okazał się przywódcą z prawdziwego zdarzenia. To dzięki niemu Azow od początku tworzył własne kwatermistrzostwo, potem ośrodki szkoleniowe, a nawet szkoły podoficerskie oparte na wzorach zachodnich, wzór dla reformy ukraińskiego szkolnictwa wojskowego. A pewnie i dlatego, że potrafił dogadać się z ministrem spraw wewnętrznych Awakowem²⁴⁰, jednym z najpotężniejszych ludzi Ukrainy.

Bileckyj jest także ideologiem. Był nim i przed 2014 r. Zwolennikiem „nowej” radykalnej prawicy europejskiej, ocierającej się o neonazizm. Odrzucał tradycyjny ukraiński nacjonalizm, etnocentryzm, którego „źrenicą oka” było biegle posługiwanie się ukraińskim, odrzucał antypolonizm tradycji OUN (i dbał o nawiązywanie kontaktów z polskimi ośrodkami „nowej prawicy”). W jego miejsce stawiał konsekwentną, jednoznaczną, cywilizacyjną wrogość do Rosji, traktowanej jako emanację „wielkiego stepu”, a także nowoczesny rasizm z kultem Białej Rasy (do ostatnich lat na Ukrainie nie spotykany) oraz zdecydowany antysemityzm, maskowany kultem Światosława Chrobrego przede wszystkim jako pogromcy Chazarów²⁴¹. A także program

antyoligarchiczny (nazizm też był wrogi wielkiemu kapitałowi, przynajmniej w słowach) i antykorupcyjny. Oraz konieczność budowy *Intermarium* na podstawie bloku ukraińsko–polskiego. Oraz wojenną drogę odzyskania ziem utraconych w 2014 r. A także rodzimowierstwo (neopogaństwo), już niemal „urzędowy” kult ruchu azowskiego. Wszystko to w nowoczesnej, „społecznościowej” formie.



Pomnik Światosława Chrobrego na kijowskiej Alei Pejzażowej, wiosna 2017 r. Ten pomnik jest starszy od ruchu azowskiego. Azowcy wzniesli mu pomniki w kilku miastach, w tym w Mariupolu.

Biłeckyj i jego towarzysze nie ograniczyli się do formacji wojskowej. Szybko zaczęli budować wokół niej instytucje cywilne. Już w 2015 r. powołują Korpus Cywilny Azow, początkowo jako cywilne zaplecze pułku, dwa lata później przekształcą go w partię polityczną o nazwie Korpus Narodowy. Partię, a wokół niej liczne organizacje – szkoły letnie i ośrodki sportowe dla dzieci i młodzieży, ośrodki opieki nad weteranami, wydawnictwo. Jest i akcja promocji krwiodawstwa, kampania na rzecz cyrku bez zwierząt i Korpus Ekologiczny. Ale także bojówki zwane Narodowymi Drużynami, z założenia – alternatywna policja, w niektórych miejscowościach już próbująca wyręczać wciąż bardzo słabe rządowe siły porządkowe.

Organizacja rośnie, przyciąga ludzi z różnych skrajnych ugrupowań, zwłaszcza tych, którzy dostrzegają potrzebę konsolidacji, brak perspektyw małych, rozproszonych grup. Jest ich już pewnie kilka tysięcy. Na zachodniej Ukrainie dołącza do Azowców wielu neobanderowców, bo ta tradycja wciąż jest tam silna. Tradycja, nie ideologia. I tak jak w 2015 r. Azowcy mnie niepokoją.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 9 z 2015 r. pod tym samym tytułem. Teraz dodałem (tradycyjnie) fragmenty usunięte wówczas jako „nadmiarowe” i dopisałem ostatni rozdział.

Ukrainy kłopoty z tożsamością (i problem polityki historycznej)

Niedawno miałem okazję dyskutować z ukraińskim politykiem o radykalnie nacjonalistycznych poglądach. I usłyszałem odeń m.in. to, że zazdrości mi, że mogę mówić: „Polska uważa, Polska oczekuje...”, gdy on tak nie może, bo „nie ma jednej Ukrainy”. Było w tym uznanie, dla niego zasmucające, że Polacy są daleko bardziej jednym narodem niż Ukraińcy.

Tak jest w istocie. Z różnych przyczyn, z których nie do końca zdajemy sobie sprawę. Przyzwyczajeni do myślenia o Ukrainie w kategoriach podziałów regionalno–historycznych nie dostrzegamy ważniejszej zmiany, jaka zaszła po II wojnie światowej. Różnice między Ukraińcami z obwodów zachodnich, centralnych i wschodnich są wciąż znaczące, po ponad pół wieku swobody migracji wewnętrznych setki tysięcy, jeśli nie miliony „zachodniaków” mieszkają dziś na wschodzie i południu kraju, mniejsza, ale też znacząca liczba „wschodniaków” – na zachodzie. Ale w całym kraju, zwłaszcza w miastach, mieszkają miliony imigrantów różnych narodowości (głównie Rosjan) z okresu powojennego, ich dzieci i wnuki. Nikt nie wie, ilu ich jest; być może stanowią nawet trzecią część narodu. Imigrantem osiadłym na Ukrainie w wieku 38 lat jest obecny premier Ukrainy, dzieckiem imigrantów – jej prezydent. To ludzie, którzy do 1991 r. utożsamiali się przede wszystkim ze Związkiem Sowieckim jako państwem i krajem, często nie mieli też wyraźnej świadomości etnicznej (członkowie rodzin mieszanych). Nawet dziś na Ukrainie jest dość liczna grupa uważająca się za ludzi sowieckich, a nie Rosjan lub Ukraińców.



Plakat propagandowy UINP obrazujący nową narrację pojednania, Kijów, maj 2017 r. Napis głosi: *8 maja – dzień pamięci i pojednania/ Na zdjęciu strzelec UPA Stepan Petrasz i oficer Armii Czerwonej Iwan Załużnyj/ ЗВУСІЄЗСЬ НАД НАЗІЗМОМ*. W tle ukraiński „mak pamięci narodowej”.

Niepodległa Ukraina musiała „skleić” społeczeństwo ukraińskiej SRS w naród. Oczywiście – naród obywatelski, polityczny; co do tego zgadzali się na początku nawet nacjonałiści, zwolennicy etnicznej koncepcji narodu i stopniowej „reukrainizacji” tych, których uważali za zrusyfikowanych Ukraińców. Jak jednak „sklejać” naród, który zyskał podmiotowość bez wielkiego wysiłku ani przelewu krwi, w wyniku kontraktu sowieckich elit, któremu niepodległość i demokracja szybko zaczęły kojarzyć się – nie bez racji – z dezorganizacją, pauperyzacją i demoralizacją? Jakie wspólne doświadczenie mogło nie tylko połączyć wszystkich, ale też wyraziście oddzielić od Rosji na płaszczyźnie symbolicznej?

Nowa narracja tożsamości narodowej

Jedynym doświadczeniem, łączącym rzeczywiście wszystkich, łącznie z mieszkańcami Ukrainy Zachodniej była Wielka Wojna Ojczyźniana (a nie II wojna światowa, bo WWO zaczęła się atakiem Niemiec na Związek Sowiecki; wcześniejsze wydarzenia nie są do niej zaliczane, podobnie jak wojna z Japonią z 1945 r.). To ona stanowiła wspólne doświadczenie wszystkich ludzi sowieckich, co więcej – była to narracja *par excellence* sowiecka, główna narracja ideologiczna państwa sowieckiego w ostatnich jego dziesięcioleciach.

Niepodległe państwo ukraińskie tworzyła komunistyczna nomenklatura. Była jedyną siłą społeczną zdolną do podjęcia tego zadania. Nie miała żadnej wizji dziejów Ukrainy (oprócz sowieckiej), rozumiała jednak, że potrzebuje odpowiedzi na pytanie, dlaczego i w jaki sposób Ukraina nie jest Rosją, jakie elementy jej dziejów i kultury pozwalają wyłączyć ją z wszechrosyjskiego/sowieckiego dyskursu tożsamości. Potrzebuje jako nowej ideologii (państwa a ideologicznego nie byli sobie w stanie wyobrazić), jako narzędzia sprawowania władzy. I taką wizję, dobrze opracowaną przez historyków z diaspory narrację historyczną, podsunęli kijowskiej nomenklaturze lwowscy narodowcy i nacjonałiści.

Była to koncepcja niepodległościowa (skupiona na walce Ukraińców o wyzwolenie narodowe), etnocentryczna (skupiona na dziejach Ukraińców jako etnosu i jako ludu wiejskiego) oraz martyrologiczna (skupiona na niewoli i klęskach kolejnych prób wyzwolenia). Ukraińcy

byli „od zawsze” ciemieni przez swych sąsiadów, zwłaszcza Rosjan i Polaków, zawsze walczyli o wolność, sami nigdy nikogo nie ciemnęli ani nie najeżdżali, a w kolejnych konfliktach racja była zawsze i wyłącznie po ich stronie. Jej głównymi elementami, jeśli chodzi o dzieje najnowsze, był Hołodomor traktowany jako zbrodnia reżimu stalinowskiego, inne zbrodnie stalinowskie wobec Ukraińców oraz walka UPA z reżimem sowieckim.

Przyjęcie tej koncepcji nie oznaczało wykreślenia z kanonu pamięci narodowej Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Nie było to możliwe – na Ukrainie żyły miliony weteranów i sierot wojennych (takim sierotą był np. prezydent Łeonid Kuczma), a ogrom strat (około siedmiu milionów osób, 20% ludności Ukrainy z 1941 r.) był wciąż odczuwalny. Ale też – inaczej niż w przypadku Hołodomoru – była to pamięć nie tylko o ofiarach, ale też o zwycięstwie. Nadzwyczaj drogo okupionym, ale naprawdę wielkim zwycięstwem.

To dlatego Juszczenko z jednej strony umacniał pamięć o Hołodomorze, starając się przedstawić go krajowi i światu nie tylko jako zbrodnię ludobójstwa, ale zbrodnię wyjątkową, porównywalną jedynie z Holocaustem, z drugiej zaś – najzupełniej bezskutecznie – usiłował doprowadzić do pojednania ukraińskich weteranów Armii Czerwonej i NKWD z weteranami UPA, pojednania niechcianego przez żadną ze stron.

Oficjalna pamięć o UPA

Już na początku lat pięćdziesiątych UPA pojawia się w popularnych opracowaniach historycznych i podręcznikach szkolnych jako uczestnik walki z III Rzeszą, niemal na równi z sowiecką partyzantką, choć jednocześnie – jako siła antysowiecka, walcząca o niepodległość Ukrainy. „Front polski” UPA albo przemilczano w ogóle, albo przedstawiano jako konflikt zbrojny z AK, swoistą „wojnę w wojnie”. Pod patronatem państwa powołano komisję mającą „zbadać działalność OUN-UPA”. Jej konkluzja ogłoszona pod koniec 2000 r. brzmiała: Ukraińska Powstańcza Armia „tak samo jak Armia Radziecka” walczyła w II wojnie światowej z Niemcami po stronie aliantów i powinna być uznawana za stronę wojującą w tej wojnie. O „aspekcie polskim” działalności UPA nie było najmniejszej wzmianki. Podobnie pomijano ideologię OUN – Ukraińską

Powstańczą Armię przedstawiano jako formację wojskową kierującą się wyłącznie patriotyzmem.

To wszystko miało miejsce za prezydentury Leonida Kuczmy, polityka dalekiego od nacjonalizmu. To on pierwszy w 2002 r. przyznał tytuł Bohatera Ukrainy dowódcy UPA Romanowi Szuchewyczowi, jednak spadkobiercy nie zechcieli przyjąć go z jego rąk. Ale to on też wypowiedział 11 lipca 2003 r. słowa: „w tym miejscu, w którym spoczywają polskie ofiary, chciałbym w imieniu wszystkich Ukraińców, którzy pragną pokoju i sprawiedliwości, wyrazić głębokie współczucie wszystkim skrzywdzonym Polakom, wszystkim, którzy ucierpieli wskutek tej katastrofy”, najpoważniejsze dotychczas słowa, jakie ukraiński mąż stanu wypowiedział na temat eksterminacji kresowych Polaków. Juszczenko był tu (w obu aspektach) tylko kontynuatorem, niezręcznym i nieskutecznym.

Tymczasem z ukraińskich szkół wyszło już pokolenie, dla którego UPA jest elementem pozytywnej tradycji narodowej, podobnie jak Zaporozcy i hajdamacy, żołnierze walczący o niepodległość kraju po I wojnie światowej i ukraińscy czerwonarmiści. Dla którego wszystkich ich łączyła myśl o niepodległej i zjednoczonej Ukrainie, którzy pragnęli tylko *w swojej chacie swojej prawdy wolności i siły*²⁴². Dla którego banderowcy to na poły mityczni bohaterowie, ale nie stronnicy jakiegokolwiek ideologii.

Ta nowa wiedza–niewiedza o UPA jest chyba bardziej niebezpieczna niż „neobanderyzm”, o którym czasem pisze się u nas. Banderowska ideologia integralnego nacjonalizmu funkcjonuje dziś na marginesach ukraińskiej myśli i praktyki politycznej; nawet w radykalnie nacjonalistycznej Swobodzie nie jest powszechnie akceptowana. Natomiast utrwalanie wizerunku „armii nieugiętych”, niesplamionej ani ideologią, ani krwią niewinnych sprawia, że refleksja nad przeszłością staje się coraz trudniejsza, a poważna dyskusja nad „czarnymi plamami” najnowszych dziejów Ukrainy odbywa się poza głównym nurtem ukraińskiej myśli społecznej.

Co jest w języku?

Nie potrafię poprawnie przełożyć ukraińskiego tytułu *Chto spryczynił henocyd ryby?*, użyć tu właściwego leksykalnie słowa „ludobójstwo”. Autor tego tekstu rzeczywiście, choć mimochodem porównał masowe

śnięcie ryb w zalewie kijowskim do Hołodomoru. I nieważne, na ile poniosła go dziennikarska swada (podobne określenia spotykałem nie raz): ważne to, że po ukraińsku i rosyjsku tak powiedzieć można, a po polsku – nie. Bo my, tłumacząc termin *genocide* według znaczenia, nadaliśmy mu znacznie większą powagę i jednoznaczność niż Rosjanie i Ukraińcy, którzy przyswoili to słowo w brzmieniu oryginalnym, jako kliszę wolną w ich językach od skojarzeń semantycznych. Stąd też w Rosji i na Ukrainie dużo łatwiej igrać tym terminem na różne sposoby.

Ale spór o to, czy wydarzenia wołyńskie z lat 1942–1943 były zbrodnią ludobójstwa czy też tragedią, nie jest po prostu sporem o słowa. W potocznym rozumieniu tragedia jest czymś, co się przydarza, za co nikt nie jest odpowiedzialny, jak trzęsienie ziemi, uderzenie pioruna, rak. Zbrodnia natomiast jest czynem człowieka, mówiąc o zbrodni, dorozumiewamy istnienie odpowiedzialnego za nią sprawcy.

Ukraińcy doskonale to rozumieją, skoro do tej samej pary wydarzeń stosują te określenia w przeciwstawny sposób. Dla nacjonalistów Hołodomor był zbrodnią ludobójstwa, zaś eksterminacja wołyńskich Polaków – tragedią; dla ich przeciwników tragedią był Hołodomor, zaś zbrodnie UPA – ludobójstwem (ściślej – częścią dokonanego na Ukrainie nazistowskiego ludobójstwa, gdyż zwolennicy sowieckiej wizji dziejów Ukrainy uważają UPA wyłącznie za część niemieckiego aparatu okupacyjnego).

*

Państwo ukraińskie nie prowadzi spójnej polityki historycznej, dążąc do połączenia głęboko sprzecznych, wykluczających się tradycji – i wydaje się na to skazane, gdyż stanowczy wybór jednej z nich mógłby zagrozić jedności narodu. W centrum narodowej pamięci stanął – już chyba nieodwracalnie – Hołodomor, a UPA została włączona do narracji o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej (co uczyniło ją głęboko niespójną). Na zbrodnie popełnione przez Ukraińców i w imieniu Ukrainy nie ma w niej miejsca, oficjalny Kijów i większość środowisk opiniotwórczych najwyraźniej nie chce tej pamięci.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 27 z 2013 r. pod tytułem *Puste miejsce*. Tu dokonałem tylko nieznaczących

retuszy.

Rok trudnych rocznic

W dyskusji o pogarszaniu się stosunków między Polską a Ukrainą przyjmujemy zazwyczaj, że jego początek miał miejsce w latach 2014–2016. Jedni kładą tu nacisk na wzrost popularności radykalnego ukraińskiego nacjonalizmu po Rewolucji Godności i rosyjskiej agresji. Inni – na uchwałę polskiego Sejmu z lipca 2016 r., określającą Zbrodnię Wołyńską mianem ludobójstwa. Jednak proces ten zaczął się znacznie wcześniej. Warto go prześledzić, jeśli mamy wyciągnąć z niego jakąś lekcję dla tego, co – być może – czeka nas w najbliższych miesiącach.

1993–2003: falstarty

W 1993 r. Rzeczpospolita zrezygnowała z uroczystych uroczystości pięćdziesiątej rocznicy Zbrodni Wołyńskiej. Jeśli prawdą jest, jak twierdził Hennadij Udowenko²⁴³, ówczesny ambasador Ukrainy w Warszawie, że stało się to pod wpływem jego argumentów, oznacza to, że oficjalny (postkomunistyczny) Kijów nie chciał pojednania, już wówczas traktując pozytywną pamięć o UPA jako użyteczny element legitymizacji powstałego dwa lata wcześniej państwa. Potwierdza to wprowadzanie tej pamięci do podręczników szkolnych już w latach 1993–1994.

To nie było dzieło nacjonalistów, w jakimkolwiek rozumieniu tego pojęcia. Ukrainą wciąż rządziła postkomunistyczna nomenklatura, która nie wyobrażała sobie funkcjonowania państwa bez ideologii. Dowolnej. Nie wierzyli w żadną, ale nie umieli się nią nie posługiwać. Sięgnęli więc po nacjonalizm, podsuwany przez szowinistyczną diasporę.

W dodatku na początku lat dziewięćdziesiątych (i jeszcze długo potem) Ukraina uważała się za „cud świata”, który inni powinni cenić i wspomagać za samo to, że jest. Nieważne, czy kijowska elita wierzyła w kluczową rolę geopolityczną swego kraju – ważne, że głosiła taki pogląd i grała nim w polityce wewnętrznej oraz międzynarodowej. I bardzo nie chciała potrzebować Polski, choć rozumiała, że nie ma alternatywy, że polskie wsparcie na arenie międzynarodowej jest młodemu państwu niezbędne. Z czasem, gdy państwo okrzepło, jego elity przestały dostrzegać tę konieczność (choć gdy było trzeba, jak

w sprawie zniesienia wiz do Unii – chętnie korzystały ze wsparcia Warszawy). A my niezmiennie chcieliśmy potrzebować Ukrainy. Kijów świetnie o tym wiedział – i grał tą kartą. Także w sprawach historycznych.

Zaniechania z roku 1993 r. nie dało się odrobić. Tymczasem w ówczesnej atmosferze możliwe były gesty pojednania, nie do powtórzenia już kilka lat później. Gesty, których nie dałoby się potem przekreślić. Zmarnowaliśmy tę szansę, wspólnymi siłami. Dekadę później, w 2003 r., uroczystości rocznicowe chybiły głównego celu – nie zapoczątkowały wspólnej refleksji obu narodów nad wydarzeniami z lat 40. XX w. Również ze względu na niepopularność obu prezydentów – Kwaśniewskiego i Kuczmy – wśród elit intelektualnych i moralnych swych krajów.

Sporne słowo „ludobójstwo”

To już wtedy – a nie w 2016 r., gdy Sejm przyjął swoją uchwałę – państwo polskie po raz pierwszy uznało mordy na Wołyniu i w Galicji Wschodniej za zbrodnię ludobójstwa (termin Zbrodnie Wołyńska jest późniejszy). Najpierw uczynił to ówczesny prezes IPN Leon Kieres, podsumowując 1 lipca 2003 r. ówczesny stan wiedzy o tej zbrodni, a później Aleksander Kwaśniewski w swym oficjalnym wystąpieniu podczas odsłonięcia pomnika Polaków pomordowanych w Pawliwce/Porycku²⁴⁴ na Wołyniu. Prezydent Leonid Kuczma nie użył tego określenia, ale przystał na jego użycie przez swego polskiego partnera. W ten sposób ukształtował się „kompromis historyczny”, który przestał działać – tak na Ukrainie, jak w Polsce – ok. roku 2010.

Wtedy także parlamenty Polski i Ukrainy uchwaliły (10 lipca 2003 r.) jednobrzmiącą deklarację pojednania. Ale strona ukraińska w ostatniej chwili usiłowała zmienić tekst porozumienia. Skandalu udało się uniknąć dzięki telefonicznym konsultacjom szefów parlamentów – dosłownie w ostatniej chwili, już w trakcie posiedzeń Sejmu i Rady Najwyższej. Dziś ten kompromisowy, deklaracyjny dokument bywa na Ukrainie traktowany jako wiążące porozumienie międzynarodowe, zamykające sprawę (tak ujął to były prezydent Juszczenko w wywiadzie dla dziennika „Rzeczpospolita” w październiku 2017 r.).



Pomnik w Porycku, podczas odsłonięcia którego padły przywołane tu słowa prezydentów Polski i Ukrainy, ujęty od tyłu.



Tabliczka na krzyżu, wystawionym przez mieszkańców lub raczej pojedynczego mieszkańca Pawliwki na cmentarzu w Porycku, w niewątpliwie szlachetnej intencji. Napis na górnej tabliczce głosi (pisownia oryginalna): *TRAGEDJA m. POLAKAMI, a UKRAINCAMI w XX STULECIU ŻUCIMY W*

NIEPAMIĘĆ. Dolny napis powtarza tę samą treść po ukraińsku, już bez błędów. Gdy stałem pod nim z kolegą, obu nam przyszedł na myśl słowa Wieszcza: „Jeśli zapomnę o nich, ty Boże na niebie zapomnij o mnie”. Oba zdjęcia z jesieni 2013 r.

Obchodom rocznicowym z 2003 r. towarzyszyła pierwsza na Ukrainie dyskusja na temat zbrodni UPA. Przyniosła ona ogromny wzrost wiedzy na ten temat, ale też wydobyła na światło dzienne nader różnorodne, nieraz nieprzychylnie nam poglądy. A wśród autorów formułujących stanowisko bliskie polskiej wrażliwości często trafiali się publicyści i politycy o nastawieniu rusofilskim, niechętni zarówno ukraińskiej tradycji niepodległościowej, jak i opcji prozachodniej w polityce Kijowa. Potem dyskusja wygasła, aby z nową siłą powrócić w 2013 r., przy okazji siedemdziesiątej rocznicy Zbrodni Wołyńskiej. Wtedy okazało się, że nie tylko mówimy różnymi językami, ale że znikło wcześniejsze przekonanie (czy też założenie) o dobrej woli obu stron w tym dialogu. Sam ten brak niszczył, uniemożliwiał dialog.

Zmiana wrażliwości

W 2003 r. nie kładliśmy jeszcze (na ogół) nacisku na okrucieństwo, z jakim dokonywano Zbrodni Wołyńskiej. Podobnie konieczność godnego pochowania pomordowanych pozostawała poza świadomością większości uczestników dyskursu. Owszem, powstawały pomniki w bardziej znanych miejscach mordów na terenie Ukrainy, a środowiska ocalałych po cichu (i często nieformalnie) umieszczały krzyże na zapomnianych mogiłach. Ale dopiero w 2009 r. sprawa mogił – ich odnalezienia i godnego upamiętnienia – zaczęła być wskazywana publicznie jako jeśli nie najważniejsza, to jedna z najważniejszych. Pojawiło się też eksponowanie wyrafinowanego okrucieństwa tych zbrodni.

W tym czasie zarówno nad Wisłą, jak i nad Dnieprem zmieniała się wrażliwość społeczna. Rosło subiektywne znaczenie historii, pamięci, upamiętnień. W miarę pogłębiania się rozczarowania pseudoliberalnym (w istocie konsumerystycznym) indywidualizmem, rosło też przywiązanie do rodziny, narodu i państwa. Oba nasze narody (a także liczne inne narody, nie tylko Europy) poszukiwały teraz znaków wspólnoty i dumy. Z drugiej strony, podobnie ogólnoeuropejskie, jeśli nie globalne przemiany narracji historycznej przenosiły akcent

z bohaterów na ofiary. Wreszcie – brutalizacja kultury popularnej rodziła zapotrzebowanie na makabrę również w narracjach historycznych.



Jeden z krzyży na cmentarzu w Porycku, wystawionych staraniem Instytutu Pamięi Narodowej w

2003 r., ten poświęcony rodzinom Palinków i Zakrzewickich. Widoczne paski przed datą śmierci maskują miejsce po usuniętych na żądanie władz ukraińskich słowach „przez nacjonalistów ukraińskich”. Podobne paski znajdujemy także na innych pomnikach ofiar Zbrodni Wołyńskiej, wznoszonych na Ukrainie przez IPN. Zdjęcie z jesieni 2013 r.

Dawną rywalizację bohaterów narodowych wypierała rywalizacja narodowych ofiar. A im bardziej nad Dnieprem akcentowano, że Hołodomor był zbrodnią ludobójstwa przeciw narodowi ukraińskiemu, tym mniej było miejsca na uznanie za ludobójstwo jakichkolwiek działań podejmowanych przez Ukraińców. W latach dziewięćdziesiątych XX w. zdarzyło się, że lwowscy intelektualiści mieli pretensje do polskiego autora (pomińmy nazwiska), że pisząc o zbrodniach UPA, argumentował przeciwko uznaniu ich za ludobójstwo. Dziś ci sami ludzie uważają takie określenie za obrazę narodu ukraińskiego.

Równolegle w obu krajach następowało poszerzenie pola dialogu społecznego. Obok monopolizujących go wcześniej liberalnych intelektualistów coraz silniej brzmiał głos innych środowisk społecznych, podzielających różne poglądy i częściej niż elity skłonnych do radykalizmu. Efekt ten wzmacniały nowe technologie informacyjne, które ze swej natury sprzyjają skrajnemu formułowaniu opinii, a zarazem rozbijają przestrzeń dialogu społecznego na nisze czy „bańki”.

Zaczyna się kryzys

Rok 2009 przyniósł pierwszy poważniejszy incydent: próbę przejazdu przez Polskę rajdu rowerowego imienia Bandery. Protesty środowisk kresowych wymogły cofnięcie z granicy grupy ukraińskich cyklistów. Ich obrońcy argumentowali wówczas, że organizatorzy nie są nacjonalistami, lecz raczej „ekologicznymi” krzewicielami zdrowego trybu życia, że ich działania nie mają tła politycznego etc. Po części trafnie. Ale uwadze obrońców rajdu uszło, że patronem fundacji organizującej tę imprezę był Anatolij Matwijkenko²⁴⁵ – wytrawny polityk, w tym czasie flirtujący z nacjonalistami. On musiał wiedzieć, co robi.

Potem, na początku 2010 r., „pomarańczowy” prezydent Wiktor Juszczenko przyznał pośmiertnie Stepanowi Banderze tytuł Bohatera Ukrainy (najwyższe odznaczenie państwowe). Uczynił to w sposób – powiedzmy – mało elegancki: już po przegranej w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Decyzja ta wywołała oburzenie w Polsce

(inaczej niż niedostrzeżone przyznanie w 2007 r. tego samego tytułu Romanowi Szuchewyczowi) i zaowocowała m.in. uchwaloną z inicjatywy polskich europosłów krytyczną rezolucją Parlamentu Europejskiego.

Po objęciu władzy przez Wiktora Janukowycza doszło do sądowego podważenia przyznania tego tytułu tak Banderze, jak i Szuchewyczowi. Niestety, nastąpiło to na wniosek Postępowej Socjalistycznej Partii Ukrainy, ugrupowania radykalnie prorosyjskiego. W procesach tych wzięli udział przedstawiciele polskich organizacji kresowych. Sprawa przeszła w Polsce właściwie bez echa, ale na Ukrainie pogłębiła niechęć do Kresowian, utrudniła dalszą rozmowę.

W tymże 2010 r. Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów zorganizowało na Ukrainie objazdową wystawę, zatytułowaną *Rzeź Wołyńska. Polskie i żydowskie ofiary OUN-UPA*. Pomysł był sensowny, wykonanie dyletanckie, partner chyba najgorszy z możliwych: Fundacja „Rosyjskojęzyczna Ukraina”, czyli ekspozytura *rusского mira* na Ukrainie. A mówiąc bardziej bezpośrednio: ekspozytura rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. To także zostało nad Dnieprem zapamiętane, przyczyniając się do kojarzenia polskich organizacji kresowych z polityką Kremla.

Wojna (doniecka) i pamięć

Przed 2013 r. na Ukrainie dojrzała mądra, krytyczna refleksja nad ciemnymi kartami ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Patriotyczni intelektualisci młodego pokolenia dojrzewali do uznania zbrodniczego wymiaru działalności UPA (choć nie do potępienia tej organizacji w ogóle). Powoli, z trudem. Ale ten proces dawał nadzieję na nowy wymiar pojednania.

Pół roku po obchodach siedemdziesiątej rocznicy Zbrodni Wołyńskiej przyszła Rewolucja Godności, a po niej rosyjska agresja na Ukrainę i wojna w Donbasie. Wojna, która trwa nadal i pozostawia niewiele miejsca na postawy liberalne, która żąda narracji bohaterskich, która sprzyja postawom nacjonalistycznym i szowinistycznym. Zwłaszcza że towarzyszy jej nowa ofensywa propagandowa Rosji, głosząca, że obrona niepodległości Ukrainy to przejaw już nie tylko nacjonalizmu, ale wręcz faszyzmu, banderyzmu, neonazizmu itd.

Wojna zwarzyła też wcześniejsze tendencje w kontaktach polsko-

ukraińskich. Wielu ukraińskich liberałów zamilkło. Inni zmienili zdanie, przyłączyli się do nowej retoryki. Także tej antypolskiej. Nad Dnieprem przeważyła narracja, że konflikt z lat 40. XX w. był „drugą wojną polsko-ukraińską” (pierwsza to ta z lat 1918–1919). Taki tytuł nosiła – wydana kilka lat wcześniej – książka Wołodymyra Wjatrowycza²⁴⁶, który po obaleniu Janukowycza został szefem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej (UINP) i odtąd jest jednym z głównych kreatorów polityki historycznej państwa.

Zgodnie z tą narracją już w roku 1942 (a nie 1943) zaczęła się „wojna w wojnie” między polskim i ukraińskim podziemiem, w której obie strony, AK i UPA, popełniały zbrodnie na cywilach. Narracja ta kwestionuje ludobójczy zamiar UPA, odrzuca jako bezpodstawne polskie szacunki liczby ofiar, przerzuca ciężar ukraińskich (ale nie polskich!) zbrodni z formacji partyzanckich na samorzutne grupy chłopskie etc. To uznawanie „wojennego” charakteru zbrodni na Polakach z Kresów uniemożliwia dialog z polską narracją o bezprzykładnym ludobójstwie UPA, będącym działaniem jednostronnym i niesprowokowanym. Efekt tej dynamiki jest taki, że nieliczni dziś ukraińscy krytycy UPA oraz kultu Bandery są na ogół – jednocześnie – krytykami polskiej polityki historycznej. Z kolei w Polsce pojawiły się głosy, że Ukraina nie jest nam potrzebna. A także, że całość naszych stosunków powinna zależeć od przyjęcia przez Kijów polskiego stanowiska w sprawach historycznych.

Od 2014 r. dochodziło do coraz liczniejszych incydentów, zawinionych przez obie strony. Nie będziemy ich tu omawiać, są znane. W końcu doszło do zakazu prowadzenia przez polski IPN prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych przy mogiłach Polaków na Ukrainie. Decyzji, która nie mogła być w Warszawie odebrana inaczej niż jako świadomie wymierzony policzek.

Niepokojąca synergia

Daleki jestem od sugerowania, że polscy narodowcy i nacjonaści powtarzają swe antyukraińskie tezy za Moskwą, czy że są przez nią manipulowani. Myśl Dmowskiego i jego kontynuatorów jest ważnym składnikiem polskiej tradycji politycznej – bez względu na to, czy podzielamy ją, czy nie. Ale także w naszym kraju działa rosyjska agentura i armia trolli/botów. A tezy współczesnych narodowców są

często bliskie rosyjskim, współbrzmia z nimi (np. o Ukrainie jako państwie upadłym czy dominującym w polityce państwa ukraińskiego „banderyzm”).

Oczywiście – gdy dwóch mówi (ale i – czyta) to samo, nie jest to to samo. W Polsce, przy niewielkim wysiłku umysłowym (którego nie lubimy, to rzecz inna), da się odróżnić polemistę od trolla, autentycznego polskiego narodowca od agenta służb informacyjnych Federacji Rosyjskiej. Jednak z Kijowa czy Lwowa takie rozróżnienie jest praktycznie niemożliwe. A niezamierzona, ale realna synergia takich wypowiedzi sprawia, że Ukraińcy postrzegają swych polskich polemistów jako agenturę ich śmiertelnego (rzeczywiście śmiertelnego!) wroga. Tym bardziej, że zazwyczaj nie rozumieją retorycznej przesady, z jaką polska opozycja mówi o „dryfie Polski w kierunku Moskwy” etc. Traktują ją jako neutralny opis rzeczywistości.

W Polsce jest znacznie więcej ludzi (o różnych poglądach), którzy rozumieją sytuację Ukrainy oraz jej wewnętrzne dynamiki społeczne, polityczne i ideologiczne, niż na Ukrainie ludzi rozumiejących współczesną Polskę. To jest nasza przewaga – i zarazem problem Kijowa, który często nie liczy się z polskimi reakcjami na jakieś swoje działania, gdyż nie rozumie, skąd one się biorą, jakie są ich konteksty i podteksty.

Z drugiej strony ta synergia ułatwia przyjmowanie przez polskich polemistów ujęć i tez rosyjskich – i może otwierać na wpływ rosyjskiej agentury, starającej się popychać dyskusje w odpowiadającym Rosji kierunku. A także radykalizować ich ton, hamować myślenie kategoriami pojednania, kompromisu, kopać coraz głębsze rowy (nie tylko w dyskusjach o sprawach ukraińskich).

Dwie rocznice

W przededniu siedemdziesiątej piątej rocznicy Zbrodni Wołyńskiej doszliśmy jeśli nie do muru, to w jego okolice. Przywódcy polityczni z obu krajów rozumieją chyba, że zaszliśmy za daleko. Ale ani jedni, ani drudzy nie wiedzą, jak z tego wybrnąć bez utraty twarzy – i części elektoratu. W obu krajach rozpoczynają się już przygotowania do kolejnych wyborów, w których partie rządzące będą potrzebować głosów także nacjonalistycznej prawicy (każda swojej). I nawet jeśli będą chciały się cofnąć, to nie bardzo będą mogły. A radykalni nacjoniści będą

z tego korzystać, więc temperatura sporu (jeśli to jeszcze jest spór, a nie coś gorszego) będzie rosnać.

Najbliższy rok upłynie przede wszystkim pod znakiem setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę – oraz setnej rocznicy najważniejszych wydarzeń z dziejów ukraińskiej walki o niepodległość. Będziemy musieli więc zmierzyć się również z setną rocznicą wybuchu rzeczywistej wojny polsko–ukraińskiej: tej o Lwów i Galicję Wschodnią z lat 1918–1919. Czy będziemy potrafili postępować w taki sposób, aby nie uczynić z niej kolejnego kroku wstecz w dialogu naszych narodów?

ps. Już po napisaniu tego tekstu Sejm RP uchwalił zakaz negowania ludobójczego charakteru Zbrodni Wołyńskiej, przewidujący sankcje karne za takie działania. Pierwsze reakcje z Kijowa mówią, że oznacza to koniec dialogu polsko–ukraińskiego w sprawach historycznych. Niestety, może to okazać się prawdą.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 7/2018 pod redakcyjnym tytułem (autorski gdzieś mi się zawieruszył). Tu przywróciłem pierwotny kształt ostatniego rozdziału. Dalszy tekst powstał do tego zbioru w czerwcu 2019 r.

I tak się stało, niestety

Jak można było i należało oczekiwać, polsko–ukraiński dialog historyczny ustał po zakazie prac ekshumacyjnych przy mogiłach ofiar kresowego ludobójstwa (choć przedtem to strona ukraińska nalegała na nie; nam wystarczała możliwość uporządkowania i należnego uczczenia mogił²⁴⁷) oraz nowelizacji ustawy o IPN. Najdobitniejszym wyrazem tego stały się oficjalne obchody rocznicy Zbrodni Wołyńskiej, podczas których prezydent Rzeczypospolitej odwiedził Łuck (na zaproszenie tamtejszego biskupa rzymskokatolickiego) i nieodległą Ołykę, gdzie złożył symboliczny wieniec w szczerym polu, wśród dojrzewających zbóż, zaś prezydent Ukrainy w tym samym czasie przybył do Sahrynii²⁴⁸ (z wizytą prywatną, na zaproszenie Związku Ukraińców w Polsce), by oddać hołd zamordowanym tam Ukraińcom.

Zaś państwowych obchodów stulecia Obrony Lwowa nie było w ogóle, co w wielu polskich środowiskach wywołało negatywne reakcje – od niesmaku do oburzenia. Ukraina zachodnia (to wciąż jest pamięć lokalna,

nie ogólnonarodowa) uczciła rocznicę powstania Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej znacznie okazalej, a we Lwowie odsłonięto dwa pomniki tego wydarzenia (w odległości raptem kilkuset metrów). Powodem tego „dualizmu” był spór między samorządowymi władzami miasta, a państwową administracją obwodu (województwa) o lokalizację i kształt pomnika. W efekcie mer wzniósł własny pomnik, wojewoda – własny.

Wrogość, z jaką Wjatrowycz, za Poroszenki jednoosobowo sterujący polityką historyczną Ukrainy, przyjął wybór Zełenskigo pozwala przewidywać, że jesienią, po sformowaniu nowego rządu nie utrzyma on szefostwa Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej²⁴⁹. Stworzyłoby to możliwość „nowego rozdania” w dialogu o wspólnej historii, czy może raczej – powrotu do tego dialogu. Ale to nic pewnego; pisząc te słowa, wiem jeszcze bardzo niewiele o nowym prezydencie Ukrainy. Gdy książka ta dotrze do czytelników, będziemy wiedzieć już więcej.

II wojna światowa zastępuje Wielką Wojnę Ojczyźnianą. Zwrot w polityce historycznej Ukrainy

Dwa lata temu zastanawiałem się na tych łamach ("Tygodnik Powszechny" – przyp. red.) nad głównym wyzwaniem ukraińskiej polityki historycznej²⁵⁰: koniecznością pogodzenia pozytywnej pamięci o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej z taką pamięcią o UPA. Wydawało się to zadaniem nierozwiązalnym, zresztą polityka historyczna Kijowa za rządów Janukowycza starała się wyciszać pamięć o ukraińskim ruchu niepodległościowym w ogóle, akcentowała zaś to, co mogło łączyć pamięć rosyjską i ukraińską.

Dziś sytuacja jest inna. Kijów wybrnął z powyższego dylematu, odrzucając określenie Wielka Wojna Ojczyźniana²⁵¹ bez rezygnacji z dumy z ukraińskiego wkładu w pokonanie III Rzeszy. Nowa narracja pamięci narodowej, sformowana w ostatnich miesiącach, jest już dojrzała intelektualnie, w maju tego roku była propagowana jako oficjalna doktryna państwa. Wejdzie do nauczania szkolnego i będzie kształtować świadomość narodu, zbliżając ukraińską percepcję II wojny światowej do europejskiej. Ale też – przez uznanie działalności Ukraińskiej Powstańczej Armii za część tego wkładu – oddalając ją od percepcji polskiej.

Nigdy już nie będziemy braćmi

Ta zmiana dojrzewała długo. Traktowanie UPA jako samodzielnego uczestnika wojny i sojusznika aliantów (choć nie ZSRS) jest obecne w podręcznikach szkolnych od ponad dwudziestu lat, idea odrębności, samodzielności ukraińskiego udziału w tej wojnie także torowała sobie drogę od pewnego czasu. Być może dojrzewałaby jeszcze jakiś czas.

Przełom przyniosła nie tyle rewolucja godności, co wojna. Szok, że Rosjanie i Ukraińcy mogą strzelać do siebie. A także nieznaną chyba od carskich czasów rosyjska agresja ideowa, powrót Moskwy do poglądu, że naród ukraiński nie istnieje, a naturalnym przeznaczeniem Ukraińców

jest udział we wszechrosyjskości. Reakcją był krzyk „nigdy już nie będziemy braćmi” (utrwalony w wierszu Anastasiji Dmytruk²⁵²), który szybko przekształcił się w uznanie, że nigdy w przeszłości braćmi nie byliśmy. Zatem – cokolwiek w duchu Orwella – nie mogło w przeszłości być „wspólnego”, sowieckiego zwycięstwa.

Nowe pokolenie, dla którego państwo ukraińskie jest już rzeczywistością zastaną, a wojna – doświadczeniem radykalnie nowym, potrzebuje nowej narracji. Patrzy w przyszłość, więc oczekuje słów o bohaterstwie prowadzącym do zwycięstw, a nie – o klęskach. Nie zadowala ich promowana przez Juszczenkę wizja dziejów, stawiająca w centrum Hołodomor. Główne hasło majowych obchodów rocznicy zakończenia II wojny światowej: „Pamiętamy – zwyciężamy” trafia do nich znacznie lepiej. Pamięć, służąca zwycięstwu, więc przyszłości.

Ukraina w gronie zwycięzców

W nowej narracji pamięci Ukraina jest pełnoprawnym uczestnikiem i jednym ze zwycięzców w II wojnie światowej, obok Rosji, USA, Wielkiej Brytanii i innych. W tej narracji jest miejsce dla UPA, ale nie dla formacji jednoznacznie kolaborujących z III Rzeszą, jak *ss Galizien* – żadnej z nich nie ma w oficjalnym spisie struktur, których członków uznano za „bojowników o niezależność Ukrainy w XX wieku”, od 1917 do 1991 r.

II wojna światowa także dla Ukraińców zaczyna się w 1939 r. wspólną z Polakami walką z niemiecką agresją, a kończy nie w maju 1945 r. w Berlinie, ale we wrześniu na Dalekim Wschodzie. Nie tylko dlatego, że gen. Derewjanko²⁵³, przyjmujący kapitulację Japonii w imieniu ZSRS był Ukraińcem – bardziej dlatego, że wśród marines wznoszących sztandar zwycięstwa nad Iwo Jimą był Michael Strank²⁵⁴, Rusin z Preszowszczyzny.

To nie była wojna Ukrainy, ale Ukraińców. Mających różne obywatelstwa, walczących w różnych armiach. W Wojsku Polskim (w tym u Andersa), Armii Czerwonej, siłach zbrojnych USA, Kanady i Wielkiej Brytanii, we francuskim ruchu oporu... I oczywiście w szeregach UPA, „jedynej, która w tej wojnie wystąpiła pod ukraińskim sztandarem”²⁵⁵. W ten sposób naród ukraiński staje wśród Narodów Zjednoczonych, jak cokolwiek ahistorycznie zwie się często na Ukrainie koalicję antyhitlerowską.

Warto odnotować, że w tej narracji jest już miejsce na pamięć

o Holocauście (choć wciąż jest to miejsce na marginesie), w tym na przypomnienie o udziale w tej i innych zbrodniach ukraińskich kolaborantów. Jednak zbrodnie UPA wciąż są maskowane sformułowaniami o „konflikcie, którego ofiarami stała się także ludność cywilna z obu stron”. Uznanie przez Ukrainę, że banderowska partyzantka ma na sumieniu zbrodnie ludobójstwa wydaje się dziś odleglejsze niż przed dziesięciu laty.

Czerwono–czarna kokarda

Symbolem nowej ukraińskiej pamięci stał się czerwony mak, wprowadzony przede wszystkim przeciw rosyjskiej kokardzie w barwach orderu św. Jerzego. Na Zachodzie jest to symbol pamięci żałobnej, zresztą raczej o I niż II wojnie światowej (i dlatego u nas praktycznie nieznany), na Ukrainie miał stać się symbolem także pamięci triumfującej. Oficjalna wersja tej kokardy przypomina raczej dziurę po kuli niż kwiat – i nie jest to przypadek, lecz świadomy zamiar. Budzi też skojarzenia z barwami banderowskiej OUN – i nie mam wątpliwości, że to też było zamiarem projektanta. W niektórych miastach Ukrainy dostrzeżono to podobieństwo i opracowano własne warianty kokardy, jednoznacznie przedstawiające kwiat maku.

UIPN ogłosił też konkurs na tłumaczenie wiersza Johna McCrae²⁵⁶ *In Flanders Fields*, który podniósł ongiś polne maki do rangi symbolu wojny.

*Na polach Flandrii maki rozkwitają
i szeregami przy krzyżach stają...*

Wiersza, którego przesłanie bynajmniej nie jest pacyfistyczne, który jest pochwałą żołnierskiego wysiłku i wezwaniem do jego kontynuacji. Tak stara narracja ma posłużyć nowej: pamiętając – zwyciężamy. A czerwono–czarna kokarda (raczej niż flaga) stać się ma jednym z ukraińskich symboli narodowych.

Czysty Czwartek 2015 r.

9 kwietnia 2015 r. Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła cztery ustawy dekomunizacyjne²⁵⁷. Pracowano nad nimi w szalonym tempie, ich inicjatorzy (ówczesny wiceprzewodniczący ukraińskiego parlamentu

Parubij i szef UINP Wjatrowycz) prawdopodobnie obawiali się kontrakcji przeciwników dekomunizacji. Wyznaczenie debaty na Czysty (w polskiej nomenklaturze – Wielki) Czwartek było majstersztykiem: czwartek jest zwyczajowym dniem głosowań w Radzie, a tego dnia Wjatrowycz²⁵⁸ mógł z trybuny parlamentarnej ogłosić, że oto jest właściwy dzień, by oczyścić wspólny ukraiński dom od nieczystości. Wszystkie projekty przeszły znaczną większością głosów.

Bezpośrednio przed tą debatą w Radzie Najwyższej Ukrainy przemawiał prezydent RP Bronisław Komorowski²⁵⁹. Do dziś nie wiem, czy taka sekwencja wydarzeń była świadomą prowokacją wobec Polski, czy raczej kompletnym zlekceważeniem gościa, uznanie, że nieuchronne odebranie jej przez Warszawę jako obrazy nie ma znaczenia. Wjatrowycz twierdził później, że zbieżność dat była przypadkowa, termin wystąpienia prezydenta RP w Radzie był jednak znany z dużym wyprzedzeniem, także jemu. Nie wiem, co gorsze: gest wrogości czy ostentacyjne lekceważenie. Tak czy inaczej – stało się.

Z tych ustaw najważniejsza była ostatnia, nakazująca usunięcie z przestrzeni publicznej symboli ustroju sowieckiego, także takich jak nazwy miejscowe i pomniki, oraz druga, ustanawiająca nowy kanon ukraińskiej pamięci narodowej. Pierwsza nakazywała skupienie archiwów sowieckich służb specjalnych w centralnym archiwum UINP, trzecia przywracała pamięci narodowej II wojny światowej jako całości (o czym pisałem).

Ukraińska Republika Ludowa rediviva

Pierwotny projekt ustawy o uczczeniu bojowników o niezależność Ukrainy zawierał obszerną preambułę wywodzącą ciągłość współczesnego państwa Ukrainy od Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) z lat 1917–1920, kontynuowanej na uchodźstwie aż do 1992 r., gdy ostatni prezydent UNR, Mykoła Pławjuk²⁶⁰, przekazał pierwszemu prezydentowi Ukrainy, Leonidowi Krawczukowi insygnia państwowe Republiki. Okres władzy sowieckiej określono jako okupację, zrywając z dotychczasowym uznawaniem ciągłości Ukrainy z Ukraińską SRS. Walka o niepodległość była walką o restytucję UNR, była zatem legalna. Wywód spójny i celny.

W ostatniej chwili ten rządowy projekt został wycofany i zastąpiony

nowym, firmowanym przez Jurija Szuchewycza, ale napisanym przez tych samych autorów, ekspertów UIPN. W tym nowym zabrakło preambuły, pozostało jednak sformułowanie o legalności walki o niepodległość.

Jakie były powody tego kroku wstecz, na razie nie wiemy²⁶¹. Ale prędzej czy później temat powróci i Ukraina uzna się oficjalnie za kontynuatorkę centrolewicowej UNR, a nie komunistycznej USRS²⁶². Dokonujący się zwrot w tym kierunku potwierdza wyświetlenie przez jedną z ukraińskich telewizji 9 maja (w Dniu Zwycięstwa nad Nazizmem w II Wojnie Światowej, wciąż świątecznym) filmu polskiego dokumentalisty Jerzego Lubacha²⁶³ *Trudne braterstwo*, mówiącego o pakcie Piłsudski–Petlura z 1920 r. To także sposób, by pamięć służyła zwycięstwu.

Za co chce karać Ukraina?

Warto tu wyjaśnić nieporozumienie dotyczące przepisów karnych ustaw dekomunizacyjnych, mieszające ustawę o uczczeniu bojowników z ustawą o zakazie ideologii komunistycznej. Ta druga wpisuje do kodeksu karnego sankcję za publiczne posługiwanie się symboliką totalitarną oraz propagowanie ustrojów komunistycznego i nazistowskiego. Podobne rozwiązanie (choć przewidujące niższą karę) mamy w polskim Kodeksie karnym.

Natomiast ustawa o statusie bojowników uznaje kwestionowanie legalności²⁶⁴ (a nie „słuszności” czy „zasadności”, jak często w naszych mediach) walki o niepodległość Ukrainy za obrazę pamięci bojowników o nią oraz akt bezprawia. Nie jest ono zagrożone karą. Może być natomiast uznane za przejaw „pogardliwego stosunku” do bojowników, która pociąga za sobą „odpowiedzialność zgodnie z prawodawstwem”. Taki zapis, oczywisty bubel prawny, jest tak naprawdę pusty: nie odwołuje się do żadnej konkretnej normy, nie mówi nawet o odpowiedzialności karnej (a nie np. administracyjnej). Wzbudził on wątpliwości prezydenta Poroszenki, który zapowiedział jego nowelizację, nigdy jej jednak nie zgłosił.

Tak określona prawna ochrona poglądu o legalności walki Ukraińców o niepodległość oraz godności bojowników nie oznacza zakazu badań naukowych, krytyki określonych działań tych czy innych formacji, czy to

UPA, czy powstańców z lat 1918–1919, odpowiedzialnych m.in. za liczne pogromy, nie oznacza zakazu publicznego naświetlania ich zbrodni. Choć pewnie będzie wykorzystywana w tym celu, zwłaszcza w publicystyce. Ale źródłem ataków, z jakim spotkały się kwietniowe „ustawy historyczne”, było nie tyle zagrożenie dla wolności badań naukowych i wolności słowa czy „heroizacja” UPA (ten wątek miał znaczenie tylko w Polsce), ale postawienie komunizmu i nazizmu na jednej płaszczyźnie, co wciąż jest kamieniem obrazy dla europejskich środowisk lewicowych i liberalnych.

Polityka historyczna czasu wojny

Tymothy Snyder niedawno stwierdził na tych łamach²⁶⁵, że Ukraina musi najpierw napisać swą historię jako historię narodową, zanim będzie mogła podjąć dyskusję nad nią zgodnie ze współczesnymi, „postnarodowymi” konwencjami. Dodałbym, że nie tylko napisać, ale też nauczyć się jej, przejąć się nią. Wbrew zewnętrznej i wewnętrznej krytyce.

Polacy i wiele innych narodów Europy mieli czas na wypracowanie silnej tożsamości historycznej, opartej na dumie z dziejów narodu i państwa w czasach, gdy podejście narodowe było dominującym paradygmatem. Opierając się na tym fundamencie, mogły podjąć refleksję nad błędami i grzechami dziejów narodu, przyjąć nowe paradygmaty i konwencje, wcześniej nieistniejące lub marginalne.

Ukraina nie miała takiej możliwości. Musiała podjąć budowę narodowej tradycji historycznej za późno, w dodatku – w stałej konfrontacji z siłami, aktywnie przeciwdziałającymi konsolidacji ukraińskiej pamięci historycznej, zainteresowanymi rozpadem ukraińskiej wspólnoty narodowej.

Ta niewspółmierność rozwoju refleksji historycznej jest źródłem coraz większych napięć, coraz większych trudności zwłaszcza w stosunkach polsko–ukraińskich. Włączanie UPA do ukraińskiej narracji patriotycznej czyni ją dla nas jeszcze trudniejszą do przyjęcia. Ale Ukraina chyba nie ma innej drogi niż budowa narracji skupionej na czynnej walce z wrogiem. Trwa wojna, a jej czas nie służy liberalizmowi, wazeniu racji, odkrywaniu ciemnych kart przeszłości. By podjąć ten trud, trzeba być pewnym swego miejsca na ziemi, tego dosłownego i tego symbolicznego.

Wielka deleninizacja

W powyższym tekście ograniczyłem się do jednego elementu ukraińskiej dekomunizacji, podjętej w 2015 r. Teraz dodam garść informacji o jej kluczowym celu: oczyszczeniu przestrzeni publicznej z nazw i symboli komunizmu, od pomników Lenina poczynając. Taka dekomunizacja została dokonana na początku lat dziewięćdziesiątych głównie w Galicji Wschodniej i na Wołyniu; na placach większości miast i wielu wsi Ukrainy wciąż straszyły pomniki Lenina i dziesiątków innych działaczy bolszewickich oraz bohaterów walki z ukraińskim ruchem niepodległościowym (gdy jego przywódcy pomników praktycznie nie mieli), ich imiona nosiły tysiące ulic i placów, a także setki miejscowości z dwoma miastami obwodowymi łącznie. To wszystko miało teraz zniknąć, odmienić się.

Zaczął się od *leninopadu* w lutym 2014 r., gdy bojownicy rewolucji godności zburzyli najpierw kijowski pomnik Lenina, potem zaś około trzystu dalszych w różnych miastach. Po obaleniu Janukowycza władze samorządowe wielu miejscowości (także wsi) usuwały te i podobne pomniki, korzystając z własnych kompetencji. Inne pomniki przemalowywano w barwy niebiesko-żółte lub czerwono-czarne, ubierano w *wyszywanki*²⁶⁶ (tak było z kolosalnym pomnikiem w Zaporozżu) etc.



Postument po pomniku Lenina w Połtawie opatrzony wizerunkiem Niebieskiej Sotni pod *pokrowem* Matki-Ukrainy (oczywista trawestacja ikony). Na pierwszym planie podstawa żeliwnego krzyża cmentarnego. Na pozostałych stronach postumentu wypisano wiersze ku czci rewolucji godności

pióra A. Fesenki. Zdjęcie z jesieni 2016 r.



„Niedobity” pomnik Lenina na dziedzińcu zamku w Szpikowie (obwód winnicki) we wrześniu 2018 r.

Po uchwaleniu ustaw dekomunizacyjnych w ciągu dwóch lat usunięto ponad tysiąc trzysta pomników Lenina i ponad tysiąc innych sowieckich pomników (spod działania ustawy wyjęte były pomniki, związane z pamięcią o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej). Liczby usuniętych tablic pamiątkowych nikt nie policzył. W kolejnych latach usuwano te wcześniej niedostrzeżone (np. zlokalizowane na terenie zakładów pracy), podejrzewam jednak, że trochę jeszcze się uchowało (sam widziałem latem 2018 r. na dziedzińcu zamku w podolskim Szpikowie stojący pomnik Lenina, acz z utraconą głową). Z tych eksponowanych zostało parę, których usunięcie przedstawia poważne trudności, ale i one znikną, może z wyjątkiem położonego w strefie przyfrontowej kolosalnego pomnikiem Artema²⁶⁷.

Usuwanie pomników miało na Ukrainie nieco inne znaczenie niż w Polsce (mieliśmy zresztą tylko jeden czy dwa pomniki Lenina, nasi przywódcy komunistyczni też nie za bardzo pchali się na cokoły). Na Ukrainie (podobnie jak gdzie indziej w ZSRS) pomniki Lenina dominowały w przestrzeni symbolicznej miejscowości, stojąc na głównych placach i rozdrożach, nieraz w pobliżu miejsc po zniszczonych świątyniach. Były symbolem panowania nie tylko komunizmu, ale i Rosji. Dlatego ich usunięcie było takie ważne, nawet jeśli opuszczone cokoły (zdemontowano je tylko w nielicznych miejscowościach) będą jeszcze straszyć latami.

Przemianowano też prawie tysiąc miejscowości, w tym trzydzieści miast, dwadzieścia pięć *rajonów* (powiatów), ponad pięćdziesiąt tysięcy placów, ulic i zaułków, a także nieznaną (też idącą w dziesiątki tysięcy) liczbę szkół, placówek kulturalnych i przedsiębiorstw²⁶⁸. Dniepropietrowsk, założony jako Jekatierinosław/Katerynosław, w ZSRS nazwany na cześć Hryhorija Petrowskiego (1878–1958), działacza bolszewickiego, w latach 1920–1938 zwierzchnika sowieckiej władzy państwowej na Ukrainie, współodpowiedzialnego za *Hołodomor*, został *Dniprem* (czyli po prostu Dnieprem), jak od dawna był potocznie zwany przez mieszkańców miasta. Kirowohrad, pierwotnie Jelizawetgrad, później Zinowjewsk na cześć Grigorija Zinowjewa (1883–1936), wybitnego działacza bolszewickiego, który pochodził z tego miasta. Gdy został on stracony podczas pierwszej „czystki” kierownictwa KPZS, miastu

nadano imię Siergieja Kirowa (1886–1934), innego czołowego bolszewika, konkurenta Stalina, zamordowanie którego stało się pretekstem do tej czystki, teraz stał się Kropywnyckim na cześć Marka Kropywnyckiego (1840–1910), ukraińskiego dramaturga, aktora i organizatora życia kulturalnego, przez większą część życia związanego z Jelizawethradem. Nie udało się natomiast przemianować obwodów, których stolicami są te miasta: nazwy obwodów są zapisane w konstytucji Ukrainy, zaś procedura jej zmiany jest niezmiernie skomplikowana i czasochłonna.

W przypadkach miast obwodowych nie chodziło już o dekomunizację: pierwsze z nich nosiło pierwotnie imię carycy Katarzyny II, drugie carycy Elżbiety²⁶⁹. To był wstęp do derusyfikacji, eliminowania nazw i symboli związanych z przedrewolucyjnym panowaniem Rosji na Ukrainie. Przedstawiciele UINP nie kryją, że taka derusyfikacja jest ich dalszym celem. Nie wydaje się jednak, by prezydent Zełenskyj był skłonny poprzeć taką operację; podobnie niewielkie są szanse, by Wjatrowycz utrzymał się na stanowisku szefa UINP po sformowaniu późnym latem 2019 r. nowego rządu. Ale w chwili, gdy to piszę (10 czerwca 2019 r.), jedynie wydaje się.

Pierwsza wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 26 z 2015 r. pod tytułem *Flandryjskie maki na polach Donbasu*. Teraz dodałem rozdział *Czysty Czwartek*, wówczas zarzucony ze względów objętościowych, oraz napisaną do tego zbioru *Wielką deleninizację*.

Ciernista droga do jedności ukraińskiego prawosławia

6 stycznia 2019 r. obrany w grudniu poprzedniego roku metropolita kijowski i całej Ukrainy oraz prezydent Ukrainy odebrali z rąk patriarchy ekumenicznego Bartłomieja tomos (dekret) ustanawiający autokefaliczny²⁷⁰ Kościół Prawosławny Ukrainy. Następnego dnia, w święto Bożego Narodzenia (zgodnie z kalendarzem juliańskim), został on uroczystie zaprezentowany w katedrze tego Kościoła, Złotowierzchnim Soborze św. Michała Wodza Zastępów Niebieskich²⁷¹ w Kijowie, soborze, który podczas rewolucji godności był jednym ze szpitali polowych Majdanu.

Powołanie nowego Kościoła nie przyniosło zjednoczenia ukraińskiego prawosławia. Otworzyło jedynie proces stopniowego przechodzenia parafii prawosławnych z jurysdykcji moskiewskiej pod kijowską. Może to zająć lata. A i tak pewna część wiernych (zwłaszcza kapłanów i biskupów) z pewnością pozostanie wierna patriarchom Moskwy.

Trochę historii

Ruś Kijowska była luźnym konglomeratem księstw plemiennych i republik kupieckich obejmującym w przybliżeniu terytorium dzisiejszej północno-zachodniej i środkowej Ukrainy, Białorusi oraz północno-zachodniej Rosji (obszar późniejszej Moskiewszczyzny w X w. był marginalnym pograniczem). Jej centrami były Kijów i Nowogród Wielki, a spoiwem – rzeczno-morski szlak handlowy, łączący wschodnią Skandynawię z centrum ówczesnej Europy – Konstantynopolem. I to właśnie związki handlowe (a więc i polityczne) Rusi z Cesarstwem Wschodnim zdecydowały o tym, że w 988 r. książę (monarcha) kijowski Włodzimierz (Wołodymyr, Władimir, Valdemaras) przyjął chrześcijaństwo w obrządku wschodnim. Chrześcijaństwo tyleż prawosławne co katolickie – definitywny rozłam w Kościele powszechnym miał dopiero nadejść.

Centrami powołanej na początku XI w. metropolii kijowskiej były Kijów

i Nowogród; dopiero po kilku wiekach zaczęła rosnać rola pogranicznego Włodzimierza nad Kłazmą, zastąpionego później przez Moskwę. Metropolici kijowscy podporządkowani byli patriarchom ekumenicznym, ciesząc się znaczną autonomią, jednak nie autokefalią. Po najazdach mongolskich przenieśli oni w 1299 r. swą siedzibę z wyniszczonego Kijowa do Włodzimierza nad Kłazmą. Wkrótce potem, po trwałym podziale ziem ruskich na Ruś litewską (późniejszą Ukrainę i Białoruś) i tatarską (późniejsze księstwo Moskiewskie), nastąpił też podział kanoniczny na Kościół kijowski i moskiewski, a metropolici kijowscy wrócili do swej tytularnej siedziby. Metropolia moskiewska w połowie xv w. samowolnie ogłosiła autokefalię, a w 1589 r. zdobyła status patriarchatu, ponoć przekupując patriarchę Konstantynopola (był to czas głębokiego upadku Fanaru²⁷², z trudem poszukującego swego miejsca w świecie, w którym zabrakło Cesarza Nowego Rzymu). Niecałe sto lat później Moskwa wymusiła hołd metropolity kijowskiego przed patriarchą Moskwy, a w 1686 r. uzyskała zgodę na zwierzchność „swoich” patriarchów nad metropolią kijowską (została ona cofnięta w 1924 r., wówczas nie miało to jednak żadnego znaczenia). Już czterdzieści lat później Piotr I zniósł patriarchat moskiewski, odtworzony formalnie w 1917 r., a realnie – dopiero w 1943 r. z woli Stalina. Podczas wojny o niepodległość Ukrainy w latach 1917–1921 Dyrektoriat Ukraińskiej Republiki Ludowej dekretem z 1 stycznia 1919 r. proklamował powstanie Ukraińskiego Autokefalicznego Synodalnego Kościoła Prawosławnego, co synod części ukraińskich biskupów prawosławnych potwierdził w maju 1920 r.²⁷³ Kościół ten początkowo był tolerowany przez bolszewików jako struktura rozłamowa, osłabiająca Rosyjski Kościół Prawosławny, jednak w 1937 r. został zniszczony. Jego „grzechem pierworodnym” było to, że został ustanowiony przez władzę świecką, w dodatku o programie socjalistycznym i co najmniej antyklerykalnym.

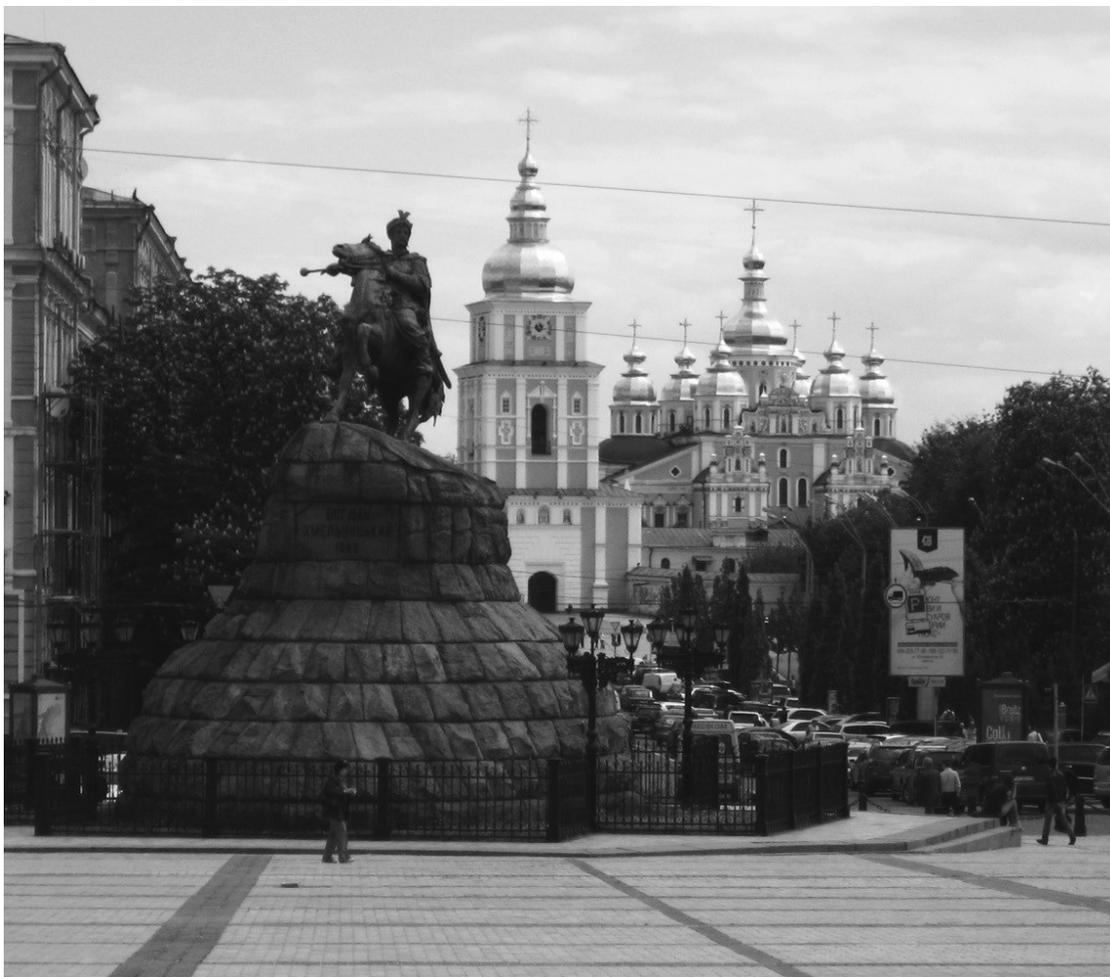
Podczas II wojny światowej Kościół ten odtworzyła grupa hierarchów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego: ta struktura przetrwała w diasporze do naszych czasów, by w 1991 r. wrócić nad Dniepr. Jednak zjednoczenie emigracyjnych i krajowych zwolenników autokefalii (tych drugich wspierał pierwszy prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk) nie powiodło się. Przyczyną było przede wszystkim to, że metropolita Mstysław²⁷⁴, zwierzchnik emigracyjnych autokefalistów, nie zdołał się porozumieć z patriarszym egzarchą Ukrainy metropolitą

Fiłaretem²⁷⁵, który po przegraniu walki o tron patriarchy Moskwy dokonał w 1995 r. rozłamu w ukraińskim prawosławiu i ogłosił się patriarchą. Wydaje się, że Fiłaret, działający co najmniej w poufnym porozumieniu z Krawczukiem, nie chciał porozumienia z emigracyjnym hierarchą, którego pojęcia o tym, czym ma być Kościół i jak mają wyglądać jego stosunki z państwem, diametralnie różniły się od sowieckiego prawosławia, którego nieodrodnym dzieckiem był samozwańczy patriarcha kijowski.

Po nieudanych próbach prezydenta Juszczenki „sztandar autokefalii” podniósł wiosną 2018 r. Petro Poroszenko, który osobiście spotkał się z patriarchą Bartłomiejem i przekonał go do przyznania Ukrainie autokefalii. Było to zresztą o tyle łatwiejsze, że rok wcześniej Moskwa udaremniła pierwszy od tysiąclecia Sobór Wszechprawosławny²⁷⁶, będący dziełem życia Bartłomieja. 11 października 2018 r. sobór patriarszy patriarchy ekumenicznego uchylił decyzję z 1686 r., przejmując pod swą zwierzchność metropolię kijowską²⁷⁷ i nakazując zwołanie soboru zjednoczeniowego, po którym metropolii będzie mogła być nadana autokefalia.

Ukraińskie prawosławie w przededniu zmian

W wyniku rozłamu z lat dziewięćdziesiątych na Ukrainie ukształtowały się trzy wielkie struktury prawosławne (oprócz nich są jeszcze niewielkie wspólnoty o niekiedy sekciarskim charakterze). Pierwszą z nich jest Ukraiński Kościół Prawosławny [UPC], uznający zwierzchność patriarchów Moskwy, jednak cieszący się szeroką autonomią. Ma on największą sieć diecezjalną i parafialną, najliczniejsze duchowieństwo, a jego wierni długo przeważali wśród prawosławnych Ukrainy. UPC jest uznawany przez pozostałe Kościoły prawosławne za prawdziwy Kościół, nie ma więc wątpliwości co do ważności sprawowanych przezeń sakramentów świętych.



Wiosna 2011 r. Odbudowany Złotowierzchni Sobór Michaiłowski, podówczas katedra UPC-KP, spod dzwonnicy Sofii Kijowskiej. Na pierwszym planie pomnik Bohdana Chmielnickiego wciąż wskazujący buławą na północ, w stronę Moskwy (a w Czernihowie pomnik hetmana w 2016 r. odwrócono, by patrzył na zachód, nie na północ...).

Drugą strukturą jest Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego (UPC-KP), którego twórcą i zwierzchnikiem jest wspomniany już metropolita Fiłaret. Ma on rozbudowaną sieć duszpasterską i zyskuje coraz liczniejszych wiernych. Inaczej niż UPC, w której rywalizują orientacje promoskiewska i „narodowa”, Patriarchat stoi na stanowisku narodowym, a nawet nacjonalistycznym. Trzecia struktura, Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny (UAPC), także stojąca na stanowisku narodowym, ma stosunkowo niewielkie wpływy, głównie na Ukrainie Zachodniej. Żadna z nich nie została uznana przez wspólnotę prawosławną, są one traktowane jako struktury schizmatyczne, a ważność

sprawowanych w nich sakramentów jest podważana.

Według danych z początku 2019 r. UPC liczy pięćdziesiąt dwie diecezje i dwanaście tysięcy parafii, UPC–KP – trzydzieści pięć diecezji i pięć tysięcy parafii, zaś UAPC czternaście diecezji i ok. tysiąc parafii. Ocena liczby wiernych jest bardzo trudna, gdyż nad Dnieprem świadomość znaczenia podziałów konfesyjnych jest niewielka, praktykowanie w cerkwi, do której jest najbliżej – powszechne, a w sondażach prawie trzecia część respondentów, uznających się za prawosławnych zamiast przynależności do jednego z Kościołów deklaruje, że są „po prostu prawosławnymi”. W jakiej mierze są to deklaracje obojętności na spór konfesyjny, w jakiej zaś odmowa ujawnienia swej afiliacji – nie sposób dociec.

Niemniej z różnych danych wynika, że z biegiem lat liczba wiernych UPC–KP rosła, UPC zaś spadała. Wybuch wojny przyspieszył ten proces: wiosną 2019 r. przynależność do UPC–KP deklarowało już 43% prawosławnych respondentów, a do UPC – tylko 19%. Dane te jednak nie w pełni odzwierciedlają obraz: nie da się przeprowadzić badań na Krymie i w okupowanej części Donbasu, gdzie niewątpliwie dominują wierni UPC.

Państwo wobec rozłamu w prawosławiu

Już w pierwszych latach niepodległości w Kijowie (i Lwowie) rzucono hasło „Niepodległe państwo potrzebuje niepodległego kościoła” i konieczności budowy ukraińskiego Kościoła partykularnego²⁷⁸ obrządku wschodniego; według niektórych zwolenników tej koncepcji miał on objąć także grekokatolików. Wydaje się, że nie pojawiło się ono w kręgach kościelnych, lecz wśród patriotycznej inteligencji skupionej wokół prezydenta Krawczuka. Krawczuk, a po nim Juszczenko popierali Patriarchat Kijowski; ten drugi bezskutecznie usiłował skłonić patriarchę ekumenicznego do przyznania mu autokefalii. Natomiast prezydent Kuczma zachowywał dystans wobec sporów religijnych, choć sprzyjał „moskiewskiej” UPC. Wiktor Janukowycz popierał ją już otwarcie. Jednak kwestie konfesyjne pozostawały na marginesie ukraińskiej polityki wewnętrznej.

Wybuch wojny zmienił sytuację. Wszystko, co rosyjskie, zaczęło być postrzegane przez większą niż kiedykolwiek część Ukraińców jako już nie obce, ale wrogie. Poparcie Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego oraz

części UPC dla antyukraińskiej polityki Moskwy stało się jawne dla wszystkich. Także niektórzy hierarchowie UPC zaczęli popierać zerwanie z patriarchatem Moskwy. Władze publiczne nie mogły dłużej lekceważyć polityki wyznaniowej. Dlatego prezydent Poroszenko zdecydował się poprzeć, a może i zainspirować petycję o przyznanie autokefalii, osobiście też rozmawiał w tej sprawie z patriarchą Bartłomiejem na początku kwietnia, krótko przed ogłoszeniem (i poparciem przez najwyższe władze państwa) tej petycji.

Petro Poroszenko jest pierwszym prezydentem Ukrainy zarazem rzeczywiście religijnym, jak też wierzącym w sposób dość nowoczesny²⁷⁹ (religijność Janukowycza była szczerą, ale mocno zabobonna, demonstracyjny udział Juszczenki w praktykach religijnych był głównie instrumentem politycznym). Jest on wiernym UPC – i ta przynależność konfesyjna stała się dla niego problemem, tak duchowym, jak i politycznym, skoro jest prezydentem kraju, z którym Rosja toczy wojnę. Wojnę „hybrydową”, a więc także religijną.

Jednak motywacje polityczno-patriotyczne i *stricte* religijne nie wyczerpywały motywacji prezydenta Ukrainy i jego otoczenia. Zbliżały się wybory prezydenckie, szanse Poroszenki na reelekcję były nieznaczące, potrzebował on wydarzenia, które zatarłoby wrażenie niezbyt udolnych rządów, przywróciło mu zaufanie wyborców. Powołanie autokefalicznego Kościoła prawosławnego znakomicie odpowiadało tym potrzebom.

Fanar zmienia zdanie

Patriarchat ekumeniczny długo nie przyjmował do wiadomości istnienia UPC-KP i UAPC, choć też nie uznawał rosyjskiej kategorii „terytorium kanonicznego”, zgodnie z którym obszar b. Imperium Rosyjskiego, a przynajmniej ZSRS ma pod względem cerkiewnym pozostawać w jurysdykcji patriarchów Moskwy. To stanowisko pozostaje w sprzeczności z tradycyjną dla prawosławia zasadą uzgadniania granic Kościołów partykularnych z granicami państw.

Jednak w kwietniu 2019 r. Fanar przyjął petycję obu wymienionych Kościołów w sprawie autokefalii, zapowiadając, że rozpatrzy ją „jako jego [ukraińskiego Kościoła – TAO] prawdziwy Kościół-matka”. Sam ten fakt był istotną zmianą stanowiska. A także dowodem słabnięcia wpływów

patriarchatu Moskwy w Kościele prawosławnym.

Moskwa (tak cerkiewna, jak i państwowa) starała się zmontować koalicję sprzeciwu wobec ukraińskiej autokefalii, wykorzystywała też kanały wpływu na sam Fanar, przede wszystkim – mniszą republikę Athos²⁸⁰, którą od lat obficie finansowała i zasilała kadrami. Ale opinia innych Kościołów prawosławnych nie jest dla patriarchy ekumenicznego wiążąca: to on, jako głowa Kościoła–matki suwerennie podejmuje decyzję.

W domu Mądrości Bożej

15 grudnia 2018 r. zebrał się sobór generalny prawosławnej metropolii kijowskiej. Wśród ojców soboru byli wszyscy biskupi UPC–KP (w liczbie czterdziestu dwóch) i UACP (w liczbie trzynastu) oraz tylko dwóch biskupów „moskiewskiego” UPC (z siedemdziesięciu trzech). Każdemu z nich towarzyszyło, zgodnie z obyczajem, po jednym przedstawicielu kleru parafialnego oraz mnichów lub świeckich.

Sobór zebrał się w najczcigodniejszym miejscu Ukrainy – w nawie głównej kijowskiego soboru Mądrości Bożej (Sofii), wzniesionego tysiąc lat temu (za datę rozpoczęcia budowy przyjmuje się rok 1017 lub 1037), u stóp pochodzącej z XI w. mozaiki przedstawiającej Matkę Bożą jako Orantkę (Orędowniczkę). Mozaika ta zwana od wieków Murem Niewzruszonym²⁸¹ ma sławę cudownej. Ku czci Bogurodzicy w tym właśnie przedstawieniu ustanowiono osobne święto (31 maja według kalendarza juliańskiego). Jedyna mozaika Sofii kijowskiej nienaruszona przez wieki jest dziś uważana za symbol i gwarancję przetrwania Ukrainy.

Sobór obradował pod przewodnictwem egzarchy (specjalnego wysłannika) patriarchy Bartłomieja i trwał zaledwie kilka godzin. Nie był jednak dobrze przygotowany: spory trwały do ostatniej chwili, otwarcie obrad opóźniło się o wiele godzin, później mogło dojść do ich zerwania, a ostateczny wynik faktycznie oznacza zjednoczenie struktur rozwiązanych w przeddzień soboru UPC–KP i UACP oraz dołączenie się doń pojedynczych, nielicznych struktur UPC.

Sobór zaakceptował opracowany przez Fanar statut Kościoła Prawosławnego Ukrainy (CPU) oraz wybrał nowego metropolitę kijowskiego i całej Ukrainy w osobie metr. Epifanija²⁸², liczącego zaledwie

czterdzieści lat namiestnika patr. Fiłareta. Hierarchę wykształconego w Kijowie i Atenach, nie w Moskwie, wolnego od wpływu „kagebowskiego prawosławia”²⁸³, ale pozbawionego jakiegokolwiek doświadczenia duszpasterskiego (nie był ani proboszczem, ani biskupem diecezjalnym).

Patriarcha Bartłomiej nie zgodził się na status patriarchalny CPU: pozostanie on autokefaliczną metropolią. Spowodowało to wielki zawód na Ukrainie, jednak było naturalną konsekwencją tego, że Fiłaret ogłosił się patriarchą samowolnie, dokonując w 1992 r. schizmy. Jemu samemu zezwolono posługiwać się dożywotnio tytułem honorowego patriarchy.

CPU będzie kościołem autokefalicznym, tj. w pełni samorządnym: metropolici kijowscy nie będą zatwierdzani przez Fanar w żadnej formie. Jedynymi formami zależności metropolii pozostanie to, że olej krzyżma (w językach wschodniosłowiańskich *myro/miro*) będzie ona otrzymywać z Konstantynopola, a nie przygotowywać samodzielnie (dotychczas otrzymywała je z Moskwy), a także konieczność uzgadniania kanonizacji. To pierwsze jest kwestią czysto liturgiczną, drugie ma pewne znaczenie praktyczne: Fanar będzie mógł ingerować w politykę kanonizacyjną PCU (procedura kanonizacji w Kościele wschodnim nie jest tak sformalizowana, jak w katolickim).

Rozgrywka patriarchy Fiłareta

Kluczową osobą w procesie zjednoczeniowym był (obok Bartłomieja i Poroszenki) patriarcha kijowski Fiłaret, od 37 lat zwierzchnik ukraińskiego prawosławia (do 1992 r. jako egzarcha patriarchy Moskwy), twórca „narodowego” Kościoła prawosławnego, człowiek o ogromnej sile charakteru, konsekwencji i uporze. Ale też starzec stojący nad grobem. A także – jak wszyscy biskupi z jego pokolenia – uwikłany we współpracę z KGB i pionem ideologicznym partii komunistycznej.

Do ostatniej chwili zagadką było to, w jakim nakryciu głowy pojawi się Fiłaret na soborze: w przysługującym patriarchsze białym kukule czy w kłobuku arcybiskupa metropolity²⁸⁴. Ostatecznie przywdział kukol, tyle że czarny. Ustąpił o krok, w sprawie symbolicznej. Ale to, że nie ubiegał się o zwierzchnictwo nowego Kościoła, wynikało z wyraźnego zakazu Fanaru.

Celem Fiłareta było jeśli nie potwierdzenie godności patriarchalnej dla

siebie i swych następców, to zapewnienie jednoznacznej przewagi Patriarchatu Kijowskiego w zjednoczonym Kościele. Przekształcenie zjednoczenia we wchłonięcie. Niczego innego nie był skłonny zaakceptować. Nieobecność na Soborze zapowiadanych siedmiu–dziesięciu biskupów UPC była jego sukcesem (zaś porażką patriarchy ekumenicznego i prezydenta Ukrainy). I nie można wykluczyć, że za wycofaniem się tych biskupów stały nie tylko dyscyplinujące działania głowy UPC, ale i zakulisowe działania Patriarchatu Kijowskiego²⁸⁵.

Patriarcha (w oczach Fanaru i innych Kościołów prawosławnych już tylko metropolita) Fiłaret do ostatniej chwili nie chciał też zgodzić się na samorozwiązanie Patriarchatu Kijowskiego przed soborem (UACP zaakceptowała ten wymóg bez wahania), a decyzję w tej sprawie podpisał dopiero, gdy sobór obrał jego kandydata metropolitą kijowskim.

Stanowisko Fiłareta wspierał jego wiek. Nie dlatego, by dodawał mu autorytetu, lecz dlatego, iż wszyscy rozumieli, że jego zgon lub nawet konieczność hospitalizacji w czasie soboru oznaczają katastrofę wizerunkową. Gdy więc w I turze wyborów względna większość zgromadzonych poparła metropolitę łuckiego Mychajłę (także z UPC–KP), a Fiłaret zagroził zerwaniem soboru, usilnie przekonywano do ustępstw tego pierwszego, nie zaś drugiego. I w końcu przekonano.

Monarsze gesty Poroszenki

Wróćmy na chwilę pod kopuły Sofii kijowskiej. Za prezydialnym stołem soboru po prawicy egzarchy patriarszego zasiadł... prezydent Ukrainy, tym samym stając się współprzewodniczącym obrad (po lewicy egzarchy zasiadł Fiłaret, już tylko metropolita). Nieco z tyłu, przed ikonostasem postawiono prezydencką mównicę, a Poroszenko wygłosił mowę otwierającą sobór. Zaś po zakończeniu obrad prezydent wyszedł do wiernych zgromadzonych na wiecu przed soborem, przedstawił nowego metropolitę i wygłosił przemówienie bardziej polityczne niż religijne. Było to coś jakby dawna inwestytura, gest monarszy, cesarski wręcz.

Nie dość na tym: wkrótce okazało się, że prezydent osobiście brał udział w przedsoborowych sporach, był arbitrem między skłóconymi biskupami, miał własnego kandydata na metropolitę kijowskiego (metropolitę winnickiego i barskiego Symeona z UPC, który w pierwszym głosowaniu uzyskał spore poparcie). Gdy zarysował się opisany wyżej

kryzys, to właśnie prezydent przekonał metropolitę Mychajłę do wycofania się. Prezydent Ukrainy miał w tym procesie własny cel, własną strategię: dążył do zapewnienia w nowym Kościele jak największego udziału i roli biskupów UPC, do choćby w przybliżeniu „parytetowego” charakteru zjednoczenia. Tę walkę przegrał: CPU będzie „rozszerzonym” UPC–KP, nic innego nie jest już możliwe²⁸⁶.

Nawet biorąc pod uwagę inną tradycję stosunków Kościołów wschodnich z państwem i większą w nich rolę świeckich, nie są to dobre standardy stosunków państwo–Kościoł. Zwłaszcza w kraju, w którym „Kościoł i organizacje religijne” są konstytucyjnie oddzielone od państwa.

Inna rzecz, że to nie do końca prawda. Zgodnie z obowiązującym, jeszcze sowieckim ustawodawstwem państwo ukraińskie nie uznaje istnienia Kościołów jako takich, a tylko poszczególne gminy religijne²⁸⁷, jest też właścicielem i dysponentem obiektów sakralnych. Nie może nie mieszać się w spory konfesyjne, chce tego czy nie.

W mowie na placu Sofijskim Poroszenko mówił o autokefalii jako „ostatecznym zdobyciu niepodległości”, a nową metropolię nazwał „Kościołem bez Putina”. Widać było, że gra o dużo więcej niż o reelekcję – o miejsce w historii, wśród „ojców niepodległości” Ukrainy.

Perspektywy zjednoczenia

Tomos o autokefalii był zaledwie początkiem procesu zjednoczeniowego. Jeśli wierzyć sondażom, poparcie dla niezależności Kościoła prawosławnego jest na Ukrainie bardzo wysokie. Nikt nie ma jednak wątpliwości, że jego zjednoczenie może nastąpić jedynie przez rozłam w UPC, bowiem część jego wiernych, kapłanów i biskupów wybierze wierność Moskwie. Można było oczekiwać, że UPC zostanie rozwiązana, a „moskiewska” jego część wejdzie w skład Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, być może jako egzarchat patriarszy z ograniczoną autonomią. Tak przynajmniej spekulowano w Kijowie.

Do końca 2018 r. do PCU przeszło kilkanaście, może dwadzieścia parafii UPC, a także dwóch biskupów (lecz nie ich diecezje). Czasem wspólnota wiernych uchwałała decyzję jednomyślnie, czasem – większością głosów; czasem proboszcz stawał na czele procesu, czasem wspólnota parafialna pokazywała mu drzwi (zgodnie z ukraińskim prawem kapłan jest

pracownikiem gminy wyznaniowej). Przed soborem zjednoczeniowym konfliktów nie odnotowano.

Nie da się ich jednak uniknąć, zwłaszcza tam, gdzie lokalne wspólnoty podzielią się i będą walczyć o świątynie i inne obiekty²⁸⁸. Takie konflikty, często z użyciem przemocy i interwencjami nacjonalistycznych bojówek, miały miejsce podczas rozłamu sprzed ćwierćwiecza. Nie ma powodów, by sądzić, że teraz uda się ich uniknąć. W te spory i konflikty będą jawnie i zakulisowo interweniować państwo, partie polityczne przygotowujące się do wyborów 2019 r., a także agentura Federacji Rosyjskiej.

Można było oczekiwać, że po otrzymaniu tomosu proces ten przyspieszy. Jak bardzo – nie sposób przewidzieć. Na pewno nie obejmie wszystkich, a rozłam pozostanie i stanie się bardziej definitywny niż dziś. Nie będzie już miejsca na „po prostu prawosławnych”, ignorujących podziały międzykonfesyjne.

W miastach zadecyduje postawa tzw. prawosławnych kulturowych, dla których przynależność konfesyjna jest przede wszystkim lub wyłącznie elementem tożsamości społecznej. Można oczekiwać przechodzenia wiernych o orientacji patriotycznej do nowego Kościoła (choć znacząca ich część przeszła już do parafii UPC–KP po wybuchu wojny w 2014 r.), skupiania się zaś (i aktywizacji) w Kościele „starym” wiernych o orientacji antypatriotycznej (anty kijowskiej). Będzie to o tyle słabiej widoczne, że zazwyczaj będą to przepływy wiernych, a nie – parafii.

Rosyjska agentura (w tym ta w organizacjach nacjonalistycznych) też nie będzie próżnować. Jej działania skupią się jednak zapewne na sytuacji w wielkich miastach (zwłaszcza Kijowie), bo te konflikty łatwiej będzie wygrać medialnie niż wiejskie zatargi, a także na sytuacji wokół dwóch ławr²⁸⁹: Poczajowskiej i Kijowsko–Peczerskiej, kontrolowanych przez duchowieństwo o poglądach radykalnie prorosyjskich (Poczajów na początku XX w. był jednym z głównych centrów ruchu czarnosecinnego w Imperium Rosyjskim), a jednocześnie – jako obiekty zabytkowe szczególnej rangi – stanowiące państwowe „rezerwy architektury”. Tu można mieć tylko nadzieję, że władze Ukrainy zachowają ostrożność i takt, a służby powstrzymają w porę próby prowokacji.

Religijny wymiar zjednoczenia

Dotychczas zajmowałem się jedynie administracyjno–prawną stroną

jednoczenia ukraińskiego prawosławia. Pora na pytanie, czym stanie się PCU jako struktura życia sakramentalnego, duchowego. Czy jego kapłani i biskupi będą teraz bardziej głosić orędzie Chrystusa, czy też – jak dotychczas w UPC–KP – głównie Ukrainę: państwo i naród? Obawiam się tego drugiego (i nie jestem w tym osamotniony wśród obserwatorów).

Ale UPC także głosiła dotychczas bardziej *Russkij mir* (rosyjski pokój/świat – to podwójne znaczenie jest ważne dla zrozumienia koncepcji) niż Chrystusa. Ojcowie położonej na Wołyniu Ławry Poczejowskiej mówią wprost, że Ławra jest terytorium Federacji Rosyjskiej, a imiona w wypominkach nakazują pisać w wersjach rosyjskich (Władimir, nie Wołodymyr, Jelena, nie Ołena), na wschodzie Ukrainy zdarzył się kilka lat temu przypadek odmowy pochówku dziecka ochrzczonego w Kościele „kijowskim” (a ile podobnych przypadków nie dotarło do mediów?).

Oslabienie na Ukrainie głosu *ruskowo mira*, koncepcji – przypomnijmy – pierwotnie cerkiewno– a nie cywilno–politycznej jest z pewnością grą wartą świeczki. Ale czy przyczyni się to do odnowy duchowej, do odbudowy wiary i moralności chrześcijańskiej nad Dnieprem? Obawiam się, że nie. Ale może się myłę...

I nie wykluczam, że tak jak podczas rozłamu z początku lat dziewięćdziesiątych na tych sporach i kontrowersjach, bardziej narodowo–politycznych niż rzeczywiście religijnych, zyskają wyznania ewangeliczne: baptyści, zielonoświątkowcy, adwentyści, już dziś liczni i wpływowi na Ukrainie.

Co zrobi Moskwa?

Rosyjskiemu Kościołowi prawosławnemu trudno pogodzić się z utratą zwierzchnictwa nad Kijowem. Nie tylko dlatego, że zjednoczenie ukraińskiego prawosławia może zepchnąć RPC na drugie miejsce w świecie prawosławnym (według dostępnych danych w Federacji Rosyjskiej jest czternaście tysięcy parafii prawosławnych, gdy sama UPC ma ich jedenaście tysięcy). Bardziej dlatego, że RCP buduje swój prestiż na tysiącletnim dziedzictwie chrześcijaństwa kijowskiego.

To, że RCP nie uzna ukraińskiej autokefalii i nie nawiąże kontaktów z nowym Kościołem, można było uznać za pewne. Ale Moskwa (i ta cerkiewna, i polityczna) reagowała ostrożnie. Czekwała. Formułowany zimą 2019 r. pogląd, że mogłaby zareagować pełnowymiarową agresją na

Ukrainę, należał do instrumentarium wojny propagandowej, nie rzetelnej analizy. Patriarcha Moskwy skupił się na przekonywaniu innych Kościołów autokefalicznych, by nie popierały decyzji Fanaru. Zaś w ostatnich dniach 2018 r. groził on patriarsze ekumenicznemu utratą prymatu we wspólnocie prawosławnej i... Sądem Ostatecznym. Ale na krok ostateczny, wyklęcie Bartłomieja, Moskwa się nie odważyła.

Zapewne także dlatego, że decyzje tego hierarchy zmieniają pogląd na naturę prymatu patriarszego w Kościele prawosławnym: patriarcha ekumeniczny okazuje się czymś więcej niż tylko pierwszym wśród równych zwierzchników Kościołów autokefalicznych: w pewnych sytuacjach ma całkiem sporą władzę. I chętnie ją powiększa. To także nie jest na rękę Moskwie, dotychczas korzystającej z niewypowiedzianego, ale realnego przywileju „starszego wśród równych”.

Pół roku później

Po zaledwie kilku miesiącach widać, że nadzieje, nawet te ograniczone, związane z soborem kijowskim i tomosem, nie spełniły się. Niczyje. Do końca czerwca do CPU przeszło około pięciuset parafii (głównie na Wołyniu i Podolu) i zaledwie sześciu lub ośmiu kapłanów UPC, niemal wszystkie do marca–kwietnia²⁹⁰; przepływ wiernych był zapewne znacznie większy, ale nie mamy jak go zmierzyć. Żaden z autokefalicznych Kościołów prawosławnych nie uznał UPC, choć oficjalnie odmówiły jej uznania tylko trzy: rosyjski, serbski i polski. Można w tym widzieć skutek zarówno umiejętnej dyplomacji Moskwy (świeckiej i kościelnej), jak też tego, że do rzeczywistego zjednoczenia nie doszło, a nie cieszący się powszechnym poważaniem (to taki eufemizm...) Filaret nie usunął się w cień. Z drugiej jednak strony nie doszło do poważniejszych konfliktów. Nikt nie usiłował podporządkować nowemu Kościołowi ławr. Uchwalone przez parlament narzucenie strukturom Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego nazwy „Rosyjski Kościół Prawosławny na Ukrainie” zostało zablokowane na drodze sądowej (nie jest to jeszcze decyzja ostateczna).

Gdy wkrótce po wydaniu tomosu, w trakcie *tournée* Poroszenki obwożącego ten dokument po kolejnych stolicach obwodów, okazało się, że spektakularnego zjednoczenia Kościołów nie będzie, a i poparcie dla Poroszenki nie wzrosło, sztabowi prezydenta i jemu samemu w widoczny

sposób przestało zależeć na forsowaniu procesu. Zwłaszcza, że honorowy patriarcha Fiłaret zaczął kokietować jedną z jego przeciwniczek, Julię Tymoszenko. Potem Poroszenko przegrał wybory, a po jego następcy trudno oczekiwać angażowania się w spory konfesyjne. Moskwa także nie interweniuje. Nie musi. Obecny stan rzeczy w pełni ją satysfakcjonuje.

Potwierdziły się przeczucia, że „wielkim hamulcowym” procesu zjednoczenia jest Fiłaret, o którym w Kijowie mawiano, że „bardziej kocha siebie w autokefalii niż autokefalię w sobie”, którego dziewięćdziesiąte urodziny (23 stycznia 2019 r.) Rada Najwyższa wpisała na listę uroczystości państwowych, a państwo uczciło „akademią” w najgorszym sowieckim stylu. Który już wiosną popadł w konflikt z metr. Epifaniszem (choć sam go przeforsował), zaczął kwestionować fakt samorozwiązania Patriarchatu Kijowskiego, a 20 czerwca zwołał jego sobór²⁹¹, który zakończył się nie rozłamem czy skandalem, ale kompromitacją: wzięło w nim udział tylko dwóch biskupów reprezentujących jedną diecezję, w dodatku z Federacji Rosyjskiej. Żaden z ukraińskich biskupów nie odpowiedział na zaproszenie patriarchy Fiłareta.

Dożywotni honorowy patriarcha... Za jego życia żaden istotny postęp w pojednaniu podzielonych ukraińskich Kościołów prawosławnych nie jest możliwy. Ale to już pozostaje w rękach Najwyższego.

Tekst ten jest połączeniem dwóch artykułów: *Kijów czeka na autokefalię* („Tygodnik Powszechny” nr 26 z 2018) i *W domu Mądrości Bożej* (nr 2 z 2019), stąd też przeredagowania są tu większe niż w innych tekstach. Ostatni rozdział został dopisany do tego zbioru. Tytuł odzwierciedla moje obecne, a nie ówczesne, bardziej optymistyczne widzenie zagadnienia.

„Jak sobie radzić z Ukrainą?”

Tekst ten wymaga krótkiego wstępu. Nie był on uprzednio publikowany, ale też nie powstał do tego tomu. W 2014 r. Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia wraz z wydawnictwem Fronda przygotowywał zbiór wywiadów z analitykami osw, mający przedstawić zarówno sam Ośrodek, jego historię i metodę działania, jak i nasze poglądy na sytuację w krajach, którymi się zajmujemy w nieco mniej formalny sposób. Wywiady przeprowadził Łukasz Warzecha na przełomie 2014 i 2015 r., książka ukazała się zaś w 2016 r. pod tytułem *Między Berlinem a Pekinem. Z analitykami Ośrodka Studiów Wschodnich rozmawia Łukasz Warzecha*.

Przed wywiadem, w listopadzie 2014 r., otrzymałem od red. Warzechy zestaw pytań i przygotowałem pisemny konspekt odpowiedzi. Jednak wywiad poszedł w nieco innym kierunku i konspekt wykorzystałem tylko w pewnym stopniu. Postanowiłem przytoczyć go tutaj tak, jak był napisany (z minimalnymi zabiegami redakcyjnymi), cokolwiek kolokwialny, niestaranny, osobisty. Pytania (o bardzo roboczym charakterze) pozostawiłem bez żadnych zmian. Kto chciałby porównać ten tekst z wersją zapośredniczoną najpierw przez pióro dziennikarza, a potem przez staranną autoryzację, może sięgnąć po wersję wydrukowaną²⁹².

Tytuł, cokolwiek ironiczny, stanowi uogólnienie pytań, które otrzymałem przed wywiadem, stąd też cudzysłów.

[Ukraińska rzeczywistość od pomarańczowej rewolucji a nasze wyobrażenia. Jak naprawdę wygląda problem polsko-ukraińskiej przeszłości? Jaka jest rola ukraińskiego nacjonalizmu w ukraińskiej polityce – za Juszczunki i dzisiaj?]

Pomarańczowa rewolucja 2004 r. zmieniła niezbyt wiele. Oczekiwania były ogromne, polska jej wizja dość daleka od rzeczywistości: daliśmy się zaczarować wizerunkowi Juszczunki oraz romantyzmowi Majdanu (ja sam dałem się uwieść drugiemu, ale nie – pierwszemu). Majdan został

„ukradziony” przez polityków i przez nich koncertowo zmarnowany. System oligarchiczny nie został naruszony, więcej – umocnił się. Więcej zmieniło się w poprzednim piętnastoleciu, które było decydujące dla kształtu państwa i społeczeństwa niepodległej Ukrainy, także dzisiejszego.

To najważniejsze, co nastąpiło po 2004 r., to dorośnięcie dziesięciu kolejnych roczników „urodzonych obywateli” Ukrainy. Drugim było pogorszenie koniunktury gospodarczej po 2008 r., utrudniające modernizację kraju, trzecim, najmłodszym – zdumiewająca arogancja środowiska oligarchiczno–biurokratyczno–politycznego, zwanego ogólnie reżimem Janukowycza, promieniująca przykładem na prowincję (przykład Wradijówki²⁹³: gwałt, obawa przed szukaniem przez milicję kozłów ofiarnych, bunt, prefiguracja rewolucji godności).

Tym razem rewolucja rodziła się, ale nie była przygotowywana (pomarańczowa rewolucja dojrzewała w aktach protestacyjnych i świadomym szkoleniu aktywistów od jesieni 2000 r., od sprawy Gongadze).

„Problem polsko–ukraińskiej przeszłości” (jeśli w ogóle można tak powiedzieć: problemem nie jest przeszłość, a sposób pamiętania o niej) w tym kontekście jest, jak to się mówi, nerelevantny. Dla Kijowa, ale i dla Lwowa są to rzeczy bez znaczenia. Historyczny spór z Polską i Polakami został rozstrzygnięty ostatecznie i nieodwracalnie, spór z Rosją trwa na wszystkich możliwych poziomach i formach, dziś także wojennym. Dziś, gdy rozmawiamy, niekoniecznie dziś, gdy to czytacie: ale i w tym „drugim dziś” wielki spór ukraińsko–rosyjski jest daleki od zakończenia.

Państwo ukraińskie, jego elity polityczne nie doceniają znaczenia kształtowania konsolidującej naród narracji historycznej i niewiele przywiązuje wagi do historii. Owszem, jakoś rozumiał to prezydent Juszczenko (syn nauczycieli) i próbował budować narrację drastycznie antyrosyjską (Baturyn²⁹⁴, Hołodomor), kreować wizerunek Ukraińców jako narodu–męczennika. I odniósł niejaki sukces. Jak to będzie teraz wyglądało, trudno powiedzieć, sądzę jednak, że nastąpi zwrot ku kartom heroicznym, ku pamięci o zwycięstwach, a przynajmniej klęskach bohaterskich, „w wielkim stylu”. Takich narracji potrzebuje wojna – a ona jeszcze potrwa. A to znaczy, że jeszcze silniej niż dziś będzie przywoływana pamięć o UPA. Przykrojona wedle heroicznego wzorca,

rzecz jasna.

Jeśli przez ukraiński nacjonalizm rozumiemy „twardą” ideę narodową, która do niedawna konsolidowała większość narodów europejskich, to oczywiście odgrywał on w polityce państwa ukraińskiego ogromną rolę, nie tylko za Juszczenki, ale i za jego poprzedników (choć za czasów Kuczmy mało było go w oficjalnej retoryce). Rugowanie za rządów Janukowycza (złowieszcza rola Dmytro Tabacznyka²⁹⁵) z oświaty i życia kulturalnego ukraińskiego nacjonalizmu i zastępowanie go ideą *russkawa mira* było jednym z czynników budujących rewolucję godności i jednym z powodów, dla których masowo poparli ją też rosyjskojęzyczni obywatele Ukrainy. Ten nacjonalizm ma charakter obywatelski, polityczny, co umacniają wydarzenia 2014 r. I jego rola będzie rosła przynajmniej do końca wojny. Wojna tak w ogóle nie jest czasem liberalizmu, czasem cieniowania i ważenia racji.

Rozumiem jednak, że pytanie dotyczy jednego z nurtów ukraińskiego nacjonalizmu, uważanego u nas za nacjonalizm *par excellence*: zachodnioukraiński nacjonalizm etniczny z silnymi tendencjami antypolskimi, antysemitycznymi i totalitarnymi, którego ukoronowaniem była ideologia OUN. W ukraińskim życiu państwowym tej ideologii nie ma zupełnie i nie było także za czasów Juszczenki; w społeczeństwie, także zachodniej Ukrainy, jest on zaskakująco mało popularny. W latach dziewięćdziesiątych obawiałem się znacznie większej popularności tej ideologii. Pozostała ona jednak marginalnym ekscesem środowisk skrajnych, które są w każdym społeczeństwie. Dlaczego? Jak sądzę dlatego, że żadna z dominant tej ideologii nie korespondowała z rzeczywistością schyłku XX w.: stosunki z Polakami (nie z Polską) i Żydami stały się zagadnieniami historycznymi, a co może ważniejsze – totalitaryzm bardzo słabo przemawia do pokoleń, uformowanych najpierw przez indywidualizm liberalny, potem zaś konsumpcjonistyczny. Owszem, mamy powtarzanie totalitarnej retoryki, ale nie widać nawrotu totalitarnych praktyk, totalitarnej metody formowania organizacji politycznych. Nie tylko na Ukrainie.

Partie, próbujące po 1990 r. głosić program banderowskiej OUN, pozostały marginesem życia politycznego nawet w skali galicyjskiej. Wyrwała się z tego marginesu dopiero Swoboda – dzięki modernizacji ideologicznej, przyjęciu licznych elementów współczesnej europejskiej nowej prawicy. Ale i ona wraca na margines (tak to wynika z wyniku

wyborów 2014 r.), przede wszystkim dlatego, że jej skrajny ekskluzywizm językowy, swoisty lingwocentryzm okazał się nie do przyjęcia dla znacznej większości także tych Ukraińców, którzy posługują się językiem ukraińskim tak w życiu codziennym, jak i obiegu kulturalnym.

Warto jeszcze powiedzieć i to, że dla demoliberalistów, podobnie jak komunistów różnych odcieni, wszelki nacjonalizm jest radykalny, podobnie jak wszelka prawica – skrajna. Trochę mi dziwnie, a trochę smutno, gdy widzę, jak tę retorykę w odniesieniu do Ukraińców przejmuje część środowisk prawicowych.

[Czy jest jakieś uzasadnienie dla obaw środowisk narodowych w Polsce, że ukraiński nacjonalizm może zająć poczesne miejsce?]

Nie jestem narodowcem, ich argumentację znam dość pobieżnie, trudno mi mówić o ich obawach, nadziejach i przekonaniach. Duża część szeroko rozumianego ruchu narodowego, jeśli dobrze to rozumiem, uważa za rzecz niedopuszczalną samo istnienie organizacji, ruchów, programów i symboliki nawiązujących do OUN–UPA, traktujących jakikolwiek aspekt ich działalności pozytywnie. Kamieniem obrazy jest dla nich np. to, że prezydent Poroszenko ustanowił dzień 14 października świętem ukraińskich sił zbrojnych: ich zdaniem jest to uczczenie UPA, gdy to kierownictwo OUN przypisało powstanie UPA do tej daty, kościelnego święta Opieki Matki Bożej i tradycyjnego święta ukraińskiego oręża (było to święto „patronalne” Zaporozców już w XVII w.). Wcześniej środowiska te gwałtownie krytykowały przyznanie przez Juszczenkę tytułu Bohatera Ukrainy Szuchewyczowi i Banderze (coś, co także ja przyjąłem co najmniej z niesmakiem).

A skoro już na to zeszło: rozumiem i akceptuję oburzenie, nawet wyrażane bardzo głośno, nietolerancyjnie i nieparlamentarnie. Mamy prawo wyrażać swoje opinie i uczucia moralne również w taki sposób. Ale nie rozumiem i nie akceptuję podejmowania takich działań, jak wspieranie przez polskich nacjonalistów ukraińskich komunistów czy organizacji kierowanych z Moskwy. Tymczasem przedstawiciele polskich organizacji kresowiackich (*nomina sunt odiosa*, nie będę ich wymieniał) wspierali PSPU²⁹⁶, ugrupowanie zdrady narodowej, którego przedstawiciel potrafił, zeznając przed sądem, powiedzieć: „to nie jest obóz koncentracyjny, będę mówił po rosyjsku”, gdy ta partia dążyła do

uchylenia dekretów o „heroizacji” Bandery i Szuchewycza. Te same środowiska współpracowały przy organizacji wystawy na temat zbrodni wołyńskiej na Ukrainie z fundacją „Rosyjskojęzyczna Ukraina”, ewidentną agenturą Federacji Rosyjskiej.

Nie twierdzę, że Polacy podejmujący taką działalność są agentami wpływu Rosji. Nie mam podstaw do formułowania takich twierdzeń, a od tropienia agentury są inne służby Rzeczypospolitej. Ale mam dostateczne podstawy, by twierdzić, że w toku takich działań wchodzi oni w kontakt z rosyjską agenturą i mogą być przez nią rozgrywani. Choćby po to, by tworzyć wrażenie, że utożsamianie ukraińskiego ruchu narodowego *tout court* z radykalnym nacjonalizmem, uznawanie każdego ruchu, który nie współdziałał bezkrytycznie z Armią Czerwoną za faszystowski, nie jest wyłącznie narzędziem ich propagandy.

Timeo Moskalos et done ferentes („Moskalos” to chyba kiepska łacina...) ²⁹⁷. Pamiętam, że te epitety stosowano także do naszego narodu, że AK, a przedtem rząd Rzeczypospolitej, były ogłaszane przez Moskwę faszystowskimi. I nie mam najmniejszych złudzeń co do celów dzisiejszej rosyjskiej propagandy: możemy być dla Moskwy taktycznym sojusznikiem przeciw Kijowowi, ale niezmiennie pozostajemy wrogami. Coś jak w latach czterdziestych, gdy sowiecka partyzantka wspierała polską samoobronę i AK przeciw UPA po to, by osłabić jednych i drugich.

A wracając do pytania... Nie widzę na Ukrainie odradzania się „ukraińskiego nacjonalizmu” w tradycyjnym polskim rozumieniu (choć widzę, rzecz jasna, odrodzenie go w rozumieniu rosyjskim – i to odrodzenie mnie cieszy). Dostrzegam, owszem, marginalne, radykalne wypowiedzi, także antypolskie i antysemickie i takie organizacje. Ale widzę je też w Polsce (choć niespecjalnie śledzę te zjawiska w naszym kraju) i nie byłbym pewien, gdzie są one szerszym, gdzie zaś węższym marginesem. Widzę też odradzanie się, a właściwie – rodzenie się pozytywnej pamięci o UPA, cokolwiek podobnej do naszej pamięci o Żołnierzach Niezłomnych (porównuję tu pamięć, nie formacje i ich członków). I widzę, że z tą pamięcią będziemy mieć kłopot, jeśli będziemy chcieli uzgadniać polską i ukraińską politykę tożsamości.

Ale czy to jest „poczesne miejsce”? Poczesne to najważniejsze, honorowe, to miejsce ojca rodziny za stołem. Ani ideologia postbanderowska, ani nawet pamięć o UPA nie jest w stanie w ten sposób zdominować Ukrainy. Ale ta druga staje się istotnym składnikiem

świadomości narodowej, istotnym składnikiem patriotyzmu Ukraińców. Składnikiem kontrowersyjnym, budzącym spory może przez pokolenia. Tak jak niektóre ważne składniki naszej tożsamości narodowej.

[Dlaczego Ukraińcy, budując w latach 2000 [sic] swoją tożsamość, oparli się na najtrudniejszych dla wzajemnych relacji podstawach (Bandera, OUN, UPA), a nie na dobrych stronach wspólnej historii – historii Rzeczypospolitej, złożonej faktycznie z trzech, a nie dwóch członów?]

Przede wszystkim – niby z jakiej racji Ukraińcy czy jakikolwiek inny naród miałyby budować swą tożsamość, orientując się na to, co będzie, co zaś nie będzie służyło dobrym stosunkom z tym czy innym sąsiadem? Czy zadałby Pan pytanie, dlaczego Polacy, przekształcając po 1989 r. kształt swego patriotyzmu, sięgali po pamięć o zbrodniach NKWD i Żołnierzach Niezłomnych, a nie poszukiwali „dobrych stron wspólnej historii” w rodzaju sowieckiego wsparcia w odbudowie kraju po ostatniej wojnie (skądinąd rzeczywistego)? Czy to, że w duchu „niedrażnienia sąsiadów” wyciszyliśmy w ostatnim ćwierćwieczu pamięć o rzezi Woli i potwornościach, jakie dotknęły wieś polską za okupacji niemieckiej, że w historii Warszawy praktycznie nie istnieje rzeź Pragi, a w historii Polski – hołd carów Szujskich, dobrze przysłużyło się Polsce? Sam Pan przyzna, że to pytanie retoryczne. A skoro zgadzamy się co do tego – czemu mielibyśmy oczekiwać czegoś innego od Ukraińców?

Czy jest coś dziwnego w tym, że naród szuka źródeł dumy we własnej przeszłości, nie oglądając się na innych? Ja uważam to za oczywiste.

Rzecz druga. Ukraina nie buduje swej tożsamości od ok. 2000 r., a od schyłku lat osiemdziesiątych. I elementy pozytywnej pamięci o OUN–UPA, podawanej tak, by nie przekreślić pozytywnej pamięci o Armii Czerwonej i sowieckiej partyzantce (bezpośrednich przeciwnikach UPA), pojawiają się w ukraińskich podręcznikach szkolnych już ok. 1992–1993 r. (znam te podręczniki, znam ówczesną publicystykę historyczną). Rok 2004 zmienił coś tylko na poziomie polityki prezydenta. W innych zakresach mamy ciągły proces, choć z pewnymi meandrami, jak zwykle przy takich procesach.

A dlaczego sięgnęli do tej tradycji? Bo ona wciąż jest jako tako żywa. Jeszcze żyją weterani, świadkowie. Bo głównym elementem sowieckiej narracji tożsamości, także na Ukrainie, była Wielka Wojna Ojczyźniana

(WWO), a walka UPA była elementem ówczesnej wojny, mogła więc przyczynić się do „odczarowania” tradycji sowieckiej. Bo UPA istniała również w tamtej narracji, choć ze znakiem „minus”, dość łatwo było więc odwrócić znaki z komunistycznych na narodowe.

Nie było zresztą dobrej alternatywy. Pamięć o rewolucji niepodległościowej lat 1917–1920, którą ćwierć wieku temu usiłowaliśmy suflować Kijowowi, to pamięć o „potępieńczych swarach” i wojnie domowej między samymi Ukraińcami (Polacy zdobyli się w tym czasie na „świętą zgodę”, Ukraińcy nie) oraz bardzo niewygodna dziś prawda, że ówczesni niepodległościowcy byli zarazem rewolucjonistami nie tak znów odległymi od bolszewików, a jedynym przywódcą, który z jakim takim sukcesem budował państwo, był carski generał i reakcjonista Skoropadski, ledwie mówiący po ukraińsku. Wreszcie – a to jest coś, co i my przeoczyliśmy, „reanimując” pakt Piłsudski–Petlura – to była pamięć o wojnie z Rosją, nie z Sowietami. A na taką wojnę nowa Ukraina się nie wybierała.

Pamięć o Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Ona jest bardzo odległa, słabo znana, a w szkole i kulturze narodowej niemiłosiernie zakłamana bardziej w duchu klasowym niż narodowym. Ale w tym drugim też. To nam wydaje się ona „dobrymi stronami wspólnej historii” – Ukraińcy patrzą na nią zupełnie inaczej: jako na okres niewoli, ucisku narodowego, religijnego i społecznego. I jest w tym sporo racji – choć tylko sporo.

Poza tym – czy naprawdę życzylibyśmy sobie, by Ukraińcy budowali swą tożsamość na tradycji Zaporozża, nieustannych wojnach przede wszystkim z Polską? Tradycji, która w odróżnieniu od upowskiej jest „własnością” całego narodu, jest przyjmowana jako własna od Lwowa po Ługańsk (choć różnie interpretowana)? Czy na podstawie pamięci o tamtych wydarzeniach byłoby nam łatwiej budować porozumienie w zakresie polityki historycznej? Wątpię. Bardzo mocno wątpię.

Tak na marginesie – nie było żadnych „trzech podmiotów” Rzeczypospolitej, nigdy, ani przez chwilę. Ugoda hadziacka pozostała na papierze, była zresztą spóźniona o pół wieku, jeśli nie o wiek. Jeśli był trzeci człon Rzeczypospolitej, były nim Prusy Książęce.

W ukraińskim odwoływaniu się do tradycji OUN–UPA nie ma wątków antypolskich²⁹⁸. Owszem, jest przypomnienie walki z państwem polskim w okresie międzywojennym, ale nie ma w tym nic dziwnego ani

zdrożnego: narody mają prawo czcić bojowników walki o niepodległość. Podobnych irredent było wówczas w Europie wiele, metody ówczesnej walki mieściły się w ówczesnych granicach (zgoda, nie we współczesnych). Inaczej było podczas II wojny światowej, gdy OUN–UPA dopuściła się strasznych zbrodni. Ale do tego dziś się na Ukrainie nie wraca, zbrodnie na Polakach i Żydach są przemilczane, zaprzeczane, bagatelizowane. Między innymi przez rzeczywiście neobanderowską narrację „drugiej wojny polsko–ukraińskiej”. UPA nie jawi się we współczesnej narracji ukraińskiej jako formacja antypolska ani zbrodnicza.

W Kijowie silny jest natomiast postulat, by UPA została oficjalnie uznana za „stronę wojującą w II wojnie światowej” i to za alianta, członka Narodów Zjednoczonych. Niewykluczone, że taka ustawa została uchwalona przed publikacją naszej rozmowy²⁹⁹. Świat będzie się śmiał, bo nie w ten sposób określa się, kto był, kto zaś nie był stroną wojującą, a tym bardziej – członkiem tego czy innego sojuszu. Nie wiem, jaka może być podstawa międzynarodowego uznania za stronę wojującą ponad pół wieku po zakończeniu konfliktu i czy w ogóle jest to możliwe; na pewno jednak nie da się zmienić historycznego rozkładu sojuszy. UPA nie należała ani do sił alianckich, ani do sił Osi, toczyła własną wojnę, choć ukraiński nacjonalizm potencjalnie był sojusznikiem Rzeszy: to Niemcy go odepchnęli.

Znacznie poważniejszym problemem dla stosunków zewnętrznych Ukrainy byłaby rehabilitacja *ss–Galizien*. Była to bowiem część sił zbrojnych III Rzeszy (UPA była siłą niezależną, niekiedy kolaborującą z Niemcami, niekiedy z Sowietami), i to część formacji niewątpliwie zbrodniczej. A takie tendencje, choć znacznie mniej śmiałe (bo pozytywnej narracji o tej dywizji nie da się pogodzić z pozytywną narracją o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej), istnieją także. Z drugiej strony nawiązywanie do tej akurat tradycji przez środowiska neonazistowskie, „socjalnacionalistyczne” jest uważane za jeden z powodów utraty poparcia przez Swobodę³⁰⁰.

[Jak sobie poradzić z problemem Wołynia? Jak o tym rozmawiać?]

Nie ma żadnego problemu Wołynia. Wołyń należy do Ukrainy, jego problemy są problemami Kijowa. Jest, owszem, problem pamięci

o ludobójstwie, dokonanym na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1942–1945. Rozumiem, że to był skrót myślowy, ale nie znoszę takich skrótów, uważam, że prowadzą one do fałszowania rzeczywistości.

Jak rozmawiać o tej pamięci z Ukraińcami (bo o to chyba chodzi)? Przede wszystkim cierpliwie. Nie oczekując natychmiastowej zmiany stanowiska partnerów. Po drugie, uczciwie. Traktując ich jako partnerów, a nie oskarżonych lub penitentów. Po trzecie, rozważnie. Biorąc pod uwagę, że Ukraina samodzielnie kształtuje swą tożsamość, ma takie prawo i powinność.

Nie da się rozmawiać, jeśli uznajemy za „kryptobanderowca” każdego, kto nie podziela wizji „banderyzmu” z prac najradykałniejszych kresowian, kto nie uważa, że UPA była wyłącznie godnymi pogardy ludobójczymi bandami. Że była czymś innym, a przynajmniej czymś więcej, sądzą na Ukrainie nie tylko nacjonałiści, radykałni lub nie, ale także liczni liberałowie, socjaldemokraci (większość ukraińskich opcji politycznych mieści się w szeroko rozumianym spektrum socjaldemokracji), chadecy... Wrzucając ich wszystkich do jednego worka, a worek – do rzeki pozostawiamy sobie możliwość rozmów już tylko z komunistami i agenturą FSB. Czyli właśnie z tymi, którzy w polsko–ukraińskim dialogu pamięci nie powinni mieć prawa głosu.

Podobnie nie da się rozmawiać, jeśli uważamy za niedopuszczalne używanie na określenie ówczesnego ludobójstwa Polaków jakiegokolwiek innego terminu niż ludobójstwo, piętnowanie jako negacjonisty każdego, kto mówi o „zbrodni”, „rzezi”, „wydarzeniach” etc. nawet ze względów retorycznych. Nie da się rozmawiać, jeśli wciąż powtarzana jest teza o „przemilczanej zbrodni”, choć publikacje książkowe na jej temat zajmują już chyba ze dwa metry półki (sam mam jakiś metr), jeśli panuje pogląd (zresztą nie tylko na ten temat), że jeśli nie dominuje nasz pogląd, panuje zupełne (prze)milczenie. Nie da się rozmawiać, jeśli skrajni przedstawiciele kresowian odmawiają swym oponentom polskości (ileż razy czytałem o „Ukrainerach” czy krypto–Ukraińcach... Także o sobie). Ale też nie da się rozmawiać, jeśli antyukraińskich narodowców określamy w całości jako rosyjską agenturę, a język nienawiści widzimy tylko u przeciwników.

A już zupełnie nie da się rozmawiać, gdy pojawia się hasło „Śmierć katom Wołynia i Donbasu” (a coś takiego pojawiło się u nas latem 2014 r.), hasło stawiające znak równości między UPA a współczesnym

państwem ukraińskim i oskarżające to państwo o ludobójstwo w Donbasie. To jest język Rosji, ta retoryka przychodzi do nas z Moskwy.

Zwolennicy poglądu o agenturalnym charakterze polskiej wrogości do ukraińskiego ruchu narodowego zapominają, że ta niechęć ma korzenie w tradycyjnym stosunku Narodowej Demokracji do Niemiec i Rosji, koncepcji dyskusyjnej, ale dobrze uargumentowanej i z pewnością rodzimej, wynikającej z polskiej refleksji nad kondycją narodu. A także w zakorzenionym galicyjskim stereotypie „dobrego Rusina” i „czarnopodniebiennego Ukraińca”³⁰¹, dziś zamaskowanego jako przeciwstawienie „dobrego Ukraińca” i „banderowca”. Wreszcie w pamięci o rzeczywiście strasznych wydarzeniach lat czterdziestych, żywej w tysiącach polskich rodzin.

Ta pamięć zmienia się z upływem czasu. Pokolenie uczestników i świadków odchodzi i coraz boleśniesz jest dla nich to, że nie mogli należycie pogrzebać i opłakać swych najbliższych, a także – że ich ofiara nie została odpowiednio uczczona przez państwo polskie. Pokolenie sierot, nawet urodzonych krótko po wojnie (moje pokolenie, choć moja rodzina nie ucierpiała z rąk ukraińskich) starzejąc się, naturalną rzeczą kolejną coraz bardziej zwraca się ku przeszłości (osobistej i rodzinnej). Dla młodszych ówczesne wydarzenia to już tylko historia, ale właśnie zainteresowanie historią rośnie, historia narodu i własnej rodziny jest coraz ważniejszym elementem tożsamości człowieka. Zwłaszcza po dwudziestolecu wypierania historii z oficjalnego dyskursu tożsamości.

Już wspominałem, że nie zajmuję się tropieniem agentury. Z drugiej strony uważam za naturalne, że poszczególne państwa budują za granicą swoje środowiska wpływu jako jedno z narzędzi polityki zagranicznej. Mamy w Polsce środowiska lobbujące interesy Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Rosji, Izraela etc. A także Ukrainy. Jeśli w Berlinie, Waszyngtonie, Moskwie, Tel-Awiiwie, Kijowie i Wilnie nie ma takich grup wpływu Polski, to tylko nasza wina. Jeśli, bo może są.

Jednym z problemów, związanych z naszą percepcją Ukrainy, jest niedostatek wiedzy o niej, znajomości języka i kultury. Większość polskich publicystów, ale i część dziennikarzy zajmujących się Ukrainą jest uzależniona od swych informatorów, często – korespondentów, o których wie niewiele. I często mają oni do czynienia z agenturą, czy to ukraińską, czy rosyjską. Nie wiedząc o tym. I powtarzają czasem np. zupełnie bzdurne interpretacje językowe, jak uznanie określenia

watniki („waciakowcy” czy też „kufajkarze”, pobłażliwe, dziś bardziej pogardliwe określenie robotników, tak jak kiedyś nasze „beregiki z antenką”³⁰²) za synonim kryminalistów, dopatrując się złowrogiego znaczenia terminu *tituszki* (którego geneza jest przypadkowa, pochodzi ono od nazwiska³⁰³) czy też tłumacząc *soborny* (integralny, zjednoczony) jako „wolny od mniejszości narodowych”. Żeby nie było – pierwsze dwa przypadki są z publicystyki przychyłnej nowym władzom Ukrainy, trzeci z wrogiej.

Już nie mówię o takich rzeczach jak rozumienie odwołań literackich, kontekstów i aluzji – mało który dziennikarz poniżej czterdziestego piątego roku życia kojarzy takie tropy kultury polskiej. Ja dobrze znając i język, i kulturę, wiele z nich wychwytyję *a vista*, inne mogę łatwo sprawdzić. I jeśli już poświęcam więcej czasu polskim sporom o Ukrainę (bo nie za bardzo mam na to czas, i nie to jest moim obowiązkiem), łatwo wychwytyję teksty źle przełożone z rosyjskiego lub ukraińskiego lub pisane po polsku, ale przez ludzi myślących w tamtych językach. Po obu stronach sporu zresztą.

[*Czy sprawę ludobójstwa wystarczająco zbadano? Czy można powiedzieć, że przyczyny drastycznej nienawiści zostały wyjaśnione i odkryte?*]

Pierwsze pytanie powinien Pan zadać Grzegorzowi Motyce³⁰⁴. On powinien wiedzieć, jakie zagadnienia są zbadane dostatecznie, jakie zaś nie, w jakich archiwach można oczekiwać nieznanych, a ważnych materiałów etc. Ja mogę powiedzieć tylko, że daleko nie wszystkie miejsca pochowania lub tylko zakopania ofiar Zbrodni Wołyńskiej zostały odnalezione, nie mówiąc o upamiętnieniu i że to jest największe wyzwanie stojące przed nami w tej sprawie, skoro uważamy za ważne, by każdy miał godne miejsce ostatniego spoczynku. Po obu stronach granicy umierają ostatni ludzie mogący jeszcze wskazać te miejsca. Przez rok, jaki zajmie droga tych słów do czytelnika, ich liczba może spaść o jedną trzecią, jeśli nie o połowę. Już dziś wiemy, że nie zdołamy odnaleźć wszystkich tych miejsc. Dokumenty w archiwach mogą poczekać, to – nie.

Przyczyny nienawiści niewątpliwie tkwią w historii. I myślę, że historia stosunków polsko–ukraińskich w ostatnich stuleciach została już dość dokładnie opisana, i to z różnych, wzajemnie wykluczających się

punktów widzenia (lepiej przez Polaków niż przez Ukraińców). Tu nie ma już nic do „odkrycia”, choć są tematy do dokładniejszego opisanie. Ale jeśli chodzi o interpretację, nigdy nie osiągniemy zgodności, jednomyślności. Inaczej będzie patrzył na historię nacjonalista, inaczej marksista, inaczej postmodernista czy liberał. Wszystkie przyczyny są już „na stole”, uznajemy za najważniejszą tę lub inną w zależności od własnych przekonań politycznych i moralnych.

Ja? Ja uważam, że kluczowe znaczenie miały przyczyny doraźne, a nie dziedzictwo „długiego trwania”. Wojenne zdziczenie, przykład wymorzenia głodem jeńców sowieckich, a potem Holocaustu. Choroba nienawiści, trawiąca znaczną część społeczeństw europejskich międzywojnia, obecna w licznych ideologiach faszystowskich i faszystowskich, którą wojna uwolniła od wszelkich hamulców. Silna w ideologii OUN – ale czy silniejsza niż wśród ówczesnych szowinistów serbskich i chorwackich? A już na pewno słabsza niż w ideologii nazistowskiej i sowieckiej. Z drugiej strony – zjawiska historyczne są elementami ciągów przyczynowych sięgających odległej przeszłości. Ale to już nie jest temat na kilka zdań w wywiadzie, o tym należałoby napisać esej, może książkę.

Ale nie, jeszcze jedno. Radykalne ruchy polityczne lat trzydziestych zapoczątkowały rugowanie etyki chrześcijańskiej, a potem jakiegokolwiek etyki z życia społecznego. Mało kto w Polsce wie o walce, jaką OUN przed wojną toczył z Kościołem greckokatolickim, chcąc pozbawić go wpływu na młodzież. Odniósł znaczący sukces, niestety. Ale i komunizm zwalczał moralność chrześcijańską – a znaczna część sprawców rzezi na Wołyniu przed wojną komunizowała.

I jeszcze inne spojrzenie: kopiąc zbyt głęboko, doszukując się coraz głębiej sięgającego łańcucha przyczyn, „odwiecznych wrogości” etc., dojdziemy w końcu – nieuchronnie – do zbrodni Kaina. Zapewne nie bez racji. Ale to zdecydowanie inny porządek objaśniania rzeczywistości. Dla historyka czy politologa bezużyteczny.

[Jak powinniśmy do tego problemu podchodzić w relacjach politycznych z Kijowem?]

Nie do mnie należy wskazywanie celów i metod działania polskiej dyplomacji. Zwłaszcza publicznie. Mam też wątpliwości, czy „kwestie

historyczne” powinny być składową stosunków międzypaństwowych między Warszawą a Kijowem. Na pewno pojednanie nie powinno być przedmiotem przetargów politycznych – jeśli nie ma być podporządkowane refleksji moralno–religijnej, jeśli ma być czymś w rodzaju rokowań pokojowych, lepiej, by go wcale nie było. Choć zdaję sobie sprawę, że rola polityki tożsamości (historycznej, pamięci) rośnie, nie tylko u nas i z zupełnie innych powodów. I że dla polityki, wypranej z etyczności (na co całą Europą ciężko pracowaliśmy przez ostatnie ćwierćwiecze) taka retoryka pojednania jest bardzo wygodna.

To, co Rzeczpospolita różnymi kanałami robić dziś powinna, to wymaganie wsparcia dla polskich działań (organów państwowych i organizacji obywatelskich) w celu odnalezienia i upamiętnienia miejsc spoczynku ofiar ludobójstwa (także takich działań ze strony ukraińskiej, bo i one są, choć nieliczne). Niech to będą najprostsze krzyże, ale niech władze powiatowe i wojewódzkie nie przeszkadzają. Pomagać już nie muszą, uczestniczyć w ceremoniach – również.

Państwo powinno też zwiększyć pomoc dla Polaków – obywateli Ukrainy, bo Kijów nie będzie w najbliższych latach w stanie zapewnić mniejszościom odpowiedniego wsparcia. Należy popierać wymianę akademicką, współpracę naukową i wydawniczą w tym i innych zakresach (doświadczenia wieloletniego dialogu historyków „Trudne pytania”³⁰⁵ są zachęcające).

No i trzeba pamiętać, że Ukraina ma w tej chwili zupełnie inne priorytety niż stosunki z Polską, a już zwłaszcza – dialog historyczny. Ukraina walczy o przetrwanie, w tym o to, czy ukraińska refleksja nad własną historią będzie w ogóle możliwa. Reszta na razie musi poczekać.



Huta Pieniacka we wrześniu 2013 r. To jest główna droga dojazdowa do pomnika pomordowanych (sam pomnik za plecami fotografującego).

Jestem zdecydowanie przeciwny dyplomatycznej zasadzie wzajemności w tej sferze stosunków historycznych. To stwarza pokusę uciekania się do szantażu, nie tylko moralnego, do „klasyfikowania” wartości ofiar, poszukiwania symetrii zjawisk niesymetrycznych (np. by uciec od spraw ukraińskich, między obozem w Auschwitz i Świętochłowicach³⁰⁶). A ilustrując rzecz konkretnie: cmentarz Polaków zamordowanych w Ostrówkach powinien być poświęcony, gdy będzie odpowiednio przygotowany, z udziałem prezydentów lub bez nich, bez liczenia się z ich kalendarzami i względami protokolarnymi. A pomnik Ukraińców, zamordowanych w Sahryniu nie potrzebuje już żadnego oficjalnego otwarcia: został poświęcony, jest miejscem corocznych nabożeństw za dusze tam pochowanych. Naprawdę: nic więcej nie trzeba. Martwi nie potrzebują *pokazuchy*, ale szczerzej modlitwy. Żywi też.

Zeszłej jesieni byłem w Hucie Pieniackiej, a raczej na miejscu po niej, bo wieś przestała istnieć i już się nie odrodzi. Było to dla mnie ważne

przeżycie. A przy okazji zrozumiałem, że gdyby Hucian wymordowano o innej porze roku, miejsca symbolicznego pojednania prezydentów trzeba by było szukać gdzie indziej. Bo tylko po śniegu można tam dojechać we w miarę „protokolarny” sposób. Prowadzi tam droga gruntowa... No, trochę żwiru w koleinach jest. To droga dla pielgrzymów, nie dla polityków. I bardzo dobrze. I tak być powinno.

[Jaka jest prawda o podziale Ukrainy na wschód i zachód? Czy ulegamy stereotypom i niewiedzy, czy też on faktycznie tak wygląda, a rosyjska inwazja jest tylko potwierdzeniem?]

Prawda jest zawsze bardziej skomplikowana od stereotypu, ale stereotypy niemal zawsze są uproszczeniami opartymi na prawdzie. Ukrainę można podzielić na cztery zasadnicze makroregiony (pięć, jeśli dodać Krym); niektórzy łączą Krym z południem i wyodrębniają makroregion północny. Podział na symboliczny wschód i zachód biegł kiedyś po linii Dniepru, którego brzegi zwano najpierw ruskim i tatarskim, potem polskim i moskiewskim, potem... Potem ten podział utracił znaczenie, choć wciąż pokutuje na poziomie stereotypu. Dziś ukraiński zachód to terytoria, które w okresie międzywojennym nie należały do Związku Sowieckiego, a wschód... Właściwie nie bardzo wiadomo, co nim jest, skoro dla jednych zalicza się doń Charków na równi z Donieckiem i Odessą (która leży – tak na marginesie – na zachód od Kijowa), dla innych jest to tylko Zagłębie Donieckie (ale też dla wielu Ukraina Zachodnia to synonim Galicji Wschodniej).

Ważniejszy jest inny podział, fundamentalny, bardzo stary i żywy do dziś: na Ukrainę starą i nową. Ta stara to ziemie zaorane przed przeszło tysiącleciem, druga – włączona w obręb cywilizacji rolniczo-miejskiej ledwie przed dwustu laty. Kijów powstał jakieś półtora tysiąca lat temu, Lwów siedemset, Donieck – niecałe dwieście. Ta różnica jest bardzo słabo opisana, wydaje się, że dla ukraińskiej autorefleksji temat zaboru a później zasiedlenia ziem stepowego Czarnomorza, zrealizowanego dzięki sile państwa rosyjskiego, jest cokolwiek niewygodny. Ale te różnice są wyraziste, są widoczne. Mimo że podważa je to, iż od lat czterdziestych Ukraina stanowi jednolitą przestrzeń migracyjną, że we wszystkich regionach licznie mieszkają bardzo liczni wychodźcy z innych regionów.

Z drugiej strony – nie ma żadnej Noworosji, którą można by przeciwstawić Ukrainie. Nie ma i nigdy nie było ponadregionalnej tożsamości ziem tworzących dziś południe i wschód Ukrainy. Jest Zagłębie Donieckie, kraj robotników, i Odessa, wielki port zwrócony głównie ku światu zewnętrznemu. I Charków, który do dziś uważa się za „pierwszą stolicę” Ukrainy³⁰⁷, a zakorzeniony jeszcze w tradycji kozackiej. Dniepropietrowsk i Zaporozże to jeszcze inne historie. Wszystkie te ośrodki mają silne, wyraziste tożsamości lokalne, własne tradycje, także „czarnoroboczy” Donbas. Łączy je ze sobą tylko jedno – uczestnictwo w jednym państwie, podporządkowanie jednej stolicy. Teraz jest to Kijów.

Na te podziały nakładają się dwa inne, rzadko dostrzegane, rzadko będące przedmiotem refleksji. Pierwszy to podział na rdzennych mieszkańców Ukrainy (bez względu na narodowość) oraz imigrantów z lat powojennych i ich potomków. Nie wiemy, jaka to część ludności Ukrainy, na pewno wiele milionów. Takim imigrantem jest b. premier Azarow, Rosjanin z Kaługi, który na Ukrainę przybył w wieku ok. czterdziestu lat, takim synem imigrantów jest b. prezydent Janukowycz, syn Białorusina i Rosjanki (spoza Ukrainy), a wychowany nie na Ukrainie, a w Związku Sowieckim (konkretnie – w sowieckim bidulu). Z analiz rozwoju rebelii donbaskiej wynika, że w początkowym okresie główną siłą separatystów stanowili ludzie przybyli tam z Rosji w latach osiemdziesiątych.

Drugi podział, który bardzo wyraźnie zaznaczył się w ciągu ostatniego roku, to podział pokoleniowy. Najgrubiej rzecz rysując: rok po roku w dorosłe życie wchodzi roczniki, które nie pamiętają Związku Sowieckiego, dla których państwo ukraińskie, zaczynające się od szkolnej mapy, flagi i herbu, jest już rzeczywistością zastaną. Pokolenie, które uczyło się historii i geografii Ukrainy, a nie Związku Sowieckiego, które nie ma kolegów z wojska w Twerze, Duszanbe i Władywostoku... Najstarsi z nich przekroczyli już trzydziestkę. To oni byli główną siłą rewolucji godności, choć władzę na razie utrzymało pokolenie wcześniejsze, „przejściowe”, późni komsomolcy. Przygotowuję w tej chwili poważniejsze ujęcie tego tematu dla kwartalnika „Kultura i Społeczeństwo”³⁰⁸.

A czego potwierdzeniem jest rosyjska inwazja? Jej konieczność dowiodła, że żadnej Małorosji nie ma, że Rosji zostaje tylko goły podbój.

W ochotniczych oddziałach, które odegrały decydującą rolę w konsolidacji ukraińskiego oporu znaczną część, może większość stanowili rosyjskojęzyczni mieszkańcy miast nad- i zadnieprzańskich. Duża część mieszkańców Donbasu może i chce powrócić do Rosji – cóż z tego, skoro Rosja nie chce anektować tego regionu (gdyby chciała, już by to zrobiła). Krym, owszem, chciał powrócić do Rosji – i powrócił. Ale też Kijów nie zdołał uczynić z Krymu rzeczywistej, a nie tylko nominalnej części Ukrainy. Chyba nigdy nie próbował tego na serio.

[Jakie jest Pana osobiste doświadczenie z Ukrainą i Ukraińcami? Jak dzisiaj można opisać wzajemną relację, na poziomie historycznym, ale i emocjonalnym?]

Moje osobiste doświadczenia... Od lat dość często podróżuję na Ukrainę, głównie do Kijowa i Lwowa. To zresztą część metody naszej pracy w Ośrodku: nie poprzestawać na źródłach pisanych i rozmowach z ludźmi, których da się do nas zaprosić, ale poznawać kraj: oglądać go, smakować. Czytać gazety, które do Polski nie docierają, oglądać choć przez kilka dni telewizję, których brak w przekazie satelitarnym, rozmawiać z taksówkarzami i sprzedawcami w sklepach, śledzić zmiany zachodzące w sposobie życia, uchwytnie w bezpośrednim kontakcie, ale rzadko dobrze opisywane... Poznawać choćby pobieżnie także mniejsze miasta, poznawać narracje pamięci realizowane przez obalanie i wznoszenie pomników, przemianowywanie ulic, zmiany ekspozycji muzealnych, wystrój szkolnych klas. To pozwala również szerzej spojrzeć na politykę państwa, bo przecież politykę uprawia się zawsze w określonym kraju, określonym społeczeństwie. Znając rządzących, można lepiej zrozumieć rządzących.

Zajmuję się problematyką ukraińską już ponad trzydzieści lat, zawodowo – dwadzieścia parę. Poznałem wielu Ukraińców; jednych wspominam z serdecznością, innych z gniewem. Tak jak Polaków, których znałem. Nigdy nie oceniałem ludzi wedle narodowości, wedle wyznania (według poglądów ideologicznych, a zwłaszcza moralnych – już tak). Ale Ukraina i Ukraińcy są mi bliscy, niezależnie od poglądu na to, na ile los Ukrainy jest ważny dla mojego kraju. Nie dałoby się inaczej poświęcić tylu lat, tyle trudu. Ale, jak sądzę, potrafiłem ustrzec się utraty dystansu, który musi zachować człowiek wykonujący mój zawód. Choć to

lepiej oceniłby kto inny...

Rozumiem podtekst tego pytania: dlaczego zainteresowałem się właśnie Ukrainą, czy pochodzę z kresowej rodziny lub może – z rodziny ukraińskiej? Ileż musiałem natłumaczyć się tego Ukraińcom, tym polskim i tym ukraińskim, którzy ćwierć wieku temu nie bardzo mogli uwierzyć, że Polak „czystej krwi” może szczerze interesować się sprawami Ukrainy i być im przychylny. Ale nie, nie mam ukraińskich przodków przynajmniej w uchwytniej przeszłości (a znam osiem pokoleń moich przodków). Nie pochodzę też z Kresów w przyjętym dziś znaczeniu, nie jestem spokrewniony ani z Tadeuszem Olszańskim, polskim pisarzem rodem ze Stanisławowa, ani z Teofilem Olszańskim, bojowcem Ukraińskiej Organizacji Wojskowej z lat dwudziestych.

Natomiast rodzina mojej matki rzeczywiście żyła przez wiele pokoleń na Kresach – tych prawdziwych, na obszarze starostwa barskiego (rodzina ojca pochodziła z okolic Sosnowca, to zupełnie inna bajka). Ale od 1919 r. dzieliła losy Warszawy, a matka, urodzona dwa lata wcześniej, Podola nie pamiętała (dziadkowie zmarli przed moim urodzeniem). Wiedziałem o tej przeszłości, ale długo nie była ona dla mnie istotna – wróciłem do niej później, gdy w sprawach ukraińskich siedziałem już po uszy.

Więc skąd to zainteresowanie? Przez Bieszczady. Miłość do tych gór (do gór w ogóle, ale tych w szczególności), chęć poznawania ich, ich kultury i historii. I nieuniknione zderzenie jeszcze w latach siedemdziesiątych z fałszywą legendą *Łun w Bieszczadach* i *Śladów rysich pazurów*³⁰⁹, poszukiwanie prawdy o tamtych wydarzeniach w czasach, gdy zmitologizowane, zmanipulowane, wyolbrzymione ponad wszelką miarę zbrodnie UPA pod Birczą i Ustrzykami były protezą zabronionej pamięci o Wołyniu i Galicji Wschodniej (tak jak Bieszczady stały się w polskiej kulturze inteligenckiej zastępczą Czarnohorą, a Łemkowszczyzna – Huculszczyzną). Potem pogłębiałem tę wiedzę, okazało się, że dobrze znając rosyjski, jestem w stanie czytać po ukraińsku... Potem okazało się, że ta moja wiedza jest komuś potrzebna, potem – że może być potrzebna Polsce.

Dalszy ciąg pańskiego pytania jest dla mnie cokolwiek niezrozumiały: jak moja relacja z Ukrainą może być wzajemna, jak może mieć „poziom” historyczny?

[Czy Ukraińcy zdają sobie sprawę z trudnych momentów z przeszłości? Czy mają świadomość dobrych miejsc wspólnej historii?]

O tym już powiedziałem dość dużo. Ukraińcy średniego i młodszego pokolenia niewiele wiedzą o historii, a zainteresowanie tą problematyką na Ukrainie jest znacznie mniejsze niż w Polsce. Historia szkolna jest niemiłosiernie przekłamywana: na pozostałości „klasocentrycznych” przekłamań sowieckich nakładają się nowe, „nacioncentryczne”. W dodatku nie ma takiej, jak w Polsce, ciągłości kultury nauczania historii: nasi nauczyciele od 1919 r. nieprzerwanie nauczali historii Polski (w różnych interpretacjach i układach faktów, ale – tej samej historii), gdy na sowieckiej Ukrainie historii Ukrainy nie nauczano w ogóle (jej elementy zawierał przedmiot „krajoznawstwo”).

Spośród członków niezbyt licznych elit, czynnie interesujących się historią (a nie tylko czytających popularne opracowania historyczne), wielu jest świadomych niejasności i białych/czarnych plam w historii najnowszej. Ale – przede wszystkim historii własnej, a nie stosunkach z narodami ościennymi. Ukraina stoi przed koniecznością odkrycia roli samych Ukraińców w realizacji komunistycznego zniewolenia, w tym Hołodomoru (niezależnie od takich czy innych decyzji Kremla, politykę prowadząca do katastrofy realizowały władze lokalne, złożone głównie z Ukraińców, wręcz – z sąsiadów tych, co marli z głodu). Ukraina musi przemyśleć na nowo ideę WWO/IIWS, bo nie można jednocześnie żądać zaliczenia UPA do Aliantów i milczeć o roli ukraińskich nacjonalistów (jeszcze nie UPA, ale w dużej mierze tych samych ludzi) w Holokauście, potem – już samodzielnej eksterminacji Polaków. Ale i tu coś się dzieje: *Bloodlands* Snydera³¹⁰ ukazały się po ukraińsku tuż po wydaniu oryginalnym.

A „dobre miejsca”? Ukraina niewiele ma kart dziejów, godnych wspomnienia zarazem z dumą i bez żalu po zmarnowanych szansach. Czy udałoby się odnaleźć wspólne dobre miejsca? Wątpię. My pozytywnie wspominamy Beresteczko, oni – Korsuń i Żółte Wody. Nic tego nie zmienia. To wynika z tego, że jesteśmy różnymi narodami, które w przeszłości toczyły wojny. Owszem, można odwoływać się do Chocimia³¹¹, który Ukraińcy zawłaszczają dziś jako czysto kozackie zwycięstwo, ba – próbują przypisać decydujący wkład w bitwę pod Wiedniem chorągwiom kozackim, może do pochodów Sahajdacznego

i Lisowczyków na Moskiewszczyznę... Ale także ich Ukraińcy nie chcą uznawać za wspólne. My zresztą też.

Jeszcze coś. W Polsce często traktujemy historię Ukrainy przede wszystkim jako dzieje współżycia i konfliktów z Polską. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że główna linia jej dziejów to współżycie i konflikty z Moskiewszczyzną, a potem Rosją. Jest to podobny błąd optyki, co częste wśród Ukraińców i Rosjan postrzeganie historii Polski wyłącznie jako dziejów ekspansji na wschód i ekspulsji ze Wschodu przy zupełnej nieświadomości wagi sąsiedztwa polsko-niemieckiego (może oprócz II wojny światowej, ale też – może).

Łódzka rozmowa o pojednaniu narodów: trzydzieści lat później

Przed trzydziestu laty w Łodzi odbyło się sympozjum *Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polscy – przesłanki pojednania*, zorganizowane przez duszpasterstwo środowisk twórczych oo. jezuitów, kierowane wówczas przez o. Stefana Miecznikowskiego³¹². Było to wydarzenie bez mała przełomowe dla polskiego myślenia o stosunku do mniejszości narodowych, zwłaszcza do Ukraińców (bo o nich mówiono najwięcej i najciekawiej). Planowane pierwotnie na kwiecień, odbyło się ostatecznie w dniach 23–25 października 1987 r. Kilka dni wcześniej, 8 i 17 października, spotkali się w Rzymie prymas Polski i zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego, jednak o tym spotkaniu mało kto spośród uczestników sympozjum wiedział, a chyba nikt nie znał jeszcze słów, które padły w Rzymie.

Polacy wobec mniejszości – początki

Odkrywanie nie tyle obecności mniejszości narodowych w Polsce, co politycznego i moralnego znaczenia stosunku do nich rozpoczęło się w 1981 r. i było częścią wielkiego odrodzenia narodowego za „pierwszej” Solidarności, które – co warto stale przypominać – miało też charakter moralno–religijny. Ważnym elementem tego procesu była polsko–ukraińska msza pojednania zorganizowana z inicjatywy ks. Leona Kantorskiego³¹³ (3 czerwca 1984, Podkowa Leśna) i dalsze nabożeństwa w obrządku bizantyńsko–słowiańskim (greckokatolickim), które odkrywały przed „łacinnikami” piękno i katolickość liturgii wschodniej.

W tym samym roku ukazała się, oczywiście w drugim obiegu, broszura Kazimierza Podlaskiego (pod tym pseudonimem krył się Bohdan Skaradziński³¹⁴, bliski współpracownik ks. Kantorskiego) *Białorusini, Litwini, Ukraińcy: nasi wrogowie – czy bracia?*, kilkakrotnie później wznawiana. Odegrała ona ogromną rolę w rozwoju refleksji polskich elit na tematy „narodowościowe”. Także tam, gdzie wywody Skaradzińskiego były nadmiernie emocjonalne czy też błędne, również tych, dla których

jego tezy były nie do przyjęcia. Oczywiście była też paryska *Kultura*, były podziemne pisma, poświęcone problematyce „wschodniej” (tj. głównie sowiecko–rosyjskiej i ukraińskiej). Ale one przygotowywały nas raczej do przyszłego sąsiedztwa z państwami Ukraińców, Białorusinów i Litwinów niż do współżycia z naszymi współobywatelami tych narodowości.

Broszura Podlaskiego–Skaradzińskiego była jednym z punktów wyjścia dla organizatorów łódzkiego sympozjum. Świadczy o tym choćby jego nazwa, w którym szczęśliwie uniknięto fałszywego przeciwstawienia z tytułu broszury: wszak to właśnie bracia bywają najzaciętszymi wrogami...

Sympozjum

Podczas trzydniowych obrad wygłoszono 18 referatów: tylko jeden z nich dotyczył spraw polsko–litewskich, pięć – polsko–białoruskich, dwa – kontrowersji związanych z tożsamością Łemków (były to punkty „zastępcze”, mające wypełnić luki po zapowiedzianych, a nieobecnych prelegentach), a sześć – polsko–ukraińskich. Te miały największą wagę, to one nadały sympozjum charakter przełomowy. Zwłaszcza wystąpienia Bohdana Skaradzińskiego (o fenomenie UPA), Władysława Serczyka³¹⁵ (formułujące propozycje mające poprawić sytuację mniejszości w schyłkowym PRL) oraz autora tych słów (na temat akcji „Wisła”).

Najsłabiej wybrzmiał głos litewski – Bronisław Makowski³¹⁶ (który wówczas nie używał jeszcze nazwiska Bronius Makauskas) wygłosił tylko jeden z dwóch zapowiedzianych referatów, a co gorsza – opuścił sympozjum bezpośrednio po wygłoszeniu referatu (a był to pierwszy głos pierwszego panelu) przez co praktycznie „zwinął” ten wątek. Wielu żałowało tego w kuluarach. Wątek białoruski uwiązał w sporze o współpracę AK z Niemcami, nieopatrznie i mocno niekompetentnie podniesiony przez Jerzego Turonka³¹⁷; naprawdę ciekawy głos dotyczący sytuacji Białorusinów w Polsce, wystąpienie Sokrata Janowicza³¹⁸, zabrzmiał dopiero trzeciego dnia, gdy główne wątki refleksji zebranych były już nakreślone. Doczepiony w ostatniej chwili wątek łemkowski był – jak to się mówi – z innej bajki, choć dyskusja nad tym, czy Łemkowie mają prawo nie czuć się Ukraińcami, zajęła nieoczekiwanie wiele czasu.

DUSZPASTERSTWO ŚRODOWISK TWÓRCZYCH

przy kościele O.O.Jezuitów Łódź, Sienkiewicza 60
organizuje sympozjum:
LITWINI, BIAŁORUSINI, UKRAIŃCY, POLACY - PRZESŁANKI POJEDNANIA
ŁÓDŹ 23-25 października 1987.

"Chcemy by sympozjum to było okazją do spotkania zarówno fachowców - historyków czy socjologów, jak i laików - sympatyków sprawy zrozumienia i porozumienia naszych narodów. Uważamy, że do celu tego nie można zbliżyć się bez wnikięcia w trudne problemy naszej wspólnej historii i zobaczenia ich oczami drugiej strony. Refleksja nad przeszłością służyć więc winna sprawie teraźniejszości i przyszłości, choć przede wszystkim niech służy prawdzie."
Serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału w naszym sympozjum!

Program;

Piątek 23.X. godz. 16.00-20.00

Zagajenie obrad

1. B. Makowski - „Archidiecezja wileńska w latach 1939-1987. Litewski punkt widzenia”.
2. R. Torzecki - „Metropolita Andrzej Szeptycki wobec zagadnień współczesności”.
3. J. Turonek - „Stosunki polsko-białoruskie w okresie II wojny światowej” -
4. T. A. Olszański - „Wokół Akcji „Wisła””.
5. Z. Gajewski - „Białorusini a kościół rzymsko-katolicki.

Dyskusja

Sobota 24.X. godz. 10.00-14.00

1. B. Skaradziński - „Fenomen Ukraińskiej Armii powstańczej - różnice i analogie z Armią Krajową”.
- ~~2. B. Makowski - „Wileńszczyzna w latach 1939-1945. Litewski punkt widzenia”.~~
3. W. Mokry - „Problem ojczyzny dla ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL wysiedlonej w 1947 roku”.
- ~~4. R. Łużny - „Polacy i Ukraińcy - dzisiaj”.~~
5. W. A. Serczyk - „Ukraińcy i sprawa ukraińska w Polsce. Kilka polskich propozycji”.

Dyskusja.

„ŁEMKOWIE I ŁEMKOWSZCZYZNA” - otwarcie wystawy godz. 15.30

KONCERT UKRAIŃSKIEGO CHÓRU KAMERALNEGO

z kościoła O.O. Bazylianów w Warszawie godz. 16.30

MSZA ŚW. w OBRZĄDKU WSCHODNIM godz. 18.00

Niedziela 25.X. godz. 12.00-16.00

1. S. Janowicz - „Białoruś, Białoruś...”
2. K. Śreniowska - „Współpraca narodów Lwowa na terenie Ossolineum w latach 1939-1941”.
3. Dyskusja plenarna: „Perspektywy pojednania”

Zakończenie obrad ok. godz. 16.00

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do zmian w programie w związku z możliwością zgłoszenia dalszych referatów.

Program Sympozjum (ze zbiorów autora). Odręczne krzyżyki oznaczają, że tych referatów nie wygłoszono.

Po kilku latach plon sympozjum został zebrany w tomie *Colloquium narodów* (wyd. Wacław Bierkowski, Łódź 1991), którego tytuł bywa niekiedy używany jako określenie samego sympozjum. Czytając go, warto wiedzieć, że tekst Eugeniusza Mironowicza nie był wygłoszony (został nadesłany później), zaś list ks. Władysława Czerniauskiego został jedynie odczytany – jego autora w Łodzi nie było.

Kontrapunkt: rzymskie spotkanie biskupów

Podczas dyskusji silnie ujawnił się dualizm podejścia do pojednania narodów: czy ma ono być przede wszystkim (lub wyłącznie) zagadnieniem politycznym, czy także (lub przede wszystkim) sprawą refleksji moralnej i religijnej, nastawionej na uzdrowienie sumień (indywidualnych i narodowych, nawet jeśli to drugie pojęcie jest cokolwiek metaforą). W owych latach to drugie stanowisko wybrzmiewało silnie, dziś zeszło na odległy plan refleksji, przynajmniej publicznej.

Niestety, podczas wspomnianego już spotkania biskupów polskich z biskupami greckokatolickiej diaspory (Kościół ten był wówczas na Ukrainie zakazany) także przeważyły względy doraźne i lęk przed zbyt stanowczym stanowiskiem. Kard. Józef Glemp mówił, że „nie chcemy poruszać historii”, a „gojących się ran nie wolno drapać”, co kard. Myrośław Lubacziwskyj³¹⁹ uznał za „gotowość zapomnienia” złych kart historii. Ze strony ukraińskiego hierarchy padły jedynie słowa o „wyciągnięciu braterskiej dłoni (...) na znak pojednania, przebaczenia i miłości”.

Można ubolewać, że nie padły wówczas słowa mocniejsze, że nasi biskupi nie powtórzyli słów swych poprzedników, skierowanych do Niemców: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Ale chodziło nie tylko o gest, lecz i o rzecz wielkiej wagi: organizację w 1988 r. na Jasnej Górze uroczystości z okazji milenium Chrztu Rusi z udziałem biskupów greckokatolickich. Inicjatywę, która miała wielu wrogów i którą komunistyczne władze mogły łatwo zniweczyć. Inicjatywę, której realizacja miała ogromne znaczenie dla Ukraińców tak w Polsce, jak i na sowieckiej jeszcze Ukrainie³²⁰. Czy ta sprawa warta była zawieszenia głosu, pewnych przemilczeń? Moim zdaniem, tak.

Jednak szybko okazało się, że nie da się nie poruszać historii, a rany nie tyle goiły się, co „zarastały błonami podłości” (te słowa Stefana Żeromskiego zostały przywołane już podczas łódzkiego sympozjum). Nie potrafiliśmy wyobrazić sobie pojednania bez rozliczenia (to również wybrzmiało już wówczas) ani jako jednostronnego gestu bez oglądania się na partnera.

Losy pojednania

Dziś powrót do tamtej atmosfery, tamtych szans jest niemożliwy.

Zmieniła się sytuacja polityczna, atmosfera społeczna, zmieniło się pokolenie odpowiedzialne za życie społeczne (większości uczestników sympozjum z 1987 r. nie ma już wśród żyjących).

Trzydzieści lat temu rozmowa o pojednaniu narodów była łatwiejsza: toczyli ją intelektualiści i działacze społeczni, wolni od odpowiedzialności za stan państwa, wypowiadający się jedynie we własnym imieniu. Chyba nikt z nich nie przewidywał, że system PRL załamie się już za dwa lata. Emancypacja republik sowieckich pozostawała w sferze marzeń, nie prognoz. Nie mogliśmy prowadzić *realpolitik*, łatwiej więc nam było skupić się na aspektach moralnych i postulowanych rozwiązaniach, które i tak wydawały się nierealne.

Mówiliśmy we własnym imieniu, byliśmy wolni od odpowiedzialności za stan spraw publicznych, ale też – nie byliśmy związani koniecznością liczenia się z dominującymi nastrojami społeczeństwa (te były zresztą w tym czasie słabo znane elitom intelektualnym, nieraz rozumiane opacznie...). Potem przyszedł czas uprawiania polityki, podejmowania odpowiedzialności nie za własne (i narodowe) sumienie, ale i za konkretne decyzje, polityczne i finansowe. I było już znacznie trudniej, także tym, którzy nie przeszli do sfery politycznego działania.

W 1987 r. koncentrowaliśmy się na sytuacji mniejszości narodowych w naszym kraju, więc też na polskiej odpowiedzialności, historycznej i aktualnej. Kilka lat później ciężar refleksji przeniósł się na stosunki z państwami Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, co istotnie zmieniło też stosunek do mniejszości. Pojawiła się bowiem – chyba nieunikniona w polityce międzynarodowej – zasada symetrii, czyniąca z mniejszości narodowych „wzajemnych zakładników”. Można nad tym ubolewać (ja ubolewam), ale taka jest rzeczywistość.

Już w Łodzi pojawił się spór, czy może jeszcze tylko różnica zdań na temat tego, czym ma być pojednanie: procesem politycznym, wymagającym zważenia wzajemnego ciężaru win, policzenia ofiar, uznania (i uzgodnienia), kto w danej sytuacji dziejowej miał rację, kto zaś nie, czy też przedsięwzięciem moralnym, dokonującym się przede wszystkim w sumieniu i opartym na chrześcijańskim podejściu do winy i odpowiedzialności. Ja uważam – i uważałem także wówczas – że poza tym duchowym kontekstem, choćby zeświecczonym, pojednanie i przebaczenie tracą sens, pozostaje tylko „dialog”, którego celem jest przekonanie adwersarza, a nie uzdrowienie własnego sumienia.

Doświadczenie ostatnich dziesięcioleci przekonuje o tym dobitnie.

Nowe pokolenie (po obu stronach granicy) przyniosło nową wrażliwość. W Łodzi dominowali ludzie pamiętający II wojnę światową lub urodzeni krótko po niej. Dziś kluczowe miejsce zajmuje pokolenie, dla którego owe czasy to już tylko „książkowa” historia, zapewne lepiej znana, może i głębiej przeżywana – ale już jako historia, a nie doświadczenie osobiste (własne lub rodziców). Stąd i pojednanie jest dla nich raczej zagadnieniem politycznym niż osobistym.

W ostatnich latach pojawił się na tym polu nowy „gracz”: Rosja, która, inaczej niż wówczas Związek Sowiecki, nie przez wszystkich jest traktowana jako wróg, której tezy, zwłaszcza dotyczące Ukrainy, znajdują w Polsce chętnych słuchaczy i powtarzaczy. Zaś radykalizacja polityki pamięci tak Warszawy, jak i Kijowa doprowadziła do tego, że po obu stronach zapanował pogląd, że pojednanie polegać ma na przyjęciu przez partnera naszego poglądu na historię³²¹. W ten sposób od lat kulejący, ale jakoś trwający dialog pojednania zamienił się w obustronne „przymuszanie do pojednania”.

Kontrapunkt: akcent osobisty

Byłem jednym z uczestników łódzkiego sympozjum, a swój wygłoszony wówczas tekst *Wokół akcji „Wisła”* mam prawo uznać – bez fałszywej skromności – za jeden z najważniejszych tam wygłoszonych. Nie był wolny od błędów, nie był najlepszy merytorycznie – ale poruszał sprawę odpowiedzialności za Akcję „Wisła”³²², wówczas właściwie przemilczaną. Sam byłem potem zaskoczony pozytywnymi reakcjami (gwałtowne krytyki, których też nie brakło, nie były dla mnie zaskoczeniem).

Później jeszcze parokrotnie wypowiadałem się publicznie na temat akcji „Wisła”, a wielokrotnie – na inne tematy związane z historycznym i współczesnym współżyciem Polaków i Ukraińców. Jako analityk osw służący swą pracą władzom Rzeczypospolitej obserwowałem, jak „obywatelskie” podejście do stosunków między narodami ustępuje „oficjalnemu” podejściu do stosunków między państwami. Zdawałem sobie sprawę z nieuniknioności tego procesu, dostrzegam także pozytywne jego aspekty.

Ale czegoś mi żal. Tego, czego nie zdołaliśmy powiedzieć dostatecznie dobitnie, gdy był czas po temu. Faktów dokonanych, których nie udało

się stworzyć nam dążącym do pojednania narodów (przede wszystkim – Polaków i Ukraińców). Dziś potrzebna jest nowa refleksja, nowe podejście, nowe drogi. Nowego już pokolenia.

Pierwotna wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 41 z 2017 r. pod tytułem *Łódzka rozmowa o pojednaniu narodów*. Tu powtarzam go z minimalnymi retuszami.

-
- ¹ Lina Kostenko (ur. 1930), najwybitniejsza żyjąca ukraińska poetka, dysydentka z lat sześćdziesiątych XX w., ciesząca się ogromnym autorytetem.
 - ² Wacław Worowski (1871–1923), zruszczony Polak pochodzący z Moskwy, bolszewik, m.in. dyplomata, zastrzelony w Lozannie przez białogwardyjskiego emigranta. Z Kijowem nie miał nic wspólnego.
 - ³ Michaił Kalinin (1875–1946), działacz bolszewicki, od 1919 do 1946 r. nominalny szef państwa sowieckiego, żartobliwie zwany „wszechwiązkowym starostą”. Nie miał żadnych związków z Ukrainą.
 - ⁴ Empire (styl cesarstwa), odmiana późnego klasycyzmu powstała w czasach Napoleona I, praktykowana we Francji i innych krajach europejskich (w tym Rosji). Jedną z jego cech charakterystycznych był nadmiar zdobień w architekturze i wzornictwie przy zachowaniu prostych, surowych form podstawowych.
 - ⁵ Z piosenki Jonasza Kofty *Arcytekтура*.
 - ⁶ Wiktor Medwedczuk (ur. 1954), ukraiński prawnik, przedsiębiorca i polityk, twórca prorosyjskiej organizacji *Ukrainskij Wybor* (2012 r.), m.in. wiceprzewodniczący parlamentu i szef administracji prezydenta Kuczmy (na tym stanowisko był de facto wiceprezydentem). Uważany za odpowiedzialnego za antydemokratyczną politykę tego prezydenta. Przyjaciel Władimira Putina, który jest ojcem chrzestnym jego młodszej córki.
 - ⁷ Majdan, słowo pochodzenia irańskiego, to pierwotnie polana, zamknięty dziedziniec, plac we wsi (stąd liczne wsie o tej nazwie, tak na Ukrainie, jak i w Polsce). Jako określenie placu miejskiego ma znaczenie nobilitujące, szczytne: w Kijowie określa się w ten sposób jeszcze tylko Majdan Sofijski (w latach 1944–1993) – plac Bogdana Chmielnickiego.
 - ⁸ Tak na marginesie: na początku lat osiemdziesiątych zeszłego wieku wokół relikwów jedenastowiecznego muru powstała makieta Złotych Wrót (o które Chrobry nie mógł szczybić miecza, gdyż powstały kilkadziesiąt lat później). Wzniesiono je na opak: obronnym frontem ku (ówczesnemu) miastu, zapleczem ku nieprzyjacielowi.
 - ⁹ Mamaj, mimo tatarskiego imienia, to archetypiczny wizerunek Kozaka, bitnego, muzycznego i melancholijnego. Jego malarski wizerunek ukształtował się ostatecznie w XVIII w. i przedstawia siedzącego „po turecku” Kozaka z fajką, grającego na teorbanie; na drugim planie jest zazwyczaj osiodłany koń. Kijowski pomnik ściśle odpowiada kanonowi.
 - ¹⁰ Heorhij Gongadze (1969–2000), Gruzin osiadły na Ukrainie, dziennikarz, założyciel portalu *Ukrajinska prawda*, zdecydowany krytyk prezydenta Kuczmy. Porwany i zamordowany jesienią 2000 r. przez oficerów ukraińskiej milicji. Bezpośrednich sprawców wykryto i ukarano, oskarżenia o inspirację tej zbrodni przez prezydenta pozostały nieudowodnione.
 - ¹¹ Wołodymyr (w świecie Wasyl Romaniuk, 1925–1995), kapłan i mnich prawosławny, wielokrotnie więziony w czasach sowieckich, związany z ruchem dysydenckim, i nacjonalistycznym, od 1993 r. samozwańczy patriarcha kijowski.
 - ¹² Najbardziej znana jest ulotka, parodiująca plakaty wyborcze Janukowycza: filmowy Gollum w miejsce kandydata i hasło „dlatego, że... śliczny” (na oficjalnych plakatach Janukowycza wymieniano zalety kandydata: konsekwentny, odpowiedzialny etc.).
 - ¹³ Mieszkańców historycznej Galicji Wschodniej (*Hałyczyny*), tj. obecnych obwodów lwowskiego, iwanofrankowskiego i tarnopolskiego.
 - ¹⁴ Pussy Riot (dosłownie: *Cipkowe rozruchy*), rosyjska grupa punkrockowa i performerska, która w lutym 2012 r. przeprowadziła w jednej z głównych świątyń Moskwy, Soborze Chrystusa Zbawiciela, „punk-nabożeństwo” mające być elementem teledysku do piosenki *Bogurodzico, przegoń Putina*. Uczestniczki akcji zostały aresztowane pod zarzutem chuligaństwa.

- ¹⁵ Nikołaj Azarow (ur. 1947), geofizyk i polityk. Rosjanin urodzony w Kałudze, który do Zagłębia Donieckiego trafił w ramach kariery zawodowej w 1984 r. Szef Państwowej Inspekcji Podatkowej w latach 1996–2002, minister finansów w latach 2002–2005 i 2006–2007, premier w latach 2010–2014. Po upadku Janukowycza zamieszkał w Rosji.
- ¹⁶ Witalij Kłyczko vel Kliczko (ur. 1971), bokser (wielokrotny mistrz WBC) i polityk (od 2010 r.). Twórca partii UDAR [cios] Witalija Kłyczki, parlamentarzysta, jeden z politycznych przywódców rewolucji godności. Wiosną 2014 r. zrezygnował z ubiegania się o prezydenturę i został wybrany merem Kijowa (o stanowisko to wcześniej ubiegał się dwukrotnie).
- ¹⁷ Opis ten odnosi się do 2013 r.; kilka lat później ekspozycja kaniowskiego muzeum została gruntownie przekształcona, o czym bliżej przy końcu tego tekstu.
- ¹⁸ Z wiersza *Zapowit (Testament)*, jednego z najbardziej znanych utworów Szewczenki.
- ¹⁹ Wasilij Engelhardt (ros. Engelgard, 1755–1828), wojskowy i działacz państwowy, wielki posiadacz ziemski pochodzący z niemieckiej szlachty Kurlandii, siostrzeniec kniazia Grigorija Patiomkina–Taurydzkiego; Paweł Engelhardt (1798–1849), najmłodszy syn Wasyla, oficer i ziemianin, dziś pamiętany głównie jako właściciel Szewczenki; Wasilij Engelhardt młodszy (1828–1915), starszy syn Pawła, astronom pracujący głównie w Dreźnie i historyk–amator.
- ²⁰ Karl Briullow vel Bruelau (1799–1852), Francuz urodzony w Rosji, wybitny malarz romantyczny. Dużą część dorosłego życia spędził we Włoszech.
- ²¹ Wasilij Żukowski (1783–1852), wybitny poeta, tłumacz i pedagog, m.in. nauczyciel języka rosyjskiego małżonki Mikołaja I oraz wychowawca cesarzewicza–następcy Aleksandra (późniejszego Aleksandra II). Reformator rosyjskiej poezji, twórca hymnu *Boże caria chrani*, od 1841 r. na emigracji w Niemczech.
- ²² Za początek impresjonizmu uważa się rok 1874. Joseph Turner żył w latach 1775–1851.
- ²³ Wasyl Stus (1938–1985), poeta i publicysta, dysydent z lat sześćdziesiątych XX w., więziony w latach 1972–1979 i 1980–1985; zmarł w łagrze.
- ²⁴ Z wiersza Antoniego Słonimskiego *Czarna wiosna*.
- ²⁵ Odpowiednio z wierszy: *I wyris ja na czużyni (Wyrosnąć przyszło na obczyźnie)* i *Sadok wisznewyj koło chaty*.
- ²⁶ Z wiersza *Hoholu (Do Gogola)*.
- ²⁷ James Joyce vel Seamus Seoige (1882–1941), Irlandczyk tworzący po angielsku, jeden z największych pisarzy XX w.
- ²⁸ Michał Czajkowski vel Sadyk Pasza (1804–1886), pisarz i działacz polityczny, uczestnik powstania listopadowego, następnie emigrant, podczas wojny krymskiej twórca formacji kozaków sułtańskich, pod koniec życia wrócił na Ukrainę i przeszedł na pozycje rusofilskie. Powieść *Wernyhora wieszcz ukraiński* ukazała się w 1838 r.
- ²⁹ Bronisław Zaleski (1819–1880), pisarz i działacz polityczny, na zesłaniu w latach 1847–1956, następnie na emigracji, przyjaciel Norwida. Zygmunt Sierakowski (1827–1863), spiskowiec, po zesłaniu do wojska dosłużył się stopnia oficerskiego, jeden z dowódców powstania styczniowego na Litwie, stracony przez Rosjan.
- ³⁰ Iwan Dziuba (ur. 1931), pisarz i literaturoznawca, dysydent z lat sześćdziesiątych XX w. (autor przełomowego pamfletu *Internacjonalizm czy rusyfikacja* z 1965 r.), w niepodległej Ukrainie także działacz społeczny.
- ³¹ Z późnego wiersza *Dola (Los)*.
- ³² Z wiersza *Chłodny jar (Chłodny Jar)*.
- ³³ Był to Ołeksij Czupryna (1908–1993), pochodzący z pobliskiego Harbusyna, profesjonalny muzyk. Na Tarasowej Górze śpiewał przy bandurze od 1958 do 1992 r. Nie był na muzealnym etacie. Miałem okazję go słuchać.

- ³⁴ W Polsce są dwa pomniki Szewczenki: w Białym Borze i Warszawie. Ten pierwszy, bardzo interesujący artystycznie, nie wpisuje się w żadną z konwencji przedstawiania Kobzarza. Drugi jest elegancki, ładny, ale jednak banalny.
- ³⁵ Sobór św. Michała Archanioła, zwany Złotowierzchnim (złotem krytym), a potocznie Michałowskim powstał na początku XII w. i do 1937 r. był jedną z najstarszych i najcenniejszych świątyń Kijowa. W 1937 r. został wysadzony w powietrze, szczęściem najcenniejsze mozaiki i część kamieniarki przeniesiono wcześniej do muzeum. Odbudowany w latach 1996–1998 jest dziś katedrą zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego.
- ³⁶ Piotr Stołypin (1862–1911), rosyjski polityk, w latach 1906–1911 premier i minister spraw wewnętrznych. Przeprowadził reformę rolną, sprzyjającą rozwojowi silnych, towarowych gospodarstw włościańskich, sprzyjał też rozwojowi przemysłowemu Rosji. Zamordowany w Kijowie przez bojówkarza z partii socjalistów–rewolucjonistów (eserowców).
- ³⁷ Paszportyzacja i wprowadzony w 1925 r. system meldunkowy miały przede wszystkim zapewnić pełną kontrolę nad mieszkańcami wielkich miast i ośrodków przemysłowych. Także tam nie każdy mógł otrzymać dowód osobisty (i musiał legitymować się metryką urodzenia, na ogół – cerkiewną). To o to chodzi Bułhakowowi, gdy pisze w *Mistrzu i Małgorzacie* (rozdział *Pechowi goście*), że w Kijowie „wydają dowody komu popadło”.
- ³⁸ Są to (według stanu z wiosny 2019 r.) Australia, Gruzja, Ekwador, Estonia, Kanada, Kolumbia, Litwa, Łotwa, Meksyk, Paragwaj, Peru, Polska, Portugalia, Stolica Apostolska, USA i Węgry. W innej formie potępiły Hołodomor Andora, Argentyna, Brazylia, Chile, Czechy, Hiszpania, Słowacja i Włochy. Kijów prowadzi intensywne starania, by do potępienia Hołodomoru jako ludobójstwa przyłączyły się Niemcy i Izrael.
- ³⁹ Zbrodnia przeciw ludzkości jest pojęciem opisowym, które nie ma jasnej definicji prawnej. Trudno bowiem uznać za takową zawartą w statucie Międzynarodowego Trybunału Karnego z 1998 r., operującą kategoriami „innych czynów” oraz „jakiegokolwiek możliwej do zidentyfikowania grupy”. W prawie karnym nie ma miejsca na tego rodzaju kategorie ani na definiowanie przez analogię, czyn zagrożony karą musi być określony jednoznacznie.
- ⁴⁰ Rafael vel Rafał Lemkin (1900–1959), polski prawnik pochodzenia żydowskiego, od 1940 r. na emigracji, ostatecznie w USA. Wybitny znawca prawa karnego. Jego zdaniem, Hołodomor stanowił klasyczny przykład zbrodni ludobójstwa.
- ⁴¹ Właśnie: Czarnobyła lub Czornobyła, w żadnym wypadku Czernobyła. Tradycyjna nazwa tej miejscowości, tak po polsku, jak i ukraińsku, brzmiała Czornobyl; forma z -a- pojawiła się dopiero w XX w., najpewniej pod wpływem rosyjskiego akana (przechodzenia nieakcentowanego -o- w -a-). Jednak w języku rosyjskim przyjęła się też wymowa „Cziornobyl”, co zapisywano literą „jo” (ё). Że zaś w 1952 r. w ZSRR uznano ją za nieobowiązującą (aczkolwiek w Polsce jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych była ona obowiązującym elementem nauczania rosyjskiego) i dość szybko wyeliminowano z druku na rzecz -e- (zawsze jedna czcionka mniej, w czasach tradycyjnego składu z metalowych elementów rzecz nieobojętna). Stąd użytkownicy innych języków mieli tendencję do błędnego przyjmowania nie tylko pisowni, ale i wymowy z -e-. W rosyjskim (ukraiński nie używał -jo-) fonetyka nie uległa zmianie, a dziś używanie tej litery jest dopuszczalne, choć nie obowiązkowe. Tak czy inaczej – forma „Czernobyl” nie ma żadnego uzasadnienia.
- ⁴² Wciąż pracują trzy reaktory w Leningradzkiej Elektrowni Atomowej w miejscowości Sosnowy Bór, cztery w elektrowni Kurskiej (miejscowość Kurczatów) i cztery w Smoleńskiej (miejscowość Diesnogorsk). Dwa reaktory RBMK (nowsze typu niż „czarnobylskie”), zainstalowane w Ingalińskiej Elektrowni Atomowej na Litwie zostały wyłączone w 2009 r.
- ⁴³ Ponieważ izotopy promieniotwórcze występują właściwie we wszystkich substancjach złożonych, w tym w paliwach kopalnych, a większość z nich to izotopy pierwiastków

niepalnych, ich stężenie w produktach spalania (dymie i popiele) znacząco rośnie, choć ilość pozostaje ta sama. Dotyczy to także dymu papierosowego – na Ukrainie dostrzegła to jedna z organizacji proekologicznych, organizując ok. 1990 r. kampanię pod hasłem „Precz z tytoniowym Czarnobyłem”.

- ⁴⁴ Ekologistyczny, a nie ekologiczny. Ekologia to dyscyplina naukowa, ekologizm – ideologia i ruch społeczny, w znacznej mierze opierający się na jej wynikach.
- ⁴⁵ Dmitrij Lichaczow (1906–1999), wybitny rosyjski filolog i historyk literatury, więzień GUŁagu w latach 1928–1932, cieszący się wielkim autorytetem wśród humanistycznych elit ZSRS.
- ⁴⁶ Ołes Honczar (1918–1995), jeden z najwybitniejszych ukraińskich prozaików XX w., weteran II wojny światowej, którego powieść *Sobór* z 1968 r. walczyła przyczyniła się do mentalnej dekomunizacji elit USRS.
- ⁴⁷ Borys Olijnyk (1935–2017), poeta, reporter i działacz polityczny, parlamentarzysta sowiecki, a potem ukraiński w latach 1980–2006, członek władz ukraińskiej partii komunistycznej (tak sowieckiej, jak „odnowionej” w 1993 r.). W swych reportażach z Czarnobylią jako pierwszy zwracał uwagę na nieprawidłowości i nadużycia podczas akcji ratunkowej. Skądinąd niechętny cywilizacyjnej niezależności Ukrainy od Rosji zwolennik „solidarności słowiańskiej”.
- ⁴⁸ W maju 1986 r. kolega opowiadał mi, że widział pod Białymstokiem różowe, a więc (!) radioaktywne chmury i dziwił się, że nie zgoliłem brody, bo przecież zarost „zbiera nuklidy”. Różowe chmury, owszem, mógł widzieć – sam je nieraz widywałem, przed katastrofą czarnobylią i po niej.
- ⁴⁹ *Ostatni brzeg* (*On the Beach*), amerykański film z 1959 r. w reżyserii Stanleya Kramera, opowiadający o ostatnich dniach Australii, nad którą po wojnie jądrowej na półkuli północnej nasuwa się fala opadu promieniotwórczego, niosąca nieuchronną śmierć. Jako wybitne dzieło sztuki filmowej ze znakomitymi rolami Gregory’ego Pecka i Avy Gardner oraz jednoznacznie nie tyle antywojenną, co „antyżimnowojenną” wymową głęboko wpłynął na kształtowanie powszechnej opinii o wojnie jądrowej i jej konsekwencjach. Był wyświetlany także w krajach komunistycznych.
- ⁵⁰ Anatolij Kaszpirowski (ur. 1939), rosyjski psychiatra i hipnotyzer, pochodzący z Ukrainy. W młodości bokser i ciężarowiec. W 1989 r. zainicjował telewizyjne seanse hipnotyczno–uzdrowiające, emitowane także w Polsce.
- ⁵¹ Andriej Tarkowski (1932–1986), rosyjski reżyser i aktor filmowy, zaliczony do najwybitniejszych twórców kina światowego, od 1982 r. na emigracji. Jego film *Stalker* (1979), swobodna adaptacja powieści Arkadiusza i Borysa Strugackich *Piknik na skraju drogi*, cieszył się w ZSRS ogromną popularnością.
- ⁵² Sowietkie elektrownie jądrowe brały na ogół nazwy od stolic obwodów, na terenie których powstawały. Czarnobylińska należała do wyjątków, pewnie dlatego, by uniknąć nazwy Kijowska. Ale i jej siedzibą nie był „tytułarny” Czarnobyl, a miasteczko Prypiat’.
- ⁵³ Od angielskiego *core* oznaczającego rdzeń (reaktora). Po raz pierwszy do powstania korium doszło podczas katastrofy w Three Mile Island (1979), po raz trzeci – podczas katastrofy w Fukushima (2011). Każdy z tych przypadków jest jednak unikalny ze względu na różną konstrukcję reaktorów i przebieg katastrofy.
- ⁵⁴ Jest to określenie najbardziej skażonych terenów wokół elektrowni czarnobylińskiej, na których – jak zakładano początkowo – jakkolwiek pobyt ludzi jest niedopuszczalny. Liczy ona 2,6 tys. km² i ma w przybliżeniu 30 km średnicy (jej granice dostosowane są do poziomu promieniowania, nie są więc geometrycznym kręgiem). Ukraińskie określenie *zona widczuzennia* jest u nas różnie tłumaczone; powyższy przekład uważam za najcelniejszy.
- ⁵⁵ Tym niezręcznym określeniem nazwano jeszcze w ZSRS uczestników akcji ratowniczej z 1986 r. Określenie „czarnobylicy” obejmuje także przesiedlonych.

- ⁵⁶ Stanisław Kosior (1889–1939), polski robotnik od młodości pracujący w Zagłębiu Donieckim, od 1907 r. działacz bolszewicki, w latach 1928–1934 sekretarz generalny Komunistycznej Partii (bolszewików) Ukrainy, następnie na innych stanowiskach partyjnych i państwowych w Moskwie. Rozstrzelany podczas tzw. wielkiej czystki.
- ⁵⁷ Tak pisałem w 2007 r. Pomnik Lenina przetrwał do grudnia 2013 r., został zburzony podczas rewolucji godności, dając sygnał do wszechukraińskiej deleninizacji (w jej ramach usunięto m.in. osiem innych kijowskich pomników Lenina). Pomnik Kosiora usunięto wcześniej, w 2008 r., a monolityczny pomnik Czekistów – dopiero w 2016 r. Wiosną 2019 r. z komunistycznych pomników Kijowa pozostał już tylko jeden, Szczorsa (dowódcy bolszewickiego z lat 1919–1920) – konny pomnik o sporej wartości artystycznej. Notabene do postaci Szczorsa pozował w latach pięćdziesiątych XX w. późniejszy prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk.
- ⁵⁸ Używana często w Polsce nazwa Cmentarz Bajkowy jest mylna: nazwa *Bajkowe Kładowyszcze* (ros. *Bajkowo Kładbiszcze*) pochodzi od nazwiska Siergieja Bajkowa, rosyjskiego generała z I połowy XIX w., od którego odkupiono teren pod cmentarz.
- ⁵⁹ Ruiną w ukraińskiej historiografii zwie się lata 1657–1687, od śmierci Bohdana Chmielnickiego do obrania hetmanem Iwana Mazepy, okres bezustannych wojen domowych i zewnętrznych.
- ⁶⁰ Kampania zaorywania ugorów (*celiny*) trwała w latach 1954–1960 (była więc dziełem Chruszczowa), jednak prawdziwe owoce wydała dopiero później. W jej ramach przekształcono w grunty orne prawie 42 mln ha obszarów stepowych, głównie w Kazachstanie.
- ⁶¹ Mykoła Skrypnyk (1872–1933), ukraiński działacz bolszewicki, zwolennik i promotor ukrainizacji oraz utrzymania autonomii republik sowieckich, próbował przeciwstawić się polityce rekwizycji żywności na Ukrainie. Popęłił samobójstwo w przededniu nieuchronnego aresztowania. Kliment Woroszyłow vel Woroszyło (1881–1969), Ukrainiec (podobnie jak Skrypnyk pochodzący z Donbasu), sowiecki dowódca wojskowy i członek kierownictwa partyjnego, minister obrony ZSRS w latach 1925–1940, współodpowiedzialny za zbrodnię katyńską.
- ⁶² Ukrainizacja była szczególnym przypadkiem *korenizacji* (ukorzenia), dowartościowania nierosyjskich narodów, kultur i języków (niektóre z nich po raz pierwszy w dziejach zyskały standard piśmienny) w celu tym łatwiejszej ich sowietyzacji. Trwała w latach 1923–1929.
- ⁶³ Nowa Polityka Ekonomiczna, okres spowolnienia wprowadzania elementów ustroju komunistycznego w Rosji (1921–1929). Jej głównym elementem było przywrócenie wolnego handlu, zwłaszcza żywnością oraz dopuszczenie do inwestycji przemysłowych kapitału zagranicznego. Od początku była traktowana jako działanie czasowe, wymuszone.
- ⁶⁴ Sowietyczne prawo wyborcze przewidywało jedną turę wyborów i warunek 50-proc. frekwencji. W nowej sytuacji politycznej spowodowało to nieobsadzenie wielu mandatów.
- ⁶⁵ *Lietuvos Persitvarkymo Sąjūdis*, Litewski Ruch na rzecz Pieriestrojki, ruch obywatelski, powołany w czerwcu 1988 r., zwycięzca wyborów do Rady Najwyższej Republiki w lutym 1990 r. W marcu tegoż roku doprowadził do uchwalenia aktu restytucji niepodległości Litwy. Po ugruntowaniu niepodległości zmarginalizowany na rzecz partii politycznych.
- ⁶⁶ Leonid Krawczuk (ur. 1934), polityk sowiecki, następnie ukraiński, urodzony na Wołyniu jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej. Pracował w pionie propagandy KP Ukrainy, w latach 1989–1991 członek jej ścisłego kierownictwa, 1990–1991 przewodniczący Rady Najwyższej USRS. Prezydent Ukrainy od grudnia 1991 do lipca 1994 r., po przegranych przedterminowych wyborach na marginesie życia publicznego.
- ⁶⁷ Związek Sowietcki, formalnie wielostopniowa federacja, był jednym z najsilniej scentralizowanych państw ówczesnego świata, znacznie bardziej niż większość państw unitarnych. Ta tradycja centralistyczna, a brak tradycji samorządności jest jednym z głównych

problemów państw postsowieckich.

- ⁶⁸ Rosyjski *sojuz* oznacza zarówno „związek”, jak i „sojusz, przymierze”. Ta dwuznaczność była wielokrotnie wykorzystywana w ówczesnych dyskusjach.
- ⁶⁹ Początek hymnu ZSRS z 1944 r. pióra Siergieja Michałkowa i Gabriela El-Registana. Wcześniej rolę hymnu sowieckiego pełniła „Międzynarodówka”.
- ⁷⁰ Zgromadzenie Halickie, nieformalne porozumienie rad obwodów lwowskiego, iwanofrankowskiego i tarnopolskiego, załączek autonomii regionalnej, z której zrezygnowano po zdobyciu niepodległości.
- ⁷¹ Tchórzliwa mowa, tchórzliwe uczynki.
- ⁷² Epitet ten ukuł w 2004 r. amerykański publicysta William Safire. *Kiev chicken* to kotlet po kijowsku, ale *chicken* (kurczak) to potocznie tchórz, cykor, zatem *Kiev chicken speech* to „kijowska cykorancka mowa”.
- ⁷³ Giennadij Janajew (1937–2010), sowiecki polityk, członek najwyższych władz partyjnych, w latach 1990–1991 wiceprezydent ZSRS. Podczas puczu ogłosił się prezydentem; po jego upadku skazany za zdradę stanu, zwolniony w 1994 r.
- ⁷⁴ Ponieważ w sowieckim „parlamentaryzmie” każda uchwała wymagała większości składu izby, a nie – obecnych deputowanych, utrwaliła się praktyka absentowania (powstrzymania się od udziału w głosowaniu) zamiast oddawania głosów przeciw lub wstrzymujących się. Ta zasada i praktyka wciąż obowiązuje w parlamencie Ukrainy, walenie utrudniając jego prace.
- ⁷⁵ Stanisław Szuszkiewicz (ur. 1934), białoruski fizyk, w latach pieriestrojki cokolwiek z przypadku polityk, od września 1991 do stycznia 1994 r. przewodniczący Rady Najwyższej Białoruskiej SRS, następnie Białorusi.
- ⁷⁶ Ostatnie słowa dramatu Aleksandra Puszkina *Borys Godunow*, wyrażające obojętność ludu Moskwy wobec ogłoszenia carem Dymitra Samozwańca. W oryginale: *narod biezmołwstwujet*.
- ⁷⁷ *Ukrajinskyj narod* (czasem też – *nacija*) to naród etniczny, wspólnota Ukraińców; *narod Ukrainy* to naród polityczny, wspólnota obywatelska.
- ⁷⁸ Łeonid Kuczma jako szef zakładów *Jużmasz*, wytwarzających sowieckie rakiety balistyczne, realizował jeden z najważniejszych sowieckich programów zbrojeniowych i miał wolny wstęp do kremłowskich gabinetów, przed którymi republikański sekretarz ds. ideologii (jakim był Krawczuk) musiał antyszambrować nieraz tygodniami.
- ⁷⁹ Bykownia to podkijowska wieś, od 1923 r. formalnie w granicach miasta. W przyległym do niej lesie w 1937 r. NKWD zaczęło grzebać ofiary masowych egzekucji, wykonywanych w kijowskich więzieniach. Pochowano tam prawdopodobnie ok. stu tysięcy osób, dotychczas ustalono personalia czterestu tysięcy. W 1940 r. rozstrzelano tam trzy i pół tysiąca polskich oficerów i policjantów. Las ten jest największym cmentarzyskiem ofiar terroru sowieckiego na Ukrainie. Kijowianie zaczęli przywracać pamięć o pochowanych w Bykowni podczas *pieriestrojki*, stawiając w lesie krzyże i wieszając tabliczki pamiątkowe (w przypadkowych miejscach), prym wiedli zrazu kijowscy Polacy (ofiara czystek z lat 1937–1938 padła większość ówczesnej społeczności polskiej Kijowa). Na początku XXI w. stworzono tu monumentalny kompleks pomnikowy, którego polska część jest rzeczywistym cmentarzem (jego granice określono podczas ekshumacji, przeprowadzonej przez IPN), ukraińska zaś ma charakter upamiętnienia symbolicznego: tu cmentarzem jest cały las. Oba pomniki zostały uroczyście odsłonięte w 2012 r. z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy.
- ⁸⁰ O ile wiem, nikt dotychczas nie spróbował opisać udziału sowieckiej przestępczości zorganizowanej (która prowadziła takie nielegalne lub półlegalne zakłady produkcyjne) we wprowadzaniu gospodarki rynkowej w Rosji, na Ukrainie i w innych państwach postsowieckich. Udział ten jest jednak niewątpliwy i prawdopodobnie znaczący. Warto zwrócić uwagę, że zorganizowana przestępczość była jedynym środowiskiem społeczeństwa sowieckiego, która

ok. 1985 r. miała pewne pojęcie o gospodarce rynkowej i jednym z nielicznych dysponujących wolnymi środkami finansowymi. Ważne jest też to, że świat przestępczy był przyzwyczajony do podejmowania ryzyka i ponoszenia odpowiedzialności za błędy, czego gruntownie oduczono pozostałych ludzi sowieckich (także, a może zwłaszcza nomenklatury).

⁸¹ Prace nad tą ustawą podjęto dopiero późną wiosną 2020 r.

⁸² Ostatni spis powszechny miał miejsce na Ukrainie w 2001 r. Kolejnego dotychczas nie przeprowadzono, po części ze względów finansowo–organizacyjnych, po części z powodu niechęci do ujawnienia rzeczywistej skali spadku ludności kraju, zwłaszcza regionów wiejskich. Niewielka jest jednak nadzieja, byśmy doczekali się kolejnego ukraińskiego spisu powszechnego: odbędzie się raczej, podobnie jak w coraz liczniejszych państwach (w tym w Polsce w 2010 r.) spis z oficjalnych rejestrów państwowych, wsparty badaniem socjologicznym na bardzo szerokiej próbie. Takie przedsięwzięcie nie pozwala jednak zweryfikować adekwatności państwowych rejestrów, nie dostarcza też danych na temat struktury etnicznej i językowej kraju.

⁸³ Pomijam tu pozostałe języki: według najoptimistyczniejszych szacunków posługuje się nimi w życiu codziennym 3–5% obywateli Ukrainy. W ustawie z 2012 r. wymieniono następujące języki mniejszości: białoruski, gagauski, jidisz, krymskotatarski, mołdawski, niemiecki, nowogrecki, ormiański, polski, romski, rumuński, słowacki, węgierski, rusiński, karański i krymczacki (trzy ostatnie dodano w późniejszej fazie prac, poza kolejnością alfabetyczną). Dodajmy, że w dwóch ostatnich prawdopodobnie nikt już wówczas nie mówił, ukraińscy Grecy nie posługują się nowogreckim, a status rusińskiego jako odrębnego języka jest sporny. Jako języki egzaminu dojrzałości dopuszczone były obok ukraińskiego i rosyjskiego krymskotatarski, mołdawski, polski, węgierski i rumuński.

⁸⁴ *Surżyk* to pierwotnie mieszanina ziarna żyta (*rży*) i pszenicy lub innych zbóż oraz mąka z takiej mieszanki. Podobny sposób mówienia na Białorusi zwie się *triasianka*, co pierwotnie oznaczało mieszaninę siana i słomy.

⁸⁵ Sam Juszczenko był bardzo pewny swego ukraińskiego, wyniesionego z wiejskiego domu, mówił jednak z mnóstwem błędów, na pograniczu *surżyka*. Podobnie było z Julią Tymoszenko, pochodzącą z rodziny rosyjskojęzycznej.

⁸⁶ Rosyjskie słowo *mir* oznacza współcześnie zarówno pokój, jak i świat. To utożsamienie celnie wyraża rosyjsko–polski dowcip *nam nużien mit i pa wazmożnosti – wies'* (potrzebujemy pokoju, a w miarę możliwości – całego [świata]). W dokumentach, zwłaszcza kościelnych, proklamujących koncepcję *russkawo mira*, to podwójne znaczenie było bardzo wyraźne.

⁸⁷ Na przykład wydawani i u nas Andriej Kurkow, Anatolij Krym, a także plejada fantastów z Maryną i Siergiejem Diaczenko oraz Władimirem Wasiliewem na czele.

⁸⁸ Na Ukrainie argumentowano, że ponieważ ustawa z 2012 r. uchyliliła tę z 1989 r., po jej uchyleniu powstała próżnia prawna. Jest to jednak przejaw analfabetyzmu prawnego: norma uchylająca ustawę z 1989 r. przestała obowiązywać wraz z całą ustawą z 2012 r., co oznacza powrót do stanu prawnego sprzed jej uchwalenia.

⁸⁹ Ołeksandr Turczynow (ur. 1864), ukraiński polityk, początkowo działacz Komsomołu, później wieloletni współpracownik Julii Tymoszenko, podczas rewolucji godności wszedł do politycznego otoczenia Petra Poroszenki. Deputowany Rady Najwyższej w latach 1998–2014 (złożył mandat po objęciu stanowiska sekretarza RBNiO, przewodniczący Rady od lutego do listopada 2014 r., p.o. prezydent od lutego do czerwca 2014 r., Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy od jesieni 2014 r. do wiosny 2019 r. Pochodzi z Dniepropietrowska; po zerwaniu z komunizmem przystąpił do Ewangelickich Chrześcijan–Baptystów (głównego zgromadzenia baptystowskiego na Ukrainie), jest kaznodzieją w jednym z kijowskich zborów tego wyznania. Jest też powieściopisarzem.

- ⁹⁰ Może nieładny to neologizm, ale nie potrafię potraktować posługiwania się *surżykiem* na równi z władaniem ukraińskim czy rosyjskim.
- ⁹¹ Wasyl Szklar, *Duma pro bratiw azowskich* [w:] *Czorne sonce*, Charków 2016, s. 49, por. też s. 69. Jest to utwór beletrystyczno–reportażowy. Wzmiankę o wpływach greckich uzasadnia to, że na południu obwodu donieckiego od schyłku XVIII w. mieszka liczna społeczność grecka (przesiedleńcy z Krymu).
- ⁹² Iwan Snihurskyj vel Snihurowycz, w polskiej wersji Jan Śnigurski (1784–1847), kapłan greckokatolicki, od 1818 r. biskup przemyski, filantrop i promotor oświaty ludowej.
- ⁹³ Pawło Czubynskyj (1839–1884), ukraiński etnograf i poeta, współtwórca kijowskiej Hromady, później badacz folkloru Ukrainy, Grodzieńszczyzny i wschodnich powiatów Królestwa Polskiego.
- ⁹⁴ Mykoła Łysenko (1842–1912), najwybitniejszy ukraiński kompozytor, znany pianista i dyrygent. Tworzył głównie utwory sceniczne (oper, operetki, oratoria i muzykę do spektakli teatralnych), a także kantaty i utwory instrumentalne. Wielkie znaczenie dla rozwoju kultury ukraińskiej miało opracowanie kilkuset pieśni ludowych do śpiewu domowego i chóralnego.
- ⁹⁵ Tytuł ten tłumaczy się na zazwyczaj jako *Urzeczone*, jednak słowo to współcześnie oznacza „zachwyconą, oczarowaną”, gdy Szewczenko chodzi o to, że bohaterce „przyczyniono” chorobę psychiczną, rzucono na nią zły czar, urok. Rosjanie tłumaczą ten tytuł jako *Pomieszannaja* (osoba o pomieszanych zmysłach, wariatka).
- ⁹⁶ Iwan Kryżaniwskyj (1856–1894), ukraiński kompozytor i pedagog. Twórca raczej przeciętny, pamiętany dziś wyłącznie jako twórca tej pieśni.
- ⁹⁷ Ołeksandr Konyskyj (1836–1900), ukraiński pisarz, leksykograf, pedagog i działacz społeczny, członek kijowskiej *Hromady*, współzałożyciel Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki, najważniejszej ukraińskiej organizacji naukowej przed 1991 r.
- ⁹⁸ Pawło Tyczyna (1891–1967), ukraiński poeta sowiecki, także działacz państwowy, m.in. przewodniczący Rady Najwyższej Ukraińskiej SRS.
- ⁹⁹ Tym razem tłumaczenie prozą (za to dosłowne); ten tekst nie jest wart nawet chwili wysiłku poetyckiego. W 1978 r. refren przerobiono na: „Chwała Związkowi Radzieckiemu, chwała!/ Chwała Ojczyźnie na wieki wieków!/ Żyj Ukraino, państwo radzieckie/ w jednej ojczyźnie narodów–braci!”.
- ¹⁰⁰ Historyczna Kubań to obecny Kraj Krasnodarski Republiki Rosyjskiej. Większość tamtejszych Kozaków to potomkowie Zaporozców wysiedlonych z Naddnieprza po podboju Chanatu Krymskiego przez Rosję.
- ¹⁰¹ Ta sama kaligraficzna interpretacja znaku bywa dziś odczytywana jako słowo *WOLA* (wolność).
- ¹⁰² W tej roli trójząb był symbolizacją narzędzia rybackiego, symbolem bóstwa mórza, „piorunowego rybaka”. By uniknąć tego rybołowczego skojarzenia używam tu nazwy *tryzub*, a nie trójząb.
- ¹⁰³ Ta ostatnia koncepcja nie jest zmyśleniem; analiza najstarszej warstwy wspólnego dziedzictwa języków indoeuropejskich wskazuje na to, że powstały one w strefie lasostepu (a nie otwartego stepu) i bez kontaktu z morzem. Lasostepowe tereny współczesnej Ukrainy i częściowo Rosji spełniają te warunki. Nie znaczy to oczywiście, by współcześni Ukraińcy byli jakoś uprzywilejowanymi dziedzicami Praindoeuropejczyków, co dość często głosi się na Ukrainie. Zasób słownictwa, wspólny ukraińskiemu i sanskrytowi nie jest istotnie większy niż innych zachodnich języków indoeuropejskich.
- ¹⁰⁴ Światosław zwany Chrobrym (ok. 942–972), wnuk Ruryka, założyciela dynastii, ojciec Wołodymyry/Włodzimierza zwanego Wielkim. Syn Olgi (Helgi), pierwszej chrześcijańskiej władczyni Rusi, sam pozostał poganinem. Prowadził liczne wojny głównie z Bułgarami i Bizancjum, a także Pieczyngami i Chazarami (w 965 r. zniszczył nadwołżańskie państwo

Chazarów, co dziś jest głównym elementem jego legendy). Zginął w boju z Pieczyngami.

¹⁰⁵ Powszechna u nas interpretacja imienia Włodzimierz/Władymir/Wołodymyr jako „władca pokoju” czy też „władca świata” jest błędna. Końcówka –*mir/myr* nie oznacza tu, jak później w rosyjskim, pokoju ani świata. To znacznie starsze, indoeuropejskie *mor/mar*, w cerkiewnosłowiańskim *mier* – wielki. Znajdujemy ją m.in. w galijskim imieniu Nertomarus (siłą–wielki, Silny–Wielce), a także w germańskim brzmieniu imienia kijowskiego księcia (które mogło być pierwotnym): Waldemaras.

¹⁰⁶ Nie tylko ich. Główną, bojową bronią samurajów nie były miecze, jak sugerują filmy historyczne, ale właśnie włócznie. Miecze (katany) były symbolem godności i bronią pojedynkową.

¹⁰⁷ W ścisłym znaczeniu termin ten odnosi się do symboli państwowych i prywatnych, zachowujących kanony heraldyki europejskiej. Wiele krajów, zwłaszcza postkolonialnych, ale też np. USA czy Japonia zwą swe symbole nie herbami (angl. *coat of arms*), ale pieczęciami (*seal*).

¹⁰⁸ Był jeszcze herb Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, niegodny wzmianki w głównym nurcie tej opowieści. Był wariantem herbu ZSRS, herbu światowej rewolucji, a nie tego czy innego państwa/kraju.

¹⁰⁹ Nikołaj Karamzin (1766–1826), rosyjski pisarz, kodyfikator języka literackiego i historyk, twórca monumentalnej *Historii państwa rosyjskiego*.

¹¹⁰ Herb mały to samo godło na tarczy, bez dalszych elementów (czasem z koroną lub hełmem nad tarczą). Taką postać ma np. herb odrodzonej Rzeczypospolitej czy herb RFN. Herb średni wzbogacony jest o dodatkowe elementy, np. trzymacze (postaci ludzkie lub zwierzęce, strzegące tarczy z godłem), dewizę, czasem herby historycznych prowincji (jak w herbie Republiki Czeskiej – kraj ten nie ma herbu małego; mają go historyczne Czechy, Morawy i Śląsk). Herb wielki otacza tarczę większą liczbą elementów, zazwyczaj umieszcza tarczę na tle gronostajowego płaszcza zwieńczonego koroną (jak w herbie Danii, mającej trzy wersje herbu). Na Ukrainie herby średnie mają niektóre miasta (np. Lwów).

¹¹¹ *Tamga* to właśnie znak, pieczęć. Najpierwotniejsze znaczenie tego mongolskiego słowa odnosi się do piętnowania bydła i koni, potem była to pieczęć celna, co utrwala rosyjskie słowo *tamożnia* (urząd celny) oraz znak plemienny.

¹¹² Girejowie, ród wywodzący się z arystokracji Złotej Ordy, skoligacony z Czyngisydami (potomkami Czyngis chana), panowali w Chanacie Krymskim nieprzerwanie od jego ustanowienia w połowie XV w. do podboju przez Rosję w 1783 r.

¹¹³ Ołeh Laszko (ur. 1972), dziennikarz i polityk, na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. skazany za oszustwo. Wieloletni parlamentarzysta, bliski współpracownik Julii Tymoszenko, od 2011 r. lider „imiennej” partii o nazwie Partia Radykalna Ołeha Laszki (tego rodzaju „prywatyzacja” partii politycznych nie jest na Ukrainie niczym osobliwym). Radykalny populistą i demagog, świetny mówca, awanturnik (kilkukrotnie wdawał się w bójki w sali obrad parlamentu) i skandalista, o niejasnych powiązaniach z oligarchami wschodniej Ukrainy. Nie zdołał wyrwać się z marginesu życia politycznego, w tegorocznych wyborach prezydenckich zdobył 5,48% głosów, a jego partia w przedterminowych wyborach parlamentarnych nie przekroczyła progę wyborczego.

¹¹⁴ Takie bramy były charakterystyczne dla herbów miast polskich posiadających prawo magdeburskie, więc wolnych i samorządnych (inne w owych czasach herbów nie miały).

¹¹⁵ Po raz ostatni symbol ten wróci w symbolice dywizji SS–*Galizien* (*Hałyczyna*), zresztą z woli Niemców: ukraińscy inicjatorzy tworzenia dywizji chcieli, by jej symbolem był tryzub, skądinąd dopuszczany przez Niemców na odznakach różnego rodzaju ukraińskich formacji pomocniczych poza Galicją Wschodnią.

- ¹¹⁶ Władysław Opolski lub Opolczyk (ok. 1330–1401), Piastowicz, książę Opola, bliski współpracownik króla Węgier Ludwika Wielkiego (znanego u nas jako Ludwik Węgierski), przez jakiś czas jego palatyn (w gruncie rzeczy wicekról), następnie namiestnik Rusi Halickiej, wielki protektor Lwowa, później przeciwnik Władysława Jagiełły, z którym parokrotnie wojował. Fundator klasztoru paulinów na Jasnej Górze i prawdopodobny donator obrazu Matki Boskiej Bełzkiej, odtąd – Częstochowskiej.
- ¹¹⁷ Czyli Królestwa Halickiego i Włodzimierskiego. Tak cesarska Austria nazwała ziemię Rzeczypospolitej, zagarnięte podczas I rozbioru, przywołując nazwę, zachowaną w tytulaturze królów Węgier, a pochodzącą właśnie z czasów Ludwika Wielkiego i Władysława Opolczyka.
- ¹¹⁸ Do niego wydaje się nawiązywać większość ukraińskich interpretacji heraldycznych.
- ¹¹⁹ Nie ma większych wątpliwości, że nazwa ta pochodzi od *goły(j)/hołyj*, miejsce nagie, tj. bezleśne. Potwierdzają to inne podobne nazwy miejscowe, jak nieodległe od Halicza Gołogóry czy bieszczadzki Halicz.
- ¹²⁰ Dziś jest to herb obwodu iwanofrankowskiego; herb Halicza jest zupełnie inny.
- ¹²¹ Dmytro Jarosz (ur. 1971 r.), ukraiński działacz polityczny, radykalny nacjonalista, organizator Prawego Sektora jako organizacji politycznej, a później – Ochotniczego Korpusu Ukraińskiego, jednej z formacji ochotniczych w wojnie o Donbas. Poważnie ranny na froncie w styczniu 2015 r. Pod koniec 2015 r. opuścił Prawy Sektor i bezskutecznie próbował tworzyć nowy ruch polityczny. „Wizytówka Jarosza” to aluzja do incydentu z kwietnia 2014 r., gdy separatyści twierdzili, że w kompletnie spalonym samochodzie znaleźli nienaruszone wizytówki szefa Prawego Sektora.
- ¹²² Fragment pieśni *Dwa kolory* (tekst Dmytro Pawłyyczko, muzyka Oleksandr Biłasz).
- ¹²³ Ławr Kornilow (1870–1918), zawodowy wojskowy rosyjski, w 1914 r. dowódca dywizji, w 2015 r. wpadł do niewoli austriackiej, zbiegł rok później. Po rewolucji demokratycznej w Rosji dowódca pietrogradzkiego okręgu wojskowego, następnie dowódca 8 armii, latem 1917 r. głównodowodzący armii rosyjskiej, zdymisjonowany po próbie puczu. Po rewolucji bolszewickiej stanął na czele białogwardzistów na południu Rosji, poległ w lutym 1918 r. w bitwie pod Jekaterynodarem (ob. Krasnodar). Pułk korniłowski (potem kilka pułków) walczył z bolszewikami do jesieni 1920 r.
- ¹²⁴ Kilka lat temu młoda Polka o radykalnie lewicowych poglądach podczas pierwszej wizyty na Ukrainie dziwiła się, skąd w tym kraju tak liczne flagi anarchistyczno–antyfaszystowskie. Oczywiście szybko wyprowadzono ją z błędu.
- ¹²⁵ Określenie „hufiec” jest niezbyt ściśle; Płast ma inną strukturę niż harcerstwo, a jego kurenie są samodzielnymi strukturami skautingu starszego.
- ¹²⁶ Właściwie *Czorty my lisowy (Jesteśmy czarty leśne)*, pieśń Tarasa Czaczy–Kruszelnickiego. Tekst jest chłopacko–buńczuczny, lekko satanizujący, ale w autorskiej wersji wolny od elementów nacjonalistycznych. Tu także czerwień oznacza miłość, a czerń – „piekła dno”. Dziś znana jest głównie banderowska przeróbka z okresu II wojny światowej. Notabene nazwę kureniami nadała mimowolnie wiejska kobiecina, która widząc grupę skautów wychodzącą z lasu, rzuciła: „a cóż to za leśne czorty?”, co młodzi radośnie podchwycili. *Czorty* używały czerwono–czarnej symboliki. Wychowankami tego hufca byli liczni nacjonałiści, w tym Roman Szuchewycz.
- ¹²⁷ Melnykowcy to określenie zachowawczej frakcji OUN, pozostałej po frondzie banderowców w 1940 r. Jej przywódcą był Andrij Melnyk (1890–1964), ukraiński działacz nacjonalistyczny, oficer Strzelców Siczowych i UNR, przewodniczący OUN po śmierci Konowalca, od 1947 r. – dożywotni. W latach 1943–1944 internowany przez Niemców w Sachsenhausen, po wojnie mieszkał w Niemczech.
- ¹²⁸ Jewhen Konowalec (1891–1939), ukraiński działacz nacjonalistyczny, oficer armii austriackiej i UNR (dowódca „naddnieprzańskich” Strzelców Siczowych), współtwórca Ukraińskiej

Organizacji Wojskowej i OUN, jej przewodniczący (*Prowidnyk*, Wódz). Zamordowany w Rotterdamie przez sowiecką agenturę.

- ¹²⁹ Film Ołesia Janczuka z 2000 r. Swobodna biografia Romana Szuchewycza, dowódcy UPA.
- ¹³⁰ Prawy sektor był pierwotnie określeniem trybuny stadionu kijowskiego Dynamo, zajmowanej przez radykalnych kibiców (*ultras*). Kibice stanowili znaczącą grupę wśród uczestników Rewolucji Godności i jako jedni z pierwszych zaczęli się organizować. Później była to nazwa organizacji obywatelskiej, następnie partii politycznej, powołanej nie na bazie tej organizacji, ale przez przemianowanie istniejącej od 1991 r. partii Ukraińskie Zgromadzenie Narodowe. W wyborach 2014 r. partia zdobyła niespełna 2% poparcia.
- ¹³¹ Stonką ziemniaczaną, na Ukrainie zwaną chrząszczem Colorado.
- ¹³² U nas – kowal bezskrzydły, dawniej potocznie tramwajarz, o charakterystycznym czerwono-czarnym deseniem pokrywy skrzydeł.
- ¹³³ Szłyk to górna część papacy, wełnianej czapki, powszechnego elementu umundurowania rosyjskiego i ukraińskiego. Inaczej niż czapka wykonany jest z miękkiego materiału i zwiesza się z niej jako element ozdobny.
- ¹³⁴ Aktywne działania wojenne podczas wojny francusko-pruskiej (1870–1871) trwały ok. sześciu miesięcy, podczas I wojny bałkańskiej (między koalicją państw bałkańskich z Bułgarią na czele a Imperium Osmańskim, 1912–1913) także ok. sześciu miesięcy, podczas II wojny bałkańskiej (między Bułgarią a Grecją, Serbią i Turcją, 1913) niespełna dwa miesiące.
- ¹³⁵ Wojna secesyjna między stanami północnymi i południowymi USA trwała od 1861 do 1865 r. Kosztowała obie strony sześćset dwadzieścia tysięcy poległych i czterysta tysięcy rannych.
- ¹³⁶ Wojna rosyjsko-turecka (1877–1878) przyniosła niepodległość północnej Bułgarii (po grzbiecie Bałkanu); część południowa przekształcona została w autonomiczne państwo pod zwierzchnictwem Imperium Osmańskiego; faktycznie pozostawała pod kontrolą Rosji. Została ono zajęta przez Bułgarów już po siedmiu latach, a formalne zjednoczenie Bułgarii nastąpiło w 1908 r.
- ¹³⁷ Jedno z wezwań z *Litanii pielgrzymkiej* Adama Mickiewicza (część *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*).
- ¹³⁸ To z ich pieśni zaczerpnąłem tytuł. Całość tej strofy w przesadnie może współczesnym przekładzie brzmi: „Idzie siczowe wojsko/ podśpiewując z cicha/ jak już wrogów pobijemy/ będzie nam nielicho”.
- ¹³⁹ Ołena Stepaniw (1892–1963), ukraińska działaczka społeczna, polityczna i wojskowa, później także historyczka i geografka. Córka kapłana grekokatolickiego z powiatu przemysłańskiego, płastunka, członkini Sokoła i organizacji strzeleckich, dowódczyni kobiecego plutonu USS, walczyła w obronie Makiwki, w maju 1915 r. dostała się do niewoli, z której wróciła w maju 1917 r. Brała udział w wojnie polsko-ukraińskiej 1918–1919, po powrocie do Lwowa pracowała naukowo na uniwersytecie. W latach 1949–1956 więziona przez władze sowieckie. Zmarła we Lwowie. Jej synem był znany historyk ukraiński, Jarosław Daszkewycz (1926–2010).
- ¹⁴⁰ Na przykład Jewhen Konowalec, Andrij Melnyk czy Roman Suszko. Pierwszy z nich był pierwszym szefem OUN, drugi – jego następcą, trzeci dowódcą OUN-owskiego oddziału, biorącego udział w niemieckim najeździe na Polskę w 1939 r. Gwoli ścisłości – Konowalec nie służył w USS, ale w armii austriackiej, był jednak głównym organizatorem i dowódcą „siczowej” formacji wojsk UNR.
- ¹⁴¹ Tych trzystu poległych wzięto się nie z szacunków czy przekłamań, a wprost z legendy: tyłu było Spartan pod Termopilami. A Kruty niemal natychmiast zaczęto wynosić do rangi „ukraińskich Termopilów”.
- ¹⁴² Te formacje trwały na uboczu rozgrywających się wydarzeń, cokolwiek siłą inercji. Wiemy, że na Podolu dotrwały do ofensywy „białych” Rosjan Denikina 1919 r. i prawdopodobnie zostały

włączone w skład jego armii.

- ¹⁴³ Małorosją ówczesni Rosjanie zwali ukraińskie etnicznie ziemie Imperium w odróżnieniu od Wielkorusji, zrazu ziem etnicznie rosyjskich, później – synonimu Wszechrosji, Imperium. Nazwy te odwołują się do wczesnośredniowiecznej terminologii greckiej, gdzie jednak *mikra* oznaczało nie „mniejszy”, ale „wewnętrzny, rdzeniowy”, a *megale* nie „większy”, ale „zewewnętrzny, poszerzony”. We współczesnej terminologii rosyjskiej „Małorosja” to już tylko wschód i południe Ukrainy, ziemie odebrane przez Rosję Tatarom i Turkom.
- ¹⁴⁴ Ich odrębność w ramach narodu rosyjskiego była uznawana w ramach koncepcji „trójjedności” Wielkorusów, Małorusów i Białorusów.
- ¹⁴⁵ Mykoła Michnowskij (1873–1924), ukraiński prawnik i działacz polityczny, autor broszury *Samostijna Ukrajina* (1900), pierwszego manifestu niepodległościowego Ukrainy „rosyjskiej”. Początkowo socjalista, później nacjonalista, krytyczny wobec tendencji rewolucyjnych. W 1917 r. aktywny twórca ukraińskich sił zbrojnych, później współpracownik hetm. Skoropadskiego i zdecydowany przeciwnik Dyrektoriatu UNR i Petlury. Zmarł w Kijowie, nie wiadomo, śmiercią samobójczą czy skrytobójczą.
- ¹⁴⁶ Dmytro Doncow (1883–1973) ukraiński publicysta, działacz polityczny i krytyk literacki. Początkowo socjaldemokrata, później nacjonalista. Współpracował z hetm. Skoropadskim, na początku 1919 r. opuścił Ukrainę z misją dyplomatyczną. W okresie międzywojennym w Polsce, współpracował z OUN, ale nie był jej członkiem. Podczas II wojny światowej nie odegrał żadnej roli, po wojnie na emigracji w Kanadzie.
- ¹⁴⁷ Konstytuanta (Zgromadzenie Konstytucyjne) – specjalny organ ustawodawczy wybrany w celu opracowania nowej (na ogół pierwszej) konstytucji. Tu chodzi o Wszechrosyjskie Zgromadzenie Ustawodawcze, wybrane w listopadzie 1917 r. i rozpędzone przez bolszewików po pierwszym posiedzeniu w styczniu 1918 r., ponad dwa tygodnie przed wydaniem IV Uniwersału UCR.
- ¹⁴⁸ *Krutj. Pamjati herojiw Krut*, red. Osyp i Nadija Zinkewycz, Wyd. Smołoskyp, Kijow 2012.
- ¹⁴⁹ Cyrylickie litery κ i χ (ch) w zapisie odręcznym łatwo pomylić.
- ¹⁵⁰ Karol I Habsburg (Karl Franz Joseph Ludwig Hubert Georg Otto Maria von Österreich, 1887–1933), cesarz austriacki, król Węgier (jako Karol IV), Czech (jako Karol III), Dalmacji, Chorwacji, Sławonii, Galicji i Lodomerii etc. etc. etc., ostatni władca Austro–Węgier. Bratanek zamordowanego w Sarajewie Franciszka Ferdynanda, po jego śmierci następca tronu. Objął tron w listopadzie 1916 r., abdykował *de facto* (acz nie *de iure*) 11 listopada 1918 r., w 1921 r. internowany przez Ententę na Maderze, gdzie zmarł.
- ¹⁵¹ Austriacki kraj koronny Królestwo Galicji i Lodomerii (czyli Halicza i Włodzimierza) nie był formalnie podzielony na część zachodnią (o przewadze polskiej) i wschodnią (o przewadze ukraińskiej); taki formalny podział przewidywał tajny protokół do traktatu pokojowego między Niemcami i Austro–Węgrami a UNR z lutego 1918 r., nigdy go jednak nie zrealizowano, nawet nie wykreślono na mapach. Na Ukrainie używa się jako ekwiwalentu Galicji terminu *Hałyczyna*, zarówno w znaczeniu całej Galicji, jak i Galicji Wschodniej (ukraińskiej), co często prowadzi do nieporozumień.
- ¹⁵² Koncepcja języka/narodu austro–ruskiego zakładała, że Rusini Galicji Wschodniej nie są Ukraińcami, ale odrębnym narodem, który powinien rozwijać własny język. Koncepcja ta miała wystarczające podstawy w odrębnościach dialektycznych, kulturowych i religijnych, nie było jednak politycznej woli tworzenia takiej odrębności. Analogiczna koncepcja języka/narodu uhoruskiego (węgiersko–ruskiego), lansowana na Zakarpaciu, dała początek idei języka/narodu karpatoruskiego (rusińskiego), żywej, choć mniejszościowej, do dziś.
- ¹⁵³ W literaturze, poświęconej temu zagadnieniu spotyka się czasem termin „przewrót państwowy”, tłumaczący ukraińskie *derżawnyj pereworot*, na ogół z ironicznym lub niechętnym komentarzem. Wyrażenie to jest jednak ścisłym synonimem polskiego „zamachu stanu” jako

tłumaczenie francuskiego *coup d'État*. W polszczyźnie jest to zbędny barbaryzm.

- ¹⁵⁴ Polska Komisja Likwidacyjna była organem mającym zapewnić przekształcenie austriackiego Królestwa Galicji i Lodomerii w część Królestwa Polskiego, odtworzonego przez Niemcy i Austrię w 1916 r. (republikański charakter odrodzonej Polski nie był w momencie jej powstania przesądzony). „Likwidacja” w jej nazwie to ówczesny termin prawniczy, oznaczający działania porządkujące pozostałości po zbankrutowanym przedsiębiorstwie (dziś także likwidacja firmy nie jest tylko decyzją, ale też procesem). Tu chodziło o zagospodarowanie masy upadłościowej autonomii galicyjskiej.
- ¹⁵⁵ Borysław padł 9 listopada, jego obrońcy wycofali się do Sanoka, Sambor – dopiero 5 grudnia.
- ¹⁵⁶ Galicja, zwłaszcza Wschodnia, była w tym czasie jednym z ważniejszych producentów ropy naftowej w Europie. Wydobyte na początku XX w. sięgało 2 mln ton rocznie, 4% produkcji światowej.
- ¹⁵⁷ Niemcy nie chciały się zgodzić przede wszystkim na powołanie trybunału mającego ukarać odpowiedzialnych za wywołanie wojny (tylko niemieckich...) oraz przekazanie Polsce całego Śląska. Alianci zachodni nie chcieli wznowienia wojny, ustąpili więc w tej i niektórych innych sprawach – Śląsk miał czekać plebiscyt.
- ¹⁵⁸ Anton Denikin (1872–1947), rosyjski wojskowy, w 1917 r. dowódca Frontu Zachodniego, następnie organizator i dowódca Armii Ochotniczej i Sił Zbrojnych Południa Rosji. Zdecydowany przeciwnik niepodległości tak Polski, jak Ukrainy. Jesienią 1919 r. jego ofensywa przejściowo zagroziła reżimowi bolszewickiemu. Pobity, przekazał dowództwo gen. Wranglowi i udał się na emigrację. Zmarł w USA.
- ¹⁵⁹ Nawet pacyfikacja podlwowskich Sokolnik przez formacje ukraińskie podczas grudniowych walk (ok. czterdziestu zabitych z ponad dwóch tysięcy polskich mieszkańców wsi) niewiele odbiegała od wyczynów niektórych formacji węgierskich i rosyjskich. Z drugiej strony w tym wydarzeniu można widzieć prefigurację strasznych wydarzeń lat czterdziestych.
- ¹⁶⁰ Traktat o wyrzeczeniu się wojny (traktat przeciwwojenny, pakt paryski, pakt Brianda–Kelloga) został podpisany 27 sierpnia 1928 r., wszedł w życie w 1929 r., już kilka lat później okazał się kompletnie bezskuteczny. Do jego sygnatariuszy należały m.in. USA, Rzesza Niemiecka i Związek Sowiecki. W 1945 r. zastąpiła go Karta Narodów Zjednoczonych. Potoczna nazwa pochodzi od jego inicjatorów i głównych negocjatorów: Arystydesa Brianda (1862–1932), socjalistycznego polityka francuskiego, i Franka Billingsa Kelloga (1856–1937), amerykańskiego dyplomaty i polityka, republikanina.
- ¹⁶¹ Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo–Demokratyczne, partia polityczna, powstała w 1925 r. przez zjednoczenie dwóch głównych ukraińskich partii politycznych Galicji Wschodniej, w istocie organizacja nadrzędna nad całością ukraińskiego życia społecznego w tym regionie (poza jej kontrolą pozostawali tylko komuniści i radykalni nacjonaliści). Do 1931 r. była zdecydowanie wroga Polsce, następnie próbowała doprowadzić do autonomii regionu w drodze ugody z władzami II Rzeczypospolitej. Formalnie rozwiązana po aneksji Galicji Wschodniej przez ZSRR.
- ¹⁶² Sicz Karpacka, paramilitarna formacja powołana w 1938 r. przez władze autonomicznego Zakarpacia, rozbita przez Węgrów w marcu 1939 r. po ogłoszeniu niepodległości Ukrainy Karpackiej. Dużą część jej członków stanowili członkowie OUN z Galicji Wschodniej.
- ¹⁶³ Z okupacją *sensu stricto* można się spotkać także dziś. Izrael zdobył zbrojnie w 1967 r. półwysep Synaj, strefę Gazy, tzw. zachodni brzeg Jordanu wraz ze wschodnią Jerozolimą oraz wzgórze Golan, stanowiące części suwerennego terytorium Egiptu, Jordanii i Syrii. Tereny te miały status okupowanych, także według wewnętrznego prawa Izraela: Synaj do 1979 r. (na mocy traktatu pokojowego powrócił do Egiptu), strefa Gazy do 2005 r. (na mocy porozumienia z organizacją Hamas powstało tam samorządne terytorium palestyńskie), wschodnia Jerozolima

do 1980 r. (została oficjalnie anektowana przez Izrael i poddana jego wewnętrznym prawom), Zachodni Brzeg do 1993 r. (na mocy porozumienia z Organizacją Wyzwolenia Palestyny powstało tam autonomiczne państwo palestyńskie; część Zachodniego Brzegu ma wciąż status terenów okupowanych), Wzgórza Golan do 1981 r. (zostały anektowane przez Izrael). Społeczność międzynarodowa w większości wciąż uznaje trzy ostatnie terytoria za okupowane, nie uznając prawomocności jednostronnej aneksji.

¹⁶⁴ Iwan Skoropadskij (1646–1722), ukraiński wojskowy i polityk, hetman Lewobrzeżnej Ukrainy (zależnej od Rosji) w latach 1708–1722, hamował ograniczenie autonomii Hetmańszczyzny przez Rosję. Nasz bohater był potomkiem jego brata, Wasyla Skoropadskiego (?–1727), w szóstym pokoleniu.

¹⁶⁵ Wołodymyr Wynnyczenko (1880–1951), ukraiński prozaik i polityk, lewicowy socjaldemokrata, programowo bliski bolszewizmowi. Członek najwyższych władz UNR w latach 1917–1918, następnie szef Dyrektoriatu UNR pod koniec 1918 r. Skłócony z Petlurą udał się w lutym 1919 r. na emigrację. W 1920 r. bezskutecznie szukał porozumienia z bolszewikami, następnie zrezygnował z działalności politycznej. Zmarł we Francji. O Petlurze piszę obszerniej w osobnym szkicu.

¹⁶⁶ Była ona dobrze rozwinięta w Galicji Wschodniej, nie miało to jednak wpływu na elity Naddnieprza.

¹⁶⁷ Wiaczesław Łypynskij, urodzony jako Waclaw Lipiński (1882–1931), polski ziemianin z Wołynia, Ukrainiec z wyboru (jako jedyny w rodzinie). W 1917 r. w opozycji do UCR, przez hetmana mianowany ambasadorem w Wiedniu. Pozostał na emigracji, zmarł w Niemczech, spoczął jednak w rodzinnych Zaturcach (na zachód od Łucka). W tamtejszym dworze jest dziś jego muzeum.

¹⁶⁸ Najstarsza nazwa miasta brzmiała Płoskirów/Płoskyriw i pochodziła od rzeki Płoski. Po 1795 r. administracja rosyjska przekreśliła ją na *Proskurow* (po ukraińsku *Płoskuriw*). W 1954 r. miastu nadano imię Bohdana Chmielnickiego. Po 2014 r. pojawiły się głosy na rzecz przywróceniu historycznej nazwy.

¹⁶⁹ Jeden z wnikliwszych historyków Ukrainy, Paul R. Magocsi, podaje w swej syntezie *Historia Ukrainy. Ziemia i ludzie* liczbę 1236 pogromów w 524 miejscowościach oraz 30–60 tys. ich ofiar dla całego okresu 1917–1921.

¹⁷⁰ Warto tu zwrócić uwagę na błąd polskiej Wikipedii. W haśle Pogromy Żydów na Ukrainie (1918–1920) [dostęp 12.04.2019] pogrom ten opisany jest prawidłowo, ale na mapie zaznaczono wieś Głuchów w okolicach Sokala (tuż koło obecnej granicy polsko-ukraińskiej) zamiast miasta Głuchów w obwodzie sumskim (północno-wschodnia Ukraina, tuż przy granicy Rosji). Pogrom miał miejsce oczywiście w tej drugiej miejscowości: na początku 1918 r. o żadnych bolszewikach w Galicji Wschodniej nie mogło być mowy, a w liczącym dziś ok. 300 mieszkańców Głuchowie galicyjskim nie mogło być nigdy kilkuset Żydów.

¹⁷¹ Matwij vel Nykyfor Hryhorjew, urodzony prawdopodobnie jako Nykyfor Serwetnyk (1884–1919), rosyjski i ukraiński oficer, weteran wojny rosyjsko-japońskiej i I wojny światowej. Pod koniec 1918 r. stworzył silne ugrupowanie powstańcze, w listopadzie tego roku podporządkował się UNR, w lutym 1919 r. przeszedł na stronę bolszewików, skutecznie walcząc z francusko-greckim korpusem okupacyjnym na południu Ukrainy. Na początku maja, już na czele dwudziestu tysięcy ludzi, wzniecił antybolszewickie powstanie, ogłaszając się hetmanem Ukrainy. Rozbity przez bolszewików po kilku tygodniach szukał schronienia u Machny, lecz został stracony za kontakty z Denikinem. Według niektórych relacji Nestor Machno zastrzelił go osobiście. O samym Machnie szerzej w szkicu o Chłodnym Jarze.

¹⁷² Mojżesz Zylberfarb (1876–1934), twórca Socjalistycznej Żydowskiej Partii Robotniczej, w 1918 r. minister ds. żydowskich UNR, następnie organizator Żydowskiego Uniwersytetu

Ludowego w Kijowie. Od 1921 r. mieszkał w Warszawie. Jakub Wulf Zeew Łackyj–Bertoldi (1881–1940), członek Syjonistycznej Socjalistycznej Partii Robotniczej, w 1918 r. minister ds. żydowskich w rządzie UNR, Państwa Ukraińskiego i ponownie UNR, po 1920 na emigracji. Zmarł w Palestynie. Abraham Rewucki (1889–1946), członek partii Poalej–Sion (socjaldemokracja), w 1917 r. wiceminister, w 1919 r. minister ds. żydowskich UNR. W kwietniu tego roku podał się do dymisji w proteście przeciw pogromom i wyjechał do Palestyny. Zmarł w USA.

¹⁷³ Tak twierdził oficer UNR Mychajło Sereda na łamach wychodzącego w Polsce czasopisma „Litopys Czerwonoji Kałyny”, nr 4 z 1930 r. Autor musiał znać Semesenkę osobiście; jemu też zawdzięczamy bliższe informacje o kolejach losu tego oficera.

¹⁷⁴ Menachem Mendel Bejlis (1874–1934), kijowski Żyd należący do stanu mieszczańskiego, stateczny ojciec dzieciom, pracownik nadzoru fabrycznego, powierzchownie wierzący (nie przestrzegał sabatu). Aresztowany w 1911 r., uniewinniony i zwolniony w 1913 r., wyjechał do Palestyny, a następnie do USA. Zwykły, szary człowiek, wplątany w tryby historii...

¹⁷⁵ Ówczesne Imperium Rosyjskie było społeczeństwem stanowym ze ścisłymi, formalnymi podziałami; nie wszyscy mieszkańcy miast mieli status mieszczan.

¹⁷⁶ Połtawszczyzna nigdy nie zapomniała różnicy między Kozakami a chłopami (poddanymi): poczucie tej różnicy przetrwało kolektywizację, która zniósła wszelkie realne różnice statusu, i jest żywe, choć już tylko na wsi, także dziś.

¹⁷⁷ Ziemstwa były powiatowymi i gubernialnymi organami samorządowymi, powołane w części Imperium Rosyjskiego wraz z reformą chłopską z 1864 r. Reprezentowały właścicieli ziemskich, mieszczan i zamożnych włościan.

¹⁷⁸ Petro Bołboczan (czasem Bowboczan, 1883–1919), zawodowy oficer rosyjski, następnie organizator i dowódca wojsk UNR, m.in. zdobywca Krymu wiosną 1918 r. (w awangardzie wojsk niemieckich), kilkakrotnie odsuwany od dowodzenia, w czerwcu 1919 r. oskarżony o próbę zamachu stanu i rozstrzelany.

¹⁷⁹ Jewhen Petruszewycz (1863–1940), ukraiński działacz polityczny, poseł do sejmu austriackiego, przywódca a następnie dyktator Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej 1918–1919, następnie na emigracji w Wiedniu.

¹⁸⁰ Gubernia chełmska (Chełmszczyzna), wschodnie powiaty guberni siedleckiej i lubelskiej o przewadze ludności prawosławnej, wyodrębnione w osobną gubernię w 1912 r. w celu zahamowania przechodzenia byłych unitów na katolicyzm po ukazie tolerancyjnym z 1905 r. W 1912 r. gubernia chełmska została przekazana ze składu wciąż istniejącego *de iure* Królestwa Polskiego do Kraju Południowo–Zachodniego (formalnie nastąpiło to trzy lata później, gdy ziemie te były już pod okupacją niemiecką).

¹⁸¹ *Sowdepia* to nieco pogardliwe określenie państwa sowieckiego z okresu międzywojennego. Pochodzi ona od *sowiety deputatow*, rady delegatów robotniczych, chłopskich i żołnierskich, głównego aparatu władzy w początkowym okresie państwa bolszewickiego (por. hasło „cała władza w ręce rad”).

¹⁸² Pawło Szandruk (1889–1979), zawodowy oficer rosyjski, później ukraiński, weteran I wojny światowej. W latach 1917–20 oficer armii UNR, dowódca kolejnych pułków i brygad, a w 1920 r. (w stopniu pułkownika) dywizji. Po zwolnieniu z internowania pozostał w Polsce, w 1936 r. podjął służbę kontraktową w 18 Pułku Piechoty WP w randze majora, później podpułkownika. W 1939 r. organizator i zastępca dowódcy 29 Brygady Piechoty dowodził nią w drugiej bitwie pod Tomaszowem, został ranny i dostał się do niewoli, z której został zwolniony w 1940 r. Za bitwę tomaszowską został w 1965 r. odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* 5 klasy, oczywiście przez rząd RP na uchodźstwie. W latach 1940–1944 mieszkał w Skierniewicach (siedzibie 18 pp) pod nadzorem niemieckim. W marcu 1945 r. zgodził się stanąć na czele Ukraińskiej Armii

- Narodowej, formowanej z resztek dywizji *SS-Galizien* i innych formacji kolaboracyjnych, złożonych z Ukraińców. Pod jego dowództwem formacja ta w ostatnich dniach wojny wypowiedziała posłuszeństwo III Rzeszy, opuściła front w Austrii i skapitulowała przed aliantami zachodnimi. Po wojnie skutecznie zabiegał o niedopuszczenie do wydania swych podkomendnych w ręce sowieckie, w 1949 r. wyjechał do USA.
- ¹⁸³ Henri Bergson (1859–1941), wielki filozof francuski pochodzenia żydowskiego (jego ojciec urodził się w Warszawie).
- ¹⁸⁴ Aleksiej Pieszkow ps. Maksym vel Maksim Gorki (1868–1936), rosyjski prozaik, twórca koncepcji realizmu socjalistycznego, związany z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, przyjaciel Lenina i Dzierżyńskiego, w tym czasie mieszkający we Włoszech i niewątpliwie wykorzystywany przez sowiecką agenturę wpływu.
- ¹⁸⁵ Aleksandr Kierienski (1881–1970), rosyjski polityk, działacz partii socjalistów–rewolucjonistów (eserowców), od lipca do listopada 1917 r. premier Rosji, od 1918 r. mieszkający we Francji.
- ¹⁸⁶ Alfred Dreyfus (1859–1935), francuski oficer pochodzenia żydowskiego, oskarżony i skazany za szpiegostwo na rzecz Niemiec, jak się okazało – na podstawie fałszywych dowodów. Uwolniony i zrehabilitowany po wielkiej publicznej polemice, której efektem było m.in. podporządkowanie sił zbrojnych cywilnej kontroli, ogromny wzrost roli i autorytetu prasy, a także delegitymizacja francuskiego konserwatyzmu.
- ¹⁸⁷ Po procesie Schwarzbard pracował jako agent ubezpieczeniowy, zajmował się też pisarstwem (był uzdolnionym prozaikiem i poetą). W 1937 r. wyjechał (ale nie wyemigrował) do Afryki Południowej, gdzie zmarł nagle następnego roku. Co przemilczano lub zamazano w jego oficjalnej biografii, nie wiemy do dziś.
- ¹⁸⁸ Licząca ok. pięć tysięcy żołnierzy grupa wojsk UNR, dowodzona przez gen. Mychajła Omelanowycza–Pawłenkę operowała w tym czasie na tyłach Armii Czerwonej w ramach tzw. pochodu zimowego, rozpoczętego w grudniu 1919 r. Grupa, formalnie składająca się z trzech dywizji, połączyła się z siłami polsko–ukraińskimi pod Jampolem w dniu zajęcia Kijowa.
- ¹⁸⁹ Marko Bezruczko (1893–1944), zawodowy wojskowy rosyjski (ranny podczas I wojny światowej), później ukraiński. Sztabowiec w Sztapie Generalnym za Hetmanatu, następnie w sztabach jednostek liniowych. Na przełomie 1919 i 1920 r. krótko internowany przez władze RP, następnie organizator i dowódca 6 Siczowej Dywizji UNR, następnie dowódca Centralnej Grupy Wojsk UNR, od października 1920 r. w randze generała. Po klęsce UNR ponownie internowany. W 1921 r. przez kilka miesięcy minister spraw wojskowych w rządzie UNR na wychodźstwie. Po zwolnieniu z internowania pozostał w Polsce. W 1940 r. ponownie wszedł w skład rządu UNR. Zmarł w Warszawie w lutym 1944 r.
- ¹⁹⁰ Ołeksandr Udowyczenko vel Udowyczenko (1887–1975), zawodowy wojskowy rosyjski, później ukraiński, bliski współpracownik Petlury, od czerwca 1919 r. dowódca 3 Żelaznej Dywizji. Po zwolnieniu z internowania mieszka we Francji, był aktywnym działaczem ukraińskiej emigracji niepodległościowej.
- ¹⁹¹ Dywizja Bezruczki miała przyjąć m.in. żołnierzy białoruskich oddziałów Bułaka–Bałachowicza. Z ośmiuset przyjęto ledwie dwustu, odrzucając tych nazbyt zanarchizowanych. Nie bez znaczenia było pewnie i to, że do tej dywizji zgłosiło się wielu żołnierzy byłej armii ZUNR, dziedziczących kod genetyczny armii austriackiej.
- ¹⁹² Opis działań 6 dywizji wojsk UNR opieram na monografii Emiliana Wiszki, *Szósta strzelecka. Szósta Siczowa dywizja strzelecka armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Formowanie, szlak bojowy, internowanie 1920–1924*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010.
- ¹⁹³ Chodzi o tzw. powstanie kureniwskie, podczas którego siły atamanów z Kijowszczyzny opanowały zachodnie i południowe przedmieścia Kijowa i usiłowały opanować centrum miasta.

- Przeegrali przede wszystkim z powodu braku koordynacji (siły bolszewików w Kijowie były wówczas niezbyt liczne).
- ¹⁹⁴ Brawura we wczesnej polszczyźnie oznaczała nadzwyczajną dzielność, bez współczesnego ironicznego odcienia.
- ¹⁹⁵ Adam Grzymała-Siedlecki (1876–1967), krytyk literacki, literat, reżyser teatralny, w 1920 r. korespondent wojenny.
- ¹⁹⁶ Michaił Tuchaczewskij (1893–1937), zawodowy wojskowy rosyjski i sowiecki, weteran I wojny światowej, w Armii Czerwonej dowódca armii i frontów, na ogół zwycięski, w 1920 r. dowódca Frontu Zachodniego, rozgromionego pod Warszawą. W 1921 r. dowódca wojsk, tłumiących bunt w Kronsztadzie i powstanie chłopów w guberni tambowskiej, następnie na kierowniczych stanowiskach wojskowych. W 1935 r. mianowany marszałkiem ZSRS, dwa lata później w ramach stalinowskiej czystki oskarżony o szpiegostwo i stracony.
- ¹⁹⁷ Natalija Połonska-Wasyłenko (1884–1973), ukraińska historyczka, specjalizująca się w historii Zaporozża. Karierę naukową rozpoczęła przed rewolucją, w okresie międzywojennym pracownica Akademii Nauk ZSRS, w 1943 r. udała się na emigrację. Pracowała na Wolnym Uniwersytecie Ukraińskim.
- ¹⁹⁸ *Istoria Ukrajiny*, s. 542.
- ¹⁹⁹ Mikołaj Bołtuć (1893–1939), zawodowy wojskowy rosyjski (weteran I wojny światowej), następnie polski, latem 1920 r. dowódca 31 pp. Strzelców Kaniowskich, później na stanowiskach sztabowych. W latach 1927–1930 w Korpusie Obrony Pogranicza. W 1939 r. dowódca Grupy Operacyjnej „Wschód” w Armii Pomorze poległ pod Łomiankami.
- ²⁰⁰ Mychajło Omelianowycz-Pawłenko (1878–1952), zawodowy wojskowy rosyjski, następnie ukraiński, weteran wojny rosyjsko-japońskiej i I wojny światowej, ciężko ranny w bitwie pod Łodzią (1914 r.). Współtwórca ukraińskich sił zbrojnych, oficer wojsk UCR i Hetmanatu, od grudnia 1918 do czerwca 1919 r. naczelny dowódca Ukraińskiej Armii Halickiej, następnie znów w armii UNR, od grudnia 1919 jej głównodowodzący, dowódca tzw. pochodu zimowego, od 1921 r. na emigracji w Pradze. Podczas II wojny światowej nominalny dowódca Ukraińskiego Wolnego Kozactwa (jednej z organizacji kolaboracyjnych). Zmarł w Paryżu.
- ²⁰¹ Czymś podobnym było internowanie przez Szwajcarów żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych po upadku Francji w 1940 r.
- ²⁰² Tytuł jest cytatem z wiersza Szewczenki *Chołodnyj Jar*.
- ²⁰³ Klasztor pod wezwaniem Trójcy Świętej zwany Motronińskim a. Matronińskim, prawdopodobnie od imienia żony jednego z wojewodów Jarosława Mądrego (XI w.). Jego potwierdzona historia sięga XIII w. W XVIII w. jedno z centrów ruchu hajdamackiego. Od 1911 r. klasztor żeński. Zamknięty w 1923 r., przywrócony do kultu w 1991 r.
- ²⁰⁴ *Bat’ko* (ojczulek) to tradycyjny (jeszcze siedemnastowieczny) sposób tytułowania atamanów (samodzielnymi dowódcami kozackimi).
- ²⁰⁵ *Załyshenec* to też tytuł powieści Wasyla Szklara z 2009 r., która przywróciła mit Chłodnego Jaru współczesnej Ukrainie. Alternatywny tytuł tej powieści brzmi *Czornyj Woron (Czarny Kruk)*; pod tymi tytułami powieść wydały w tym samym czasie dwa różne wydawnictwa; obecnie wydaje się ją pod podwójnym tytułem jako *Czornyj Woron. Załyshenec*. Pierwszy człon tytułu nie jest aluzją do sowieckiego autobusu więziennego (zresztą późniejszego), ale pseudonimem kilku chłodnojarskich atamanów. Może Iwana Czornousowa (ach, to skojarzenie z *Czterema pancernymi...*) albo Płatona Czernenki (znów skojarzenie – tak nazywał się przedostatni sekretarz generalny KPZS, Sybirak, niewątpliwie ukraińskiego pochodzenia). Obaj należeli do chłodnojarskich *załysheneców*. Było zresztą jeszcze kilku Czarnych Kruków.
- ²⁰⁶ Aleksandr Antonow (1889–1922), pochodzący z moskiewskiej rodziny mieszczańskiej z Tambowszczyzny, działacz partii Socjalistów–Rewolucjonistów, zaangażowany m.in. w akcje

ekspropriacyjne (rabunki mające na celu zdobycie środków na działalność konspiracyjną), więziony w latach 1909–1917, następnie organizator rewolucyjnej milicji (struktur policyjnych), w grudniu 1918 r. zrywa z bolszewikami, wracając do działalności rabunkowo-terrorystycznej. W 1920 r. stanął na czele tambowskiego powstania, po klęsce ukrywał się do 1922 r.; zginął w starciu z czekistami.

²⁰⁷ Taka była potoczna nazwa tej formacji (formalna brzmiała: Powstańcza Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej). Nazwę tę podjął w 1940 r. Taras Borowec (ps. Taras Bulba), powiązany z emigracyjnymi władzami UNR. Dwa lata później banderowcy ukradli mu tę nazwę, a jego partyzantów przymusowo wcielili do własnych szeregów.

²⁰⁸ Pomnikowy Dąb Zalizniaka rośnie w głębi Chodnego Jaru, koło wsi Budy. Liczy ponad tysiąc sto lat. Ponoć to pod nim zbierali się w XVIII w. hajdamacy. Dziś ma status odrębnego muzeum.

²⁰⁹ Pierwsza część tego tekstu powstała w listopadzie 2014 r.; tekst ten nie został wówczas ukończony i tak tu go pozostawiam.

²¹⁰ Mustafa–Masi Najem (ur. 1981), ukraiński dziennikarz, Pusztun pochodzący z Kabulu, od 1989 r. mieszkający z ojcem w Moskwie, później w Kijowie. Muzułmanin. Od 2006 r. członek zespołu *Ukraińskiej Prawdy*, najważniejszego z ukraińskich opozycyjnych portali internetowych, także dziennikarz telewizyjny. Konsekwentny przeciwnik prezydenta Janukowycza. Jego post z 21 listopada 2013 r. brzmiał dosłownie: „Dobra, teraz na serio. Kto dziś przed północą gotów jest wyjść na Majdan? Lajki się nie liczą. Tylko komentarze pod tym postem ze słowami: »jestem gotów«. Jeśli zbierze się ponad tysiąc, będziemy się organizować”. W ciągu godziny zgłosiło się ponad tysiąc gotowych do akcji. Najem nie stał się przywódcą Majdanu, wracając do dziennikarskiego rzemiosła, wiosną 2014 r. wszedł do Rady Najwyższej z listy Bloku Poroszenki, następnie zaangażował się m.in. w tworzenie nowej policji.

²¹¹ Wołodymyr Parasiuk (ur. 1987), działacz nacjonalistyczny (Kongres Ukraińskich Nacjonalistów, partia postbanderowska, w tym czasie marginalna), jeden z dowódców Samoobrony Majdanu, następnie żołnierz ochotniczego batalionu *Dnipro–I*. Ranny w bitwie pod Hłowajkiem (sierpień 2014 r.) dostał się do niewoli, zwolniony w ramach wymiany jeńców. Wcześniej, w wyborach 2014 r. wszedł do parlamentu z obwodu jednomandatowego. W 2016 r. inicjator blokady połączeń kolejowych z Donbasem.

²¹² Kliczko jako jeden z „triumwirów” rewolucji godności był poważnym kandydatem do prezydentury po Janukowyczu, wycofał się jednak w zamian za poparcie Poroszenki w kijowskich wyborach komunalnych. Jak się wydaje, jego rzeczywiste ambicje nie sięgały wyżej niż merostwo stolicy.

²¹³ Ołeh Tiahnybok (ur. 1968), lekarz i polityk, od 2000 r. przewodniczący nacjonalistycznej partii Swoboda, parlamentarzysta, jeden z „triumwirów” Majdanu. Od 2014 r. wraz ze swą partią na marginesie życia politycznego.

²¹⁴ Cztery lata później wciąż nie wiemy, jakie były powody takiej decyzji, z kim Janukowycz rozmawiał w podcharkowskim motelu. Niektórzy twierdzą, że to mer Charkowa Hennadij Kernes nie życzył sobie jego obecności na zjeździe. Ale to także jedynie sugestia. Sądzę, że Janukowycz, który tylko robił wrażenie silnego człowieka, załamał się w tych dniach psychicznie.

²¹⁵ Arsenij Jaceniuk (ur. 1974), polityk, trzeci czy raczej pierwszy z „triumwirów” Majdanu. Pełnił liczne funkcje państwowe, w tym ministra spraw zagranicznych, przewodniczącego parlamentu i premiera (od lutego do kwietnia 2014 r.).

²¹⁶ Jeśli to rzeczywiście on ją podjął. Tego też nie możemy być pewni. Osobiście wątpię.

²¹⁷ Wołodymyr Rybak (ur. 1946), ekonomista i polityk pochodzący z Doniecka, czołowy działacz Partii Regionów, m.in. wicepremier i przewodniczący parlamentu (2012–2014), po rozwiązaniu

- Rady Najwyższej w 2014 r. wycofał się z życia publicznego.
- ²¹⁸ Rusłan Koszulinskyj (ur. 1969) polityk, członek centralnych władz partii Swoboda, w latach 2012–2014 wiceprzewodniczący parlamentu, po dymisji Rybaka i wobec nieobecności drugiego z wiceprzewodniczących (komunisty Ihora Kaletnyka) jedyny czynny członek najwyższych władz Ukrainy; przeprowadził wybór Turczynowa na przewodniczącego Rady, a tym samym – p.o. prezydenta. Walczył w Donbasie w szeregach regularnej armii, następnie działacz samorządowy we Lwowie.
- ²¹⁹ Tak właśnie brzmi zapis konstytucyjny, wyodrębniający rosyjski spośród języków mniejszości narodowych. Poniekąd słusznie, bo w 1996 r. (rok uchwalenia konstytucji) był to język dużej części Ukraińców.
- ²²⁰ Z Krymem było nieco inaczej: dziś wiemy, że Kijów zakazał ukraińskim jednostkom na półwyspie stawiania zbrojnego oporu, rozumiejąc, że nie zdoła obronić półwyspu i obawiając się, że Rosja odpowie zmasowanym atakiem na Ukrainę. Czy istniał taki plan, nie mamy pewności, faktem jest natomiast, że były takie obawy.
- ²²¹ O stanie zaopatrzenia ukraińskich sił zbrojnych za Janukowycza najlepiej świadczy fakt, że żołnierze Wojsk Wewnętrznych (poborowi) musieli sami kupować sobie obuwie. Podczas styczniowych i lutowych walk w Kijowie ich zwarte oddziały były niejednolicie obute, na oko (to wniosek z analizy zdjęć) w jednej trzeciej w półbuty. Stali w nich godzinami np. na Hruszewskiego (oddziały te pełniły głównie służbę kordonową, Majdan atakowały elitarne, dobrze wyposażone oddziały) w zamarzającej wodzie, okoliczni mieszkańcy przynosili im deski i płyty tektury... a także herbatę i kanapki (to nie był znieawidzony *Berkut*, ukraińskie ZOMO).
- ²²² Większość tych form pomocy szybko przestała być potrzebna – ukraińskie siły zbrojne odbiły się od dna, także pod względem kwaterymistrzowskim. Jednak swoisty patronat wspólnot lokalnych nad „swoimi” żołnierzami trwa, a doświadczenie mobilizacji z 2014 r. pozostaje trwałym dorobkiem narodu.
- ²²³ Rinat Achmetow (ur. 1966), oligarcha związany z Donieckiem, polityk i działacz sportowy (właściciel klubu Szachtar Donieck), oligarcha, z pochodzenia Tatar Kazański, w latach 2006–2012 parlamentarzysta. Do 2014 r. najbogatszy człowiek Ukrainy.
- ²²⁴ Po dalszych czterech latach wciąż tak uważam.
- ²²⁵ Z oficjalnych danych wynika, że ukraińskie siły zbrojne w ciągu pięciu lat wojny straciły dwa tysiące pięciuset poległych. Według danych ONZ do końca 2018 r. po obu stronach padło dwanaście–trzydzieści tysięcy zabitych i trzydzieści tysięcy rannych.
- ²²⁶ Ołeksandr Janukowycz (ur. 1973), zwany *Saszą–stomatologiem* (z wykształcenia jest dentystą), przedsiębiorca, w latach 2006–2014 parlamentarzysta, w 2012 r. uważany za czwartego w rankingu wpływowych Ukraińców. W lutym 2014 zbiegł z Ukrainy, obecnie prawdopodobnie mieszka na Krymie. W związku z zarzutami korupcyjnymi objęty sankcjami w UE i USA. Jego młodszy brat Wiktor (1981–2015), polityk i sportowiec (rajdy samochodowe), zginął podczas treningu na lodzie jeziora Bajkał; pochowano go w Sewastopolu.
- ²²⁷ Ihor Kołomojskyj (ur. 1964), oligarcha związany z Dniprem (d. Dniepropietrowsk), jeden z liderów wspólnoty żydowskiej Ukrainy, związany z chasydzką grupą Chabad–Lubawicz. Także działacz sportowy (właściciel klubu piłkarskiego Dnipro). Jeden z najbogatszych ludzi Ukrainy. W 2014 r. odegrał wielką rolę w powstrzymaniu separatyzmu, później skłócony z Poroszenką mieszkał głównie w Szwajcarii i Izraelu.
- ²²⁸ Chodziło o zniesienie dotychczasowego mieszanego systemu wyborczego, w którym połowa mandatów obsadzanych jest w głosowaniu proporcjonalnym na listy ogólnokrajowe (w ukraińskim języku politycznym – „zamknięte listy wyborcze”), połowa zaś w okręgach jednomandatowych i zastąpienie go wyborami proporcjonalnymi z głosowaniem na listy okręgowe („otwarte”). Zmianę tę uchwalono latem 2019 r., już po przejęciu władzy przez

prezydenta Zełenskigo.

- ²²⁹ Wołodymyr Zełenskyj (ur. 1978), aktor, satyryk, producent telewizyjny (więc przedsiębiorca), od 2018 r. polityk. Twórca popularnych programów kabaretowych, które przyniosły mu szeroki rozgłos tak na Ukrainie, jak i w Rosji. Dyskontując tę popularność, w kwietniu 2019 r. został prezydentem Ukrainy. Pogląd o poparciu dlań Kołomojskiego wydaje się dziś mniej prawdopodobny niż w chwili pisania tego tekstu, o czym niżej.
- ²³⁰ Fragment z *Pieśni o Ojczyźnie* Wasilija Liebiediewa–Kumacza z 1936 r., jednej z najbardziej znanych (do końca istnienia ZSRS) sowieckich pieśni masowych. W przekładzie: *rozległy mój kraj ojczysty (...) od Moskwy aż do najdalszych kresów*.
- ²³¹ Formalnie 450, ale w 27 okręgach jednomandatowych Krymu i Donbasu głosowanie nie mogło być przeprowadzone i te mandaty pozostały nieobsadzone. Skądinąd większość parlamentarna obliczana jest od nominalnego, nie od faktycznego składu izby.
- ²³² Wołodymyr Hrojsman (ur. 1978), ukraiński samorządowiec i polityk narodowości żydowskiej, szcycący się tym, że jego rodzina związana jest z Winnicą od sześciu pokoleń. W latach 2006–2014 mer Winnicy, w latach 2014–2016 przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy, w latach 2016–2019 premier.
- ²³³ Tu się myliłem. Rozejm utrzymuje się do dziś (tj. do zimy 2020 r., gdy dokonuję ostatniej korekty tej książki); mimo niemal codziennych incydentów zbrojnych i wielokrotnych alarmów nie doszło do wznowienia działań wojennych na większą skalę. I tak zostanie, dopóki któraś ze stron nie poczuje się na tyle silna, by szukać rozwiązania zbrojnego, a jednocześnie dostrzeże polityczną celowość takiego rozwiązania.
- ²³⁴ Ukraińskie *prawyj* znaczy zarówno „prawy” (o kierunku, położeniu), jak i „prawicowy”.
- ²³⁵ Jurij–Bohdan Szuchewycz (ur. 1933), więzień GUŁagu, działacz nacjonalistyczny, w latach 2014–2019 parlamentarzysta. Syn dowódcy UPA, aresztowany przez NKWD w 1945 r., początkowo w karnym domu dziecka, w latach 1948–1968 i ponownie 1972–1983 więziony w łagrach, następnie zesłany, na Ukrainę wrócił w 1990 r. W 1982 r. stracił wzrok. Z wykształcenia elektryk. W latach 1990–2014 przywódca Ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego – Ukraińskiej Samoobrony Narodowej (UNA–UNSO), bardziej symboliczny niż realny. W 2014 r. „przewerbowany” przez Łaszkę.
- ²³⁶ To należy już do historii: tylko jedna formacja, Ochotniczy Ukraiński Korpus (DUK) także emanacja Prawego Sektora, pozostała poza strukturami sił zbrojnych lub MSW. Wprowadzenie do batalionów fachowego personelu dowódczego i objęcie ogólnymi zasadami kompletacji składu sił zbrojnych sprawiło, że oddziały te nabrały charakteru regularnego, zachowując tradycję formacji ochotniczych, z których powstały. Wyjątkiem jest *Azow*, o którym napiszę osobno.
- ²³⁷ Pojęcie *banderyzmu* jest świadomie mylące; ukuto je w moskiewskich centrach propagandowych na podobieństwo hitleryzmu. Nigdy jednak nie istniała „ideologia banderowska” (Bandera był organizatorem, nie teoretykiem), a założenia ideowe, przyświecające banderowcom nie były spójną ideologią (jak nazizm czy bolszewizm). Termin ten jest dziś używany (poza Ukrainą, gdzie jest praktycznie nieznany) na określenie poglądów wszystkich, którzy nie uważają, że OUN–UPA była wyłącznie organizacją zbrodniczą i kolaboracyjną (wobec III Rzeszy).
- ²³⁸ Kostiantyn Griszin, od 2014 r. Semen Semenczenko (ur. 1971), krymski Rosjanin, ukraiński patriota, uczestnik pomarańczowej rewolucji i rewolucji godności, pierwszy dowódca batalionu *Donbas*, major rezerwy. Jeden z inicjatorów blokady Donbasu na początku 2016 r. Nazwiska Semenczenko używał początkowo jako pseudonimu, później przybrał je oficjalnie.
- ²³⁹ Andrij Biłeckyj (ur. 1979), historyk, działacz wojskowy i polityczny. Związany kolejno z kilkoma paramilitarnymi organizacjami neobanderowskimi, w latach 2011–2014 więziony za

udział w strzelaninie (prawdopodobnie była to samoobrona przed napastnikami na lokal organizacji Tryzub), zwolniony po upadku Janukowycza. W 2014 r. zdobył mandat parlamentarny. W 2016 r. złożył dowództwo pułku, stając na czele „azowskiej” partii Korpus Narodowy.

²⁴⁰ Arsen Awakow (ur. 1964), Ormianin, od drugiego roku życia mieszkający na Ukrainie, przedsiębiorca i działacz państwowy. W latach 2005–2010 wojewoda charkowski, w latach 2014–2019 minister spraw wewnętrznych Ukrainy. Jako jedyny członek rządu Hrojsmana zachował tekę po wyborach parlamentarnych 2019 r.

²⁴¹ Chazarowie byli ludem lub konglomeratem ludów stepowych, którzy w VII–VIII w. utworzyli potężne imperium z centrum między Kaukazem a Wołgą i Donem. Na początku IX w. elity chazarskie (ale nie cała wieloetniczna i wielowyznaniowa ludność kaganatu) przyjęły judaizm rabiniczny. Tu chodzi o popularny dziś także u nas ahistoryczny pogląd (rodem z Europy Zachodniej), zgodnie z którym Żydzi aszkenazyjscy (europejscy) są potomkami rozproszonych Chazarów, a nie starożytnego Ludu Izraela. We współczesnym dyskursie antysemickim Chazarzy to coraz częściej synonim Żydów.

²⁴² Z wiersza Szewczenki *Do martwych i żywych i nienarodzonych moich rodaków na Ukrainie i nie na Ukrainie me przyjacielskie posłanie*.

²⁴³ Hennadij Udowenko (1931–2013), sowiecki i ukraiński dyplomata, w latach 1985–1991 stały przedstawiciel Ukraińskiej SRS w ONZ, w latach 1992–1994 ambasador Ukrainy w Polsce, w latach 1994–1998 minister spraw zagranicznych, następnie do 2003 r. przewodniczący Ludowego Ruchu Ukrainy, parlamentarzysta w latach 1998–2007.

²⁴⁴ Pawliwka nie jest ukraińską nazwą Porycka: przed II wojną światową było jego przedmieście, które po zniszczeniu miasteczka w latach czterdziestych stało się samodzielną miejscowością. Obecna zabudowa Pawliwki obejmuje większość obszaru dawnego Porycka.

²⁴⁵ Anatolij Matwijenko (ur. 1953), polityk, przed 1991 r. członek KC ukraińskiego Komsomołu, później wielokrotnie zmieniał barwy partyjne (do parlamentu wchodził z list czterech kolejnych partii, po raz ostatni – Bloku Petra Poroszenki). Był m.in. wojewodą winnickim i premierem Autonomicznej Republiki Krym (w 2005 r.).

²⁴⁶ Wołodymyr Wjatrowycz (ur. 1977), historyk (badacz ukraińskiego ruchu narodowego podczas II wojny światowej) i polityk. Uczestnik rewolucji na granicę, pomarańczowej rewolucji i rewolucji godności, w latach 2008–2010 dyrektor centralnego archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, w latach 2014–2019 dyrektor UINP, od 2019 r. parlamentarzysta.

²⁴⁷ Strona ukraińska występowała z postulatem ekshumacji w oczekiwaniu, że liczba odnalezionych szczątków ludzkich będzie znacznie niższa od szacunków ofiar mordów w danej miejscowości (ten cel był formułowany otwarcie).

²⁴⁸ Sahryń, wieś w pow. hrubieszowskim, gdzie w marcu 1944 r. żołnierze AK i BCh zamordowali kilkuset cywilnych mieszkańców wsi (z imienia znamy 234 ofiary). Był to element toczącego się wówczas w Hrubieszowskim krwawych walk między UPA i AK. W 2008 r. na zbiorowej mogile pomordowanych stanął pomnik, zawierający znane nazwiska ofiar.

²⁴⁹ Wjatrowycz został zdymisjonowany 18 września 2019 r. Jego następcę mianowano po kilku miesiącach, został nim Anton Drobowycz, filozof i kulturoznawca, związany ze środowiskami liberalno-patriotycznymi.

²⁵⁰ Patrz tekst poprzedni.

²⁵¹ „Wojną Ojczyźnianą” zwano w Rosji wojnę z Napoleonem w 1812 r.; później przydano jej określenie „Wielka”. W 1914 r. w propagandzie rosyjskiej pojawia się termin „Druga Wojna Ojczyźniana”. Po raz trzeci wprowadził to określenie Stalin w czerwcu 1941 r.

²⁵² Wiersz, w 2014 r. dość popularny, znalazłem na Facebooku autorki. Nie wiem, czy był drukowany.

- ²⁵³ Kuźma Derewjanko (1904–1954), Ukrainiec z Humańszczyzny, zawodowy wojskowy sowiecki, podczas II wojny światowej – szef sztabu armii w 2, potem 3 Froncie Ukraińskiego, po zakończeniu wojny w Europie przeniesiony na front japoński i mianowany przedstawicielem wojsk sowieckich przy sztabie gen. MacArthura.
- ²⁵⁴ Michael Strank vel Michał Strenk (1919–1945), urodzony w Jarabinie na pograniczu słowacko–łemkowskim (obecnie Słowacja), wraz z rodziną przybył do USA w 1921 r. W 1939 r. wstąpił do marines, brał udział w kilku operacjach desantowych na Pacyfiku, w tym w szturmie Iwo Jimy, gdzie poległ kilka dni po tym, jak z kolegami wznosił amerykański sztandar na szczycie Suribachi i znalazł się na jednym z najsłynniejszych zdjęć z II wojny światowej.
- ²⁵⁵ Cytat z broszury UIPN *Ukraina w Drugiej Wojnie Światowej* z 2015 r. Podobnie cytat z następnego akapitu.
- ²⁵⁶ John Alexander McCae (1872–1918), kanadyjski poeta i lekarz, podczas I wojny światowej chirurg polowy. Wiersz *Na polach Flandrii* powstał w 1915 r.
- ²⁵⁷ Były tu ustawy „o dostępie do archiwów organów represyjnych komunistycznego reżimu totalitarnego z lat 1917–91”, „o statusie prawnym i uczczeniu pamięci uczestników walk o niezależność Ukrainy w XX wieku”, „o uwiecznieniu zwycięstwa nad nazizmem w Drugiej Wojnie Światowej 1939–45” oraz „o potępieniu komunistycznego i narodowo–socjalistycznego (nazistowskiego) reżimów totalitarnych i zakazu propagowania ich symboliki”.
- ²⁵⁸ To on był sprawozdawcą tych projektów na posiedzeniu parlamentu, choć nie był posłem. W ukraińskiej praktyce jest to dozwolone, choć rzadkie.
- ²⁵⁹ Następnym punktem jego wizyty było odwiedzenie mogił ofiar komunistycznych (w tym oficerów z tzw. kijowskiej listy katyńskiej) w Bykowni, w czym towarzyszył mu nie tylko prezydent Poroszenko, ale i ówczesny przewodniczący parlamentu, Hrojsman.
- ²⁶⁰ Mykoła Pławjuk (1925–2012), emigracyjny działacz polityczny, w latach 1979–2012 przewodniczący Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (melnykowskiej), w latach 1989–1992 czwarty i ostatni prezydent UNR na uchodźstwie.
- ²⁶¹ Nie wiem tego także dziś. Wyjaśnienia, które do mnie docierały, uznałem za co najwyżej średnio wiarygodne; niektóre były dezinformacjami.
- ²⁶² Nie wróciła, przynajmniej jako propozycja legislacyjna, do wiosny 2019 r.
- ²⁶³ Jerzy Lubach (ur. 1954 r.), filmowiec, dokumentalista. Film *Trudne braterstwo* powstał w 1998 r.
- ²⁶⁴ Ukraińskie *prawomirnist'* to właśnie legalność w ścisłym, prawniczym znaczeniu.
- ²⁶⁵ Timothy Snyder, Piotr Kosiewski, *Rosyjskie manipulacje pamięcią*, „Tygodnik Powszechny” nr 20 z 2015 r. (dodatek *Wojna i Pamięć*).
- ²⁶⁶ *Wyszywanka* to tradycyjna ukraińska koszula męska z barwnymi, kontrastowymi haftami na gorsie, stójce i mankietach, a czasem też rękawach. Obecnie jeden z symboli ukraińskiego patriotyzmu, noszony tak przez mężczyzn, jak i kobiety. Ustanowiono nawet *Den Wyszywanki* (trzeci czwartek maja). Tego dnia chodzenie w takich koszulach i bluzkach uważane jest za obowiązek patriotyczny i rzeczywiście miasta ukraińskie pełne są młodych i starszych w najróżniejszych wariantach ludowych koszul i bluzek. W latach osiemdziesiątych w Kijowie, a pewnie i innych miastach można było spotkać koszule, będące aluzjami do wyszywanek: jasne, letnie koszule o europejskim kroju z obszyciem kieszonek i stójek (koszule bez wykładanych kołnierzyków noszono wówczas dość często), niekiedy też mankietów naśladowującym wzory ukraińskiego haftu ludowego, lecz kolorystycznie dyskretne, jeśli dobrze pamiętam – biało–beżowe. Nosili je głównie mężczyźni w średnim wieku.
- ²⁶⁷ Fiodor Siergiejew ps. Artiom (ukr. Artem) (1883–1921), rosyjski działacz bolszewicki, w 1918 r. twórca tzw. Doniecko–Krzyworoskiej Republiki Sowieckiej (była to próba oderwania od Ukrainy jej części przemysłowej, zaniechana na polecenie Moskwy), do 1920 r. w aparacie

- partyjnym Donbasu, następnie w Moskwie.
- ²⁶⁸ Na przykład kijowska stocznia wojskowa, zwana Leninowską Kuźnią, stała się Kuźnią na Rybalskim (półwyspie). Nb. stocznia ta przez ponad dwadzieścia lat należała do Poroszenki; dopiero w 2018 r. sprzedał on ją Wiktorowi Pinczukowi, jednemu z ukraińskich oligarchów. To na jej terenie do 2017 r. uchował się pomnik Marksa.
- ²⁶⁹ Elżbieta Piotrowna (1709–1762), córka Piotra I, imperatorka wszechrosyjska od 1741 r.
- ²⁷⁰ W eklezjologii Kościoła wschodniego autokefalia to niezależność struktur Kościoła na określonym obszarze (na ogół w granicach państwa) od struktur zewnętrznych, wyjąwszy uznanie honorowego prymatu patriarchy Konstantynopola (patriarchy ekumenicznego).
- ²⁷¹ Tak się wyklada grecko–ruskie określenie *archistrateg*. W nomenklaturze zachodniej – archanioł.
- ²⁷² Fanar to jedna z dzielnic Konstantynopola (Stambułu), tradycyjna siedziba patriarchatu Kościoła prawosławnego. Terminu tego używa się na określenie tego patriarchatu na podobnej zasadzie, jak określanie papieżstwa mianem Watykanu.
- ²⁷³ Podczas obecnych dyskusji nikt nie odwoływał się do tej autokefalii. O tym, że w ogóle była, przypomniał tylko Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej.
- ²⁷⁴ Metropolita Mstysław, w świecie Stepan Skrypnyk (1898–1992), siostrzeniec Symona Petlury, oficer UNR, działacz polityczny w II Rzeczypospolitej (poseł na Sejm w latach 1930–1939), w 1942 r. wyświęcony na biskupa UAPC (jako wdowiec), od 1947 r. w Kanadzie jako głowa Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Kanady, w 1990 r. obrany patriarchą Kijowa i całej Ukrainy UAPC. Zmarł w Kanadzie.
- ²⁷⁵ Metropolita (samozwańczy patriarcha) Fiłaret, w świecie Mychajo Denysenko (ur. 1929), kapłan (od 1951 r.) i biskup (1962 r.) prawosławny, w latach 1968–1990 metropolita kijowski i halicki, patriarszy egzarcha Ukrainy, następnie do 1992 r. metropolita kijowski i całej Ukrainy. W 1990 r. po śmierci patriarchy moskiewskiego Pimena obrany strażnikiem patriarszego tronu (namiestnikiem), był poważnym kandydatem na następcę Pimena, jednak przegrał z Aleksiejem II. W 1991 r. dokonał rozłamu, proklamując UPC–KP, a w 1995 r. stanął na czele tego Kościoła.
- ²⁷⁶ Sobór ten zwołano w 2016 r. Zbojkotowanie go przez delegacje Kościołów Rosji, Gruzji i Bułgarii, a także Patriarchat Antiocheński (jeden z czterech starożytnych patriarchatów, dziś z siedzibą w Damaszku, więc uzależniony od władz Syrii) odebrało mu walor powszechności.
- ²⁷⁷ Początkowo nie było jasne, w jakich granicach tych z XVII w., obejmujących także Białoruś i część Rosji, czy we współczesnych granicach Ukrainy. Później uściślono, że chodzi o to drugie.
- ²⁷⁸ Tak należy tłumaczyć ukraiński termin *pomisna cerkwa*.
- ²⁷⁹ Poroszenko jest aktywnym działaczem laikatu prawosławnego, ma niższe święcenia (ale nie, jak w niektórych opracowaniach, diakońskie). W swej podmiejskiej rezydencji w Kozinie zbudował kaplicę, w której na głównym fresku wyobrażono rodzinę Poroszenków (małżonkę i czworo dzieci) u stóp Matki Najświętszej.
- ²⁸⁰ Święta Góra Athos, półwysep (część Półwyspu Chalcydzkiego), od wczesnego średniowiecza samorządne skupisko klasztorów prawosławnych (obecnie jest ich dwadzieścia, w tym rosyjski, bułgarski i serbski). Obecnie stanowi autonomiczne terytorium w ramach Grecji, religijnie podporządkowane Fanarowi, nie zaś arcybiskupowi Aten i całej Grecji.
- ²⁸¹ Określenie to odnosi się nie do fizycznego muru (ściany), lecz do samej Maryi; to jedno z jej określeń w Akatyście, nabożeństwie maryjnym Kościoła wschodniego.
- ²⁸² Metropolita Epifanij (Epifaniusz), w świecie Serhij Dumenko (ur. 1979), kapłan prawosławny od 2008 r., biskup od 2009 r. Sekretarz patriarchy Fiłareta od 2008 r., w 2013 r. wybrany namiestnikiem i strażnikiem tronu (*locum tenens*) patriarchy Fiłareta z prawem następstwa (to ostatnie wiązało się z decyzją synodu UPC–KP o rezygnacji z wyboru nowego patriarchy po

- śmierci Filareta, by ułatwić zjednoczenie ukraińskiego prawosławia).
- ²⁸³ Od przywrócenia patriarchatu moskiewskiego przez Stalina RPC pozostawał pod ścisłą kontrolą aparatu bezpieczeństwa, który miał decydujące zdanie we wszystkich decyzjach personalnych. Biskupi prawosławni byli co najmniej współpracownikami KGB. Kościół realizował te polityczne cele Moskwy np. w zakresie tzw. walki o pokój.
- ²⁸⁴ Patriarszy kukol (bo są też inne) to półokrągłe, miękkie nakrycie głowy połączone z welonem zwieńczone krzyżem; kłobuk, noszony przez biskupów jest cylindryczny i sztywny, także łączy się z welonem.
- ²⁸⁵ Latem 2019 r. wydaje się to znacznie bardziej prawdopodobne niż pół roku wcześniej.
- ²⁸⁶ Tak wydawało się w grudniu 2018 r. Ostatnie działania metropolity Filareta sugerują, że może było dużo gorzej, o czym pod koniec tego tekstu.
- ²⁸⁷ Dlatego też np. przejście do nowego Kościoła określonej diecezji nie rozciąga się na jej parafie: każda z nich musi podjąć decyzję samodzielnie.
- ²⁸⁸ Konfliktów takich było zaskakująco mało (zaledwie kilka), zapewne dlatego, że w większości podzielonych wyznaniowo miejscowości obie wspólnoty prawosławne miały własne świątynie i kapłanów. Nb. po 1991 r. wybudowano na Ukrainie ok. czterech tysięcy nowych świątyń prawosławnych, a setki, jeśli nie tysiące innych przywrócono do kultu.
- ²⁸⁹ Ławra to tytuł klasztorów prawosławnych o szczególnej randze; jest ich tylko kilkanaście (w tym w Rosji dwie). Na Ukrainie są dwie ławry: Kijowsko–Peczerska (klasztór istniejący od XI w., z tytułem ławry od 1598 r.) i Poczajowsko–Uspieńska (klasztór istniejący od XIII w., z tytułem ławry od 1833 r.). Trzecia ławra, Swiatohorsko–Uspieńska, kreowana w 2004 r. w wyniku starań Wiktora Janukowycza, nie jest traktowana jako równa pozostałym.
- ²⁹⁰ Wg dostępnych informacji, do połowy września 2019 r. do Ukraińskiego Kościoła prawosławnego przeszło 537 parafii, 20 świątyń lub organizacji nieparafialnych (w tym jedna gmina staroobrzędowców) i tylko 6 kapłanów. Do lutego 2020 r. liczba parafii wzrosła do 548, liczba kapłanów pozostała bez zmian.
- ²⁹¹ Po tej zapowiedzi nad Dnieprem pojawiły się nawet sugestie o możliwości cofnięcia tomosu, co jednak było tylko instrumentem ukraińskiej rozgrywki: taki krok zrujnowałby wiarygodność patriarchy ekumenicznego, Fanar nie może sobie nań pozwolić.
- ²⁹² Tadeusz A. Olszański, *Ukraińcy nie wielbią Chmielnickiego* [w:] *Między Berlinem a Pekinem. Z analizami Ośrodka Studiów Wschodnich rozmawia Łukasz Warzecha*, Wyd. Fronda PL, Warszawa 2016, ss. 234–263.
- ²⁹³ 26 czerwca 2013 r. we Wradijiwce (wieś w obwodzie mikołajowskim na południu Ukrainy) funkcjonariusze milicji dopuścili się zbiorowego gwałtu. Odpowiedzią społeczności lokalnej była próba szturmowania posterunku milicji, a następnie marsz grupy mieszkańców do Kijowa. Szerszy opis tego wydarzenia można znaleźć w książce Katarzyny Kwiatkowskiej–Moskalewicz *Zabić smoka*, Wyd. Czarne, Wołowiec 2016, ss. 109–118.
- ²⁹⁴ Baturyn, miasto w obwodzie czernihowskim Ukrainy, w II połowie XVII w. stolica hetmanów Lewobrzeża, w 1708 r. po przejściu hetmana Mazepy na stronę Szwedów zniszczone przez wojska rosyjskie; ofiarą rzezi padło kilkanaście tysięcy osób. Za prezydentury Juszczenki odbudowano tu dawną fortecę kozacką, a rzeź Baturyna weszła do kanonu ukraińskiej pamięci narodowej.
- ²⁹⁵ Dmytro Tabacznyk (ur. 1963 r.), ukraiński historyk i polityk, m.in. szef Administracji Prezydenta Kuczmy, wicepremier w rządach Janukowycza i minister oświaty w rządzie Azarowa. Zdecydowany zwolennik utrzymania ukraińskiej narracji polityczno–historycznej w szerszym nurcie narracji rosyjskiej, przeciwnik zwiększania roli języka ukraińskiego w życiu społecznym. Po upadku reżimu Janukowycza zbiegł do Rosji.
- ²⁹⁶ Postępową Socjalistyczną Partią Ukrainy, powstała w 1996 r. partia o programie ortodoksyjnie

- komunistycznym i jawnie prorosyjskim, współpracująca z Komunistyczną Partią Federacji Rosyjskiej. Po 2010 r. całkowicie zmarginalizowana. Polityk, o którym mowa dalej, to Wołodomyr Marczenko (ur. 1953), wówczas wiceprzewodniczący PSPU.
- ²⁹⁷ Właściwie: *Timeo Danaos et dona ferentes* (lękam się Danajów [Achajów, Greków], nawet, gdy dary przynoszą). Fragment z *Eneidy* (II. 49); są to słowa Laokoona ostrzegające przed wprowadzeniem konia trojańskiego w mury miasta.
- ²⁹⁸ Ten pogląd w 2019 r. jest już niestety nieaktualny.
- ²⁹⁹ Nie została. Ustawy „historyczne” z 2015 r. nie objęły tego elementu, choć pozostaje on żywy w dyskursie ukraińskiej pamięci historycznej.
- ³⁰⁰ Z perspektywy czasu widać narastanie trendu rehabilitującego *SS-Galizien* i kolaboracji Ukraińców z III Rzeszą w ogóle. Nie dociera on jednak do oficjalnej polityki państwa i nie ma poparcia (przynajmniej jawnego) Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej.
- ³⁰¹ Swoją drogą ciekawa jest droga, jaką określenie „czarnopodniebienny” zostało przeniesione na aktywistów ukraińskiego ruchu narodowego. Po raz pierwszy pojawiło się ono bodaj w retoryce rewolucji francuskiej na określenie reakcjonistów. Jeszcze na początku XX w. Iwan Franko, ukraiński poeta i działacz narodowy z Galicji Wschodniej określał w ten sposób tzw. starorusinów, członków stronnictwa głoszącego jedność narodową Ukraińców i Rosjan, zarazem zdecydowanie konserwatywnego. Niewiele lat później ktoś u nas (?) przechwycił je i obrócił przeciw zwolennikom Franki. Wydaje się, że epitet ten ma związek z przekonaniem, iż psy o czarnym podniebieniu wyróżniają się agresywnością. Nb. bywał on traktowany dosłownie: znam opowieści o tym, jak dzieci w polskiej szkole (w latach sześćdziesiątych) sprawdzały kolor podniebienia swych ukraińskich kolegów.
- ³⁰² Dziś w obiegu jest także określenie *wata*, już jednoznacznie pogardliwe, oznaczające ludzi, nie dzielących oficjalnej narracji patriotyczno-prozachodniej. Wiosną 2019 r. zdarzało mi się spotykać określanie tym słowem elektoratu Zełenskigo. Pojawiło się też „kontrastowe” określenie *wyszy-wata* (urobione od *wyszywanki*) mające oznaczać bezrefleksyjnych nacjonalistów, skupionych na symbolice, nie na ideach.
- ³⁰³ *Tituszkami* zwano w latach 2013–2014 chuliganów (często adeptów sportów walki) rekrutowanych przez reżim Janukowycza do wsparcia akcji wymierzonych przeciw opozycji; nazwa poszła od Wadyma Tituszki, który w maju 2013 r. napadł na dwójkę dziennikarzy, za co odpowiadał przed sądem. Nazwisko to jest zdrobnieniem imienia *Tit* (Tytus). Sam Tituszko w 2014 r. poparł (acz biernie) rewolucję godności.
- ³⁰⁴ Grzegorz Motyka (ur. 1967), historyk, czołowy polski znawca historii UPA.
- ³⁰⁵ *Polska–Ukraina. Trudne pytania* to potoczne określenie cyklu konferencji historyków polskich i ukraińskich, organizowanych w latach 1996–2005 przez Światowy Związek Żołnierzy AK oraz Związek Ukraińców w Polsce, a także tytuł dziesięciotomowej publikacji, zbierającej ich plon. Konferencje te przyniosły ogromny wzrost wiedzy o wydarzeniach lat 1939–1945 na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.
- ³⁰⁶ Chodzi o obóz „Zgoda”, w którym w 1945 r. więziono *volksdeutschów*, głównie Ślązaków. Zginęło tam ok. 2 tys. osób.
- ³⁰⁷ Charków był stolicą Ukraińskiej SRS w latach 1917–1934.
- ³⁰⁸ Tadeusz Andrzej Olszański, *Co ujawniła rewolucja godności*, „Kultura i Społeczeństwo”, tom LIX, nr 2 z 2015 r., ss. 215–227.
- ³⁰⁹ *Luny w Bieszczadach*, powieść Jana Gerharda (pogranicze narracji powieściowej i literatury faktu), traktująca o walkach z UPA i polskim podziemiem niepodległościowym w Bieszczadach, wydawana od 1960 do 1980 r. w łącznym nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy, przez wiele lat lektura szkolna. *Ślady rysich pazurów*, powieść Wandy Żółkiewskiej, adresowana do starszych dzieci, traktująca o walkach z UPA w Bieszczadach (konkretnie o wydarzeniach w

Terce i Wołkowyi), wydana w 1965 r., także wielokrotnie wznawiana i omawiana w szkołach. Ta druga, znacznie lepsza literacko i adresowana do dzieci, a nie dorastającej młodzieży (jak *Luny*) w moim przekonaniu znacznie silniej kształtowała negatywny stereotyp Ukraińców w Polsce.

³¹⁰ Polski tytuł: *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*. Ta monografia Timothy'ego D. Snydera poświęcona ludobójczemu terrorowi reżimu sowieckiego i nazistowskiego, nie kryjąca udziału w ich zbrodniach przedstawicieli innych narodów, ukazała się w oryginale jesienią 2010 r., a po polsku i ukraińsku – w 2011 r. Tłumaczenie rosyjskie ukazało się dopiero w 2015 r., a i to nie w Rosji, lecz nakładem jednego z kijowskich wydawnictw.

³¹¹ Chodzi o obronę Chocimia w 1621 r., nie o bitwę pod Chocimiem z 1673 r.

³¹² O. Stefan Miecznikowski SJ (1921–2004), duszpasterz akademicki i środowisk twórczych, także kapelan łódzkiej „Solidarności”. Po 1989 r. w Gdyni.

³¹³ Ks. Leon Kantorski (1918–2010), proboszcz parafii w Podkowie Leśnej w latach 1964–1991, m.in. patron ruchu oazowego, promotor muzyki rockowej w liturgii, zaangażowany we współpracę z „Solidarnością”.

³¹⁴ Bohdan Wojciech Skaradziński (1931–2014), pisarz i publicysta, więziony za działalność antykomunistyczną w latach 1952–1956, od 1959 r. współpracownik, potem członek redakcji miesięcznika „Więź”, parafianin i współpracownik ks. Kantorskiego.

³¹⁵ Władysław Andrzej Serczyk (1935–2014), historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod koniec życia pracownik naukowy Uniwersytetu Rzeszowskiego. Specjalizował się w historii Rosji i Ukrainy w XVII–XVIII w. Jego *Historia Ukrainy* (I wydanie w 1979 r.) była szmuglowana na Ukrainę i odegrała pewną rolę w dekomunizacji mentalnej środowiska historycznego tego kraju.

³¹⁶ Bronius Makauskas vel Bronisław Makowski (ur. 1950), Litwin polski, historyk i działacz społeczny, pracownik naukowy Instytutu Historii PAN i UW, a od 2010 r. – uniwersytetu w Kownie.

³¹⁷ Jerzy Turonek (1929–2019), Białorusin polski, ekonomista i historyk.

³¹⁸ Sokrat Janowicz (1936–2013), Białorusin polski, pisarz i działacz społeczny, w tym czasie niekwestionowany autorytet tej społeczności, w latach 1990–1992 szef Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego, efemerycznej partii politycznej Białorusinów polskich. W łódzkim seminarium brał też udział jego syn, Jarosław (ur. 1960), który wygłosił niezapowiedziany wcześniej referat nt. zmian nazw białoruskich w Białostockim po 1918 r.

³¹⁹ Myrosław Iwan Lubacziwskyj (1914–2000), kapłan greckokatolicki, w latach 1942–1991 na emigracji, od 1984 r. głowa Kościoła greckokatolickiego (Kościoła katolickiego obrządku bizantyńsko-słowiańskiego). Zmarł we Lwowie.

³²⁰ Uroczystości te odbyły się 10–11 września 1988 r. Podczas uroczystej procesji pierwszego dnia kardynałowie Glemp i Lubacziwskyj wspólnie odprawili liturgię poświęcenia wody (według obrządku wschodniego), a zebrani odnowili przyrzeczenia chrzcielne.

³²¹ Coś takiego było widoczne już wówczas, gdy po obu stronach (ale częściej wśród polskich Ukraińców) przez „obiektywne” podejście do historii rozumiano bezdyskusyjne przyjęcie „naszego” punktu widzenia.

³²² Dla jasności, choć wątpię, by ktokolwiek z czytelników tego nie wiedział: akcja (operacja) „Wisła” to kryptonim operacji wojskowo-policyjnej, wymierzonej w partyzantkę UPA oraz ukraińską ludność cywilną na terytorium RP, przeprowadzonej wiosną i latem 1947 r. W jej ramach ok. 140 tys. Ukraińców (w tym tych Łemków, którzy nie poczuli się do narodowości ukraińskiej) przesiedlono z powiatów południowo-wschodnich na ziemię poniemieckie, rozbijając podczas osiedlenia więzy sąsiedzkie, parafialne, a nawet rodzinne.

© Copyright by Tadeusz Andrzej Olszański, 2020

© Copyright for this edition by Wysoki Zamek, Kraków 2020

REDAKCJA

Jacek Tokarski

KOREKTA

Katarzyna Szajowska

Sebastian Surendra

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE GRAFICZNE

Marek Pawłowski

PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU

Andrzej Najder

SKŁAD

Iwona Tokarska

Wydawnictwo Wysoki Zamek

ul. Dzielskiego 2 lok. 225, 31-420 Kraków

tel. +48 12 411 05 56

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej:

www.wysokizamek.com.pl

ISBN 978-83-956802-6-7

